



Trzeba było
pokolenia cwaniaków,
by odzyskać upragnioną,
niepodległą Polskę...

CWANIĄKI

PIOTR BOJARSKI





CWANIAKI

PIOTR BOJARSKI

 CZWARTA
STRONA

Copyright © Piotr Bojarski, 2018
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadzący:
Adrian Tomczyk

Redakcja:
Kamila Markowska / panbook.pl

Korekta:
Katarzyna Smardzewska / panbook.pl

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki:
Magdalena Zawadzka

Fotografia na okładce:
© CollaborationJS / Trevillion Images

ISBN 978-83-7976-070-1

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Kochanej Kasi i synom

*O Polsko droga – kiedy inni płaczą,
że ciebie nigdy, nigdy nie zobaczą,
Że nie dożyją twej przyszłej swobody
Ja dzisiaj jeszcze duszą, ciałem młody (...)
Niech wiatry wieją i niech grzmoty ryczą,
Niech ludzie z strachu i złości skowyczą,
Ja na to wszystko wnet obojętnieję,
Kiedy się dla mnie myśl o Polsce śmieje.
Myśl ta ma siłę, co mną tak prowadzi
jak anioł Boży na obrazku – dzieci.
Uczynię wszystko, co ona mi radzi
I tam polecę – gdzie ona poleci...**

* Wiersz napisany przez skauta Józefa Gabriela
Jęczkowiaka między rokiem 1913 a 1916

PROLOG

Kobylnica pod Poznaniem, zlot drużyn skautowskich w Zielone Świątki, czerwiec 1916 r.

Zapach mokrego lasu zapowiada emocje.

Serce bije mu mocno, miarowo.

Już czas!

Drżącą dłonią rozdziera kopertę, wydobywa kartkę z rozkazem i czyta.

Sytuacja jest klarowna: Biali opanowali Poznań. Czerwoni wysłali znaczne siły, by zdobyć miasto. Otrzymali też wiadomość, że do Poznania dla wzmocnienia obrony maszeruje kolejny, słabszy oddział Białych. Dlatego Czerwoni wydzielili część swoich sił z zadaniem rozbitcia odsieczy.

Rozkaz brzmi: ustalić miejsce pobytu wydzielonego oddziału Czerwonych, uniknąć spotkania i doprowadzić oddział z odsieczą do Poznania.

Wie, że prowadzi na pomoc Poznaniowi półtorej setki skautów. Naprzeciw niemu nadciąga dwie i pół setki Czerwonych pod dowództwem Józka Ratajczaka.

Czerwoni oznaczają w tej grze Niemców.

Jego, Józefa Jęczkowiaka, lat osiemnaście i pół, rozpiera duma. Bo prowadzi do boju Białych.

A Biali to Polacy.

Przecież Polacy nie mogą przegrać. Nie mogą! Tylko... jak wystrychnąć mocniejszych Czerwonych na dudka?

Przecież oni też chcą wygrać!

Mimo presji czasu myśli spokojnie, precyzyjnie i swobodnie.

Widzi sytuację czysto – jak na dłoni.

Czerwoni spróbują zamknąć mu drogę marszu ku Poznaniowi. Za wszelką cenę będą dążyć do starcia – bo wygrają je bez trudu, są zdecydowanie silniejsi. Dziela ich niespełna dwa kilometry.

Najwyżej pół godziny marszu przez gęsty las.

Trzeba działać szybko!

Więc działa.

Rzuca w las kilku rowerzystów.

Mają ustalić, gdzie jest przeciwnik.

Wracają z rekonesansu już po półgodzinie. Linia wrogich czujek oddalona jest o jakieś półtora kilometra.

Ciągle jednak nie wie, gdzie Czerwoni rozmieścili swoje główne siły.

Nie może ryzykować wejścia na nie i totalnej klęski.

Co robić?

Potrzebny będzie dobry pomysł...

Fortel! Tu może pomóc tylko dobry fortel!

Wpada na niego natychmiast: wydzieli jeden pluton na lewe skrzydło, z zadaniem ściągnięcia na siebie uwagi nieprzyjaciela. Pluton wysunie do przodu jeden zastęp w tyralierę i narobi rabanu. W razie konieczności może nawet zostać schwytany, a co tam! Ważniejsze rzeczy rozegrają się przecież gdzie indziej...

Bez zwłoki wydaje stosowne komendy.

Jak maszyna, na chłodno, wbrew swojemu młodemu wiekowi.

Pluton wabi rusza szybkim marszem we wskazanym kierunku. Wilgotna ściółka tłumi kroki ich ciężkich butów.

On sam wyrusza ku przeciwnikowi jakieś dziesięć minut później. Prowadzi pozostałe dwa plutony zastępowych z bliskim ubezpieczeniem. Poruszają się trzysta metrów na prawo od plutonu wysłanego dla zmyłki na lewe skrzydło. Stopniowo jednak przesuwają się coraz bardziej w prawo, oddalając się od wabi wysłanych na stracenie.

Gdy mają za sobą kilometr, wstrzymuje marsz i nasłuchują.

Cisza.

Tylko bzyk komarów i nikły świergot ptactwa.

Co jest, do jasnej anielki?!

Obawia się zasadzki. Więc znowu wysyła zwiad rowerzystów. Wracają, nie ustalając miejsca pobytu przeciwnika.

To znaczy, że Czerwoni dobrze ukryli czujki i czekają.

Czekają na nich, na Białych.

Zaczaili się, by dopaść ich i wydrzeć im zwycięstwo...
W kniei z wolna zapada zmrok.
Nadal nie słyhać nic oprócz milknących już ptaków.
Nie może dłużej zwlekać. Musi podjąć decyzję.
Nakazuje dalszy marsz. Tym razem powolny i ostrożny.
Ruszają, odginając łagodnie gałązki krzewów.
Do diabła, głupio byłoby przegrać w takim momencie – myśli.
I właśnie wtedy, kilometr dalej – po lewej ręce – Biali słyszą
wściekłe gwizdki!
Czujki Czerwonych wszczęły alarm, chwytając pluton Białych
wysłanych dla zmyłki!
W gąszczu słyhać przeraźliwą trąbkę przeciwnika.
Gra sygnał „do ataku”!
Biały pluton wabi pędzi w stronę sił głównych Białych, ciągnąc
za sobą pościg Czerwonych.
Druh Jęczkowiak tylko na to czekał.
– Naprzód! – rozkazuje i z całym impetem prowadzi swoje dwa
plutony w próżnię wytworzoną przez atakujących na lewe
skrzydło Czerwonych.
– Hurrrrraaaaa!
– Hurrrrraaaaa! – drą się triumfujący Biali.
Bez trudu, w szalonym pędzie forsują linię czujek Czerwonych,
biorąc kilku z nich do niewoli.
Zwycięstwo!
Wielki sukces!
Biali ominęli potężną sieć Czerwonych, nie dając się pokonać!
Poznań doczeka się wsparcia!



Czerwoni rychło uznają swoją klęskę.
Trębacz daje sygnał do zbiórki.
Jest już niemal północ, ale na młodocianych, rumianych
twarzach nie widać ani śladu zmęczenia.
Łyk herbaty z manierki smakuje słodko, choć cukru w nim za
grosz.

Jęczkowiak odbiera gratulacje.
Poklepywaniami i wyrazom uznania nie ma końca.
Biali maszerują przez czarną jak smoła gęstwę lasu. Śpiewają,
aż płoszą się ptaki:

*Pod Auster – pod Auster – pod Austerlitz
Daliśmy im łanie i więcej nic!*

Tej nocy obóz nie zasypia do samego świtu.
Może kiedyś... – rozmyśla zwycięski wódz.
Może już niebawem...

Część 1.

PRZED BURZĄ



I.

POZDROWIENIA Z POZNANIA

Dwa lata później. Front zachodni, okolice Laon (Pikardia, Francja), sierpień 1918 r.

Bateria była od tygodnia w odwrocie spod Soissons. Niemal codziennie zmieniała miejsce postoju, nie zdążywszy nawet wstrzelać się w nowy teren. Nękana przez francuskie samoloty, kryła się w cieniu nielicznych drzew, które ocalały pod ogniem kilkukrotnych ofensyw obu stron, w nadziei, że lotnicy jej nie wypatrzą i nie zniszczą. Udało się, w początkach sierpnia zaległa szczęśliwie gdzieś pod Laon. Olbrzymie jamy, pozostałości przedwojennych wykopalisk białej kredy, z której niegdyś wyrabiano cegły do budowy domów, dały wreszcie choć na moment schronienie zmordowanym żołnierzom Baterii Artylerii Ciężkiej numer 30 z poznańskiego Sołacza.

Było ich ze trzystu chłopca. Obsługiwali dwa potężne, dalekosiężne Kanone 16, prosto z zakładów Kruppa. Ich potężny kaliber 149,3 mm miał spustoszenie na tyłach Francuzów. Teraz jednak działa stały bezużyteczne, a kanonierzy wylegiwali się w słońcu. Odpoczywali po udanym manewrze oderwania się od przeciwnika.

Francuzki, uprawiające pod nieobecność mężów pobliskie pola, wielokrotnie słyszały ich rozmowy. Szybko zorientowały się, że prawie połowa, jeśli nie więcej, żołnierzy w niemieckich mundurach bynajmniej po szwabsku nie gada. Ich język brzmiał inaczej, bardziej miękko, chwilami melodyjnie, choć innym razem zdawał się szorstki i gardłowy, jak mowa Germanów.

– To Polacy – orzekła fachowym tonem jedna z mieszkanki pobliskiej wsi.

Sensacja trwała krótko, Francuzki przyzwyczyły się wkrótce do

chodzących po terenie, dwuosobowych patrolów, sprawdzających linie telefoniczne. Żołnierze z patrolów z reguły pokrzykiwali coś po polsku i odnosili się do nich zupełnie inaczej niż Niemcy. Spod głębokich, ciężkich hełmów spoglądały na nie zalotnie wesołe, często rezolutne oczy młodych Polaków. Kilku z nich zagadywało je nawet w tym ich zupełnie dziwnym języku, strojąc uwodzicielskie miny i dziarsko kręcąc wąsy à la niemiecki cesarz, ale kobiety zachowywały dystans. Miały jeszcze w pamięci dryl zaprowadzony w miasteczku przez niemieckich okupantów i na wszelki wypadek stroniły od kontaktów z żołnierzami strony przeciwnej. Choćby i nawet wyglądali oraz zachowywali się całkiem sympatycznie...

Francuzki nie mogły jednak wiedzieć, że Polacy z Baterii Artylerii Ciężkiej numer 30 szczerze nienawidzili mundurów, w których wojenny los rzucił ich na pola północnej Francji. I że już na początku swojej wojennej drogi, gdzieś między powołaniem a skoszarowaniem w listopadzie 1916 roku, zawarli tajne porozumienie, które zaczęli realizować wiosną 1917 roku, po przetrzuceniu do Francji. Jego warunki były proste, streszczały się w dwóch punktach: po pierwsze, pomagać przeżyć swoim, po drugie – ważniejsze – szkodzić Szkiebrom¹ – gdzie i jak się da.

Nikt nie wspominał głośno o punkcie trzecim, którego istnienie intuicyjnie wyczuwała większość koleżeństwa. Żeby jednak doszło do jego wykonania, najpierw Niemcy musieli przegrać wojnę.

Pierwszy ruch wykonał Ruszkiewicz, piekarz z Mieszkowa pod Jarocinem, którego zrobiono kucharzem w kuchni bateryjnej. Przy wydawaniu obiadów z kotła dla kolegi z Poznańskiego zawsze sięgał chochlą głębiej, do samego dna, byle tylko krajan dostał strawę gęstsza i możliwie suto okraszoną mięsem. Przy pogarszającej się z tygodnia na tydzień aprowizacji udział Ruszkiewicza w spisku nie był bez znaczenia. Jednak dobrze odżywieni kompani kucharza rychło przystąpili do zadań poważniejszych.

W tym chwalebnym celu wyzyskali dobroduszość niejakiego

1 Z gwary poznańskiej – Niemcy.

Miary, unteroffiziera² z Poznańskiego, a na froncie – dowódcy drużyny telefonistów i sygnalistów. Tęgi gość z rubasznym uśmiechem miał tę zaletę, że do jego obowiązków należało zestawianie zmian obsługi łączności. Miara, choć podoficer, zawsze dawał się przekonać, by na zmianach, zarówno przy działach, jak i obserwacji, zostawali kamraci z Poznańskiego. A ci nadzwyczaj chętnie wychodzili w teren, by naprawiać uszkodzoną łączność telefoniczną.

Dobre chęci wyparowywały z dwuosobowych patroli zaraz po opuszczeniu okopów. Nie spieszono się z naprawą poszarpanych – i nie poszarpanych – przez szrapnele przewodów linii telefonicznej. Po naprawie i zgłoszeniu powrotu Polacy uszkadzali ją ponownie, znowu czując obowiązek wyruszenia w teren. Efekt był jeden; wielce pożądaną – łączność nie istniała całymi godzinami.



Wysoki, wychudzony dwudziestolatek z nikłym wąsem i bystrym spojrzeniem, stał oparty o belkę zabezpieczającą strop jamy i ćmił papierosa. Wypuszczając przez nos gryzący dym zawilgoconego tytoniu, zastanawiał się, jak to możliwe, że Szkiebry przez niemal dwa lata nie wpadły na to, że z tą łącznością coś nie gra. On sam często zgłaszał się na ochotnika, by „naprawić linię”, czego zresztą omal nie przypłacił życiem. Kiedyś, zdaje się pod Verdun, ledwie dwa metry od niego padł granat wyrzucony z francuskich okopów. I tylko cudem nie eksplodował.

Kanonier Józef Jęczkowiak uznał to za znak od niebios. Najwyraźniej tam u góry Ktoś nad nim czuwał. Ktoś, komu nie był obojętny jego los. I jego dalsze zamiary. A skoro tak, znaczyło to ni mniej, ni więcej, że ten Ktoś mu sprzyja. Nie pozostawało mu nic innego, jak wykorzystać tę okoliczność.

– O czym tak myślisz, kamracie? – usłyszał z boku dobrze mu znany głos.

² Z niem. – sierżant.

Z patrolu wracał Janek Weychan, kanonier z Wolsztyna. Największy chyba osiłek w baterii, zresztą nic dziwnego, skoro od dwóch lat podawał pociski do działa. Tylko Jęczkowiak i kilku wtajemniczonych wiedziało, że Janek miał na koncie duży wyczyn „pod Werdunem”. Jako obsługujący dział, podczas wymiany ognia z Francuzami wrzucił niepostrzeżenie do lufy jakieś żelastwo. Przy pierwszym wystrzale lufa pękła i działo zostało unieruchomione. Sukces rozzuchwiał Weychana na tyle, że po kilku dniach niesprawne okazało się drugie działo. W krwawym rozgardiaszu dowództwo baterii nie miało głowy do sprawdzenia, co tak naprawdę się stało. Uszkodzone lufy odesłano do Niemiec, a baterię – na urlop na tyły.

Jęczkowiak uśmiechnął się ironicznie na to miłe duszy każdego poznańczyka wspomnienie.

– Już ty wiesz, Janek, nad czym kombinuję – odpowiedział.

Weychan klepnął go przyjaźnie w ramię, odkładając mauzera i z niemałym trudem zdejmując z pleców kołowrót z kablem.

– Znowu Francuzy zerwały łączność? – Jęczkowiak cisnął na ziemię resztki niedopałka, które zaczęły już parzyć jego palce.

– A skąd wiesz? – Weychan udawał zdziwienie, ale jego szare oczy aż się śmiały. – No jasne, bracie. Jak zawsze, żabojady cholerne. Zerwali nam linię w czterech miejscach, to je zaraz z „Niunią” naprawiliśmy. Skutecznie, Józek. Bardzo skutecznie. Jestem pewny, że nasz szefunio Miara lada chwila wyprawi drugi patrol...

Wzmianka o „Niuni” – powszechnie lubianym w baterii Tadku Neumanie, synu właścicieli poznańskiego kina „Apollo” z Berliner Strasse³ – wyjaśniała wszystko. Bo „Niunia” – niezwykle cięty na Szwabów – stanowił gwarancję rzetelnego wykonania zadania. Jęczkowiak był więcej niż pewny, że problemy baterii z łącznością dopiero się zaczęły. I że Niemcy jeszcze długo jej nie będą mieli. No, chyba że w końcu wpadną na pomysł, by posłać w teren patrol niemieckojęzyczny. Szczerze mówiąc, nie spodziewał się takiego finału.

– Dobra robota – pochwalił kompana i poczęstował go ostatnim

³ Dzisiaj ul. 27 Grudnia.

ćmikiem. – A nie wiesz przypadkiem, czy przyszła dzisiejsza poczta?

Weychan usiadł zmęczony na taborecie, zbitym z nieheblowanych desek i zdjął hełm, wycierając w rękaw spocone czoło. Upał był jak cholera, omal nie zemdlał na tym dziadowskim patrolu.

– Chyba jeszcze nie – mruknął, bo nagle stracił humor. – Ej, kolego, długo tak mnie będziesz trzymał o suchym pysku?

– Woda jest w środku – Jęczkowiak wskazał na ciemne wnętrza jamy. – Trzymamy tam wiadra, bo w cieniu chłodniej.

– Trzeba tak było od razu – jęknął Weychan i ostatkiem sił poderwał się z zydła, by wbiec pod ziemię.

Za chwilę Jęczkowiak usłyszał łapczywe chęptanie. Strzelec Weychan odbierał zasłużoną nagrodę.

Jęczkowiak nie zdążył zdeptać niedopałka, gdy do okopu wskoczył Stefek Chojnicki ze Swarzędza. Na jego okrągłej twarzy malowało się przerażenie. Wyglądał, jakby przed chwilą zobaczył diabła.

– Wołają ciebie, Jęczkowiak! – wysapał Józkwowi prosto w twarz.

– Kto?

– Leutnant⁴ Koch!

– Koch? – na spokojnej dotychczas twarzy Jęczkowiaka drgnął mięsień policzka. – A czego on ode mnie chce?

Oczy kanoniera Chojnickiego zrobiły się jeszcze większe z wrażenia.

– Zdaje się, że chodzi mu o łączność!

Jęczkowiak zbladł, ale zachował spokój i opanowanie. Cholera, musieli coś wyniuchać, pomyślał. Czyżby złapali kogoś na gorącym uczynku? Nie, to niemożliwe, przecież dopiero co Weychan z „Niunią” zeszedł z pola bez żadnej wpadki. To o co może chodzić zastępcy dowódcy baterii?

Leutnant Johann Koch był bodaj jedynym oficerem w baterii, którego Jęczkowiak cenił – i którego się obawiał. Prawnik z Berlina miał głowę nie od parady. Już po tygodniu pobytu na froncie zorientował się, że jego rozkazy są – delikatnie mówiąc –

4 Z niem. – porucznik.

ignorowane, więc zaostrzył dyscyplinę, a jednego z symulantów, niejakiego Freulicha z Hamburga, posłał najpierw przed komisję lekarską, a potem pod sąd polowy. I choć nikt z baterii nie dowiedział się, jakim wyrokiem zakończyło się postępowanie, fakt, że Freulich nie wrócił do jednostki, mówił sam za siebie.

Dobrze byłoby wpaść najpierw do leutnanta Różalskiego, pomyślał Jęczkowiak, zmierzając szybkim krokiem w kierunku ziemianki dowódcy baterii. Leutnant Feliks Anastazjusz Różalski, jedyny polski oficer w baterii, na pewno mu coś doradzi. Tylko czy zdąży?

Choć z nieba lał się żar, zrobiło mu się nagle zimno. A jeśli coś zagrało nie tak, jak powinno? A jeśli...

A jeśli ktoś go wsypał?

Poznań (oficjalnie Posen), sierpień 1918 r.

Niewysoki, szeroki w barach rekonwalescent szpitala wojskowego przy Hohenzollernstrasse⁵ na Jeżycach dokuśtykał do okna, opierając się ciężko na obandażowanej, wyłożonej gąbką kuli. Mimo późnej godziny powietrze letniego wieczoru było gorące jak ukrop. Ranny żołnierz miał na sobie tylko spodnie pasiastej piżamy i szary podkoszulek, mocno opinający jego wydatny brzuch. Wyglądał na dwadzieścia lat, góra dwadzieścia dwa lata. Przez bandaż poniżej prawego kolana prześwitywała szkarłatna plama.

Dopiero tutaj, w Poznaniu, skutecznie wyczyszczono mu rozległą ranę, która od samego początku jątrzyła się, jakby francuski szrapnel skażony był jakąś trucizną. Dopiero tutaj, po odesłaniu na głębokie tyły, chirurdzy usunęli mu z nogi ostatnie drobiny metalu, które wbiły się w kość, przez wiele tygodni uniemożliwiając zabliznienie rany i swobodne chodzenie. I dopiero teraz noga z wolna zaczęła się goić. Choć trwało to o wiele za długo, jak na jego nerwowy charakter.

Na ulicy dwóch chłopców grało zaciekle w szmacianą piłkę.

5 Dziś ul. Mickiewicza w Poznaniu.

Obaj chudzi, w portkach na szelkach i wysokich kolanówkach, gonili za miękką kulą jak wściekli, nawołując się przy tym nazwiskami futbolistów polskiej Warty.

– Ja jestem Szyc, tej!

– A ja Beyem! Uważeeej!

Ranny poczuł, jak wilgotnieją mu oczy. Sam zaledwie kilka lat wcześniej wykrzykiwał te same nazwiska, dorzucając jeszcze Niedzielskiego albo Kosickiego. Jakież to były beztróskie chwile. I kto by się spodziewał, że skończy z dziurą w nodze...

Odchodząc od okna, przypomniał sobie własne dzieciństwo, spędzone w niskiej, ciemnej suterenie na ulicy Święty Marcin. I odwieczny zapach gęstej szmeli⁶, snujący się pod stropem niemal codziennie. Ojciec bywał często bezrobotny, na mięso rzadko ich było stać. Ale prawdziwa bieda przyszła, gdy ojca zabrali do wojska. A już zwłaszcza kiedy poległ niemal od razu, jesienią 1914, gdzieś we Francji za tego cholernego Kaisera. Bodaj by go piekło pochłonęło!

Zbigniew Kaczmarek, wąsaty poborowy rocznik 1898, szczerze nienawidził „Wilusia” – jak potocznie mówiło się w Poznaniu – bynajmniej nie pieszczotliwie – o Wilhelmie II. Cesarz z przetrąconą ręką⁷ sprawił bowiem, że niespełna dwa lata później i jego powołano pod broń. Wystarczyło, że osiągnął pełnoletniość. Tydzień później policjant przyniósł mu kartę mobilizacyjną.

Zapamiętał cichy płacz matki w ukryciu, wieczorem, gdy myślała, że już śpi. Wtedy właśnie poprzysiągł sobie, że nie da się zabić. Cokolwiek by się działo, on musi wrócić do domu, żeby zaopiekować się matką. I młodszym bratem. Matka nosiła się z zamiarem przeprowadzki na wieś, do swojej siostry. Kiedy wyruszał w nieznaną, na front, czyli łaskę losu, rzeczywiście wyprowadziła się za miasto. Tak było im łatwiej utrzymać się i wyżywić. W rodzinie zawsze siła...

Nie chciał wracać myślami do jatki na froncie, do tej krwistej

6 Z gwary poznańskiej – rodzaj taniej zupy ziemniaczanej.

7 W rzeczywistości Wilhelm II miał od urodzenia niedowład lewej ręki, wyraźnie krótszej i mniejszej, który maskował, zwłaszcza na zdjęciach.

makabry gdzieś „pod cholernym Werdunem”. Miał niejasne wrażenie, że uczestniczył w czymś pozbawionym sensu; głupim i zawstydzającym. Przez miesiąc usiłowali zdobyć z kolegami z Poznania niewielkie wzgórze, ważny element francuskich pozycji. Gdy już je w końcu osiągnęli za cenę setek zabitych, następnego dnia zostali wyparci i przegonieni. Cudem ocalał na polu, pokrytym gejzerami wybuchów. A potem dostał w nogę. Spod ognia wyniósł go Frantz, kumpel ze Świętego Marcina. Paradoks polegał na tym, że życie uratował mu Niemiec.

– I co, co tam widać? – upomniał się o relację Eda Wojtala, kolega z łóżka obok.

Leżał pod samą ścianą, wsparty na łokciach, z wyczekiwaniem wymalowanym na bladej twarzy. Wojtala miał gorzej niż Kaczmarek. Dużo gorzej. Mina oberwała mu obie nogi poniżej kolan. Tym samym ucięła raz na zawsze dobrze się zapowiadającą karierę motorniczego tramwaju.

– Nic takiego – odpowiedział Kaczmarek, kuśtykając w stronę kolegi. – Dzieciary w piłkę grają. W szmaciankę, znaczy się.

– Aha – przytaknął niechętnie Wojtala.

Pewnie zorientował się, że on już nigdy w piłkę nie zagra, pomyślał Kaczmarek. Żeby pocieszyć kolegę, przysiadł na brzegu jego łóżka, odstawił kulę i spojrzał mu prosto w twarz. Mimo młodego wieku, oblicze Wojtali było szare i zgorzkniałe. Nie spoglądał na dwa obandażowane kikuty. Wzrok inwalidy błędził po świeżo wymalowanym na biało suficie.

– Ty przynajmniej masz już tę zasraną wojnę z głowy – westchnął Kaczmarek, starając się nadać swojej wypowiedzi życzliwy i szczerzy ton.

Nie wyszło to jednak najlepiej.

– Wolałbym tam wrócić – zachnął się Wojtala.

– Staaary! Nie wiesz, co mówisz! – Kaczmarek zaryzykował polemikę. – Tu przynajmniej jesteś bezpieczny. Tam zawsze możesz dostać kulkę i wrócić do domu w trumnie.

– Kulkę?! – warknął kompan, ale w jego głosie wybrzmiał jakiś niewypowiedziany żal. – Sram na takie bezpieczeństwo, Biniu!

Sroty-pierdoty⁸! Co mi po życiu, gdy nie mam szkitów? Która panna mnie zechce, takiego szkaradnego?

Kaczmarek chciał mu powiedzieć, że świat nie takie rzeczy już widział, że inwalidztwo to jeszcze nie wyrok i wszystko na pewno się ułoży, ale męski szloch kolegi wyrwał mu z piersi to przekonanie. Nie wiedząc za bardzo, co robić, objął Wojtałę ramieniem i przycisnął do siebie.

Nie zdusił w nim żalu, ale czuł, że tak trzeba. W końcu, co innego mógł zrobić?

Front zachodni, okolice Laon (Pikardia)

– Uważaj! – tylko tyle zdołał mu rzucić przez ramię leutnant Różalski, mijając go niby przypadkiem przed wejściem do schronu dowództwa.

Konstrukcja z drewnianych bali, przysypana ziemią i naciągnięta dodatkowo siatką maskującą w kolorze feldgrau, znajdowała się nieopodal drugiej linii zajętej przez baterię. Jęczkowiak szybkim spojrzeniem zlustrował otoczenie. Przed wejściem do schronu stało dwóch wartowników. Tylko dwóch. Chyba mnie nie aresztują? – zastanawiał się, zbliżając się do przesłoniętego jakimś pledem przejścia.

– Kanonier Jęczkowiak melduje się na rozkaz – powiedział po niemiecku i stuknął obcasami przed wartą.

Zza przesłony wyjrzał unteroffizier Jesulat, sanitariusz bateryjny. Widząc zafrasowaną twarz Polaka, uśmiechnął się złośliwie.

– Już jest, herr leutnant – powiedział w stronę ziemianki i odsłonił koc.

Jęczkowiak wszedł pewnym krokiem do półciemnego wnętrza jamy. Jej białe, kredowe ściany kontrastowały z szarozielonymi mundurami kilku mężczyzn pochylających się w skupieniu nad stołem przykrytym mapą sztabową. Kanonier dostrzegł na niej naniesione ołówkiem linie wskazujące najnowsze cele dla dział

8 Z gwary poznańskiej – bzdury.

baterii.

Znad stołu podniósł się dobrze zbudowany mężczyzna pod czterdziestkę z przyczernianym wąsem. Przyglądał dłońią siwiejące na skroniach włosy i spojrzał na Jęczkowiaka. Leutnant Koch potrafił przyglądać się wnikliwie swoim podwładnym. Polak wyczuł, że dowódca go bada. Tylko na jaką okoliczność?

– Kanonier Jęczkowiak melduje się! – zsalutował przepisowo pełną dłońią, przybierając postawę zasadniczą.

– Spocznij – leutnant Koch stanął z nim twarzą w twarz.

Był nieco wyższy, przez dłuższą chwilę spoglądał z góry prosto w oczy kanoniera, jakby chciał odnaleźć w nich ślady paniki.

Nie odnalazł.

– Słuchajcie, Jęczkowiak – odezwał się w końcu spokojnym tonem, który jednak nie zmylił Polaka. – Jak dobrze wiecie, nasza bateria ma w ostatnim czasie spore kłopoty z utrzymaniem łączności. Nad-zwy-czaj-ne kłopoty, Jęczkowiak. Rozumiecie, o co mi chodzi?

Kanonier z Poznania nie spuszczał wzroku z dowódcy. Zupełnie jakby to, co właśnie usłyszał, było dla niego czymś normalnym.

– Rozumiem, herr leutnant. Kłopoty z łącznością.

– Macie coś do powiedzenia na ten temat?

– Melduję, że nie mam.

– Nie?

– To znaczy, melduję, że na rozkaz unteroffiziera Miary szkody na bieżąco usuwamy. Cholerne Francuzi tak się już wstrzelały w nasze pozycje, że każdego dnia niszczą nam linie...

Koch podniósł dłoń, ucinając tę relację. W milczeniu obszedł wkoło Jęczkowiaka i ponownie stanął przed nim, wpatrując się w jego skupioną twarz.

– To niemożliwe – powiedział w końcu. – Owszem, strzelają do nas coraz mocniej, ale jesteśmy tu zbyt krótko, by byli aż tak skuteczni.

– Tak jest.

– Ja myślę, Jęczkowiak, że oni mają w naszej baterii sojuszników.

– Nic mi o tym nie wiadomo, herr...

– Milczeć, kiedy mówi dowódca! – wściekł się leutnant. – Mam dosyć tej zabawy w ciuciubabkę! Może ten Miara jest naiwny albo głupi, ale ze mnie nie zrobicie durnia! – Podszedł do aparatu telefonicznego, zakręcił prądnicą i gwałtownie uniósł słuchawkę. – O! Znowu nie ma sygnału! A przecież „na bieżąco usuwacie szkody”, prawda, Jęczkowiak? Coś mi się zdaje, że ktoś w naszej jednostce chce koniecznie pójść w ślady Freulich!

Kanonier stał nieporuszony, choć za kołnierz spływały mu strużki potu wypływające spod hełmu. Żeby tylko Koch ich nie dostrzegł!

– Melduję posłusznie, herr leutnant, że szybko wyłapiemy sojuszników zaborców – odpowiedział, dbając o to, by zabrzmieć spokojnie i wiarygodnie. – Natychmiast skonsultuję sprawę z unteroffizierem Miarą i...

– Jeśli w najbliższym czasie nadal nie będę miał łączności z dowództwem, osobiście was rozstrzelam, Jęczkowiak – syknął Koch. – Ciebie i tych twoich kamratów z Posen! I żaden sąd polowy nie będzie potrzebny. Ostatnio wybitnie działacie mi na nerwy!

– Tak jest – przytaknął odruchowo Jęczkowiak, nie zdając sobie nawet sprawy z ironicznego wydźwięku swojej wypowiedzi.

– Pamiętam wasze papiery z Cottbus! – Koch pogroził mu palcem. – Pamiętam, że miały notkę „PV”⁹! Politycznie podejrzany! Zdaje się, że przed wojną siedzieliście już w Posen z powodów politycznych? Jakiś podejrzany skauting, nie mylę się, co?!

Jęczkowiak zmilczał odpowiedź. Przed oczy nasunął mu się nagle obraz ulicy Święty Marcin. To było lato 1913 roku. Znowu zobaczył twarz niemieckiego policjanta, którego zdzielił pięścią między oczy, by uwolnić polskich demonstrantów. Z nosa Niemca poszła czerwona farba... A potem rozległy się policyjne gwizdki, które zmusiły jego i Franka Grossmana do ucieczki...

Na szczęście podporucznik Koch nie miał ochoty wdawać się w szczegóły. Na szczęście, bo Polak nie ręczył, że zachowa spokój.

– A teraz odmeldowujcie się. I wreszcie naprawcie tę linię!

9 PV (niem.) – skrót od „politisch verdächtig” – politycznie podejrzany.

Skutecznie naprawcie, rozumiemy się? Muszę w końcu skontaktować się z oberstem Mannem ze sztabu dywizji!

– Tak jest! – Jęczkowiak trzasnął obcasami, przepisowo nakręcił i ruszył ku wyjściu.

Sanitariusz Jesulat odprowadził go wzrokiem kobry. On też nie przepadał za Polakami w baterii i cieszył się, że dowódca właśnie przytarł uszy ich niepisanemu przywódcy.

Jęczkowiak wyszedł na spiekotę i dopiero wtedy poluzował kołnierzyk, wpuszczając w płuca więcej powietrza.

Zrozumiał, że właśnie coś się skończyło. Że musi zdecydować szybciej, niż sądził jeszcze pół godziny wcześniej. Musi koniecznie sprawdzić, czy w końcu przysła pocztą.

Najpierw jednak trzeba przywrócić łączność. Choć na kilka godzin. Nie chciał zostać drugim Freulichem. Nie teraz, gdy był już tak blisko.

Znowu Poznań, szpital wojskowy na Jeźcach

Obchód miał się ku końcowi. Kroczący na czele stawki doktor Remigiusz Radtke przypominał nieco generała na czele sztabu. W szerokim, narzuconym w pewnym nieładzie fartuchu, spod którego prześwitywał mundur, z monoklem w lewym oku i zaczesanymi na tył głowy, srebrnymi włosami Radtke zdawał się bożyszczem postępujących za nim, zdecydowanie młodszych lekarzy i jeszcze liczniejszego grona adeptów trudnej sztuki lekarskiej. Ale już nie pielęgniarek, których wzrok koncentrował się na młodszej części pochodu.

Jedna z sióstr szczególnie wpadła w oko Kaczmarkowi. Czarnowłosa, ze zniewalającym uśmiechem, za który każdy facet dałby sobie amputować palec, a może nawet dłoń, stała właśnie przy jego łóżku. Szary, obcisły fartuch podkreślał zalety jej pięknej sylwetki. Kaczmarek nie mógł się przez to skupić. A powinien, bo właśnie do niego zbliżał się okazały sztab doktora Radtke.

– Strzelec Zbigniew Kaczmarek. Rana szrapnelowa prawej nogi

na wysokości goleni – odczytał usłużnie z karty jeden z asystentów głównego łapiducha.

– A, to nasz bohater spod Verdun – bardziej stwierdził, niż zagaił rozmowę Radtke. – Jak samopoczucie, żołnierzu?

Kaczmarek nienawidził, gdy ktoś nazywał go bohaterem. Pod Verdun był przecież nie z własnej woli, bił się, a raczej usiłował przeżyć, nie w swojej sprawie. Bohaterem był Frantz, który wyciągnął go z piekła. On sam – w żadnym wypadku.

– Melduję posłusznie, że kiepskie – odpowiedział uczciwie.

– A to dlaczego, panie bracie? – Radtke miał dziwną manierę nagłego skracania dystansu. Mimo stopnia leutnanta potrafił rozmawiać z podwładnymi jak równy z równym. – Za chwilę wychodzicie, rekonwalescencja postępuje szybciej, niż sądziliśmy, prawda?

Cały zastęp w fartuchach zgodnie przytaknął skinieniami głów.

– Bo... – zawahał się w ostatniej chwili Kaczmarek.

Chciał powiedzieć, że nie uśmiecha mu się powrót do jednostki, znaczy się do 6 Pułku Grenadierów, a potem pewnie na front. W ostatniej chwili ugryzł się jednak w język.

– ...bo odczuwam lęk przed powtórką – odpowiedział nieszczere.

Radtke przyjrzał mu się uważnie. Był zdziwiony tą odpowiedzią. Cztery lata służby w szpitalach armijnych dały mu niebywały dar trafnego oceniania ludzi. Na kilometr wyczuwał symulantów, a na dwadzieścia kilometrów różnorakich cwaniaków, którzy próbowali na zawsze wymigać się od dalszej służby ku chwale cesarza i Rzeszy. Kaczmarek zdążył już poznać bliżej i nie spodziewał się, że akurat z jego ust usłyszy coś takiego. Lęk przed powtórką! Słyszał ktoś kiedyś coś tak niemęskiego?

Lekarz rozejrzał się ukradkiem, czy słów strzelca nie usłyszało przypadkiem zbyt wiele osób. Tak się szczęśliwie złożyło, że w pobliżu leżał tylko ten nieszczęśnik Wojtala. Nie można więc było zarzucić Kaczmarkowi, że sieje defetyzm.

– Słuchajcie, żołnierzu... – lekarz ściszył głos i nachylił się tak nisko nad rannym, że ten mógłby bez problemu zliczyć

zmarszczki na czole łapiducha. – Wasz stan psychiczny jest całkowicie zrozumiały. Ale to minie. Zapewniam, że szok prędej czy później ustępuje. Jeszcze będziecie zdrowi jak ryba. I wróćcie do swoich kompanów. Pewnie już się stęskniliście, prawda? Ile to czasu jesteście ranni?

– Będzie z miesiąc – mruknął Kaczmarek.

Urzędowy entuzjazm lekarski jakoś nie mógł mu się udzielić. Radtke, mimo dużego doświadczenia, był marnym aktorem. Jego słowa zalatywały fałszem.

– Będzie dobrze, żołnierzu! No, a teraz na śniadanie! – zakomenderował szef lekarskiej świty.

Biały korowód w pośpiechu ewakuował się z sali. Kaczmarek leżał z zamkniętymi oczami, czekając, aż ustanie tumult. Gdy wreszcie zrobiło się cicho, z wolna podniósł powieki.

Po obchodzie nie pozostał już żaden ślad. No, może jeden. Bardzo atrakcyjny. Miał ludzkie kształty – i to jakie! – i właśnie pochylał się nad nim, pozornie poprawiając mu poduszkę. Kaczmarek wyczuwał jednak, że to tylko podpucha.

– Strzelec Kaczmarek, prawda? – czarnowłosa siostrzyczka odsłoniła w uśmiechu równe, białe zęby.

Była teraz tak blisko, że serce skoczyło mu w piersi z nadziei.

– Tak, Zbigniew Kaczmarek... – przedstawił się, choć zupełnie niepotrzebnie.

– Mam coś dla pana – odpowiedziała i sięgnęła do kieszeni fartucha.

Zobaczył niebieską kopertę, a na niej napis sporządzony atramentem.

– Pozdrowienia z organizacji – usłyszał, gdy wyciągnął po nią rękę.

II.

KROK W CIEMNOŚĆ

Front zachodni, kwatera Baterii Artylerii Ciężkiej nr 30 pod Laon

Głuchy pomruk alianckich dział dobiegający od strony Soissons przypominał o laniu, jakie dostała niedawno armia cesarskich Niemiec od Francuzów i Amerykanów. Jęczkowiak miał wrażenie, że to dopiero początek, a nie koniec burzy. Na razie jednak zadbał o to, by tej prawdziwej, tak wyczekiwanej nawałnicy doczekać. W porozumieniu z unteroffizierem Miarą wysłał ponownie Weychana i „Niunię” w teren – tym razem z rozkazem, by rzeczywiście naprawili to, co niedawno „naprawiali”. W całej baterii szybko rozniosło się, że Koch wywęszył spisek, więc wolsztyniak i poznaniak uwinęli się chwacko. Nic dziwnego – wszak wiedzieli, gdzie szukać zniszczeń ze strony wrogiej artylerii. Godzinę później z podziemnego schronu dowództwa baterii w końcu popłynął po kablu meldunek do mocno zaniepokojonego sztabu korpusu. A ponieważ jakimś cudem, mimo sporadycznego ostrzału ze strony Francuzów, łączność nie została ponownie zerwana przed zapadnięciem zmroku, nastroje w jednostce wyraźnie się poprawiły. Kanonier Dybizbański doniósł nawet Jęczkowiakowi, że wyraźnie rozluźniony leutnant Koch wyszedł ze swojego bunkra, by swobodnie zapalić fajkę.

Chwilowo nie groził więc jednostce kolejny sąd polowy, ale Jęczkowiak nie dał się zwieść pozorom. Zdawał sobie sprawę, że burza z piorunami nie została bynajmniej zażegnana, a co najwyżej przegnana przez korzystne wiatry w inny zakątek nieba. Nie wierzył, że Koch zapomniał o sprawie. Odzyskana łączność zapewne utwierdziła go w przekonaniu, że ktoś

sabotuje jego rozkazy, osłabiając zdolność bojową Baterii Artylerii Ciężkiej numer 30. Było tylko kwestią czasu, kiedy wdroży wewnętrzne śledztwo w sprawie inspekcji naprawczych. Nie trzeba było być orłem śledczym, by zauważyć, że te misje dziwnym trafem zdominowali w ostatnich miesiącach Polacy.

Przez otwór w barykadzie z worków z piaskiem lustrował przedpole, coraz gorzej widoczne w gęstniejącym mroku. Francuzom na szczęście nie w głowie były niespodziewane ataki. Zapewne tak jak i oni okopywali się i umacniali w świeżo zajęтым terenie. Stojący nieopodal Stasiak Schmidt, przed wojną mieszkaniec kamienicy przy Poznańskiej, rzucił w niego grudką piasku.

– Co jest, Stachu? – rozeźlił się Jęczkowiak.

– Masz tera przechlapane, Józek. Musisz uważać na tego Szkiebra – Schmidt był pod wrażeniem spokoju kolegi, co prowokowało go do odgrzania tematu. – Najchętniej posłałby cię do piachu...

– Nie kracz, Stasiu, bo jeszcze się posram ze strachu – zażartował Jęczkowiak, ale wyszło to jakoś sztucznie, sztywno. – Lepiej mi powiedz, czy była dziś poczta. Bo jakoś nie zauważyłem.

– Poczta? – Schmidt zrobił duże oczy. – A! Znaczą się listy. Chyba coś przyszło, faktycznie. Ale ja nic nie dostałem.

– Kto odebrał listy?

– Chyba... Dybizbański. Tak, wydaje mi się, że on.

– I nic nie powiedział? – zdenerwował się Józek.

– A jak to miał zrobić, jak go zaraz na przespiegę do Kocha wysłać?

Szlag by to trafił, zaklął w myślach Jęczkowiak. Ale nie wypowiedział tych słów, honor skauta nie pozwalał. Dybizbański, syn szewca z Garbar, nie należał do najbystrzejszych w baterii. Co robić, musiał go teraz odszukać.

– Słyszysz?! – Staszek nagle pochylił się i przyłożył ucho do białej, kredowej ściany wykopu. – Słyszysz to, Józek?

– Co niby? – Jęczkowiak z niechęcią oderwał się od myśli o wyczekiwanej poczcie.

– No, posłuchaj sam! – Schmidt z podniecenia aż zgubił hełm, schylając się ku ziemi.

Chcąc nie chcąc, Jęczkowiak także przyłożył ucho do ziemi.

– Nic nie słyszać – mruknął zbity z tropu.

– Poczekaj... O! Słyszałeś?! O! Teraz znowu!

Gdzieś w oddali, a może całkiem blisko, ktoś niezwykle silny uderzył żelaznym oskardem w kredową ścianę. A potem jeszcze raz i jeszcze...

– Francuzi kują tunel – szepnął Schmidt. – Pewnie szykują nam jakąś niespodziankę.

– Ciiii! – Jęczkowiak machnął ręką, żeby kompan się przymknął.

– Oni chyba próbują się do nas przedostać. Diabli wiedzą, jak są daleko.

– Oby jak najdalej – Schmidt przeżegnał się nabożnie. – Jeszcze z tego będzie jakaś niepotrzebna afera.

Chyba nie są tak głupi, żeby pchać się do nas w kompletnych ciemnościach, pomyślał o Francuzach Jęczkowiak. Ale pewności nie miał. Może właśnie żabojady podkładają ładunki wybuchowe? A jeśli lada moment coś wybuchnie i zaczną się szturm ich ledwo zajętych pozycji? Zameldować o tym dowództwu czy nie?

Przez dobrą chwilę zastanawiał się nad tym, aż w końcu przyszło mu do głowy, że skoro odgłosy kucia są przytłumione, to znaczy, że problem nie jest jeszcze aż tak pilny. Miał inny, zdecydowanie ważniejszy. Musiał koniecznie dorwać Dybizbańskiego.

Zastał go niedaleko latryny. Szedł akurat z workiem przerzuconym przez ramię w stronę pierwszej linii. Na widok Jęczkowiaka uśmiechnął się od ucha do ucha, odsłaniając równe, zdrowe zęby.

– Co się tak szczerzysz, ośle? – Józek nie potrafił ukryć irytacji. – Lepiej mi powiedz, czy była dziś do mnie jakaś poczta.

Dybizbański, nazywany osłem z powodu odstających uszu, nie obraził się na kompana.

– Masz szczęście – skwitował go krótko. – Właśnie niosę te wszystkie papiery... I pomyśleć, że ludziom chce się tyle pisać.

Przysiedli się do dwóch żołnierzy baterii, gotujących spory kawałek koniny w blaszanej puszcze na zabezpieczonym kilkoma ceglami, niedużym ogniu. Pewnie zdobyli mięso gdzieś na zapleczu. Posolili je, ale i tak nie było zbyt smaczne, lecz żołnierskie żołądki upominały się o swoje. Ile można jeść kiepskie, zalutujące pleśnią wędliny spod Hanoweru albo ni to wątrobiankę, ni salceson – czarną masę bez smaku trzymającą się tylko żelatynowym spoiwem?

Dybizbański zrzucił worek i zaczął w nim gmerać ciemną od ziemi dłoń. Nie minęła minuta, a wydobył z płóciennego wnętrza całkiem pokaźny stos listów przepasany zwykłym parcianym sznurkiem.

– Te są do nas – orzekł fachowym tonem.

– Dawaj! – Jęczkowiak był więcej niż niecierpliw.

Lekko drżącymi rękoma chwycił pakunek, odwiązał sznurek i zaczął przeglądać koperty. Pomiędzy nimi, w chybotliwym świetle rzucanym przez ogień, błyskały biało-czarne, a czasem nawet koloryzowane pocztowe kartki. Nerwowo, szybko przerzucał wzrokiem nazwiska na kopertach. Nie mógł znaleźć swojego. Już niemal stracił nadzieję, kiedy u spodu znalazł pocztówkę z podmalowaną kilkoma barwami fasadą poznańskiego ratusza. „Rathaus in Posen” – głosił ciągle niemiecki podpis.

Odwrócił kartkę i poczuł, że krew zaczyna w nim krążyć zdecydowanie szybciej.

To była pocztówka do niego. Napisała ją Walentyna Węclawska, żona Edmunda, jednego z liderów Głównej Kwatery Skautowej w Poznaniu.

Ach, skautowskie czasy... W jednej chwili, przez ułamek sekundy przypomniał sobie te niezapomniane soboty i niedziele, kiedy pędził na wycieczki i marsze za miastem. Życie obozowe na leśnych polanach, ćwiczenia polowe, które miały przygotować jego i innych nastolatków do służby wojskowej... Choć nie takiej, w jakiej się znalazł. Zupełnie nie takiej!

Zerknął raz jeszcze na kartkę pocztową. Przekaz był krótki, energetyczny.

*Drogi Józefie,
przesyłamy Tobie serdeczne pozdrowienia z naszego spokojnego
Poznania. Ufamy Bogu, że zachował Ciebie w dobrym zdrowiu. Co
u Ciebie nowego? Bardzo wszyscy za Tobą tęsknimy i radzi
bylibyśmy Cię znowu zobaczyć.*

Oparł się o ścianę wykopu i odchylił głowę.

A więc znają sytuację na froncie, pomyślał. A zaraz potem wydedukował, że musi być naprawdę zła, skoro piszą mu z Poznania, że chcieliby go wnet zobaczyć. Znajomi, przyjaciele, ale też zapewne ludzie z organizacji... Czyżby ta straszna rzeź, jakiej wcześniej Europa i świat nie widziały, dobiegała końca?

Czyżby nadszedł wreszcie czas, na który czekał przez tyle dni?

Poznań, Jeżyce, szpital wojskowy

Zbigniew Kaczmarek myślał tylko o jednym. Wcale nie o ustach cudnej pielęgniarki. Wcale nie o jej imieniu, które zdradziła mu na pożegnanie. To znaczy, miał nadzieję, że ją jeszcze zobaczy. Ale to nie ona zaprzętała teraz jego myśli. Krążyły one wokół kolegów z tajnej grupy, do której zamierzał wstąpić.

Kontakt nawiązał dzięki Krausemu – temu niepozornemu, niedużemu kompanowi frontowemu, z którym nieraz chodził na patrole. Krause, który wiosną dostał urlop i na dwa tygodnie wrócił z frontu do Poznania, związał się z organizacją zaufanych przyjaciół. Został członkiem tajnej organizacji wojskowej, która rozwinęła się w Poznaniu. I to właśnie on wciągnął do konspiracyj Kaczmarka. Zresztą, wciągnął to byłoby za dużo powiedziane. Po prostu któregoś wieczoru opowiedział Kaczmarkowi w głębokiej tajemnicy, że istnieje coś takiego jak „peowu” i odebrał od niego deklarację przystąpienia „w stosownej chwili”.

Kaczmarek nie dopytywał się wtedy, co znaczy tajemna formuła „peowu”. Zbyt był przejęty sekretem, do którego został dopuszczony. Wtedy, wiosną 1918 roku, nie spodziewał się

zresztą, że „stosowna chwila” nadejdzie tak szybko. W dodatku w najmniej spodziewanym momencie. Ale nadeszła i był za to wdzięczny. Widocznie jakimś cudem Krause przekazał deklarację Kaczmarka dalej, która widocznie jakimś cudem pokonała setki kilometrów dzielących linię frontu od Poznania i dotarła tam, gdzie miała dojść. Została odebrana i zapewne skrupulatnie zanotowana – raczej w ludzkiej pamięci niż na papierze. A teraz dopominała się o wypełnienie przyrzeczenia.

Kaczmarek nie marzył o niczym innym. Dlatego starannie ukrył kopertę pod poduszką, upewniwszy się, że nikt tego nie zauważył. Choć zżerała go ciekawość, wytrzymał przez cały długi dzień, pilnie strzegąc łóżka przed postronnymi. Kopertę przedarł dopiero w nocy, w szpitalnej ubikacji. Tylko tam miał całkowitą pewność, że nie zostanie zdemaskowany.

W chybotliwym blasku świeczki otworzył kopertę i wyciągnął z niej złożoną w czworo białą kartkę. Była zapisana tym samym charakterem pisma, jakim nieznanemu autor wypisał na kopercie jego nazwisko. Piszący wiadomość zadbał, by była możliwie lakoniczna.

*Łąkowa 13. Kartkę spalić.
Józef, komendant.*

Sześć słów, dwie cyfry; spłonęły chwilę później wraz z kartką. Nadpalony papier i kopertę spłukał w klozecie. Łąkowa 13, powtarzał w myślach. Łąkowa 13.

Bardziej jednak intrygowało go słowo „komendant”. Kto nim był, u licha? Kto ukrywał się pod pseudonimem „Józef”?

Front zachodni, okolice Laon, dzień później

Nie rozgościli się w kredowych jamach pod Laon na dłużej. Już następnego dnia naprawioną linią telefoniczną nadszedł do dowództwa baterii pilny rozkaz wycofania się w kierunku północno-wschodnim.

Tym razem kanonierzy zajęli pozycje nieopodal małej wsi, które przed dwoma zaledwie miesiącami opuściła niemiecka piechota, podrywając się do ostatniej ofensywy. Zastali więc gotowe okopy i masywne, umocnione ziemianki. Piechota, osłaniająca baterię, obsadziła dawne okopy francuskie, czekając na pojawienie się przeciwnika.

Wysyłani w teren zwiadowcy przynosili rzeczy zupełnie nieoczekiwane: na przykład podrobione przez Francuzów egzemplarze „Kölnischer Beobachter”¹⁰ – z informacjami o upadającym morale w armii cesarskiej i w samej Rzeszy. Albo klatki z gołębiami pocztowymi, zrzucające na spadochronach przez lotników francuskich. Gołębie miały przywiązane do jednej z nówek małe koperty z kartką i miniaturowym ołówkiem. Francuzi zrzucali je z nadzieją, że przesyłki trafią w ręce ludności cywilnej i ktoś być może poinformuje rodaków w mundurach o sytuacji na niemieckim zapleczu.

Ze dwa razy klatki z gołębiami przyniósł z patrolu „Niunia”. W tajemnicy, żeby tylko informacja nie dotarła do leutnanta Kocha, przytargał je do okopu Jęczkowiaka i kompanów z Poznańskiego.

– Dawaj te kartki – rozkazywał wtedy Józek.

Brał w dłoń ołówek i po francusku, w języku, który znał nieco od czasów gimnazjum, pisał w kilku nie do końca gramatycznych zdaniach, że w armii niemieckiej potęgują się bałagan i braki w zaopatrzeniu. Zaraz potem meldunek wędrował do koperty przy nodze ptaka, który – wypłoszony z klatki – niósł go na zachód, ku aliantom.

Jęczkowiak z kolegami wysłaliby takich gołębi więcej, ale nie zawsze się dało. Czasami mieli niepożądanych świadków – kanonierów z Niemiec. Wtedy gołębie musieli publicznie zgładzić, a klatkę zniszczyć. Zgładzić, żeby ptaków nie wykorzystały Szkiebry do siania dezinformacji. Żał było gołąbków, ale co zrobić, skoro za klatki z żywymi gołębiami dowództwo obiecywało nagrody pieniężne. Niejeden kamerad z Renu chętnie pobiegłby przecież ze skrzynką do sztabu, byle

10 Z niem. – „Obserwator Koloński”.

tylko zgarnąć trochę marek.

Jęczkowiakowi udało się porozmawiać na osobności z leutnantem Różalskim. Starszy o osiem lat oficer ostrzegł go, że Koch ma na niego oko.

– Coś kombinuje – powiedział poważnym tonem. – Moim zdaniem nie zapomniał wam tej historii ze zrywaną łącznością.

Jęczkowiak podziękował za ostrzeżenie. Żeby zmienić temat, a może utwierdzić się w swojej decyzji, skierował rozmowę na inne tory.

– Panie poruczniku, czy Niemcy przegrali tę wojnę? – zapytał.

– Dlaczego tak sądzisz? – oficer zrobił się czujny.

– Bo od dłuższego czasu wyłącznie się cofamy. Ustępujemy. Nikt nie jest głupi, przecież widać, że już po Szwabach – odparł rezolutnie.

Różalski zamyślił się nad odpowiedzią.

– Wygląda na to, że alianci osiągnęli przewagę – stwierdził w końcu.

– Od czasu, jak na froncie pojawili się Amerykanie, nic już Niemcom nie wychodzi, prawda? – podzielił się swoim spostrzeżeniem Jęczkowiak. – Ciągłe się tylko cofamy, Francuzi biją nas i wypierają, gdzie tylko się da. Jak tak dalej pójdzie, do jesieni będziemy walczyć pod granicą belgijską. Karmią nas też coraz gorzej. Mięsa, ziemniaków i chleba jest mniej niż jeszcze w zeszłym roku. A wędliny, jak już się trafią, śmierdzą i są nie do zjedzenia. Niech pan powie, wojna się kończy?

Różalski spojrzał na niego uważnie, marszcząc brwi.

– Może i Niemcy tę wojnę przegrają – powiedział tak cicho, by nikt poza Jęczkowiakiem go nie usłyszał. – Ale proszę, nie rób żadnych głupstw.

– Jakich głupstw?

– Już ty wiesz, Jęczkowiak.

– Kiedy ja...

– Powiedziałem, żołnierzu. Tymczasem.

Oddalając się w stronę ziemianki sztabu, Różalski pomachał mu ręką; zupełnie jakby chciał wyrzucić na pozostałych świadkach spotkania z Jęczkowiakiem jak najbardziej banalne wrażenie.

Obaj zdawali sobie sprawę, że niezależnie od tego, co jeszcze się wydarzy, trzeba zachowywać pozory.

Do samego końca.

Poznań, lazaret wojskowy na Hohenzollernstrasse, w tym samym czasie

Z gazet można było wywnioskować, że z ostatnią ofensywą niemiecką w północnej Francji coś poszło nie tak.

Żaden z korespondentów wojennych „Posener Tageblatt” nie napisał tego wprost, ale Kaczmarek zbyt długo był na froncie, by nie wyczytać między wierszami tego poczucia beznadziei, którego doświadczył po opuszczeniu dopiero co zdobytego wzgórza. Z relacji z frontu wiało nietrudno wyczuwalną dekadencją. Dziennikarze maskowali ją gorliwie zwrotami w stylu „z góry zaplanowana operacja odskoczenia od przeciwnika”, ale Kaczmarek doskonale wiedział, o czym mowa. Armia niemiecka cofała się. A skoro się cofała, to znaczy, że musiała oberwać. Mocno oberwać. Być może najmocniej w całej tej cholernej wojnie.

Kaczmarek nie miał z kim o tym porozmawiać. Żaden z lekarzy nie podejmował dyskusji na temat wojennego położenia Niemiec. I to również było samo w sobie zastanawiające. Zupełnie jakby potwierdzało przypuszczenia, że na zachodzie coś musiało się wahać. Raz a porządnie.

Eda Wojtala w to nie wierzył. Właściwie to machnął ręką na najnowsze wieści czytane mu przez Kaczmarka.

– A co mnie obchodzą te pierdoły? – obrócił się demonstracyjnie na drugi bok, mimo upału szczerze opatulając kocem swoje dwa kikuty. – Niech przesrają tę wojnę, Szkiebry cholerne! Za tę moją niedolę! Za te moje nogi...

– Ciszej, na miłość boską! – syknął Kaczmarek.

Jeszcze tylko tego brakowało, żeby na salę wpadł jakiś gorliwiec z personelu medycznego i zrobił awanturę o sianie defetyzmu! Jeszcze wzięliby ich wszystkich, a zwłaszcza Kaczmarka, pod

specjalny nadzór, a to byłaby niepowetowana strata! Cios w jego dalsze plany...

– W dupie mam Niemców – stwierdził ciszej Wojtala, demonstracyjnie natężając się i głośno psując powietrze. – Sram na nich i na tego ich poronionego Kaisera. Niech im wreszcie Francuzi spuszczą manto. Raz a dobrze!

Kaczmarek nie miał żalu do kolegi. Choć myślał podobnie, nie wdawał się w dalszą dyskusję. Zbyt wiele miał do stracenia, więc na wszelki wypadek postanowił nie kusić losu.

Front zachodni, stanowisko Baterii Artylerii Ciężkiej nr 30, w końcu sierpnia 1918 r.

O tej chwili Jęczkowiak marzył od wiosny 1917 roku, gdy wraz z kolegami z uzupełnienia przyjechał na front pod Saint-Erme w Pikardii. Wtedy miał nadzieję, że ten czas nadejdzie szybciej, może znienacka, zupełnie niespodziewanie. Ale Wielka Wojna nie chciała się skończyć, angażując go, chcąc nie chcąc, coraz bardziej. Po postrzale w nogę i pobycie w lazarecie wrócił do jednostki, by znowu być obserwatorem i naprowadzać ogień baterii. Tymczasem minął rok krwawych ofensyw i kontrofensyw, podczas których posuwali się ledwie po kilkadziesiąt kilometrów w przód lub w tył. I nic nie zapowiadało, że nagle coś się drastycznie zmieni. Tylko zabitych przybywało z każdym tygodniem i dniem. Miał wrażenie, że dowództwo już dawno przestało ich liczyć.

Dopiero późne lato 1918 roku, załamanie się niemieckiej ofensywy nad Marną i lanie pod Soissons dało mu wreszcie nadzieję. A słowa Różalskiego tylko utwierdziły go w słuszności podejrzeń. Cesarskie Niemcy przegrywały wojnę, choć jeszcze wiosną ściągnęły do Francji wielotysięczne posiłki, przerzucone z frontu wschodniego, po zawarciu korzystnego pokoju z bolszewicką Rosją¹¹. Po raz kolejny armiom Kaisera nie udało

11 Chodzi o pokój brzeski, zawarty 3 marca 1918 r. pomiędzy cesarskimi Niemcami i ich sojusznikami oraz Rosją Radziecką; Rosja wycofała się z I

się złamać oporu Francuzów, a potężniejsze wsparcie amerykańskie i brytyjskie zaczynało przechylać szalę zwycięstwa na stronę ententy. Ich odwrót był tego najlepszym dowodem. A pocztówka z Poznania tylko przynaglała do działania.

Jęczkowiak zbyt często rozmyślał o tej chwili, by nie wiedzieć, co należy robić. Wszystko miał już od dawna ułożone w głowie. Wiedział, że musi działać, zanim minie chaos związany z rozlokowywaniem się baterii w nowym miejscu. Zanim Koch i jego niemieccy podwładni sprawdzą, czy wszystko jest na swoim miejscu. I zanim działanie stanie się trudne albo wręcz niemożliwe.

Zupełnie spokojny czekał, aż zapadnie sierpniowy zmrok. A potem – żeby nie wzbudzić zbyt wczesnie podejrzeń – zostawił w okopie swój płaszcz, tornister, a nawet pas z bagnetem.

Swobodnym tonem rzucił do grających w karty Weychana i Dybizbańskiego, że idzie „na stronę”. I rzeczywiście ruszył w stronę latryny.

Po drodze minął kilku Niemców zajętych ustawianiem jaszczy¹². Nawet na niego nie spojrzeli, zaaferowani pracą w ciemnościach.

Wiedział, że od strony południowej dowództwo nie wystawiło wart, licząc na zabezpieczenie baterii przez sąsiednią kompanię piechoty.

Dlatego nikt nie krzyknął za nim gardłowo: „Halt!” albo „Wer da?!”.

I nikt nie strzelił, domagając się respektu.

Przed sobą miał tylko mrok.

Za sobą – wszystko, czego chciał się pozbyć.

Wszedł więc w tę ciemność spokojnym krokiem.

wojny światowej, godząc się na okupowanie przez Niemcy terenów centralnej Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, zachodniej Białorusi i Ukrainy.

12 Jednoosiowy pojazd do przewożenia amunicji artyleryjskiej.

III.

PAMIĘTASZ?

Stacja lotnicza Deutsche Luftstreitkräfte¹³, Ławica pod Poznaniem, początek września 1918 r.

Albatrosy podchodziły do lądowania w zwartym szyku. Warkot ich silników miał w sobie coś fascynującego. Coś, co nakazywało z podziwem, ale też lękiem śledzić, jak powoli obniżały pułap, zbliżając się do płyty lądowiska. Z hangarów wybiegły dziesiątki umorusanych mechaników, by zobaczyć nowe eskadry, które nadlatywały na lotnisko od strony Berlina. Wymalowane na kadłubach maszyn czarne krzyże rosły w oczach pracowników obsługi technicznej.

Maszyny, przerzucone z lotnisk Berlina, wzmacniały obsadę Fliegerersatz Abteilung Nr. 4¹⁴ w Ławicy. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że ich przybycie miało być demonstracją wobec mieszkańców Posen. W tych niepewnych czasach dowództwo stwierdziło, że w Ławicy nie wystarczy obecność samej tylko szkoły pilotów, obserwatorów i mechaników. Owszem, naprawy maszyn miały być kontynuowane, ale za wskazane uznano wzmocnienie liczebne załóg bojowych. Posen uchodził za miasto niepewne. Nie tylko dlatego że Polacy przeważali nieznacznie w stosunku do mieszkających tu Niemców, ale także z powodu mnożących się doniesień wywiadu o niepokojących zajściach w mieście.

13 Niemieckie Siły Powietrzne cesarskich Niemiec – nazwa niemieckiego lotnictwa wojskowego w latach 1916-1918, zlikwidowane w 1920 r. na mocy postanowień traktatu wersalskiego.

14 Z niem. – Lotniczy Oddział Zapasowy nr 4.

Jako jeden z ostatnich z hali wybiegł feldwebel¹⁵ pilot Franciszek Jach, wysoki, krótko przystrzyżony blondyn. Zwlekał celowo. Nie chciał, żeby ktoś zauważył, że wykazuje niezdrowe zainteresowanie nowościami na lotnisku. Wydarzenia na trawiastej płycie lądowiska obserwował zza pleców niemieckich mechaników. I choć pozornie kiepsko widział, dokładnie policzył siadające na polu maszyny. Od Gregora, kolegi mechanika, dowiedział się już poprzedniego dnia, że z Berlina miały przybyć dwie Jagdstaffel, czyli eskadry myśliwskie. Teraz miał pewność, że na lotnisku wylądowało dwadzieścia maszyn. I – co najważniejsze – nie były to tylko Albatrosy. Na koniec pod hangary podkołowało pięć Fokkerów D. VII, najlepszych samolotów bojowych, jakimi dysponowało lotnictwo cesarstwa.

W sumie mają więc w Ławicy jakieś trzydzieści maszyn, szybko podsumował w myślach Jach. Pewnie przelecą się jutro nad Poznaniem. Przecież po to przybyły tu te wszystkie Albatrosy i Fokkery – żeby straszyc samą swoją obecnością.

– Jest siła, prawda, Frantz? – Jach usłyszał za sobą znajomy głos.

Leutnant Paul Pohl, z którym wielokrotnie odbywał loty bojowe nad Francją, wyglądał na upojonego widokiem niemieckiej potęgi. Klepnął podwładnego w ramię i wskazał ręką w stronę najbliższego Fokkera.

– To jest nasze najnowsze cudo, *Kamerad*¹⁶. Francuzi takich nie mają, nie mówiąc już o Rosjanach – wypowiadając te słowa, leutnant aż cmoknął z podziwu. – Gdybyśmy dostali je wcześniej, sytuacja na froncie wyglądałaby zupełnie inaczej.

– Ja, ja... – mruknął niechętnie feldwebel Jach.

Zamyślił się nad swoim dziwnym położeniem. Po której właściwie był stronie? Niby pilot w służbie Deutsche Luftstreitkräfte, ale serce ciągnęło go w inną stronę. Tylko czy ta „inna strona” ma jakiegokolwiek szanse? Owszem, cesarstwo niemieckie chwiało się w posadach, ale ciągle miało w sobie wystarczająco dużo sił i środków, by zdusić w zarodku jakąkolwiek próbę buntu. Lew nie zgubił zębów, świadczyły

15 Z niem. – sierżant.

16 Z niem. – kolego.

o tym dopiero co przybyłe Albatrosy i Fokkery.

Miał już za sobą cztery lata w pruskiej armii. Najpierw jako sekundant – obserwator artylerii, potem obergefreiter w plutonie artylerii przeciwaeroplanowej na froncie wschodnim i we Francji. To tam poznał leutnanta Pohla. Choć Pohl był Niemcem, w dodatku oficerem, szybko przypadli sobie do gustu, niemal się zaprzyjaźniając. To tam, we Francji, znudziło mu się strzelanie w niebo, do ciężko uchwytnych punktów, a potem przyszedł pomysł, by samemu chwycić kiedyś za stery i wzlecieć nad pole bitwy. W połowie 1917 roku jego skryte marzenie zaczęło się spełniać – został skierowany do Flieger Ersatzabteilung nr 4 w Ławicy. Tu zdobył stopień podoficerski i przeżył dziewięć kluczowych dla swojego życia miesięcy, pełnych szkoleń, potu, a czasem i krwi. W marcu osiemnastego roku osiągnął cel – zdobył papiery pilota. Zdał egzamin i niemal natychmiast został skierowany do Szkoły Strzelców Samolotowych w Belgii.

Szkolenia w Belgii – to już nie były przelewki. Przeplatały się z pierwszymi walkami nad francuską Szampanią. Jach nieraz powąchał prochu – i najadł się strachu za sterami Albatrosa. Ale szczęście było po jego stronie. I po stronie Paula Pohla, który wielokrotnie latał z nim nad teren przeciwnika. Zżyli się ze sobą prawie jak bracia; wspólnie przeżyty strach zbliża chyba najbardziej.

Teraz, odesłany na tyły w celu podszkolenia i odpoczynku, zastanawiał się, czy jego umiejętności przydadzą się innej sprawie. Tylko to było dla niego motywacją. Marzenie o lataniu już spełnił, drugie dotyczyło służby na niebie pod innymi barwami.

– Jak tam twoi towarzysze mechanicy, Frantz? – leutnant Pohl zagadnął go swobodnym tonem, ale Jach nie dał się zwieść. – Mam nadzieję, że nie szykują nam tutaj żadnych niespodzianek? Byłoby to dużym błędem, jeśli wiesz, o czym mówię...

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedział z uśmiechem na twarzy.

Powinien dopowiedzieć „herr leutnant”, ale od dawna mówili

sobie po imieniu. Pohl uważał, że „Frantz” to po prostu zaufany kolega, sprawdzony podczas licznych lotów obserwacyjnych nad Francją.

W ciągu trzech lat ich znajomości Jach zdążył nauczyć się maskować własne emocje. Doskonale wiedział, o jakim „błędzie” myśli Pohl. Celowo omijał ten coraz bardziej drażliwy wątek.

– Ładną dziś mamy pogodę – rozejrzał się po niebie chyba zbyt teatralnie.

Niemiec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– *Ach, Frantz, du bist ein Spassvogel!*¹⁷ – klepnął go znowu w ramię, tym razem wyraźnie rozbawiony. – No dobrze, skończmy z tą polityką. Jak mówisz, że nie ma tematu, to chyba nie ma. Chodźmy lepiej do kantyny. Czas wypić mocną kawę!

Chętnie przystał na tę propozycję. Ruszyli szybkim krokiem w stronę stołówki. Franciszek śmiał się pełną gębą do Paula, ale w tyle głowy jak dzwonki alarmowe słyszał ciągle słowa Pohla o polityce.

„Jak mówisz, że nie ma tematu, to chyba nie ma...”

„To chyba nie ma...”

„To chyba...”

O holender! – zaniepokoił się nie na żarty Jach. To „chyba” znaczy tyle, że temat jednak jest! Tylko... skąd Pohl może coś wiedzieć?

Czyżby leutnant coś usłyszał, albo nie daj Boże, zwąchał?

Północna Francja, w tym samym czasie

Odkąd za plecami zostawił wioskę, w której rozlokowała się jego bateria, szedł wyłącznie polami, unikając dróg. Panował na nich zbyt duży ruch, by pozwolił sobie na takie ryzyko, nawet nocą. Ku linii frontu, ale również w przeciwnym kierunku ciągnęły wojskowe kolumny. Jęczkowiak wolał jednak zdać się na własne nogi. Powoli, sukcesywnie oddalał się od porzuconej jednostki, kierując się na wschód.

17 Z niem. – Ach, Franciszku, niezły z ciebie żartowniś!

Miał o czym rozmyślać, a noc – mimo odgłosów wymiany ognia – sprzyjała głębszym refleksjom. Właśnie podjął decyzję, której już nie mógł cofnąć, nawet gdyby zwątpił. Już nie mógł, bo cofnięcie się oznaczało sąd polowy i jeden, jasno określony w wojskowych przepisach wyrok. Wiedział, że teraz wszystko zależy od mocy jego nóg, trzeźwej głowy i nerwów jak postronki. Był w mundurze, znał dobrze niemiecki, potrafił niezłe mieszać Niemcom w głowach – słowem: ufał, że z Bożą pomocą mu się powiedzie. Pierwszy cel, jaki sobie postawił, był prosty: dostać się do Belgii. Stamtąd na pewno łatwiej będzie zaczepić się na jakiś pociąg w głąb Rzeszy.

Im dalej był od linii frontu, tym wokół robiło się ciemniej. Pola, które przed wojną zapewne obsiane były zbożem, po kilkukrotnym przewaleniu się przez nie stalowego walca dywizji i korpusów przypominały istne kretowisko. Dwukrotnie wpadł do niewidocznego leju po bombach, raz lekko skręcił kostkę, przeskakując przez porzucone, nikomu niepotrzebne zasieki. Choć z rowów, lejów i okopów usunięto już większość ciał, z dołów ciągle zionęło trupim smrodem. Na szczęście z każdym oddechem, minutą, kwadransem, przebytym kilometrem atrybutów pobojuwiska ubywało. Szedł ostro, twardo, nie oglądając się za siebie. Odwrotu już nie było, a on zdawał sobie sprawę z tego, że zanim wschód słońca znowu oświetli tę wielką, płaską jak patelnia przestrzeń, musi być jak najdalej od swojej baterii. Od ludzi w mundurach koloru feldgrau. Od ciągle jeszcze świeżej przeszłości.

Około czwartej czerń nieba przed nim zaczęła się różowić, przywołując wspomnienia z dawnych, jakże beztrudnych lat. Tak samo pięknie przedstawiało się poranne niebo, gdy w letnie noce wykonywali w podpoznańskich lasach swoje skautowe zadania. Nie zdawał sobie wtedy sprawy z tego, że kiedyś znowu zobaczy ten wschód od samego początku, od pierwszego kwilenia niewidocznych jeszcze ptaków, władców przestworzy. Nie przypuszczał, że ten świt zastanie go w chwili triumfu, w chwili zerwania niewidocznych kajdan. W chwili euforii, która niosła go przez całą noc ku jakże dalekiemu, rodzinnemu domowi.

Poznań, szpital wojskowy na Hohenzollernstrasse

– To kiedy wreszcie będę mógł chodzić bez tego kija, panie doktorze? – głos Kaczmarka zdradzał zniecierpliwienie, a wręcz irytację.

Stał blisko Radtkego, podpierając się wolną ręką o szafkę nocną i wymachując swoją kulą, jakby zamierzał z niej wystrzelać cały personel szpitala jedną długą serią.

– A co, stęskniłeś się już za swoją jednostką? – zakpił z niego bez litości Wojtala, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań ze swojego łóżka. – Mało to oberwałeś, durniu?

– Pan go nie słucha, panie doktorze – Kaczmarek nachylił się do ucha lekarza i ściszył głos. – Nie dałoby się jakoś przyspieszyć tego leczenia? Przecież już prawie chodzę, rana goi się pięknie. Po kiego diabła muszę tu jeszcze siedzieć?

Doktor Radtke spojrzał na niego jak na postrzelęńca.

– Wypraszam sobie takie pytania, żołnierzu! – skarcił rannego, podnosząc głos. – Jestem tu po to, żebyście wszyscy doszli do stanu, w którym będziecie mogli kontynuować waszą służbę. Albo służyć naszej ojczyźnie w inny sposób...

Okrągła twarz Kaczmarka nabrała purpury.

– Panie doktorze, jakiej ojczyźnie? – wysapał.

Porucznik Remigiusz Radtke zmieszał się, ale tylko na moment. Zdradził go drżący monokl w oku. Musiał poprawić go nerwowym ruchem dłoni.

– Kaczmarek, wy mi tu dyrdymałów nie opowiadajcie – szepnęła do rannego z kulą w ręce. – Za takie wypowiedzi... Wiedzie, co za to grozi.

Ranny udał, że nie słyszy tych słów. Wyczuwał jednak, że trafił łapiducha w czuły punkt. Lekarz był dzieckiem ze związku Niemca i Polki, wszyscy w szpitalu o tym wiedzieli. Po ojcu przejął nazwisko, a matce zawdzięczał drugi język i słabość do polskojęzycznych pacjentów. A ponoć także do polskiej wódki, choć Kaczmarek nie bardzo w to wierzył.

Doktor Radtke obrócił się i ruszył w stronę korytarza. Kolejny obchód przechodził właśnie do historii. Był wtorek 10 września 1918 roku i Kaczmarek czuł, wyraźnie jak nigdy wcześniej, że traci czas. Że skoro już chodzi niemal zupełnie dobrze, nie powinien marnować czasu, wylegując się w szpitalnym łóżku i przeglądając prasę. Miał wrażenie, że gdzieś tam, za murami lazaretu, właśnie odjeżdża być może najważniejszy w jego życiu pociąg, a on prawdopodobnie na niego nie zdąży. Było mu z tym źle i ciasno. Dusił się w szpitalnych murach.

Zapowiadał się kolejny nudny dzień, przerywany jedynie żalami Wojtali do Boga. Kaczmarek odstawił kulę i wolno, o własnych siłach, pomaszerował w stronę swojego łóżka. Ranna noga działała coraz sprawniej, choć czuł jeszcze ból naciąganych mięśni i włókien. Z pewnością nie stać go jeszcze było na jakikolwiek bieg, ale był pewien, że mógłby już przejść drogę ze szpitala do najbliższego przystanku tramwajowego. A potem...

Rozmarzył się, ciężko opadając na łóżko szpitalne. Najchętniej poprosiłby siostrę Basię, tę uroczą czarnulkę, o jakiś zastrzyk, po którym zasnąłby aż do momentu, kiedy będzie już w stanie dać nogę ze szpitala. Przynajmniej nie męczyłby się przez kolejne dni. Może warto się za nią rozejrzeć? Może...

– Kaczmarek, ktoś do ciebie! – zawołał od progu jeden z sanitariuszy.

Odwrócił się w jego stronę zdziwiony. Nie zobaczył w drzwiach pielęgniarskiego czepka, a rosłą postać w lekkim żołnierskim płaszczu. Twarz przybysza, surowa i z całkiem okazałą brodą, nic mu nie mówiła. Zanim jednak zdążył o czymkolwiek pomyśleć, nieznajomy stał już u wezglowia jego łóżka. Stalowszarcze oczy gościa wpatrywały się uporczywie w zaskoczoną twarz Kaczmarka.

– Strzelec Kaczmarek, prawda? – brodacz miał ochryply głos, który zdradzał upodobanie do cygarettów.

– Tak jest – mruknął pytany. – A... z kim mam przyjemność, jeśli wolno?

Przybysz zerknął przez ramię na łóżko Wojtali. Inwalida przypatrywał się scenie z nieskrywanym zainteresowaniem. Pod

wpływem spojrzenia nieznajomego uznał jednak, że lepiej będzie odwrócić się na drugi bok, ku ścianie.

Mężczyzna w płaszczu zawahał się, a potem niespodziewanie przysiadł na brzegu łóżka. Zanim się odezwał, westchnął dwa razy.

– Ja od Krausego – powiedział w końcu tak cicho, by nikt go nie mógł usłyszeć.

– Tak? – Kaczmarek w pierwszej chwili nie zrozumiał. – Przecież on... Przecież on nadal jest na froncie.

– Ciszszej, bracie! – zgał go brodaty nieznajomy. – Nie komentuj, tylko słuchaj.

– Słucham.

– Wiemy, że zgłosiłeś chęć. Mamy cię na oku. Liczymy, że do nas dołączysz. Z twoim doświadczeniem z linii... Sam rozumiesz, jesteś nam potrzebny.

Kaczmarek wyteżał słuch, by wszystko dobrze zrozumieć i zapamiętać. Słuchał jak urzeczony. Nawet nie podejrzewał, że czeka go taka niespodzianka!

– A... do kogo... – wybełkotał oszołomiony.

– Wszystko w swoim czasie – przybysz uśmiechnął się i klepnął go w ramię. – Kartkę dostałeś?

– Tak – przytaknął natychmiast.

– Tam było wszystko napisane. Pamiętasz?

– No jasne.

– To dobrze. Czekamy.

Nieznajomy wstał, choć nawet nie zdążył się przedstawić. A może w ogóle nie zamierzał tego zrobić. Obrzucił raz jeszcze Kaczmarka ciepłym spojrzeniem, podrapał się po brodzie, po czym ruszył ku drzwiom.

Niespodziewanie czyjaś dłoń chwyciła go za połę płaszcza i zmusiła do zatrzymania. Tajemniczy gość pochylił nad korpusem Wojtali.

– Weźcie mnie też... – usłyszał błagalny szept inwalidy.

– Przykro mi – odpowiedział.

Ucisk dłoni Wojtali ustąpił.

Mężczyzna w żołnierskim płaszczu zniknął za framugą drzwi.

Wszystko rozegrało się tak szybko! Chwilę później Kaczmarkowi zdawało się, że nikogo w ich sali nie było. Ale głęboko w pamięć zapadło mu słowo, które grzało go w środku lepiej jak frontowy grog. To słowo brzmiało: „Czekamy”.

Gdzieś pod Montcornet, 50 kilometrów od granicy francusko-belgijskiej

Dłużej nie dało się iść polami. Na odkrytym terenie był za dnia widoczny bardziej niż gdziekolwiek indziej. Pogodził się z tą niedogodnością i chcąc nie chcąc zszedł na pierwszą napotkaną drogę wiodącą na wschód. Szczęśliwie po obu jej brzegach rosły topole i inne mało szlachetne drzewa. Dzięki nim pozostawał niewidoczny dla lotnictwa. A było to ważne, bo kilkakrotnie niebo nad drogą przecinały eskadry maszyn z widocznymi z daleka czarnymi krzyżami. A raz, zdaje się, w przeciwną stronę przemknął zwiadowczy samolot Francuzów.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, ogrzewając teren i podnosząc temperaturę. Jęczkowiak szedł wprawdzie w cieniu, ale doświadczał dobrodziejstwa tej sytuacji. Wrześniowa noc dała mu się nieco we znaki, okazała się chłodniejsza, niż przewidywał. Właściwie po raz pierwszy wyczuł nadciągającą jesień. Była już blisko, stała w przedsiönku.

Na razie jednak znowu szło ku upałowi i Jęczkowiak rozpiął górne guziki od munduru, luzując też kołnierz. Po kilkugodzinnej drzemce w starej szopie na pustkowiu szło mu się znowu dobrze i modlił się tylko, by na drodze nie spotkał niepotrzebnych świadków.

Jego modły nie zostały jednak wysłuchane.

Kwadrans przed dwunastą za swoimi plecami usłyszał stukot końskich kopyt. Rozejrzył się wokół, ale nie miał gdzie się ukryć. Zresztą nie było czasu. Ledwo zdążył zapiąć przepisowo guziki i poprawić pas z bronią oraz czapkę, zrównał się z nim drabiniasty powóz wyłożony mocno zużytym sianem. Od strony frontu jechało w nim kilku żołnierzy.

– Hej, żołnierzu! – Usłyszał zadane po niemiecku pytanie, w którym pobrzmiewała nieufność, przemieszana z podejrzliwością: – Coście za jedni, jeśli można wiedzieć?

Ciągnięty przez dwie kobyły wóz zatrzymał się. Zeskoczył z niego niski, pękaty osobnik w mundurze feldwebela. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

– Do ciebie mówię! – krzyknął, wymuszając na Jęczkowiaku zatrzymanie się. – Kim jesteś i co tutaj robisz?!

Czerwona, nalana twarz podoficera była bliska wybuchu złości.

– Kanonier Józef Jęczkowiak, 30 Bateria Artylerii Ciężkiej z Posen – zameldował natychmiast, stając w postawie zasadniczej. Dbał o zachowanie wszelkich pozorów, nie chciał kłopotów.

– Polak?

– Tak jest.

– Skąd idziesz?

– Spod Laon, herr feldwebel.

– Dokąd?

– Do dowództwa korpusu – zmyślił na poczekaniu.

– A kartę urlopową macie?

– Niepotrzebna mi, herr feldwebel. Niosę pilny meldunek.

– Idziecie?

– Nie miał mnie kto podwieźć. Kłopoty z transportem.

Podoficer nie sprawiał wrażenia przekonanego. Przyglądał się Jęczkowiakowi podejrzliwie, jakby zastanawiał się nad czymś gorączkowo.

– Jeśli do sztabu korpusu, to nie w tę stronę – powiedział w końcu. – Powinieneś skrócić w stronę Rethel.

– *Jawohl, Herr Feldwebel.*

– Może pokażcie mi ten meldunek.

– Mam rozkaz przekazać go wyłącznie do rąk własnych leutnanta Kapricha ze sztabu korpusu...

– A kto was wysłał?

– Leutnant Johann Koch, dowódca baterii.

Kłamał w żywe oczy, ale nie zająknął się. Był pewny, że dadzą mu spokój. Pomylił się. Feldwebel spojrział na niego

nieprzyjaźnie.

– Wskakuj na wóz – rozkazał. – Sprawdzimy, czy mówisz prawdę.

– Kiedy...

– Nie dyskutować! Wykonać rozkaz!

– *Jawohl, Herr Feldwebel.*

Wóz zatrzeszczał złowieszczo, gdy Jęczkowiak umościł się wśród czterech innych szeregowców trzymających w dłoniach gotowe do strzału mauzery.

– Odepnij pas z lugerem – zadysponował feldwebel, ładując się na tył wozu. – Przypnij go tu, do wozu. Obok mnie. O, dobrze. Bardzo dobrze...

Rozbrojony i otoczony, przyglądał się martwym wzrokiem płynącemu rowem strumieniowi. Od wieczora nic nie pił, a gorączka dnia wzmagła się z każdą chwilą. Tymczasem wóz ruszył, a sześć męskich korpusów zakołysało się w tył, jak na komendę.

Chociaż tyle, że dam odpocząć nogom – pocieszył się w duchu Jęczkowiak. Nie miał jednak powodów do radości. Na plecach poczuł dreszcz niepokoju. Jeśli, nie daj Boże, dojadą do jakiegoś sztabu, szybko go zdemaskują. I jako dezentera postawią prędzej czy później przed plutonem egzekucyjnym. Do diabła, nie tak wyobrażał sobie tę ucieczkę...

Wóz trzeszczał na wyboistej drodze, jakby miał się rozpaść. Jęczkowiak, siedząc bokiem do kierunku jazdy, kilkakrotnie rzucił spojrzenie w stronę feldwebela. Gruby podoficer ciągle przyglądał się mu badawczo, jakby szacując, czy Polak mówił prawdę. Jęczkowiak odniósł wrażenie, że Niemiec spisał go już na straty.

A gdyby tak...

Rozejrzał się po Niemcach jadących z nim na wozie. Lufy ich karabinów nie zachęcały do żadnych szaleństw.

Kilka kilometrów dalej wóz niespodziewanie dla Jęczkowiaka skręcił ku północy. Jechali teraz w kierunku na Vervins, może nawet na La Capelle. Polak zastanawiał się, co to dla niego oznacza. Zamiast zbliżyć się do Belgii, poruszał się teraz wzdłuż

jej granic. Sytuacja wyglądała coraz groźniej, tym bardziej że na drodze nagle zrobiło się tłoczno. Około pierwszej dogonili kolumnę konnych powozów, wśród których Jęczkowiak naliczył też trzy ambulanse. Wraz z pojazdami na północ wędrowała kompania piechurów. Dopiero z bliska można było zobaczyć, że wszyscy byli lekko ranni.

Jeśli tylko trafimy na wyższego rangą oficera, feldwebel przekaże mnie pod jego opiekę i będę spalony – szybko ocenił swoje szanse Jęczkowiak.

Pękaty podoficer z wrednym wyrazem twarzy jakby czytał w jego myślach.

– Na ja! Już niebawem zobaczymy, coś ty za jeden – rzucił w stronę Jęczkowiaka.

Polak spojrział na swój pas z bronią. Wisiał zbyt daleko, by w razie czego zdążyć po niego sięgnąć i dobyć lugera. Zanim cokolwiek by zrobił, piechurzy feldwebla nie omieszkaliby wpakować w niego czterech kul.

– Coś ci podać? – naigrywał się z niego grubas siedzący z tyłu wozu.

Na obliczach podwładnych feldwebla wykwitły złośliwe uśmieški. Jęczkowiak chętnie walnąłby – choćby i gołą pięścią – po ich hełmach, ale musiał być potulny. Przynajmniej do czasu.

Gdzieś z daleka, zza horyzontu, usłyszeli pomruk silników. Zaraz potem po ich lewej ręce na przejrzystym niebie pojawiło się kilka ciemnych punkcików. Z każdą chwilą rosły w oczach; jak granatowe kleksy wpijające się w błękitną bibułę.

Feldwebel obserwował je zmrużonymi oczyma, zasłaniając czoło ręką.

– Chyba nasze – orzekł spokojnym tonem.

– Pewnie wracają znad Paryża – zdążył dopowiedzieć jeden z szeregowców.

Zaraz potem na drodze rozpętało się piekło.

IV.

CZERSTWE PIECZYWO

Stacja lotnicza Ławica pod Poznaniem, w tym samym czasie

Wóz ze starym pieczywem stał na wprost okna warsztatu, w którym krzątał się przy stole pilot Franciszek Jach. Polak co jakiś czas zerkał nerwowo w stronę transportu z czerstwymi chlebami, jakby jakimś cudem miał na nie ochotę. Jednocześnie rzucał nerwowe spojrzenia za siebie, chcąc się upewnić, że nie ma świadków. Wiedział, ile ryzykuje, ale miał to gdzieś. Właśnie zdecydował, że najwyższy czas porzucić wątpliwości i zacząć działać. Na początek – wysyłając nieznanym z twarzy i nazwiska towarzyszom ważną informację.

Od Tadzia Grabskiego, unteroffiziera z kuchni, dowiedział się, że kluczem jest woźnica. Niepozorny, wąsaty starszy pan siedzący na koźle i potulnie czekający, aż skończy się załadunek niezjedzonych bochnów i twardych jak kamień bułek, zdawał się kompletnie obojętny na widok mężczyzn w lotniczych mundurach i dwupłatowych skrzydeł kilku maszyn wystających z hangarów. Jakby przyjechał tu tylko po to, by w odpowiednim momencie smagnąć swoją siwkę po grzbiecie i odjechać, nie rozglądając się zanadto. Sprawiał wrażenie zahukanego i wystraszonego, choć przecież wjeżdżał na teren lotniska nie pierwszy raz.

Pewnie ma złe doświadczenia, myślał Jach, uwijając się jak w ukropie przy stole. Stary, zeschły miąższ razowego chleba nie ułatwiał sprawy – stał się szorstki i twardy. O pracy gołą dłonią nie mogło być mowy. Jach musiał się nieźle namęczyć, żeby usunąć wewnątrz bochenka kuchennym nożem. Kiedy w końcu

wypatroszył coś, co kiedyś było chlebem, rozejrzał się znowu wokół siebie. Dopiero gdy miał całkowitą pewność, że nikt nie widzi, co robi, wyjął z kieszeni munduru jakieś zawiniątko.

Była to sporej wielkości kulka papieru. Choć wiedział, że to bez sensu, raz jeszcze rozprostował papier na blacie stołu i odczytał treść zapisanego ołówkiem meldunku.

*Stan na 10 września: 32 maszyny bojowe.
26 Albatrosów, 6 Fokkerów D. VII.
Przybyły dwie eskadry z Berlina,
mają pozostać co najmniej do listopada.*

Zawahał się, czy informacja jest pełna. I czy nie powinien się jakoś podpisać. Szybko jednak porzucił tę niemądrą pokusę. Uznał trzeźwo, że to tylko zwiększyłyby ryzyko dekonspiracji. I tak kładł przecież na szali swoje życie.

To chyba najważniejsze, co ustaliłem, uznał i ponownie zmiął kartkę w dłoni. A zaraz potem umieścił ją we wnętrzu zeschniętego bochna, dołożył brakującą piątkę i – choć drżały mu ręce – sprawnie obwiązał całość sznurkiem.

W samą porę.

– A! Tuuuu jesteś, Frantz! – głos Paula Pohla zdradzał rozbawienie. – Co ty, zajmujesz się aprowizacją? Nie wiedziałem...

– Znalazłem zeschnięty chleb, muszę dorzucić go do transportu – Jach wskazał dość nerwowym ruchem na okno. – Woźnica już czeka.

– A skoro o żarciu mowa... – Pohl zignorował jego pośpiech. – Nie masz przypadkiem nowej dostawy od rodziców? Tamta kiełbasa z jałowcem była doskonała! Nie wybierasz się do nich w najbliższym czasie? Gdzie to oni mieszkają?

– W Wapnie, Paul. Już zapomniałeś? – Jach chwycił czerstwe pieczywo i skierował się ku drzwiom, ale Niemiec zastąpił mu drogę.

Uśmiechał się, ale jednocześnie spoglądał jakoś podejrzliwie na to, co Polak trzymał w dłoni.

– A gdzie to jest, to całe Wapno?

– Pod Wągrowcem.

– A, pod Wongrowitz! – rozmarzył się niespodziewanie Pohl. – Leciłem tam kilka razy na rekonesans. Piękne jeziora, dziewicze lasy. Wymarzony teren na urlop z jakąś blondwłosą...

– Przepraszam, Paul, ale ten woźnica zaraz odjedzie. – Przepchnął się przez kolegę i wyskoczył na dziedziniec.

Czuł na sobie badawcze spojrzenie Paula, więc zwolnił, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Swobodnym krokiem podszedł do wozu i zatrzymał się na wysokości kozła.

Wąsacz trzymający w dłoniach lejce ani drgnął.

– Pan pozwoli, że coś dorzucę? – zapytał Jach.

Woźnica dopiero wtedy obrzucił go wodnistym, nieobecny spojrzeniem.

– Rzucaj pan – powiedział mało zachęcającym tonem.

– Kiedy... ten bochenek... – pilot zmieszał się, starając się mówić jak najciszej.

Na niewzruszonej jak maska twarzy powożącego nie drgnęła nawet powieka.

– Znajdziemy – mruknął.

Jachowi zrobiło się nagle cieplej na sercu. Wziął teatralny zamach, a potem nie mniej widowiskowo cisnął stare pieczywo na górkę zeschniętych bułek i chlebów. W duchu dziękował personelowi stacji lotniczej w Ławicy, że dopuścił się takiego marnotrawstwa. I tylko trochę się dziwił, jak to było możliwe w chyba najdokładniej policzonej armii świata.

Zaraz potem woźnica cmoknął, delikatnie pociągnął za lejce i wóz zaskrzypiał, przesuwając się z wolna w stronę głównej bramy Fliegerersatz Abteilung nr 4.

Jach otrzepał dłonie i podszedł do opartego o framugę drzwi Niemca.

– A swoją drogą to dziwne, co oni z tym jeszcze robią – zainteresował się Pohl. – Co można zrobić z zeschniętym chlebem, Frantz? Znasz się na tym?

Jach wzruszył ramionami.

– Słyszałem, że po rozmoczeniu powstaje z tego niezła karma

dla zwierząt domowych – powiedział. – Widziałeś tego capa na koźle? To chyba jakiś gospodarz spod Poznania. A może z samej Ławicy?

Pohl zmarszczył brwi, jakby odpowiedź Polaka go rozczarowała.

– No, nie wiem – westchnął. – Chłoptwo chyba nie jest aż tak wystraszone.

Droga pod Montcornet, północna Francja, w tym samym czasie

Bomby spadały jedna przy drugiej, jakby lotnicy zrzucali je całymi seriami.

– Kettenbomben!¹⁸ – ryknął feldwebel. – Wszyscy na pole! Kryć sięęę!

W rozgardiaszu, jaki w oka mgnieniu powstał na drodze, nikt nie zauważył, że kanonier Józef Jęczkowiak jako jedyny nie wykonał polecenia. Kiedy wszyscy żołnierze ratowali się skokami w pole, Polak zeskoczył z wozu, ale obrał inną kryjówkę. Zamiast zalegnąć na ziemi z głową w dłoniach, ukrył się pod wozem.

Zrobił to w ostatniej chwili. Gejzery wybuchów, rzenie ranionych koni, kurz i przyducha – wszystko to w jednej chwili wywróciło do góry nogami dotychczasowy porządek rzeczy. Jeden z żołnierzy, który padł zbyt blisko skraju drogi, został rozszarpany eksplozją bomby. Tuż obok Jęczkowiaka opadł jego bezwładny, skrwawiony korpus pozbawiony rąk i nóg. Inne bomby odebrały życie koniom. Ukryty pod wozem Polak obserwował, jak dwie kobyły, które ciągnęły ich pojazd, wierzgały kopytami w agonii, trafione odłamkami pocisków.

Tuman kurzu, jaki wzbił się w powietrze, nie opadał. Jęczkowiak nie zdążył się jednak poruszyć, a z powietrza już sunął kolejny atak. Po zrzuceniu bomb francuscy piloci zatoczyli łuk i ponownie skierowali swoje maszyny nad niemiecką

18 Z niem. – bomby łańcuchowe.

kolumnę. Jęczkowiak zauważył, jak dwupłatowce z trójbarwnymi tarczami na skrzydłach po raz drugi obniżyły lot, spadając na rozbite oddziały wroga jak jastrzębie. Nie minęło kilka sekund i w unieruchomione powozy, samochody i spękaną od słońca drogę uderzył rój pocisków z broni maszynowej.

Francuzi siekli równo, z pasją. Piechurzy, którzy nie wytrzymali napięcia i poderwali się w górę, by szukać schronienia dalej od nitki duktu, padli jak ścięci niewidzialną kosą. Fastryga z pocisków obrysowała krawędzi drogi na długości dobrych dwustu metrów, wznecając dodatkowy kurz i pogłębiając chaos. Wzmógł ryk silników był sygnałem, że lotnicy wystrzelali to, co mieli, i właśnie opuszczają teren swoich łowów.

Dopiero wtedy Jęczkowiak wygrzebał się spod wozu. Gryzący smród dymu i ściana kurzu powodowały, że był niewidoczny dla podwładnych feldwebla. Ale sam też niewiele widział. Zakrywając prawą dłońią nos i usta, żeby się nie udusić, lewą ręką namacał wiszący na wozie pas z pistoletem. Nałożył czapkę z daszkiem i stanął na nogi.

Nie dostrzegł nigdzie żołnierzy, którzy mieli odtransportować go do dowództwa.

Choć był ogłuszony i świat chwiał mu się w posadach, wiedział: teraz albo nigdy!

Los mu sprzyjał. Gdy tuż obok przechodziła beładnie kolumna piechoty, przebijając się przez chmurę pyłu, Jęczkowiak wskoczył między żołnierzy i wmieszał się w tłum piechurów. Nikt nawet nie zaprotestował.

Przypinając odzyskany pas, szybko złapał właściwy rytm marszu. Nie liczył kroków, ale po kilku minutach był już pewny, że się uda. Po kwadransie, gdy kurz wreszcie nieco opadł, odwrócił się na moment, na krótką chwilę.

Wozu, którym jeszcze niedawno jechał na muszce żołnierzy, w ogóle nie było widać. Wrednego feldwebla i jego ludzi także.

Maszerował w kolumnie jeszcze przez jakiś czas, a potem nagle – nie tłumacząc się nikomu z niczego – zboczył w pole.

Teraz już nie szedł, tylko biegł – byle tylko znaleźć się jak najdalej od wstęgi drogi.

Nikt za nim nie krzyczał ani nie strzelał.

W wojennym rozgardiaszu nikt nie zwrócił uwagi, nawet nie zauważył jednego, jedyne go zbiega oddalającego się w imponującym tempie od zbombardowanej kolumny.

Biegł, dopóki nie wypluł płuc. Gdy już nie dawał rady, opadł na kolana, dramatycznie łapiąc powietrze.

Dopiero wtedy rozejrzał się fest w sytuacji. I uśmiechnął się pełną gębą.

Feldwebel i jego oddziałek właśnie przestali się liczyć.

Na całej długości drogi, jak okiem sięgnąć, snuł się brązowoszary dym. Przemieszane kolumny różnych rodzajów broni czyniły rozpaczliwe wysiłki, by odnaleźć swoich kompanów z jednostek. Chaos, zamiast zanikać, tylko się pogłębiał. Chaos – to było to, czego najbardziej potrzebował.

– Bogu niech będą dzięki – wyszeptał Jęczkowiak. A może także Francuzom.

Tak czy owak, znowu był wolny. Droga do Belgii stanęła przed nim otworem.

Poznań, szpital wojskowy przy Hohenzollernstrasse, kilka dni później, wrzesień 1918 r.

Dzień w dzień Kaczmarek powtarzał w myślach jak modlitwę treść informacji, którą otrzymał od tajnej organizacji. Odmawiał ją codziennie rano i wieczorem, by upewnić się, że nie zapomniał adresu. Łąkowa 13 – Kartkę spalić – Józef, komendant – mamrotał bezgłośnie. I choć najistotniejsza część przekazu streszczała się w pierwszym słowie i numerze, powtarzał resztę, żeby mieć absolutną pewność, że nie doznał żadnego złudzenia. I tylko ciągle zachodził w głowę, kto to jest ten „Józef komendant”, który nie zapomniał o nim, zwykłym, szarym piechurze ze Świętego Marcina. O malutkim trybiku tej wielkiej maszynerii wojennej, która krwawiła codziennie w nie swojej wojnie.

Pamiętał wprawdzie, co mu mówił o organizacji Dolata, tam

w okopach „pod Werdunem” – ale Bogiem a prawdą, nie był pewny, czy Dolaty nie poniosła nieco fantazja. W końcu jego wiedza o tym całym tajemniczym „peowu” była jakoś dziwnie niewielka. Zdawał sobie sprawę, że kolega mówił mu o tajnym sprzysiężeniu w największej tajemnicy, ale żeby aż tak wielkiej, że nie wyjawiał mu nawet żadnego nazwiska?

Wizyta tajemniczego brodatego żołnierza utwierdziła go jednak w podejrzeniu, które szybko przemieniło się w przekonanie, że Dolata nie zmyślał. Skoro ktoś o nim wie i pamięta – mało tego, czeka na niego! – to znaczy, że coś się święci naprawdę. Coś dużego i obiecującego. Do czego i on, Zbigniew Kaczmarek, lat 20, też chętnie przystąpi. A czego, broń Boże, odpuścić nie może.

Pewnie z tego powodu zaczął intensywnie spacerować o kuli po szpitalnym korytarzu. Chciał jak najszybciej przywrócić kontuzjowaną nogę do możliwie pełnej sprawności. Zatrzymując się przy otwartych oknach i wyglądając na bruk ulicy, wyobrażał sobie, że niebawem poczuje go pod stopami. Ciągnęło go na zewnątrz jak jasna cholera!

Na razie jednak musiał uzbroić się w cierpliwość. Sęk w tym, że nigdy nie była ona jego mocną stroną. Już jako kilkuletni *gzub*¹⁹ zasłynął na podwórku z porywczości i krewkiego charakteru. Matka nie raz podcierała mu własną chustą krew spod nosa – świadectwo kolejnych bójek, toczonych z konkurencją do przywództwa w wysokiej studni dziedzińca ich kamienicy. Lata mijały, a on ciągle był wrywny i niecierpliwy. I nie zmieniło go nawet wysłanie na front jako piechura 6 Pułku Grenadierów z koszar na *Kleiststrasse*²⁰. Już tydzień później, gdzieś na francuskiej wsi postawił się *gefreiterowi*²¹, który uporczywie nazywał go „głupim Polaczkiem”. Nie namyślając się długo, Biniu Kaczmarek pchnął Niemiaszka w taczkę z gnojowicą.

Gefreiter specjalnie nie ucierpiał, ale było z tego dużo śmiechu. I satysfakcji, bo portki Niemca śmierdziały jeszcze długo, mimo wielokrotnego prania, co stało się niekończącym tematem

19 Z gwary poznańskiej – maluch.

20 Dzisiaj ul. Szylinga.

21 Z niem. – starszy szeregowy.

żartów całej kompanii. Za niesubordynację Kaczmarek został ukarany tygodniem kozy, ale warto było. Tym bardziej że wśród kompanów zyskał autentyczne uznanie...

Uśmiechnął się do tego z wolna blaknącego wspomnienia. Stojąc w oknie korytarza, z upodobaniem przyglądał się życiu miasta. Ciepłe popołudnie wniosło do śmierdzącego sterylną czystością szpitalnego wnętrza upojny zapach róż. Rozejrzał się, by je zlokalizować, ale na pobliskim trawniku dostrzegł tylko niskie krzewy bzu. Rzucił okiem po balkonach secesyjnej kamienicy położonej po przeciwnej stronie Hohenzollernstrasse – i zrozumiał. Taras na drugim piętrze dosłownie tonął w kwieciu. Wśród róż uwijała się z cynową konewką całkiem urocza postać...

– A wy co, Kaczmarek?! – głos doktora Radtke dosłownie gulgotał oburzeniem. – Cygarety sobie popalacie?! W lazarecie?!

Biniu zerknął niechętnie na nakrętkę od słoika spoczywającą na parapecie okna. Na jego nieszczęście ciągle tkwił w niej zduszony niedopałek.

Muszę skończyć z tym świństwem, postanowił po raz bodaj setny tego lata.

– Ale to nie moje, panie doktorze – zełgał jak uczeń przyłapany na popalaniu w gimnazjalnej toalecie.

– Akurat! – zachnęła się łapiduch. – Kiedy śmierdziecie dymem jak parowóz!

– Gdzieżbym śmiał!

– No, do łóżka. Ale już!

– Kiedy...

– Co „kiedy”?

– Kiedy tu takie ładne widoki... No, niech pan doktor sam zobaczy!

Zaintrygowany lekarz podszedł do Kaczmarka i wychylił się przez okno. Na tyle mocno, że blondwłosa piękność z konewką w dłoni pomachała mu z naprzeciwka wolną ręką.

– No dobrze, możesz tu jeszcze chwilę postać – Radtke uśmiechnął się dobrotliwie. – Poflirtować nie zaszkodzi. To nawet pomaga w powrocie do zdrowia, nie przeczę. Tylko nie

zapraszaj jej na oddział, chojraku. Nie chciałbym mieć... sam zresztą rozumiesz...

– Może pan doktor być spokojny – Kaczmarek zastłonił sobą parapet z niedopałkiem, by chyłkiem wyrzucić peta za okno. – Ta lalczka na pewno nie spojrzy na takiego kuternogę jak ja.

Znowu Pikardia, w tym samym czasie

Zdawało mu się, że gdzieś od wschodu usłyszał charakterystyczne sapanie, z jakim parowóz nabiera zwykle rozpędu, ciągnąc za sobą żelazny tułów wagonów. Szedł więc prosto w tym kierunku, przecinając wyboiste drogi, pola, strumienie, wreszcie drewniane płoty. Spocił się, zmęczył, ale nie ustawał, forsując mocne tempo. Przynajmniej wiedział, że żyje. I że jego ucieczka ma coraz większe szanse powodzenia.

Trud opłacił się stokrotnie. Kwadrans, może pół godziny później zauważył na horyzoncie wysoki, ziemny wał, który rychło okazał się nasypem kolejowym. Biegł po nim tor. Wprawdzie skręcał łukiem w kierunku północy, ale to akurat Jęczkowiaka niespecjalnie martwiło. Teraz pozostało mu modlić się, żeby trafił na pociąg w kierunku Belgii, a nie odwrotnie. I czekać.

Usiadł przy samym nasypie, skryty za krzewem dzikiej róży. Zdjął buty, odwinął onuce, dając wytchnienie zmęczonym stopom. Przy dużym palcu lewej nogi zauważył czerwony odcisk, ale nie przywiązywał do niego specjalnej wagi. Odcisk nie rana, szybko zniknie.

Ciepły wrześnieowy dzień chylił się ku końcowi. Musiał już odejść na sporą odległość od aktualnej linii frontu, bo do zmroku złączącego się nieba nie skalala żadna wojskowa maszyna.

Omiał nie zasnąć, choć nasyp z tłucznia był twardy i niewygodny. W międzyczasie zrobiło się ciemno i chłodno. Około północy drgnął. Gdzieś po prawej ręce usłyszał znowu znajome „puf-puf!” Dopadł do szyn i przyłożył ucho do metalu. Łoskot setek żelaznych kół zapowiadał niespodziankę. Dobrą niespodziankę.

Zbliżał się pociąg – i co najważniejsze, jechał w pożądanym kierunku. Żeby tylko nie wiozł wojska!

Jęczkowiak cofnął się, znalazł dobry punkt obserwacyjny za kępą krzewów – i czekał.

Hałas narastał. Z mroku wyłoniła się ciężka sylwetka parowozu. Światła lokomotywy omiotły niebawem torowisko, a Jęczkowiak zrozumiał, że ma szczęście. Skład przesuwał się po torze wolno i majestatycznie. Na tyle wolno, by zauważyć, że parowóz ciągnie wyłącznie puste platformy kolejowe. I na tyle powoli, by zmęczony całodniowym marszem Jęczkowiak bez trudu uczepił się jednej z nich i wdrapał na jej wierzch.

Pewnie maszynista nie ma pewności, czy ostatni nalot nie uszkodził torów, przemknęło przez głowę Polaka.

Był wdzięczny Bogu za tę okoliczność. Kiedy położył się wygodnie na plecach, podkładając pod głowę ramiona i wpatrując się w doskonale widoczne gwiazdy, poczuł, że nie jest sam. Że Boża opatrność mu sprzyja. I że skoro tak jest, to wszystko mu się uda.

Nim zasnął, ukołysany monotonnym stukotem kół, zmówił pacierz.

A potem rozmyślał, co jeszcze ześle mu Ten, w którego pomoc tak bardzo wierzył.

Poznań, lazaret na Jeźycach, w połowie września 1918 r., około północy

Mało kto wiedział, że od dobrych kilku dni Kaczmarek tylko symulował niedołężność. Że te wszystkie spacery o kuli wzdłuż korytarza albo do ubikacji to pic na wodę, zasłona dymna i te sprawy. W rzeczywistości jego ranna jeszcze do niedawna noga sprawowała się naprawdę obiecująco. Gdyby nie świadkowie, których zwykle w szpitalu nie brakowało, już dawno odrzuciłby tę drewnianą przeszkodę i ruszył w miarę równym krokiem ku drzwiom szpitala.

Treningi dały mu pewność, że w decydującej chwili podoła

zadaniu. A ta chwila właśnie nadeszła. Nie planował jej nigdy z kalendarzem w dłoni. Wiedział, że ta decyzja musi się pojawić naturalnie, niewymuszona i nieprzynaglana. I właśnie nadeszła, w środku nocy, w szpitalnej sali. Teraz pozostało mu już tylko zrealizować plan, który sobie nakreślił.

Na korytarzu świeciło się mizerne żółte światło, które wpadało przez szyby drzwi do sali. Kiedy upewnił się, że Wojtala śpi – a nie było to trudne, bo chrapał jak najęty – powoli zsunął się z łóżka i stanął na obie nogi. Tygodnie treningów nie poszły na marne. Obie nogi dawały mu równie mocne, stabilne oparcie. A skoro tak, nie zamierzał dłużej zwlekać.

Ostrożnie podszedł do szafy w rogu sali. Kiedy otworzył jej drzwi, skrzypnęły nieoczekiwanie, wywołując dreszcz na plecach Kaczmarka.

Zerknął przez ramię w stronę łóżka kompana. Wojtala poruszył się niespokojnie, mrużąc pod nosem jakieś niemieckie przekleństwo. Zaraz potem znowu zapadł w głęboki sen, a na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech. Pewnie śniło mu się, że ma obie nogi i pędzi do dziewczyny...

Kaczmarek wyjął z półki swój mundur, wyprany i odprasowany w szpitalnym maglu. Pachniał świeżością i jakąś nową nadzieją. W absolutnej ciszy zdjął szpitalną piżamę i ubrał się w wojskowy uniform. Spodnie trochę na nim wisały, najwyraźniej schudł na leczniczym wikcie. Zacisnął więc mocniej pas i mimowolnie klepnął się po udach z zadowolenia.

Na szczęście ten biedak Wojtala spał w najlepsze. Jego chrapanie zagłuszało dźwięki wydawane przez Kaczmarka.

Z pewnym trudem wzuł wysokie buty i zarzucił na ramię plecak. Niewiele w nim miał: koszulę, pędzel do golenia, grzebień. Wystarczy na dobry początek. O żywność zatroszczy się sam, gdy już będzie w mieście. W myślach powtarzał sobie ciągle: „Łąkowa 13 – Kartkę spalić – Józef, komendant” – Łąkowa 13 – Kartkę spalić...”.

Był pewny, że pod tym adresem znajdzie pomoc.

Podszedł szybkim, pewnym krokiem do drzwi. Raz jeszcze rzucił spojrzeniem na śpiącego nieszczęśnika i wyślizgnął się na

korytarz.

Dyżurka szczęśliwie znajdowała się za załomem muru. Kaczmarek mógł więc niepostrzeżenie przemknąć się ku bocznej klatce schodowej, znajdującej się w prawym skrzydle budynku. Dziwnie szło mu się bez kuli, ale nareszcie mógł porzucić fikcję. Noga jeszcze bolała, lecz mięśnie pracowały przyzwoicie. Odrobinę kuśtykał, ale poruszał się całkiem sprawnie. Przejście kilkunastometrowego korytarza zajęło mu nie więcej niż pół minuty.

W mijanych salach spali ranni kompani spod Verdun, Azennes, Bezonvaux czy Maucourt. Wszyscy ci szczęściarze, którzy wyszli z tego piekła o własnych siłach lub zostali zniesieni z pobojuwiska na noszach. Inwalidzi pozbawieni rąk lub nóg, ogłuszeni albo oślepieni, otruci lub poparzeni gazami bojowymi. Nie było wśród nich bodaj jednego, który nie straciłby czegoś w okopach Wielkiej Wojny. Jeśli nie kończyny, rozsądku lub rozumu, to na pewno złudzenia, że ludzkość stać na coś więcej. Spali teraz snem sprawiedliwych, ofiary obcych rozkazów i nie swoich dowódców. Dość tego! Dość!

Kaczmarek chętnie uściskałby każdego z nich, tak jak raz jeszcze przycisnąłby serdecznie do piersi biednego Wojtałę. Tyle że zwyczajnie nie mógł.

Było mu z tym cholernie źle.

Schody okazały się prawdziwym wyzwaniem. Co innego marsz po płaskim, co innego schodzenie w dół. Tego nie zdołał poćwiczyć i szybko pojął, że był to poważny błąd. Każdy krok w dół i stąpięcie na stopień sprawiały ból. Poszarpana jeszcze niedawno odłamkami kość przypominała o sobie, przesywając nogę piekącą udręką.

Spociał się na tych kilkunastu stopniach, jakby znowu dźwigał na froncie kocioł z grochówką. Ale dał radę. W nagrodę zobaczył drzwi wyjściowe, niepilnowane przez żadnego łapiducha ani żandarma.

No, prawie przez żadnego.

Gdzieś z tyłu usłyszał głośnie chrząknięcie. Zbyt głośnie, by było przypadkowe.

Poczuł dreszcz na karku, ale odwrócił się.

Opierając się o ścianę i kurząc papierosa, stał doktor Remigiusz Radtke. Ten sam, który jeszcze niedawno tępił go za palenie w otwartym oknie. W półmroku zdawał się jakiś inny, poważniejszy. Może dlatego że porzucił gdzieś biały kitel i prezentował się w oficerskim mundurze.

Cisza między nimi była dziwna, nienaturalna. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Radtke zaciągnął się jeszcze dwa razy, wydmuchując dym w stronę Kaczmarka.

– Nie zapytam, dokąd idziesz – powiedział w końcu spokojnie. – Zapytam tylko, czy wiesz, co robisz.

– Tak jest, panie doktorze – Kaczmarek zrobił dwa kroki w stronę lekarza. – Wiem.

– *Bist du sicher, Mensch?*²²

– *Jawohl. Ich bin sicher...*²³

Radtke pokręcił głową, ale tak inaczej, bez dezaprobaty. Raczej z pewnym niedowierzaniem, może nawet podziwem.

– Polubiłem cię, Kaczmarek – stwierdził. – Nie chciałbym, żebyś następnym razem dostał kulkę w serce, a nie w nogę.

– Nie dostanę.

– Będą cię szukać. Muszę przecież to zgłosić...

Kaczmarek zrobił duże oczy.

– Nie przeszkodzi mi pan? – zdziwił się.

Lekarz westchnął głośno, a potem wolną od papierosa dłonią zaczesał siwe włosy na tył głowy.

– A dasz się zatrzymać?

Pytanie doktora pozostało bez odpowiedzi.

– Zazdroszczę ci – wyznał z jakimś ciepłem w głosie Radtke. – Ty wiesz, co robić. Ja... ciągle nie wiem.

– Niech pan idzie ze mną – zareagował impulsywnie Kaczmarek.

– Wiem, gdzie iść, mam pewien kontakt i...

– To szaleństwo – zgasił go natychmiast lekarz. – Jak to sobie wyobrażasz? Że ot, tak w jednej chwili zostawię wszystkich moich pacjentów? Przysięga Hipokratesa, mówi ci to coś?

22 Z niem. – Jesteś pewny, człowieku?

23 Z niem. – Tak jest, jestem pewien.

Kaczmarek zawstydził się swoich słów. Przez głowę przemknęła mu myśl, że powinien skończyć tę rozmowę. Czas naglił, nie wypadało kusić losu, póki byli sami.

– Życzę panu wszystkiego dobrego, doktorze – rzucił przez ramię i wolno ruszył ku drzwiom.

– Ja tobie również, Kaczmarek... – głos lekarza jakby się załamał.

Gdy dezterter dotarł do drzwi i nacisnął klamkę, usłyszał jeszcze:

– Pospiesz się, do porannego obchodu zostało jakieś pięć godzin...

V.

KTO MA NIEBO

Pogranicze francusko-belgijskie, wrzesień 1918 r.

Te suchary były jak zbawienie. Skurczony z potężnego głodu żołądek domagał się od dawna należnej mu racji i pożar trafił się jak kolejny dar z nieba.

Pociąg stanął nad ranem na nieznaną stacji, budząc Jęczkowiaka z głębokiego snu. Rozejrzył się rozespanymi oczyma wokół i szybko pojął, co się dzieje. Płonęły drewniane baraki obok budynku stacji, niechybnie magazyny wojskowe, zbombardowane przez francuskie lotnictwo. Obsługa pociągu pobiegła pomóc żołnierzom krzątającym się z wiadrami wody wokół płomieni. Jęczkowiak, nie zastanawiając się długo, pospieszył za nimi.

W zamieszaniu nikt nie zapytał go, skąd się wziął i co zamierza. Wystarczyło, że stanął na moment w szeregu i kilka razy przekazał następnemu wodę. Zaraz potem uskoczył na bok i zaszedł palące się baraki od tyłu. Miał nosa: w magazynach były złożone w kostki mundury i konserwy. Włamał się przez tylne drzwi do środka i oprócz wojskowego płaszcza znalazł też tornister. Włożył do niego swój pistolet, osiem puszek konserw mięsnych, a do kieszeni płaszcza ukochane suchary.

Unikając kontaktów z gaszącymi pożar, wrócił z łupami do pociągu. Zanim kolejarze wrócili, zdążył ulokować się wygodnie w budce hamulcowej ostatniego wagonu. Przygryzając suchary, obserwował pożogę i czekał na powrót obsługi składu.

Suchary przywróciły mu pewność, że wszystko się uda. Gdy żelazny skład wreszcie szarpnął i upiększony pióropuszem dymu zaczął nabierać prędkości, przestał śledzić wydarzenia za oknem, usiadł na podłodze, oparł się o ścianę i znowu zapadł

w błogosławiony sen.

Gdy ocknął się ponownie, był połamany i obolały. Rozprostował kości i wyrztał na zewnątrz. Krajobraz zmienił się – śladów walk prawie nie było widać. Wysunął z tego wniosek, że musi już być w Belgii. Nazwy mijanych stacji nic mu nie mówiły, ale czuł, że los mu sprzyja. Pociąg ciągle jechał na północny zachód; Jęczkowiak nie miał nic przeciwko temu, by utrzymał ten kierunek do końca. Z każdą minutą, z każdym kilometrem oddalał się od linii frontu i zwiększał swoją szansę na przeżycie.

Około południa na horyzoncie pojawiło się potężniejące z każdą chwilą skupisko domów, które szybko przekształciło się w przedmieścia, dzielnice, wreszcie centrum gigantycznej metropolii. Zrozumiał, że dojechał do Brukseli.

Pociąg wtoczył się na jeden z peronów stołecznego dworca i wreszcie – z haniebnym piskiem żelastwa – zatrzymał na stałe.

Wiedział, że musi wreszcie opuścić bezpieczną kryjówkę. I wiedział też, że nie uda mu się zwyczajnie wyjść przez dworzec na miasto. Nauczony doświadczeniem wyniesionym z urlopowych wyjazdów do Poznania doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że patrol dworcowej żandarmerii natychmiast go zatrzyma. Tym razem nie miał karty urlopowej, bo urlop wziął sobie sam. Musiał to rozegrać inaczej. Zupełnie inaczej. Musiał ich oszukać.

Poznań, w tym samym czasie

Franciszek Jach nie pomylił się. Następnego dnia nowo przybyłe eskadry z Berlina wzbity się nad miasto, by zademonstrować gotowość. A może przede wszystkim by wybić z głów jego mieszkańców jakiegokolwiek mrzonki. Jakby niemieckie dowództwo zdecydowało się pokazać im, gdzie jest ich miejsce w szeregu. Nie było wszak tajemnicą, że na froncie zachodnim wydarzyło się coś niedobrego, zupełnie nieoczekiwanego dla cesarstwa, coś jak upadek kamyczka, który wznieca lawinę – i jeszcze tylko tego brakowało, by i Polacy podnieśli głowy. Nie,

tu w Posen wszystko miało zostać po staremu, nawet jeśli na polach północnej Francji armia Kaisera musiałaby podać tyły.

Na dole było zapewne gorąco, ale na wysokości pięciuset metrów twarz Jacha owiewał zimny podmuch. Warkot silnika rozpoznawczego Albatrosa C. XII uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę z Paulem, który siedział z tyłu w charakterze obserwatora. Fantazyjnie owinięty wokół szyi Niemca szal powiewał na boki. Lecieli z pełną prędkością niemal 150 kilometrów na godzinę. Ledwo nadążali za nowszymi Albatrosami D. III. Te to dopiero siały postrach na francuskim niebie! Miały lepszą prędkość wznoszenia od maszyn alianckich, co dawało im sporą przewagę. Ale i sześciocylinnowy silnik Mercedesa pracujący w kadłubie maszyny Jacha spisywał się chwacko. Albatros Pohla i Jacha również należał do nowszych konstrukcji – do służby wszedł wiosną 1918 roku. Wyprodukowany w fabryce w Schneidemühl²⁴, uzbrojony w dwa karabiny, był groźną bronią w dłoniach tak doświadczonych lotników.

Pod sobą mieli cesarski zamek, monument z kamienia ze strzelistą wieżą zegarową, na której dumnie powiewał proporzec Kaisera z czarnym krzyżem. Ledwie osiem lat wcześniej Wilhelm II objął go w posiadanie, a te czasy wydawały się już Jachowi zamierzchnią przeszłością. Neoromańska budowla stanowiła centrum nowej dzielnicy cesarskiej. Po lewej ręce Jach widział doskonale smukłe kolumny opery i przyciężki gmach Komisji Kolonizacyjnej z efektowną kopułą. Podniósł wzrok, by w oddali zlokalizować zwarty, ceglasty monolit, przypominający nieco obrysem talię rozłożonych kart. Cytadela i zamek zawsze przypominały mu, do kogo należy Poznań.

Już niedługo, pomyślał, trzymając za stery. Już niebawem to musi się zmienić. Bo jeśli nie teraz, to kiedy?

Pociągnął ku sobie wolant i podniósł maszynę, nadając jej wyższy pułap. Wąska kreska w dole, oznaczająca ulicę Święty Marcin, zniknęła gdzieś w ciasnej zabudowie staromiejskich kamieniczek. Zaraz potem zobaczyli rynek i wieżę ratusza. Mimo

24 Niemiecka nazwa Piły.

wysokości można było łatwo dostrzec, jak przechodnie na płycie rynku podnoszą głowy i przysłaniają dłońmi oczy, by podziwiać pokaz siły lotnictwa cesarstwa.

– Kto ma niebo, ten ma zwycięstwo – powiedział mu przed startem Pohl.

Zastanawiał się, co leutnant chciał mu przez to powiedzieć. Czyżby coś podejrzewał? A może wręcz przeciwnie, profilaktycznie uświadomił mu, że Niemcy są nadal silni? Tak czy owak, zasiał w głowie Jacha zamęt. I niepewność. Franciszek zgadzał się z Paulem, że lotnictwo to rosnąca potęga. Kto wie, czy nie najważniejsza z nowoczesnych broni, która już niebawem samodzielnie przesądzać będzie o wynikach batalii, a może nawet wojen. Najbardziej bolało go jednak, że tę broń mają oni. Ci, z którymi przyjdzie się kiedyś zmierzyć. I że ten pojedynek będzie bardzo nierówny. O ile w ogóle do niego dojdzie...

Pięć kluczy zrobiło nagle gwałtowny zwrot na południe, opadając w dół i zataczając efektowną pętlę nad wąwozami ulic i kamienic Wildy. Cienie skrzydeł muskały korpus kościoła na placu Bismarcka²⁵, przelatując nisko nad brukowanym placem. I znowu wzbudzając zainteresowanie spacerowiczów. Lecieli na tyle nisko, by wyczytać z ich zafrasowanych twarzy jakiś smutek, a może nawet strach.

Mimo miłości do latania Franciszek Jach po raz pierwszy poczuł się źle za sterami Albatrosa. Zrozumiał, że bierze właśnie udział w demonstracji, w której wcale nie ma ochoty uczestniczyć. Że pracuje dla sprawy, której nie popiera. Że buduje poczucie potęgi i siły, której nie chce budować. I że w tym wszystkim dominuje jakiś szkaradny fałsz.

Coś w nim pękło. Raz i nieodwracalnie.

Zapragnął być już z powrotem na lotnisku w Ławicy.

Cieszył się, że tam wraca.

25 Dzisiejszy kościół Maryi Królowej przy Rynku Wildeckim.

Bruksela, tego samego dnia

Mimo rosnącego, uporczywego ssania w żołądku cierpliwie wyczekał, aż zmiana żandarmów z charakterystycznymi metalowymi ryngrafami na mundurach opuści posterunek, by udać się na posiłek. Nim zmiennicy zdążyli objąć posterunek przy głównym wejściu do budynku dworca, wślizgnął się w gęsty tłum pracy do miasta bocznym wyjściem – i szczęśliwy dał się porwać tej fali ludzkich ciał.

Wypchnęła go daleko poza zasięg wzroku uzbrojonych Niemców.

Jęczkowiak uśmiechnął się do swojego szczęścia, a potem otrzepał płaszcz i ruszył przed siebie. Nie znał miasta, ale zdroworoządkowo założył, że główna arteria z dworca musi prowadzić do jego centrum. Szybko jednak połapał się, że zmierzając na południe, oddala się od centrum Brukseli. Zawrócił więc i skierował się na wschód.

Znalazł się w dzielnicy okazałych, bogato zdobionych kamienic i ekskluzywnych kawiarni oraz hoteli. Choć wojna wymiotła z tych ostatnich majątnych gości, to na ulicach i tak panował spory ruch. Jęczkowiak nie miał jednak okazji, by napawać się widokami okupowanej przez Niemców stolicy Belgii. Musiał mieć się na baczności. Tym bardziej że co chwilę widział zielone mundury dwu- lub trzyosobowych patroli zatrzymujących cywilów. Józef nie zamierzał wpaść w ich łapy, kluczył więc, wchodząc w trudnych momentach do sklepików czy piekarni pachnących świeżym pieczywem. Dla umęczonego głodem żołnierza była to tortura, ale nie miał wyjścia. Stawka szła przecież o coś więcej niż zwykłe zaspokojenie głodu.

Jego zegarek pokazywał kwadrans po czwartej, gdy dotarł do jednej z bocznych uliczek w części miasta składającej się z niewysokich, gęsto zabudowanych kamieniczek. Było już późne popołudnie i zrozumiał, że musi rozejrzeć się za jakimś noclegiem. Pobytku w hotelu, nawet najpodlejszym, nie brał w ogóle pod uwagę – musiałby okazać się jakimiś papierami.

A przecież żadnych dokumentów nie miał. Pozostawało zdać się na łut szczęścia. Dopomóc w tym miała znajomość języka francuskiego, tak zapamiętała ćwiczonego w Gimnazjum św. Marii Magdaleny, a potem – po wydaleniu ze szkoły w skutek pruskich represji – podczas prywatnych lekcji.

Bez obawy zapukał do pierwszych drzwi, ale mimo ponowienia, nikt mu nie otworzył. Nie zraził się, poszedł kilkanaście kroków dalej i zapukał do kolejnych.

Otworzyła mu starsza, niska kobieta ubrana na czarno. Worki pod oczyma sugerowały, że nie jest najlepszego zdrowia. Na widok niemieckiego munduru cofnęła się, ale nie zamknęła drzwi.

– *Bonjour, madame*²⁶. Proszę wybaczyć moje najście – Jęczkowiak skłonił się z miłym uśmiechem, starając się nadać swojemu francuskiemu jak najlepsze brzmienie. Był pewien, że wzięła go za okupanta i jest nieufna. – Proszę się nie obawiać, nie jestem Niemcem. To tylko mundur, tak naprawdę jestem Polakiem.

– *Bonjour* – odpowiedziała cicho kobieta. Za jej plecami pojawiła się młodsza, wyższa, również ubrana w czarny zakiet.

Są podobne, to pewnie matka i córka, przeleciało przez głowę Jęczkowiaka.

– O co chodzi, mamó? – słowa młodszej z kobiet potwierdziły jego przypuszczenia.

Ucieszył się.

– *Je suis Polonais*²⁷. Nazywam się Józef Jęczkowiak, uciekłem z armii niemieckiej – wyznał szczerze, może nawet zbyt otwarcie. Nie zamierzał jednak tego ukrywać przed osobami, na których pomoc liczył. – Jadę do Polski, ale potrzebuję pomocy. Chodzi o nocleg. Czy... widziałyby panie taką możliwość? Nad ranem mnie już nie będzie...

Kobiety spojrzały na siebie bardziej zaskoczone niż wystraszone. Ich milczenie nie wróżyło najlepiej, więc Jęczkowiak postanowił przekonać je do siebie inaczej.

26 Z franc. – Dzień dobry pani.

27 Z franc. – Jestem Polakiem.

Błyskawicznie zdjął plecak, otworzył i namacał w nim blaszane puszki. Wyjął jedną z nich.

– Mam konserwy – powiedział. – Dużo konserw. Chętnie się z paniami podzielę. Proszę tylko o jeden nocleg. Tylko tyle.

Szukał w ich oczach zrozumienia. Nie chciał zbyt długo rozmawiać z nimi na oczach innych. Zaczął się niecierpliwić.

Chyba zauważyły, że nerwowo przestępuje z nogi na nogę. I że z obawą rozgląda się na boki.

– Proszę wejść – powiedziała niespodziewanie ta młodsza.

Odsunęły się od drzwi, umożliwiając mu wejście do wąskiego, ciemnego korytarza.

Podziękował i opuścił ulicę. Gdy starsza z kobiet zamknęła za nim drzwi, młodsza wskazała dłonią na pomieszczenie obok.

W milczeniu wszedł do kuchni z dużym oknem wychodzącym na tyły budynku. Przez szybę zauważył brzozę i fragment ogrodu. Usiadł przy stole i sięgnął do plecaka. Wyjął dwie puszki z konserwą i zaproponował:

– Proszę odgrzać mi trochę mięsa, a resztę zachować dla siebie.

Młodsza z kobiet po raz pierwszy uśmiechnęła się, choć przelotnie.

– *Polonaise...* – powiedziała w stronę matki.

Starsza pani tylko machnęła ręką i zniknęła im z oczu.

Chwilę później niedużą kuchnię wypełnił zapach podsmażanego mięsa.

Poznań, tego samego dnia

Kamienica przy Łąkowej 13 miała wysoki parter, trzy piętra i poddasze, zdobne rzędem lukarn. Kaczmarek stanął przed jej bramą szczęśliwy, bo mimo długiego marszu przez miasto nie został zatrzymany przez żaden patrol. Owszem, raz miał dużo szczęścia – gdy na wysokości fortu Grolman omal nie wpadł w objęcia dwóch żandarmów. Uratowała go budka z lodami, przy której przystanął, udając zainteresowanie. Patrol nie zwrócił na niego uwagi, choć powinien.

W szpitalu na Jeźycach na pewno podniesiono już alarm. Wyobrażał sobie, jak do lazaretu wpada oddział żandarmów. Jak jego dowódca przepytuje Wojtałę i rannych z sąsiednich sal o „dezterera”. I jak doktor Radtke wyraża bezbrzeżne zdumienie, że urwał się akurat on, Kaczmarek, który nie budził dotychczas żadnych politycznych zastrzeżeń.

Pewnie lada chwila żandarmeria i policja dostaną informacje o jego ucieczce, jego nazwisko zostanie wciągnięte na wydłużającą się listę deztererów i znacznie się regularne polowanie na człowieka z jego rysopisem, pomyślał. Musiał jak najszybciej zejść ludziom z oczu. A ponieważ matka mieszkała od kilku lat u siostry pod Środą, od razu poszedł pod adres podany mu w tajnej przesyłce.

Stał teraz przed bramą i zastanawiał się, czy w nią załomotać. Właściwie nie miał wyboru. Więcej – chciał tego. Chciał zostać członkiem tajnej organizacji, która miała walczyć o wolność jego kraju. Jedyne, co powstrzymywało go przed entuzjastycznym wejściem, to obawa, czy sobie poradzi. Patrzył na sprawę chłodno, bez ekscytacji. Nie był przekonany, czy sprawdzi się w tajnej robocie. On, człowiek, który do tej pory działał wyłącznie jawnie. Jeżeli w ogóle można tak powiedzieć o latach spędzonych w okopach.

Kiedy tak stał u wrót nowego, bijąc się z własnymi myślami, los zdecydował za niego. Nadziewana ćwiekami brama niespodziewanie zgrzytnęła i jedno z jej skrzydeł cofnęło się nieznacznie w głąb tunelu. We wrotach stanął niski, nieogolony mężczyzna w płaszczu, który dziwnym trafem przypominał mantel²⁸, jaki miał na sobie Kaczmarek. Wyrzwał na ulicę, zerknął uważnie raz w lewo, raz w prawo i dopiero wtedy zauważył przybysza oczekującego przed wejściem. Z miejsca obrzucił go nieufnym spojrzeniem.

– A ty tu czego? – zapytał mało zachęcająco.

Kaczmarek zrobił krok do przodu, na co człowiek w bramie cofnął się i schował za skrzydło bramy.

– Ja do organizacji – uśmiechnął się dezterer.

28 Z gwary poznańskiej – płaszcz.

- Hasło? – strażnik w bramie nie dał się zbić z tropu.
- Nie znam – przyznał się Kaczmarek.
- To spadaj – usłyszał wypowiedzianą dość zdecydowanym tonem dyspozycję.

W pierwszym odruchu chciał doskoczyć do mężczyzny w bramie i sprzedać mu kilka ciosów w tę jego nieogoloną, na dodatek przyszczatą twarz. Powstrzymał się jednak, za co potem podziękował Bogu.

- Zaraz! – wepchnął nogę w przerwę między skrzydłami bramy, nie pozwalając jej zamknąć. – Poczekaj pan, coś pan taki nerwerwer²⁹?

Brzydal we wrotach szarpnął się, ale nie dał rady wypchnąć nogi Kaczmarka poza obrys bramy.

- Hasła nie znasz, to idź! Raus! – syknął ze złości.
- Może i hasła nie znam, ale wiem, do kogo przyszedłem! – odciął mu się Kaczmarek.

Przez chwilę przepychali się bezskutecznie w bramie. Żaden nie odniósł sukcesu.

- Taaa? A do kogo niby? – zapytał w końcu strażnik, czerwony jak burak z wysiłku.

- Do Józefa. Znaczy się, komendanta Józefa!

Słowa Kaczmarka zrobiły piorunujące wrażenie na jego przeciwniku. Momentalnie puścił odrzwia bramy i zdecydowanie złągodniał.

- Nie można tak było od razu? – niby się jeszcze boczył, ale już widać było, że diametralnie zmienił front.

- A bo pan tylko o hasło pytasz.

- Taki rozkaz.

- A skąd mam to wiedzieć? Ja wiem tylko tyle, że Józef kazał mi tu przyjść.

- A, skoro tak, to proszę. Proszę bardzo.

Mężczyzna w płaszczu przesunął się w bok, robiąc przejście Kaczmarkowi. Gdy ten przekroczył linię bramy, cerber wyjrzał raz jeszcze, jakby upewniając się, czy nie zauważył tego nikt niepowołany.

²⁹ Z gwary poznańskiej – nerwus.

Zaraz potem zamknął bramę i rzucił do Kaczmarka:

– Chodź za mną.

Kaczmarek wziął to nagłe fraternizowanie się za dobrą monetę.

Bruksela, tego samego dnia wieczorem

Młodsza z kobiet miała dwie córki w wieku szkolnym. Wpatrywały się przejęte zza stołu w tego dziwnego przybysza, który trochę przypominał ich ojca, gdy widziały go ostatni raz w mundurze. Tyle że „Polak” był od taty młodszy – i siedział u nich przy stole w mundurze wrogów.

Wszystko to było zaskakujące i pociągające jednocześnie. Dziewczynki wyczuwały w tej historii jakąś tajemnicę. Bo niby gość miał na sobie niemiecki uniform, ale mówił całkiem niezłe po francusku. A czasem zdarzało mu się wplątać w krótkie zdania jakieś pojedyncze, dziwnie miękko brzmiące i zupełnie im nieznanne słowa w języku, którego nigdy nie słyszały. Starszej z nich przypominały one nieco język rosyjski, którego uczyła się przed wojną w prywatnej szkółce. Ale przecież to z pewnością nie był Rosjanin. W dodatku – mimo tego munduru – zachowywał się bardzo uprzejmie w stosunku do ich mamy i babci. No i przywiózł im smaczny posiłek. Mięsa od dawna nie jadły, a zupy warzywne na ziemniakach i starej marchwi dawno już im zbrzydły.

– I mówi pan, że chce się dostać do Polski? – ich mama zadała to pytanie, gdy żołnierz skończył jeść i wytarł talerz resztką chleba.

Musiał być głodny, skoro zachował się tak mało elegancko.

– Tak, madame – potwierdził Jęczkowiak.

Właśnie zaspokoił pierwszy głód. Wyczuwał, że kobiety są mu zycziliwe. Tylko dlaczego ubierają się na czarno? Czyżby...

Powstrzymał się przed tym pytaniem. Zamiast tego powiedział:

– Czekam na długą drogę.

– No właśnie – w oku matki dwójki dziewczynek błysnęła iskra zainteresowania. – Jak daleko to jest?

– Będzie z tysiąc kilometrów, szanowna pani. Może nawet

więcej.

– O! – wyrwało się jednej z córek. – Tysiąc kilometrów!

– I jak chce pan pokonać taką odległość, panie...

– Jęczkowiak, madame. Wiem, że to trudne nazwisko. Cóż, najlepiej byłoby wrócić do kraju pociągiem. Jutro podejmę taką próbę.

Cztery kobiety w różnym wieku przyglądały się mu z rosnącą uwagą. A on czuł, że ze zmęczenia mięknie, za chwilę przewróci się na stół i zaśnie.

– Przepraszam, szanowne panie. Mam prośbę. Potrzebne mi arkusz czystego papieru, cyrkiel, atrament kopiowy, stałówka i papier woskowy.

– Ale... po co? – na twarzach domowniczek zauważył zdziwienie.

– Muszę wyrobić sobie kartę urlopową. Bez niej nie dostanę się do Poznania.

– Do Poznania... – powtórzyła cicho starsza z kobiet.

– Rozumiem – podsumowała młodsza. – Myślę, że dziewczynki mają prawie wszystko, o co pan prosi. A ja postaram się załatwić papier.

– *Merci*³⁰ – Jęczkowiak skłonił się lekko.

Gdy wstawał od stołu, zrobiło mu się słabo, a wewnątrz kuchni zawirowało mu przed oczyma jak rozbity kalejdoskop. Czuł, że jeśli za chwilę nie odpocznie, straci przytomność.

– I... jeszcze jedna prośba. Czy... mógłbym się gdzieś przespać? Jestem bardzo zmęczony...

Poprowadziły go gdzieś na tyły mieszkania. Od strony ogrodu do domu przylegała mała komórka przypominająca rodzaj służbowego pokoiku. Stało tu biurko z lampą i szafka pełna grubych książek. Jakimś cudem kobiety wniosły do pokoju materac, który szybko pościeliły dwoma kocami.

– To gabinet męża. Jest chwilowo nieczynny – powiedziała mama dziewczynek.

To „chwilowo” zabrzmiało jakoś optymistycznie. Jęczkowiak wyczuł, że może o to zapytać. Ale nie zdążył.

30 Z franc. – dziękuję.

– Mąż jest z zawodu adwokatem. A teraz... Siedzi w obozie jenieckim gdzieś pod Hamburgiem – wyjaśniła kobieta.

– Wróci do was. Już niedługo. Proszę mi wierzyć, wiem, co mówię – odpowiedział.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością w oczach. Zasłoniła okno kotarą i zamykając drzwi, zapowiedziała:

– Zbudzimy pana na kolację. Niech pan śpi dobrze.

– Dziękuję pięknie, madame.

Tysiąc kilometrów na wschód od Brukseli, znowu w Poznaniu

Wartownik z bramy zaprowadził Kaczmarka na pierwsze piętro kamienicy. Zmęczona po rekonwalescencji noga strzelca znowu dała o sobie znać – idąc po schodach, kulał. Wreszcie stanęli przed drzwiami z mosiężną tabliczką „WP. Fabrowscy”. Mężczyzna zastukał w drzwi – najpierw energicznie trzy razy, potem dwa razy, wreszcie raz. Chwilę później ktoś od środka nacisnął na klamkę i oczom przybyłych ukazała się wysoka postać w zielonym mundurze skauta. Szczupły nastolatek nie miał na głowie zwyczajowego kapelusza, poza tym wyglądał zupełnie, jakby dopiero co wrócił z leśnych gier terenowych pod Kobylnicą albo Kórnikami.

– Sęś do Józefa – powiedział człowiek, który przepuścił Kaczmarka przez bramę.

– A on? – skaut zawahał się na widok Kaczmarka.

– On też do Józefa. Tak przynajmniej twierdzi.

Młodzieniec zlustrował Kaczmarka wzrokiem, ale wpuścił obu mężczyzn do środka. W pograżonym w półmroku korytarzu siedziało na krzesłach kilku innych skautów w mundurach. Wyglądali, jakby czekali w kolejce do lekarza – tyle że zamiast milczeć, wesoło o czymś rozprawiali.

„A słyszałeś, co Szkiebry wymyśliły na Cytadeli?...” – usłyszał strzęp rozmowy Kaczmarek.

Nie miał jednak czasu, by posłuchać dłużej, bo jego opiekun

popchnął go dość obcesowo w stronę drzwi wiodących do salonu. Sam jednak stanął w nich pierwszy.

– Druhu komendancie – powiedział w stronę pokoju. – Melduję przybycie gościa. Zapowiedział się jako znajomy druha...

Kaczmarek nie zdążył sprostować, a już był za drzwiami. Jego „asystent” natychmiast zatrzasnął je, uniemożliwiając odwrót.

Znalazł się w jasno oświetlonym salonie, w którego centralnym miejscu stały dwa fotele i ława. Z jednego z siedzisk poderwał się na nogi wysoki, na pierwszy rzut oka trzydziestoletni osobnik z brodą i wygoloną głową...

Kaczmarek mimowolnie odetchnął i uśmiechnął się pełną gębą. Przed sobą miał tego samego brodacza, który jeszcze niedawno odwiedził go w szpitalu!

Bystre spojrzenie ubranego tym razem po cywilnemu gospodarza spoczęło na prawej nodze przybysza.

– Jak tam rana? Wygoiła się w końcu? – zagadnął, podając Kaczmarkowi dłoń na powitanie.

– Tak jest, panie... – Kaczmarek zawahał się. – ...Panie komendancie.

– Mów mi Józef – zaproponował brodacza, z miejsca skracając dystans. – Tylko tyle i aż tyle. Na razie niech to wystarczy.

– Oczywiście – przytaknął Kaczmarek.

– Czyli możesz już swobodnie chodzić?

– Mogę.

– To dobrze. Bardzo dobrze. Wręcz znakomicie.

Kaczmarek niewiele z tego rozumiał, ale te komplementy wziął za dobrą monetę. Odważył się zadać pytanie.

– Czy mogę tu zostać? – zapytał.

– Powoli! – Józef uniósł dłoń, jakby chciał powiedzieć: „Wszystko po kolei”.

Poprosił Kaczmarka, by usiadł w fotelu, a sam zajął miejsce naprzeciwko.

– Kiedy zbiegłeś z lazaretu?

– Minionej nocy.

– Czyli już cię szukają.

– Tak sędzę.

– Potrzebujesz skrytki. Znajdziesz ją na Garbarach. Wielkich Garbarach, w budzie skautowej. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie wiem. Nie byłem w skautach.

– Hm... No dobrze. Możesz nie wiedzieć, wszak buda jest tajna. Pójdiesz zatem do domu ma narożniku ulic Wielkie Garbary i Wszystkich Świętych. Ta kamienica należy do Górskiego, mistrza piekarskiego. Powiesz, że przysyła cię Józef. Na jakiś czas. Tam już się tobą zajmą.

Kaczmarek chłonał wszystkie te szczegóły jak gąbka. Zmęczenie nagle ustąpiło, serce zabiło mocniej i wyraźniej.

– To dobra buda. W razie niebezpieczeństwa, na przykład najścia policji, zawsze można się ewakuować po dachach sąsiednich domów – ciągnął „komendant”.

– Ale...

– No, chyba już wszystko wiesz.

– Ale...

– Co „ale”, żołnierzu?

– Ale... Co ja właściwie mam robić? Do czego będę potrzebny?

Józef wstał z fotela, położył dłoń na ramieniu Kaczmarka i spojrzał mu przyjaźnie prosto w oczy.

– Więcej wiary w siebie i w nas – zaproponował łagodnym tonem. – Byłem w twojej sytuacji, w piętnastym zwiąłem z frontu. Rozumiem, że masz mętlik w głowie. Zapewniam cię jednak, że przydasz się bardziej, niż nawet podejrzewasz. Niewielu mamy ludzi z takim doświadczeniem bojowym, ostrzelanych i obeznanych ze służbą. Byłeś pod Verdun, prawda? No właśnie. To są rzeczy bezcenne, na pewno nie do kupienia. Ale cóż, przyjacielu... Wszystko w swoim czasie. Liczymy na ciebie, ale na razie musimy cię przechować. U Górskiego będzie ci jak u pana Boga za piecem.

Kaczmarek nie przyznał się, jak bardzo był zaskoczony. Zdawał sobie sprawę, że urywając się ze szpitala, godził się na zejście do konspiracji. Wyobrażał ją sobie jednak jako pełną improwizację. Tymczasem polecenia „komendanta” wskazywały na to, że istnieje już jakaś przetarta ścieżka postępowania z takimi przypadkami jak on. I że jego przyszłość rysuje się zdecydowanie

lepiej, a na pewno bardziej wyraźnie, niż podejrzewał.

– Tak jest, panie komendancie – odpowiedział.

Choć nie znał prawdziwego imienia ani nazwiska tego człowieka, instynktownie mu zaufał.

Józef uśmiechnął się znowu.

– Komendant to mój tytuł harcerski – wyjaśnił i puścił oko. – Mów mi lepiej Józef, bo komendant jest tylko jeden. I na razie siedzi w Magdeburgu. Na razie!

Bruksela, tego samego dnia wieczorem

Zbudziły go, gdy było już całkowicie ciemno, ale nie miał im tego za złe. W końcu uprzedzały go, że przygotowują kolację. Podały kanapki z serem i herbatę. Odwdzieczył się kilkoma zdaniem o swoich rodzinnych stronach. I legendą o poznańskich koziołkach, która ubawiła dzieci.

Nie zapytał kobiet o ich nazwisko. Wolał nie wiedzieć, gdzie jest i u kogo. Tak było bezpieczniej dla dzielnych Belgijek. Okazało się, że młodsza z nich przygotowała wszystko, o co poprosił przed drzemką. Postarała się nawet o papier woskowy. Kiedy jej córki poszły spać, Jęczkowiak rozłożył wszystkie materiały na stole w jadalni i zabrał się do pracy. Obie kobiety przyglądały się jego działaniom z nieudawanym zainteresowaniem.

Miał przy sobie oryginalny wzór karty urlopowej z października 1917 roku – celowo nie oddał jej po powrocie z urlopu. Teraz musiał skopiować tę starą, nanosząc na nią nowe dane, dopasowane do czasu i okoliczności. Przede wszystkim należało zmienić imię i nazwisko, jednostkę oraz daty urlopu. Trudził się nad tym do północy, ale udało się. Wykorzystał umiejętności kancelisty, które nabył, gdy przez miesiąc w sztabie baterii wypisywał ważne papiery podpisywane później przez Kocha. Wycwiczona wówczas dłoń zachowała gładkość pisma konieczną przy wyrabianiu urzędowych dokumentów.

Obie Belgijki z podziwem śledziły jego spokojne, fachowe ruchy, które krok po kroku uprawomocniały lewą kartę urlopową

powstającą na ich oczach. Gdy Polak ukończył to niewątpliwe arcydzieło falsyfikatu, młodsza z nich żywo zaklaskała w dłonie. Na tyle głośno, że chwilę później zawstydziła się swojej reakcji.

Poprosił o szklankę wody. Wypił ją szybko i podziękował.

– Życzę paniom dobrej nocy – skłonił się, zrobił szybko porządek na stole i po cichu, żeby nie zbudzić dziewczynek, wrócił do swojej komórki na zapleczu.

Zdjął mundur, zszedł buty i padł na legowisko.

Dawno nie spał tak długo i dobrze.

Gdy się ocknął, słońce oświetlało już pięknie widoczny za oknem ogród. Zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Poczł głód. I apetyt na życie.

Czekały na niego jak wieczorem, w jadalni. Skądś zdobyły jajka, na patelni smażyła się okazała jajecznica ze szczypiorkiem. Po mieszkaniu niósł się boski aromat przysmażonej cebuli.

Zjadł, a właściwie spałaszował swoją porcję jak wygłodzony lew. Dziewczynki przyglądały mu się zza stołu zdecydowanie mniej lęklwym wzrokiem niż poprzedniego dnia. Najwyraźniej opowieść o koziołkach przełamała między nimi lody. Pod koniec posiłku uśmiechały się do niego, jakby od dawna był jednym z domowników.

Ich matka i babcia spoglądały raz na niego, raz na wiszący na ścianie zegar. Rozumiał je doskonale bez słów. Był im wdzięczny i nie chciał nadużywać tej wspaniałej gościnności. Wolał pozostawić po sobie dobre wspomnienie.

Gdy zjadł, odstawił talerz i sięgnął do plecaka. Wyłożył na stół jeszcze jedną konserwę.

– To dla was. Dziękuję za wszystko – powiedział.

Młodsza z kobiet machnęła lekceważąco ręką. Jakby chciała powiedzieć, że nie robią tego dla żadnej nagrody.

Za pozwoleniem młodszej z kobiet zdążył się jeszcze ogolić brzytwą ojca rodziny. A potem szybko spakował swoje skromne manatki i przyszedł czas na pożegnanie.

Zupełnie niespodziewanie oczy kobiet zaszklily się ze wzruszenia. Jęczkowiakowi również zrobiło się przykro.

Dziewczynki wpatrywały się w niego jak w ulubionego wujka, który nie wiedząc czemu, postanowił nagle wyjechać. A przecież było im razem tak wesoło!

– Niech pana Bóg prowadzi – babcia dziewczynek uczyniła nad Jęzkowiakiem znak krzyża.

– Szczęśliwej drogi do domu. Będziemy się za pana modlić – uśmiechnęła się smutno matka dzieci.

– Ja również pomodłę się za was – zapewnił ich, zanim wyszedł.

– Bóg zapłać za wasze dobre serca.

Ławica pod Poznaniem, stacja lotnicza Deutsche Luftstreitkräfte

Wielka płachta z czarnym krzyżem i cesarskim czarnym orłem powiewająca na szczycie wieży lotniska uświadomiła Franciszkowi Jachowi, że wbrew narastającemu w nim przekonaniu o rychłym upadku Niemiec, potęga cesarstwa Hohenzollernów ciągle ma wszelkie dane, by nie wypuścić Poznania i całej prowincji z rąk. Dwie eskadry, które wzmocniły niedawno obsadę lotniska, jasno zaświadczały, że Berlin ma oko na to, co dzieje się na wschodzie. I że nadal trzyma rękę na pulsie. Jach nie pamiętał, by podczas jego bytności w stacji było tu aż tyle maszyn bojowych co teraz. Z reguły na płycie lotniska prezentowały się tylko szkoleniowe, nieuzbrojone Halberstadty. Tymczasem od kilku dni ruch w stacji lotniczej zdawał się zapowiadać kolejną wojnę. Tylko z kim?

Paul Pohl był w świetnym nastroju. Po lądowaniu zaprosił Jacha do kantyny i postawił mu piwo. Rozmowa krążyła wokół sytuacji na froncie. Pohl był przekonany, że pogłoski o wielkiej kontrofensywie aliantów są wyolbrzymiane, a o niepowodzeniu ich akcji zdecyduje zmasowane uderzenie lotnictwa cesarskich Niemiec.

– Mówię ci, Frantz, lotnictwo ma największą przyszłość – przekonywał kolegę. – Jeśli nie w tej, to w każdej następnej wojnie będzie najważniejszą z broni. Sam zobaczysz!

– A tanki? – przytomnie zauważył Jach. – Mówią, że Anglicy i Francuzi produkują ich coraz więcej. A te francuskie, bodajże Renault, już kilka razy przełamały front.

– Tanki? Są zbyt wolne i ciężkie, Frantz. I piją morze ropy! Dobrze przygotowane lotnictwo zniszczy każdą ilość tych jeżdżących skorup. To żadna nowa jakość. Tak samo jak te nasze U-booty. Nie przeczę, wykonują dobrą robotę na morzach i oceanach. Ale to nie one wygrają wojnę. Mówię ci, Frantz, tylko lotnicy są w stanie odmienić losy tej wojny. I każdej następnej. Lotnictwo ma potencjał, którego jeszcze nie wykorzystano w pełni...

Jach słuchał i kiwał głową, choć myślał o zupełnie czym innym. Nie wiedzieć skąd ani dlaczego wyobraził sobie nagle eskadrę dwupłatowców w polskich barwach. Z biało-czerwonymi kokardami na skrzydłach. Matko Boska, jakie to byłoby szczęście! A jaka duma! A gdyby tak jeszcze nasze, polskie maszyny przeleciały nisko nad wolnym Poznaniem! Tak żeby wszyscy widzieli, że to leci polskie wojsko. Polscy lotnicy...

– Ej, Frantz? Śpisz po jednym piwie? – Paul szturchnął go w ramię tak mocno, że dłoń trzymająca kufel zadrżała, a na blat stołu wylał się język piany. – Co się z tobą dzieje, Kamerad? Latanie ci się znudziło czy co?

– E, nic takiego. Takie tam, marzenia... – Jach machnął ręką.

– Pewnie o jakiejś ognistej klacze, co, Frantz?! – podchwycił temat Niemiec. – Słyszałem, że w tutejszym burdelu, podobno gdzieś na Bismarckstrasse³¹, jest taka jedna piękność. Słyszałeś o niej, Frantz? Podobno wzdycha do niej pół tutejszego garnizonu. I chyba cały Flieger Ersatzabteilung Lawitz, ha, ha, ha!

– Nie cały, Paul. Ja nic o niej nie wiem – mruknął Polak.

– Akurat! – zachnął się leutnant. – Za długo się znamy, żebym ci uwierzył! O czym może marzyć mężczyzna, jak nie o towarzystwie takiej słodkiej kobiety?

– Masz rację, Paul.

– W tych sprawach zawsze mam rację, Frantz! – Pohl zaśmiał się z własnego dowcipu, jakby powiedział właśnie najlepszy kawał

31 Dzisiejsza ul. Kantaka w Poznaniu.

w całej kantynie. – Wyczuwam, że coś musi być na rzeczy, skoro nie chcesz o tym mówić...

– Wybacz, stary. Muszę do toalety.

Wymówił się potrzebą, żeby wyjść z kantyny i już do niej nie wrócić. Świeże, wieczorne powietrze na zewnątrz nie przywróciło mu spokoju. Choć wypił ledwie pół piwa, nie potrafił się skupić. Myśl, która zakiełkowała w jego głowie, za żadne skarby nie chciała jej opuścić. Ciągle miał przed oczyma widok eskadry nad Poznaniem. Biało-czerwonej eskadry.

VI.

KLUCZOWA JEST GŁOWA

Berlin, siedziba Oddziału III b Wielkiego Sztabu Generalnego³²

– Chciałbym zwrócić panów uwagę na niepokojące sygnały napływające z naszych jednostek na froncie zachodnim. Z danych zdobytych przez wywiadowców, a także – pośrednio – z informacji od dowódców związków taktycznych wynika, że skala dezercji, która już od 1916 roku była niepokojąca, od lata tego roku przybrała wręcz zastraszające rozmiary.

Wysoki blondwłosey oficer niemieckiego kontrwywiadu wojskowego, na oko pod czterdziestkę, stał przy gigantycznej mapie przedstawiającej linię frontu od kanału La Manche po Ardeny. Połyskującym na biało wskaźnikiem przesunął po karcie w okolicy granicy francusko-belgijskiej.

– Sprawa jest pilna i wymagająca natychmiastowego przeciwdziałania – dodał. – Szczególnie tu, w naszych jednostkach cofających się aktualnie pod naporem ententy, masowe dezercje Polaków powodują niedobory kadrowe, często nie do zastąpienia.

Słuchający go mężczyźni w mundurach z wysokimi dystynkcjami poruszyli się za stołem ustawionym na wprost wielkiej mapy. Widać było, że przekazywane przez prelegenta informacje są dla nich szokiem. Nie spodziewali się aż tak złych wieści, gdy jechali do centrum miasta na rutynową odprawę, poświęconą bieżącym zagrożeniom dla bezpieczeństwa państwa. Jeden z nich, z generalskimi pagonami, bynajmniej nie z powodu panującego w sali zaduchu poluzował nerwowym ruchem kołnierzyk munduru pod szyją dźwigającą łysą głowę, a potem

³² Cesarski kontrwywiad wojskowy.

uniósł dłoń, prosząc o głos.

– Panie generale? – podchwycił jego akces oficer przy mapie.

– Mam pytanie, hauptmann³³ Wirbel... – generał wstał zza stołu i podszedł do prelegenta. – Mam jedno zasadnicze pytanie. Czy uważa pan, że te masowe dezercje to wyłącznie skutek naszych, nazwijmy to, przejściowych niepowodzeń we Francji, czy też jest to zaplanowana i z konsekwencją realizowana przez Polaków akcja uchylania się od służby wojskowej, która właśnie teraz, w sprzyjającej dla nich sytuacji ogólnego chaosu, przybrała na sile?

Klaus Wirbel, kapitan kontrwywiadu wojskowego, spodziewał się pytania w tym guście. Zdawał sobie sprawę, że to, co powie generalicji, nie przysporzy mu szczególnej sympatii. Cóż, taka jego pieska fucha.

– Generale Schauder, panowie generałowie – uśmiechnął się dyskretnie, podkreślając mimowolnie z zaferowania końcówkę wąsa. – Sytuacja od dawna nie wygląda różowo, dlatego nie będę słodził ani mydlił wam oczu. Myślę, że w tym miejscu możemy sobie powiedzieć szczerze, jak jest. Otóż... jest źle, panowie. Jest bardzo źle. W niektórych jednostkach stopień dezercji sięga nawet dziesięciu procent stanów osobowych!

– *Zehn Prozent!* – syknęło niemal solidarnie towarzystwo za stołem.

– To hańba! – ryknął generał Schauder. – Jak to w ogóle możliwe w niemieckiej armii?! To jest niedopuszczalne! Trzeba wprowadzić masowe procesy polowe! A schwytanych dezerterów rozstrzeliwać na miejscu!

Kapitan Wirbel przeczekał napad złości wyższego rangą oficera. W zasadzie zgadzał się z jego stanowiskiem. Od Schaudera różnił się jednym – wiedział, że to chwilowo niemożliwe.

– W istocie rzeczy ma pan rację, panie generale – przemówił spokojnym tonem. – Obawiam się jednak, że ogólna sytuacja na froncie i związany z nią bałagan decyzyjny powodują, że pański postulat jest w tym momencie trudny do wyegzekwowania. Stąd moja propozycja, byśmy skupili się najpierw na procesie

³³ Z niem. – kapitan.

skutecznego wyłapywania uciekinierów. Jeśli pomożemy naszej żandarmerii, naturalną konsekwencją będą sądy polowe, których domaga się pan generał.

– Ma pan rację, kapitanie – Schauder poparł natychmiast Wirbela. – Ciągłe jednak nie odpowiedział pan na moje pytanie. Czy ten skumulowany odpływ polskich rekrutów z naszych szeregów to przypadek czy z premedytacją przeprowadzana właśnie akcja ucieczki od obowiązków na rzecz Rzeszy?

Oficerowie za stołem zastygli w oczekiwaniu na odpowiedź. Z cygara w dłoniach jednego z nich wiła się ku wysokiemu sufitowi smużka dymu.

Wirbel po raz wtóry podkreślił wąsa. Lubił znajdować się w centrum uwagi i właśnie dostał swoje pięć minut. Chrząknął więc znacząco, powiódł poważnym spojrzeniem po towarzystwie i oświadczył:

– Panie generale, prawda jest przykra. W szeregach naszej armii działa tajna organizacja skupiająca Polaków z Provinz Posen.

Bruksela, dworzec kolejowy

Z perfekcyjnie podrobioną kartą urlopową wkroczył bez obaw do holu brukselskiego dworca. Pewnym krokiem ruszył ku okienku z napisem „Informacja”. Siedział w nim stary, miejscowy kolejarz wraz z feldweblem, przydzielonym mu zapewne w charakterze asystenta, a może bardziej strażnika. Jęczkowiak chciał się dowiedzieć, czy i kiedy pojedzie do Niemiec wojskowy pociąg urlopowy.

– Najbliższy pociąg jest awizowany do Breslau. Ale odchodzi dopiero jutro o siedemnastej – poinformował go mało przyjaznym tonem feldwebel.

– A do Posen? Nie będzie nic w najbliższym czasie?

– Nic mi o tym nie wiadomo, żołnierzu.

– *Danke schön, Herr Feldwebel* – Jęczkowiak zmartwił się zwłoką, ale nie dał tego po sobie poznać.

Z doświadczenia wyjazdów urlopowych do Poznania wiedział,

że na każdej większej stacji, a już na pewno na tak wielkim dworcu jak brukselski, znajduje się stacja żywnościowa dla żołnierzy w podróży. I nie pomylił się. W zachodnim krańcu dworcowego holu odnalazł wydzieloną z dworca przestrzeń na ciepłą kuchnię i sienniki dla piechurów. Nie był to hotel pierwszego ani drugiego sortu, ale gwarantował przynajmniej miejsce do spania, zbożową kawę i grochówkę z chlebem. Wystarczające luksusy, by przeżyć dobę.

Znalazł sobie wolne legowisko i usiadł na nim z miską grochówki w dłoniach. Posilając się, analizował swoją sytuację. Z jednej strony był trochę rozczarowany, że pojedzie do Breslau, a nie Poznania. Z drugiej jednak strony pocieszał się, że kierunek przyszłej podróży zasadniczo się zgadzał. Jechał na wschód, zamiast na przykład do Hamburga czy Monachium. Nie musiał się martwić o przesiadki. Z Breslau na pewno bez problemu dojedzie jednym pociągiem do Poznania.

Pokrzepiony tą myślą i ciepłą, gęstą zupą, zdrzemnął się, podkładając plecak pod głowę. A potem przeszedł się po dworcu, zaczepiając żołnierzy takich jak on – jadących na urlop lub z niego wracających. Nie trafił jednak na żadnego Polaka. Ale od dwóch piechurów z dywizji spod Lille dowiedział się, że aliancka ofensywa postępuje naprzód, a oddziały niemieckie musiały wycofać się znowu na wschód. I że teraz w pośpiechu rozbudowują na tyłach kolejne rubieże obronne, co oznaczało, że to nie kres odwrotu z Francji. Wojna wchodziła niechybnie w decydującą fazę, w której gra szła już nie o niedopuszczenie Niemców do Paryża – jak wydawało się jeszcze wiosną – ale o przetrwanie Niemiec i zatrzymanie ofensywy ententy.

Jęczkowiak był przekonany, że Niemcy nie dadzą rady. Widział przecież potęgujące się trudności w zaopatrzeniu jednostek w żywność i amunicję. Widział wkradający się chaos i niesubordynację. Prości żołnierze coraz częściej psioczyli na „arystokratów i oficerków”, którzy kazali im nurzać się w błocie i szambie dla swoich imperialnych ambicji. Już z daleka w szeregach śmierdziało nadchodzącą rewolucją.

Poza tym ententę wsparli Amerykanie. To oni wnieśli nowego

ducha w przetrzebione francusko-brytyjskie szeregi. Okazali się mocniejsi niż przerzucone wiosną 1918 roku z zamkniętego frontu wschodniego niemieckie dywizje. Od lata przewaga aliantów w artylerii i lotnictwie kłuła w oczy. To i tak cud, że armia Kaisera stawiała opór tak długo.

Rozmowa z piechurami spod Lille utwierdziła go w przekonaniu, że dobrze zrobił. Że celnie odczytał znaki na niebie i ziemi i prawidłowo wybrał czas dezercji. Kiedy kładł się wieczorem do snu, przypomniał sobie słowa podporucznika Różańskiego wypowiedziane w okopach pod Laon.

„Może i Szwaby tę wojnę przegrają...”

Po tym, co widział i słyszał wokół siebie, był już niemal pewien, że przegrają.

Berlin, w tym samym czasie

– Czy to pewna informacja? – Nabrzmiała żyła na czole generała Schaudera wyglądała naprawdę niepokojąco. Jego czerwona, nabiegła krwią twarz mogła sugerować, że jest bliski wylewu.

– Niestety tak – potwierdził kapitan Wirbel. – Temat jest już przez nas dość dobrze rozpracowany. Na tyle dobrze, że istnieją nawet przesłanki, by podejrzewać, że organizacja ta ma związki z podobną strukturą w Warszawie. A może nawet, co niewykluczone, jest jej siostrą bliźniaczką, jeśli oczywiście można tak powiedzieć o tajnym sprzysiężeniu. Wiemy, że nazwa tego związku to Polska Organizacja Wojskowa Zaboru Pruskiego. Istnieje wprawdzie już od 1914 roku, ale naprawdę aktywnie działa dopiero od wiosny tego roku. Jej głównym celem jest rekrutacja zbiegów z naszej armii, którzy przeszli odpowiednie przygotowanie bojowe i mają za sobą doświadczenia frontowe...

Generałowie za stołem słuchali tych słów w milczeniu. Wyglądali na porażonych. Ich ponure miny nie pozostawiały złudzeń, że informacje przekazane przez hauptmanna Wirbela są dla nich jak grom z jasnego nieba. A może nawet jak apokalipsa.

– Nie wiemy jeszcze, kto stoi na czele tej organizacji. Z dużą

dozą pewności możemy jednak uznać, że to sprawka jakiegoś dezertera, najprawdopodobniej podoficera z Posen albo z okolicy. Organizacja ma niejasną strukturę. Wiele zdaje się wskazywać na skautowskie korzenie tego sprzysiężenia. To na razie jedna z poszlak. Nasi agenci...

Zza stołu podniósł się dość gwałtownie najstarszy ze zgromadzonych oficerów. Nerwowym ruchem zdusił cygaro w popielniczkę.

– Ale jaki jest ich cel, herr hauptmann?! – wykrzyczał w stronę Wirbela. – Jaki mają cel te cholerne Polaczki?!

Kapitan przestąpił z nogi na nogę. Zrozumiał, że audytorium chce iść na skróty.

– Chodzi im oczywiście o oderwanie Provinz Posen od Rzeszy – wytłumaczył najprościej, jak tylko się dało. – A w szerszym tle, o odbudowanie państwa polskiego.

Na sali zapadła trudna do zniesienia cisza. Tak dojmująca i ponura, że słycać było dwie muchy krążące wokół żyrandola nad głowami wojskowych.

Wirbel uznał, że powinien coś jeszcze dodać.

– Dlatego gromadzą broń i nakłaniają swoich rodaków do dezercji z naszej armii – powiedział spokojnym tonem. – Wszystko to układa się w dość logiczny ciąg wydarzeń, które – przyznacie panowie – potwierdzają w całej rozciągłości ustalenia moich podwładnych.

W sali znowu nastąpiła cisza. Długa, nieprzyjemna. Przykra. Zdawała się niezniszczalna, ale to był tylko pozór.

Pierwszy odzyskał mowę generał Schauder.

– Jeśli wiemy już tak dużo, dlaczego ich do tej pory nie rozbiliśmy? – zadał pytanie, które kapitan Wirbel również przewidział.

Oficer kontrwywiadu miał gotową odpowiedź.

– Bo sprawa jest rozwojowa, panie generale. Gdybyśmy uderzyli teraz, aresztowalibyśmy tylko płotki. Ucielibyśmy palce, co najwyżej rękę, podczas gdy korpus buntownika pozostałby nietknięty. A zwłaszcza jego głowa. Tak, panie generale. Kluczowa jest głowa spisku. I my musimy do niej dotrzeć. Żeby ją

rozpoznać i odstrzelić, zanim zaświta w niej wywrotowa myśl.

– Jaka myśl, herr hauptmann?

– To proste, panie generale. Myśl o powstaniu.

Poznań, róg ulic Wielkie Garbary i Wszystkich Świętych

Tajny lokal o wdzięcznej nazwie „buda skautowa” mieścił się na strychu dwupiętrowej kamienicy. Dom rzeczywiście okazał się własnością Antoniego Górskiego, mistrza piekarskiego. Na umówione hasło piekarz wpuścił Kaczmarka do środka i zaprowadził schodami na poddasze.

Kwaterna była bezpieczna, bo – jak szybko zorientował się Kaczmarek – w razie niebezpieczeństwa dawała duże szanse ucieczki po dachach dwóch sąsiednich kamienic. Na dach prowadziły liczne lukarny doświetlające całkiem przytulne wnętrza strychu.

W środku okazało się, że Kaczmarek nie jest bynajmniej jedynym ukrywającym się dezserterem z frontu. Strych pełnił właściwie rolę nieznanego zwykłym przechodniom pensjonatu dla uciekinierów spod rozkazów Kaisera Wilhelma. Wygody nie były może najwyższych standardów – ale solidne sienniki i koce zapowiadały dobry sen. Na niczym innym Kaczmarkowi nie zależało. Z dołu budynku na jego najwyższą kondygnację dolatywał za to cudowny zapach świeżego chleba. Na szczęście szef interesu nie zapomniał podrzucić „wojakom” kosza z kajzerkami i żytnim chlebem. A także osełki masła.

Kaczmarek rychło znalazł kontakt z towarzystwem. Jak się szybko zorientował, oprócz kilku dezserterów takich jak on, na strychu u Górskiego ukrywało się też paru mocno podrosłych skautów z hufca „Piast”, poszukiwanych przez niemiecką policję lub żandarmerię z powodu różnych mniej lub bardziej groźnych dla cesarskich Niemiec akcji. Młodociani mężczyźni chętnie dzielili się z nowo przybyłym opowieściami o nocnym rozbijaniu Niemców na rogatek miasta, o wykradaniu granatów z jednego z podmiejskich fortów, albo

o przekupywaniu dowódców niemieckich średniego szczebla, by ci z kolei przymykali oko na dziwne ubytki w uzbrojeniu skoszarowanego wojska na Jeźycach.

Kaczmarek chłonał te opowieści jak gąbka – i trudno się dziwić. Nie było go w Poznaniu ładne dwa lata, podczas których miasto zmieniło się – nomen omen – nie do poznania. Namnożyło się w nim tajnych organizacji i organizacyjek, małych i dużych związków, wśród których jego tajemnicze „peowu” zdawało się tylko jedną z możliwych do wyboru opcji. Inna sprawa, że w ostatnim czasie chyba najbardziej aktywną.

Z opowieści nowych kompanów jedno wynikało niezbiecie: armia niemiecka pruje się w szwach i z zachodu zjeżdżają do Poznania coraz liczniejsi dezercerzy, którzy chcą dokonać czegoś wielkiego. Czegoś, o czym marzyli ich ojcowie czy dziadowie, lecz nie było im to dane lub się nie powiodło. To miał być skok przez duże „S”. Skok po wolność.

Cieszył się, że znalazł się w dobrym towarzystwie. Że dotarł tu dzięki Krausemu, koledze z okopów. Że w ogóle poznał Krausego i dzięki niemu dostał od losu nową szansę. Taką szansę na odegranie się Szkiebrom! Nie zamierzał jej zmarnować.

Trzeciego dnia pobyt na strychu zaczął mu się jednak dłużyć. Raz czy drugi mimochodem wspominał, że chciałby wyjść na miasto. Bo ile w końcu można siedzieć na tyłku w jednym miejscu, kiedy jedynym urozmaiceniem jest spacer do wychodka na zapleczu kamienicy?

– Nie wyjdiesz, tej, zanim nie wyrobią ci fałszywych papierów
– osadził go w miejscu Bernard Górski, syn piekarza, który zaglądał do nich regularnie na górę, donosząc nowiny z miasta.

Kaczmarek dowiedział się wcześniej, że młody Górski też jest członkiem jednej z drużyn w hufcu „Piaś”. I że również należy do konspiracji.

– Lewe dokumenty? Kiedy je dostanę? – zainteresował się.

Młody Górski spojrział na niego z politowaniem.

– Widać, żeś pan od niedawna w organizacji – powiedział. – To nie takie hop-siup, panie szanowny. Najpierw to oni muszą sprawdzić, czy pan za sobą ogona jakiego nie ciągniesz.

– Ogona? – Kaczmarek mimowolnie obejrzał się za siebie, wywołując wybuch śmiechu swoich kompanów.

– Ogona. Agentów jakichś, znaczy się. Jak już będą pewni, żeś pan czysty, to wtedy muszą panu papiery zmistyfikować. Wiarygodne dane nieboszczyka zdobyć albo inne mocne wymyślić i zalegalizować. A to trwa, panie szanowny. A czasem nawet kosztuje.

Kaczmarek zastanawiał się przez chwilę, o kim młody Górski mówi per „oni”. Uznał jednak, że to nie jego sprawa.

– Kiedy nudno tak siedzieć z założonymi rękoma – westchnął.

– A co, może sprowadzić ci jakieś mele?³⁴ – zagadnął go z winkła rudy Franek Kubiak. – Chyba że sam znajdziesz sobie jakąś pod laterną?³⁵

Kolejna fala śmiechu rozładowała napiętą atmosferę. Kaczmarek wyczuł, że słowny kuksaniec Kubiaka był bardziej przyjacielski niż złośliwy.

– A jak już o melach gadamy, to powiem wam, że ładniejszej od takiej jednej z lazaretu na Jeżycach w życiu nie widziałem – zwierzył się z roześmianą gębą.

– To jeszcze mało widziałeś! – skomentował Kubiak.

– Ejże, czy on przypadkiem nie mówi o Baśce? Takiej gidycji z fajnymi dydkami?³⁶ – zainteresował się pozostający dotychczas na uboczu Jędrzej, syn stolarza z Wildy.

– A ty skąd znasz Basię? – zdziwił się Kaczmarek.

Zrobiło mu się dziwnie przykro.

– Jak to skąd? Z tego samego szpitala. Kto nie zna Bachy, człowieku! Wzdycha do niej pół lazaretu, z tym staruszkim Radtkem na czele!

Głośny rechot, który wybuchł na strychu, przeczył z pewnością wszelkim zasadom konspiracji.

34 Z gwary poznańskiej – dziewczuchy, panny.

35 Z gwary poznańskiej – latarnia.

36 Z gwary poznańskiej – Takiej wysokiej pannie z fajnymi cyckami?

W pociągu przez zachodnie Niemcy, koniec września 1918 r.

Najważniejsze było to, że znowu podróżował na wschód. I to w całkiem niezłych warunkach.

Pociąg do Breslau podstawiono na brukselski dworzec następnego dnia późnym wieczorem. Ciągnął się na kilkanaście wagonów z przedziałami, w dużej mierze zajętymi już przez szczęśliwych urlopowiczów. Nim Jęczkowiak wskoczył do środka, z tabliczki na jednym z wagonów odczytał trasę, jaką miał pokonać żelazny skład. Wiodła przez Akwizgran, Kolonię, Eisenach i Lipsk. Jak nic zejdą mi dwa dni – ocenił i rozejrzał się za miejscem w wagonie. Szczęśliwie znalazł je przy oknie, w przedziale opanowanym przez dość wesołą kompanię z Lipska. Nie przyznając się, kim jest i dokąd zmierza, wtulił się w kąt, nakrył płaszczem i uciął drzemkę. Ale nie do końca prawdziwą, bo pod ręką trzymał tornister – a w nim pistolet. Miał nadzieję, że nie będzie musiał po niego sięgać.

Jechali niemal bez postojów, a monotony stukot kół ułatwiał Jęczkowiakowi wypoczynek. Bo choć towarzystwo było początkowo pobudzone i grało w karty do upadłego, około północy skapitulowało i gremialnie złożyło broń, by kwadrans później chrapać na potęgę. Nawet głód nie wybił ich z twardego snu.

Jęczkowiak spał czujnie. Ze dwa razy, gdy pociąg stawał, budził się z letargu i nasłuchiwał, czy aby do wagonu nie wchodzi patrol żandarmerii. Upewniwszy się, że nic mu nie grozi, ponownie zapadał w drzemkę. Na tyle jednak czujną, że odnotował moment, w którym za oknem wagonu przesunęła się w ciemnościach strzelista sylwetka katedry w Kolonii. Łoskot żelaznego potwora przetaczającego się po moście nad tonącymi w mroku wodami Renu uświadomił mu, że znowu znalazł się w granicach Niemiec.

To już prawie jak w domu, pomyślał i znowu zapadł w półsen.

Nad ranem, gdzieś przed Lipskiem, obudziła go intensywna,

kwaśna woń. Pociąg stał. Było już na tyle jasno, że przez szybę zauważył stojący tuż obok skład towarowy. Spod krytych wagonów niósł się jakże znajomy zapach. Jabłka!

Intensywna woń postawiłaby na nogi umarłaków, a coś dopiero wymizerowanych, wygłodniałych jak wataha wilków wojaków. Z pociągu wysypało się kilkunastu z nich, którzy sprawnymi uderzeniami łomu wybili otwór w okienku jednego z wagonów z jabłkami i za chwilę na tory poleciały dziesiątki, setki rumianych owoców. Zbierali je łapczywie, wrzucając kompanom przez okna.

Jęczkowiak złapał dwa z nich. Choć były diabelsko kwaśne, zjadł je w okamgnieniu. Był głodny, a jednocześnie spragniony – więc owoc, którym wąż kusił Adama i Ewę, zdawał mu się darem niebios. Co z tego, że lekko nadgnite jabłka wyglądały na spady przeznaczone na przerób. Liczyło się to, że wypełniły ściśnięte żołądki treścią, dając żołnierzom pozór szczęścia i sytości.

Gwizdek kolejarza przywołał w końcu amatorów kradzionych jabłek do porządku.

Najgorsze przyszło dwie godziny później. Niemal każdy z urlopowanych żołnierzy trzymał się za brzuch, walcząc z nieznośnym uczuciem rewolucji w trzewiach. Brzuch Jęczkowiaka wzdymał się boleśnie, przywodząc na myśl najtragiczniejsze w skutkach sprawy. W końcu nie wytrzymał i popędził do toalety. Była już okupowana przez spory tłum zrozpaczonych miłośników fermentujących jabłek. Potężnym wysiłkiem woli dotrwał momentu, aż nastąpiła jego kolej, ale gwałtowna defekacja nie poprawiła jego samopoczucia.

Piorunującym postępom biegunki przyglądał się feldwebel siedzący z przodu wagonu. To on zgłosił na następnej stacji konieczność pomocy lekarskiej. Tak się złożyło, że na pobliskim dworcu miał swój punkt Czerwony Krzyż. Błady jak ściana Jęczkowiak niechętnie opuścił pociąg wraz z kilkunastoma żołnierzami w podobnym stanie. Od starego lekarza dostali jakieś tabletki, po czym położono ich na siennikach w osobnej sali dworca. Jęczkowiak miał dreszcze, dlatego z wdzięcznością przyjął koc ofiarowany mu przez sanitariuszki.

Nawet nie zauważył, kiedy pociąg do Breslau odjechał.

Z tamtego dnia zapamiętał jedynie kawę zbożową, roznoszoną przez siostry Czerwonego Krzyża – i ciągłe spazmy dreszczy. Skulony w obwarzanek, szczelnie okryty kocem mimo ciepłego dnia, walczył o poprawę swojej kondycji. Nieprzyjemne objawy zatrucia zaczęły ustępować pod wieczór. Akurat wtedy, kiedy siostry zapowiedziały chorym żołnierzom, że rano zbada ich lekarz.

Słowa te zabrzmiały jak ostrzeżenie. Jęczkowiak zdawał sobie sprawę, że wizyta lekarza oznacza konieczność rejestracji chorych. A tego on, właściciel sfałszowanej karty urlopowej, chciał za wszelką cenę uniknąć.

W nocy niepostrzeżenie posilił się jedną z ostatnich konserw. Czuł się już dużo lepiej. Choć nadal słaby, wstał i popróbował spaceru. Stał znowu mocno na nogach. Około trzeciej w nocy dyskretnie uprzątnął swoje rzeczy do tornistra i – wykorzystując wyjście dyżurnej pielęgniarki do ubikacji – czmychnął po cichu z sanitarnej części hali dworca.

Noc była zimna, nieprzyjemna. W powietrzu pachniało już szybko nadciągającą jesienią, której daleko było do francuskich, upalnych poranków.

Dopiero teraz, w świetle wschodzącego słońca, z szyldu nad budynkiem dworca odczytał, gdzie jest. Naumburg, czyli około godziny jazdy do Lipska – ocenił. Nie pozostawało mu nic innego, jak poczekać na kolejną okazję.

Wrócił na dworzec. Na tablicy z kursami pasażerskimi wyczytał, że następny pociąg do Breslau przyjedzie o piątej trzydzieści. Z kartą urlopową mógł korzystać z każdego rodzaju połączeń. Zadowolony z siebie przysiadł na ławce i spojrzał na rozpostartą płachtę gazety, którą trzymał siedzący na wprost niego podróżny w wieku emerytalnym.

Nasza zwycięska armia prostuje linię frontu we Francji – przeczytał bity grubą czcionką tytuł artykułu.

Gadka szmatka dla naiwnych – skomentował w myślach.

I po raz pierwszy w Naumburgu uśmiechnął się.

VII.

POLNISCHE DEGENERATEN!

W tym samym czasie, Berlin, siedziba Oddziału IIIb Sztabu Generalnego

Nieśmiałe promienie wschodzącego słońca przeciskały się przez story, zasunięte niemal do marmurowego parapetu. Siedzący przy biurku mężczyzna przetarł pięściami zmęczone powieki i ponownie pochylił się nad rozłożonymi na blacie dokumentami.

Meldunek pochodził z północnej Pikardii, z baterii artylerii ciężkiej. Dowódca jednostki, leutnant Johann Koch, donosił w nim, opierając się na ustaleniach wachtmeistra Thiele, że w końcu sierpnia szeregi jego baterii opuścił kanonier Józef Gabriel Jęczkowiak, poborowy z Posen.

W samym meldunku nie byłoby może nic szczególnego – dezercje mnożyły się wszak tej jesieni jak króliki – gdyby nie uwaga poczyniona przez Kocha na marginesie urzędowego zawiadomienia dla żandarmerii. Oficer uznał najwidoczniej za wskazane napisać kilka dodatkowych zdań, które nie dały tej nocy spać kapitanowi Klausowi Wirbelowi. W tych kilkudziesięciu słowach Koch zawarł bowiem kwintesencję problemu, z którym bez powodzenia zmagał się cały kontrwywiad cesarskich sił zbrojnych.

Inkryminowany Jęczkowiak w trakcie swojej niespełna dwuletniej służby frontowej zapisał się w pamięci dowództwa jako podejrzany o zorganizowanie dzieła sabotażu na dużą skalę polegającego na ustawicznym przerywaniu połączeń telefonicznych sztabu baterii z jednostkami sąsiednimi – napisał leutnant.

Prawdziwą bombę ukrył jednak w końcówce mało pochlebnej noty.

Istnieją poważne przesłanki, by przyjąć, że wspomniane wyżej działania dezertera Jęczkowiaka nosiły znamiona dobrze przemyślanej akcji, mającej wsparcie w tajnej organizacji o charakterze narodowym. Dezertier oparł się w swojej sabotującej działalności na Polakach odbywających służbę w naszej jednostce. Mam powody, by podejrzewać, że zbieg utrzymywał kontakty z nielegalną, wywrotową organizacją paramilitarną z Posen...

Hauptmann Wirbel opadł na wyściełane skórą oparcie fotela. Miał powody do obaw czy wręcz lęku. Meldunek dowódcy Baterii Artylerii Ciężkiej numer 30 był bowiem kolejnym sygnałem, pokrywającym się z kilkunastoma innymi wysyłanymi przez zaniepokojonych podoficerów i oficerów z różnych miejsc frontu. Wszystkie one nie tylko informowały o nasilających się ucieczkach Polaków; między wierszami sugerowały także istnienie jakiegoś planu, misternie realizowanego przez żołnierzy narodowości polskiej. W dodatku na rozkaz lub żądanie tajnej organizacji, o której Wirbel wspomniał niedawno na odprawie w Ministerstwie Wojny.

Jak on się dziwnie nazywa? – raz jeszcze wziął papier w dłoń i odszukał w meldunku nazwisko Polaka. Jęczkowiak, pisane z tym charakterystycznym, żalonym polskim ogonkiem pod pierwszą z samogłosek. I z tym cholernym słowiańskim „c-z” w środku! Skoro ten cały Jęczkowiak potrafił zdeorganizować nam łączność na poziomie baterii artylerii, niewykluczone, że potrafi zrobić znacznie gorsze rzeczy na poziomie miasta czy całej prowincji. A jeśli zdezerterował, to Wirbel mógł przyjąć z całkowitą pewnością, że aktualnie jest w drodze do Posen. Może nawet już tam dotarł? Niezależnie od tej zagadki, jedno dla kapitana było oczywiste: Polak wraca do Posen, żeby zaszkodzić Rzeszy.

Do akt Jęczkowiaka załączona była fotografia. Wirbel przyjrzał się twarzy Polaka. Nie potrzebował jej długo studiować, by dojść do wniosku, że poszukiwany ma harde, wyzywające spojrzenie, tendencję do mocnego zaciskania ust, co mogło znamionować zdecydowany charakter – i ogólnie twardy wizerunek. Tak... Ten człowiek bez dwóch zdań może oddać polskiej konspiracji spore usługi...

Kapitan wstał i przeciągnął się, ziewając przy tym bez zażenowania na całe gardło. Na zdrętwiałych od nocnej pracy nogach podszedł do stoliczka na kółkach i nalał sobie koniaku z karafki. Ciekawe, jak ten Polak podróżuje do domu? – zastanawiał się. Na jego miejscu wybrałbym kolej. Pewnie jedzie na lewych papierach, więc rozesłanie jego nazwiska naszym służbom zda się psu na budę. A jeśli tak, to jak je zdobył? I czy w Posen odważy się zajrzeć do najbliższej rodziny?

Ciesząc się smakiem grzejącego gardło trunku, pomyślał, że dobrze byłoby namierzyć Jęczkowiaka i udaremnić mu jego plany, cokolwiek zamierza on zrobić. Ale nie od razu, postanowił niemal w tym samym momencie. Najpierw niech zaprowadzi ich, kontrwywiad wojskowy, do środka tej polskiej organizacji. Kiedy już poznają ludzi i strukturę, wyaresztują całą siatkę, dusząc spisek w zarodku. I zbierając zasłużone pochwały. A może nawet dowody wdzięczności ze strony cesarza...

Wirbel rozmarzył się na chwilę. Bardzo krótką. W swojej formacji słynął z realizmu, wręcz kurczowego trzymania się ziemi i twardych faktów. Nie pozwolił więc sobie na projekcję przyszłości, zanim czegokolwiek nie osiągnął.

– Do ataku, Wirbel – mruknął sam do siebie.

Podszedł do biurka, zakręcił prądnicą telefonu i podniósł słuchawkę.

– Proszę natychmiast wezwać do mnie szefów naszych delegatur w Provinz Posen – rozkazał. – Natychmiast, rozumiemy się?

Między Breslau a Poznaniem, koniec września 1918 r.

Do Breslau dotarł około południa. Szczęście mu dopisywało: podczas jazdy był dwa razy kontrolowany przez żandarmerię – i nikt nie zakwestionował jego fałszywych papierów. Udało mu się zatem opuścić pociąg do Breslau i dowiedzieć, kiedy podstawią najbliższy pociąg do Poznania. Musiał poczekać dwie godziny, które wykorzystał na posilenie się grochówką w wojskowej kuchni na uboczu dworca.

Jadąc na północ, ku rodzinnym stronom, zdecydował, że nie będzie kusił licha. I wysiadł wcześniej, pod Poznaniem. Był pewny, że Koch powiadomił już władze w Poznaniu o jego ucieczce i że tamtejsza żandarmeria czeka już na niego na dworcu, pewna sukcesu. Nie chciał im ułatwiać zadania. Dlatego wyskoczył z pociągu trzy stacje wcześniej – w Puszczykowie.

Niski budynek stacji przywołał dawne wspomnienia. Świetnie znał tę okolicę i tutejsze lasy. Malowniczy zakręt Warty i leśne dukty, które wielokrotnie przemierzał w trakcie skautowskich wycieczek. Intensywny zapach żywicy letnią porą. I noce spędzone pod pałatkami albo w pochodach zwanych górnołotnie manewrami... Ech, szczeniące lata!

Nucąc pod nosem wesołe poznańskie śpiewki, maszerował wzdłuż nasypu kolejowego, nie porzucając wszakże podstawowych zasad ostrożności. Był już tak blisko celu, że nie wyobrażał sobie wpadki.

Pół godziny później w oddali dostrzegł strzeliste szczyty lubońskiej fabryki Maya. Kominy dymiły aż miło, produkcja nawozów szła pełną parą. Uśmiechnął się zadowolony. Tu wszystko funkcjonowało po staremu, a on nie lubił niespodzianek. W Poznaniu zapewne też zmieniło się niewiele...

Od domu dzieliła go już tylko godzina, może półtorej godziny marszu.

Szło mu się lekko jak nigdy dotąd.

Lotnisko w Ławicy pod Poznaniem, w tym samym czasie

Nadchodząca jesień przypominała o sobie zimnymi, wilgotnymi porankami. Las po zachodniej stronie pasa startowego z wolna zaczął zmieniać kolory. Zamiast zieleni dominowały teraz żółć, złoto i czerwień. Trawiasty pas wzlotów zszarzał i stracił dawną świeżość. Piloci zaczęli ubierać się zdecydowanie cieplej.

Jach oczekiwał na sygnał zwrotny. A konkretnie na kolejną wizytę woźnicy, który zabierał z lotniska stare pieczywo. Musiał być uważny i nie prowokować podejrzeń. Odnosił bowiem wrażenie, że Pohl i jego niemieccy koledzy spoglądają na nielicznych Polaków w obsłudze lotniska inaczej niż dotychczas. W ich oczach czaiła się jakaś bliżej nieokreślona obawa. Jakaś nieufność, a może nawet podejrzenie.

Wóz po czerstwe pieczywo przyjechał pod wieczór. Wiatr przeganiał po ulicy dojazdowej do lotniska pierwsze opadłe liście, gdy znany Jachowi dotychczas tylko z widzenia starszy mężczyzna na koźle zatrzymał swój pojazd tuż przed wyjściem z hangaru, w którym leżały worki z resztkami zeschłego chleba. Przed halą uwijał się jak w ukropie Zenek Dolny, kumpel Jacha.

Franciszek zlustrował szybkim spojrzeniem okolicę. Pobyt woźnicy na placu przed hangarem nie zwrócił niczyjej uwagi. Poza Dolnym i kilkoma jego ludźmi pakującymi worki na wóz, wywózka starej żywności nikogo więcej nie zainteresowała. Jach opuścił więc swobodnym krokiem swój warsztat i skierował się ku pospiesznemu załadunkowi.

Odgrywał całkiem udatnie scenkę wieczornego spaceru. Z rękoma w kieszeniach spodni, z pozorów patrząc tylko pod nogi – a w rzeczywistości wokół siebie – podszedł do wozu i uśmiechnął się do wąsatego, niepozornego furmana. Gdy był absolutnie pewny, że nikt inny nie usłyszy jego słów, zapytał:

– Znaleźli?

Mężczyzna na koźle odpowiedział ledwo zauważalnym skinieniem głowy.

Gdyby w tej chwili ktoś przyglądał się ich spotkaniu z boku, odniósłby niechybne wrażenie, że woźnica po prostu przywitał lotnika.

Jach poczuł ciepło rozchodzące się mu po sercu.

– Na razie bez zmian – dorzucił pospiesznie. – Jak tylko coś, dam znać.

Tym razem woźnica nawet nie drgnął, przyglądając się z kozła obojętnym wzrokiem pomocnikom Dolnego ładującym worki na tył wozu. Jach był jednak pewny, że wozak skrzętnie zanotował w pamięci to, co usłyszał. Przecież poprzednim razem było podobnie – i informacja trafiła tam, gdzie na nią oczekiwano.

– Ruszyłybyś się, Franek! – zawołał do niego z przyganą w głosie spocony Dolny. – Mógłbyś podrzucić choć kilka worków, ty nygusie³⁷!

– Dacie radę beze mnie! – odkrzyknął Jach.

Ale żeby nie wzbudzić podejrzeń, wszedł do hangaru i wziął na plecy jeden z worków, pełnych twardych sucharów. Pewnie same piętki od bochenków – pomyślał z niesmakiem. Za chwilę jego worek spoczął na wozie.

– Aleś się, kolego, wysilił! – drwił z niego w żywe oczy Zenek Dolny. – Jeden worek wrzucił, widział go kto!

– No dobra, niech ci będzie – zawrócił po jeszcze jedną płócienną plecionkę.

Dobrze zrobił, bo nie wiedzieć skąd nawinął się nagle jego kamerad Paul.

– Pomóc? – zapytał z ironicznym uśmiechem na twarzy.

– *Nein, danke* – Jach był mimo wszystko zadowolony, że Niemiec zobaczył go w działaniu, a nie podczas pogawędki z woźnicą. – Już kończymy. Tylko wstyd, że marnuje się tyle pieczywa.

Pohl pokiwał smutno głową, jakby i jego to martwiło.

– No, ale będzie chociaż dla świnek – zauważył. – Czyli być może do nas wróci. Tylko w innej postaci. Smaczniejszej, ha, ha, ha!

Jach parsknął śmiechem. Paul miał specyficzne poczucie humoru, proste jak świerki w Szwarzwaldzie, ale na swój sposób bywał zabawny. Zwłaszcza po piwie. Franciszek wyobraził go

37 Z gwary poznańskiej – leniu.

sobie jako bauera na fermie gdzieś w Bawarii. Na pewno z rolnictwem poradziłyby sobie nie gorzej niż z pilotowaniem Fokkera.

Towarzystwo ogarnęła ogólna wesołość. Śmiał się nawet woźnica na koźle. I Dolny, wrzucający na pakę ostatni ładunek. W powszechnej radości nikt nie zauważył niemieckiego oficera, opartego plecami o stalową ścianę hangaru po drugiej stronie placu. Pałac papierosa, Niemiec przyglądał się uważnie staremu wozakowi.

Poznań, buda skautowa na rogu Wielkich Garbar i Wszystkich Świętych, dwa dni później

Rozmawiali właśnie o tym, co to będzie, kiedy Niemcy ostatecznie przegrają wojnę, gdy drzwi strychu rozwarły się z trzaskiem i stanął w nich Bernard Górski. Jego rozbiegany wzrok i czerwone od biegu policzki mogły zwiastować tylko najgorsze.

– Policja na dole! Wszyscy na dach! – ryknął.

Kaczmarek zerwał się z siennika na równe nogi i sięgnął po swój płaszcz. Inni zrobili tak samo, wrzucając na siebie wszystko, co leżało wokół nich i starając się uporządkować zajmowane dotychczas miejsca. W ogólnym chaosie szło im to kiepsko, więc młody Górski zaczął wypychać „nielegalnych” w stronę jednego z okien poddasza.

– Wychodźcie, ale już! Ja to wszystko uprzątnę! – popędzął spanikowane towarzystwo.

Nie musiał dwa razy powtarzać. Mężczyźni rzucili się ku oknu, przez które można było – zachowując niezbędną ostrożność – wyjść na dach. Trzeba było tylko przytrzymać się mocno ramy lukarny i nie stracić równowagi w momencie wchodzenia na pochyłość dachówek.

Mimo krańcowego zamieszania, jakimś cudem kilkunastu mężczyznom różnych postur i różnej wagi udało się w miarę sprawnie wydostać na dach. Wszystko odbyło się w milczeniu,

bez zbędnych słów. Gdy tylko ostatni z ewakuowanych zniknął za oknem, młody Górski i towarzyszący mu pomocnik z piekarni ojca zabrali się za usuwanie sienników i koców. Sapali przy tym jak tury, przesuwając legowiska za starą szafę i sprzątajac inne drobne rzeczy, którymi usłana była podłoga.

Trzy minuty później poddasze znowu wydawało się niezamieszkałe. Dla zwiększenia tego efektu młody Górski zdjął buty i skarpety, a następnie powiesił te ostatnie na sznurku, mniej więcej w połowie długości strychu. W jego ślady poszedł natychmiast pomocnik z piekarni. Wszystko po to, by nic na strychu nie wzbudziło żadnych podejrzeń.

Pora była najwyższa, bo na schodach rozległy się kilkakrotne, przenikliwe sygnały z policyjnych gwizdków, a zaraz potem na drewnianych stopniach zadudniły pośpieszne kroki. Zanim na strych domu wbiegli dwaj umundurowani policjanci, wsparci przez trzech żandarmów, młody Górski wdział ponownie buty i ustawił się w rogu, przy wiklinowym koszu. A jego pomocnik wyjął z kieszeni dwie drewniane klamerki i przyjął pozycję rozwieszającego pranie.

Kaczmarek stał najbliżej okna, a zimny wiatr owiewał mu gołą szyję. Metr od jego nóg kończyła się linia dachówek. Dalej była już tylko wysokość kilkunastu metrów – i bruk ulicy Garbary, ruchliwej o tej porze dnia. Kątem oka dostrzegł powóz z meblami zatrzymujący się przed sklepem po przeciwnej stronie ulicy. Wysokość nie robiła na nim wrażenia. Bał się tylko, żeby policjanci nie wyjrzeni przypadkiem przez okno. Czy wtedy by skoczył?

Z bijącym mocno sercem nasłuchiwał odgłosów ze strychu. Rychło doczekał się głośnej wymiany zdań.

– *Kommissar Knochel, Kriminalabteilung der Polizei Posen!*³⁸ – krzyknął ktoś gardłowym głosem. – Kto wy jeszteszcie i czo tutaj robicie?!

W odpowiadającym Kaczmarek rozpoznał syna piekarza.

– Nic takiego, panie władzo. Nazywam się Górski, Bernard Górski. Jestem synem właściciela domu. A to mój pomocnik

38 Z niem. – Komisarz Knochel, wydział kryminalny policji w Poznaniu!

Antoni... Właśnie zdejmujemy pranie.

– Przyszliszcie tu po cztery szkarpety?! Wy myślicz, że my idioten?!

– Gdzieżbym śmiał, panie Knochel! – Kaczmarek musiał przyznać, że młody Górski poczyną sobie nadzwyczaj rezolutnie.

– Mówię szczerą prawdę. Kolega się ociągał, to przyszedłem go trochę popędzić...

– *Ja, ja! Ich glaube euch nicht!*³⁹ *Mamy Anzeige*⁴⁰, że czimacie tu dezertery! Gdzie one są? No, gdzie?

– Pan władza sam zobaczy... Przecież tu nikogo nie ma – nie dawał za wygraną młody Górski.

– Gut, gut! Już my to sprawdzimy! – głos komisarza niemieckiej policji zdradzał rozdrażnienie.

Chwilę potem na poddaszu dało się słyszeć szuranie meblami po deskach podłogi. Sądząc z hałasu, jaki robiła ekipa śledcza, policjantów musiało być kilku. Kaczmarek na wszelki wypadek przesunął się w górę dachu. Był teraz pewien, że nawet jeśli Knochel lub jego ludzie wyjrzą przez lukarnę, nie dostrzegą mężczyzn siedzących na szczycie dachu.

Miał nosa. Nagle w oknie pojawiła się głowa w policyjnej czapce. Spojrzała jednak w dół, po czym szybko cofnęła się do środka.

– Na zewnątrz nikogo nie ma! – zameldował funkcjonariusz.

– A te matracen dla kogo?! – rozległ się znowu gruby głos komisarza Knochela.

Tym razem zabrzmiał triumfalnie. Najwyraźniej ekipa policji odkryła sienniki, wsunięte za szafę.

Młody Górski nie stracił jednak głowy.

– Pan komisarz rozumie... Chłopaki czasem się tu umawiają z dziewczynami – słowa Bernarda świadczyły o tym, że był przygotowany i na tę ewentualność.

– A te koce?

– Są tu właśnie na tę okoliczność. Noce bywają teraz już chłodne i...

Ktoś na strychu sapał z oburzenia, a jednocześnie z bezsilności

39 Z niem. – Nie wierzę wam!

40 Z niem. – donos.

jak stary parowóz. I niemal na sto procent był to szef niemieckich policjantów.

– *Polnische Degeneraten!* – wykrzyknął komisarz, w którym najwyraźniej obudził się duch nauczyciela i moralizatora. – *Sofort weg!*⁴¹ Wyrzuczycz matrace! *Alle weg!*

Kaczmarek zerknął okiem na świeżo poznanych kompanów siedzących wyżej od niego. Wszyscy zaciskali dłońmi usta, heroicznym wysiłkiem powstrzymując się od wybuchu śmiechu. Z oczu kapały im łzy, a ich brzuchy aż trzęsły się od bezgłośnego rechotu.

– Tak jest, panie władzo. Materace precz! – powtórzył dyspozycję policjanta młody Górski.

Wzmógłony tupot nóg świadczył o tym, że wraz z Antonim i funkcjonariuszami policji zabrał się od razu do dzieła.

41 Z niem. – Natychmiast precz!

VIII.

PO NITCE DO KLĘBKA

Nadal w Poznaniu, przełom września i października 1918 r.

– Józus ty mój! Wróciłeś!

Głos Anny Jęczkowiak załamał się z niespodziewanej radości, ale też z obawy. Gdy zobaczyła syna na progu domu na Świętym Marcynie 66, pomyślała przede wszystkim o policji, która zajrzała tu poprzedniego dnia. Zapewne nie po raz ostatni.

Spotkanie z matką było dla Jęczkowiaka potężnym wzruszeniem. Nie widzieli się długie miesiące, podczas których ona drżała o jego życie, a on – o jej zdrowie. Odkąd w 1905 roku z grona żywych odszedł ślusarz Jan Jęczkowiak, ojciec Józefa, Anna Jęczkowiak, z domu Wrońska, musiała sama zatroszczyć się o los czwórki synów. A przecież miała też na głowie piątkę dzieci z poprzedniego małżeństwa. W domu zawsze było co robić, a matka Józefa nie cieszyła się najlepszym zdrowiem.

Józef Gabriel był najstarszym z synów Jana. Ojca nie pamiętał, stracił go w wieku 7 lat. Starał się pomagać matce, jak tylko mógł. Dopóki nie upomniała się o niego armia pruska, zastępował młodszym braciom ojca. Domowe obowiązki łączył ze skautowską pasją. Tak długo, dopóki się dało...

Teraz tulił się w chude matczyne ramiona i dziękował Bogu, że doczekał tej chwili. Przed jego oczyma stanęły troski i niepokoje związane z procesem sprzed wojny, w którym dostał miesiąc więzienia i został usunięty z Gimnazjum Marii Magdaleny. A wszystko to była kara za manifestację pod pomnikiem Mickiewicza stojącym przy kościele świętego Marcina. Przypomniał sobie również swoją skautowską przysięgę, składaną latem 1913 roku. I pierwszą pracę – w firmie

mierniczo-melioracyjnej „Pankalla i Krenz”. Wreszcie to nieszczęsne powołanie do armii...

Matka przyglądała mu się długo i czule, jakby szukając w jego męskim już obliczu śladów dawnego Józka, tego huncwota i wybitokna z czasów szkolnych. Chyba jednak nie znalazła...

– Józus, ależ ty wyrosłeś! – przyznała bez żalu. – A jak wyprzystojniałeś! Tylko patrzeć, jak zakręcą się wokół ciebie dziewczuchy.

– Co też mama! – zachnął się.

Nie dziewczyny mu były w głowie. Ale matki tak mają, pomyślał natychmiast – i raz jeszcze przytulił ją mocno.

– Szukają mnie? – zapytał.

– A skąd wiesz? – zdziwiła się.

– Normalna sprawa, mamu. Zwiąłem, to i mnie szukają.

– Nie możesz u nas zostać, synku. Byli tu już wczoraj, pytali o ciebie.

– Kto? Policja?

– Tak. Pewnie przyjdą też dzisiaj...

Rozumiał, co to oznacza. Był na to przygotowany. Pogodził się już z tym, że będzie musiał się ukrywać poza domem. A jednak przez moment zrobiło mu się przykro. Pohamował słabość. Krótkie, chaotyczne spotkanie w przedpokoju musiało mu wystarczyć na najbliższy czas.

– Dziękuję, mamuś – powiedział, usiłując zdusić w sobie gorycz.

– Ale za co?

– Za ostrzeżenie. Już mnie tu nie ma.

– Ale... – przytrzymała go za rękaw, choć bez przekonania, że zatrzyma.

– Mamusiu kochana, nie mogę was narażać!

Wolał jej nie mówić, że za dezercję grozi mu sąd polowy i kula w łeb.

– Kiedy ty nawet nic nie zjadłeś... Może zrobię ci jajecznicę...

– To niemożliwe. Uciekam, mamuś. Ale będę... Będę w pobliżu.

– A co... A co mam powiedzieć policji?

– Że mnie tu w ogóle nie było. I że nie wiesz, co się ze mną dzieje.

– Dobrze, synku – Anna Jęczkowiak otarła wierzchem dłoni łzę, która wypłynęła znienacka na jej pokryty zmarszczkami policzek. – Tak im odpowiem, Józusie. Niech cię Bóg błogosławi!

Stacja lotnicza w Ławicy, dzień później

Bulgocąca w garnku kiełbasa jałowcowa wypełniła kuchnię aromatem, od którego kiszki głodnych lotników skręcały się w bolesne węzły. Oficjalne zaopatrzenie armii niemieckiej, w tym lotnictwa, w żywność, szwankowało już od wiosny, ale jesienią problemy przybrały rozmiary wręcz katastrofalne. Poza pieczywem, dostarczonym nadal na czas, wszystko inne właściwie nadawało się do wyrzucenia. Stare mięso, gnijące ziemniaki albo buraki, czasem kasza... Gratka w postaci apetycznie wyglądających pęt kiełbasy z domowej rzeźni była wydarzeniem epokowym. Dzięki wędlinom przesyłanym przez rodziców z Wapna Franciszek Jach skutecznie umacniał przyjacielskie kontakty z niemałą częścią obsady lotniska w Ławicy. I budował własną legendę sprawnego zaopatrzeniowca, który nawet w czasach powszechnego głodu potrafi załatwić coś wyjątkowego.

– Kończ już to gotowanie, Frantz, bo nie dożyjemy konsumpcji!
– rzucił spod okna Pohl, ściskając w jednej dłoni talerz, a w drugiej widelec i nóż.

Dwóch innych lotników, Gutmann z Berlina i Hirsch z Hanoweru, również wierciło się przy stole, trzymając w rękach słoik z musztardą i dopiero co zdobyty bochen chleba. Przyszedł też Dolny, kapral i dobry kumpel Jacha. Ten najlepiej dawał sobie radę z nęcącym zapachem mięsa. Po prostu rozsiadł się w kącie z rozłożoną gazetą i udawał, że znacznie bardziej smakowite są wieści z frontu zachodniego. W czym zresztą niewiele się pomylił.

– No! Myślę, że żarcie już gotowe – Jach zdjął garnek z paleniska i odstawił go z boku, po czym sięgnął po szpikulec do mięsa. – Kto pierwszy, ten dostanie większy kawałek.

Rumor i kopnięta noga od stołu mówiły więcej niż słowa. Pierwszy do Jacha dopadł Pohl – od dawna czekał na sygnał w blokach startowych. Teraz z gracją podał koledze talerz, a kiedy ten wydobył z wrzątku sparzoną kiełbasę, pokazał widelcem, że prosi o więcej.

– Jak to, przecież dostałeś największą! – zaoponował Jach. – Jeśli nie wierzysz, zajrzyj do gara!

– Ej, nie gadaj, tylko dokładaj! W końcu jestem porucznikiem w stanie wzmożonego głodu – Paul najwyraźniej postanowił wykorzystać drogę służbową. – No, dalej, Frantz, bo kiełbasa stygnie! O, widzisz! Teraz to się przynajmniej najem!

Pohl wprost przepadał za wyrobami wędliniarskimi rodziny Jachów. Franciszek wcale się temu nie dziwił – w końcu jego ojciec był uznanym we wsi masarzem, którego sława już dawno wyszła poza granice powiatu. Apetyt leutnanta, który poznał już wcześniej umiejętności ojca Jacha, tylko potwierdzał doskonałość wędlin i ich rosnącą karierę międzynarodową.

– Ja też chcę dwie! – Hirsch pozazdrościł Pohlowi, ale ponieważ był tylko podoficerem, dostał jeden kawałek.

Podobnie jak Gutmann, który jednak miał tyle honoru, że nie podmawiał się o więcej.

Gdy do Jacha z talerzem podszedł Dolny, Polak demonstracyjnie nałożył mu... dwie kiełbasy.

– Ej, to niesprawiedliwe! – zaprotestował od razu Hirsch.

– Sprawiedliwe! – odpowiedział mu prawie natychmiast Jach. – Piloci Deutsche Luftstreitkräfte narodowości niemieckiej otrzymali już cztery kawałki kiełbasy. A narodowości polskiej – na razie tylko dwie. Parytet musi zostać zachowany. W końcu to polska kiełbasa!

Pohl wybuchnął gromkim śmiechem, dławiąc się przy tym chlebem. Kasłał jak szalony, dopiero serdeczne pacnięcie po plecach ze strony Gutmanna poprawiło jego sytuację.

– I tak jest cztery do dwóch dla nas – triumfalnie obwieścił nieco urażony Hirsch.

– I tu się kolega myli – Jach nie bez satysfakcji wyciągnął z parującej wody ostatnie dwa kawałki jałowcowej i nałożył je

sobie. – Kielbasa jest ode mnie z domu, więc chyba mogę...

Nikt nie zaprotestował. Pięciu mężczyzn w mundurach, mrużąc w zachwycie nad walorami dobrze doprawionej wędliny z Wapna, pałaszowało mięso, przygryzając z fantazją kawałkami rozerwanego na strzepy chleba. Leutnant Pohl był tak łakomy, że zapomniał nawet o musztardzie.

– Ech! Gdyby nas tak karmili we Francji, już dawno wygralibyśmy tę cholerną wojnę – zdobył się na filozoficzną uwagę Gutmann.

Paul Pohl niespodziewanie spoważniał. Nabiegłe łzami oczy Niemca zgubiły wesołe ogniki, które gościły w nich jeszcze przed chwilą.

– Kolego Gutmann, przywołuję was do porządku! – niemal skarcił kończącego swoją kielbasę podwładnego.

Jach wymienił z Pohlem szybkie spojrzenia. Zrozumiał, że coś nagle zmieniło się w ich wzajemnych relacjach.

– Daj spokój, Paul – zaproponował. – Gutmann nie chciał powiedzieć nic złego. Jak rozumiem, był to zapewne komplement pod adresem moich rodziców.

– Tak jest. Właśnie to miałem na myśli – przytaknął chętnie berlińczyk.

– *Na ja! Gut* – mruknął z niechęcią leutnant.

Zjadł swoje dwie kielbasy do końca, ale z jego ust nie padło już ani jedno słowo pochwały.

Buda skautowska, róg Wielkich Garbar i Wszystkich Świętych, tego samego dnia

– Biniu! Co tutaj robisz, mordo ty moja?!

Józef Jęczkowiak i Zbigniew Kaczmarek padli sobie w ramiona, serdecznie jak dwaj z dawna niewidzący się bracia. Bo też byli prawie jak rodzeństwo – kumple z tej samej świętomarcińskiej eki⁴². Tyle że w 1916 Józefa wzięli do artylerii, a Zbigniewa do grenadierów. Od tamtej pory więcej się już nie widzieli. Więc

42 Z gwary poznańskiej – paczka (kumpli).

kiedy Jęczkowiak w półmroku poddasza u Górskich dostrzegł znajomą tęgawą sylwetkę, a potem upewnił się, że człowiek przed nim to ciągle ten sam, nieco ociężały kolega, nie posiadał się ze szczęścia. Biniu Kaczmarek też nawiał z wojny – i w dodatku będą teraz działać razem! Zupełnie jak jeszcze pięć-sześć lat temu, kiedy jako wyrostki robili sobie żarty z tępawych, niemieckich żandarmów na Petriplatz!⁴³

– A to ci niespodzianka! – Kaczmarek też nie mógł uwierzyć, że los zesłał mu najlepszego z dawnych przyjaciół.

Razem biegali po schodach świętomarcińskich kamienic, razem toczyli wojny na pięści z eką Edy z Półwiejskiej, razem wreszcie służyli do mszy w kościele świętego Marcina. Wszystkie te obrazki przefrunęły w jednej chwili przez pamięć Kaczmarka jak miłe slajdy z błogich lat dzieciństwa. No, może nie do końca błogich, ale na pewno wartych zapamiętania.

– Dałeś nogę z jednostki? Opowiadaj! – przynaglił Józka.

– Ej, długo by zeszło. Na pewno będzie jeszcze okazja – machnął ręką Jęczkowiak. Był zmęczony i szczerze mówiąc, chętnie by się czegoś napił. – Macie tu jakieś piwo albo lemoniadę?

Kaczmarek rzucił się do karafki z wodą i nalał ją drżącymi rękoma do szklanicy.

– Pij! – Podał ją Jęczkowiakowi. – Ale historia, jak Boga Kocham! Po prostu nie wierzę w to, co widzę!

Józef pił łączywie, wpatrując się w rozanielone, okrągłe oblicze byłego grenadiera. To nie może być przypadek, że los znowu zetknął go z Biniem, uznał. To znaczy, że tak zwyczajnie musiało być. I że razem dokonają wielkich rzeczy.

Odstawił szklanekę i rozejrzał się wokół. Na siennikach leżało kilku mężczyzn wpatrujących się w niego z zaciekawieniem. Odniosł wrażenie, że przynajmniej dwie twarze zna albo mu kogoś przypominają. W końcu znalazł się wśród swoich, wśród skautów hufca „Piast”.

– A nie ma tu przypadkiem Franka Grossmana? – zapytał.

Pytanie o dobrego kolegę z ulicy Podgórznej zawisło w powietrzu bez odpowiedzi. Obecni na strychu najwyraźniej nie

43 Dziś pl. Wiosny Ludów w Poznaniu.

znali chłopaka, który wciągnął Jęczkowiaka do skautów.

– Trudno – Józef opadł na jedyne krzesło na poddaszu. – Może go jeszcze spotkam.

Spojrzał ponownie na Kaczmarka.

– Dobrze, że choć ty tutaj jesteś – podsumował. – Czuję, że kroi się niezła heca.

– Heca? – podpalił się Kaczmarek. – A kiedy?

Po niedawnej ucieczce na dach zdawało mu się, że w najbliższym czasie nie zapowiada się nic bardziej spektakularnego.

– Spokojnie, Biniu, spokojnie! – Jęczkowiak pamiętał z podwórkowych zabaw, że Kaczmarek bywał nadpobudliwy. Dlatego postanowił ostudzić jego emocje: – Przyjdzie czas, że wszystkiego się dowiesz. Od „Józefa” albo ode mnie...

Kaczmarek zbliżył się do ucha kolegi.

– A ten „Józef” to właściwie kto to jest? Bo mi się nie przedstawił...

Jęczkowiak parsknął śmiechem.

– Jeszcze by tego brakowało! To jest konspiracja, brachu. A jeśli konspiracja, to nie możesz wiedzieć zbyt wiele. Lepiej nawet, żebyś wiedział jak najmniej. Ja na przykład też nie wiem tego, co mi zupełnie niepotrzebne.

– No tak... A jednak, gdy idzie o komendanta...

– Tym bardziej, Zbychu. Tym bardziej. Uwierz mi, że tak będzie lepiej.

– Bo ja go właściwie poznałem. Na Łąkowej, w domu...

– Ciiii! – Jęczkowiak natychmiast przyłożył palec do ust. – Pamiętaj, że ściany miewają uszy. A skoro już komendant uznał, że musi się z tobą spotkać, to możesz być, bracie, spokojny.

– Jak to?

– Spokojny, że nie minie cię godne zadanie.

Kaczmarek rozpromienił się w jednej chwili. Na taką informację czekał już od niemal miesiąca, gnijąc na poddaszu jak jakiś, nie przymierzając, pener⁴⁴. Trwało to już tak długo, że zaczął mieć wątpliwości, czy ma to jakiś wyższy sens. Okazało się, że miało.

44 Z gwary poznańskiej – menel, człowiek z marginesu.

– Jeśli tak mówisz, to ci wierzę – klepnął Józka serdecznie w plecy. – A muszę ci powiedzieć, że niedawno mieliśmy tu niezły nalot. Wpadła tu cała policja z samym komisarzem Knochelem na czele... Co tu się działo!

– Coś o tym słyszałem. Zdaje się, że ładnie ich wtedy oszwabiliście.

– Wykołowaliśmy ich na cacy – odezwał się od wejścia na strych Bernard Górski. – No, jak tam, kompania? Wszystko gra? Może coś jeszcze podrzucić?

– Przydałyby się jakieś melki⁴⁵ – mruknął z kąta strychu rudy Kubiak.

– A ten w kółko o dziewczynach – westchnął lekko znudzony Górski. – Poczekaj, może znajdę ci jakąś na Bismarckstrasse...

– Sam sobie tam znajdź! – obruszył się Franek Kubiak. – Mnie w te twoje sprośne historyje nie wciągaj!

Jęczkowiak wsłuchiwał się z lubością w to męskie przekomarzanie.

Nareszcie poczuł, że wrócił do domu. Nareszcie oddychał pełną piersią.

Berlin, znowu w siedzibie kontrwywiadu, początek października 1918 r.

Raport policji z Posen nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Poszukiwany Józef Jęczkowiak nie pojawił się w rodzinnym domu na Sankt Martin Strasse. A przecież nawet biorąc pod uwagę, że część drogi z Francji do Posen mógł pokonać pieszo, już dawno powinien zjawić się u swojej matki. Tymczasem Prezydium Policji w Posen, które dzień w dzień monitorowało sytuację, donosiło kapitanowi Wirbelowi, że oskarżony o dezercję zbieg nie został zauważony.

– *Scheisse!* – zaklął Wirbel, ciskając dokument na biurko. – Albo w tym Posen pracują sami idioci, albo rzeczywiście ten cały Jęczkowiak jest sprytniejszy, niż sądziłem. Niż wszyscy

⁴⁵ Z gwary poznańskiej – panienki.

podejrzewaliśmy...

Wstał, wyprostował się i spojrzął na wiszący na ścianie portret cesarza Wilhelma II. Imperator stał w dumnej pozie, z dłonią spoczywającą na głowni przypiętej do pasa szabli. Z wstęgą w pruskich barwach, z efektownymi złotymi epoletami i hełmem kirasjerów, zdobnym na szczycie w orła, prezentował się o wiele lepiej niż aktualny stan jego potężnego niegdyś państwa. Choć starannie modulowane końcówki wąsów władcy fantazyjnie celowały w niebo, w tej chwili wydały się kapitanowi Wirbelowi nieco groteskowe. Przyłapał się na tym, że nie podzielał już dawnego optymizmu z czasów, gdy Niemcy przystępowały do wojny. Nikt wtedy nie przewidywał, że udział w niej kosztować będzie milionowe straty w ludziach i głód w państwie. To miała być szybka, triumfalna wojenka – jak ta z 1870 roku, która dała Niemcom wielkość. Tymczasem ugrzęzła w błocie okopów i jazgocie wszechpotężnej broni maszynowej. Żadna ze stron nie potrafiła wydobyć się z bagna. A co gorsza, w ostatnich miesiącach przeciwnicy, wsparci potężnym zastrzykiem sił zza oceanu, zaczęli odzyskiwać przewagę. Nad cesarstwem i jego świetlaną przyszłością zaczęły się gromadzić czarne chmury.

Nie tylko zresztą na zachodzie. Wirbel zdawał sobie sprawę, że rozwój sytuacji wymusił na cesarzu rodzaj cesji na rzecz Polaków. Obiecano im, że jako sojusznicy otrzymają namiastkę swojego państwa, którego nie mieli od dobrego wieku. Tyle że nikt nie przewidywał wtedy, że apetyty Polaków będą rosły w miarę jedzenia. Że nie wystarczy im mglista zapowiedź o niezależnym bycie. Że łaskawie podaną im przez Wilhelma II dłoń będą chcieli wyrwać – wraz z ramieniem i łokciem. Wirbel wiedział, że w Provinz Posen zaczęły się niebezpieczne ruchy. Do centrali kontrwywiadu w Berlinie spływały coraz szerszą falą alarmistyczne sygnały, że pod pozorem ćwiczeń w towarzystwach gimnastycznych lub w organizacjach skautowskich młodzi Polacy organizują się, a co gorsza – prawdopodobnie gromadzą też broń i amunicję. To mogło świadczyć tylko o jednym – że chcą oderwać od cesarstwa tę ludną, dobrze rozwiniętą i stanowiącą spichlerz dzielnicę. A na to

nie mogło być zgody!

Kapitan podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Po Unter den Linden hulał wiatr, podrzucając w górę tabuny zeschniętych, żółtoszarych liści. Początek jesieni był chłodny. Berlińczycy narzucili już na siebie ciepłe płaszcze, a co poniektórzy mieli szyje owinięte szalami. Na ulicy dominowały jednak kobiety i dzieci. Gdy ich mężowie i ojcowie, oddaleni od domów o osiemset kilometrów, starali się powstrzymać nadciągającą burzę, one stały w kolejkach po stare warzywa albo kawałki mięsa. Te ostatnie od dawna były towarem deficytowym. Wirbel wyczuwał, jak z tego powodu w społeczeństwie narasta bunt. Bał się, że wybuchnie lada dzień, lada moment...

Pod drugiej stronie ulicy kuśtykał mężczyzna. Spod żołnierskiego płaszcza wystawała tylko jedna noga. Dzięki kulom poruszał się w miarę sprawnie, ale kiedy zajął swoje stanowisko na rogu jednej z kamienic i ściągnął czapkę, by zbierać do niej pieniądze, coś ścisnęło kapitana mocno w piersiach. Zrozumiał, że coś się kończy.

Warta przed gmachem hałaśliwie zaprezentowała broń. Wirbel wyczuł wzrok. Po granitowych schodach do budynku wbiegał właśnie wysoki, emanujący energią mężczyzna. Człowiek, na którego czekał.

Chwilę później zapukał w drzwi jego gabinetu i zameldował się dobrze zbudowany osobnik pod trzydziestkę, w cywilnym ubraniu i kapeluszu, który trzymał teraz w prawej dłoni. Z jego pociągłej, skupionej twarzy biła łatwo wyczuwalna wiara w sens służby. I tylko zimne, nieduże oczy, omiatające szybkimi spojrzeniami otoczenie, nakazywały zachować wobec gościa respekt. Zimnobłękitne źrenice podwładnego kojarzyły się Wirbelowi nieodłącznie z oczami rekina, którego podziwiał w berlińskim ogrodzie zoologicznym. Heinz Gnade, jego najbardziej zaufany człowiek do specjalnych poruczeń, nawet w nim samym wzbudzał jakiś bliżej nienazwany lęk. Sprawiał wrażenie mężczyzny, który bez wahania wykona nawet najbardziej odrażający rozkaz.

- Leutnant Gnade, na rozkaz - stuknął obcasami butów, choć

był w cywilu.

– Daj spokój z tą musztrą, Heinz – Wirbel poklepał go przyjaźnie po ramieniu. – Jak tam po ostatniej misji w Paryżu? Zdążyłeś odreagować?

– Tak jest, panie kapitanie. Tydzień urlopu w hotelu Adler to naprawdę niezły relaks...

– Nowe dziewczynki?

– Jedna, całkiem niezła. To ona nie dała mi do końca wypocząć...

– A ja myślałem, że ty jej. – Wirbel uśmiechnął się zdawkowo. – Na ja! Słuchaj, Heinz. Dobrze, że się odprężyłeś, bo mam dla ciebie nowe zadanie.

Zimne oczy podwładnego natychmiast zrobiły się czujne.

– Zamieniam się w słuch, herr hauptmann.

Wirbel podszedł do mapy rozwieszonej obok portretu cesarza. Przedstawiała Rzeszę od Renu po Mazury.

– Tym razem kompletna zmiana kierunku – powiedział tonem, który miał zaintrygować podporucznika.

– Włochy? – zapytał Gnade.

– Nie, Heinz. Zimno!

– Rosja?

– Też pudło.

– A więc Polacy – westchnął podwładny Wirbela. Brak entuzjazmu bił z każdego jego słowa.

– Tak, Heinz. Ale nie ci z Warszawy. Tych mamy pod kontrolą, przynajmniej dopóki ten ich komendant siedzi w Magdeburgu. Chodzi o Provinz Posen. O naszą Provinz Posen – powtórzył z naciskiem kapitan.

– Tak?

– Wiesz, Heinz, ona musi pozostać nasza. Niezależnie od tego, co ostatecznie wydarzy się na zachodzie. Wiesz, jakie znaczenie dla potęgi Rzeszy ma ta dzielnica? Zresztą akurat tobie chyba nie muszę tego tłumaczyć...

Gnade tylko się uśmiechnął. Rzeczywiście, akurat on wydawał się najlepszym kandydatem do nowego zadania.

– Pochodzisz z Bromberg⁴⁶, prawda, Heinz?

46 Niemiecka nazwa Bydgoszczy, miasta wchodzącego do 1918 r. w skład

– Z Hohensalzy⁴⁷, panie kapitanie – przypomniał podporucznik.
– A tak, to zdaje się niedaleko.
– Tak, zgadza się. A w Brombergu służyłem w wojsku, w 1907 roku.

– Znasz polski?
– Oczywiście. W końcu mieszkałem tam przez całe dzieciństwo i młodość...

– Jeszcze jesteś młody – przez usta kapitana przewinął się znowu słaby uśmiezek. – Ale do rzeczy. Chodzi o pewnego Polaka, który w sierpniu zdezerterował z frontu...

– Sukinsyn! – wyrwało się Gnademu.

– Dokładnie tak, Heinz. Problem w tym, że nie jest to zwykły uciekinier z armii, jakich ostatnio coraz więcej. Wiele wskazuje na to, że w jego ręku skupiają się nici spisku przeciwko cesarstwu. Wielkiego spisku. Musisz wiedzieć, że zanim cię wezwałem, odbyłem już naradę z kierownictwem naszych delegatur w Provinz Posen. To było dobre spotkanie, choć te głąby kapuściane nie wiedzą tyle, ile by mogły. Otóż wszyscy oni zgodnie potwierdzają, że od wiosny obserwują wzmożone działania konspiracyjne tamtejszych Polaków. Rozumiesz: jakieś ćwiczenia skautów po lasach, jakieś tajne spotkania po domach w Posen i innych dużych miastach, jakieś niby sportowe zawody czy ćwiczenia... Trzeba przyznać, że Polaczki są w tym względzie niezwykle pomysłowi. Jak to Słowianie – niezdolni wprawdzie do regularnego, długotrwałego rozwoju, ale posiadający pewien nieulegający kwestii dar improwizowania, zwłaszcza w chwilach kryzysów. Jaka szkoda, że tej cechy nie mamy my, Niemcy. Taki błysk przydałby się nam teraz na froncie...

Widząc podejrzliwe spojrzenie Gnadego, Wirbel postanowił porzucić ten drażliwy wątek.

– Mniejsza o to. Jak już mówiłem, w Provinz Posen dzieją się rzeczy z naszego punktu widzenia nie do zaakceptowania. W dodatku tamtejsza żandarmeria raportuje, że coraz częstsze są przypadki rozbijania wojskowych patroli czy wręcz kupowania

tw. Provinz Posen.

47 Niemiecka nazwa Inowrocławia.

przez tajne polskie organizacje broni od naszych podoficerów czy żołnierzy. To wszystko śmierdzi dużą awanturą. A skoro wracają tam z frontu nielegalną drogą młodzi Polacy z przeszkoleniem żołnierskim, o które zresztą sami zadbałimy, sam rozumiesz, Heinz, co się tam święci. Polacy, musisz wiedzieć, to naród wyjątkowo niepokorny. W ubiegłym stuleciu kilkakrotnie występowali zbrojnie przeciwko nam lub Rosji. Przegrywali, bo nie mogło być inaczej, ale nigdy nie złożyli broni. Nie porzucili myśli o kolejnym powstaniu. Myślę, że wszystkie poprzednie zrywy nauczyły ich jednego: że nie warto ruszać do ataku, gdy przeciwnik jest mocny. Sęk w tym, że po czterech latach tej cholernej wojny mogli nabrać przekonania, iż cesarstwo osłabło. W dodatku ze strony polityków padły niepotrzebne obietnice, które tylko rozpały wyobraźnię i roszczenia Polaków z Warszawy. Całe szczęście, że ten ich Piłsudski siedzi w twierdzy magdeburgskiej. Póki mamy go w garści, nic tam się raczej nie rozpocznie...

Gnade słuchał tego wywodu w wyprostowanej pozycji. Był zaskoczony nowym teatrem swoich przyszłych działań wojennych. Przywykł do zadań wywiadowczych i dywersyjnych na zapleczu Francuzów lub Rosjan, dlatego jakoś nie mógł sobie wyobrazić działań przeciwko cywilnym Polakom. Hohensalzy nie widział od 1913 roku, kiedy to jego rodzice przenieśli się do Brombergu. To duże miasto było zdecydowanie bardziej niemieckie, więc na pięć lat zerwał praktycznie kontakt ze środowiskiem Polaków. Nie znaczy to jednak, że obawiał się nowego zadania. Strach czy wahanie były mu z natury obce.

– I co z tym Polakiem, panie kapitanie? – naprowadził szefa krótkim pytaniem na sedno sprawy.

– Musisz go wyśledzić, Heinz. Ustalić, gdzie aktualnie przebywa – odpowiedział szybko Wirbel.

– Zlikwidować?

Pytanie zawisło na moment w powietrzu, pozostając bez odpowiedzi jak dramatyczna fraza, wypowiedziana na deskach teatru.

– Nie. Przynajmniej nie od razu – poprawił się kapitan. –

Najpierw muszę wiedzieć, gdzie on jest i co planuje. Co przygotowuje wraz z kompanami z tajnej organizacji. I gdzie zamierzają uderzyć. Bo jest więcej niż pewne, że uderzą. Prędzej czy później, gdy tylko nabiorą pewności, że możemy mieć problemy z godną odpowiedzią.

Gnade podrapał się w wygoloną potylicę. To, co słyszał, martwiło go, ale jednocześnie popychało do działania.

- Mam prześlizgnąć się do ich organizacji? - zapytał rzeczowo.

- Nie chcę ci niczego z góry narzucać. Wiem, że dobierzesz formę działania właściwą do okoliczności. Może się przecież okazać, że przeniknięcie w ich szeregi jest praktycznie niemożliwe. Wtedy wystarczy, że rozpracujesz ich z zewnątrz, wystawiając ich nam we właściwym momencie. Nam i policji. A co do samego Jęczkowiaka... Hm, na niego też przyjdzie czas. Póki co, traktuj swoje nowe zadanie nie jako nowe zlecenie, a raczej jako akcję poszukiwawczą. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Gnade spuścił wzrok.

Choć lubił wyzwania, tym razem z trudem skrywał rozczarowanie. Zdecydowanie bardziej wolał konkretne zadania. Takie jak chirurgiczne cięcie. Szybka akcja bez świadków - i po sprawie.

- Tak jest, panie kapitanie. Najpierw odszukać gnojka! - przytaknął.

- Właśnie. Na twoim miejscu rozpocząłbym od Posen, tam jest dom rodzinny tego gagatka. Najpierw musimy uchwycić nić, która poprowadzi nas do kłębka.

Część 2.

PIERWSZE BŁYSKI



IX.

ŁĄCZNIK

Poznań, początek października 1918 r., wieczorem

Skradali się pod koszary artylerii polowej w małych grupkach, po dwóch lub czterech.

Już w lokalu Jarockiego nakazał im, by poruszali się po Magazinstrasse⁴⁸, nie wzbudzając podejrzeń. Zastosowali się więc do rozkazu, idąc niby przypadkiem w kilku grupkach w tym samym kierunku, ku majaczącym w ciemnościach budynkom koszar. Było ich może z piętnastu, wszyscy w mundurach piechoty. I wszyscy dezenterzy, jak prowadzący ich Jęczkowiak. Zgodnie z oczekiwaniami, wartownicy na bramie nie okazali się zbyt dociekliwi, przepuszczając ich bez problemu na teren koszarowy. Stąpając cicho jak koty, rozeszli się po najciemniejszych kątach placu apelowego. Ukryci w mrocznych zaułkach i zakamarkach, doczekali odegranego na trąbce capstrzyku.

Na to czekali! Gdy tylko w izbach żołnierskich zaczęły gasnąć światła, zebrali się w absolutnej ciszy u wejścia do budynku koszar. A potem przeniknęli jak duchy do wnętrza.

Wiedzieli, gdzie się kierować. W rogu korytarza, na drewnianych stojakach, spoczywały równo ustawione karabiny.

Chwycili je bezszelestnie w dłonie i równie cicho wyszli na dziedziniec koszar.

Na czoło wystąpił Jęczkowiak.

– Zbiórki w dwuszeregu! Odliczenia do dwóch! – zakomenderował po niemiecku.

– *Eins, zwei! Eins, zwei! Eins...* – odliczyli szybko jego podwładni.

– *W czwórki prawo zwrot!* – rozkazał Jęczkowiak.

48 Dziś ul. Solna.

Zwarty oddział piechurów z karabinami na ramionach szybkim, dziarskim krokiem wymaszerował na ulicę, kierując się ku wartowni.

Wojsko szło ładnie, regulaminowo, utrzymując równy krok nadawany im przez kroczącego na czele Jęczkowiaka.

Widok zbliżającego się znienacka od strony koszar zwartego oddziału zdezorientował wartowników. Nie namyślając się ani chwili, otworzyli usłużnie zamkniętą już bramę, salutując prowadzącemu pluton podoficerowi. Jęczkowiak odpowiedział im tym samym. Prowadzony przez niego oddział wymaszerował pewnym krokiem z terenu koszar, kierując się sprawnie ku placowi Sapieżyńskiemu.

Równym marszowym krokiem piechurzy pokonali dwieście metrów dzielących ich od spowitego ciemnościami placu. Dopiero gdy za załomem kamienicy stracili koszary z pola widzenia, ich szeregi nagle rozluźniły się, a z młodych gardeł rozległ się triumfalny, gromki śmiech.

– Oddział, stój! – rozkazał Jęczkowiak. – Oddział, rozejść się!

Na tę komendę tylko czekali! W pół minuty brukowany plac znowu opustoszał. Echo pośpiesznych kroków uciekinierów szybko ucichło między pograżonymi we śnie kamienicami.

Jęczkowiak pędził na Allerheiligenstrasse⁴⁹, do skautowskiej budy, ściskając w dłoni zdobycznego mauzera. Znowu miał karabin i czuł, że to dobry znak na przyszłość.

Poznań, połowa października 1918 r.

Siedzenie po kryjomu w budzie skautowskiej szybko mu się znudziło, więc ucieszył się, kiedy niespodziewanie któregoś dnia otrzymał przez gońca wezwanie na Wiesenstrasse⁵⁰ 13. Wzywał sam komendant „Józef”. Ubrany w cywilne łachy, wyposażony w dodatku w nowe papiery, Jęczkowiak wyszedł więc swobodnie z kamienicy Górskiego i szybkim marszem pokonał niewielki

49 Ul. Wszystkich Świętych

50 Ul. Łąkowa.

odcinek drogi dzielący Grosse Gerberstrasse⁵¹ od tajnej komendy POW.

Miasto wydało mu się inne, jakby przebudzone. Poznaniacy nie stronili od grupowych rozmów na ulicach, którym z niepokojem przyglądali się niemieccy policjanci. Przechodząc obok Grüner Platz⁵², Jęczkowiak usłyszał ożywioną dyskusję. Kilka osób niemal przekrzykiwało się z podniecenia:

- Podobno cofają się na całej linii!
- A co ty tam wiesz, Antek! Tyle, co ci stary Eda nagada!
- Kiedy wam mówię, że Szkiebry sypią się na całego! Tylko patrzeć, jak kapitulować będą!
- Akurat! Oni ciągle mocni są! Widziałeś ich aeroplany na niebie?

- Latają tylko po to, żeby nas nastraszyć!

To akurat może być prawda, pomyślał Józef o ostatniej uwadze, skręcając w Schützenstrasse⁵³. Chwilę później, nie napotykając szczęśliwie żadnego patrolu, był już na Wiesenstrasse.

Znał ten adres z poprzedniego urlopowego pobytu w Poznaniu. To wtedy, wiosną 1918 roku, dobrze mu znany niegdysiejszy komendant hufca „Piast” Wincenty Wierzejewski polecił mu jak najszybszy powrót do Poznania w przypadku załamania się Niemiec. Sygnałem miała być kartka pocztowa z niewinnym tekstem o chęci ponownego zobaczenia Jęczkowiaka w rodzinnym mieście. Pocztówka nadeszła w sierpniu – i Józef Gabriel Jęczkowiak posłusznie wykonał pierwszy rozkaz organizacji. A teraz szedł na spotkanie z Wierzejewskim, ukrywającym się obecnie pod pseudonimem „komendant Józef”.

To będzie spotkanie dwóch Józefów, pomyślał, meldując się cerberowi przy bramie.

Wartownik poprowadził go do mieszkania Stabrowskich. Choć na korytarzu kamienicy panowała zupełna cisza, po przekroczeniu drzwi Jęczkowiak odniósł wrażenie, że znalazł się

51 Ul. Wielkie Garbary.

52 Dziś Zielone Ogródki.

53 Ul. Strzelecka.

w ulu. W antrejce⁵⁴ spotkał w sumie kilkanaście rozgorączkowanych młodych osób, wśród nich – kilku przyjaciół z drużyny skautowej. Zdążyli jedynie ucisnąć sobie dłonie, na wspominki nie było czasu – został natychmiast poproszony do salonu.

Konspiracyjna broda komendanta Wierzejewskiego okazała się znacznie dłuższa niż wiosną. Choć dawniej obowiązywał ich służbowy dystans, tym razem Wierzejewski przyjął Jęczkowiaka z szeroko rozpostartymi ramionami.

– Siadaj, Józek – pokazał mu fotel i sam usiadł naprzeciwko. – Cieszę się, naprawdę bardzo się cieszę, że wyrwałeś się z tego legowiska na Garbarach. Ukrywam się już trzy lata, więc wiem, jakie to trudne. Długo wracałeś z Francji?

– Będzie z kilkanaście dni.

– To i tak szybko. Ale nieważne, masz to już za sobą. Wszystko wskazuje na to, że nasza praca zaczyna przybierać coraz konkretniejsze kształty. Wezwałem cię w bardzo ważnej sprawie, wszystko, co powiem, musi pozostać wyłącznie między nami.

Jęczkowiak skinął głową. Rozumieli się przecież bez słów.

– Musisz wiedzieć, że wybrałem się kilka dni temu do Warszawy. Musiałem nawiązać wreszcie porządny kontakt z Komendą Naczelną⁵⁵. Jak wiesz, dotychczas różnie z tym bywało, wiele rzeczy robiliśmy chaotycznie, nie uzgadniając ich z Warszawą. Najwyższy czas z tym kończyć. Niemcy przegrywają wojnę, Józefie! Ty wiesz, co to dla nas znaczy? Trzeba działać, i to szybko! Trzeba uzgodnić nasze działania z centralą.

Jęczkowiak słuchał Wierzejewskiego jak urzeczony. Te słowa były dla niego najlepszą nagrodą za nerwy i niewygody znoszone w drodze do Poznania.

– A teraz uważaj. W Warszawie miałem rozmowy z Rudnickim, oficerem wywiadowczym w Komendzie Naczelnej. Mieszkałem zresztą u jego rodziców na Żurawiej. Ale nie o to chodzi. Słuchaj: ustaliliśmy, że przyślemy do nich łącznika. Stałego łącznika,

54 Z gwary poznańskiej – w przedpokoju.

55 Chodzi o Komendę Naczelną Polskiej Organizacji Wojskowej w Warszawie.

który będzie tam naszym przedstawicielem. Zarekomendowałem Rudnickiemu ciebie...

W jednej chwili Jęczkowiak poczuł złość. Podczas ostatniej ich rozmowy Wierzejewski obiecywał mu wielkie rzeczy. Mieli razem zaplanować i przeprowadzić akcję uwolnienia z twierdzy magdeburskiej Józefa Piłsudskiego! Wysłano nawet do Magdeburga na zwiady dwóch peowiaków, a z Warszawą uzgadniano już trasę ucieczki Komendanta do kraju! I co – teraz z tak wielkiej sprawy miały być nici? Ma jechać do Warszawy, kiedy w Poznaniu szykuje się tak wielka sprawa? Ma tam siedzieć w jakiejś komendzie i nic nie robić? Czyżby komendant Wierzejewski przypuszczał, że on się na to zgodzi?!

– Ależ... – zdobył się na słaby protest. – Ależ Wincenty! Druhu komendancie... Mówiłeś mi przecież o innej akcji! O akcji w Magdeburgu!... Ja się bardziej przydam tu, na miejscu. Co ja tam będę robił, w tej całej Warszawie?

Komendant uśmiechnął się, nieco zaskoczony.

– Jak to co? Dostaniesz bardzo ważne zadanie. Kluczowe, Józek. Najważniejsze.

– Ale Magdeburg...

– Musi poczekać, druhu Jęczkowiak. Musi poczekać! Tym bardziej że ciągle nie mamy stamtąd żadnych wieści.

– Poczekać? – żachnął się uciekinier z frontu. – A co niby takiego ważnego mam robić w Warszawie?

Wierzejewski spojrzał mu prosto w oczy.

– Ktoś musi dotrzeć do naszych, którzy służą w armii niemieckiej na terenie Warszawy. Zorganizować ich, pozyskać dla naszego wywiadu. Dla wywiadu Komendy Naczelnej POW. Któż to zrobi lepiej niż ty? No, powiedz sam...

– Ale dlaczego w Warszawie?! Nie można tego robić w Poznaniu?!

– W Warszawie, bo rzecz idzie o coś więcej niż tylko Poznań – Wierzejewski przysunął się na fotelu bliżej podwładnego. – Gra idzie o całą Polskę, rozumiesz? O wolną Polskę, w której granicach znajdzie się również nasz kochany Poznań. Prędzej czy później, ale przecież nie może być inaczej! A warszawiacy mają

problem. Duży problem, bracie. Nie mają ludzi z dobrą znajomością języka niemieckiego i żołnierskich obyczajów w armii niemieckiej. Ich ludzie nie dadzą rady. To musi zrobić ktoś, kto świetnie zna szwabską armię i potrafi rozmawiać ze Szkiebrami. Sami nas poprosili o pomoc, rozumiesz?! Przecież nie mogłem odmówić!

Jęczkowiak nie potrafił się z tym pogodzić.

– Nie znam Warszawy! – zaoponował. – A powierzone zadanie wydaje mi się zbyt wielkie jak na barki jednego człowieka...

Wierzejewski wstał i w milczeniu przeszedł się wokół salonu, wyglądając po drodze przez okno. Wreszcie stanął przed dawnym podwładnym z harcerstwa.

– Przyślę ci pomoc – powiedział. – Muszę tylko wybrać jakiegoś zaufanego peowiaka. Dasz radę, Józek! Znam cię! Jestem przekonany, że świetnie sobie poradzisz. A przy okazji opuścisz Poznań, co wyjdzie ci na dobre. Ty wiesz, że nadal szuka cię policja? Niemal codziennie zaglądamą do twojej matki.

– Naprawdę?

Ostatni argument trafił do Jęczkowiaka. W razie jakiegokolwiek wpadki skutki jego dezercji odczułaby zapewne także jego rodzina. A w takiej Warszawie na pewno będzie bezpieczniej...

– Na jak długo mam tam jechać? – zapytał w końcu.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze Wierzejewski. – Wiem natomiast, że rzeczywiście się warszawiakom przydasz. Zresztą... Mogę ci obiecać...

– Tak?

– Mogę ci obiecać, że tutaj nie rozpoczniemy niczego bez ciebie. To co, pojedziesz?

– Tak jest. Rozkaz to rozkaz.

– Bardzo mądrze mówisz, Józek. Będą z ciebie ludzie! Aha... – Wierzejewski na moment zawiesił głos, a potem podał dłoń przyjacielowi ze skautowskich czasów. – Byłbym zapomniał... Gratuluję awansu na sierżanta!

Jęczkowiak był zaskoczony, ale uściśnął podaną mu rękę.

Komendant podszedł do drzwi i wychylił się do przedpokoju.

– Wołać mi Saroszewskiego! – rozkazał.

Chwilę później do salonu wszedł drużynowy Staszek Saroszewski, dobrze Jęczkowiakowi znany z Drużyny Skautowej im. Stefana Czarneckiego. Pod pachą niósł tekturową teczkę.

– Daj wszystko Józkowi – polecił mu Wierzejewski.

Saroszewski pochylił się i podał teczkę Jęczkowiakowi. Rzut oka wystarczył, by przekonać się, że znajdują się w niej świeżo wyrobione dokumenty z podpisami i pieczętkami – także czyste, in blanco. Jęczkowiak znalazł wśród nich nową legitymację wojskową. Zerknął z przejęciem na swoje nowe dane.

Od tej pory nazywał się Karl Schroeder i był sierżantem przypisanym do Szpitala Fortecznego nr 1 w Warszawie.

Nadal Poznań, w końcu października 1918 r.

Zacinający deszcz zmusił go do wejścia w bramę kamienicy. Był na tyle osłonięty od wiatru i opadu, że mógł swobodnie odpalić zapałkę i wzniecić żar w papierosie, który łapczywie wetknął sobie w usta. Bardzo chciał zapalić, czuł wręcz głód nikotyny. Szczerze mówiąc, miał już po dziurki w nosie ślęczenia na zimnie i wyczekiwania, aż coś się wydarzy. Gdyby to rzeczywiście miało jakiś sens! Tymczasem stracił już dobre trzy godziny, kręcąc się wokół domu numer 66 stojącego po północnej stronie Sankt Martin Strasse, daremnie wypatrując jakiegokolwiek mężczyzny, który wszedłby do tego budynku. Ruch na ulicy był znikomy, nawet mimo bliskości kościoła św. Marcina. Nic dziwnego – aura zagoniła najbardziej nawet pobożnych poznaniaków do ich mieszkań. I tylko on, Heinz Gnade, stał jak jakiś tani szpicel nieopodal głównego wejścia do sklepu z sukniami. Jeszcze się do niego przyczepi jakiś durny patrol policji!

Wydmuchnął przed nos chmurę dymu i zerknął w lewo. Nisko wiszące, granatowe chmury zdawały się sięgać strzelistego dachu wieży zegarowej zamku cesarskiego. Siąpiła z nich nieprzyjemna mżawka. Spojrzał na słabo z tej odległości widoczny zamkowy zegar. Dochodziła szesnasta. Za chwilę miało się kompletnie ściemnić, co nie wróżyło dalszej obserwacji

sukcesu. Co robić? Może by zaczepić się w jakiejś kawiarni, skąd dobrze widać przeciwną stronę ulicy? A może lepiej będzie dostać się na schody kamienicy nr 66 i tam się przyczaić?

Rozważał plusy i minusy obu rozwiązań, ale zamiast dojść do konstruktywnych wniosków, był coraz bardziej rozdrażniony. W Paryżu nie wystawał po bramach i nie musiał się bawić w tajniaka, działał z podniesioną przyłbicą, choć na fałszywych papierach i z nieźle sfabrykowaną legendą. Tymczasem w tym prowincjonalnym Posen musiał uciekać się do prymitywnej konspiracji, która bardziej przypominała podchody stójkowego niż pracę operacyjną oficera kontrwywiadu. Donnerwetter!⁵⁶ Nie tak to miało wyglądać!

Raz jeszcze spojrzął w stronę domu numer 66. A może by tak... Właśnie! Właśnie tak! Już wiedział, co zrobi.

Mimo nasilającego się deszczu wyszedł z bramy, podciągnął wyżej kołnierz cywilnego płaszcza, odczekał, aż ulicą przejedzie dorożka, i przeskoczył w kilku susach śliski bruk. Jeszcze tylko kilkanaście szybkich kroków – i już był przy bramie, którą dotychczas oglądał ze znacznej odległości. Szczęśliwie była otwarta, więc wąskimi drewnianymi schodami wszedł na pierwsze piętro i nie namyślając się długo, zastukał w pierwsze drzwi.

Na klatce schodowej było ciemno. Gnade liczył na to, że ktokolwiek mu otworzy, nie zobaczy w pełni jego twarzy, skrytej za podniesionym kołnierzem. A tym bardziej jej nie zapamięta.

Nikt nie odpowiedział, więc zastukał ponownie. A potem podszedł do sąsiednich drzwi i zrobił to samo. Usłyszał pospieszne kroki. Ktoś przekręcił klucz w zamku i ciężkie drewniane skrzydło odchyliło się, ale tylko na szerokość łańcucha.

– Pan do kogo? – usłyszał zalękniony damski głos.

Skłonił się lekko i uśmiechnął.

– Dzień dobry, szukam Józefa – wyjaśnił płynnie po polsku.

Dzięki porannej wizycie w Prezydium Policji doskonale wiedział, że Jęczkowiaka nie ma u matki.

⁵⁶ Z niem. – Do stu piorunów!

– Józefa? – zdziwiła się kobieta za drzwiami. – Tutaj, szanowny panie, co drugi ma na imię Józek.

Z powodu ciemności i wąskiego prześwitu Niemcowi trudno było oszacować, w jakim wieku jest jego rozmówczyni. Postarał się nadać swojemu głosowi ciepłą barwę.

– Chodzi mi o Józefa Jęczkowiaka, szanowna pani.

– A! Jęczkowiakowie mieszkają tu obok. Pod trójką. Ale Józka tam nie ma...

– Nie ma?

– Nie ma... To znaczy, w tej chwili nie ma.

Coś w głosie kobiety zastanowiło Gnadego. Co znaczyło to sformułowanie „w tej chwili”? Czyżby w innych chwilach jednak tam był?

– Przepraszam najmocniej, nie przedstawiłem się – starał się być nad wyraz grzeczny i przymilny. – Jestem Tomasz Krause, kolega frontowy Józefa.

– A, to trzeba było tak od razu! – ucieszyła się osoba za drzwiami. – Bo wie pan, tu do sąsiadów codziennie zagląda policja i pyta o młodego Jęczkowiaka. Bo on uciekł z frontu, tak mówią...

– Rozumiem to, szanowna pani. Ja również uciekłem z frontu i...

– Pelasia! – gdzieś zza drzwi dobiegł go męski, podniesiony głos. – Pelasia, a z kim ty tam gadasz?!

– Już wracam, Stachu! – odrzyknęła kobieta w stronę mieszkania, a zaraz potem jej oko znowu przywarło do szpary między drzwiami i futryną. – Mąż mnie woła na słodkie. Ale... – tu ściszyła głos. – Powiem coś panu w zaufaniu, panie Tomasz... Józek jest w Poznaniu! Widziałam go na tym korytarzu. Przyszedł przywitać się z matką...

Gnade poruszył się niespokojnie, ale na twarzy zachował maskę szczęścia.

– Tak? To bardzo się cieszę! Bardzo! – zapewnił sąsiadkę Jęczkowiaków. – A kiedy to było, droga pani?

– Pelaaa! – głos zza drzwi był coraz bardziej natarczywy. – No co jest z tobą, kochanie? Bo sam spucnę⁵⁷ te pączki, jak Boga

⁵⁷ Z gwary poznańskiej – zjem.

koçam!

– Już lecę, Stachu! Już! – zawołała kobieta. A zamykając drzwi, szepnęła w konspiracji do Gnadego:

– Był tu chyba na początku miesiąca. Ale najlepiej niech pan zapyta u Jęczkowiaków. Matka Józka na pewno ucieszy się z pana wizyty.

Gdy zamknęła drzwi, na twarzy Niemca pojawił się złośliwy uśmiech.

Mam cię, pomyślał. Warto było czekać!

Teraz potrzebował już tylko cierpliwości. Tej cierpliwości, której zaczęło mu brakować.

Był pewny, że Jęczkowiak jeszcze do matki zajrzy.

Lotnisko wojskowe w Ławicy, początek listopada 1918 r.

Pilot Franciszek Jach stał przed hangarem i przypatrywał się eskadrze Fokkerów wznoszącej się z pomrukiem silników w niebo. Było pochmurno i mglisto, na szczęście wczorajszy deszcz przeszedł już do historii. Maszyny startowały jedna za drugą z wyraźnym wysiłkiem. Zupełnie jakby wilgotne powietrze nie służyło osiągom ich silników.

Godzinę wcześniej dowiedział się, że jedna z eskadr, które przyleciały do Poznania z Berlina, dostała pilny rozkaz przemieszczenia się na lotnisko we Frankfurcie nad Odrą. Najwyraźniej Niemcy uznali, że efektowny przelot nad miastem wszystkich samolotów, którymi dysponowało lotnisko w Ławicy, spełnił swoje zadanie: wzmocnił w Niemczech poczucie siły, a z głów polskich mieszkańców wybił jakiegokolwiek robaczywe myśli.

Mylili się. Jach przekonał się o tym, gdy dwa dni wcześniej wraz z kilkoma pilotami wybrał się do Poznania. Franciszek zaszedł do kilku polskich sklepów i w każdym z nich słyszał te same narzekania na niemieckie lotnictwo. Najdobitniej wyraził to znajomy krawiec Jan Brambor, jowialny, okrągły jegomość,

o którego warsztat na Berliner Strasse Jach również zahaczył.

– Fruwają nad nami, jakby sraczki dostali! I pewnie ją mają, ale ze strachu! – skomentował dosadnie, a widząc srebrzysty mundur lotnika, szybko się zmytygował. – Oczywiście nie miałem na myśli szanownego pana Franciszka. Ma się rozumieć, pan Franciszek lata nad Poznaniem z innych powodów. Mam rację, prawda?

Jach uśmiechnął się do krawca z wyrozumiałością. Chwilowo byli w warsztacie sami, więc lotnik przymknął drzwi i zbliżył się do Brambora.

– A u waszego teścia, na wsi pod Środą? Jakie tam są nastroje? – zapytał. – Co ludzie u was gadają?

Wąsaty mistrz igły i nici odłożył je na chwilę na pulpit maszyny do szycia i wyszczerzył zęby. W jego oczach za szklami grubych okularów Jach zauważył wesołe ogniki.

– Ja tam nie bywam za często, panie Franciszku – asekurował się Brambor. – Ale ostatnio, znaczy się na początku października, jak żeśmy już niedzielny obiad zjedli i szło na słodkie, teściu mi ino na ucho powiedział, że u nich jakowaś tajna grupa czy organizacja powstała. Wojskowa w każdym razie. Huczy o tym w całym powiecie, a Szkiebry nic o tym nie wiedzą. Miarkujesz pan? Ha, ha, ha!

– To całkiem możliwe, panie Janie – przytaknął mu życzliwie Jach. – Mówiąc między nami, ja też szukam jakiegoś dojścia... Nie zna pan kogoś, hm, stosownego? Nie ma pan wśród klientów jakiegoś podoficera albo oficera Polaka?

Mistrz krawiecki podrapał się w łysiejącą głowę.

– Nie, no! Oficerów Polaków to ja raczej nie widuję. Ale podoficerowie... o tak, ci się czasem trafiają. Był tu u mnie niedawno taki jeden. Postawny, a jaki dowcipny!

– Pamięta pan jego nazwisko? To bardzo ważne.

– A wiesz pan, panie Franciszku, że jakieś takie śmieszne nazwisko miał. Zaraz, zaraz... Jak mu to było? Ech, poczekaj pan. Zerknę do zeszytu...

Brambor stuknął się wymownie w głowę i podszedł do kredensu. Wyciągnął z niego brulion z notatkami i przez chwilę

wertował w nim zapisane kartki.

– O, jest! – oświadczył w końcu przejęty. – Portki zostawił do podcerowania, bo mu się rozeszły we wstydlwym miejscu. Uważaj pan, panie Franciszku... Nazywał się Polochowski. Tak się przynajmniej przedstawił. Chyba sierżant, ale głowy sobie nie dam uciąć.

Polochowski – zapisał sobie w pamięci Jach. Dobre i to.

– A gdzie go szukać, tego Polochowskiego? – zapytał.

– A nie wiem, panie szanowny. Nie opowiedział się. Ale zdaje się wspominał, że przyjechał do Poznania pracy szukać. Chyba w Cegielskim... Znaczy się, trochę dziwny ten podoficer, nie uważasz pan? – Brambor puścił do Jacha oko. – Tam wojna wielka na zachodzie, a ten w Poznaniu pracy szuka?

Jach uśmiechnął się szeroko. Było jasne jak słońce, że ten cały Polochowski to dezertter. A skoro tak, to i jego nazwisko musiało być fikcyjne.

– A kiedy się po te portki zgłosi? – zapytał z nadzieją.

Krawiec raz jeszcze zajrzał w zeszyt.

– A tak, prawda. Wpisałem go na jutro. Znaczy się, będzie jutro koło południa po odbiór.

– Co za pech! Jutro z Ławicy mnie nie puszczą – zdenerwował się Jach. – Ale chwileczkę! Panie Janie, zrobi pan coś dla mnie?

– Wszystko, co trzeba, panie szanowny.

– To wspaniale. Poproszę o kartkę i coś do pisania. Może być choćby i ołówek.

Poznań, w centrum, w tym samym czasie

Na widok niemieckiego oficera Jęczkowiak odruchowo uskoczył w bramę i sięgnął do kieszeni, w której spoczywał pistolet. Tętno skoczyło mu wysoko, ręka zadrżała na broni. Strzelać czy czekać?!

Tylko na co?!

Niemiec go zauważył. Stał na środku Sankt Martin Strasse i przyglądał mu się jakoś dziwnie. Aż wreszcie zbliżył się, nie

zważając na jego wymownie skrytą w kieszeni dłoń.

– Was machen Sie hier, Jęczkowiak? – zagadnął.

Józef spojrział oficerowi w twarz – i poczuł, jak wraz z potem spływa z niej całe napięcie.

To był podporucznik Różalski. Ten sam, który jeszcze latem w okopach pod Soissons radził mu: „Może i Szwaby tę wojnę przegrają. Ale proszę, nie rób żadnych głupstw”. Różalski nie wyglądał na dezertera, raczej na urlopowicza. Świadczył o tym wzorowo utrzymany mundur i broń przy pasie.

– Pan wie, że zdezerterowałem. Jako Polak nie mam ochoty rozmawiać z Polakiem po niemiecku – odburknął Jęczkowiak.

– Daj spokój, człowieku! Jestem na urlopie – podporucznik ściszył głos, przechodząc na polski, a jednocześnie rozglądając się czujnie. – Ale mój urlop się kończy, a ja wcale nie mam ochoty wracać na front, pod rozkazy Kocho. Może... Może mógłbyś mi coś poradzić? Pomóc?

W ostatnich słowach Różalskiego wybrzmiała jakaś nadzieja. Jęczkowiakowi zrobiło się go żal. Miejsce do rozmowy było jednak fatalne – przechodnie z dużym zainteresowaniem gapili się na pogawędki niemieckiego oficera z młodym cywilem w wojskowym płaszczu, w dodatku w bramie kamienicy.

– Niech pan przyjdzie za godzinę do kawiarni Rączyńskiego na Wrocławskiej. Wie pan, gdzie to jest? – zaproponował. A gdy Różalski potwierdził, dodał: – I proszę być koniecznie w cywilnym ubraniu, inaczej nie ręcę za towarzystwo.

Różalski zastosował się ściśle do wskazówek. O umówionej porze stanął w kawiarni. Nie wiedział tylko, że gdy usiadł z Jęczkowiakiem przy stoliku, jego rozmówca miał w obstawie czterech skautów rozrzuconych po sali.

Zamówili czarną kawę.

– Wiesz, Jęczkowiak... Jako oficer nie mogę się zdecydować na jawną dezercję – zagaił Różalski. Nie zwracał się już do Józefa jak do podwładnego. – Żona i dzieci mogłyby ponieść tego konsekwencje, czego chciałbym im oszczędzić.

– Rozumiem to, panie poruczniku.

– Cieszę się. Ale nie zamierzam też więcej wypruwać flaków za

Wilusia. Zwłaszcza teraz, gdy Szkiebry dostają wycisk. Zastanawiam się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Ma pan jakąś propozycję?

Jęczkowiak już wcześniej przemyślał sprawę. Przyszedł na spotkanie przygotowany. Z kieszeni płaszcz wyjął bilet wizytowy.

– Tu jest adres doktora Gantkowskiego. To lekarz, który współpracuje z naszym ruchem. Proszę do niego pójść, zna sprawę. Dostanie pan jakieś leki czy zastrzyki, po których pan zachoruje – uśmiechnął się do podporucznika.

Oficer odpowiedział mu tym samym.

– Mam tylko nadzieję, że to nie będzie tyfus ani hiszpanka.

– Bez obaw, doktor Gantkowski to dobry specjalista. Na pewno zostanie pan przyjęty do szpitala, a do jednostki we Francji pójdzie pismo o pana chorobie. To dobry układ, nie uważa pan porucznik?

Różalski pogroził mu palcem.

– Ej, Jęczkowiak! Zawsze był z ciebie wywijas, nie ma co! Już ja się na tobie poznałem! Całe szczęście, że znowu na ciebie trafiłem. Dziękuję!

Zgarnął ze stołu wizytówkę, rzucił banknot na stół i wyszedł.

Witamy w organizacji, pomyślał Jęczkowiak. Wiedział, że Różalski to cenny nabytek.

Poznań, ulica Święty Marcin 66, następnego dnia

Zbójcka intuicja nie zawiodła Heinza Gnade. Choć powodzenie akcji kosztowało go w sumie kilkanaście dni spędzonych wokół domu matki Jęczkowiaka. Zakwaterowany w niedalekim Hotel de Rome przy Wilhelmstrasse⁵⁸, dobrze wykorzystał ten czas, poznając śródmieście i tamtejsze lokale, a także kilka młodych dam lekkich obyczajów kręcących się niezawodnie w okolicy Tunelu Bismarcka⁵⁹, oczywiście przy Bismarck Strasse. I choć

58 Dziś Hotel Rzymki na Alejach Marcinkowskiego.

59 Słynna, nieistniejąca już piwiarnia i restauracja przy Bismarckstrasse

daleko im było do profesjonalizmu paryskich koleżanek po fachu, zapewniły mu wszakże parę miłych nocy. Ponieważ był w pełni wypłacalny, zdobył sobie w krótkim czasie niejaki rozgłos w tym rozrywkowym środowisku. A przy okazji zebrał wiele ciekawych informacji.

Jedna z dam okazała się być w latach szkolnych bliską znajomą Polaka, którego usiłował namierzyć. Dzięki niej dowiedział się, że już w młodości Jęczkowiak siedział za udział w jakiejś rozróbce pod kościołem św. Marcina, a ściślej rzecz biorąc, pod stojącym obok pomnikiem jakiegoś polskiego poety. I że udzielał się intensywnie w drużynach skautowych.

Przez ten czas Gnade wypracował też sobie cały system skrytek obserwacyjnych, położonych wokół klatki schodowej domu przy Sankt Martin Strasse 66. Najlepsza z nich znajdowała się na półpiętrze klatki schodowej wyludnionej kamienicy stojącej po przeciwnej stronie długiego, wąskiego podwórka.

Gdyby Gnade otrzymał jasno sprecyzowane zadanie snajperskie, miejsce to byłoby idealne do jego wykonania. Ale nie otrzymał go. Przynajmniej na razie. Nawet jednak bez tego dreszczyku emocji stanowisko obserwacyjne w opustoszałym domu dawało świetny wgląd we wszystko, co dzieje się w lustrowanej kamienicy. A już zwłaszcza w to, kto i po co się tam pojawia.

Kilkakrotnie widział policyjne patrole nachodzące mieszkanie matki Jęczkowiaka o różnych porach dnia. Obserwował, jak policjanci odbębniali stały rytuał, by po rewizji lokalu z czystym sumieniem po raz kolejny opuścić lokal. Śmiał się w duchu z ich nieudolności. W tej materii potrzebna była improwizacja i pomysłowość, której brakowało policji. Tępą rutyną nikt jeszcze niczego nie osiągnął.

Przemyślność i wytrwałość Niemca zostały wynagrodzone szóstego listopada wieczorem. Na zewnątrz zapadły już ciemności i Gnade właśnie zastanawiał się, jak długo zabawi tym razem w sąsiedniej kamienicy, kiedy na klatce schodowej, którą obserwował, zapaliło się światło. Zaraz potem po schodach

(dziś ul. Kantaka).

przemknął przez półpiętro jakiś szczupły, żwawy cień.

Gibkość człowieka, który wbiegł na półpiętro, poderwała agenta z miejsca. To mógł być tylko on!

Gnade opuścił natychmiast swój punkt obserwacyjny i zbiegł na dół, do wyjścia na dziedziniec. Szybкими susami pokonał kilkanaście metrów dzielących go od przeszklonych drzwi na klatkę schodową domu nr 66. Otworzył je wolno, dbając, by ich trzask nie zdradził go przedwcześnie.

Trudniej było z drewnianymi stopniami schodów. Choć bardzo się starał, i tak kilkakrotnie zaskrzypiały pod jego ciężarem.

Na szczęście mieszkanie matki Jęczkowiaka znajdowało się już na pierwszym piętrze. Nie potrzebował więc wspinać się wysoko. Wystarczyło, że doszedł do załomu schodów i skrył się za ścianą. Nawet nie musiał się wychylać – słyszał wszystko doskonale.

– ...cieszę się, żeście wszyscy zdrowi – męski głos zdradzał objawy wzruszenia. – A teraz posłuchaj mnie, mamó.

– Nie wejdiesz, synuś? Bracia by się ucieszyli...

– Dziękuję, mamuś. Nie mogę. Policja...

– No tak, wczoraj znowu tu byli.

– Właśnie. No więc posłuchaj, mamusi...

– Tak?

– Teraz mnie dłużej nie będzie. Wyjeżdżam.

– A dokąd to, Józus?

Na dłuższą chwilę zapadło kłopotliwe milczenie. Gnade przyłgnął do chłodnych ceramicznych płytek zdobiących ścianę korytarza i wyteżył słuch. Najwyraźniej Polak wahał się, ile może wyjawić swojej matce.

– Rozumiem, synku. Nie chcesz powiedzieć... – odezwała się w końcu kobieta.

– Jadę do Warszawy, mamó. Ale błagam, nikomu o tym ani słowa...

– Ani mru-mru, Józus. Ani mru-mru...

– To sprawa służbowa. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– A kiedy, synku?

– Jutro, mamó. Jutro mam pociąg wczesnym rankiem.

Nadal w Poznaniu, buda skautowska na Wielkich Garbarach, początek listopada 1918 r.

Życie na strychu przynosiło niemal każdego dnia nowego gościa. Nie inaczej było tym razem. Ledwie Jęczkowiak wrócił skądś z wielce zaaferowaną miną, nie chcąc niczego powiedzieć nadąsanemu o to Kaczmarkowi, a już na poddasze wparował energiczny mężczyzna w znoszonym wojskowym płaszczu. Niezbyt dobrze zbudowany, za to stanowczy w ruchach i słowach, był o jakieś dziesięć lat starszy od reszty towarzystwa. Jego długi nos, przecinający dość wąskie, zacięte usta, obracał się to w lewo, to w prawo, lustrując zebranych.

– No, chłopaki! – zagaił już od progu. – Szykuje się robota! Jesteście gotowi?!

Ba! Co to było za pytanie! Kilkunastu mężczyzn poderwało się na równe nogi, jakby usłyszeli trąby jerychońskie. Czyżby to właśnie już?! Teraz?! Co właściwie mieliby robić?!

– Jestem porucznik Hulewicz – przedstawił się szybko mężczyzna o pociągłej, nieco lisiej twarzy. – Właśnie wróciłem z Kilonii. Tam, jak już pewnie wiecie, rewolucja. Zresztą, tu za chwilę będzie to samo. Musimy zrobić wszystko, by to wykorzystać dla naszych celów.

– Rewolucja? – Kubiak z wrażenia zamrugał. – A kto się buntuje, jeśli wolno wiedzieć?

– Pierwsi byli marynarze, ale w ich ślady poszli też szeregowcy i podoficerowie piechoty w całej Rzeszy – wyjaśnił zwięźle Hulewicz. – Niemcy się rozpadają. Ich cesarz abdykował i uciekł ponoć do Holandii.

– Niemożliwe! – Kaczmarek i kilku innych z wrażenia złapali się za głowy. – Wiluś już nie jest cesarzem? Koniec świata!

– Raczej początek, panie kolego – zauważył na chłodno przybysz. – Początek nowego, lepszego świata.

Kaczmarek zasalutował przepisowo przed porucznikiem i przedstawił się.

– Dziękuję. Panowie, szykuje się ważna akcja – Hulewicz

mimowolnie ściszył głos. – Na ulicach chaos, nikt już nie kontroluje dokumentów. Już nie ścigają dezertarów, bo mają ważniejsze sprawy na głowie. A to oznacza, że nareszcie możecie się przydać.

– Ale do czego, panie poruczniku? – nie wytrzymał Kubiak.

– Wszystko w swoim czasie, panowie – głos Hulewicza brzmiał twardo i pewnie. Ten człowiek wiedział, czego chce i po co tu przyszedł. Jego zdecydowanie szybko udzieliło się przyszłym podwładnym.

– Na rozkaz, panie poruczniku! Na rozkaz! – salutowali zgodnie jeden po drugim, z rumieńcami emocji na twarzach.

– Pierwsze zadanie jest proste: pobierajcie swoje manatki – Hulewicz rozejrzał się wokół po siennikach rozrzuconych po deskach. – Jak się ściemni, wreszcie wychodzicie z tej nory. Od teraz jesteście pod moim dowództwem. Słuchacie tylko moich rozkazów. Jasne?

Lotnisko Luftstreitkräfte w Ławicy, w tym samym czasie

Wiść o abdykacji cesarza spadła niczym grom z jasnego nieba. Zaraz potem przyszły następne: o rewolucji w portach Kaiserliche Marine⁶⁰, o przejmowaniu rządów w garnizonach i w jednostkach frontowych przez rady żołnierskie, wreszcie o powstających w miastach Rzeszy radach robotników i żołnierzy, które miały już dość prowadzonej od ponad czterech lat, morderczej i rujnującej kraj wojny. Podoficerowie i mechanicy przyjmowali te wieści początkowo z niedowierzaniem, a potem z ogromną radością. Oficerowie przeciwnie – sprawiali wrażenie przygnębionych i osowiałych. Trudno im było pogodzić się z faktem, że wszystko, czemu służyli, runęło w jednej chwili. Że ich świat upadł.

Na budynku i hangarach lotniska szybko pojawiły się czerwone flagi. Nie minęło pół dnia, a już samozwańcza Rada Żołnierska negocjowała ze sztabem jednostki w gabinecie dowództwa.

60 Cesarska Marynarka Wojenna.

Jach dowiadywał się o wszystkim od zaprzyjaźnionych Niemców, którzy weszli w skład rady. Wieczorem wiedział już, że jednym z postulatów rady stała się relokacja samolotów z Poznania do Frankfurtu nad Odrą. Miały tam odlecieć kolejne eskadry.

Jeśli do tego dojdzie, lotnisko zostanie puste, pomyślał w drodze do kasyna.

Nie doszedł tam, bo natknął się na leutnanta Pohla. Jego frontowy kolega stał oparty o drzewo i palił smętnie papierosa. Na widok Polaka rzucił niedopałek pod nogę i zdusił go podeszwą.

– No, chyba się cieszysz, co, Frantz? – zagadnął prowokacyjnie Pohl.

Jach nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Z jednej strony kolosalny aparat państwowy zaborcy załamywał się pod ciosami rewolucji, z drugiej – nie było żadnej pewności, czym ta rewolta się zakończy. Nie wierzył w hasło: „Cała władza w ręce rad”. Za bardzo śmierdziało mu ono bolszewickim przewrotem w Rosji.

– Niby dlaczego, Paul? – odpowiedział pytaniem. – Rewolucja to nic dobrego. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie.

– Tak sądzisz?

– Spójrz na Rosję. Co zrobili z tym krajem bolszewicy? Strach pomyśleć, co jeszcze tam się wydarzy. Jednego jestem pewien: nie będzie to nic dobrego – Jach sprytnie prześlizgnął się nad zasadniczym pytaniem Niemca.

Pohl nie wyglądał jednak na zadowolonego z tej odpowiedzi.

– Dla was, Polaków, to pewnie święto – rzucił znowu z drażniącą pewnością w głosie. – W końcu Niemcy dostają w dupę, *nicht wahr*?⁶¹ Niemcy, wasi ciemiężyciele...

Polak mimowolnie się uśmiechnął.

– Jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę, to *schadenfreude*⁶² jest mi obca – wybrnął z zastawionej pułapki.

A potem spojrział wprost w oczy kolegi i dodał: – Ale uważam też, że zasługujemy na własne, wolne państwo. Jeśli trzeba

61 Z niem. – Nieprawdaz?

62 Z niem. – radość z czyjejś porażki.

będzie, to będziemy się o nie bić. Znowu. Aż do skutku.

Pohl pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Na co wam to? Już kanclerz Bismarck mawiał, że...

– Nie cytuj go, Paul, bardzo cię proszę. To dla nas żaden autorytet! – zdenerwował się Jach.

Niemiec zdawał się zaskoczony jego ostrą reakcją. Zmilczał komentując.

– Lada chwila wszystkich was rozpuszczą do cywila – zapowiedział niespodziewanie.

– Dlaczego?!

– Bo od teraz z wami, Polakami, będzie więcej kłopotu niż pożytku z was – odparł Niemiec.

Jach docenił jego szczerść.

– Jeśli tak będzie, to się pożegnamy – stwierdził.

Pohl odwrócił wzrok. Wpatrując się w ciemne przestrzenie między hangarami, powiedział cicho:

– Mam nadzieję, że nie staniemy przeciwko sobie, Frantz. Szkoda by było.

X.

MUSISZ JAK TEN ROBAK

Warszawa, początek listopada 1918 r.

Był tu pierwszy raz w życiu. Jeszcze cztery lata wcześniej Warszawę oddzielał przecież od Poznania graniczny kordon. Kiedy po długiej podróży pociągiem przez Ostrów, Kalisz i Łódź wysiadł wreszcie wieczorem na Dworcu Wiedeńskim, czuł jakieś radosne podniecenie. To musiał być niewątpliwie znak z góry, z niebios, że właśnie on, Józef Gabriel Jęczkowiak, przyjechał z tajną misją do dawnej polskiej stolicy. Jeśli dobrze pójdzie, to kto wie? – gwizdnął sobie wesoło. Może Warszawa znowu będzie stolicą Rzeczypospolitej?

Już w dworcowych drzwiach zderzył się jednak z szarą rzeczywistością. Dosłownie zderzył – z dwoma potężnie zbudowanymi niemieckimi żandarmami z bronią gotową do strzału.

– *Deine Papiere!*⁶³ – rozkazali, sprawiając wrażenie nieskorych do dłuższych dyskusji.

Reakcja żandarmów było zrozumiała. Przyjechał przecież w płaszczu zwykłego szeregowca. Bez zbędnych słów sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Legitymacja na nazwisko Schroeder była podrobiona perfekcyjnie, w dodatku jego skierowanie poświadczała pieczęć Wojskowej Komendy Miasta Poznania. Mimo to Niemcy coś nad nią deliberowali. W końcu jednak, widząc przydział do szpitala, oddali mu papiery i rozstąpili się, przepuszczając go ku miastu. Zostawił za plecami okazały gmach dworca z dwiema wieżyczkami na skrzydłach przypominającymi nieco dwa złączone tendrami parowozy. Nie miał okazji, by przyjrzeć im się bliżej, wołał oddalić się jak najszybciej od

⁶³ Z niem. – Twoje dokumenty!

patrolu. Przypadkowo mijanego przechodnia zapytał o ulicę Żurawią. Usłyszał, że to „dobry kwadrans” drogi. Podziękował za wskazówki i ruszył szybkim krokiem w stronę Wisły.

Idąc, rzucał zdawkowe spojrzenia na boki, chłonąc wzrokiem architekturę i ludzi. Kamienice warszawskie zdały mu się wyższe od poznańskich i jakby bardziej zdobne. Przechodząc obok majestatycznego gmachu hotelu „Polonia”, zajrzał z przejściem w wysokie okna rzęsiście oświetlonej restauracji. Dobiegający z wnętrza gwar poświadcział, że nadeszła pora kolacji. I tylko idący chodnikiem patrol niemieckich żołnierzy psuł nieco wrażenie względnej swobody.

Minął Niemców z obojętną miną i skręcił z Alei Jerozolimskich w prawo, w Marszałkowską. Porady przechodnia okazały się rzetelne. Pięć minut później doszedł do skrzyżowania z Żurawią.

Spojrzał za siebie, czy nie ciągnie przypadkiem jakiegoś ogona. Obawy nie były zupełnie bezpodstawne. W pociągu odniósł bowiem wrażenie, że ktoś mu się przygląda. Podejrzany mężczyzna o zwalistej sylwetce kilkakrotnie podniósł wzrok znad gazety, taksując go bacznie. Zupełnie, jakby szacował, na ile stać Jęczkowiaka...

Przybysz z Poznania nie zauważył jednak teraz niczego podejrzanego. Pewnie uległem złudzeniu, pomyślał i odetchnął z ulgą. Zadowolony z siebie skręcił w Żurawią i zaczął się rozglądać po fasadach kamienic. Szukał tej z numerem 12.

Gdy zniknął za drzewami, w miejscu, w którym stał jeszcze przed chwilą, zatrzymała się dorożka. Wsiadł z niej dobre zbudowany mężczyzna w cywilnym płaszczu. Zapłacił fiakrowi banknotem i stanął na chodniku z podróznym kuferkiem w dłoni.

– Co to za ulica, szanowny panie? – zapytał uprzejmie woźnicę.

Czułe ucho fiakra wychwyciło w tym zdaniu obce, nieco szorstkie brzmienie.

– Żurawia, proszę pana – odpowiedział wozak.

– Dziękuję bardzo – klient skłonił się i ruszył w stronę Żurawiej.

Woźnica odprowadził go podejrzliwym wzrokiem, a potem smagnął siwkę i odjechał w stronę placu Zbawiciela.

W uchu ciągle brzmiało mu jakieś obce echo.

Poznań, piwnica kamienicy przy Wielkich Garbarach 53

Było ich w sumie kilkunastu, można powiedzieć niezły pluton. Prawie wszyscy przeszli tę samą drogę – przez niemiecką armię, dezercję i potajemny powrót w rodzinne strony. I wszyscy mieli ten sam cel – służyć wreszcie prawdziwej ojczyźnie. Bo prawdziwa była przecież tylko jedna.

Porucznik Hulewicz czytał tekst, a oni powtarzali słowa, jeszcze nieświadomi, że wypowiadają zdania poznańskiej roty przysięgi:

– Przysięgam w obliczu Boga Wszechmogącego, że będę służył całym życiem Polsce i stanę na wezwanie prawowitego rządu polskiego za zgodą i pod komendę dowódcy, by krwią swoją bronić ojczyzny, i że zachowam w ścisłej tajemnicy istnienie organizacji POW Zaboru Pruskiego oraz będę posłuszny moim dowódcom!

Przysięgali na krzyż stojący przed nimi na wyściełanym białym obrusem stole. Kaczmarek czuł, jak po karku spływa mu pot, choć wcale nie było gorąco. Nikt nie czuł chłodu bijącego od betonowej posadzki. Chwila była tak podniosła, że w niczym nie przeszkadzały ceglane ściany piwnicznej izby i panujący w niej półmrok.

Kaczmarek był przekonany, że ta przysięga to tylko wstęp. Chyba szykuje się coś większego, przemknęło mu przez głowę. Spojrzał na swoich nowych kolegów. Żałował, że nie było wśród nich Józka Jęczkowiaka, ale on pewnie już dawno miał to za sobą. Twarze kompanów były poważne, świadome chwili i sytuacji. Zapewne tak jak Kaczmarek zastanawiali się, dokąd i po co poprowadzi ich ten szczupły jak sznytloch⁶⁴ oficer z lekko ironicznym uśmiechem.

Hulewicz dopiłnował, by wszystko odbyło się, jak należy. Kiedy już Polska Organizacja Wojskowa Zaboru Pruskiego powiększyła

⁶⁴ Z gwary poznańskiej – szczypior. Tu w znaczeniu: człowiek drobnej postury.

się o kilkunastu członków, porucznik pogratulował swoim nowym podwładnym i zrobił tajemniczą minę.

– No, panowie – zagaił. – Jak już wam wspominałem, kroi się pierwsza akcja. Ważna akcja. Trudna. Niebawem poznacie jej szczegóły. Niebawem, ale jeszcze nie dziś. Na razie macie utrzymywać czujność i być gotowi w każdej chwili wykonać rozkazy dowództwa. Wiecie, że rewolucja z głębi Niemiec dotarła również do Poznania. Że w tej chwili w mieście o wszystkim decyduje Rada Żołnierska, a nie niemieccy politycy czy dowódcy korpusu. Spróbujemy to wykorzystać.

Młodzi słuchacze wymieniali szybkie, pełne zaskoczenia spojrzenia. Porucznik Hulewicz potrafił podgrzać atmosferę, a jednocześnie trzymać nerwy na wodzy. Dawkowaniem informacji najwyraźniej ich sprawdzał. Pierwszy egzamin wypadł chyba pomyślnie, bo żaden z nowych konspiratorów nie wyrwał się z pytaniem: „Jak?”.

– Powiem wam dzisiaj tylko tyle, że Komitet Wykonawczy Rady Żołnierskiej w Poznaniu składa się, niestety, z samych Niemców. Tak jednak być nie może. Nie w mieście, w którym Polacy ciągle stanowią większość. Trzeba będzie coś z tym zrobić... – zawiesił swoją wypowiedź porucznik.

Milczeli, wpatrzeni w oficera jak w Boga. Pewność, z jaką wypowiadał swoje sądy, wzmagała w nich przekonanie, że wie, o czym mówi. I nakazywała im z miejsca mu zaufać.

– Rozumiecie, chłopcy, że rewolta w niemieckiej armii to dla nas ogromna szansa. Grzechem byłoby jej nie wykorzystać! Podobna okazja może się już nie powtórzyć. Więcej powiem wam niebawem. Bądźcie gotowi!

– Tak jest! – odkrzyknął Kaczmarek.

Hulewicz podszedł do niego i uśmiechnął się, ale bez cienia ironii.

– Coś czuję, że będzie z was niezła eka – zażartował. – Byle tylko nie zacząć zbyt wcześnie. Rozumiemy się?

Warszawa, hotel Bristol, mniej więcej o tej samej porze

- Panie kapitanie, melduję się z Warszawy.
- Nareszcie! Jak tam twój podopieczny?
- Cały i zdrowy – Heinz Gnade poprawił się w fotelu, przyciskając mocniej do ucha złoconą słuchawkę. – A mówiąc poważnie: namierzony i pod obserwacją.
- Brawo, Heinz! – głos kapitana Wirbela płynący po niemal sześćsetkilometrowej linii łączącej Berlin z Warszawą wybrzmiał entuzjastycznie mimo znacznej odległości. – I co właściwie porabia ten cały Jęczkowiak?
- Gnade wziął w płuca duży wdech powietrza.
- Przede wszystkim zamieszkał przy ulicy Żurawiej, kamienica numer 12.
- Gdzie to jest?
- Ścisłe centrum, panie kapitanie. Jak ustaliłem, zaczepił się w mieszkaniu niejakich Rudnickich. Na razie nie wiem o nich nic pewnego, ale można się spodziewać, że oni również są w spisku.
- Skąd to przypuszczenie, Heinz?
- Podpowiada mi to intuicja, herr hauptmann. Na podstawie niedługiej obserwacji ustaliłem, że do lokalu, w którym zatrzymał się Jęczkowiak, zaglądają oficerowie w mundurach Polnische Wehrmacht⁶⁵. To nie może być przypadek.
- Też tak sędzę, Heinz. Celna uwaga.
- Dziękuję.
- Co jeszcze udało ci się ustalić?
- Niewiele więcej. Jestem jednak dobrej myśli. Kiedy tylko się wyśpię, zabiorę się do roboty.
- Jak na pierwszy dzień w obcym mieście, zebrałeś sporo informacji – Wirbel pochwalił swojego zaufanego człowieka. – Musisz być ostrożny. Słyszałem dziś od znajomego z urzędu gubernatora, że w Warschau panuje napięta atmosfera. Nigdy nie

65 Siły zbrojne Królestwa Polskiego, utworzone na mocy aktu 5 listopada 1916 r. Jesienią 1918 r. liczyły 3–9 tys. żołnierzy, formalnie dowodził nimi Generalny Gubernator Warszawski Hans Hartwig von Beseler.

wiadomo, co Polakom strzeli do głowy. Na wszelki wypadek zawsze zabieraj ze sobą broń.

- Zawsze mam przy sobie pistolet - zapewnił Gnade. - I oczywiście ostrze...

- *Gut, Heinz!* Uważaj na siebie, bo stąpasz po polu minowym. A jak Warschau? Jak apartament, kobiety?

Gnade rozejrzał się po przestronnym pokoju wyposażonym w secesyjne meble. Nie spodziewał się luksusów, a własna łazienka stanowiła przyjemne zaskoczenie.

- Miasto całkiem ładne. Hotel też w porządku, z niezłą windą. Kryształową, uwierzy pan kapitan? A dziewczyny... Cóż, nie zdążyłem jeszcze żadnej bliżej poznać.

- Ha, ha, ha! - wybuchnął śmiechem Wirbel.

Doskonale wiedział, jak zmotywować swojego agenta.

- Myślę jednak, panie kapitanie, że będą dużo lepsze niż te w Posen.

- Tak? - zainteresował się Wirbel. - A czego tamtym brakowało?

Gnade poczuł nagle śmiertelne zmęczenie. Po trudach podróży i pierwszych, intensywnie spędzonych godzinach w nowym mieście najchętniej zanurzyłby się teraz w wannie z gorącą wodą.

- Długo by opowiadać - odparł grzecznie.

- *Ach, ja!* Rozumiem! - zaśmiał się znowu Wirbel. - Po wizycie w Paryżu nikt już ciebie nie zadowoli tak jak gorąca Francuzka. *Nicht wahr?*

- *Genau* - mruknął do słuchawki Gnade.

Był tak skonany, że żadna ognista Polka nie była mu w głowie. Nie teraz, nie w tej chwili.

Nagle zapragnął jak najszybciej odmeldować się i wskoczyć do łóżka.

Sam.

Nadal w Warszawie, 6 listopada 1918 r.

Wszystko poszło gładko i szybko, a wytrychem otwierającym drzwi okazało się dobrze zapamiętane hasło. Od Adama, syna państwa Rudnickich, otrzymał do dyspozycji jego pokój. Młody Rudnicki wyjaśnił, że będzie nocował u przyjaciół. Następnie przedstawił Jęczkowiaka rodzicom i wyszedł.

Po kolacji, którą otrzymał od gospodarzy, Jęczkowiak udał się na zasłużony odpoczynek. Spał mocno i przyjemnie, więc rano był świeży i wypoczęty. Pokrzepiony kawą i śniadaniem, około dziewiątej wyszedł do miasta.

Listopadowa aura nie była tego dnia szczególnie przykra. Nie padało, a pomiędzy popielatych chmur przebiegało od czasu do czasu słońce, złocąc trotuar odbiciem żółtawych liści. Miasto wydało mu się przyjaźniejsze niż poprzedniego dnia. Zdecydowanie większe niż Poznań, sprawiało wrażenie dziwnie ożywionego. Mimo chłodu przechodnie stali grupkami przed witrynami kawiarni i sklepów, przekazując sobie w łatwo wyczuwalnym podnieceniu najświeższe nowiny z Niemiec.

– Podobno na froncie załamanie...

– Chyba będą kapitulować... – słyszał szeptane informacje, od których rosło serce.

Szedł dziarskim krokiem, udając starego warszawiaka. I tylko wojskowy płaszcz oraz buty powodowały, że miejscowi spoglądali na niego cokolwiek nieufnie. Marszrutę sprawdził na planie miasta otrzymanym od młodego Rudnickiego. Adres Komendy Naczelnej POW też poznał dzięki niemu. Wiedział, że musi odszukać kamienicę przy Marszałkowskiej, między Chmielną a Ogrodem Saskim.

– Będzie tam na ciebie czekał obywatel Styk. On wyda ci wszystkie dyspozycje – zapowiedział Adam Rudnicki.

Choć nie znał Warszawy, na jej głównych ulicach radził sobie całkiem dobrze. Umiejętność czytania mapy i zapamiętywania kluczowych zwrotów, wyniesiona jeszcze ze skautowskich zabaw w lasach Puszczykowa albo Kobylnicy, sprawdzała się znakomicie. W niespełna kwadrans, nie niepokojony przez

rzadkie niemieckie patrole, dotarł pod wysoką, reprezentacyjną kamienicę, zwróconą fasadą ku zachodowi – i uśmiechnął się łobuzersko. Właśnie oficjalnie rozpoczynał swoją misję łącznika.

Nie wiedział wprawdzie, kim jest ów „obywatel Styk”, do którego skierował go Rudnicki, wyczuwał wszakże, że musi to być ważna persona w tajnej organizacji. Zapewne zakonspirowany oficer, trzymający w dłoni dziesiątki, jeśli nie setki nitek. Takich, jak on sam, Józef Jęczkowiak z poznańskiego Świętego Marcina.

Ciekawe, czego będą ode mnie chcieli, rozmyślał, przekraczając bramę budynku. Tego dnia był jednak gotów wypełnić każde zadanie.

W umiejscowionym na drugim piętrze mieszkaniu z wysokim sufitem, oczekiwał na niego szczupły kapitan w szarym legionowym mundurze. Był co najmniej kilka lat starszy od Jęczkowiaka. Miał lichego czarnego wąsa i krótko przystrzyżone włosy. Uważne spojrzenie zza szkieł okularów nie zrobiło na przybyszu specjalnego wrażenia.

– Sierżant Jęczkowiak melduje się na rozkaz – przedstawił się, gdy gospodarz zamknął za nim drzwi.

– Styk⁶⁶ – przedstawił się krótko oficer. – Zapraszam do salonu.

Jęczkowiak z miejsca zrozumiał, że znalazł się w sztabie konspiracyjnym. Salon był nim bowiem tylko z nazwy. Na wielkim stole leżała płachta wojskowej mapy Warszawy, na której ktoś kolorowymi kredkami ponanosił pozycje, zajmowane najpewniej przez jednostki niemieckie. Wokół stołu stały krzesła, poodsuwane nieskładnie, jakby dopiero co wstało z nich kilkunastu sztabowców. W powietrzu z dawna niewietrzonego pokoju wyczuć można było woń taniego tytoniu.

– Oto i nasza komenda – uśmiechnął się nieznacznie „obywatel Styk”, wskazując jedno z krzeseł. – Siadajcie. I zaraz opowiadajcie, jak wygląda sytuacja w Poznaniu.

Jęczkowiak nie zamierzał udawać, że jest świetnie

66 Pod tym pseudonimem krył się ówczesny kapitan Wacław Teofil Stachiewicz, późniejszy generał Wojska Polskiego, a w latach 30. ubiegłego wieku szef Sztabu Generalnego WP.

poinformowany.

– Szczerze mówiąc, ostatnimi czasy głównie się ukrywałem – wyjaśnił. – Ale od moich szefów wiem, że garnizon poznański objęła już pierwsza fala rewolucji. Miastem rządzi w tej chwili rada robotniczo-żołnierska, która zbiera się co jakiś czas w ratuszu. Nie liczą się z dowództwem korpusu, które wydaje się chwilowo odizolowane od żołnierzy garnizonu...

– Pozazdrościć – westchnął Styk.

– Idąc tutaj, słyszałem, że na ulicach rozmawia się o rychłej kapitulacji Niemiec...

– To prawda. Tyle że w Warszawie ciągle wszystko trzyma żelazną ręką Beseler⁶⁷. Niby przekazał Radzie Regencyjnej władzę nad Polnische Wehrmacht, ale dba o to, żeby do garnizonu nie dotarł bakcyl rewolucji. Widziałeś niemieckie patrole?

– Tak jest, panie Styk.

– I co, żołnierze mieli na rękawach czerwone opaski?

Jęczkowiak wysilił pamięć.

– Nie mieli.

– Ano właśnie! A to oznacza, że gubernator Beseler nadal dysponuje karną siłą zbrojną, która w każdej chwili może nas zdusić żelazną pięścią. Jeśli tylko zechce ją zacisnąć. Albo każą mu to zrobić z Berlina.

– A my? – wyrwało się Jęczkowiakowi. – Ilu ludzi mamy pod bronią?

Kapitan machnął ręką.

– Niewielu – powiedział, a Jęczkowiak w lot pojął, że zapytał o szczegóły, które nie powinny go interesować. – Najgorsze jednak jest to, że za Wisłą, na wschodzie, ciągle mamy inną zmorę – armię Ober-Ostu⁶⁸. A to setki tysięcy dobrego żołnierza. Lepiej, żeby nie wycofywali się przez Warszawę, bo nas zادةpczą, zanim powstaniemy.

67 Hans Hartwig von Beseler – w 1918 r. niemiecki generał-gubernator Warszawy.

68 Wojska Naczelnego Dowództwa Armii Cesarstwa Niemieckiego na byłym froncie wschodnim.

Jęczkowiak zrozumiał, że szef Komendy Naczelnej w Warszawie wie, o czym mówi.

– A w czym ja mogę pomóc? – zapytał skromnie.

Styk ocknął się z zamyślenia.

– O, z wami wiążemy wielkie nadzieje, kolego Jęczkowiak. Komendant Wierzejewski wspominał mi podczas ostatniej bytności w Warszawie, że przyśle nam kogoś naprawdę bystrego. Z jednej strony dla lepszej komunikacji z Poznaniem, bo tam przecież też się musi coś zmienić, a z drugiej – dla naszych ściśle warszawskich celów.

– Tak?

– Znasz świetnie język niemiecki, a chyba jeszcze lepiej stosunki panujące w armii niemieckiej. Masz lewe papiery na niemieckiego sierżanta i nie powinno nastęrczać ci większych trudności odnalezienie się wśród Niemców z warszawskiego garnizonu. Otóż oni tutaj jeszcze nie zaznali tego, co wasi poznańscy Niemcy. Do nich nie przyjechał jeszcze żaden zrewoltowany marynarz z Hamburga czy Kilonii. Wiedzą tylko, że w Berlinie jest niespokojnie. Dobrze by było, kolego Jęczkowiak, żebyś ich nieco uświadomił, jak wygląda sytuacja w Niemczech...

– Kiedy nie mam najświeższych wieści – westchnął Jęczkowiak.

– Nie szkodzi – zbył jego obawy przełożony. – Najważniejsze, że wiesz, co należy im opowiadać. Jakie wieści rozpuszczać. Szeptanka to najlepsza broń, jaką mamy. Trzeba umiejętnie zasiać w nich zwątpienie, wsączyć im w głowy obawy o ich rodziny i bliskich w Rzeszy. Trzeba wytrącić im z ręki broń, wybić z głowy myśl o słuchaniu rozkazów gubernatora i innych oficerów, kiedy przyjdą gorące chwile w Warszawie. Jestem pewien, że kolega ma na pewno wystarczająco inwencji, by wszystko to rozegrać koncertowo. Możemy ich rozbroić jedynie w ten sposób. Tylko psychicznie zdemobilizowani nie postawią oporu, gdy stolica zbudzi się do wolności...

– Kiedy? – Jęczkowiak aż poderwał się z krzesła. – Kiedy będzie powstanie?

Styk osadził go z powrotem lekko ironicznym ruchem dłoni.

– Spokojnie, panie kolego. Co nagle, to po diable – uraczył go filozoficzną sentencją. – O to już zatroszczymy się my. Sytuacja musi najpierw dojrzeć. Tak samo zresztą, jak u was, w Poznaniu. A żeby dojrzała, ty musisz, jak ten robak, toczyć ich od środka. I od wewnątrz rozbrajać.

Jęczkowiak zaczynał rozumieć, na czym polega scenariusz warszawskiej POW. Wroga należało najpierw rozbroić mentalnie, a dopiero potem fizycznie. Niemcy pełni zwątpienia nie stawiają oporu, gdy miasto powstanie. A on ma być tym, który zainfekuje ich niewiarą w sens walki. Tylko... jak do nich wszystkich dotrzeć?

„Obywatel Styk” najwyraźniej czytał w myślach nowego podkomendnego.

– Twoje pierwsze zadanie brzmi: zorientować się, gdzie w Warszawie są najważniejsze Soldatenheime i jakie w nich panują nastroje. Zdaje się, że największy z nich znajduje się w Dolinie Szwajcarskiej, ale musisz to jeszcze sprawdzić. Niewykluczone, że Soldatenheime należą do awangardy buntu. Jeśli tak, wystarczy ludzi stamtąd odpowiednio „urobić” i pokierować nimi. Jeśli nie, należy skłonić ich do buntu wobec oficerów. Musimy wbić między nich solidny klin, żeby niemieccy oficerowie nie mogli zareagować odpowiednio wcześniej, gdy przyjdzie czas próby.

„Czas próby”... Jak wspaniale zabrzmiały te słowa w uszach Jęczkowiaka! Od dwóch lat marzył, by nadeszła taka chwila – i takie dyspozycje.

– Ile mam czasu? – rzucił konkretne pytanie.

W głowie układał już pierwsze plany.

– Właściwie go nie masz, przyjacielu.

Niemiecka Luftstreitkräfte w Ławicy pod Poznaniem, w tym samym czasie

Nareszcie!

Pilot Franciszek Jach nie posiadał się z radości. Wreszcie miał

wokół siebie wcale liczne grono pilotów Polaków. Nawet nie zauważył, gdy w końcu października do jednostki wraz z innymi dołączył wysoki brunet ze starannie podgolonym wąsem. Sierżant pilot Wiktor Pniewski, który od sierpnia leczył się z ciężkiej kontuzji odniesionej we Francji, jakimś cudem zameldował się któregoś dnia u leutnanta Pohla. Zameldował tylko formalnie, bo faktycznie lotniskiem i załogą rządziła Rada Żołnierska i stojący na jej czele niemieccy delegaci. Niemiec przyjął Pniewskiego nieufnie, ale przywitał go i powierzył mu nowe obowiązki.

Pniewski koniecznie chciał się rozeznać w sytuacji. Wykorzystał stosowny moment, gdy mechanicy udali się na obiad i w ich hangarze zrobiło się pusto, by swobodnie rozmówić się z Jachem.

– Wiem, że można ci zaufać. Nasi ludzie przechwycili twój meldunek – zaczął prosto z mostu. – Jestem z POW, Polskiej Organizacji Wojskowej. Przysłał mnie tu porucznik Paluch. Słyszałeś o nim? Nie? Nic dziwnego, w końcu ukrywa się po dezercji. Nieważne! Dla ciebie i innych Paluch nazywa się Polochowski, jasne?

Dopiero teraz Jach zrozumiał, że jego korespondencja, napisana ołówkiem w warsztacie mistrza krawieckiego Jana Brambora, również dotarła do właściwych rąk. Wzmianka o tym, że informacje przekazane przez niego drogą konspiracyjną okazały się użyteczne, podniosła go na duchu i spowodowała, że natychmiast chciał się znowu wykazać.

– Jasne jak słońce! – przytaknął.

– Ja myślę, panie kolego – Pniewski spuścił nieco z tonu i uśmiechnął się pod wąsikiem. – Twoje informacje okazały się na tyle ważne, że postanowiliśmy natychmiast działać. Jak wygląda sytuacja na lotnisku? Ile mają tu teraz maszyn?

– Od mojego meldunku ubyła jedna eskadra. Odleciała na rozkaz do Frankfurtu. Berlin ściąga jednostki bliżej, chyba obawia się rozruchów w mieście – wyraził przypuszczenie Jach.

– Rozruchy to oni już mają – uśmiechnął się znowu, tym razem złośliwie, Pniewski. Ale zaraz dodał: – Nieważne! Czyli ile teraz mają maszyn? No?

– Będzie ze dwadzieścia. Głównie Fokkery i maszyny szkoleniowe.

– No właśnie! Niedobrze! – zirytował się Pniewski. – Musimy zrobić wszystko, żeby nie stracić więcej sprzętu.

– Jak to: nie stracić? – nie zrozumiał Jach.

Przecież maszyny nie znajdowały się w polskich rękach.

– Ano właśnie: nie stracić – powtórzył kolega i zrobił tajemniczą minę.

Jach ochłonął z pierwszego wrażenia. Chyba zaczynał rozumieć, o jaką stawkę idzie gra.

– Kiedy Rada Żołnierska chce wywozić resztę sprzętu do Frankfurtu! – zareagował impulsywnie. – Niemcy już zaczęły załadunek dwóch wagonów na bocznicę...

– Szlag by to trafił! – zeźlił się Pniewski.

Nagle zrozumiał, że czasu ma jeszcze mniej, niż sądził. Że wszystko zaczyna mu przeciekać między palcami. Musiał coś z tym zrobić. Tylko jak?

Poznań, gdzieś w śródmieściu

Z wrażenia Kaczmarek długo nie mógł zasnąć. To samo zdarzyło mu się pod Verdun, kilka razy przed porannymi atakami na pozycje francuskie. Tyle że wtedy dokładnie wiedział, co czeka ich o świcie – kolejna rzeź, w której liczy się wyłącznie umiejętność przetrwania pod huraganowym ogniem artylerii i karabinów maszynowych przeciwnika. Tym razem sytuacja pozornie wyglądała lepiej. Ale tylko pozornie. Porucznik Hulewicz był tajemniczy i nieprzenikniony. A jeśli on także poprowadzi ich na pewną śmierć? Może misja, którą dla nich przygotował, okaże się zadaniem samobójczym?

Ta niepewność paliła go w środku. A co będzie, jeśli on i jemu podobni nie podołają zadaniu? Może wyznaczono im cel przekraczający ich skromne możliwości? W końcu nie było ich więcej niż pluton młodych chłopaków, niektórzy nawet nie mieli za sobą wojska, a jedynie skautowską zabawę. Czy dadzą radę

w decydującej chwili?

Z podobnymi myślami bił się przez pół nocy, aż wreszcie zmęczenie skleiło mu oczy.

Śniło mu się, że zdobywają jakiś silnie umocniony bastion. Ale tym razem nie francuski. O nie! Fortu bronią żołnierze w charakterystycznych wysokich hełmach! Matko Boska, on sam zakładał taki jeszcze niedawno! Zanim urwał się Szkiebrom, spędził w takim na froncie niemal dwa lata. Więc Niemcy walą do nich ze wszystkiego, co mają: z karabinów, moździerzy, artylerii, zrzucają nawet z góry handgranaty. Ale plutonowi Kaczmarka niestraszna ta kanonada. Jego ludzie osiągają linię umocnień i strzelają do przeciwnika z najbliższej odległości! Po chwili nad bastionem powiewa biało-czerwona flaga...

O Boże, więc to jednak możliwe?

Zbudził się zlany potem, zanim jeszcze na zewnątrz na dobre zrobiło się jasno. Miał dziwne przeczucie, że wbrew pozorom przyśniło mu się coś niezwykle ważnego. I choć nie potrafił sobie w szczegółach przypomnieć, co to było, po sercu rozlało mu się wcale miłe ciepło.

Będzie dobrze, pomyślał. Idziemy w dobrym kierunku.

Warszawa, znowu 6 listopada 1918 r., po południu

Jęczkowiak włączył się po śródmieściu, orientując się w rozkładzie głównych ulic, najważniejszych budynków – i w sytuacji. Czasu nie miał, ale miał chęci. Wielkie chęci, by przyspieszyć „czas próby”, o którym wspomniał „obywatel Styk”. Udzieliła mu się ta niezwykła atmosfera oczekiwania na coś, co przyjść musi. Trzeba tylko pomóc. Mocno pomóc.

Zanim odmeldował się u Styka, ten wręczył mu „pensję listopadową” na życie i inne wydatki – w sumie tysiąc marek. Miał więc za co kupić sobie coś do jedzenia, a wypełniony żołądek pomagał w dalszym zadaniu.

Jego plan był prosty. Zaczepiał napotkanych na ulicy niemieckich żołnierzy i dopytywał o najbliższe świetlice

żołnierskie. Gdy Niemcy zaczęli coś podejrzewać, przedstawiał się zgodnie ze swoimi papierami jako Karl Schroeder z przydziałem do Szpitala Fortecznego nr 1. Rozwiązanie to działało wyśmienicie. Przy okazji w kilku krótkich konwersacjach z Kameraden z głębi Niemiec dowiedział się, że wieści o rewolucji przenikają już również do Warszawy. Kilku jego rozmówców bynajmniej nie kryło się z niechęcią do cesarza i rządu w Berlinie. Dwóch bąknęło nawet coś o marynarzach z Kilonii. Wszystkie te sygnały skrzętnie notował w pamięci, by zebrać więcej „amunicji” i wykorzystać ją, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

Właśnie stał na rogu Marszałkowskiej i Hożej, podgadując piechura z pułku, który przyjechał do Warszawy z okolic Drezna. Zażywny Saksończyk chętnie dzielił się najświeższymi informacjami, poklepując przy tym Jęczkowiaka po przyjacielsku.

– ...tam mają najlepsze piwo. A najlepszy Soldatenheim znajdziesz w Dolinie Szwajcarskiej – pochwalił się rozległymi kontaktami Niemiec spod Drezna.

– *Danke, Kamerad!* – Polak w podzięcie klepnął go równie serdecznie po jego szerokich plecach. – Muszę tam koniecznie wpaść. Pośpiewamy sobie i zabawimy się na całego. A przy okazji... Co z kobietkami? Są tam jakieś interesujące sztuki?

Purpurowa, podpuchnięta twarz Niemca rozszerzyła się w lubieżnym uśmiechu.

– *Na ja, natürlich!* – przytaknął chętnie, puszczając oko. – *Die Polinnen sind wirklich attraktiv. Du sollst nach es allein prüfen!* Ha, ha, ha...⁶⁹

Najchętniej kopnąłby Szwaba w dupę czubkiem buta, żeby mocniej bolało. Zamiast tego dla dobra sprawy zaśmiał się z nim do rozpuku. Nic dziwnego, że rozstali się jak najlepsi przyjaciele.

Muszę odnaleźć tę całą Dolinę Szwajcarską, postanowił sobie. Najlepiej jeszcze dziś.

⁶⁹ Z niem. – No tak, naturalnie! Polki są rzeczywiście atrakcyjne. Powinieneś to sam sprawdzić, ha, ha, ha...

Nadal w Warszawie, na Marszałkowskiej

Z bezpiecznej odległości, ukryty za słupem ogłoszeniowym, Gnade obserwował, jak Jęczkowiak w niemieckim płaszczu wojskowym zaczepił kolejnego już żołnierza, żeby się zaprzyjaźnić. Był zbyt daleko, by usłyszeć, o czym rozmawiają, ale szybko zorientował się, że cała ta maskarada ze strony śledzonego przez niego dezertera zmierza w jednym kierunku: by wyciągnąć od prostych szeregowców jak najwięcej wieści.

Było więcej niż pewne, że Polak uczestniczy w jakimś szerzej zakrojonym spisku. W tym przeświadczeniu utwierdziły tajniaka dwie godziny spędzone pod kamienicą na Marszałkowskiej, gdy czekał na ponowne pojawienie się Jęczkowiaka. Jego „podopieczny” zniknął w jednej z bram zapewne nieprzypadkowo – zbyt radośnie zmierzał rano w miejsce, być może, tajnej schadzki. Tylko z kim?

Gnade zanotował sobie dokładnie w pamięci tamten adres. Muszę tu wrócić i poobserwować obiekt, pomyślał. Było dla niego pewne, że Jęczkowiak poszedł pod wskazany mu adres w celach konspiracyjnych. Wiedział jednak jeszcze zbyt mało, by podzielić się swoimi spostrzeżeniami ze służbami gubernatora. Było na to zdecydowanie zbyt wcześnie. Zresztą w pierwszej kolejności musiał konsultować swoje ruchy z Wirbelem. To on był jego przełożonym, nie Hans Hartwig von Beseler.

Z każdą kolejną godziną poświęconą obserwacji Polaka podziw Gnadego dla jego sprytu rósł. Dezerterski ewidentnie wypełniał jakieś zadanie. Zachowywał się, jakby dopiero co otrzymał szczegółowe instrukcje, które natychmiast przekuwał w czyn.

– ...A najlepszy Soldatenheim znajdziesz w Dolinie Szwajcarskiej... – doleciały niespodziewanie do uszu Niemca zapewnienia nieco komicznie wyglądającego, tęgiego żołnierza.

Z entuzjastycznej reakcji Polaka wywnioskował, że wskazany adres bardzo przypadł mu do gustu. Czyżby wiedział, gdzie to jest? Czyżby już wcześniej był w Warschau? Nie, to raczej niemożliwe. Był zwyczajnie za młody...

Ewidentnie udający Niemca śledzony Polak pożegnał się

serdecznie z niemieckim żołnierzem i przystanął na rogu ulicy, rozglądając się za jakąś dorożką.

Gnade zrozumiał, że musi zrobić to samo – inaczej za moment straci Jęczkowiaka z pola obserwacji!

XI.

CZAS TO ZWYCIĘSTWO

**Warszawa, Dolina Szwajcarska,
6 listopada 1918 r., wieczorem**

W publicznym parku z ponad stuletnią historią, położonym w nieznacznym obniżeniu terenu mimo zimnego dnia panował gwar nie do opisania. Alejami wytyczonymi pośród wyraźnie zaniedbanych w ostatnich latach drzew i krzewów poruszali się wojskowi w mundurach koloru feldgrau. Wielu z nich wspierało się na ramionach i barkach kompanów, spacerując chwiejnym krokiem i rozlewając z kufli piwną pianę. Miejsce to nazywano niegdyś Letnim Cyrkiem, a śladem po jego dawnym charakterze były stojące na obrzeżach parku baraki, pobudowane niegdyś dla akrobatów, a także stajnie dla koni cyrkowców. Mimo braku dawnych rozrywek, atmosfera w tej śródmiejskiej oazie przyrody pozostała wierna dawnym czasom. Tyle że miast cyrkowców o rozrywkową oprawę dbali zrewoltowani żołnierze. Ich gardłowe, pijackie okrzyki niosły się w gęstniejących ciemnościach. Całe szczęście, że do Doliny nie zapuściły się o tej porze żadne niewiasty. Nadmiar wrażeń byłby gwarantowany.

Jęczkowiak zacierał ręce z zadowolenia. Nie był już w stanie zliczyć rozmów, które odbył w ciągu kilku godzin z żołnierzami garnizonu warszawskiego. Początkowo napotykał samych podchmielonych Niemców, ale z czasem zauważył, że wśród odzianych w niemieckie mundury szeregowców, grefreitrów czy innych feldwebli trafia się sporo Polaków! Zwłaszcza jeden z nich, zresztą krajan z Szamotuł, okazał się nadzwyczaj bystry. To on podał Jęczkowiakowi informację o Polakach, zbierających się grupkami po służbie i spędzających razem wieczory.

- A dasz mi jakieś nazwiska, kolego? - zapytał z nadzieją,

chuchając w marznące dłonie. – Może ktoś jest z Poznania?

– Z Poznania to chyba jest Chmielnik – odpowiedział rezolutny szamotulanin. – Znaczy się, sierżant Waclaw Chmielnik.

– Gdzie go znaleźć?

– Pełni służbę na Poczcie Głównej. Ale zaraz... O tej godzinie to już jest pewnie na swojej kwaterze. Ma tam telefon służbowy.

– Świetnie! – ucieszył się Jęczkowiak vel Schroeder. – Skąd można do niego zadzwonić?

– Niech kolega pójdzie ze mną do sali koncertowej. To jest... o, tam! Tam mają aparat telefoniczny.

W dawnej sali koncertowej zamienionej w żołnierską świetlicę śmierziało kiepskim piwem i rozprężeniem. Bractwo żołnierskie siedziało przy stołach, rozprawiając głośno i niewybrednie o klęsce armii na zachodzie, o głupim Kaiserze i zdradzieckim dowództwie. Nowy znajomy Jęczkowiaka z Szamotuł wykazał się dużą inwencją, zdobywając od dyżurnego prywatny numer telefonu do sierżanta Chmielnika.

Zatykając wolną dłońią jedno ucho, wykręcił krótką kombinację cyfr. Gdy Chmielnik odezwał się nieco chrapliwym głosem, Jęczkowiak przedstawił się jako sierżant Karl Schroeder.

– Przyjechałem z Poznania. Mam panu do zakomunikowania coś niezwykle ważnego – oświadczył po cichu.

Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy. Jęczkowiak zdawał sobie sprawę, że sporo ryzykuje, napraszając się na kwaterę osobie kompletnie nieznaney. W dodatku ze swoim niemiecko brzmiącym nazwiskiem, które zapewne nic nie mówiło Chmielnikowi. Nie miał jednak wyjścia. Musiał grać va banque.

– Pan przyjedzie do mnie, panie sierżancie – odpowiedział mu w końcu Chmielnik. – Proszę się nie krępować późną godziną.

Jęczkowiak odetchnął z ulgą. Gdy odkładał ciężką słuchawkę na widełki, przed oczyma mignął mu wysoki, ubrany po cywilnemu mężczyzna. To było dziwne, ale odniósł nieprzyjemne wrażenie, że gdzieś go już widział. I to chyba nie raz... Czy przypadkiem nie w pociągu? – Ech, przesadzam – machnął ręką.

Przecież to niemożliwe, żeby ktoś go tutaj śledził! Nie w środku Warszawy!

Nadal w Warszawie, noc z 6 na 7 listopada 1918 r.

To był niesamowity dowcip spleatany przez los, ale sierżant Chmielnik mieszkał na piętrze wysokiej kamienicy przy ulicy... Chmielnej. Gdy Jęczkowiak tam dotarł, ulice Warszawy od dawna tonęły w mroku, z rzadka tylko rozświetlanym przez latarnie. Swoje dorzucała też gęsta mgła spowijająca tego wieczora wąwozy ulic. Jęczkowiak pomyślał sobie, że tak zapewne wyglądał XIX-wieczny Londyn z powieści sir Arthura Conana Doyle'a – jego ulubionego autora.

Przez krótką chwilę zdawało mu się, że podąża za nim wysoki, smukły cień. Ale gdy zatrzymał się, by obejrzeć dokładnie tyły, w jesiennej szarudze za swoimi plecami nie dostrzegł nic, co wzbudziłoby jakiegokolwiek obawy.

Za dużo piwa, pomyślał. I za karę klepnął się boleśnie w tyłek.

Był dobrej myśli, którą wiązał z szybką, odważną decyzją, jaką przez telefon podjął jego przyszły gospodarz. Chmielnik mógł przecież obawiać się podstępu czy prowokacji; w każdym razie jakiegoś podejrzanego działania niemieckich służb. A jednak nie zawahał się – zaprosił Jęczkowiaka do siebie. Wystarczyło hasło „z Poznania”. Ile jeszcze drzwi otworzy mu ta „wizytówka”?

Wacław Chmielnik okazał się wysokim brunetem z czarnym wąsem i uważnym spojrzeniem. Sierżant uścisnął mu serdecznie dłoń. Zanim zamknął za nim drzwi, upewnił się, że na korytarzu nie dzieje się nic podejrzanego.

Nie znali się, a jednak już po krótkiej rozmowie, w której Jęczkowiak vel Schroeder przedstawił prawdziwy cel swojej obecności w Warszawie, przypadli sobie do gustu. Jęczkowiak mówił ostrożnie, nie odkrywając wszystkich kart. Nie podał nawet swojego prawdziwego nazwiska. Mimo to w oczach Chmielnika dostrzegł przebłysk zaufania.

– Skoro jesteś, kolego, z POW, to zapewne wiesz, jak wygląda sytuacja w niemieckich oddziałach w Warszawie? – zagadnął w końcu, gdy Jęczkowiak zrelacjonował mu już wszystko, co

powinien.

– Zdaje się, że karność jest już w nich mocno nadwątlona. W Dolinie Szwajcarskiej...

– Tak, wiem. Tam wkrada się chaos. To dobrze, nawet bardzo dobrze – przerwał mu Chmielnik. – Sęk w tym, że w innych Soldatenheimach sytuacja nie wygląda aż tak różowo. Nie do wszystkich dotarły informacje o buntach w Rzeszy. Ale wiecie co, kolego? Zdaje się, że mam na to sposób.

– Tak? – nadstawił życzliwie ucha Jęczkowiak.

– W armii niemieckiej w Warszawie służy dość dużo Polaków. Myślę, że co najmniej kilkuset. To naprawdę potężna siła, oczywiście w naszym rozumieniu, prawda? Mam wśród nich liczne grono znajomych. Spotykamy się wieczorami, albo w niedziele po południu. O ile dobrze pamiętam, jest też kilka osób z Poznania. Jakiś adwokat czy lekarz... Gramy w karty, plotkujemy. Słowem, czekamy na dobry moment...

Jęczkowiakowi aż zaświeciły się oczy.

– Musisz mnie koniecznie z nimi zapoznać! – zaproponował bez ceregieli.

– To się da zrobić.

– Byle szybko. Czas to pieniądz.

– No, nie tylko pieniądz, kolego. Czas to zwycięstwo.

– Otóż to, kolego Chmielnik. To co, kiedy mnie zapoznasz z kolegami z armii niemieckiej?

Chmielnik zamyślił się na moment.

– Już wiem – orzekł w końcu. – Zrobimy to jutro wieczorem. U mnie.

– O dwudziestej?

– Nie, to za późno. Lepiej o osiemnastej. Bo jutro mają krótszą służbę.

– Ilu ich będzie?

– Przyjdzie około dziesięciu osób – Chmielnik szybko i bezgłośnie policzył nazwiska na palcach rąk. – Ale to będzie prawdziwa śmietanka, nasi najważniejsi ludzie w szwabskiej armii.

– Tylko niech kolega nie zapowiada im za dużo – poprosił

Jęczkowiak. – Obowiązuje nas pełna konspiracja.

– Ma się rozumieć, kolego Schroeder – uspokoił go Chmielnik. – Nic się nie martw, główka pracuje! Jutro będzie zebranie, że aż miło!

Poznań, w tym samym czasie

Porucznik Hulewicz skąpił swoim podwładnym informacji o szczegółach planowanej akcji. Zupełnie, jakby sprawdzał ich cierpliwość i opanowanie. A chłopcy rwali się do czynu, że aż trudno ich było utrzymać na strychu kamienicy przy Garbarach. Wprawdzie zachowywali się coraz zuchwalej, wypuszczając się coraz odważniej w miasto i buszując w okolicach fortów w poszukiwaniu broni, jednak na noc wracali do skautowskiej budy, jakby pomni tego, że tylko ona gwarantuje im minimum bezpieczeństwa.

Kaczmarek szybko przywykł do nieprzeniknionego stylu bycia Hulewicza. Zauważył, że porucznik tylko pozornie zagrzewa do walki, jakby sam się do niej rwał. W rzeczywistości utrzymywał ich w ciągłym napięciu, w pełnej gotowości bojowej, ale nie szastał nadmiernie obietnicami ani zapowiedziami. Aż pewnego wieczoru zwołał zbiórkę i wszyscy zrozumieli, że nadszedł wreszcie czas na tak wyczekiwane rozkazy.

Zanim przemówił, porucznik zmierzył ich uważnym spojrzeniem. Jakby szacował, czy można im powierzyć tak skrzętnie dotychczas skrywaną tajemnicę. Gdy cisza na strychu aż dźwięczała w uszach, uśmiechnął się tajemniczo, podniósł prawą dłoń i wyprostował wszystkie pięć palców.

– Za pięć dni ruszamy – oświadczył poważnym tonem. – Zapamiętajcie dobrze: termin naszej akcji to dwunasty listopada.

– A miejsce? – Kaczmarek miał już dość tej wiecznej ciuciubabki.

– No właśnie! – poparł go rudowłosy Kubiak. – Panie poruczniku, gdzie to będzie?

Hulewicz zawahał się, jakby musiał się zmierzyć z pytaniem, na

które wcale nie planował odpowiadać.

- Wszystko w swoim czasie, żołnierze - odpowiedział. - Wszystko w swoim czasie...

Warszawa, 7 listopada 1918 r., około osiemnastej

Przyszli wszyscy, których zapowiedział Chmielnik. Mieloszyński ze Śremu. Kapral Jan Marcinkowski. Niejaki Kaźmierczak, a także doktor Kolszewski, adwokat z Poznania, i Żuromski, drugi poznański mecenas, wreszcie doktor Jagielski - co za przypadek! - również z Poznania. Te nazwiska Jęczkowiak zapamiętał najlepiej, bo wszyscy ci mężczyźni pochodzili z Wielkopolski. W dodatku Żuromskiego gdzieś już widział... Tylko gdzie?! Oprócz nich zjawiło się jeszcze ze trzech gości w niemieckich mundurach, których godności Jęczkowiak nie spaścił. Zawód sprawił tylko szeroko przez Chmielnika zapowiadany kapitan Polnische Wehrmacht, niejaki Taczak. Mimo zapowiedzi nie przyszedł na czas. Chmielnik poczuł się tym osobiście dotknięty i natychmiast wybrał się po oficera dorożką, ale nie zastał go na kwaterze. Wrócił rozczarowany.

- Jeszcze do nas dołączy, jestem pewien - podsumował nieudaną wyprawę.

Zaproszone towarzystwo stłoczyło się w niedużym salonie, wymieniając między sobą mrukliwe, poufne uwagi. Jęczkowiak wystąpił naprzód i w krótkich słowach przedstawił się jako łącznik z poznańskiego POW, z misją powierzoną mu przez „obywatela Styka” z komendy warszawskiej organizacji. Dla celów konspiracji zmienił swoje fałszywe nazwisko na „Józef Sułkowski” - tak się właśnie przedstawił.

Wystąpienie Sułkowskiego wzbudziło jednak więcej wątpliwości niż entuzjazmu.

- Tytułuje się pan sierżantem, a tymczasem nosi mundur szeregowca - zwrócił mu uwagę Żuromski. - Jak możemy zaufać komuś, kto już na pierwszy rzut oka budzi podejrzenia?

- Ten mundur to tylko kamuflaż - usprawiedliwił się

Jęczkowiak.

– Nie pokazał nam pan żadnych dokumentów – wytknął mu natychmiast Kaźmierczak. – Skąd mamy wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje? Prowokatorów wokół nie brakuje! Niech pan pokaże chociaż swoją legitymację!

Jęczkowiak spodziewał się ciężkiej przeprawy, ale trudności nie zniechęciły go. Wręcz przeciwnie – zmobilizowały do większej waleczności.

– Panowie, żadnej legitymacji pokazać nie mogę. Chyba rozumiecie dlaczego – przeszedł do kontry. – Konspiracja opiera się na niewielu słowach, za to na ogromnym kredycie zaufania. Bez niego nic nam się nie uda. Albo mi go udzielicie, albo rozejdziemy się z niczym. A przecież nie po to się tu zebraliśmy.

– Dobrze mówi – szepnął z boku z niejakim podziwem adwokat Kolszewski. – Potrafi argumentować!

– Sęk w tym, że trudno zaufać anonimowi – zaprotestował Kaźmierczak.

– Chwileczkę, panowie! – odezwał się z kąta Mieloszyński, pochodzący ponoć ze Śremu. – Dajmy koledze Sułkowskiemu szansę, by nas do siebie przekonał. Na razie nie dał nam przesadnych powodów do wiary, że ma dobre intencje. Ale w jego głosie wyczuwam dużo dobrej woli. Jak na początek, to ładny kapitał.

– Dziękuję, panie Mieloszyński – Jęczkowiak poczuł wiatr w żaglach. – Panowie! Koledzy! Rozumiem wasze obawy! Może uda mi się je rozwiązać, gdy powiem co nieco o sobie...

Jak za przekręceniem jakiegoś niewidzialnego, magicznego klucza, w pamięci Jęczkowiak otworzyła się niespodziewanie kłapka z pewnym epizodem. Jakże ważnym dla jego obecnej misji!

– Panie mecenasie! – zwrócił się niespodziewanie do adwokata Żuromskiego. – Pamięta pan wypadki pod pomnikiem Mickiewicza w Poznaniu?

– A jakże, pamiętam je doskonale.

– W lipcu trzynastego, nieprawdaż?

– I owszem – Żuromski rozwarł szerzej oczy.

– A potem były dwa procesy uczestników tego protestu, prawda?

– Prawda – przyznał chętnie adwokat.

– W których bronił pan oskarżonych.

– Prawda!

– Może pan mecenas mnie nie pamięta, bo byłem jeszcze wtedy szczenem, ale ja również zasiadłem na ławie oskarżonych...

Żuromski przyczesał grzywkę dłonią, zupełnie zaskoczony tym wyznaniem. Z coraz większym zdumieniem wpatrywał się teraz w oblicze Jęczkowiaka vel Sułkowskiego, które rozjaśnił uśmiech.

– A pamięta pan mecenas tajne zebrania oskarżonych przed procesami? Może podam adres, pod którym ustalaliśmy wówczas linię obrony: dom „Królowej Jadwigi” przy Wilhelmstrasse 1. Udzielał nam pan wtedy instrukcji, jak zeznawać i zachowywać się w trakcie rozpraw... – ciągnął coraz weselszy Jęczkowiak.

– Panowie, to wszystko prawda! – rozpromienił się adwokat Żuromski. – Tylko... Zdaje mi się, że pan wtedy nosiłeś inne nazwisko.

– Prawda! – przytaknął Jęczkowiak, tak udatnie naśladowując ton wcześniejszych wypowiedzi Żuromskiego, że towarzystwo mimowolnie wybuchło zdrowym, męskim śmiechem. – Ale w organizacji musimy nosić inne nazwiska. Dlatego dziś jestem Sułkowskim. A jutro Kaczmarkiem czy innym czortem!

Żuromski podał dłoń Jęczkowiakowi, poklepując go drugą ręką po ramieniu.

– Mnie pan przekonał – stwierdził krótko.

– A mnie na razie w połowie – wysunął się na pierwszy plan Mieloszyński.

Jęczkowiak zerknął w jego stronę filuternie.

– Pan jesteś ze Śremu, prawda?

– *Jawohl*, von Schrimm! – zażartował ciężko Mieloszyński.

– A wie pan, że moja matka jest z domu Wrońska? A w Śremie, musisz pan wiedzieć, mieszka jej siostra Maria. I zdaje się, utrzymuje stosunki towarzyskie z pańskimi rodzicami. O ile oczywiście to oni prowadzą w Śremie sklep z meblami.

– To prawda! Prowadzą! – ucieszył się Mieloszyński. – Panie

kolego! Z pańskimi zdolnościami powinieneś pan pracować raczej w handlu! Albo jeszcze lepiej: w wywiadzie!

Atmosfera ociepliła się w jednej chwili, jakby nagle wszyscy uznali, że pochodzą z jednej wielkiej rodziny. Jęczkowiak zrozumiał, że lody nieufności wreszcie zostały przełamane i topnieją w zawrotnym tempie. Nowi koledzy w niemieckich mundurach otoczyli go życzliwym kołem, poklepując go i zaśmiewając się z jego niedawnych opowieści. Najbardziej szczęśliwy zdawał się sierżant Chmielnik, który objął Jęczkowiaka vel Sułkowskiego ramieniem.

Sułkowski poczuł, że trzeba kuć żelazo póki gorące.

– Koledzy – przejął znowu inicjatywę. – Dziękuję za okazane mi zaufanie. Zrobię wszystko, by go nie stracić. Nie możemy jednak trwonić czasu. Trzeba działać!

– Ale jak? Kiedy? – podniosły się wokół mocno zaniepokojone głosy.

– Musimy się znowu spotkać. Jutro! W liczniejszym gronie. Niech każdy z was przyprowadzi swoich zaufanych ludzi. Takich, którym można powierzyć tajne zadania. Takich, którzy mogliby zostać dziesiątnikami.

– Dziesiątnikami?

– O wszystkim powiem jutro. Niech przyjdą wszyscy chętni, byle po cichu! Pojedynczo! I bez żadnych ogonów! Rozumiemy się?

– No, oczywiście...

– I niech każdy będzie uzbrojony. Najlepiej w broń krótką, żeby nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania. Albo w granaty jajkowe.

– Ja wystaram się o granaty dymne! – zaoferował się Kaźmierczak.

– Zgoda, kolego. Tylko spokojnie, bez emocji – poradził mu Jęczkowiak. – Musimy trzymać nerwy na wodzy. Z zimną krwią. Inaczej sprawa spali na panewce.

– Chwileczkę! – zaoponował niespodziewanie Chmielnik. – Kolego Sułkowski, nie możemy się tu więcej spotykać.

– A niby czemu?

– Mieszkanie jest za małe na taki tabun wojska.

- Racja – przyznał Jęczkowiak.
Gorączkowo zastanawiał się, co dalej.
- No dobrze, panowie. Zmiana planów! Widzimy się jutro u mnie. Zapamiętajcie, ale nie zapisujcie: Żurawia 12 mieszkania 5. Proponuję godzinę dziewiętnastą. Wszystko jasne?
- Taaaak jest!
- No! – Jęczkowiak z radości aż wytarł spocone dłonie w spodnie i ogarnął coraz bardziej wesołą kompanię radosnym wzrokiem. – Czuję, że będzie z was cholernie dobre wojsko! Żeby tylko nikogo z was nie nakryli...

**Warszawa, hotel Bristol,
tego samego dnia tuż przed północą**

- Panie kapitanie, nie jest dobrze.
 - Co to znaczy, Heinz?
 - To znaczy, że jest źle. Fatalnie! Tragicznie!
 - Mów do rzeczy, Heinz! Co się stało?! Dlaczego jesteś taki wzburzony?!
 - Niech się pan kapitan nie dziwi, zum tausend Teufel!⁷⁰ Polaczki podnoszą głowy! Od dwóch dni jestem na tropie grubej afery konspiracyjnej! To śmierdzi na kilometr jakimś wielkim buntem!
- Kapitan Wirbel opadł ze słuchawką w dłoni na skórzany fotel w swoim gabinecie w Berlinie. Tymczasem Gnade stał niemal na baczność przy złotym aparacie zdobiącym jego luksusowy apartament i na przemian czerwieniał i bladł. Gdyby mógł, najchętniej rzuciłby z wściekłości czymś ciężkim w lustro zawieszane na ścianie naprzeciwko. Widział w nim swoją bezsilną twarz. I zaciśniętą do białości pięść, w której trzymał słuchawkę.
- Uspokój się, Heinz! Uspokój się i powiedz wszystko, co wiesz – głos z Berlina stał się znowu spokojny i opanowany.
- Gnade westchnął i usiadł na pobliskiej sofie z taką pasją, że jej drewniane nogi rzeźbione w stylu rokoko omal nie rozeszły się

⁷⁰ Z niem. – Do tysiąca diabłów!

na boki. Gdyby mógł, ciskałby wokół pioruny. Zdradzieckie miasto! Zdradzieccy Polacy! Są jak robaki. Jak glizdy, które toczą niemiecką armię. Wojsko, które coraz bardziej przypomina gnój, nie realną siłę. Rozpite i zdemoralizowane. Niezdolne do żadnej reakcji!

– Melduję, panie kapitanie, że w mieszkaniu niejakiego Chmielnika na Chmielnej odbywają się co wieczór konspiracyjne spotkania tajnej polskiej organizacji. Być może chodzi o znaną nam już POW. Być może! Faktem jest, że spotkania te są coraz liczniejsze. Dziś, dosłownie dwie godziny temu, uczestniczyło w nich bodaj z tuzin Polaków! Tuzin! Co gorsza, większość z nich przyszła tam w niemieckich mundurach. W niemieckich, rozumie szef?! – Gnade dramatycznie skrócił relację służbową z Wirbelem, a wyjątkowość chwili w pełni go usprawiedliwiała. – Przecież to grozi rozkładem! Paraliżem naszych sił zbrojnych w Warschau! bez dwóch zdań odchodzą tam jakieś szemrane przygotowania. Jakieś szeptanki, ustalenia. Oni coś knują, panie kapitanie! Knują przeciwko nam!

Wirbel słuchał tej pełnej pasji relacji z coraz większym niepokojem, który szybko przeszedł w strach. Paniczny strach. Jednym ruchem rozpiął kołnierzyk pod szyją, by lepiej złapać świeże powietrze.

Nie możemy ulec panice, uznał ostatkiem zdrowego rozsądku. Trzeba działać szybko, ale mądrze!

Tylko bez paniki! Bez paniki!

– Heinz, jesteś tam?

– Jestem, herr hauptmann...

– Zatem posłuchaj mnie uważnie. Twoje zadanie weszło właśnie w nową fazę...

XII.

TRUP MUSI SIĘ PRZEWRÓCIĆ

Poznań, 8 listopada 1918 r., w godzinach wieczornych

– Zrobimy zamach!

Rzucone zdecydowanym tonem słowa zmroziły słuchaczy. Młode twarze pokraśniały z podniecenia, a jeszcze bardziej z niepokoju.

– Jaki zamach?!

– Gdzie?!

– Na kogo, Matko Boska?! – z piersi niedawno zaprzysiężonych młodych ludzi wyrwały się pełne niepokoju słowa.

Porucznik Hulewicz uśmiechnął się lisio, jak to on potrafił. A potem podszedł do zawieszanej na belce mapy centrum miasta i ukłął ją palcem w sam środek.

– Tu! – odpowiedział. – Zrobimy zamach na ratusz! Trzynastego listopada, panowie! Nie dwunastego, tylko trzynastego! Najdziemy posiedzenie Komitetu Wykonawczego Rady Żołnierskiej! Wprowadzimy do niej naszych ludzi! Wszystko jasne, moje sokoły?!

Dotychczas porucznik szczędził informacji, więc tych kilka zdań, wypowiedzianych przez niego w momencie szczególnego napięcia, oszołomiło podwładnych. Spoglądali na siebie, nieufni w swoje siły i możliwości. Jak to, oni mają zaatakować ratusz? A jeśli Niemcy odpowiedzą ogniem? Przecież...

– Przecież będzie z tego walka! – zauważył trzeźwo Kubiak.

– Albo będzie, albo nie będzie – zbył jego obawy Hulewicz. – Trzeba zrobić wszystko, żeby nie było awantury. Owszem, nieco huk i dymu nie zawadzi. Ale tylko odrobinę, dla efektu. Dostaniecie granaty i narobicie zamieszania. Ale strzelać do Niemców nie będziecie. Chyba że w ostateczności. Nasi „koledzy”,

towarzysze z armii niemieckiej nie mogą odnieść wrażenia, że robimy jakąś narodową rebelię. Nie, my to zrobimy ganz anders! My się tylko grzecznie upomnimy o nasze prawa do reprezentacji w radzie. Tylko tyle! A jak dobrze nam pójdzie, a wy będziecie przekonywający, Niemcy sami zaproszą nas do udziału w obradach. I o niczym więcej nie marzę...

– To jak to? Z Niemcami w radzie mamy się bratać? – Kubiak sprawiał wrażenie skołowanego. – Nic już z tego nie rozumiem, jak matkę kocham!

– To lepiej ją kochaj mocniej, żołnierzu – Hulewicz podszedł do niedowiarka i położył mu dłoń na ramieniu. – Zaufajcie nam, druhowie. Dziś inaczej nie można. Tu nie Warszawa. Tu Niemcy ciągle siedzą na Cytadeli i w każdej chwili mogą wezwać z Berlina posiłki. Albo nakazać Ławicy, żeby nas zbombardowali. Tu trzeba więcej dyplomacji, panie kolego. Więcej taktu i sprytu. Tym można wygrać więcej niż bezrozumną siłą.

Słuchali go z rozwartymi gębami jak jakiegoś proroka. Bo też i słowa porucznika zdały im się po ludzku mądre i przekonujące. Widać było, że Hulewicz wie, o czym mówi, że wszystko od dawna ma przemyślane i poukładane. Skoro teraz wyklada im spokojnym, wyważonym tonem, dlaczego i co zamierza kierownictwo, to znaczy, że wszystko odbywa się wedle jakiegoś precyzyjnego, z dawna obmyślonego planu. Byli elementem tej struktury, tego ambitnego założenia, koncepcji, która świeciła im z wolna w głowach wraz z kolejnymi słowami stratega, którym okazał się porucznik. Świadomość, że Hulewicz ich właśnie wybrał dla urzeczywistnienia swojego zamysłu, napępiała mężczyzn poczuciem odpowiedzialności i dumą. O tak, z dumy aż pękali!

– Tylko... – wyrwało się z przejęcia Kaczmarkowi. – Tylko niech pan powie, panie poruczniku, kiedy tak naprawdę, z otwartą przyłbicą, na Szkiebrów skoczymy? Bo... kiedyś skoczymy, prawda?

Choć kamienna twarz Hulewicza pozostała maską, w jego oczach zatańczyły dziwne ogniki. W ostatniej chwili pohamował się jednak.

– Mały, za to pewny krok jest czasem ważniejszy niż duży, ale nieprzemyślany. Liczy się tylko najbliższy cel. Na nim się koncentrujemy – wytłumaczył. – Wszystko jasne?

Kaczmarek nie dostał odpowiedzi wprost. Czuł jednak, że porucznik nie powiedział mu wszystkiego, co w rzeczywistości chciałby powiedzieć. Z tym wrażeniem było mu naprawdę dobrze.

Warszawa, kamienica przy Żurawiej 12, tego samego dnia wieczorem

Dozorca miał szarą, zmęczoną twarz, ale jego oczy śmiały się do Jęczkowiaka, gdy ten zapytał:

– Ma pan to, o co pana prosiłem?

Stary mężczyzna bez słowa skinął głową i schylił się, by za moment nie bez trudu podnieść i pokazać Józefowi kłębowisko grubych sznurów z węzłami w równych odstępach, co trzydzieści centymetrów. Jęczkowiak vel Sułkowski wziął jeden z nich i rozwiązał. Na kamienną posadzkę w bramie kamienicy rozwinęła się niemal jak dywan pięknie skrecona drabinka linkowa o długości jakichś trzech metrów.

– Piękna robota, panie Stachu! Miód malina! – pochwalił dozorcę. – Ile się za to należy?

Zmęczony starzec machnął ręką.

– Ku chwale Ojczyzny – wysapał, a na jego zbiedniałym policzku wykwitł niespodziewanie róż wzruszenia.

Podając Jęczkowiakowi drugą, bliźniaczo podobną drabinkę, klepnął go przyjaźnie w ramię.

– Oby nie były potrzebne, panie oficer – mrugnął znacząco okiem.

– Jaki tam ze mnie oficer... – zachnął się Jęczkowiak.

Ale uwaga starego mile go połechtwała. Dozorca Stach spisał się nad wyraz dobrze. A przecież nie miał aż tak wiele czasu. Jęczkowiak poprosił go o przysługę ledwie poprzedniego wieczoru, po powrocie z narady u Chmielnika. Dozorca popatrzył

wtedy na niego dziwnym wzrokiem, a potem uśmiechnął się i obiecał, że da radę. I dał, jak jasna cholera!

Jęczkowiak wyściskał starego i ruszył schodami na pierwsze piętro, na swoją kwaterę. Mieszkanie miało dwa wejścia: główne z frontowej klatki schodowej i tylne, kuchenne, z podwórza. Z salonu można było wyjść na balkon, który wychodził na ulicę. Umożliwiał on Jęczkowiakowi zabezpieczenie się przed nalotem niemieckiej żandarmerii – gdyby ktoś zdradził albo ściągnął im na głowy wroga, przerzucone przez barierkę balkonu drabinki dawały szansę ucieczki, zanim drzwi uległyby naporowi szwabskich żołdaków.

Godzinę później wieszak w przedpokoju mieszkania państwa Rudnickich zapełnił się zimowymi płaszczami przybyłych. W krótkim czasie w salonie zgromadziło się ponad trzydziestu żołnierzy w niemieckich mundurach. Przychodzili po dwóch lub trzech, w milczeniu, zachowując pozory konspiracji. Jęczkowiak drżał, by żaden z nich nie przyciągnął za sobą ogona. Gwizd z policyjnych gwizdków – to było ostatnie, czego by sobie życzył.

Gdy zrozumiał, że więcej już ich nie przyjdzie, wystąpił na środek salonu i przedstawił się znowu konspiracyjnym nazwiskiem. Powiedział, w jakim celu znalazł się w Warszawie. I nakreślił sytuację przegrywających na froncie zachodnim Niemiec.

– Koniec wojny zbliża się wielkimi krokami, a wraz z nim upadek cesarskich Niemiec! – przemawiał z pasją, widząc i słysząc potakiwanie słuchaczy. – Musimy się pospiesznie zorganizować, panowie! Musimy być gotowi na to, co może się wydarzyć lada chwila, lada dzień czy godzina! Także tu, a może zwłaszcza tu, w Warszawie!

Z każdym kolejnym zdaniem czuł aprobatę dla swoich słów. Gdy skończył, kilku z przybyłych zabrało głos, popierając jego tezy. Kiedy zamilkli, zaproponował, że odbierze od nich przysięgę.

Złożyli ją zbiorowo, stojąc z podniesionymi dwoma palcami prawych dłoni. Powtarzali słowa ściszym głosem, jakby świadomi ciężaru brzemienia, jakie na siebie wzięli. A może byli wzruszeni chwilą, o której przecież z dawna marzyli.

Podniosłe słowa roty mówiły wszak o Bogu Wszechmogącym, o służbie całym życiem Polsce, o posłuszeństwie dowódcom i o gotowości stanięcia na wezwanie prawowitego rządu polskiego. A na koniec – o zachowaniu ścisłej tajemnicy.

– A teraz, panowie, czas iść do żołnierzy i kaptować podwładnych – podsumował Jęczkowiak vel Sułkowski. – Wasze zadanie brzmi: jesteście dziesiętnikami i musicie sformować jak najwięcej dziesiątek. Werbujcie wśród swoich ludzi w Soldatenheimach. Tam zebrania nie podpadną nikomu. Nie wolno wam jednak pod żadnym pozorem zdradzać nazwy POW ani adresu mojej obecnej kwatery. Widzimy się w niedzielę. Wtedy czekam na wasze meldunki!

Gdy się rozchodzili, z ich milczących twarzy bił zapach, jakiego Jęczkowiak jeszcze nigdy nie widział.

Przypomniały mu się nagle letnie harcerskie podchody pod Kobylnicą. Wtedy, w 1916 roku. Żywiczny zapach wilgotnego lasu. I wspaniały sukces Białych, którzy pokonali silniejszych Czerwonych. Choć przecież nie dawano im wielkich szans...

To się musi udać, pomyślał. Cholera, to się musi udać!

Lotnisko w Ławicy, mniej więcej w tym samym czasie

Franciszek Jach wybadał sprawę raz jeszcze: nie uległo kwestii, że Niemcy ładowali na wagony sprzęt, który miał lada dzień zostać odtransportowany w kierunku Berlina. Formalnie mówiło się o transporcie do Frankfurtu – takie tablice miały zresztą wagony czekające na lotniskowej bocznicy – ale nikt nie miał złudzeń, że Szkiebry ściągają jak najwięcej sprzętu w okolice stolicy. Najwyraźniej dowództwo niemieckiego lotnictwa szykowało się na poważne wewnętrzne zamieszki. Dwóch kolegów Polaków zaangażowanych w ładowanie sprzętu potwierdziło, że przygotowywane do wywozu są głównie części zapasowe do Fokkerów. Jeśli dobrze zrozumiał intencje sierżanta Pniewskiego, transport ten za żadne skarby nie powinien wyjechać z terenu lotniska.

Sytuacja w bazie lotniczej wydawała się niejasna i niestabilna. Nie można było zająć transportu siłą – Polaków było na lotnisku za mało. Potrzebny był jakiś pomysł, wytrych. Coś, co bez przelewu krwi pozwoliłoby zachować całość zmagazynowanego tu sprzętu bojowego.

Jach widział, jak demoralizująco działają na niemieckich pilotów kolejne złe wieści dochodzące do nich z głębi Niemiec. Informacja o odsunięciu od władzy cesarza dosłownie ścięła z nóg całą kastę oficerską. Leutnant Pohl chodził jak struty, szukając pociechy w lotniczej kantynie. Nie oznaczało to jednak, że Niemcy nie staną siłą w obronie zajmowanego sprzętu. Stanowili zdecydowaną większość Rady Żołnierskiej, więc jej postawę w razie konfliktu trudno było przewidzieć.

– Czekamy – zdecydował Pniewski któregoś wieczoru. – Ale musimy mieć oczy szeroko otwarte. Nie możemy przegapić dobrej chwili. Inaczej peowiacy nam tego nigdy nie wybaczą!

Znowu Warszawa, niedziela, 10 listopada 1918 r.

Z Poznania przysłali mu do pomocy Leona Bąbola. Ledwie wysłał go po wieści za Wisłę, na Pragę, a już sam wybrał się rano na ulice. Chciał osobiście wybadać nastroje w mieście, które z każdym dniem wzbierało do jakiejś zmiany. Nikt jeszcze nie wiedział do jakiej, ale dla baczących obserwatorów nie ulegało wątpliwości, że coś niebawem musi się wydarzyć.

Mimo listopadowego chłodu w Warszawie było aż duszno od emocji. Nawet patrole niemieckiej żandarmerii przezornie trzymały się w większych pododdziałach, jakby zwąchały, że tak jest bezpieczniej. Coraz liczniejsi wokół żołnierze w mundurach Polnische Wehrmacht zerkali na nich wzrokiem, w którym darmo było szukać cienia braterstwa. Choć ciągle jedni i drudzy nosili podobne mundury.

Jęczkowiak zdążył tylko wyskoczyć z bramy kamienicy na gwarną Żurawią i zrobić kilkanaście kroków w stronę ulicy Kruczej, a już jakiś małolat wcisnął mu w dłoń niewielką, niemal

kwadratową ulotkę. Ulotka była po polsku. Gdy ją przeczytał, zrozumiał, że świat gwałtownie przyspiesza. I że od teraz nic już nie będzie takie jak dawniej.

Ulotka wzywała ludność miasta do przybycia w samo południe na Dworzec Główny, celem powitania wracającego z Magdeburga komendanta Józefa Piłsudskiego! A to ci sensacja!

Nie wiedział, że Niemcy uwolnili komendanta, ale było oczywiste, że była to ostateczna oznaka ich słabości. Mocarz nie wypuszcza na wolność osób, które mu mogą zaszkodzić. Tak robi jedynie słabeusz, ratujący się, jak tylko może.

Obserwował z lubością podniecenie udzielające się kolejnym osobom, które otrzymywały z rąk posłańców ulotki o radosnej treści. Warszawiaczy cieszyli się jak małe dzieci, poklepując się i podskakując z emocji. Zaraz potem na zegarkach osobistych sprawdzali godzinę. Jęczkowiakowi udzielił się ten odruch: była dziesiąta z minutami. Miał więc niespełna dwie godziny, by przygotować się na przyjazd Piłsudskiego. Cofnął się do swojej kwatery.

Tu czekała na niego kolejna, bodaj jeszcze większa niespodzianka. Na stole dostrzegł niewielki arkusz niemieckiego listu wojskowego, zaadresowany „Dla poznaniaka”. Z biciem serca, jak sztubak, rozerwał arkusz i odczytał zaskakujący przekaz:

Komendant Piłsudski przyjechał. Wasz przedstawiciel zamelduje się natychmiast na Moniuszki 2. Pensjonat u obywatela Styka.

Beniowski oficer

W pierwszej chwili złapał się za serce, a zaraz potem zaczął gorączkowo myśleć. Informacja ta oznaczała bowiem, że ulotka rozdawana na ulicach od dawna jest już nieaktualna. „Beniowski” był to pseudonim Adama Rudnickiego. Jeśli on wzywał do siebie, sprawa musiała być najwyższej wagi.

Nie zastanawiając się ani chwili, Jęczkowiak wybiegł na ulicę i ruszył półbiegiem na Marszałkowską. Wiedział, jak dojść na Moniuszki. Zresztą nawet i bez tego by trafił – w stronę

pensjonatu panien Romanównien⁷¹ ciągnęły tłumy przechodniów. Przedzierając się przez warszawskich cywili, dystans kilometra pokonał w niespełna dziesięć minut. Niespodziewanie wstęp na ulicę Moniuszki zagroził mu kordon wojska. Jakiś niemiecki podoficer nie chciał go przepuścić, krzycząc mu prosto w twarz:

– *Wohin, Mensch?!⁷²*

Zachował zimną krew.

– Jestem ordynansem oficera-lekarza. Wezwał mnie do pensjonatu telefonicznie – oświadczył, pchając Szwabowi pod nos lewy przydział do Szpitala Fortecznego.

Niemiec zerknął i puścił go dalej. Poradził mu nawet, by na siebie uważał.

Nie była to uwaga pozbawiona podstaw. Przepychając się w niemieckim mundurze przez rozgorączkowany tłum, usłyszał z boku kąśliwe słowa:

– Czego ten Szwab tu się pcha?!

– Drogę pomylił czy co?!

– Jego Kaiser już w Holandii!

Jęczkowiak odwrócił się w stronę zaczepnych jegomości.

– A w mordę od polskiego żołnierza chcesz? – rzucił bojowo.

Krytycy natychmiast ucichli, rozstępując się przed krewkim nieznanym.

Zdyszany stanął przed fasadą słynnego pensjonatu.

Wokół wysokiej, masywnej kamienicy kłębił się tłum warszawiaków ściskających w dłoniach biało-czerwone i czerwone chorągwie. Ludzie śpiewali i wiwatowali, spoglądając jak zaczarowani w stronę balkonu na szóstym piętrze. Na jego barierze Jęczkowiak dostrzegł biało-czerwone wstęgi i kwiaty, wciśnięte między metalowe detale. Zrozumiał, że jeszcze niedawno musiało się tu wydarzyć coś ważnego. Mimo chłodu rozemocjonowani ludzie wymieniali między sobą chaotyczne opinie:

71 Pensjonat prowadzony w Warszawie przez Halinę, Wandę i Marię Romanówny, aktywne w konspiracji POW. W dniach 10–11 listopada 1918 r. był siedzibą Józefa Piłsudskiego.

72 Z niem. – Dokąd, człowieku?!

- Mówił, że jest przeziębiony...
- Że bolą go piersi i gardło...
- Żeby tylko go hiszpanka nie zmogła!
- Mój Boże, modlić się trzeba, żeby ozdrowiał!

Jęczkowiak vel Sułkowski dopadł do wysokiego mężczyzny, odzianego w eleganckie palto.

- Komendant Piłsudski przemówił? – zapytał. – Kiedy?

Starszy pan obrzucił go szczęśliwym spojrzeniem.

- Będzie z godzinę temu. Przywitał się z nami serdecznie, ale krótko! Bo chory jest. Mówił, że Warszawa wita go po raz trzeci...

A więc Piłsudski jest już w pensjonacie u Romanówien! Serce Jęczkowiaka wpadło w dziwną, radosną arytmie. Starając się złapać równy oddech, co nie było łatwe w gęstym tłumie, przepchał się ku bramie kamienicy. Dostępu do środka broniła krata i przedziwny patrol, złożony ni to z żołnierzy, ni to z cywilów. Ci w mundurach wyglądali na peowiaków, w dłoniach trzymali karabiny różnych armii.

- A ty, dokąd to? Ani kroku dalej! – zawołał jeden z nich, mierząc do Jęczkowiaka z broni.

- Jestem Sułkowski. Przybywam na wezwanie oficera Beniowskiego – wysapał zmęczony.

- Wracaj do ludzi. Nie znamy cię!

- Kiedy zostałem wezwany rozkazem Beniowskiego!

- Zmykaj, bo cię aresztujemy!

- Proszę bardzo!

Otworzyli bramę i wpuścili go, by zaraz do niego przypaść i próbować zabrać mu wiszący na pasie pistolet.

Nie pozwolił się rozbroić. Mocnym ciosem z łokcia unieszkodliwił pierwszego z wartowników, drugiego pchnął na ścianę.

- O, co za kozak! – usłyszał głos, w którym zagrał szacunek. – Człowieku, mamy ci wybić wszystkie zęby?

- Chcę rozmawiać z kimś starszym rangą!

- Jestem komendantem warty – z klatki schodowej wychynął postawny podoficer. – O co chodzi?

Jęczkowiak podsunął mu list Beniowskiego z rozkazem

stawienia się na Moniuszki. Szeff warty przeczytał go szybko, zmarszczył czoło, a potem skinął na przybysza.

– Pójdiesz ze mną do windy – rozkazał.

Warszawa, w tym samym miejscu i czasie

Heinz Gnade nie przedarł się przez kordon żołnierzy. Nie mógł więc podążyć za Polakiem, który chwacko przecisnął się przez tłum pod samą kamienicę, w której ponoć zamieszkał Piłsudski. Nie chciał się dekonspirować w morzu rozentuzjasmowanych Polaków. Pozostało mu więc obserwować bezsilnie, jak Jęczkowiak negocjuje coś z wartą wystawioną w bramie kamienicy.

– *Donnerwetter!* – zaklął, gdy zrozumiał, że Polak usiłuje dostać się do Piłsudskiego.

Tu już nie było żadnych wątpliwości! To śmierdziało buntem i ruchawką! Gnade w jednej chwili pojął, że musi przekazać natychmiast te informacje do Berlina, do kapitana Wirbela! I do komendantury garnizonu w Warszawie! Muszą wiedzieć, co się tutaj kroi! Muszą!

Wychylił się znowu ponad głowami wiwatujących Polaków – i wpadł w jeszcze większą wściekłość. W bramie nie dostrzegł już bowiem szczupłej sylwetki w niemieckim mundurze. Ten zdrajca i dezerterski jeszcze za wszystko odpowie! Jeszcze stanie przed sądem wojskowym armii niemieckiej!

– Co się pan tak rozpychasz? Depcesz pan ludziom po nogach! – zwrócił mu po polsku uwagę gruby osobnik z prawej.

– Gównu mnie to obchodzi! – rzucił przekleństwem, dobrze zapamiętanym jeszcze z Hohensalzy.

Widząc zaskoczenie i podejrzliwość na obliczu Polaka, nakręcił w tył i ruszył półbiegiem w stronę Bristolu.

Goniły go wrogie spojrzenia.

Chwilę później sto metrów dalej, przy ulicy Moniuszki 2

Odprowadzony zdumionym wzrokiem wartowników Jęczkowiak wszedł za komendantem warty do wnętrza kamienicy. Gdy wsiedli do windy, przewodnik poznaniaka zamknął ażurowe drzwi i nacisnął guzik z cyfrą 6. Żelazna klatka ruszyła w górę, stukając metalicznie na kolejnych poziomach. Gwar z zewnątrz ucichł, a z każdym piętrem serce coraz bardziej podchodziło Jęczkowiakowi do gardła. Nagle zdał sobie sprawę z tego, z kim przyjdzie mu się za chwilę spotkać. Miał stanąć przed narodową legendą. Przed człowiekiem, który dla Polaków znaczył tyle, co dawniej król. A pewnie jeszcze więcej.

Różnie o nim w Poznaniu mówili. Jęczkowiak nasłuchiwał się krytycznych uwag o „socjaliście z za Buga”, który rzekomo nie uważa tak szanowanego stronnictwa, jak narodowa demokracja. I który ponoć w młodości napadał na carskie pociągi jak zwykły bandyta, byle tylko zdobyć pieniądze dla swojej organizacji bojowej. W Poznaniu ciągle podejrzewano Piłsudskiego, że marzy mu się w Polsce czerwona rewolucja. I nawet bunt przysięgowy, który w Królestwie Polskim zrobił z niego niekwestionowanego bohatera, w Poznańskim nie osłabił bynajmniej podejrzliwości. Nie brakowało nawet i takich, co wieszczili, że Piłsudski gotów jest Niemcom Poznań i całą prowincję zostawić, byle tylko mógł objąć rządy w Warszawie.

Tym ostatnim podejrzeniem Jęczkowiak nie dawał żadnej wiary. Pamiętał, jak wielkie wrażenie wywołała wśród jego polskich towarzyszy z Baterii Artylerii Ciężkiej numer 30 wiadomość o uwięzieniu Piłsudskiego w twierdzy magdeburskiej. Dla prostego frontowego żołnierza z polskim sercem w piersi Komendant był nadzieją narodową. Nawet jeśli w Poznaniu nie do końca mu ufali.

Winda stuknęła dźwięcznie na szóstym piętrze. Szef warty rozsunął energicznie kraty i obaj stanęli przed drzwiami lokalu. Wisiał na nich szyld „Halina, Wanda i Maria Romanówny”. Jęczkowiak zrozumiał, że nie ma już odwrotu. Wziął głęboki

oddech, a jego przewodnik zastukał w odrzwia.

Otworzył im oficer w mundurze Legionów. Pierwsze, co rzuciło się w oczy Jęczkowiakowi, to jego szabla, zawieszona tak nisko na długich rapciach, że ciągnął ją za sobą po podłodze. Nie miał jednak czasu, by przyjrzeć się oficerowi uważnie.

– A wy do kogo? – cerber w mundurze zmarszczył brwi.

– Do Beniowskiego – odpowiedział niespieszony Jęczkowiak, wysuwając przed siebie wezwanie.

Oficer przebiegł szybkim wzrokiem krótką notkę.

– Proszę tu poczekać – rozkazał i ruszył do saloniku, tłukąc szablą po podłodze.

W progu saloniku stuknął obcasami i zameldował:

– Łącznik z Poznania na wezwanie!

– Dawać go tu szybko! – przejęty Jęczkowiak usłyszał gromką komendę.

Osobliwy oficer z szablą machnął na niego ręką. Poznaniak ruszył rezolutnie przed siebie. Gdy wszedł do salonu, omiótł go szybkim spojrzeniem.

Piłsudskiego poznał natychmiast – po czarnym sumiastym wąsie. Komendant był w mundurze, siedział w głębokim fotelu, obok niego stali Styk i młody Rudnicki. Ten ostatni, z wąsem stylizowanym na Piłsudskiego, uśmiechnął się ukradkiem do Jęczkowiaka. A może nawet dla dodania otuchy mrugnął do niego?

Jęczkowiak stanął na baczność i zasalutował. Przez głowę przeleciała mu myśl, że jeszcze miesiąc wcześniej razem z druhem Wierzejewskim klecili misternie akcję, która miała odbić Piłsudskiego z więzienia...

– Kanonier Józef Gabriel Jęczkowiak z pe-o-wu zaboru pruskiego melduje się na rozkaz! – wyrecytował jak z nut.

Dopiero teraz mógł spojrzeć na Piłsudskiego. Komendant miał szarą, przemęczoną twarz i zaczerwienione, podkrążone oczy. Znać po nich było męczącą podróż z Niemiec i trudy ostatnich dni. Nerwowo targał prawą dłońią koniec wąsa, uważnie wpatrując się w przybysza. Raz czy dwa zakaszłał, przyciskając lewą dłoń do piersi.

Pod ciężarem jego wzroku Jęczkowiak stracił nieco odwagi. Stał jednak w oczekiwaniu na rozkazy.

– Powiadają mi, że macie pod komendą już kilkuset chłopca – odezwał się Piłsudski.

– Melduję posłusznie, że ponad dwustu. Wszyscy zgrupowani w dziesiątkach, czekają na polecenia.

– Skąd nimi kierujecie?

– Z kwatery na Żurawiej, panie komendancie.

– Wszystko w ścisłej konspiracji?

– Tak jest!

Komendant podniósł się z fotela i stanął przed Jęczkowiakiem. Byli podobnego wzrostu, więc ich spojrzenia zbiegły się w jednej chwili. Spojrzenie Piłsudskiego było dogłębnie świdrujące, niemal bolesne. Młody łącznik z Poznania powstrzymał jednak pierwszy odruch i jego powieka ani drgnęła.

– Zuchy-chłopaki! – pochwalił go Komendant. – Takich nam teraz trzeba! Właśnie takich!

Szybkim krokiem obszedł Jęczkowiaka dookoła, wpatrując się w niego jak w żołnierza, którego musi wysłać natychmiast na pole minowe.

– No dobrze – powiedział. – A czy tą waszą organizacją możecie wywołać rewolucję w całym garnizonie warszawskim?

Jęczkowiak poczuł, że drży mu policzek. Nie spodziewał się pytania sformułowanego tak wprost. I tak nagle. Takiego pytania!

– Czy... czy pan Komendant mógłby mi wytłumaczyć, co należy rozumieć jako rewolucję? – zapytał przytomnie.

– A to ci chwat! – Piłsudski aż klasnął w dłonie, wyraźnie rozbawiony. – Takich lubię! Nie udaje, że czegoś nie wie albo nie rozumie, tylko dopyta przełożonego! A to dobre, to dobre...

Komendant znowu zrobił kilka kroków, tym razem tam i z powrotem, po czym zatrzymał się znowu przed poznaniakiem i położył dłoń na jego ramieniu.

– Musisz wiedzieć, przyjacielu, że cesarstwo niemieckie jest w tej chwili jak trup. Idzie do przodu siłą przyzwyczajenia, ale nie wie, że przed chwilą dostał kulę i już go nie ma – wyjaśnił powoli, cedząc słowa. – I widzisz, mój przyjacielu... My mamy misję

humanitarną. Ty masz taką misję. Trzeba temu trupowi pomóc się przewrócić. Bo jak się przewróci, wtedy już na pewno nie wstanie...

Piłsudski wypowiadał te słowa, wpatrując się Jęczkowiakowi prosto w oczy. Była w tych zdaniach jakaś moc, wiara, przekonanie tak wielkie, że z głowy poznańskiego łącznika w jednej sekundzie wyparowały wszelkie wątpliwości. Już nie pamiętał o „socjaliście zza Buga” czy „sprzedawcy Poznańskiego”. Widział przed sobą człowieka, za którego gotów byłby w ogień wskoczyć. Wodza, który może go poprowadzić do walki o najwyższe cele.

– ...tak więc nie żadna walka zbrojna z okupantem, panie kolego. Nie kolejne powstanie! – Komendant wypowiedział te słowa z ogromnym naciskiem. – Na taką walkę nas nie stać. W Warszawie mają więcej wojska niż my. A przecież ze wschodu ciągle wycofuje się armia Ober-Ostu. W razie walki zdepczą nas jak słoń mrówki. Żadnych szans, kolego. Żadnych! Ale sprawa nie wygląda aż tak źle. Bo choć mamy może mniej karabinów i granatów, posiadamy inną broń. Doskonalszą! Mamy czerwone flagi. Tak, czerwone flagi. Nie bójmy się ich! To tylko sztandar, nic więcej. Nie o socjalizm wszak dziś gramy, lecz o naszą Ojczyznę. Z socjalizmu wysiadłem na przystanku zwanym niepodległość. Tylko ona mnie teraz interesuje!

Jęczkowiak starał się nie uronić ani słowa z przemowy Piłsudskiego. Zgadzał się w pełni z jego oceną sytuacji. Widział rozprężenie w niemieckich szeregach. Przypomniawszy sobie sceny z Doliny Szwajcarskiej, demobilizujące okrzyki i niechęć do wszelkiego wysiłku. Zgadzał się, że moment jest wymarzony. I wiedział, że Komendant się nie myli co do sposobu, w jaki trzeba tę „rewolucję” przeprowadzić.

– Tak więc, mój przyjacielu, jeśli pytasz mnie, jak działać, odpowiadam: roztropnie. Ale jednocześnie wytrwale i szybko – kontynuował Komendant, zapalając się coraz bardziej. – Widziałem te zrewoltowane tłumy w Niemczech w Magdeburgu i Berlinie. I wiem, że żołnierze z czerwonymi opaskami na rękawach i z czerwonymi flagami nie są zdolni do niczego nad

sianie fermentu i rozkładową robotę. My im te flagi musimy dać! My! Ty! Twoi ludzie! Bo jak oni już te flagi dostaną, to zaraz wypowiedzą posłuszeństwo swoim oficerom, zniosą kasyna oficerskie, stworzą rady żołnierskie i zażądają powrotu do Niemiec: do domów i rodzin...

Niespodziewanie Piłsudski przerwał swoją przemowę. Zatrzymał się na środku salonu i zatoczył w przód. Jego twarz straciła kolory i pobraźła jak u trupa. Zapewne upadłby na podłogę, gdyby nie Rudnicki, który rzucił się ku niemu i złapał go. Styk tymczasem wyskoczył na korytarz.

– Komendant zemdłał! Wody! – krzyknął przeraźliwie.

W przedpokoju zrobił się rwetes i zapanowała nerwowa bieganina.

Rudnicki z trudem usadził półprzytomnego Piłsudskiego w fotelu, a potem rzucił do Jęczkowiaka:

– Rozmowa skończona. Wiesz, co masz robić.

Poznaniak ruszył ku wyjściu, kątem oka widząc kobietę biegnącą ze szklanką wody w ręku.

– Dziś po południu... najpóźniej do czwartej... musi być wywołana rewolucja w garnizonie warszawskim... – usłyszał jeszcze słaby głos Piłsudskiego.

Słowa te tłukły mu się po głowie, gdy zjeżdżał windą na parter.

Gdy opuszczał kamienicę, stały się już jego modlitwą.

XIII.

LOS AUF DIE STRASSE!

Nadal w Warszawie, godzinę później

Działał jak w szale. Pełne euforii tłumy na ulicach w ogóle nie zwracały jego uwagi. Widział tylko pojedyncze niemieckie mundury. Jedynie one go interesowały. „Najpóźniej do czwartej...” – brzmiały mu w tyle głowy wypowiedziane słabym głosem słowa przemęczonego Komendanta. „Najpóźniej do czwartej musi być wywołana rewolucja...”

W pierwszym odruchu, pomny na słowa Piłsudskiego, rzucił się do poszukiwania sklepu z czerwonym płótnem. Marzył mu się ogromny kawał materiału, najlepiej taki, który można by łatwo pociąć na mniejsze. Ale – choć na Brackiej i dalszych ulicach widział handlowe witryny – żaden ze sklepów nie był otwarty. Wszak była niedziela.

Porzucił więc myśl o zakupie i przyspieszył kroku.

„Najpóźniej do czwartej... Rewolucja... W garnizonie warszawskim...” – te słowa biły mu w głowie jak dzwon.

Nie dbał o to, czy jest głodny albo spragniony. Był, ale ostatnie zdanie Piłsudskiego potraktował jako rozkaz najwyższej wagi. Zadanie wyznaczone mu osobiście przez człowieka, który wrócił do Warszawy, by poderwać uśpioną Polskę w górę. By obudzić naród i porwać go do czegoś fantastycznego. Do czegoś, czego jeszcze nie przeżył w swojej niemal tysiącletniej historii. Do zmartwychwstania.

Przełknął ślinę i spojrzał na zegarek. Dochodziła trzynasta. Przypomniał sobie, że za godzinę na Żurawiej stawią się pierwsi dziesiątnicy. Musiał wrócić na kwaterę. Może wałek czerwonego płótna będzie mieć pani Rudnicka?

Chwycił się tej myśli i ruszył z powrotem w stronę Żurawiej.

Mijał gęstniejące tłumy warszawiaków podnieconych przyjazdem Komendanta. Z zasłyszanych entuzjastycznych rozmów wnioskował, że lada chwila Piłsudski zacznie negocjacje z niemiecką Radą Żołnierską.

– Zobaczycie, nie minie tydzień i Niemcy wycofają się z Warszawy! – tłumaczył swoim córkom przejętym tonem wąsaty papa w ciepłym palcie.

Raz jeszcze przyspieszył kroku, był w ustawicznym półbiegu. Wyprzedzał bez trudu dorożki jadące w tym samym kierunku po bruku.

„Najpóźniej do czwartej...”

„Najpóźniej do...”

Matko Boska, pomóż! Co należy zrobić?

Warszawa, w tym samym czasie

Gnade pędził za Polakiem w niemieckim mundurze, w duszy przeklinając jego szybkość i zawziętość. Gdyby działał zupełnie sam i sprawa zależała tylko od niego, już dawno zdjąłby hardego cwaniaka albo po prostu strzelił mu w plecy w jakimś ciemnym zaułku. Niestety, musiał słuchać rozkazów z Berlina, a te oznaczały, że był zobowiązany gnać za człowiekiem, który w jego oczach znaczył coraz więcej. Gnade był już całkowicie przekonany, że Jęczkowiak to duch sprawczy rebelii, która rosła jak na drożdżach. Nie bez przyczyny przez mieszkanie, w którym zamieszkał Jęczkowiak, przewaliło się przez ostatnie dni około setki mężczyzn w wojskowych uniformach. Formalnie rzecz biorąc, nosili oni w większości przypadków niemieckie mundury, ale on, leutnant Heinz Gnade, nie miał żadnych złudzeń: od dłuższego czasu obserwował grono zdrajców, którzy planują, jak wbić osłabionym Niemcom śmiertelną szpilę prosto w serce.

Nie wiedział jeszcze, co planują Polacy, ale intuicyjnie wyczuwał, że nie będzie to nic przyjaznego dla kraju, który dał im przecież pierwszą nadzieję – wtedy, w listopadzie 1916

roku!⁷³ Co za niewdzięcznicy! Skrytobójcy! On by się z takimi nie patyczkował! Dlaczego Berlin zwleka? O co w tym wszystkim chodzi?

Jęczkowiak bez dwóch zdań zmierzał w stronę swojej kwatery na Żurawiej. Po spotkaniu w kamienicy na Moniuszki jakby dostał skrzydeł! Czyżby dopuszczono go do rozmowy z samym Piłsudskim? Czy to znaczy, że wszystkie nici wrogiej konspiracji zbiegają się właśnie u niego? Przecież Berlin zapewniał, że Piłsudski to nasz sojusznik...

Zdyszany agent miał coraz więcej wątpliwości. A może jego misja w Warszawie straciła już sens? Może nagłe uwolnienie i przyjazd Piłsudskiego to element jakiegoś porozumienia, zawartego na samych szczytach władzy? A on, skromny trybik w wywiadowczej maszynie, śledzi działania, które już dawno zostały uzgodnione?

Nie! To niemożliwe! – wzdrygnął się na samą myśl o takiej możliwości. Rewolucja w Niemczech nabierała wprawdzie tempa, ale na pewno nie na szczytach władzy! Hauptmann Wirbel i jego przełożeni w Kriegsministerium⁷⁴ na pewno wiedzą, co robią. Skoro nakazują czekać, to znaczy, że trzymają rękę na pulsie. I że czekają na najlepszy moment do uderzenia...

Leutnant Heinz Gnade wyczekiwał tego rozkazu jak kania dżdżu.

Warszawa, pół godziny później

Pani Rudnicka od razu wiedziała, co należy zrobić. Po wysłuchaniu nerwowej, szarpanej relacji Jęczkowiaka z miasta sięgnęła do szafy-bielizniarki i za chwilę w dłoniach sierżanta

73 Mowa o tzw. akcie 5 listopada 1916 r. wydanym przez władze niemieckie i austro-węgierskie, w którym Polakom obiecywano powstanie „samodzielnego” Królestwa Polskiego w „łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami” oraz zapowiadano utworzenie polskiej armii. Gnade myli się jednak, sądząc, że były to pierwsze obietnice złożone Polakom przez zaborców. Po wybuchu I wojny światowej car Mikołaj II przyrzekł Polakom stworzenie Polski pod berłem Romanowów.

74 Ministerstwo Wojny.

spoczywał wałek pięknego, czerwonego inletu, który pani domu przeznaczała dotychczas na wsypy pościelowe.

– Może to tkanina nieco za gęsta, ale innej nie mam – oznajmiła, a w jej głosie Jęczkowiak wyczuł radosne nuty. – A właściwie na co ci to?

– Trzeba to pociąć na wąskie kawałki.

– Na opaski? – Rudnicka była nad wyraz bystra. – Na to inlet się świetnie nada, bo jest dość sztywny i odporny. To pewnie potrzebne są też nożyce?

Skinął głową i za chwilę na stole w pokoju jadalnym leżały już tęgie krawieckie nożyce z uszami wielkimi jak oprawki okularów.

– Coś się zaczyna, prawda? – uśmiechnęła się do konspiratora pani domu. – Czy to nareszcie ten dzień?

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Wymogi konspiracji powstrzymywały go przed odkryciem kart, ale z drugiej strony wszystko wskazywało przecież na to, że sprawa gwałtownie przyspieszyła.

– Komendant przyjechał – rzucił w odpowiedzi powszechnie znaną już w Warszawie sentencją. – A jak przyjechał, to...

W ostatniej chwili ugryzł się w język. Ale pani Rudnicka i tak już wszystko wiedziała. Dziwiła się wprawdzie, czemu młody poznaniak nie pyta też o biały materiał – na ten poświęciłaby chętnie każdą poszewkę. Ale skoro żądał tylko czerwonego, widocznie tak musiało być.

W milczeniu zabrali się za robotę. Ciężkie żeliwne nożyce bez trudu pokonywały twarde woskowane sploty materiału, który w normalnych warunkach miał utrzymywać pierza i pióra wewnątrz pościeli. Teraz jednak służył jako broń, która strzela lepiej i celniej niż niejeden kulomiot.

Nim nadeszła godzina druga, na stole leżało już z pół setki równo skrojonych jaskrawych opasek.

Właśnie wtedy przyszli pierwsi dziesiętnicy, a potem kolejni. Pół godziny później w mieszkaniu Rudnickich kłębiły się ze dwa plutony konspiratorów. Jęczkowiak wręczał im te czerwone paski jak taśmy z niewidoczną amunicją. Bo i po prawdzie były groźniejsze od niejednej broni palnej – wszyscy mieli się o tym

niebawem przekonać.

– Idziemy do Doliny Szwajcarskiej! – rozkazał, gdy już rozdzielił opaski. – W Pałacu Staszica zainstalujemy ludzi przy telefonie. Będziemy do nich dzwonić, aby była łączność. I żeby na Moniuszki wiedzieli, jak się sprawy mają!

Przyjęli jego rozkaz bez protestów, jak coś najbardziej naturalnego. Wypadli z mieszkania, nie pożegnawszy się nawet z panią Rudnicką. Nie zobaczyli więc, że drżącą z emocji ręką uczyniła za nimi znak krzyża.

Na placu Trzech Krzyży rozdziłili się: jednych Jęczkowiak pchnął w Nowy Świat, a drugich w Aleje Ujazdowskie.

– Teraz albo nigdy. Teraz albo nigdy... – powtarzał jak modlitwę pod nosem, ciągnąc dziesięciu swoich ludzi w stronę Doliny Szwajcarskiej.

Każdy z tych ludzi miał za sobą kolejnych dziesięciu, więc mógł liczyć na setkę wiernych podwładnych.

W półbiegu rzucił okiem na zegarek. Piętnasta z minutami...

W głowie ciągle huczały mu słowa omdlałego Komendanta: „Najpóźniej do czwartej musi być wywołana rewolucja”.

Lotnisko Deutsche Luftstreitkräfte w Ławicy pod Poznaniem

– Posłuchaj mnie, Jach – sierżant Wiktor Pniewski rozejrzał się szybko na boki, a potem pochylił się nad nieco niższym towarzyszem i zaczął mu szeptać prosto do ucha. – Trzeba jak najszybciej zorganizować wiec. Zwołać na niego kolegów Polaków. Musi ich być jak najwięcej. To musi być głośna impreza, rozumiesz?! Nie zawadzi wykrzykiwać haseł o równouprawnieniu narodów i takich tam bolszewickich bzdur.

– Ale... po co? – zdziwił się Jach.

Wszystko działało się teraz tak szybko, że nie nadążał za zmianami.

– Jak to: po co? – syknął zniecierpliwiony sierżant. – Musimy kategorycznie domagać się wprowadzenia naszych ludzi do Rady

Żołnierskiej lotniska. To nie może być tak, że w Radzie Żołnierskiej zasiadają sami Niemcy. Musi być jakiś parytet, rozumiesz?! Skoro Polacy służą w niemieckiej armii, to mają prawo mieć swoją reprezentację! To chyba jasne, prawda? A jak będziemy mieć w radzie swoich ludzi, to będziemy mieć wpływ na decyzje!

Jach słuchał coraz bardziej przejęty sytuacją. Rozumiał, do czego zmierza Pniewski. I jakimi metodami chce to osiągnąć. Było w tym zamyśle sporo sprytu i fantazji, ale jeszcze więcej szaleństwa.

– No, a teraz leć do kolegów i wołaj ich na wiec! – Pniewski najwyraźniej podjął już decyzję. – Tylko nie zapomnijcie zabrać ze sobą czerwonych flag. Widzimy się pod budynkiem dowództwa. Byle szybko!

Franciszek czuł, że serce wali mu jak młot. Właśnie na jego oczach zaczynało się materializować coś, o czym od dawna nieświadomie marzył. Stary świat walił się Niemcom na głowę, ale dla nich, Polaków, właśnie rodził się nowy, niezwykle kuszący. Z wrażenia zamarł w bezruchu, rozkoszując się tą świadomością.

– Najwyższy czas działać, rozumiesz?! – sierżant szarpnął go za ramię, przywołując do rzeczywistości. – Człowieku, trzeba coś zrobić, bo za chwilę wywiezą nam ostatnie aeroplany!

To „nam” w przemowie sierżanta spodobało się Jachowi najbardziej.

Na jego policzki wystąpiły ogniste rumieńce wzruszenia.

– Jasna cholera! – zaklął i rzucił się biegiem w stronę kantyny.

Znowu Warszawa, 10 listopada 1918 r., Soldatenheim w Dolinie Szwajcarskiej, około godziny szesnastej

Na sali przy obiedzie i piwie siedziało kilkuset żołnierzy w niemieckich mundurach i płaszczach. W dusznym wnętrzu panował gwar nie do opisanego. Towarzystwo ani myślało o codziennych żołnierskich obowiązkach, za to gotowe było

oddać ostatnie marki za wieści z Niemiec. Jakiegokolwiek wieści.

Jęczkowiak pojął to w lot, gdy tylko zjadł grochówkę z nędną mięsną wkładką i dosiadł się z kuflem piwa do grupy żołnierzy przy jednym z centralnych stołów.

– Dziś rano przyjechałem z Hamburga – zagadnął płynną niemiecką, wywołując wśród sąsiadów prawdziwą sensację. – Wojna właściwie się zakończyła, koledzy.

– Jak to zakończyła? – podchwycił szeroki w barach feldwebel, który od kilku dni nie golił rudawego zarostu i wyglądał teraz jak któryś ze średniowiecznych niemieckich cesarzy. – O czym ty mówisz, człowieku?

W oczach kilkunastu chłopca Jęczkowiak zobaczył w jednej chwili strach i nadzieję. Ta druga była zdecydowanie większa.

– W kraju mamy rewolucję, towarzysze! – rzucił wszystko na szalę. – Nie ma już Kaisera i jego kliki! W każdym mieście rządzi rada żołnierska. Niech żyje Niemiecka Republika Rad!

– Niech żyje! – zakrzyknął znad piwa gruby żołnierz w stalowym hełmie na głowie.

– Towarzysze! Tu jest taki jeden, który przyjechał właśnie z *Vaterlandu!* – rozniosło się natychmiast po sali.

Wokół Jęczkowiaka zrobiło się nagle tłoczno. Momentalnie zaczęło mu brakować powietrza. Czuł niepokój, ale opanował drżenie nóg.

– A tyś co za jeden? Skąd niby przyjechałeś? – pytania brzmiały nieufnie, ale nie przejmował się tym zbytnio.

– Nazywam się Schroeder i mam przydział do Szpitala Frontowego numer jeden – odpowiedział swobodnie, jakby opowiadał o porannej niedzielnej przechadzce. – Przez dwa dni jechałem koleją z Hamburga przez Berlin do Warszawy...

– I co?

– Co widziałeś?

– To prawda, że rządzą tam rady?

Jęczkowiak zrozumiał, że nie może tego spalić. Nie mógł jednak zacząć tak prosto z mostu. Zabrzmiałoby to podejrzenie, jak z dawna przygotowywana agitacja. Rozejrzał się szybko po twarzach Niemców, jakby ich zliczając. Pieniądze, które otrzymał

od organizacji, wreszcie miały się przydać.

– Trzydzieści piw! – krzyknął w stronę kelnera. – Tylko szybko, do cholery! Towarzysze są spragnieni!

Odpowiedział mu ogólny aplauz. To zamówienie sprawiło, że z miejsca uznano go za swojego.

– No, opowiadaj! – ktoś szturchnął go ponaglająco, acz przyjaźnie. – Co tam widziałeś w Vaterlandzie?

– Mów, bo nie mamy od dawna żadnej poczty ani gazet! – dorzucił ktoś z drugiego szeregu.

– Niech mówi głośno! – wrzasnął żołnierz z drugiego końca sali.

Niewiele się namyślając, wstał z krzesła i wszedł po nim na stół. Teraz był widoczny dla wszystkich. W jego szczupłą sylwetkę w mundurze wpatrywały się setki oczu. W życiu nie miał jeszcze takiego audytorium. W dodatku musiał przemówić w obcym języku. Ale to go nie deprymowało. Niemieckim władał równie dobrze jak ojczystym, a frontowy żargon tylko go uwiarygodniał. Czuł, że teraz albo nigdy. Wszystko zależeć miało od jego zdolności aktorskich.

– W ojczyźnie nie ma już Kaisera ani starego rządu! – zawołał, uważnie obserwując twarze młodych Niemców w mundurach. – Przyjechałem do Warszawy pociągiem z Hamburga! Widziałem na własne oczy, jak w poszczególnych miastach władzę objęły rady żołnierskie! Ich znakiem były czerwone opaski i czerwone flagi w koszarach! Nie było już oficerów ani generałów, towarzysze ich przepędzili, a głos decydujący miały rady! I wszędzie opowiadały się one za zakończeniem tej bezsensownej rzezi! Za zakończeniem wojny!

Słuchacze chłonili jego słowa, wpatrzeni w niego jak w święty obrazek. Przez ułamek sekundy przez głowę przemknęła mu myśl, że jeszcze nigdy żaden Polak nie miał władzy nad tyłoma młodymi Niemcami. Szybko odepchnął ją od siebie, nie chciał się zdekoncentrować.

– Robotnicy i żołnierze trwają w sojuszu, który przemieni Niemcy w demokratyczną republikę rad! – kontynuował, widząc na czerwonych z emocji twarzach żołnierzy narastający entuzjizm dla jego słów. – Wygonili cesarza z kraju, przegonią

też burżuazyjne sfery rządzące! Żołnierze nie słuchają już rozkazów swoich generałów, masowo porzucają broń i wracają do domów! Niech żyje Niemiecka Republika Rad! Niech żyje pokój!

– Niech żyje! – podchwycili Niemcy stojący najbliżej stołu Jęczkowiaka. – Niech żyje rewolucja!

– Dość umierania za cesarza i jego interesy! Rady żołnierskie w Niemczech opowiadają się za końcem wojny i opowiadają się za pokojową rewolucją, która odmieni ojczyznę! – wołał Jęczkowiak.

– Zróbmy to samo! – usłyszał gdzieś z boku.

– Niech żyje rewolucja! – krzyczały już dalsze szeregi słuchaczy.

– Precz z wojną!

– Trzeba wreszcie wrócić do domów!

– Precz z Kaiserem!

– Do domów, bracia! Do domów!

– Niech żyje rewolucja!

Nawet nie podejrzewał, jak sprawnym okazał się agitatore. Ale sprawa nie była jeszcze wygrana. Trzeba było podgrzać temperaturę – i był na to gotowy.

– Towarzysze! – zawołał najgłośniejszym, jak tylko potrafił, ocierając się o chrypę. – Zobaczcie, jak to zrobimy!

Na oczach setek Niemców zdarł z głowy czapkę i gwałtownym ruchem dłoni zerwał z jej otoku niemiecką kokardę. Cisnął ją ostentacyjnie pod nogi, wydobyl z kieszeni spodni czerwoną opaskę z inletu i założył na czapkę.

– Tak jest! *Jawohl!* – usłyszał głosy wsparcia. – Dawać więcej opasek!

Z dalszego rzędu przedarł się ku stołowi jakiś podoficer, wygrażając pięścią Jęczkowiakowi, ale było już za późno na reakcję. Niemieccy towarzysze powstrzymali furiata, zdzierając mu naramienniki i wypychając go poza obręb słuchaczy.

– To prowokator!

– Wyrzucić go stąd! – podniosły się liczne głosy.

Jak na niewidzialny znak w tłumie ujawnili się znienacka dziesiętnicy Jęczkowiaka, rozdając garściami gotowe czerwone

paski z inlepu pani Rudnickiej. Chwilę później kilkuset mężczyzn w mundurach i czapkach z czerwienią na otokach wygrażało pięściami Kaiserowi i Hohenzollernom, domagając się powrotu do domów.

– *Los auf die Strasse!*⁷⁵ – rozkazał im ze stołu Jęczkowiak.

Tłum mundurowych rzucił się do wyjścia. Chwilę później Alejami Ujazdowskimi ruszył ku Nowemu Światowi spory oddział towarzyszy domagających się ochrypłymi głosami powołania rady żołnierskiej Warszawy. Jęczkowiak cały czas trzymał się na czele, wznosząc coraz bardziej radykalne hasła.

Cywilie schodzili im z drogi, lękliwie chowając się w nisze bram. Czerwone barwy demonstrantów wywoływały w nich strach i panikę.

Przed Pałacem Staszica zeszli się z setką żołnierzy z czerwonymi opaskami na ramionach. To byli delegaci z pałacu, podburzeni przez niejakiego Kaźmierczaka.

– Idziemy teraz na miasto! Trzeba powołać radę! – wykrzykiwali.

Jęczkowiak otarł rękawem spoczone czoło.

Lawina ruszyła. On wyjął pierwszy kamień i był pewny, że nawała już się nie zatrzyma.

– Towarzysze! – zawołał. – Trzeba nam iść do koszar! Trzeba wybrać delegatów do rozmów z władzami Generalnego Gubernatorstwa!

– Dobrze mówi!

– Do koszar!

– Do koszar, a potem do gubernatora! Muszą uznać naszą radę!

– Muszą! Bo jak nie...

Żołnierze w czerwonych opaskach zaczęli się rozchodzić, wykrzykując coraz ostrzejsze hasła.

Jęczkowiak zatrzymał się, usiłując złapać równy, miarowy oddech.

Podwinął rękaw munduru i zerknął na zegarek.

Dochodziła siedemnasta.

Udało się, pomyślał. Chyba naprawdę się udało!

75 Z niem. – Na ulicę!

Lotnisko w Ławicy pod Poznaniem, w tym samym czasie

Przed masywnym budynkiem dowództwa gromadzili się piloci, mechanicy i pracownicy obsługi technicznej w wybrudzonych drelichach. Kilku z nich wymachiwało czerwonymi flagami, a wszyscy skandowali w stronę wejścia hasła wzywające do uszanowania „towarzyszy Polaków”. Okrzyki niosły się po placu, zwielokrotnione echem pomiędzy wysokimi budynkami lotniska. Były tak głośne, że zirykowały hauptmanna Fischera, dowódcę stacji lotniczej, rozrywającego się akurat grą w skata w kasynie.

– Co tam się dzieje? – rzucił rozdrażniony do swojego ordynansa.

– Melduję posłusznie, że to Polacy. Domagają się wejścia do Rady Żołnierskiej. Twierdzą, że ich pominięto.

– Pominięto?

– W radzie są sami Niemcy, herr hauptmann. Polacy uważają, że to niesprawiedliwe i domagają się miejsc dla swoich przedstawicieli w radzie.

– Niech im dadzą te miejsca – machnął bez przekonania ręką Fischer. – Byle tylko nie przeszkadzali w grze. Co za ludzie! Doprawdy trudno się skupić!

Odkąd władzę na lotnisku przejęła Rada Żołnierska, miał wszystko w nosie. Postanowił nie wyręczać jej w zarządzaniu lotniskiem. Tym bardziej że w Berlinie górę brała lewica i komuniści. A w radiu podali, że na ulicach toczą się regularne walki...

– Co im przekazać, herr hauptmann?

– Że mają moje błogosławieństwo. Przynajmniej będzie mniejszy chaos w tym czerwonym burdelu.

– Tak jest!

Ordynans wybiegł na plac, by przekazać protestującym stanowisko dowódcy. W samą porę, bo do wiecujących Polaków wyszli też dwaj delegaci rady. Naprzeciw nich stanął wysoki podoficer z wąsem, w którym ordynans Fischera rozpoznał

sierżanta Pniewskiego, nowego pilota w bazie lotniczej.

– Czego chcecie, towarzysze? – niemieccy delegaci do rady pominęli wszelkie ceremonialne wstępy, przechodząc od razu do rzeczy.

– Chcemy równego traktowania, koledzy! – przemówił spokojnym głosem Pniewski. – Uważamy, że w radzie brakuje naszych przedstawicieli. I że tym samym podejmujecie decyzje z pominięciem polskich towarzyszy.

– Jakie tam znowu decyzje – zachnął się najbliższy stojący Niemiec.

– A choćby i takie, że wywozicie sprzęt do Frankfurtu nad Odrą bez naszej wiedzy i zgody – zwrócił mu uwagę feldwebel.

Niemiec zmrużył oczy. Nie chciał kolejnej rozróby, myślał raczej o spokojnym wieczorze z butelką w rękę. Co mu szkodzi wprowadzić do rady kilku Polaków? W końcu i tak oni, Niemcy, będą w niej mieli przewagę.

– Co proponujecie? – zapytał.

Pniewski sprawiał wrażenie przygotowanego do negocjacji.

– Do rady wejdzie pięciu naszych delegatów – powiedział twardo. – Proponuję towarzyszy Gruszkiewicza, Skoczyńskiego, Jazego i Ciesielskiego.

– A kto piąty?

– Ja, Wiktor Pniewski. Jeśli przegłosujecie nowy skład rady, rozejdziemy się w spokoju.

– Przekażę to naszym towarzyszom – obiecał Niemiec.

– Herr hauptmann popiera propozycje Polaków – dorzucił swoje trzy grosze ordynans Fischera.

Niemcy z rady całkowicie zignorowali jego słowa.

– Macie jeszcze jakieś postulaty? – zwrócił się do Pniewskiego ich przywódca.

– Tak. Jeden. Trzeba wstrzymać wywożenie sprzętu do Frankfurtu...

– A to niby czemu?! – zaoponował gwałtownie Niemiec. – To już postanowione, zresztą takie były rozkazy...

– Słuchacie nadal rozkazów z Berlina? – Pniewski zrobił wielce zdziwioną minę. – To duży błąd, towarzysze. Jak myślicie,

dlaczego władza ściąga aeroplany pod Berlin akurat w momencie, gdy nasi bracia krwawią w stolicy?

– Niby po co? – niemiecki kolega nie wyglądał na przesadnie wyrobionego politycznie.

– Żeby mieć narzędzia do stłumienia buntu – podsumował Polak pewnym tonem. – To przecież jasne jak słońce, *nicht wahr?*⁷⁶

Argument Pniewskiego zastanowił przedstawiciela rady. Wymienił spojrzenia z kolegą, a potem odpowiedział już mniej zdecydowanym głosem:

– Przekażemy radzie wasze stanowisko. Zobaczymy, co się da zrobić.

Warszawa, 10 listopada 1918 r., wieczorem

Po ulicach miasta niesły się tubalne męskie krzyki po niemiecku żądające powołania rady żołnierskiej dla Warszawy. Gnade stał bezradnie pod kamienicą na Żurawiej, przerażony skalą dokonującego się na jego oczach zwrotu. Był w Dolinie Szwajcarskiej, widział wystąpienie śledzonego przez niego Polaka i wiedział jedno: tak dalej nie może być! Jęczkowiak mimo młodego wieku i ledwo dostrzegalnego wąsa pod nosem okazał się wybitnym agitatorom. Gnade widział, jak doskonale zmanipulował salę i wyprowadził podchmielonych żołnierzy na ulicę. I jak nakręcił mechanizm rewolucyjnej destrukcji, który właśnie przeniesiony został do koszar garnizonu warszawskiego. Tu już nie było miejsca na wątpliwości! Polaka trzeba było zlikwidować! On, Heinz Gnade, gotów był tego dokonać, nie czekając na oficjalny rozkaz z Berlina.

Zresztą – na jaki rozkaz?! Wydarzenia przyspieszyły tak gwałtownie, że nie było żadnego sensu wracać do hotelu Bristol i domagać się telefonicznego połączenia z Wirbelem. Gdy gmach Rzeszy trzęsie się w posadach, grożąc zawaleniem, nie ma czasu na pytanie góry, czy można podtrzymać fundamenty. Po prostu trzeba to zrobić! Mauser C96 spoczywający za paskiem spodni

⁷⁶ Z niem. – Nieprawdaż?

Gnadedo mógł ukroćić rodzącą się rebelię. A już na pewno odstrzelić jej głowę!

Powodów do zlikwidowania tego bezczelnego dezertera było aż nadto, ale w ostatnich godzinach pojawił się kolejny. Gnade miał pewność, że poznając te fakty, Berlin oczyści go z zarzutu samowoli. Wracając z Doliny Szwajcarskiej za Jęczkowiakiem, był bowiem świadkiem, jak Polak i jego ludzie w jawny, karygodny wręcz sposób zastraszali bronią napotykanym niemieckim żołnierzom, odbierając im broń i pasy z bagnetami! Te ostatnie podnieśli z bruku zwykli cywile, chowając ją pod płaszczami! Co za bandyckie miasto! Taki bunt musi, po prostu musi zostać ukarany!

Podniósł głowę, by upewnić się, że w mieszkaniu na piętrze ciągle świeci się światło. Ulica tonęła w ciemności, zdawała się w tym momencie opustoszała. Gdyby Jęczkowiak wyszedł na nią sam na papierosa... Prosty, higieniczny strzał w głowę albo plecy bardzo przysłużyłyby się dziełu zaprowadzenia porządku w Warschau!

Gnade zachnął się ze złością. Sęk w tym, że od pół dnia Jęczkowiak otoczony był swoimi ludźmi. Teraz w mieszkaniu było z nim co najmniej dwóch mundurowych. Pora kolacji dawała wyobrażenie, co teraz robią.

Na wspomnienie posiłku żołądek Niemca skręcił się z głodu.

Nie! Tak dalek być nie może! Zabije Polaka, choćby nawet musiał się potem tłumaczyć przed dowództwem! Działa przecież w stanie wyższej konieczności! Musi zdusić rewolucję w zarodku!

XIV.

POLOWANIE NA SZARAKA

Znowu Warszawa, późny wieczór 10 listopada 1918 r.

Kolacja przygotowana przez panią Rudnicką postawiła Jęczkowiaka na nogi. Był totalnie zmęczony, ale po wspaniałych śledziach w śmietanie przegryzionych chlebem i podlanych kieliszkiem czegoś mocniejszego poczuł nagły przyptyw energii.

– A może by tak wyjść jeszcze na ulicę jako patrol? – rzucił do swoich towarzyszy: Leona Bąbola i jednego z dziesiętników, który czekał na jego powrót w mieszkaniu Rudnickich.

– Patrol? – zdziwił się Bąbol.

Po całym dniu spędzonym na Pradze był zwyczajnie wypalony.

– A tak, na patrol. Można by rozbroić jeszcze kilku Szkopów. A może nawet zająć komendanturę wojskową na Dworcu Głównym?

Błysk w oczach Jęczkowiaka oznaczał, że mówi całkiem serio.

– Czemu nie?! – zapalił się drugi z jego towarzyszy.

Bąbol zrozumiał, że czeka ich jeszcze nocna eskapada. Zrezygnowany tylko westchnął. Podziękowali gospodyni za kolację i poderwali się z krzesel.

– A wy dokąd, chłopcy? – Rudnicka była zaskoczona.

– Po wolność, szanowna pani – uśmiechnął się zawadiacko Jęczkowiak.

Nie wiedzieć czemu, gdy zbiegali radośnie po schodach, wybijał dłońią na balustradzie rytm Warszawianki: „O-to dziś dzień krwi i chwa-ły, oby dniem wskrze-sze-nia był...”.

Na ulicy owionął ich listopadowy ziąb. Odruchowo poprawili szale i nacisnęli mocniej czapki na głowy. Mimo kiepskiego oświetlenia czerwone otoki były świetnie widoczne nawet

z dalszej odległości.

Już za rogiem rozbroili dwóch Niemców z Landsturmu. Wąsaci rezerwiści po czterdziestce, zupełnie zaskoczeni widokiem wycelowanych w nich pistoletów bez oporu podnieśli ręce i pozwolili odebrać sobie broń: piękne lugery. Oddalili się potem pospiesznie, szczęśliwi, że skończyło się tylko na tym.

Na Marszałkowskiej Jęczkowiak rzucił z poznańska hasło:

– Do bimby!⁷⁷

Akurat na przystanek wjeżdżał z łoskotem samotny wagon, oświetlony mizernym błyskiem z nielicznych żarówek. Jęczkowiak dostrzegł przez zaparowaną szybę dwóch niemieckich oficerów rozmawiających o czymś zawzięcie. Było za późno, by się wycofać. Gdy tylko pojazd zatrzymał się, poznaniak wskoczył do środka, krzycząc:

– *Hände hoch! Die Pistolen aus!*⁷⁸

Cywile w tramwaju podnieśli krzyk przerażenia. Ale Niemcy nie zamierzali się poddać. Jęczkowiak zauważył, że siedzący bliżej niego oficer gwałtownym ruchem sięgnął do kabury.

Polak strzelił odruchowo, bez zastanowienia.

Prosto w głowę oficera.

Na szybie wykwitł nagle szkarłatny gejzer, a martwy Niemiec osunął się na podłogę.

– *Banditen!* – ryknął towarzysz oficera, ale również nie zdążył dobyć swojego pistoletu.

Jęczkowiak był szybszy. Drugi strzał położył przeciwnika trupem.

Strzały, morderczy chaos oraz opryskana krwią i strzępami mózgu szyba wypłoszyła z pudła wagonu ostatnich cywilów. Ich spanikowane krzyki przywołały do tramwaju milicjanta uzbrojonego w karabin. Wycelował nim w Jęczkowiaka, żądając rzucenia broni.

– Nie rzuć! – oświadczył Polak, mierząc również z pistoletu w milicjanta.

– Będę strzelał! – zagroził mundurowy, poprawiając nerwowo

77 Z gwary poznańskiej – Do tramwaju!

78 Z niem. – Ręce do góry! Oddać pistolety!

karabin.

– Co tu się dzieje? – zawołał tubalnym głosem ktoś z wysokości przystanka.

Jęczkowiak znał tę twarz z dużym nosem i wychudłymi policzkami. Widział ją poprzedniego wieczoru podczas krótkiego, tajnego zebrania kierowników wszystkich komisariatów milicji zwołanego w mieszkaniu Jana Jura-Grzechowskiego z Milicji Miejskiej w Warszawie. To wtedy Jęczkowiak poinformował szefów milicji, że w armii niemieckiej w Warszawie działa zakonspirowana polska organizacja wojskowa. Ten mężczyzna z charakterystycznym orlim nosem był niechybnie kierownikiem pobliskiego komisariatu.

– Jestem z peowu! – przedstawił się bez nazwiska. – Ci Niemcy chcieli do nas strzelać, mam świadków!

Milicyjny oficer spojrzał przenikliwie na swojego podwładnego, ciągle mierzącego z mauzera do Jęczkowiaka.

– Zostaw go, to nasz człowiek! – polecił szybko. Na tyle cicho, by cywilni świadkowie gromadzący się na przystanku go nie dosłyszeli. – No, ludzie! Rozejść się! Ten tramwaj już nie pojedzie! Trzeba spisać protokół! Rozumiecie?! Protokół, to potrwa!

Wstrząśnięci cywile opuścili przystanek, komentując żywo krwawe zdarzenie. Na ich oczach zginęli wszak dwaj niemieccy oficerowie. Takich rzeczy w Warszawie nie widzieli! Co to teraz będzie?

Oficer milicji poczekał, aż oddalą się na bezpieczny dystans, a potem obrócił się w stronę Jęczkowiaka.

– Poznaję cię, byłeś wczoraj u komendanta – powiedział szybko.

– Zmywaj się stąd, póki nie doniosą Niemcom, co się stało!

– A ty? – zaniepokoił się Jęczkowiak.

– Ja już coś wymyślę – kierownik komisariatu machnął lekceważąco ręką. – Napad na oficerów, próba rozbrojenia. Nieznani sprawcy zbiegli... No, dalej! Spadajcie, póki czas!

– Już się robi!

Zanim opuścił wagon, nie zapomniał rozbroić dwóch nieboszczyków. Ich lugery ciążyły mu jednak, gdy biegiem

oddalali się z przystanku. Nie chciał tej krwi, ale działał instynktownie. Odruchy wyniesione z frontu nie pozostawiły miejsca na jakikolwiek namysł.

Nadal Warszawa, kwadrans później

– *Nein! Genug!*⁷⁹

Strzały na Marszałkowskiej były dla Heinza Gnade momentem granicznym. Widząc śmierć dwóch oficerów, zastrzelonych z zimną krwią przez tego polskiego chłystka, powziął nieodwołalną decyzję: jeszcze tej nocy zgładzi zdrajcę i dezertera! Gdy półbiegiem podążał za Jęczkowiakiem i dwójką jego kompanów, wściekłość wręcz w nim kipiała. Najchętniej strzeliłby do niego od razu, najlepiej prosto w głowę. Na razie musiał się jednak powstrzymać: zbyt wielu było świadków.

Trójka Polaków biegła równym truchtem ku budynkowi kolei. Aż dziw brał, że mimo tak późnej pory mieli w sobie tyle sił. Ciągnęli za sobą tumany pary wydobywające się z ich otwartych ust. Gnade udawał, że gdzieś się spieszy, podbiegając co rusz w tym samym kierunku. Choć został wyraźnie z tyłu, trzymał dystans. Od razu zrozumiał, że Jęczkowiak i jego towarzysze pędzą ku Dworcowi Wiedeńskiemu. Pewnie znowu coś knują, pomyślał. Nie był w stanie im przeszkodzić, ale nie to było teraz ważne. Agent czał się do tego jednego, jedyne go skoku, który miał położyć kres całej tej bezczelnej hucpie. Dorwie chłystka kalającego niemiecki mundur w jakimś ciemnym zaułku albo bramie i poczęstuje go sztyletem. Albo wsadzi mu w potylicę kulę z lufy obwiązanej ściśle szmatą. Zawsze działał w ciszy i tym razem nie będzie inaczej! W końcu nie za darmo zgarnął już wszystkie resortowe odznaczenia!

Jeszcze chwila – i śledzeni przez niego Polacy wbiegli na schody, znikając pod arkadami, we wnętrzu dworca. Dwupiętrowy gmach zdawał się podwójnie iluminowany, w opozycji do wieńczących go na obu narożnikach, ciemnych wież. Wskazówki

79 Z niem. – Nie! Dostyc!

zegara na jednej z nich pokazywały godzinę dwudziestą pierwszą.

Muszę być cierpliwy, pomyślał Gnade, stając pod jedną z ogołoconych z liści włoskich topoli zdobiących plac przed gmachem dworca. Muszę być bardzo cierpliwy i czekać na swoją szansę.

Że szansa się pojawi, był więcej niż pewien.

Podpowiadały mu to lata doświadczenia.

Warszawa, Dworzec Wiedeński, w tym samym czasie

Wpadli jak złe duchy do niedużej sali przedzielonej niczym boksy drewnianymi ściankami na kasy, poczekalnie i bufety dla pasażerów różnych kategorii. Nie skierowali się do pokojów dla dam i wysoko postawionych oficjeli – wręcz przeciwnie, obrali kurs na bufet dla żołnierzy. Skautowski nos nie zwiódł Jęczkowiaka: właśnie tam natknęli się na pięcioosobowy patrol Landsturmu pełniący wartę z polecenia Rady Żołnierskiej.

– Przyszliśmy was zluzować – oświadczył grubemu sierżantowi z mauzerem w dłoniach. – Możecie udać się na spoczynek. A najlepiej do Soldatenheimu w Pałacu Staszica! Zdaje się, że nieźle się tam bawią. Szkoda, że bez was...

Na wzmiankę o odpoczynku kapralowi i kilku landszturmistom zaświeciły się oczy. Sierżant okazał się jednak nieufny.

– Kto was tu przysłał? – zrobił się czujny, ściskając wymownie dłoń na karabinie. – I kim ty w ogóle jesteś?

Niemczyzna Jęczkowiaka nie budziła zarzutu, a mimo to coś zaniepokoiło sierżanta. A może się tylko asekurował?

– Sierżant Karol Schroeder – Jęczkowiak po raz kolejny sięgnął po swój sfalszowany przydział do Warszawy. – Słucham rozkazów towarzyszy z Rady Żołnierskiej. Godzinę temu kazali mi was zluzować. To luzujemy...

Zażywny sierżant rzucił niechętnym spojrzeniem na podwładnych Jęczkowiaka.

– A ci dwaj? To chyba Polacy?

– *Natürlich!* – potwierdził ochoczo poznaniak. – Ale słuchają moich rozkazów!

Sierżant nachylił się nad Jęczkowiakiem, przy okazji przypatrując się lepiej jego czerwonej opasce na czapce.

– Musisz być czujny – powiedział konfidencjonalnym tonem. – Oni coś przygotowują. Podobno na ulicach rozbijają naszych! Trzeba uważać, rozumiesz?

– Mamy oczy szeroko otwarte – zapewnił go Jęczkowiak z beczelnym uśmiechem na twarzy. – No, towarzysze! Przyjemnych chwil w Pałacu Staszica! Niech żyje rewolucja!

– Niech żyje! – podchwycili podwładni tęgiego podoficera i zaczęli się zbierać.

Chwilę później Jęczkowiak i jego ludzie objęli w posiadanie broń i wyposażenie zaimprovizowanego przez poprzedników biura. Było w nim wszystko, co potrzebne: ryzy białego papieru, pióra i tusz. Brakowało tylko farby drukarskiej.

– No dobrze, panowie – Józef postanowił w końcu wyjawic im swoje plany. – Przez to miejsce przewijają się setki, jeśli nie tysiące naszych żołnierzy wracających z frontu do domu. Naszym zadaniem jest żadnego z nich nie stracić. Dlatego właśnie tutaj zrobimy biuro organizacyjne. Komendant Piłsudski będzie pilnie potrzebował kompanii i batalionów, które mu tę naszą rewolucję obronią!

To mówiąc, Jęczkowiak uśmiechnął się cwaniacko. Wszak dobrze wiedział, co kryje się pod hasłem „rewolucja”.

– Świetny pomysł, Józek! – zapalił się Leon Bąbol. – Na pewno przyjedzie tu wielu naszych, z Poznańskiego.

– I nie tylko od nas, Leoś. Także z Pomorza, ze Śląska... Musimy ich wszystkich zagospodarować. Muszą po prostu jak najszybciej trafić do polskiego wojska.

– Już się robi!

– Jest tylko jeden problem – mruknął Jęczkowiak. – Przydałyby się jakieś afisze kierujące ludzi prosto do nas. Musimy ich mieć kilkaset, żeby je porozwieszać po mieście i po okolicy. Dobrze by było rozwiesić je także na dworcach w Kaliszu, Łodzi, może też w Siedlcach czy Białymstoku. Musimy obkleić dworce na

wszystkich kierunkach.

– Masz rację – przytaknął Bąbol. – Tylko... skąd tu wziąć afisze?

Jęczkowiak spojrział na niego wyrozumiale.

– Tym się nie kłopotcz, Leoś. To biorę na siebie.

Adrenalina dosłownie w nim buzowała. Musiał, po prostu musiał coś zrobić! Tej nocy i tak by nie zasnął.

Warszawa, noc z 10 na 11 listopada 1918 r., około północy

Mimo wymarłych, pustych ulic miasto w środku nocy było głośnie. Choć po zabłoconych brukach hulał zimny wiatr, a zagubionych przechodniów można było policzyć na palcach jednej ręki, gdzieś z oddali dobiegały pojedyncze wystrzały, a czasem nawet huk granatu. Jęczkowiak zastanawiał się, czy to tylko nic nieznaczące incydenty, czy może jeden lub drugi niemiecki patrol postawił się rozbrajającej go młodzieży i doszło do wymiany ognia.

Szedł sam, czując gwałtownie narastające zmęczenie. I choć przed północą kipiał energią, teraz powłóczył nogami. Mógł sobie wreszcie na to pozwolić, nie widział go żaden z podwładnych. A prawda była taka, że słaniał się na nogach. Od rana był w ciągłej gotowości, z nerwami napiętymi do granic możliwości. Ciągłe w skupieniu, ciągle w akcji. Spotkanie z Komendantem Piłsudskim było dla niego nagrodą – gdy rano wstawał z łóżka w mieszkaniu Rudnickich na Żurawiej, nawet nie spodziewał się, że dostąpi takiego zaszczytu. A co dopiero – że dostanie tak odpowiedzialne zadanie!

Ale je otrzymał – on, właśnie on! I wykonał. Warszawę ogarniał zamęt rewolucji. Młodzi Polacy masowo odbierali broń wyraźnie starszym od siebie żołnierzom Landsturmu, którzy marzyli raczej o szybkim powrocie do Berlina i Bambergu niż o nowej wojnie. On, Józef Gabriel Jęczkowiak, dał hasło do ataku. Ta świadomość powodowała, że mimo chłodu i mocno już wytartego płaszcza było mu ciągle ciepło. Tak, zdecydowanie nie

dał plamy. Komendant może być z niego zadowolony!

Gdyby jeszcze znalazł tę drukarnię! Od dobrej godziny błąkał się po śródmieściu, wypatrując światła w witrynach lokali i nasłuchując charakterystycznego odgłosu pracy maszyny drukarskiej. Jednak im dłużej chodził, tym bardziej tracił nadzieję, że cokolwiek znajdzie. Jak tak dalej pójdzie, będzie musiał przełożyć akcję rozwieszania afiszów na dworcach. Cóż jednak poradzi? Nie znał dobrze Warszawy, a zapytać się nie było kogo. Pozostawało zdać się na łut szczęścia. A ono właśnie go opuściło.

Był na Chmielnej, gdy gdzieś za plecami usłyszał podejrzany szelest. Jakby ktoś niechętny szurnął podeszwą po trotuarze albo potknął się na krawężniku.

Przystanął i obejrzał się szybkim ruchem. Koniec ulicy tonął w ciemnościach. W mroku nie dostrzegł żywego ducha. Ki diabeł?

Ruszył ponownie w stronę Wisły, zagłębiając się coraz bardziej w ciemny wąwóz kamienic. Budynki były tu znacznie wyższe niż w Poznaniu. Miały aż po pięć pięter, z parterem sześć kondygnacji. Ich ciemne bramy wzbudzały niepokój. Przyspieszył kroku. Chciał jak najszybciej pokonać ten nieprzyjemny odcinek...

Z tyłu znowu usłyszał jakiś szmer.

Odruchowo, instynktownie przywarł do ściany.

W ostatniej chwili!

Świst kuli oberwał nagle spory płat mokrego tynku tuż obok jego lewego ucha.

Strzelają!

Ktoś strzela do mnie!

Frontowy nawyk zgiął go w pół i pchnął ku ciemnemu wnętrzu pobliskiej bramy.

Z sercem walącym jak miech przykucnął, dobywając z kabury lugera.

Ktoś zamierzał go zabić.

Tyle że on sam nie widział napastnika. I to było najgorsze.

Wciśnięty w kątek bramy, oparty skulonymi plecami o żelazną kratę, nasłuchiwał otoczenia.

Ciemności wokół stały się nieprzeniknione. Wilgotne ściany budynku przypominały wnętrze grobu. Czy zostanie w nim na wieki?

Znowu usłyszał szelest.

Ktoś szedł ku niemu od strony Dworca Wiedeńskiego.

Czy podążał za nim od dawna, przygotowując się do ataku i wyczekując na właściwy moment?

Zrozumiał, że przeciwnik musi być dobrze przygotowany do swojego zadania, bo ciągle pozostaje niewidoczny...

Tylko kto to jest?

I czy widzi go teraz w bramie jak na dłoni?



Gnade był wściekły, że chybił. Z tej złości aż dygotał. Jak mógł spudłować z tak niewielkiej odległości! Przecież jeszcze niedawno, latem w Paryżu, ręka nie zdrząła mu ani razu!

Polak wykorzystał jego błąd i natychmiast skrył się w mrocznej głębi bramy. Potężny nawis balkonowej wystawki rzucał na wejście do kamienicy dodatkowy cień. Gnade nie widział postaci Jęczkowiaka, a nie chciał strzelać w ciemność na oślep. Jego misja to nie loteria, wolał mieć stuprocentową pewność.

Najważniejsza była teraz cisza...

Schylił się i sięgnął prawą dłonią na wysokość łydki. Sprawnym ruchem wyciągnął spod nogawki długi, ostry przedmiot.

W odbitym świetle dalekiej latarni broń błysnęła wypolerowaną, chromowaną nawierzchnią...

Tak...

Teraz był pewny, że wszystko jest na dobrej drodze.



Szarak. Jęczkowiak czuł się jak szarak przyczajony za świerkiem podczas polowania z nagonką. Tyle że szarak miał zawsze jakąś szansę. Miał przestrzeń przed sobą – i silne nogi. Przy odrobinie szczęścia mógł ująć pogoni. I uniknąć śmierci.

On takiej szansy nie miał.

Celował pistoletem w ciemność, nie wiedząc nawet, czy mierzy w dobrą stronę.

Śmierć była blisko.

Czuł jej lodowaty oddech na spoczonej szyi.

Wpatrując się ciemność przed sobą, zaczynał w niej zwolna dostrzegać delikatne, ledwo uchwytnie odcienie szarości.

Te szarości dały mu odrobinę nadziei.

Agresor był coraz bliżej.

Musiał być pieruńsko silny, jego ciężkie kroki zapowiadały męczyznę godnej postury. Pewność, z jaką je stawiał, nasuwała najgorsze przypuszczenia.

Żeby tylko zdążył go zobaczyć!

Żeby tylko...

XV.

TY PRZEKŁĘTY POLAKU...

Lotnisko w Ławicy pod Poznaniem, tej samej nocy

Pniewski, Jach i kilkunastu innych Polaków nie posiadali się ze szczęścia: Rada Żołnierska stacji lotniczej w Lawitz bei Posen po gorącej, chwilami nerwowej dyskusji zdecydowała się rozszerzyć swój skład o Gruszkiewicza, Skoczyńskiego, Jazego, Ciesielskiego i samego Pniewskiego. A transport samolotów wstrzymano. Do Frankfurtu pojechały tylko dwa wagony sprzętu łącznościowego.

– Szkoda tego sprzętu – nie mógł mimo to pogodzić się ze stratą Pniewski. – Ale trudno. Najważniejsze, że zostały Fokkery i Albatrosy!

Jach próbował go podpytać, co dalej. Zwłaszcza co z samolotami. W pamięci miał ciągle zdanie kolegi: „Trzeba coś zrobić, bo wywozą nam ostatnie aeroplany!” Czyżby Pniewski patrzył aż tak daleko?

Feldwebel zachował jednak nieprzeniknioną twarz pokerzysty.

– A czy ja w ogóle coś mówiłem? – odpowiedział, a powieka nawet mu nie drgnęła.

Franciszek uśmiechnął się speszony. Zrozumiał, że popełnił wielką, niewybaczalną w konspiracji gafę: pytał o plany w obecności innych.

– Rozumiem – bąknął tylko i odszedł na stronę, by raz jeszcze wszystko sobie przemyśleć.

Gdy tak rozmyślał, oparty o ścianę hangaru, w mroku chłodnego wieczoru rozbłysnął ogień papierosa.

– Cieszysz się, Frantz? – usłyszał dobrze znany głos.

Leutnant Pohl wpatrywał się wnikliwie w twarz polskiego kompana przez dym cygaretki.

– Niby z czego? – odparł zadziornie Jach.

Choć tak naprawdę doskonale wiedział, o czym mówi niemiecki pilot.

– Wiesz z czego – ton głosu leutnanta zdradzał rozdrażnienie. – Może i udaje wam się wodzić za nos tego głupca Fischera albo naiwniaków z Rady Żołnierskiej, ale mnie nie zrobicie w balona. Lepiej mi powiedz, co tu się święci. Powiedz, póki nie jest jeszcze za późno...

Jach zignorował mocno wyczuwalne żądanie kolegi.

– Kiedy nie ma o czym mówić – uciął dyskusję.

– Frantz, ostrzegam cię – słowa Pohla wybrzmiały chłodno. – Nie ładuj się w żadne awantury. Szkoda cię, przyjacielu. Tu się naprawdę robi niemiło.

– Dzięki za radę – rzucił niechętnie w stronę Niemca.

– Mówię do ciebie po starej znajomości. Naprawdę nie chciałbym mieć ciebie za wroga. Tyle wspólnych akcji, lotów... To wszystko się nie liczy, ma odejść w niepamięć?

Jach w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nic nie odpowiedział.

Niemiec cisnął cygaretkę pod nogi i rozdeptał ją, gasząc żar.

Zaraz potem ruszył ku budynkowi dowództwa, kiwając głową jak lekarz nad beznadziejnym przypadkiem.

Tymczasem w Warszawie, nadal noc z 10 na 11 listopada 1918 r., krótko po północy

Kroki napastnika ustały nagle, jakby on sam rozpułnął się w powietrzu, tracąc jakąkolwiek wagę.

Jęczkowiak odruchowo podniósł pistolet wyżej, ale przypominało to raczej błędzenie po omacku. Ciągłe celował w ciemność, której nie potrafił przeniknąć wzrokiem. Ledwo dostrzegalny pobłysk gdzieś w prawym narożniku uświadomił mu, że być może namierzył odbłask płytkiego rynsztoka. A może po prostu leżała tam jakaś rozbita butelka...

Przez chwilę rozważał, czy nie zyskałby więcej, pozorując jakiś ruch. Jak wtedy, w czternastym, na ćwiczeniach pod Kobylnicą. Tyle że wtedy były to tylko głupie podchody, a teraz stawką było

życie. Jego życie. Błąd miał kosztować bez porównania więcej.

A może jednak... – korciło go, by przesunąć się nieco w prawo.

Już...

Już chciał to zrobić, ale nie zdążył.

Od granatowego jak atrament tła bramy oderwał się nagle potężny, brunatno-czarny cień i runął ku niemu z wyciągniętą w przód dłonią.

Dłonią uzbrojoną w potężny sztylet.

Jęczkowiak dostrzegł śmiertelne ostrze dosłownie w ostatniej chwili.

Sztylet celowało prosto w jego pierś.

Zamachowiec był piekielnie szybki, ale Jęczkowiak nie dał się zaskoczyć.

Instynktownym ruchem lewej pięści zbił potężne bagnecisko w bok, wybijając agresora z równowagi.

Dłoń atakującego trafiła w próżnię, klinując się po łokieć w kute zdobienia żelaznej bramy.

– Scheisse! – wysyczał z wściekłości napastnik, zdradzając swoją proveniencję.

Szarpnął się, próbując oswobodzić prawicę, a jednocześnie lewą dłonią sięgnął do kieszeni palta...

Ale nie dał już rady.

Ciszę na ulicy Chmielnej rozdarły trzy strzały z broni krótkiej.

Oddane z najbliższej odległości, natychmiast położyły kres morderczym instynktom napastnika.

Wielkie ciało agresora zawisło w karykaturalnej, nienaturalnie wygiętej pozie na żelaznej kracie bramy.

– *Du verfluchte Pole...*⁸⁰ – to były ostatnie słowa, jakie usłyszał od niego Jęczkowiak.

Z najbliższej odległości spoglądał prosto w pełne nienawiści oczy człowieka, z którego gwałtownie uciekało życie.

80 Z niem. – Ty przeklęty Polaku...

Poznań, w śródmieściu, w tym samym czasie

Tej nocy Kaczmarek po raz pierwszy od dłuższego czasu wyszedł na miasto. Niby im tego zabraniano, ale przecież robili tak wszyscy ukrywający się na strychu kamienicy Górskiego przy Wszystkich Świętych. Bo w końcu ile czasu można było wygrzewać się pod kocem na sienniku? Do zapowiadanej akcji były jeszcze dwa dni, a przecież młodzi ludzie też się muszą wyszumieć. Zwłaszcza oni!

Ciemności były sprzymierzeńcem, który ułatwiał sprawę. Jedni wyskakiwali na papierosa, inni do kobiety, jeszcze inni – do rodziny albo na piwo w zaprzyjaźnionym lokalu. Nadmierna ostrożność, rozdmuchana wśród nich przez przełożonych do granic możliwości, skutkowała jednak jak należy: każdy widok munduru żandarma albo – nie daj Boże – wojskowego oznaczał natychmiastowy odwrót. Ta prosta taktyka święciła jak dotąd triumfy.

Inna sprawa, że na ulicach więcej było ostatnio zdemoralizowanego wojska niż karnych oddziałów. A po mieście rozeszła się wieść, że niebawem powstanie Straż Obywatelska, która przejmie porządek w mieście. Do Straży mógł się zaciągnąć każdy mężczyzna zdolny nosić broń, a to oznaczało, że pojawiła się szansa na dozbrojenie Polaków.

– Każdy, kto może, powinien zaciągnąć się do Straży – powtarzał porucznik Hulewicz.

Słowa te zapadły Kaczmarkowi głęboko w pamięć. Gdy szedł ciemnymi ulicami Starego Miasta, rozglądając się czujnie na boki, by nie natknąć się na jakiś przypadkowy patrol, przyrzekał sobie w duchu, że będzie namawiał do tego wszystkich znajomych, których spotka. Taka okazja może się już więcej nie trafić. Trzeba wykorzystać moment słabości przeciwnika, zanim zrozumie, jak niemądry wykonał ruch.

W milczeniu przeciął Nowy Rynek, zostawiając po prawej okrągłą sylwetkę miejskiej łaźni. Jeszcze chwila lawirowania wśród staromiejskich, wąskich uliczek – i już był na Rynku.

Mimo późnej pory i dojmującego chłodu ciągnącego od bruku panował tu spory gwar. Mieszkańcy żywo komentowali ostatnie wypadki. Nie było już tajemnicą, że front na zachodzie się załamał, a cesarz abdykował. Na oczach mieszkańców świata zasiedziałego w – wydawałoby się jeszcze do wczoraj – niewzruszonych posadach, stary porządek walił się w gruzy, a nikt nie potrafił jeszcze powiedzieć, co się z niego wyłoni. Wisząca na ratuszu pruska flaga i cesarska korona nad wieńczącym wieżę orłem zdały się Kaczmarkowi ostatnimi łącznikami z upadającą potęgą. Czas zdjęć tę szmatę, pomyślał z niesmakiem. Jeszcze przyjdzie na to pora...

Przeskoczył tory tramwajowe, mijając kilka osób oczekujących na bimbę nieopodal fontanny i szybkim krokiem wbiegł na schody wiodące do ratusza. A zaraz potem, gdy już pokonał pierwsze drzwi, skręcił w lewo i ostro opadającymi, wygiętymi w łuk kamiennymi schodkami zszedł do gwarnego o tej porze wnętrza restauracji, mieszczącej się pod gotyckimi łukami piwnicznego sklepienia. Mając w kieszeniach ostatnie fenigi, liczył skrycie, że wystarczą mu choć na jeden kufel. Tego wieczoru był tak spragniony, że nie wzgardziłby nawet piwem z niemieckiego browaru braci Huggerów. Choć – wiadomo – wolałby coś z browaru Kobylepole.

Knajpa w piwnicy tętniła życiem. W powietrzu niósł się boski zapach przysmażonej cebuli, a może raczej krwistego kaszaka⁸¹, ukochanej frontowej potrawy Kaczmarka. Niemiecki właściciel – rzecz w Poznaniu rzadka – świetnie mówił po polsku. Nic dziwnego, że zbierała się tu i konspirowała cała kompania peowiaków. A jak byli mężczyźni, to i nie brakło kobiet...

Wejście Kaczmarka uciszyło na moment gwar rozmów, niemiecki płaszcz na plecach gościa na moment zmroził towarzystwo. Trwało to jednak ledwie kilka sekund, zaraz potem radosny tumult odzyskał poprzednią barwę.

– Biniu! – Z ławy pod ścianą poderwał się ku Kaczmarkowi wysoki, przeraźliwie chudy cień. – Biniu, przyjacielu! A ja myślałem, że ty ciągle gniesz gdzieś w okopach dla kochanego

81 Z gwary poznańskiej – kaszanka.

Wilusia!

W półmroku panującym w lokalu Kaczmarek z trudem rozpoznał Antka Dyrde, kolegę z gimnazjalnej ławy. Ostatni raz widzieli się bodaj jesienią 1914 roku, gdy Wielka Wojna zdążyła już zasłużyć na swój przydomek.

– Bo ci dam bez ten głupi łeb, szczunie!⁸² – Kaczmarek zamarkował oburzenie. – Chyba bym rozumu nie miał, żeby tam jeszcze być.

– Daj pyska, Biniu!

Wyściskali się jak Flip i Flap: Kaczmarek gruby i masywny, Dyrda chudy i wiotki, za to długi.

– Dałeś nogę?

– Tak jakby. Ale nie spod Werduna, tylko ze szpitala.

– Ranny byłeś?

– Szrapnel ugodził mnie w nogę.

– Ale żyjesz i chodzisz! Tylko to się liczy!

Ano tak, dopowiedział sobie w myślach Kaczmarek. Momentalnie przypomniał sobie Edka Wojtałę, kolegę ze szpitala. Tego, któremu mina oberwała obie nogi. Tak, on już raczej do Ratuszowej nie zejdzie...

– To co, siedniesz⁸³ z nami? – Dyrda popchnął go lekko w stronę swojej ławy, bynajmniej nie puste.

Na widok młodych kobiecych twarzy Kaczmarek zmięknął jak wosk.

– A jakże! – przytaknął z entuzjazmem. – Widzę, że kompania nam się trafiła wielce urodziwa...

Znowu w Warszawie, noc z 10 na 11 listopada 1918 r.

To była krwawa noc.

Nie spodziewał się, że będzie aż tak mordercza. Owszem, liczył się z możliwością walki podczas rozbijania Niemców. Ale wtedy, w tramwaju, sytuacja wymknęła się jakiegokolwiek

82 Z gwary poznańskiej – Bo cię walnę w łeb, draniu!

83 Z gwary poznańskiej – usiądziesz.

kalkulacji. Tak samo teraz, przed chwilą, w czarnej jak smoła bramie na Chmielnej, gdy zadziałał instynkt, pasja życia. Jeśli nie ja, to mnie...

Tajemniczy zamachowiec ubrany był po cywilnemu. Choć w mroku trudno było dokładnie mu się przyjrzeć, Jęczkowiak dostrzegł, że nieboszczyka wyróżniał drogi, ciepły płaszcz – widywał podobne na bogatych mieszkańcach miast takich jak Berlin czy Breslau. Napastnik był Niemcem – po nienawistnej ostatniej kwestii, jaką wypowiedział, nie ulegało to żadnej wątpliwości. Dlaczego jednak zaatakował właśnie jego?

Gdzieś z tyłu głowy czaiło się podejrzenie, że musiał być śledzony od dawna. A jeśli tak, dlaczego nie zwinęli go wcześniej?

Czyżby prowadził ich jak po sznurku w głąb organizacji?

Czyżby Niemcy wiedzieli dużo, dużo więcej, niżby chciał?

Ta myśl zjeżyła mu włosy. A jeśli ten facet był agentem szwabskiego kontrwywiadu? Jeśli rozpracował go, a także całą POW?

– To niemożliwe – mruknął sam do siebie dla dodania sobie odwagi.

Nie będę się nad tym zastanawiał, bo zwariuję z niepokoju, postanowił.

Zamiast tego dokładnie zrewidował uwieszone na bramie zwłoki. Muskulatura Niemca, wyczuwalna przez jego płaszcz i kamizelkę, potwierdzała najgorsze przypuszczenia Jęczkowiaka. Nie mógł jednak przyjrzeć się sztyletowi: podczas ataku przeleciał przez kratę i spadł gdzieś w głąbi nieoświetlonego podwórza. A bramę zamknęto. Józef był jednak niemal pewny, że broń nie okazałaby się zwyczajnym bagnetem niemieckiej piechoty. Jego niedoszły zabójca posłużył się zapewne czymś dalece bardziej specjalistycznym...

W kieszeniach palta i spodni trupa nie znalazł niczego nadzwyczajnego – może poza pistoletem mauser C96. Ta broń mogła sugerować, że trup był oficerem. W wewnętrznej kieszeni kamizelki natrafił natomiast na Ausweiss. Wystawiony był na nazwisko Hansa Klozego, zameldowanego w Berlinie przy Unter den Linden 75.

Nie miał złudzeń co do tego, że dane zabitego były fikcyjne.

Zastanawiał się przez chwilę, co zrobić z ciałem. Nie byłoby dobrze, gdyby nad ranem żandarmeria albo milicja miejska znalazły martwego Niemca w bramie w samym sercu Warszawy. Groziło to grubą aferą i pogorszeniem relacji, jeśli nie kryzysem w stosunkach Piłsudskiego z powstałymi spontanicznie radami żołnierskimi. Jęczkowiak wyczuwał, że nie może odejść z miejsca walki, nic z tym nie robiąc. Po dłuższym namyśle postanowił zabrać zabitemu broń i dokumenty. Choć zapewne fałszywe, mogły naprowadzić śledczych na pochodzenie nieboszczyka. Lepiej, żeby trup możliwie długo pozostał bezimienny.

Dla zmylenia tropów włożył nieboszczykowi w kieszeń kilka tanich klejonych papierosów, które miał ze sobą. Uwadze bystrego śledczego na pewno nie ujdzie, że kontrastują one z bogatym ubiorem zastrzelonego – na pewno wywołają w głowach policjantów mętlik. Jęczkowiak miał nadzieję, że tę sprawę otrzyma jakiś średnio rozgarnięty śledczy. Zresztą, kto teraz miałby głowę, by prowadzić dochodzenie, gdy Warszawa wybija się na wolność?

Oparł się pokusie zdercia z Niemca eleganckiego płaszcza i ostrożnie wychylił się z bramy.

Ulica była ciemna i kompletnie pusta. Jedyne gdzieś w oddali szłał się jakiś kejter⁸⁴...

Powoli, ociągając się nieco, opuścił bramę, w której zupełnie niespodziewanie został zmuszony do walki o życie.

Dopiero wtedy przeżegnał się, wyszarpnął zza kołnierza krzyżyk na łańcuszku, który niegdyś otrzymał od matki, i ucałował z namaszczeniem.

Był wdzięczny Bogu, że zachował go wśród żywych.

Poznań, restauracja Ratuszowa, tej samej nocy

Piwo – ciężki Kozieł z browaru w Kobylempolu – postawił Antek Dyrda. Ten miał w życiu zdecydowanie więcej szczęścia niż Biniu

84 Z gwary poznańskiej – pies.

Kaczmarek. Choć zgarnęli go do wojska o kilka miesięcy wcześniej – o tyle bowiem był od Kaczmarka starszy – po lichym postrzale w dłoń otrzymanym na froncie rosyjskim pod Kutnem wykpił się na komisji lekarskiej od dalszej służby na rzecz Najjaśniejszego Pana. Nie bez znaczenia okazała się całkiem pokaźna sumka Reichsmarek, przekazana dzień wcześniej przez krewnych Dyrdy leutnantowi w lekarskim fartuchu, który stał na czele komisji. Dość powiedzieć, że honorowy Niemiec w pełni wywiązał się z umowy. Szacowna komisja szybko i bez cienia wątpliwości orzekła, że pacjent Dyrda Antoni nie kwalifikuje się do dalszej służby liniowej na skutek wywołanego postrzałem podrażnienia nerwu dłoni niedającego gwarancji należytej obsługi broni maszynowej. Czy też jakiegokolwiek broni palnej. Oznaczało to odesłanie strzelca Dyrdy do niemniej chlubnych zadań na tyłach, w służbach aprowizacyjnych Jego Cesarskiej Mości.

Kaczmarek szczerze zazdrościł koledze fantazji. Odwzajemnił się więc mniej wdzięczną historią o hekatombie pod Verdun; opowiedzianą w dużym skrócie i znacząco ocenzurowaną z uwagi na obecność pań.

– No to wypijmy za twoje cudowne ocalenie, Biniu – zaproponował wspaniałomyślnie Antek.

Dawni gimnazjalni koledzy uraczyli się kobyłepolskim Kozielem. Obfita piana na moment oszroniła ich wąsy.

– Dobrze – przyznał Kaczmarek, odstawiając kufel na ławę. – Widać browar Mycielskich nieźle się ostatnio podciągnął.

– Raczej widać, Biniu, że dawno cię tu nie było – zaperzył się Dyrda. – Musisz wiedzieć, że od śmierci hrabiego Mycielskiego zawiaduje tam jakiś Niemiec.

– Tfu! – Kaczmarek udał, że wypluwa gorzki trunek. – Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś? Co za ohydne piwo! Gorzkie i tępe w smaku jak niemiecka parówka!

Zawtórowało mu radosnym, cokolwiek nawet zbyt radosnym śmiechem kilka dziewczęcych buź. Kaczmarek pewnie nie zwróciłby na nie szczególnej uwagi, gdyby nie ta jedna, która niespodziewanie pojawiła się za wszystkimi innymi, jakby nagle

wychynęła z ciemnego tła. Trudno było się dziwić: dziewczyna była zjawiskowa. Burza włosów spięta na tyle głowy przydawała jej blond aureoli. Wysoka, zgrabna, z błyskiem w oku, od razu obudziła w Kaczmarmku tęsknotę.

Z wrażenia był w stanie tylko szturchnąć Antka w ramię i wyszeptać:

– A ta piękność to kto?

– To Gładecka. Juliette Gładecka. Córka nauczycielki francuskiego ze Świętego Marcina. Niezła laleczka, nie powiesz?

– Rychtyg!⁸⁵ – Kaczmarek był tak zachwycony, że wpatrywał się w Juliette jak w święty obrazek, z szeroko otwartymi ślepiami.

– Tej, Biniu! – tym razem to Antek go wyrznął z łokcia pod zebro, aż zabołało. – Nie rób mi tu poruty!⁸⁶ Ja tu towarzystwu mówiłem, żeś ty światowy człowiek, w Europie bywały, a ty się zachowujesz, jakbyś ładnej dziewczyny nigdy nie widział! No co, Francuzki czy Belgijki brzydsze?

– Ano, brzydsze – mruknął Kaczmarek, niechętnie spuszczać oczy.

– Bo o Niemry nawet nie pytam – prychnął Dyrda.

– Ech, i dobrze... Bo i nie ma o kogo! – Biniu machnął ręką, jakby odpędzając jakąś uciążliwą muchę.

Na lica wystąpiły mu teraz rumieńce zawstydzenia. Taksował wzrokiem wszelkie nierówności stołu, więc nie widział, jak wielkie niebieskie oczy dziewczyny nazwiskiem Gładecka przyglądają mu się uważnie, nie bez jakiejś fascynacji. Barczysty, silny mężczyzna z zarostem i frontową historią przyciągał uwagę! Dość powiedzieć, że zaaferowana Juliette przysiadła się do wesołej kompanii, rzucając co chwilę ciekawskie spojrzenia w stronę Kaczmarka.

– To opowiedz coś o tych melkach z Francji – ciągnął tymczasem kolegę za język Antek Dyrda. – Miłe są? Czy to prawda, że nam, Polakom, życliwe?

Kaczmarek zawahał się nad odpowiedzią. Nieśmiało podniósł wzrok, a widząc wśród wpatrzonych w siebie oczu także te, na

85 Z gwary poznańskiej – Dokładnie tak!

86 Z gwary poznańskiej – Nie rób wstydu.

których mu szczególnie zależało, odpowiedział:

– Prawda. Tylko najpierw trzeba im dać do zrozumienia, że my nie Szkiebry.

– Tak? A to niby czemu? – rzucił ktoś z tyłu bez zastanowienia.

– Bo przecież w szwabskich mundurach tam paradujemy – uśmiechnął się szeroko Kaczmarek. Momentalnie poczuł się królem towarzystwa. – Ale trzeba przyznać, że Francuzki na naszą mowę wyczulone. Kiedy stacjonowaliśmy gdzieś pod Werdunem, w ramach zluzowania w jakimś majątku ziemskim, miejscowi od razu wiedzieli, że pół naszej kompanii mówi po polsku. I od razu do Polaków podchodzili inaczej. Raz nawet dwie gruszki od takiej jednej dziewczuszki dostałem. A jak się nasz feldwebel Greiser o owoce opomniał, to figę dostał...

– Ha, ha! No proszę! Sojusz francusko-polski kwitnie w najlepsze – podsumował Dyrda. – No to za ten sojusz!

Znowu popili piwa z Kobylegopola. Kaczmarkowi wreszcie zrobiło się tej nocy cieplej. Szybko rozgrzały go opowieści z bitewnych pól Belgii i Francji. Ale najwięcej ciepła dodawały mu dwa dołki w policzkach pięknej Juliette. Zauważył, że kiedy żartował, dołki nie znikają z jej twarzy nawet na moment.

XVI.

TOWARZYSZE, ZAPRASZAMY!

Warszawa, wczesnym rankiem 11 listopada 1918 r.

Wrócił na dworzec szczęśliwy w dwójnasób: raz, że ocalał życie – czym się jednak nikomu nie chwalił, a dwa, że w środku nocy na ulicy Wareckiej odnalazł pięknie śmierdzącą farbą drukarnię, w dodatku pracującą pełną parą. Umorusani drukarze byli zaskoczeni, widząc żołnierza w niemieckim płaszczu, ale słysząc poprawną polszczyznę, szybko dali się przekonać, że zlecenie jest ekstra, jak nigdy wcześniej. Jęczkowiak zadysponował druk afiszów zawiadamiających żołnierzy Polaków z Wielkopolski, Śląska i Prus o utworzeniu biura organizacyjnego wojska polskiego na Dworcu Głównym w Warszawie. Ogłoszenia wzywały Polaków, by stawiali się w biurze. Jęczkowiak zamówił pięćset afiszów. Miały być gotowe już następnego dnia.

Jako jeden z pierwszych w biurze na dworcu stawił się Józef Dunst, harcerz z Poznania. Był tak przejęty i rozentuzjasmowany, że sam podjął się prowadzenia ewidencji zgłaszających się ochotników. Miał co robić, bo ci ostatni zaczęli napływać w kolejnych dniach setkami. Po porozumieniu z pułkownikiem Kazimierzem Sosnkowskim, Jęczkowiak kierował ich do budynku Poczty Głównej przy placu Wareckim⁸⁷. Tam czekały na nich miejsca noclegowe i bony na wyżywienie honorowane w świetlicy Pałacu Staszica.

Jęczkowiak był teraz ciężko zapracowanym człowiekiem, ale pomiędzy obowiązkami docierały do niego coraz radośniejsze wieści: a to, że wywołana przez niego rewolucja rosła jak kula śniegowa, doprowadzając do powołania Rady Żołnierskiej, a to, że rada ta obradowała na Krakowskim Przedmieściu i podjęła

87 Dziś pl. Powstańców Warszawy.

pertraktacje z Piłsudskim. Od Chmielnika przyszła informacja, że jego grupa zajęła koszary na ulicy Ludnej. Od Mieloszyńskiego, że jego ludzie wraz z oddziałem milicji zajęli koszary na Mokotowie. Co rusz przez sale dworca przelatywały jak parowe ekspresy kolejne dobre lub bardzo dobre wieści, krzyżując się w uszach Jęczkowiaka: że żołnierze Polnische Wehrmacht obsadzili jakieś ważne gmachy w śródmieściu, że Dowborczycy na wyścigi z Legionistami zajęli kolejne strategicznie położone urzędy. Jęczkowiak z jednej strony czuł nieopisaną zazdrość, że nie może przy tym być – z drugiej jednak zadanie, którego się podjął, nie mogło leżeć odłogiem. To on miał przecież dostarczyć rodzącemu się polskiemu wojsku świeżych kadr.

Kilka razy jego myśli wracały do koszmarnych chwil na Chmielnej. Kim był tajemniczy zamachowiec? Czy chciał go zgładzić z powodu jego konspiracyjnej akcji? Odganiał te znaki zapytania natrętnie przypominające o sobie co jakiś czas. Napływające z miasta wiadomości skutecznie odpędzały wewnętrzny niepokój.

W samo południe na dworzec przybył łącznik od Komendanta. Przyniósł wieść o spotkaniu Piłsudskiego z delegatami Rady Żołnierskiej, do którego doszło na dziedzińcu Pałacu Namiestnikowskiego. Komendant zagwarantował niemieckim członkom Rady bezpieczeństwo i spokojną ewakuację. W zamian zażądał oddania strzeżonych dotychczas przez Niemców obiektów wojskowych i urzędów oraz złożenia broni. Zaraz potem Naczelną Komendę POW wydała rozkaz, by unikać wszelkich starć z żołnierzami niemieckimi i umożliwić im spokojny wyjazd do Niemiec. Polacy zaczęli obsadzać urzędy zwalniane przez ewakuujących się żołnierzy niemieckich.

Gdzieś około trzynastej na dworcu gruchnęła wieść, że dowództwo niemieckie podpisało we Francji warunki kapitulacji. Wojna dobiegła końca!

W dworcowej hali pofrunęły w górę czapki cywilów, ale też sporo czapek landszturmu z czerwonymi opaskami na otokach.

Przed oczami Jęczkowiaka w jednej chwili przesunął się widok frontowych pól, zrytych ostrzałem artylerii niczym gigantyczny

durszlak. Przypomniały mu się ciągłe manewry i odwroty, wstrzeliwanie się w pozycje francuskie i podejrzliwość niemieckich dowódców. Był szczęśliwy, że wszystko to bezpowrotnie minęło. Dopiero teraz dotarło do niego, że w tym samym momencie stracił łatkę dezertera.

Informacja o końcu wojny podcięła Niemcom nogi. Do wieczora Jęczkowiak wiedział, że oddali już część magazynów, obsadzonych natychmiast przez żołnierzy Polnische Wehrmacht i POW. Po mieście rozeszła się kolejna radosna wieść: o przeszło ośmuset karabinach maszynowych z amunicją przejętych w magazynach od Niemców. Miasto powoli, acz niepowstrzymanie przechodziło w polskie ręce. I tylko dobrze uzbrojony niemiecki pułk aspirantów oficerskich, który zabarykadował się na Cytadeli i nie chciał jej opuścić, mącił nieco powszechną euforię.

Następnego dnia w biurze Jęczkowiaka zjawił się niewysoki, nieco pękaty oficer w niemieckim mundurze. Czarny, zabawnie wyglądający wąsik i bystre spojrzenie znamionowały obrotnego dowódcę.

– Kapitan Stanisław Taczak – przedstawił się płynną polszczyzną. – Szukam możliwości przydziału w Wojsku Polskim.

– Sierżant Józef Jęczkowiak – trzasnął obcasami Jęczkowiak, przejmując samozwańczo od Karola Schroedera jego podoficerski stopień. – Pan kapitan pozwoli, że wyjaśnię, jak się sprawy mają.

– Bardzo proszę.

– Pan kapitan powinien niezwłocznie udać się na plac Saski. A ściślej rzecz biorąc: do Pałacu Saskiego. Według moich informacji tworzy się tam od wczoraj Sztab Generalny Wojska Polskiego...

– Doskonale! – Taczak z zadowolenia podkreślił palcami koniec wąsa. – Pozwolę sobie pochwalić was, sierżancie, za profesjonalną informację. Pan kolega z Warszawy?

Jęczkowiak uśmiechnął się skromnie.

– A gdzie tam! Z Poznania!

– A, to rozmawiam z krajanem! – ucieszył się kapitan i klepnął

chwacko Jęczkowiaka w plecy, aż zafurczało. – Od razu wiedziałem, z kim mam do czynienia! Swoją swoją wyczuje na kilometr! I co pan powiesz, Jęczkowiak? Trzeba by w końcu o Poznaniu pomyśleć, nieprawdaż? Wiem, że tam na nas czekają.

– Kiedy mówią, że Komendant Piłsudski...

– To głupoty, sierżancie! – zganił go błyskawicznie Taczak. – Znam Komendanta i mogę przysiąc, że nie zapomni o kolebce Polski.

– Tak jest – przytaknął wojskowo Jęczkowiak.

Prawdę mówiąc, nie wiedział, jak mógłby się inaczej odezwać.

– Zobaczycie, że my tam, w Poznaniu, też będziemy mieć swój listopad. Choćby i w grudniu albo styczniu, ale będziemy!

– Tak jest!

– Jeno trzeba działać, i to szybko! Bo się nam jeszcze Szkiebry do kupy pozbierają i wtedy będzie pod górkę!

Lotnisko w Ławicy pod Poznaniem, 11 listopada 1918 r., w południe

Rada Żołnierska świętowała koniec wojny od samego południa do późnej nocy. W ten jeden dzień puściła jakąkolwiek dyscyplina i tylko strażnicy przy bramach wjazdowych wypełniali swoje obowiązki. Wiadomość o kapitulacji cesarskich Niemiec wywołała powszechną euforię wśród szeregowych i podoficerów – i żałobę w korpusie oficerskim. Ten ostatni zamknął się na głucho w budynku kasyna, nie dając żadnego znaku życia. W jednej chwili Flieger Station całkowicie zamarła jako obiekt wojskowy. Stała się natomiast miejscem towarzyskich spotkań, śpiewów i częstowania się mocniejszymi trunkami. Piloci i mechanicy bratali się, wróżąc sobie rychły powrót do rodzinnych domów.

– Wiedziałem, że Niemcy padną – Pniewski puścił oko do Jacha, nalewając mu do kubka piwa zdobytego jakimś cudem w kantynie. – Wiedziałem to, odkąd do wojny włączyła się Ameryka. Powiadam ci, bracie: Stany Zjednoczone Ameryki to

uśpiony olbrzym, który przebudził się w najwłaściwszym momencie i przeważył szalę na korzyść ententy. To się musiało tak skończyć. Niemcy i tak wytrwali nadzwyczaj długo. Za długo...

Franciszek Jach rozejrzał się mimowolnie wokół. Chciał mieć pewność, że są w hangarze zupełnie sami.

– Co teraz robimy? – zapytał.

– A jak wygląda stan naszej organizacji?

Jach ściszył głos, właściwie odpowiedział szeptem.

– Mamy zwerbowanych pięciu pilotów, dwóch obserwatorów, trzydziestu dwóch mechaników i kilkudziesięciu pracowników obsługi technicznej – wyliczył skrupulatnie.

– Czyli jest nas około setki – podsumował bystro Pniewski. – No, to jesteśmy już naprawdę mocni, choć nadal w mniejszości.

– Co teraz?

– Spokojnie, Jach. Nie wykonujemy żadnych gwałtownych ruchów. Teraz jest dobry czas, żeby obrać taktykę tygrysa.

– Tygrysa? Nie rozumiem...

– E, to nic takiego. Po prostu wreszcie możemy przycziąć się do skoku.

– A kiedy...

– Kiedy będzie trzeba, panie kolego. Na pewno nie prędeż.

– Ale...

– Aleś ty, Franciszku w gorącej wodzie kąpany! Na miłość boską, wyhamuj, bardzo cię proszę! Tylko spokój, panie kolego. Spiesz nam się gdzieś, hę?

– Nie spiesz.

– Ano właśnie. Zapewniam cię, że trafi nam się jeszcze znacznie lepsza okazja niż dzisiejszy dzień. Musimy być tylko cierpliwi. Baaardzo cierpliwi...

**Znowu Warszawa, 11–12 listopada 1918 r.,
Dworzec Wiedeński**

Wesoły optymizm kapitana Taczaka udzielił się Jęczkowiakowi.

Gdy oficer pospieszył w stronę placu Saskiego, Jęczowiak popędził do drukarni, by wreszcie odebrać zamówione afisze. Drukarze spisali się nad wyraz dobrze. Jęczkowiak obdzielił afiszami swoich podwładnych i wysłał kilku z nich w stronę Kalisza, Łodzi, Siedlec i Białegostoku. Nakazał im rozwiesić plakaty na tamtejszych dworcach, by jeszcze zwiększyć strumień napływających do polskiego wojska.

Jakoż i strumień płynął do nich coraz szerszą strugą, która rychło przemieniła się w rwący potok. Już następnego dnia w dworcowym biurze zameldował się kolejny oficer z armii niemieckiej – podporucznik Antoni Chocieszyński, syn księgarza z Gniezna. Dowiedział się o biurze z afisza w Białymstoku – i nie wahał się ani chwili. Po krótkiej pogawędce Jęczkowiak skierował go również w ślady kapitana Taczaka.

Wątpliwości dopadły go znowu w wolnej chwili, gdy posilał się suchą bułką, spacerując po peronie dla rozprostowania nóg.

Czy policja znalazła już ciało Niemca w bramie? – zastanawiał się gorączkowo.

A może powinien zgłosić fakt napaści swoim przełożonym?

A jeśli to było coś ważnego?

A może jednak nie warto do tego wracać?

Zdecydował, że zostawi tę sprawę. W końcu został napadnięty i walczył o życie.

Spokój odnalazł w pracy. Żołnierze meldujący się w skromnym biurze sierżanta liczyli się już w setki. Jęczkowiak pracował bez wytchnienia, wystawiając im dokumenty i kierując ich do gmachu Poczty. Prędko usadowił się tam Chmielnik, który odbierał zwerbowanych. System funkcjonował coraz lepiej. Wojsko Polskie rozrastało się szybko.

Poznań, Stary Rynek, 13 listopada 1918 r.

Jesienne popołudnie było szare i ponure. Choć była środa, okna pobliskiego Domu Konfekcyjnego Rudolfa Petersdorffa „Pod Wielką Fabryką”, zwykle rozświetlone i pełne bogatej klienteli

poszukującej wyrafinowanych fraków, palt albo futer, tym razem zdawały się całkowicie ciemne i puste. Czas rewolucji nie sprzyjał interesom i zapobiegliwy właściciel wolał nie kusić losu.

Dla kilkudziesięciu mężczyzn w wojskowych płaszczach skrywających się za rogami ulic Woźnej i Wielkiej czas dłużył się w nieskończoność. Choć ich dowódcy kwadrans wcześniej weszli do sieni ratusza, nie mogli się doczekać sygnału od Hulewicza, Palucha, Wizy i Śniegockiego. W rękach ściskali nerwowo karabiny, pistolety i granaty. Wszystkie te argumenty miały przekonać obradujących w Sali Renesansowej członków Wydziału Wykonawczego Rady Żołnierskiej do podzielenia się władzą w Poznaniu z Polakami. Gdyby jednak Niemcy z rady postawili opór, młodzi konspiratorzy mieli uderzyć na ratusz.

Kaczmarek – choć miał za sobą niejedną poważny szturm pod ostrzałem artylerii – drżał z emocji. Znowu miał broń w rękach, znowu miał pójść do ataku – tym razem jednak sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Tym razem był żołnierzem polskim, choć jeszcze w niemieckim płaszczu. Tym razem atakował niemiecką władzę rewolucyjną.

– Musicie ich zastraszyć! – przemówił do nich krótko przed akcją podporucznik Mieczysław Paluch. – Muszą odczuć, kto tu trzyma władzę i kogo muszą słuchać!

Sprawnie otoczyli plac przed schodami ratusza, ale trzymali się na uboczu, u wylotów ulic. W oknach ratusza paliło się światło – znak, że obrady Rady Żołnierskiej trwały w najlepsze. Kaczmarek wiedział, że przewodzi im niejaki Twachtmann⁸⁸ z załogi Cytadeli. W Radzie działało już dwóch Polaków, ale nie mieli wpływu na decyzje Niemców. Paluch, Hulewicz i spółka mieli przekonać Twachtmanna, by dopuścił do komitetu wykonawczego czwórkę Polaków.

– Będzie dobrze – powiedział do Kaczmarka Kubiak. – Szkiebry to tchórze, zobaczysz, że odpuszczą...

– Obyś miał rację – mruknął Kaczmarek.

Niepokoili go przedłużająca się cisza. Czyżby Niemcy rozbroili

88 August Twachtmann – niemiecki socjalista, przewodniczący Rady Żołnierskiej powołanej 9 listopada 1918 r. na poznańskiej Cytadeli.

ich dowódców?

Czyżby cały plan spalił na panewce?

A może...

Nagle jedno z okien na piętrze otworzyło się. Żołnierze POW dostrzegli w nim znajomą sylwetkę druha Śniegockiego. Jego wysoko uniesiona ręka opadła gwałtownie.

Do ataku!

Huk wystrzałów oddanych w powietrze spłoszył z płyty rynku tabuny gołębi. Poderwały się i niczym sina chmura okrążyły spanikowane bryłę ratusza.

– Do ratusza! – rzucił do swoich kompanów Kaczmarek, sadząc wielkie susy przez kałuże w stronę schodów.

W pół minuty byli w środku.

Przebiegli przez niską sień, wytrącając broń z ręki kompletnie zdezorientowanego wartownika i po drewnianych schodach pognali w górę.

Na piętrze zatrzymali się, a Kubiak cisnął granat hukowy w sam róg korytarza.

Grrrruuuuch!

Siwy dym wtargnął do sali obrad, a wraz z nim kilkunastu wojaków z lufami karabinów wycelowanymi w stół prezydialny.

Siedzący za nim podoficer zbladł, jakby cała krew uciekła mu z twarzy.

– Towarzysze Polacy... – przemówił słabym głosem po niemiecku. – To nieporozumienie... Po co zaraz takie środki... Oczywiście, że dokooptujemy waszych przedstawicieli. To nie ulega żadnej kwestii!

Przez chmurę gryzącego dymu Kaczmarek dostrzegł potężną sylwetkę podporucznika Palucha.

– Zgłaszam siebie, Bohdana Hulewicza, Bronisława Śniegockiego i Zygmunta Wiżę! – grzmiał polski oficer w stronę stołu prezydialnego. – Żądamy natychmiastowego dołączenia naszej czwórki do grona Komitetu Wykonawczego! W Poznaniu to Polacy są gospodarzami i Rada Żołnierska powinna się z tym faktem liczyć!

– Tak jest, uznajemy ten fakt – przewodniczący obradom

Niemiec uśmiechnął się blado i wykonał szeroki, nieco nazbyt teatralny gest ręką. – Towarzysze Polacy, zapraszamy do stołu. Zapewniam, że to zwykle nieporozumienie... *Missverständniss!* Wszystkim nam zależy na zgodnej współpracy towarzyszy polskich i niemieckich. Pora kontynuować nasze obrady...

Palba na zewnątrz trwała jednak w najlepsze, więc Śniegocki raz jeszcze podszedł do okna i dał znak, by jego podwładni przerwali ogień.

Strzały umilkły jak ręką odjął. Blady jak prześcieradło Twachtmann wytarł twarz chustką i usiadł na swoim krześle.

Kaczmarek zobaczył w jego oczach strach.

Zrozumiał, że odnieśli pierwszy sukces.

Warszawa, plac Trzech Krzyży, 15 listopada 1918 r.

Młodych akademików była może setka. Ot, materiał na niezłą kompanię. Ochotnicy do Wojska Polskiego stawili się po cywilnemu, w białych czapkach uczelnianych i z niemieckimi, zdobycznymi mauzerami w dłoniach. Nie mieli pojęcia o broni, ale ich zapał mówił o nich najwięcej. Mimo przenikliwego zimna ciągnącego od strony Wisły stali karnie w szeregu, wpatrując się w ruchy chudego sierżanta o pewnych sobie ruchach frontowego weterana.

Młody dowódca poczynił sobie nadzwyczaj sprawnie, formując z nieopierzonych cywilów kolumnę czwórkową. I tylko zdziwienie żaków brało, że sierżantowi co rusz wymykały się komendy po niemiecku.

– Pewnie był tak szkolony – komentowali życzliwie między sobą.

Jęczkowiak przyglądał się im z sympatią. Wiedział, że każdy z nich porzucił zajęcia na uczelni i stawiał się na wezwanie, by w dwie, trzy godziny przeistoczyć się w żołnierza. Tylko tyle czasu miał dla nich Jęczkowiak, by choć wstępnie przysposobić ich do służby na wartach i zluzowania starszych kolegów. Został poproszony przez dowództwo o odbycie z cywilami instrukcji

karabinu i krótkiego ćwiczenia. Najważniejsze, by nauczyli się chwytów, karabinu i strzelania. Jęczkowiak był pewny, że z resztą sobie poradzą.

– *Achtung!*⁸⁹ – krzyknął z przyzwyczajenia. – W prawo zwrot! Naprzód marsz!

W miarę równe szeregi białych czapek wykonały pokornie zwrot i ruszyły za Jęczkowiakiem. Słyszał ich miarowy krok – i serce w nim rosło. Wiedział, że w ładownicach mieli raptem po kilka naboji – ślepeków i ostrych. I to wzruszało go jeszcze mocniej. Czuł, że właśnie dzieje się coś, o czym marzył ponad tysiąc kilometrów stąd, gdzieś pod Soissons, pod wrogim ostrzałem i we wrogich szeregach. Marzył o takiej chwili, gdy stanie na czele polskiego oddziału i poprowadzi go na ćwiczenia – ale już dla własnej Ojczyzny. Ta chwila właśnie nadeszła.

Poprowadził ich na most Poniatowskiego. Wysadzony trzy lata wcześniej przez wycofujących się Rosjan, wyglądał jak gigantyczna, spiętrzona taśma drogi, spękanej na dwóch uszkodzonych filarach. Blisko brzegu pochyłość była nieznaczna, a ruchu nie było żadnego. Jęczkowiak poprowadził ich na fragment jezdni u nasady mostu i pokazał, jak wykonuje się zwroty w marszu i w miejscu. A także – jak się tworzy dwuszereg. Po podstawach musztry przeciwczył z rekrutami chwytów karabinowe:

- Na ramię broń!
- Na pas!
- Do nogi broń!

Młodzi w białych czapkach wykonywali dyspozycje z fantastyczną karnością. W kwadrans pojęli, w czym rzecz, i Jęczkowiak mógł przystąpić do instrukcji karabinu. Pokazał główne części mauzera, sposób jego ładowania, zabezpieczania i rozładowywania. Dla pewności nakazał im powtórzyć te czynności kilkakrotnie z użyciem ślepeków. Dopiero gdy miał pewność, że nie są już zupełnie zieloni, pozwolił im oddać w górę po dwa strzały ślepyimi nabojami, a na koniec – po strzale nabojem ostrym.

⁸⁹ Z niem. – Baczność!

– Uwaga! Karabin może kopnąć! – ostrzegł przed palbą.

Po pierwszej salwie gruchnął śmiech. Kilku akademików nie dość mocno trzymało kolby na ramieniu i mocno odczuli oni uderzenie. Podnosili się z wesołymi minami z bruku, gotowi zaraz się poprawić.

Echo poniosło ich kolejne wystrzały daleko w dół Wisły. Tak prosto, bez fanfar rodził się 36 Pułk Piechoty Legii Akademickiej.

XVII.

TRZEBA BĘDZIE WALCZYĆ

Lotnisko w Ławicy pod Poznaniem, 15 listopada 1918 r.

Takiego obrotu sprawy się nie spodziewali. Zarządzona w trybie nagłym demobilizacja zaskoczyła ich pomiędzy śniadaniem a obiadem, gdy zgodnie z rozkładem codziennej służby sprawdzali stan techniczny maszyn schowanych od jedenastego listopada w hangarach. Wezwano ich na plac apelowy, przynaglając co bardziej opornych gwizdkami. Pierwsza euforia zrewoltowanej braci po wiadomości o kapitulacji dawno już minęła i korpus oficerski z wolna zaczął odzyskiwać posłuch w szeregach. Nawet Rada Żołnierska, formalnie zarządzająca od jakiegoś czasu lotniskiem, pohamowała pokusę całkowitej anarchii, coraz częściej idąc na rękę oficerom.

Gdy stali już w równych szeregach, wpatrując się w od dawna niewidzianego kapitana Fischera, Franciszek Jach po raz pierwszy poczuł niepokój. Nie tak to miało wyglądać! Mieli się przyczaić, przeczekać – i uderzyć. Wtedy gdy Niemcy zupełnie tego nie będą się spodziewali. A tu masz! Apel i ostry rygor! Czyżby Szkiebry połapały się, co się święci?

– Spocznij! – kapitan Fischer powiódł czujnym spojrzeniem po głowach pilotów, jakby szacując, na ile są jeszcze lojalni wobec niego i Niemiec, choćby i przestały one być cesarstwem. – Uwaga! Z najwyższego dowództwa w Berlinie otrzymałem dziś rozkaz przeprowadzenia częściowej demobilizacji. Jak wicie, wojna została zakończona. Warunki pokoju zostaną zapewne uzgodnione podczas międzynarodowej konferencji. Naszym zadaniem pozostaje zakończenie służby niektórych z was i odesłanie do cywila. Mimo zwolnienia pozostawać będziecie

w gotowości, by stawić się z powrotem na lotnisku na każdy rozkaz dowództwa!

Piloci w stalowoszarych kombinezonach i mundurach spoglądali po sobie nieprzekonani. Coś w przemowie kapitana trąciło fałszem, brzmiało nieszczerze. Jakby nie wszystko chciał im powiedzieć albo nie wszystko teraz.

– Zgodnie z rozkazem naczelnego dowództwa, w pierwszej kolejności do rezerwy zwolnieni zostaną piloci i pracownicy obsługi naziemnej narodowości polskiej – dowódca najwyraźniej postanowił nie trzymać ich dłużej w niepewności. – Jeszcze dzisiaj Polacy stawią się do odprawy w magazynie lotniska. Wszelka zwłoka będzie surowo karana...

Jach wymienił szybkie spojrzenia z Pniewskim. Mimo dzielącej ich odległości, rozumieli się bez słów. Niemcy musieli dowiedzieć się o tajnej organizacji. Albo zostali ostrzeżeni i dmuchali teraz na zimne. Tak czy owak, wzięli sprawy w swoje ręce, decydując się pozbyć Polaków z szeregów. Prosty i skuteczny zabieg! W ten sposób jednym rozkazem wydalali poza lotnisko kielkujące w ich bazie zagrożenie. Nie ulegało kwestii, że wiedzą, co robią.

– Dla nas służba w Deutsche Luftstreitkräfte właśnie się skończyła – szepnął Jach do kolegi mechanika z drugiego szeregu. – Wracamy do domu, stary.

Było mu żal, że musi porzucić tak obiecująco rosnącą konspirację, koniec służby w niemieckim lotnictwie jednak go zmartwił. Jeszcze tydzień temu wprost szalałby ze szczęścia, gdyby otrzymał rozkaz demobilizacji. Teraz gdzieś w głębi ducha czuł niedosyt.

Z prawej flanki jego twarz obserwował wnikliwie leutnant Pohl. Niemiec chyba wychwycił zakłopotanie, które odmalowało się na policzkach „Frantza”. Na jego twarzy wykwitł bowiem uśmiech zadowolenia. Najwyraźniej wyczuwał, że Jach nie wie, co z sobą począć.

Poznań, pensjonat sióstr Goetzendorf-Grabowskich przy placu Wilhelmowskim, 16 listopada 1918 r.

W przytulnym, acz niedużym pensjonacie jeszcze nigdy nie pojawiło się tylu mężczyzn jednocześnie. Tłoczyli się w niedużych pokojach z oknami na plac Wilhelmowski użyczonych przez właścicielki. Na biurkach i stołach stały telefony oraz leżały arkusze map. W powietrzu wisiał gęsty dym z papierosów. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę z tego, że obserwują właśnie początki tajnego sztabu, który organizował na gwałt podporucznik Mieczysław Paluch do spółki z porucznikiem Bohdanem Hulewiczem. Dołączył do nich porucznik Władysław Wyskota-Zakrzewski, doświadczony sztabowiec, sprawdzony już w Wielkiej Wojnie zarówno na froncie wschodnim, jak i zachodnim.

Kaczmarek, który zameldował się w „sztabie Palucha” – jak skrótowo mówiono w szeregach POW o lokalu na placu Wilhelmowskim – usłyszał niedawno całkiem wiarygodne pogłoski, że Paluch ma kontakt z Warszawą, a konkretnie ze Sztabem Generalnym Wojska Polskiego. Opromieniony sukcesem zamachu na ratusz, Paluch wyrastał z wolna na przywódcę spiskowców. Kaczmarek był szczęśliwy: z racji służby w oddziale bezpośrednio podlegającym Hulewiczowi miał też bliski kontakt z postawnym oficerem trzymającym w swoich rękach wszystkie nici przygotowań.

Stał teraz pokornie w antrejce⁹⁰, czekając na możliwość zameldowania się, a jednocześnie z lubością obserwując, jak ten mężczyzna, mocno już po trzydziestce, z wysokim czołem z zakolami i podkrążonymi ze zmęczenia oczami, wydaje rozkazy i rozdziela zadania. Kaczmarek wiedział o Paluchu, że był artylerzystą, a wśród polskich towarzyszy broni zasłynął jako doskonały mówca. Latem tego roku nie wrócił z urlopu na front – zabrał się za robotę konspiracyjną. Do Poznania przyjechał jako

90 Z gwary poznańskiej – przedpokój.

Polochowski – i pod takim nazwiskiem poznał go Kaczmarek. Wśród peowiaków nie było tajemnicą, że tandem Polochowski – Hulewicz sposobi się do akcji zbrojnej. I choć psioczyli na nich poznańscy politycy z dopiero co ujawnionej Naczelnej Rady Ludowej, którym ani w głowie były takie „głupoty”, dla peowiaków jedyną niewiadomą pozostawał tylko termin przyszłego powstania. W końcu po to nawiązano łączność z Warszawą – i po to pojechał tam Józek Jęczkowiak.

Paluch vel Polochowski dyskutował właśnie o czymś zażarcie z porucznikiem Wyskotą-Zakrzewskim, znanym Kaczmarkowi z widzenia. Spór był ostry, bo na twarzy dowódcy wykwitły rumieńce. Kaczmarek wy tężył słuch...

– Bez opanowania Cytadeli oraz pierścienia fortów, a także bez zajęcia koszar i dowództwa V Korpusu Armijnego⁹¹ nie ma mowy o żadnym sukcesie – perorował Wyskota-Zakrzewski. – Cytadela góruje nad miastem i w razie potrzeby może ostrzelać całe śródmieście. Nie możemy do tego dopuścić. Trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby zająć ją bez walki...

– Masz rację, Władku, ale na wszystko przyjdzie czas – przytaknął mu Paluch. – Na razie ważniejsze są bardziej prozaiczne sprawy. Na przykład niemiecka łączność. Musimy znać ich system łączności cywilnej i wojskowej. Chcę zlecić to zadanie Kaziowi Karwatce, znasz go? To wybitny specjalista od łączności wojskowej, na pewno da sobie radę. Muszę go tylko odnaleźć, podobno już jest w Poznaniu... W ogóle musimy w końcu zarejestrować wszystkich podoficerów i oficerów, którymi dysponujemy albo możemy dysponować, bo w nasze szeregi zaczyna się już wkradać chaos. Musimy precyzyjnie wiedzieć, na kogo możemy liczyć. Musimy wiedzieć, ile mamy broni, gdzie ją mamy, w których magazynach. Ile mamy koni, ile automobili... To są teraz najważniejsze sprawy. Na zdobywanie Cytadeli przyjdzie jeszcze pora...

– A co z bronią?

– No właśnie! Czas najwyższy gromadzić ją i tworzyć nowe

91 Chodzi o nieistniejący już gmach dowództwa V Korpusu Armijnego przy ul. Solnej.

oddziały. Tylko trzeba to robić ostrożnie, z wyczuciem. Chytrze, a nie na rympał, na miłość boską, bo się Szkiebry zorientują, co im szykujemy! No właśnie, nie można działać bez głowy! A tu mi właśnie donoszą, że ten szplin⁹² Staszek Nogaj ze swoimi bojówkami zaatakował i zajął z zaskoczenia Fort IX! Ja rozumiem, że on zdobył w ten sposób sporo broni, ale jakie będą tego skutki? Przecież Szwabów trafi szlag! Czy on nie był w stanie tego przewidzieć?

– Cóż, Nogaj był zawsze w gorącej wodzie kąpany – chrząknął znacząco Wyskota-Zakrzewski.

Najwidoczniej nie chciał powiedzieć nic gorszego.

– No właśnie! Więc będą kłopoty! – Paluch potargał dłonią włosy, a potem nagle jakby przypomniał sobie o Kaczmarku.

– Ty z meldunkiem od Nogaja? – zagadnął łącznika stojącego grzecznie w korytarzu.

– Tak jest, panie poruczniku – Kaczmarek strzelił obcasami i zasalutował zgodnie z niemieckim regulaminem (bo innego jeszcze nie było). – Godzinę temu kompania Niemców przypuściła kontratak i po bardzo zaciętym boju odbiła fort...

– Cholera jassssna! – Paluch walnął ze złością pięścią w biurko. – Jeszcze nam tego brakowało! Przecież Szkiebry natychmiast wyślą telegrafem wiadomość do Berlina! Natychmiast! Jeszcze nam tu przyślą ekspedycję karną! Jakby mało było tego, że na Jeżyce wróci lada moment 6 Pułk Grenadierów! Co z naszymi?! Gadaj! Co z tym polatanym Nogajem?!

Kaczmarek, który dopiero w tym momencie pojął groźbę sytuacji, z wrażenia przełknął ślinę.

– Melduję posłusznie, że wraz z towarzyszami zostali wzięci w niewolę i pobici do nieprzytomności...

– Matko Boska! – syknął porucznik.

– Szkiebry trzymają ich w areszcie. Ponoć szykują sąd wojenny, bo Nogaj zaatakował regularną armię... – dokończył na wydechu Kaczmarek.

– No tak, jeszcze ich rozstrzelają, zanim dojdzie do powstania! – warknął Paluch vel Polochowski. – Kiedy będą potrzebni,

92 Z gwary poznańskiej – wariat, polataniec.

spoczywać już będą w grobach. Szpliny! Waryjoty jedne!

Choć z emocji zaciskał pięści, w postawie pozostał chłodny, opanowany. Zapatrzony gdzieś w sufit, na gorąco obmyślał wyjście z sytuacji. Był niewątpliwie specjalistą od sytuacji nadzwyczajnych, z zimną głową i jasną myślą.

– Słuchaj mnie – zwrócił się szybko do Kaczmarka. – Pędź do Śniegockiego i Wizy, niech uruchomią natychmiast Radę Żołnierską i tego ich lidera, Twachtmanna. Sprawę trzeba przedstawić jako nieporozumienie. Missverständnis, rozumiemy się? Nasi zaatakowali przez pomyłkę, głupotę. Nie chcieli nic złego. Niemców trzeba przeprosić. Pokajać się. A temu Nogajowi to już osobiście skórę wygarbuję! Niech go tylko wypuszczą, waryjota! Staszek kompletnie oszalał! Porywać się na forty! Już teraz! W listopadzie! Już ja mu wygarbuję skórę...

– Tak jest! – przytaknął ochoczo Kaczmarek. – *Zum Befehl!*⁹³ To znaczy, chciałem powiedzieć... – zawstydził się niemal natychmiast.

– *Ja, ja! Alles klar, Soldat!* – uśmiechnął się wyrozumiale Paluch.
– Tylko migiem! Trzeba działać natychmiast. *Sofort!*

Warszawa, dzień później, 17 listopada 1918 r., okolice placu Zbawiciela

W sali przy ulicy Nowowiejskiej było duszno. Nic dziwnego, skoro wypełniło ją kilkuset chłopów w mundurach wszelkich możliwych formacji. Najwięcej było peowiaków, ale nie brakowało legionistów, a także mężczyzn w mundurach Polnische Wehrmacht. Jęczkowiak chodził wśród nich jak natchniony, ciesząc oczy widokiem polskiego wojska. I choć mundury były różnokolorowe i niejednolite, widok ten napełniał go dumą. W tym żołnierskim tłumie czuło się siłę, z którą można dokonać wszystkiego. Nie czuł jej pół roku wcześniej, w niemieckim mundurze na przedpolach Laon, choć tam uniformy i uzbrojenie oddziałów stało na bez porównania

93 Z niem. – Na rozkaz!

wyższym poziomie. Czuł ją teraz, choć towarzyszy broni trudno by jeszcze było nazwać jednolitym Wojskiem Polskim. Wszystkich ich jednak łączyło jedno: przybyli tu z Poznańskiego. I musieli teraz podjąć dwie ważne decyzje.

Pierwsza – o udziale w dzisiejszym pochodzie ulicami Warszawy z okazji odzyskania wolności – przeszła bez dyskusji. Druga była jednak znacznie trudniejsza. Przez biuro werbunkowe przewinęło się już kilkuset poznaniaków i Sztab Generalny Wojska Polskiego naciskał, by zdecydować, jak ich rozdysponować. Jęczkowiak opowiadał się za stworzeniem w Warszawie doborowego pułku poznańskiego, złożonego z wiarusów frontu zachodniego. Taka doświadczona jednostka mogłaby w razie potrzeby stawić czoła niemieckiej załodze Cytadeli, gdyby ta spróbowała zdusić polską wolność w śródmieściu.

Sztabowcom z Pałacu Saskiego bardziej odpowiadała jednak inna droga: opowiadali się za rozdzieleniem doświadczonych poznaniaków w charakterze instruktorów po tworzonych właśnie jednostkach. Sztab kusił błyskawicznymi awansami na kaprali, a nawet wyżej. Kapitan Stanisław Taczak, najstarszy stopniem poznańczyk, podjął decyzję, że trzeba się podporządkować sztabowi. Ale jego wybór nie spodobał się wszystkim. Właśnie przyszli, by zaprotestować.

– Nie tylko Poznańskie, ale też Śląsk i Pomorze są ciągle w rękach niemieckich! – krzyczał z końca sali jakiś nieznany Jęczkowiakowi sierżant. – My tu w Warszawie będziemy bawić się w wojsko, a nasi bracia i siostry pozostaną w granicach Niemiec?! Niedorzeczność! Trzeba wracać, wiara! W Poznaniu bardziej potrzebni jesteście!

– Dobrze prawi! Tu już wolność mają, ale w Poznaniu ciągle Szkiebry rządzą! Nie możemy tak tego zostawić! – wtórował mu basem szeroki w plecach mężczyzna w mundurze POW.

– Warszawiakom już pomogliśmy, teraz kolej na braci naszych poznaniaków!

– Nic tu po nas! Wojsko Polskie tera w Wielkopolsce zrobimy!

– Nawet i bez Piłsudskiego, jak nie będzie chciał pomóc!

Jęczkowiak obserwował narastający sprzeciw. Nie był to jeszcze bunt, ale niewątpliwie rozkaz kapitana Taczaka rozsierdził poznańczyków w Warszawie. Józef doskonale rozumiał żołnierzy stłoczonych na sali. Sam coraz częściej myślał o powrocie do Poznania. Do matki i braci. Do przyjaciół z organizacji. Stoczona niedawno nocą walka o życie z tajemniczym zamachowcem uświadomiła mu jedno: w Warszawie wcale nie jest bezpieczny. A przecież i jemu zależało, by Poznań również odetchnął wolną pierśią.

Na podwyższenie wszedł kapitan Taczak. Jęczkowiak nie dostrzegł na jego twarzy śladów zmieszania czy zakłopotania. Taczak musiał spodziewać się takich reakcji.

– Żołnierze! – kapitan uniósł obie dłonie, skutecznie tłumiąc wszelkie pomruki niezadowolenia. – Byłbym szczęśliwy, gdybyście posłuchali mojej rekomendacji i wzmocnili swoim doświadczeniem oraz mądrością tworzące się intensywnie Wojsko Polskie. Wszelako jako syn ziemi wielkopolskiej rozumiem wasze obiekcje. Co więcej, broniłem waszego stanowiska w dyskusji ze Sztabem Generalnym. I wybroniłem je. Rozumiemy waszą sytuację! Chcę oświadczyć, że Sztab Generalny Wojska Polskiego uszanuje wasze decyzje i nie będzie wam robił żadnych trudności w powrocie w rodzinne strony. W nadziei, że i tak niebawem połączymy się w jednej ojczyźnie...

Okrzyki radości zagłuszyły dalsze słowa oficera. Jęczkowiak widział, jak kilku żołnierzy poderwało się z krzesel i podbiegło do kapitana, ściskając się z nim mimo różnicy szarż.

– To były mądre słowa – powiedział do Chmielnika. – A ty, Wacek, co? Zostajesz czy wracasz do Poznania?

Towarzysz z warszawskiej konspiracji łypnął na Jęczkowiaka przyjaźnie.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział spokojnie. – Kiedyś wrócę na pewno.

– Ja też – zapewnił go Jęczkowiak. – Najpierw jednak muszę zbadać sytuację na granicy w Kaliszu.

Poznań, restauracja „Bawaria” przy placu Wilhelmowskim 5, koniec listopada 1918 r.

Z dopiero co wypłaconym żołdem stać go było na dobry obiad w niezłej śródmiejskiej restauracji, słynnej z pieczonej szynki czy prosięcia z różną. I to nawet mimo drożyzny wywołanej wojenną biedą z zaopatrzeniem. W „Bawarii” podawali naprawdę dobre piwo z Monachium, ale Jach postanowił, że tym razem zamówi coś polskiego. Dlatego uradował się, gdy w karcie dostrzegł zraziki krakowskie, flaki, kołduny, a nawet bigos myśliwski. Podziwiał aprowizacyjne zdolności właściciela lokalu w tych trudnych czasach. Był głodny, więc zażyczył sobie zrazików i bigosu. Kelner skłonił się w pół i pospieszył do kuchni, by zrealizować zamówienie. A Franciszek Jach, od niespełna dwóch tygodni w cywilu, miał czas i okazję, by przyjrzeć się klienteli tego cenionego lokalu.

Pora była wybitnie obiadowa, kwadrans po czternastej, ale jak na tę godzinę, sala restauracyjna nie była przesadnie wypełniona. Pod oknem, dającym wgląd w szary o tej porze roku plac Wilhelmowski, siedziało starsze małżeństwo, w milczeniu spożywając kiełbaski z papryką i ziemniakami. Bliżej Jacha, przy największym stole położonym centralnie, kończyło właśnie zupełnych trzech dżentelmenów. Dwóch z nich, nieco starszych od Jacha, miało na sobie – na pierwszy rzut oka drogie – surduty mogące sugerować, że są lub jeszcze niedawno byli oficerami armii. Trzeci, zdecydowanie najstarszy w tym towarzystwie, czego dowodem była okazała łysina, przywdział na tę okoliczność nieco znoszony, ale wciąż elegancki żakiet. Ten element stroju przywodził na myśl człowieka sztuki lub polityka. Tę ostatnią hipotezę uprawdopodobniał monokl w srebrnej oprawce zdobiący lewe oko jegomościa. Trójka mężczyzn w odróżnieniu od pary pod oknem dyskutowała dość żywo po polsku.

– Wygląda na to, że kochana ententa o nas zapomniała – obruszył się jeden z „oficerów” w surducie. Słowo „kochana” wypowiedział z szyderczym przekąsem.

– Nie byłby to pierwszy taki przypadek w naszych dziejach –

prychnął jego towarzysza. – A przecież powinni być żywotnie zainteresowani jak największym osłabieniem Niemiec, nieprawdaż?

Najstarszy ze współbiesiadników, cechujący się największym dostojeństwem, obtarł chustą usta i wykrzywił twarz w pesymistycznym grymasie.

– Koledzy „żabojady” pewnie tak, ale nad Tamizą już kalkulują, jak tu zrobić, by Francuzi za bardzo nie urosli. Stara tradycja balansu europejskiego, moi panowie! Dlatego żaden George czy William nie pozwoli zanadto osłabić Hansa, a już na pewno sprzeciwiąć się będzie jakiegokolwiek amputacji choćby fragmentu Niemiec. Dla nich odebrać Niemcom Gdańsk, Pomorze czy Poznańskie to zwyczajna fanaberia. Musicie mieć to, panowie, na uwadze. W polityce europejskiej zawsze pierwsze skrzypce grały interesy, nie sentymeny. Nie inaczej jest i tym razem.

– To rozumiałe, wuju – przytaknął „politykowi” ten, który zapytał go o osłabienie Rzeszy. – Tym niemniej Anglicy popełniliby niewybaczalny błąd, nie wyzyskując należycie sytuacji, jaka powstała na kontynencie w wyniku największej klęski Niemiec w dziejach. Przecież doduszenie Rzeszy gwarantowałoby im spokój na co najmniej pół wieku!

Tytułowany wujem mężczyzna poprawił monokl w oku i uśmiechnął się wyrozumiale.

– Ech, wy młodzi! – machnął teatralnie ręką. – Ja was nawet rozumiem! Nie powinniście jednak ulegać złudzeniom. O porządku europejskim zdecydują zwycięskie mocarstwa. To one wyznaczą granice i ustalą nowe reguły gry. Musimy ufać, że nasi przedstawiciele w Paryżu, osobliwie pan Dmowski, dostarczą wystarczająco wiele argumentów politykom ententy, by ci uznali za uzasadnione, a nawet za wskazane, by zwrócić Poznańskie, Śląsk i Pomorze naszej odradzającej się ojczyźnie...

Na chwilę zamilkli, bo do ich stolika podeszli trzej kelnerzy, stawiając na białym obrusie talerze z parującymi golonkami i przyprawami. Boski zapach mięsa spowodował, że Jach stał się jeszcze bardziej głodny. Gdy kelnerzy skłonili się i odeszli, mężczyzna w żakiecie zagłębił swój widelec i nóż w tłustym

mięsie, kontynuując przerwany wątek:

– Dlatego my wszyscy w Naczelnej Radzie Ludowej uważamy, że trzeba działać mądrze i roztropnie. Bez żadnych zbędnych awantur w rodzaju tych ulicznych ruchawek, które wywołują ci młodzi, niebezpiecznie podnieceni bojówkarze, zapewne podwiązani pod Piłsudskiego i Warszawę! Po co drażnić Niemców? Po co prowokować los? Oni nawet po przegranej wojnie są wystarczająco silni, by nas zdławić czy zdusić. Przecież ich pułki właśnie wracają z frontu zachodniego do koszar w Poznaniu czy Gnieźnie. Co im przeciwstawimy? Garstkę młodzieży z karabinami i granatami? Przecież my nawet nie mamy dowódców...

Uwagi Jacha nie uszło, że w tym momencie jeden z młodszych słuchaczy wuja znacząco się uśmiechnął. Zupełnie, jakby chciał zaprzeczyć – nie zrobił tego jednak.

– ...i dlatego ciągle, do znudzenia będziemy powtarzać: pertraktacje, a nie ruchawka! Negocjacje, a nie przemoc! Już w tym szanownego pana Romana Dmowskiego i jego Komitetu Narodowego Polskiego głowa, by podczas konferencji pokojowej w Paryżu upomnieć się o polską granicę zachodnią! – zakończył swój wywód mężczyzna, trafnie rozszyfrowany przez Franciszka Jacha jako polityk.

– Ależ wuju! – oburzyli się niemal równocześnie jego słuchacze. – Naprawdę chcecie czekać na konferencję pokojową? A kiedy ona będzie? Za pół roku, może za rok!

– Niemcy się w tym czasie podniosą jak bokser po ciosie, otrzepią i otrząsną! – przekrzykiwali się teraz, niepokodzeni z wykładnią najstarszego. – Ani patrzeć, jak znowu chwycą nas w Poznaniu żelazną ręką! Już koncentrują się w koszarach! Już wzmogli czujność na lotnisku, odsyłając Polaków do cywila!

– Wuju, tu nie ma na co czekać! Przez tę waszą ślepą wiarę we Francuzów przegapicie najlepszy moment, by wygonić wreszcie Prusaków! Czy wy, w tej swojej Radzie, naprawdę tego nie widzicie?!

Polityk wyglądał na szczerze zakłopotanego. Na policzki wypłynęła mu purpura świadcząca o żywych emocjach.

W uniesieniu odrzucił sztućce na obrus i spojrzał na swoich rozmówców krytycznym wzrokiem.

– Panowie! – zgromił ich podniesionym tonem. – To szaleństwo! Nie można jednym nierozważnym ruchem przekreślić przyszłości całego pokolenia! Ba, całej naszej dzielnicy! Niemcy są już pokonane, trawi je rewolucja, tylko patrzeć, jak ostatecznie upadną. Ale póki nie upadły, mogą jeszcze nas zranić. Śmiertelnie zranić! Czekać! To najmądrzejsze, co teraz możemy zrobić. I wspierać Francuzów, by przeforsowali wielkie cięcie Niemiec na wschodzie! Clemenceau⁹⁴ nie będzie miał w tym względzie żadnych oporów, zapewniam was...

– A ja ci mówię, wuju, że trzeba będzie walczyć. Żadna inna droga nie da nam tego, czego chcemy. A jak będziecie zwlekać z decyzją, ruszymy do walki za późno. A wtedy to wy, politycy, będziecie winni klęski!

– Witoldzie! – syknął członek Rady. – Na miłość boską! Nie dawajcie posłuchu tym wszystkim Paluchom i Hulewiczom! Ich podszepty to prosta droga do kolejnej katastrofy. Mało było krwawych, a nieudanych powstań w naszej historii? Mało to młodych synów naszej ziemi zginęło zupełnie bez sensu na frontach Wielkiej Wojny? Roz-wa-ga! Powtarzam: roz-wa-ga! Nie wysadza się w powietrze mostu, gdy jest już niemal gotowy!

– Czasem lepiej wysadzić, by zbudować lepszy!

Trójka mężczyzn zaperzyła się tak mocno w dyskusji, że dopiero w tej chwili zorientowała się, iż gwałtownej sprzeczce mimowolnie przysłuchuje się znad bigosu młody mężczyzna. Jach napotkał zaciekawione, a jednocześnie bardzo podejrzliwe spojrzenia.

– Najmocniej przepraszam, trudno było nie usłyszeć... – spróbował się wytłumaczyć, czerwieniąc się jak indyk.

– A pan? Co pan o tym wszystkim sądzi? – mężczyzna zwany przez młodszych wujem poszukał w nim niespodziewanie sojusznika.

94 Georges Clemenceau – premier Francji w latach 1917–1920. Współtwórca traktatu wersalskiego, uchodził za sprzymierzeńca spraw polskich.

Jach westchnął, niezbyt szczęśliwy z roli arbitra, którą obdarzył go los.

– Ja myślę, że pańscy rozmówcy mają rację.

XVIII.

CO TU SIĘ ŚWIĘCI?

Kalisz, w końcu listopada 1918 r., wieczorem

Podróż koleją do Kalisza przebiegła w miarę spokojnie. Na mijanych stacjach widział wagony z wycofywanymi ze wschodu na mocy porozumienia z Piłsudskim oddziałami niemieckimi, ale straż na peronach pełnili już polowiaczy. To oni dbali o porządek i sprawiali wrażenie gospodarzy terenu. Na wiatkach powiewały biało-czerwone flagi, co bez dwóch zdań dawało Niemcom do zrozumienia, że nie są już u siebie. Mimo panującego zimna każdy taki obrazek ogrzewał serce Jęczkowiaka. Żeby tak jeszcze u nas, w Wielkopolsce... – wzdychał.

Jego misja była prosta: miał sprawdzić, czy i jak Niemcy pilnują granicy z Kongresówką. I czy potajemne przerzucenie ewentualnych zbrojnych oddziałów do Poznańskiego jest możliwe. Zadanie było tajne; oficjalnie jechał zwizytować patrol POW.

Na peronie kaliskiego dworca przywitał go pierwszy przymrozek. Podkłady kolejowe i płyty peronu skrzyły się cienką warstwą lodu. Wyskakując z wagonu, omal nie przewrócił się na śliskiej nawierzchni. Choć wolność trwała tu niespełna dwa tygodnie, miejscowi kolejarze zdążyli już przemalować niemiecką tablicę na polską wersję nazwy miasta. Na warcie stali przy niej dwaj młodzi polowiaczy z mauzerami na ramionach, przejęci swoją nową rolą. To do nich skierował pierwsze kroki.

Na widok sierżanta w ponemieckim mundurze, w pierwszym odruchu poruszyli się niespokojnie. Biało-czerwona opaska na ramieniu Jęczkowiaka, a także widoczny z dala orzełek z blaszki na czapce momentalnie ich uspokoiły.

– Czuwaj! – zagadnął do nich po skautowemu. – Sierżant Józef

Jęczkowiak z Warszawy. Gdzie znajdę komendanta dworca?

Obrzucili go uważnymi spojrzeniami, jakby szacując, czy mówi poważnie.

– Komendant urzęduje w dyżurce od strony placu powozowego
– wyjaśnił wyższy z nich, z sumiastym wąsem pod nosem. –
Musicie się okazać przy wejściu, panie sierżancie...

– Jasne. Dziękuję! – rzucił w ich stronę i ruszył wzdłuż peronu.

Po lewej ręce miał niski, parterowy budynek dworca. Szybko dotarł do krawędzi peronu i skręcił w lewo, ku wejściu do hali. Przy uchylnych drzwiach pod wieżyczką zatrzymali go dwaj kolejni wartownicy. Pokazał im swoje papiery i został wpuszczony do środka.

W pokoju po prawej, za starym kolejarskim biurkiem zarzuconym rozkładami jazdy siedział siwy mężczyzna pod pięćdziesiątkę. Na widok Jęczkowiaka poderwał się z krzesła.

– A, to wy mieliście przyjechać – uspokoił się, gdy Jęczkowiak przedstawił się sprawnie. – Jan Głowacki, komendant. Pytajcie o wszystko, sierżancie. Jak sami widzicie, Niemców już prawie u nas nie ma. Przejeżdżają tędy tylko w transportach do Reichu. I oby tak już pozostało, jak Boga kocham...

– Oby! – zgodził się Jęczkowiak.

Kątem oka zerknął na wiszący na ścianie zegar. Minęła dwudziesta trzecia, po czterech godzinach podróży był wykończony.

– Dziś już nic nie zrobię, komendancie – powiedział. – Za późno. Gdyby mógł mi pan pomóc i wskazać jakąś kwaterę na noc...

Siwy szef stacji podrapał się zakłopotany w tył głowy.

– Holender, gdzie ja pana przenocuję? – zmartwił się szczerze. – Na dworcu nie ma gdzie.

– Nie potrzebuję żadnych wygód. Byle tylko łóżko się nie rozpadało.

– Już wiem! – ucieszył się Głowacki. – Skieruję pana sierżanta na Babiną.

– Babiną? – nazwa ulicy wydała się Jęczkowiakowi cokolwiek dziwna.

– Tak, tak, na Babiną. Tam mają sporo wolnych łóżek.

– Skoro tak... To szpital?
– Coś jakby... – mruknął komendant i natychmiast wypisał stosowny blankiet. – W każdym razie, na pewno stawiają tam na nogi.

Poznań, w tym samym czasie

Zbigniew Kaczmarek nie mógł wyjść z podziwu dla swoich nowych dowódców. Porucznik Paluch okazał się wprost cudotwórcą: nie tylko w jakiś niewytłumaczalny sposób doprowadził do uwolnienia Nogaja i jego grupy, ale cały ten zwariowany napad na fort IX rozszedł się dziwnym trafem po kościach! Dość powiedzieć, że – nie licząc pobicia Nogaja przez żołdaków – Niemcy nie wyciągnęli wobec Polaków żadnych konsekwencji. Jakby tego było mało, Kaczmarek – goszczący trzy dni wcześniej z kolejnym meldunkiem w pensjonacie na placu Wilhelmowskim – ukradkiem podsłuchiwał rozmowę Palucha z Hulewiczem. Porucznicy dzielili się właśnie nowościami, a Paluch aż buchał energią.

– To jest właśnie to, na co czekaliśmy! – krzyczał do Hulewicza.
– Grześkowiak z Komendy Miasta donosi, że wyszło właśnie zarządzenie pruskiego Ministerstwa Wojny o konieczności tworzenia *Wacht- und Sicherheistdiensten!*⁹⁵ Ty wiesz, Bohdan, co to oznacza?

Hulewicz uśmiechnął się lisio.

– *Alles klar!* – podsumował zadowolony. – Już lepsza okazja nie mogła się nam trafić, jak Boga kocham! Legalnie stworzymy i uzbroimy kompanie, w dodatku na niemieckim żołdzie. Tylko jak przeprowadzić tę fikcję z ich równym, polsko-niemieckim składem?

Paluch pacnął go dłonią w ramię, jakby tylko czekał na to pytanie.

– Po pierwsze: do biura werbunkowego podeślemy zaraz

95 Z niem. – Służba Straży i Bezpieczeństwa, oddziały wartownicze, odpowiedzialne za porządek na danym terenie

naszych peowiaków. A po drugie: mało to mamy w naszych szeregach Mannów, Krausów, Schmidtów czy Hahnów? Grunt, żeby dobrze mówili po szwabsku, a z tym przecież nie mają żadnego problemu. *Kein Problem, nicht wahr, mein Kamerad?*⁹⁶

Hulewiczowi aż zaświeciły się oczy.

– Cwane, kolego Mietku! Szczwane⁹⁷ jak cholera! Załatwimy ich na cacy! W dodatku za ich pieniądze! Tego jeszcze nikt nie praktykował!

– A my będziemy pierwsi!

Następnego dnia Kaczmarek był wśród pierwszych, którzy stawili się w punkcie werbunkowym, zorganizowanym w Bibliotece Cesarza Wilhelma przy Ritterstrasse⁹⁸. Z lewymi papierami na Korneliusa Mittmana został zarejestrowany ledwie w pięć minut, pobrał mundur oraz karabin i został przydzielony do kompanii pod dowództwem Edmunda Krause. Takich jak on w następnych dniach zgłosiły się setki. Wielu z nich nosiło niemiecko brzmiące nazwiska. A w głowach – pomysły, jak zniechęcić Niemców, którzy również stawili się w reprezentacyjnym gmachu biblioteki. Argument o końcu wojny i szybkim powrocie do rodzin w Niemczech działał bez pudła. Widząc innych chętnych do służby, mówiących do nich bezbłędną niemczyzną, Niemcy wycofywali się, rozmyślając już nad wyjazdem do Berlina czy Lipska.

Właśnie jako świeżo zaciągnięty strażnik szedł Kaczmarek na swoje pierwsze spotkanie z Juliette. Spotkanie w Ratuszowej zakończył bowiem sympatyczną rozmową z dziewczyną w cztery oczy, w trakcie której odczuł, że nie jest jej obojętny. Jego opowieści z frontu musiały wywrzeć na niej duże wrażenie, pod ich wpływem zaczęła spoglądać na niego ze słabo skrywanym podziwem. Czuł, że w błękitnych oczach tej wiotkiej piękności awansował do roli bohatera wojennego – co bardzo mu odpowiadało. Chętnie opowiedziałby jej więcej bez zbędnych

96 Z niem. – Żaden problem, nieprawdaż, przyjacielu?

97 Z gwary poznańskiej – sprytne.

98 Gmach obecnej Biblioteki Uniwersyteckiej przy dawnej ul. Rycerskiej, dziś Ratajczaka.

świadków – i właśnie o tym porozmawiał z Juliette w przedsiönku lokalu. Od słowa do słowa umówili się na spotkanie w Wiener Café przy placu Wilhelmowskim 4. Choć poniewczasie żałował, że nie zaprosił jej do Grand Café zajmującej parter Domu Przemysłowego czternaście numerów dalej. Ten lokal znał; wiedział, że serwują tam doskonałą kawę ze śmietanką, a także smaczne ciasto. Ale przede wszystkim – należał on do polskich, nie niemieckich właścicieli. A to w Poznaniu liczyło się nadzwyczajnie.

– Pójdziemy tam następnym razem – powiedział sam do siebie, mijając strzeżone przez dwóch uzbrojonych Niemców wejście do Banku Rzeszy, a potem rześiście oświelone drzwi hotelu Bazar.

To, że następny raz się wydarzy, przyjął za pewnik.

Spóźnił się. Juliette już na niego czekała, spacerując w ciepłym płaszczu wzdłuż chodnika i zaglądnając w podświetlone witryny lokali.

– Dobry wieczór – powiedział z wesołym uśmiejchem, skłonił się i ucałował podaną mu dłoń w rękawiczce.

– Dobry wieczór, Zbigniewie. Zimno dzisiaj, poczęstujesz mnie gorącą kawą?

Kalisz, godzinę później

Adres na blankiecie brzmiał: Babina 9. Jęczkowiak trafił tam po długim spacerze z dworca dzięki wskazaniom nielicznych napotkanych przechodniów. Ulica była specyficzna; wąska i słabo oświelona. Biegła wzdłuż Plant i kanału okalającego Stare Miasto od wschodu i północy. Od wody ciągnęło zimnem oraz wilgocią.

Zapowiada się nieźle, pomyślał zgryźliwie Jęczkowiak, skrędnając z Wodnej w poszukiwaną ulicę. Po prawej miał kanał, po lewej ścianę niskich, jedno- i dwupiętrowych kamienic z bramami. W oddali majaczyły ruiny domostw, zbombardowanych barbarzyńsko przed czterema laty przez Niemców. Ciemności nakazywały ostrożność, szedł więc czujny, z dłońią na kaburze

pistoletu. Gdy minął opustoszały Nowy Rynek, kamienice po lewej jakby urosły. Miały teraz po trzy piętra i zdecydowanie bardziej wielkomięjski charakter. Niektóre z nich były całkiem wypalone.

Jakoż i niebawem stanął pod bramą z numerem 9. Ciąg efektownych balkonów, przypominających od spodu muszle, czynił kamienicę całkiem efektowną. Jęczkowiak pchnął żelazne wrota bramy i zagłębił się w półmrok wejścia. Jak na kwatery dla żołnierzy było tu podejrzanie cicho...

Chwycił się poręczy i po szerokich schodach wszedł na pierwsze piętro. Dopiero tu usłyszał piski dobiegające zza drzwi. Kobięce piski, znamionujące jakąś radosną, by nie powiedzieć frywolną zabawę.

Ki diabeł? – pomyślał, stukając donośnie w malowane na różowo drzwi.

Rozwarły się natychmiast, a Jęczkowiak na moment stracił z wrażenia oddech. Zobaczył dwie skąpo odziane, bynajmniej niebrzydkie panienki. Ich obnażone, długie uda i cokolwiek prześwitujące, muślinowe żakiety od razu wytłumaczyły mu, gdzie trafił.

– Najmocniej przepraszam – wycofał się niemal natychmiast, odruchowo. – Musiałem się pomylić...

– Ależ skąd! – zaprotestowała apetyczna brunetka, otwierając szeroko drzwi na widok munduru. – Pan oficer służbowo w Kaliszu, prawda?

– Tak, służbowo... – był kompletnie zbity z tropu. – Ale ja szukam innej... kwatery...

– Kiedy to u nas, panie żołnierzu – włączyła się do dyskusji blondwłosa towarzyszka kobiety. – Trafił pan znakomicie.

– Babina dziewięć? – ciągle nie wierzył w to, co widzi i słyszy.

– Właśnie. Babina dziewięć! – ucieszyły się skąpo ubrane dziewczyny. – Pewnie jest pan zmęczony i chce się przespać...

Z zakłopotania podrapał się pod wąsem i cofnął o dwa kroki. Był zmęczony jak pies. Ale nie takich atrakcji się spodziewał.

– Panie wybaczą... Pójdę już sobie – wybełkotał i ruszył w dół schodów.

– Kiedy my nocujemy obrońców Ojczyzny! I to bezpłatnie! – zaprotestowały kaliskie kokoty. – Naprawdę bezpłatnie, panie oficerze! To nie tak, jak pan myśli... Musi się pan przekonać...

Był skonany, ale wolał nie sprawdzać, czy mówią prawdę. Skautowski duch dodał mu sił, gdy przekonany o słuszności wyboru dał drapaką. Pomaszerował z powrotem na dworzec.

Komendant dworca wyglądał na zaskoczonego jego widokiem.

– Naprawdę nie mamy innych kwater – rozłożył ręce w geście przeprosin. – Nie chciał pan skorzystać z pomocy dziewczyn? Zapewniam, że to prawdziwe patriotki!

Choć uwierzył na słowo, tę noc spędził na niewygodnej drewnianej ławce w holu dworca.

Poznań, tego samego wieczoru

Okazała się osobą z niesamowitym poczuciem humoru. Ciągle się śmiała, a Kaczmarek rychło zabujał się w jej pociągniętych różową szminką ustach. Dwie podane po wiedeńsku kawy z pianką nadwyrężyły wprawdzie skromne fundusze wojaka, ale nie przejmował się tym zbyt. Cieszył się chwilą, z zachwytem wpatrując się w jaśniejącą szczęściem twarz dziewczyny.

W blasku kawiarnianych lamp piękno Juliette zyskało dodatkową oprawę. Im dłużej siedzieli razem przy stoliku, plotkując o wszystkim i o niczym, tym bardziej Kaczmarek nie dowierzał, że tak atrakcyjna kobieta zechciała się z nim spotkać. W końcu samokrytycznie musiał przyznać, że sam nie był aż taki przystojny. Ciągle jeszcze powłóczył dopiero co zagojoną nogą. Choć pewnie bardziej z przyzwyczajenia niż bólu. Inna sprawa, że ostatnimi laty nie dojadł, kartek żywnościowych też mu ostatnio brakowało, więc jego sylwetka, z natury krępa, nabrała szlachetnej smukłości. Gdy wyjeżdżał na wojnę, był jeszcze młodzieńcem. Lata spędzone w okopach i śmierć, której wielokrotnie spoglądał w oczy, nadały jego twarzy twardych, prawdziwie męskich rysów. Wyjechał na front jeszcze jako

szczun⁹⁹, wrócił jako mężczyzna.

Był tak szczęśliwy, że do kaw zamówił dwie bezy z masą czekoladową i ucieszył się, że dobrze wybrał. Dziewczyna najwidoczniej już dawno nie jadła podobnych rarytasów, bo spałaszowała ciastko w okamgnieniu. Widząc to, z radością podarował jej również swoje.

Oczy Juliette śmiały się do niego, ale ona sama mówiła o sobie niewiele, można by nawet powiedzieć, że niechętnie. Zamiast tego zasypywała go dziesiątkami pytań o jego rodzinę, o jego ulubione książki, o ulubione miejsca w Poznaniu, wreszcie o przyszłość. Z natury nie był nigdy specjalnie rozmowny, szybko więc zmęczył się zaspokajaniem jej ciekawości. Mimo to nie dał tego po sobie poznać. Ostatni raz spotkał się prywatnie z kobietą w dalekiej Francji i był spragniony takiej rozmowy. Przesiadywanie w konspiracyjnych lokalach, w męskim towarzystwie i wśród mało wybrednych żartów, mocno stępiło wrażliwą stronę jego duszy. Musiał, chciał, ją odświeżyć. Był w końcu jeszcze młody...

– A gdzie mieszkasz, Juliette? – przejął inicjatywę. – Daleko od śródmieścia?

Oblicze Juliette niespodziewanie spochmurniało.

– A co, panie żołnierzu? Już się panu znudziłam? – zapytała, przeszywając go zimnym spojrzeniem.

– Mój Boże, gdzież tam! – podniósł obie ręce, jakby postanowił skapitulować. – Chcę tylko... chcę tylko powiedzieć, że w razie czego chętnie odwiozę cię jakąś dorożką. W końcu zrobiło się już późno... więc...

Wystraszył się, i to nie na żarty, że popełnił niedopuszczalną, karygodną gafę. Zamarł z wrażenia, w oczekiwaniu na najgorsze.

– Ha, ha, ha! – policzki dziewczyny znowu zachwyciły go ślicznymi dołkami. – Ale cię nabrałam, Zbyszku! To urocze, że się o mnie troszczysz. Masz rację, powinnam już wracać... Naprawdę chcesz mnie odprowadzić?

– To więcej niż oczywiste – odetchnął i niczym angielski dżentelmen wstał od stolika, podając jej szarmancko dłoń. – Pani

99 Z gwary poznańskiej – chłopak.

pozwoli, że będę jej towarzyszył do samego domu.

– Pozwoli, przecież, że pozwoli – Juliette cały czas się śmiała, ale widać było, że oficjalny ton Zbigniewa bardzo jej odpowiada.

Pod maską wesołości starannie ukrywała swoje emocje. Ten młody przystojniak imponował jej taktem i manierami. Choć doskonale zdawała sobie sprawę, że jeszcze niedawno przechodził przez najgorsze piekło, jakie można sobie wyobrazić.

Uregulował rachunek, ubrali podane im płaszcze i wyszli w ciemną noc wprost na opustoszały plac Wilhelmowski. Na jego wschodnim krańcu, vis-à-vis Prowincjonalnego Muzeum Cesarskiego¹⁰⁰, przez pozbawione już liście drzewa dostrzegli pomnik cesarza Fryderyka III. Odwrócona do nich bokiem figura imperatora w długim wojskowym płaszczu i z pikielhaubą na głowie zdawała się pilnować placu i całego miasta. Mimo upadku cesarstwa, dawny cesarz ciągle stał na warcie.

Już niedługo, pomyślał Kaczmarek. Nie wiedzieć czemu, nagle nabrał przekonania, że widzi ten pomnik po raz ostatni. Jeszcze cię przetopimy na Mickiewicza albo Słowackiego, przemknęło mu przez głowę.

– To co, wołamy dorożkę? – zagadnął wesoło swoją towarzyszkę.

– Nie trzeba, Zbigniewie. Mieszkam całkiem blisko.

– Czyli dokąd, moja pani? – znowu podał jej ramię, a ona chętnie z niego skorzystała.

– Pozwolisz, Zbyszku, że tym razem ja poprowadzę.

Wapno pod Wągrowcem, tego samego wieczoru

Kolacja w rodzinnym domu zawsze smakuje najlepiej. Choćby i była skromna, a wizyta niezapowiedziana. Tak też było tego niesamowitego listopadowego wieczoru, znaczonego na zewnątrz ciemnością i słotą. Jach przyjechał do rodziców bez żadnego listownego sygnału. Nie chciał, by się nadmiernie kłopotali sprawami żywności – wiadomo wszak było, że nawet

100 Dziś Muzeum Narodowe przy al. Marcinkowskiego.

na wsi się nie przelewa. Przyjechał pociągiem przez Gniezno, resztę drogi ze stacji przebył na piechotę. Radości było co niemiara. Matka zalała się łzami, ojciec sięgnął po fajkę. Ale największą frajdę swoim pojawieniem się Franciszek sprawił Stachowi, swojemu ukochanemu młodszemu bratu. Ten aż zaniemówił, gdy go zobaczył, a potem wyciągnął do stodoły na pogaduchy – o wojnie, samolotach i o dziewczynach.

– To już jesteś pilot pełną gębą? – dopytywał się piegowaty Stach, który ostatni raz widział brata wczesną wiosną. – Znaczy się, lataasz często? A jak wysoko?

– Teraz to będę miał pewnie dłuższą przerwę – mruknął Franciszek. – Ale i tak już sobie wcale nieźle polatałem. I tu, nad Poznaniem, i tam, w Szampanii.

– Gdzie?

– W Szampanii, bracie. Znaczy się, we Francji. A wiesz, że ziemia z wysokości jest wszędzie taka sama? I we Francji, i w Belgii, w Niemczech czy u nas. Wszędzie widzisz tak samo jasnożółte pasma pól i łąk, zielone łąki lasów i granatowe wstęgi rzek. Albo plamy jezior. Im wyżej jesteś, tym te niebieskie kleksy są mniejsze...

Leżeli na snopach słomy, z głowami w chmurach. Stach wpatrywał się rozmarzonym wzrokiem w belki powały, jakby gdzieś tam dostrzegł właśnie chmury, wśród których latał jego starszy brat.

– Ale weźmiesz mnie kiedyś do aeroplanu? – zagadnął Franciszka nieśmiało.

– Ciebie? – pilot Jach zmrużył oczy i zrobił się nagle poważny. – A niby po co?

– Przysięgam, że nic nie zepsuję! Będę cię słuchał, jak nigdy! Tylko mnie przewieź aeroplanem! Proszę!

Franciszek udawał, że się zastanawia. Im dłużej zwlekał z odpowiedzią, tym bardziej twarz jego brata szarzała i smutniała.

– Niech ci będzie! – wypalił wreszcie.

Stachu aż poderwał się w górę, a potem wyściskał brata, wcale nie mając mu za złe tego krótkiego przedstawienia.

– Zobaczysz, że się nadam! Wcale nie jestem taki głupi! Robię codziennie przy świniach i krowach, ale swój rozum mam! Wiem, że trzeba być bardzo uważnym i...

– I posłuchaj mnie jeszcze, Staszku! – wszedł mu bezpardonowo w słowo starszy z braci Jachów, ubawiony tymi zapewnieniami. – Posłuchaj, co ci powiem. Owszem, zabiorę cię do samolotu i zrobimy rundkę nad Poznaniem, a może nawet nad naszą wsią. Się zobaczy! Ale posłuchaj! Tylko pod warunkiem, że będzie to nasz samolot. Nasz, rozumiesz?

– Jak to „nasz”? A niby czyj?

– Nie rozumiesz, bracie. Nasz, czyli polski. Polecisz ze mną nie niemieckim, ale polskim samolotem – zapowiedział uroczystym tonem Franciszek. – Obiecuję ci, że przelecimy się maszyną w polskich barwach. Zobaczysz, to dopiero będzie święto!

– A kiedy to będzie? – zmartwił się niespodziewanie Stanisław. – Bo w Warszawie pono jest już polskie wojsko. Tata mówił, że tam już nasi rządzą. A kiedy tak będzie u nas? Bo to my gorsi jesteśmy?

Franciszek westchnął ciężko.

– Żebym ja to wiedział, braciszku...

– Ale to chyba już w nowym roku, prawda? Znaczy się, po świętach?

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Ale jedno mogę ci obiecać. I dobrze to sobie zapamiętaj: jak już i u nas będzie polska armia i polskie lotnictwo, polecimy razem nad Wapnem i pokłonimy się z góry rodzicielom naszym kochanym. Ależ to będzie widowisko! Wyobrażasz sobie?

Stasiu pokręcił tylko głową. Choć bardzo się starał, nie potrafił sobie tego odmalować w głowie.

Poznań, w tym samym czasie

Poszli wzdłuż placu, w kierunku Teatru Miejskiego i Theaterstrasse¹⁰¹. Zimny wiatr smagał ich po twarzach, ale im

101 Ulica Teatralna.

było ze sobą ciepło. Listopadowy, lodowaty wieczór właściwie dla nich nie istniał. Kaczmarek był całkowicie zaabsorbowany Juliettą, a ona dała się prowadzić pod rękę, jakby znali się ze Zbigniewem od lat. Na wysokości teatru minęli dwóch niemieckich żandarmów, szczerze zazdroszczących im tego spotkania. Na szczęście Niemcom nie przyszło do głowy, by skontrolować Kaczmarka. Pewnie dlatego, że Polak miał na sobie płaszcz i opaskę funkcjonariusza Wacht- und Sicherheitsdienstu. Potraktowali go jak sojusznika w zbożnym dziele zaprowadzania w mieście porządku. Nawet mu zasalutowali!

– Ale komedia – uśmiechnęła się Juliette, gdy Niemcy znaleźli się już daleko za ich plecami. – Gdyby tylko wiedzieli...

– Ale nie wiedzą, moja miła – mruknął przymilnie.

Rola tajemniczego konspiratora bardzo mu odpowiadała. Instynktownie wyczuwał, że dzięki niej wydawał się dziewczynie bardziej pociągający.

– A jak się dowiedzą, będzie już za późno... – szepnęła w jego stronę.

– Oby – odszepnął.

Nagle stanął jak wryty i delikatnie popchnął dziewczynę za szeroki słup ogłoszeniowy. Sam natychmiast podążył za nią.

– Ależ ty jesteś szybki... – przyłgnęła do niego, ale on zupełnie nie miał ochoty na amory.

– Juliette! Na miłość boską, daj zobaczyć!

Puściła go mocno zawiedziona, ale wyjrzała ostrożnie zza afisza równie zaciekawiona jak on.

Zobaczyli kolumnę kilku samochodów ciężarowych, ustawionych wzdłuż chodnika Ritterstrasse, pod samym gmachem Dyrekcji Policji. Uwijało się przy nich kilkudziesięciu funkcjonariuszy w granatowych i czarnych uniformach. Ich spokoju strzegło kilkunastu żołnierzy stojących z bronią u nogi pośrodku ulicy. Na ich widok nieliczni o tej porze przechodnie uciekali chyłkiem do pobliskich bram. Robotnicy w błyskawicznym tempie ładowali pod brezentowe paki potężne, lśniące metalowymi okuciami skrzynie.

– Do diabła, co tu się święci? – powiedział sam do siebie

zaaferowany.

Szóstym zmysł podpowiadał mu, że właśnie widzi coś niezwykle ważnego. Coś, co Niemcy najwyraźniej chcieli ukryć przed takimi jak on. To coś, co właśnie ładowali na ciężarówki, musiało być niezwykle ważne, może nawet cenne, skoro w takim pośpiechu zamierzali pozbyć się tych skrzyń z Prezydium Policji. Tylko... co to było?

– Juliette – chwycił przejętą dziewczynę za dłonie i złożył je niczym do modlitwy, choć to on zamierzał ją właśnie o coś poprosić. – Juliette, wybacz mi. Nie odprowadzę cię tym razem do domu, choć Bóg mi świadkiem, potwornie żałuję. Dziś nie mogę, sama widzisz... Tu... Tu się dzieje coś dziwnego. Naprawdę dziwnego! Muszę natychmiast poinformować o tym dowódców! Muszę!

Uśmiechnęła się do niego niepewnie, wpatrując się w jego zakłopotaną, a jednocześnie mocno strapioną twarz. Nie chciała, by się martwił.

– Rozumiem, Zbyszku – odpowiedziała. – Biegnij! Przecież niebawem znów się zobaczymy, prawda?

– O, i to nie raz, najmilsza!

XIX.

BO OTWORZYMY OGIENI!

Berlin, centrala kontrwywiadu przy Unter den Linden, tej samej nocy

Hauptmann Klaus Wirbel był podwójnie wściekły. A może nawet potrójnie. Najpierw około jedenastego listopada stracił kontakt ze swoim najlepszym agentem w Europie, leutnantem Heinzem Gnade. Łączność z nim urwała się nagle, zupełnie niespodziewanie, w najbardziej gorącym momencie jego misji w Warszawie. Gnade zniknął, rozpląnął się w powietrzu akurat w momencie, gdy alarmujący kierownictwo kontrwywiadu Wirbel otrzymał wreszcie zgodę na przeprowadzenie tajnej operacji zmierzającej do uderzenia w centralę polskiego spisku! Tym samym misternie przygotowany plan rozbicia polskiej konspiracji jednym zdecydowanym ruchem stracił swoją głowę, ramię i najważniejsze dane.

Jakby tego było mało, wydarzenia następnych dni w Warszawie podważyły cały sens tej operacji. Władzę w mieście przejął Piłsudski i doszło do pożałowania godnych aktów rozbijania żołnierzy niemieckich. W dodatku ulokowany na Cytadeli pułk – ostatnia zwarta jednostka niemiecka w Warszawie – alarmował Berlin, że może nie utrzymać fortyfikacji.

W kilka dni cały świat dawnych tajnych służb cesarstwa stanął na głowie, rwać się zaczęły nici łączności i projektowanych zadań. Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Piętnastego listopada do Berlina nadszedł szyfrogram z utajnionej placówki w Warszawie. W krótkich, sucho brzmiących zdaniach informował, że polska policja znalazła w ścisłym śródmieściu ciało, które wstępnie zidentyfikowała jako zwłoki poszukiwanego Heinza Gnade! Znalaziono je w bramie jednej

z kamienic. Agent zginął od trzech strzałów, oddanych do niego z bliskiej odległości. Przy trupie nie znaleziono żadnych papierów, jedynie jego służbowy sztylet. To on naprowadził śledczych na prawdopodobną profesję i pochodzenie nieboszczyka. Policja rozpoznała go dzięki współpracy z niemieckimi dyplomatami, a pewności nabrała po okazaniu zdjęć zamordowanego w hotelu Bristol.

Wiele wskazywało na to, że Polacy zorientowali się w charakterze zadań, jakie wypełniał w ich stolicy Gnade – i być może dyskretnie go zlikwidowali. Wirbel miał jednak swoją teorię. Był przekonany, że jego człowiek został zwabiony w odludne miejsce i zabity z pełną premedytacją. Był też więcej niż pewny, że zamieszany w to musiał być ten cholerny Jęczkowiak. Nie wierzył, by tak doświadczony oficer jak Heinz dał się łatwo podejść, a już na pewno nie sprzedał tanio skóry! Cenił go i darzył niemal ojcowską troską. Dramatyczne wieści z Warszawy były dla niego jak pchnięcie nożem w serce. Zabolały go podwójnie mocno: zrozumiał, że na odcinku polskim poniósł całkowite fiasko.

Następne dni potwierdziły, że się nie mylił.

Utrata najlepszego agenta nie mogła ująć uwagi szefów Wirbela. Już następnego dnia został wezwany do generała Schaudera, by gęsto tłumaczyć się przed kierownictwem resortu, zdając relację nie tylko z charakteru zadań, jakie wykonywał w Warszawie Gnade, ale przede wszystkim wyjaśniając, jak to się stało, że misja kontrwywiadu tak spektakularnie spaliła na panewce.

– Przecież mieliście tego Polaka na widelcu już od Poznania! – pieklił się Schauder, od dawna krytyczny wobec działań Wirbela.
– Tyle już wiedzieliście o tajnej polskiej organizacji! Znaliście już nawet jej nazwę i struktury! A mimo to daliście się wystrychnąć na dudka jak amatorzy!

– Już panu tłumaczyłem, panie generale: nasza operacja zmierzała do ujawnienia kierownictwa spisku. I do uchwycenia jego związków z Warszawą – próbował się bronić kapitan. – Tylko taka informacja miałaby walor przetłomowej...

Wirbel dobrze wiedział, że w rękę miał blotki, podczas gdy

Schauder gromił go asami i jokerami.

– I tak uchwyciliście, że Polacy posłali waszego człowieka do piachu, a potem w dwa dni bez trudu opanowali całą Warszawę!
– zachichotał złośliwie generał. – Brawo! Powinszować skuteczności! Nie, Wirbel! Za takie efekty nie będzie pochwały! Będzie wniosek o sąd wojenny! Dla pana i całej pańskiej ekipy dyletantów!

Kapitan stał blady przed generałem, nerwowo miętosząc w dłoni nakrycie głowy Najgorsze było to, że w duchu zgadzał się z wnioskami Schaudera. Choć prawdę mówiąc, zwłoka w działaniach warszawskich wzięła się przecież z wahania góry. W Berlinie mieli ostatnio ważniejsze sprawy na głowie. W pierwszej kolejności trzeba było gasić tę cholerną komunistyczną pożogę w sercu Niemiec...

– Co możemy jeszcze zrobić? – zapytał Wirbel.

Odczuwał pilną potrzebę rehabilitacji.

– Jak to co? – zeżlił się znowu przełożony kapitana. – Warszawę już straciliśmy. Skutek tego jest taki, że dawne Królestwo Kongresowe również. Ale na tym koniec! Od teraz odpowiadacie głową za to, żebyśmy nie utracili przypadkiem Provinz Posen. Chyba nie jest pan tak naiwny i nie sądzi, że Polacy zadowolą się dotychczasowymi sukcesami? Musi pan wiedzieć wszystko pierwszy! I reagować, Wirbel! Reagować! Koniec z patyczkowaniem się, bo obaj zawiśniemy za zdradę stanu! Nie wiem jak pan, ale ja chciałbym jeszcze trochę pożyć! Chyba sobie na to zasłużyłem!

Znowu w Poznaniu, o tej samej godzinie

Całe szczęście, że do tajnego sztabu porucznika Palucha było naprawdę blisko. Kaczmarek nie zdążył się nawet zadyszeć, mógł więc z miejsca zdać sprawozdanie oficerom obecnym w pensjonacie sióstr Goetzendorf-Grabowskich. Im dłużej mówił, tym szerzej otwierały się oczy Palucha i Hulewicza.

– Trzeba natychmiast reagować! – uznał Hulewicz. – Mietek,

wyślij tam natychmiast patrol Straży. Niech rozpytają, co i jak, i zatrzymają tę niemiecką wywózkę. Cholera wie, co oni tam ładują na te samochody!

– Powoli, Bohdan! – Paluch miał więcej zimnej krwi, kalkulował na spokojnie. – Skoro mają wojskową eskortę, nie pójdzie nam tak łatwo. Żeby tylko nie wywiązała się z tego niepotrzebna strzelanina! Tam trzeba działać sposobem. Bez dwóch zdań wywożą jakieś policyjne papiery. A skoro to sprawa policji, trzeba do nich posłać kogoś wyżej... Już wiem! Sam tam pójde! Jako przedstawiciel Rady Żołnierskiej, ma się rozumieć! W jej imieniu zażądam informacji i zatrzymania akcji. A ty, Bohdan, skontaktuj się natychmiast z Twachtmannem. Jest w końcu przewodniczącym Rady, musi wiedzieć, jakie numery wycina mu za plecami policja – pewnie nie bez wiedzy Berlina!

– Tak, Twachtmann to dobry pomysł – przytaknął Hulewicz. – Tylko nie zaczynajcie bez niego. Ilu mamy ludzi?

– Na miejscu będzie pluton. Wystarczy! Przecież nikt z nas nie zamierza się tam strzelać!

– Już dzwonię do Twachtmanna i żądam natychmiastowych wyjaśnień! – Hulewicz sięgnął po słuchawkę aparatu spoczywającą na srebrnych widełkach.

– Wytłumaczy się na miejscu! Każ mu stawić się natychmiast pod Prezydium Policji. Tylko szybko, do jasnej cholery!

– Już ja mu zadam pieprzu!

Poznań, okolice Dyrekcji Policji, blisko północy

Wynoszenie podejrzanych skrzyń z siedziby poznańskiej policji trwało w najlepsze. Uważny obserwator, a do takowych należał niewątpliwie pracownik Teatru Miejskiego, skryty za kotarą w oknie i przyglądający się od dobrych dwóch godzin tajemniczej akcji, zdążył odnotować, że dwa spośród pięciu aut ciężarowych zostały już kompletnie załadowane, a pozostałe trzy wypełniono już w znacznym stopniu. Raz jednemu z policjantów omsknęła się ręka i ładunek upadł na bruk, ujawniając zawartość skrzyni:

grube teczki i segregatory z aktami. Wyglądało to jak pospieszna ewakuacja i napełniało serce obserwatora z teatru radością i nadzieją. Skoro Niemiaszki się pakują, to znaczy, że nie czują się już w Poznaniu pewnie, skonstatował całkiem przytomnie Julian Kwaśniewski, teatralny garderobiany.

Nagle na Theaterstrasse zrobiło się dziwnie jasno. Zerwał się wiatr, który w kilka sekund przyniósł pierwsze tej jesieni białe płatki śniegu. Miejski krajobraz momentalnie zmiękł i wyładniał, tracąc szare kanty i ciemne zaułki. W latarnianych światłach biały puch przydał ulicy i chodnikom dostojności. I wprowadził w poślizg kilku policjantów, jak mrówki wynoszących z budynku Prezydium skrzynię za skrzynią. Jeden z nich wyrzucił się efektownie, rozsypując po bruku całą stertę papierów.

I właśnie w tym momencie, gdy wydawało się, że natura skutecznie wyhamuje, a przynajmniej spowolni tajemniczą akcję, na ulicy rozległy się gorączkowe gwizdki.

Pracownicy przy ciężarówkach w jednej chwili zastygli jak sparaliżowani. Zza gmachu teatru wychynęli na światło mężczyźni w mundurach niemieckiej piechoty i w granatowych uniformach Służby Straży i Bezpieczeństwa.

– O cholera! – wyrwało się Kwaśniewskiemu zza kotary.

Choć nikt nie podniósł ku nikomu broni, napięcie między obu grupami było aż nadto wyczuwalne. Piechurzy i strażnicy otoczyli półkołem konwój ciężarówek, zasypując tragarzy serią pytań, rzucanych po polsku i niemiecku. Ten chaos trwał jednak krótko. Zaraz potem na czoło przybyłych wysunął się wysoki, barczysty mężczyzna z blond włosami zaczesanymi na bok. Miał na sobie wojskowy płaszcz, sprawiał wrażenie dowódcy.

Kwaśniewski ostrożnie uchylił skrzydło okna, by podsłuchać, co miał do powiedzenia ten nieznany mu oficer.

– ...i dlatego w imieniu Rady Żołnierskiej pytam, jaki jest cel tego przedsięwzięcia?! I dlaczego my jako Rada nic o tym nie wiemy?! – grzmiał po niemiecku dowódca grupy interwencyjnej.

Czułe ucho garderobianego wychwyciło jednak coś ciekawego. Akcent oficera nasuwał podejrzenie, że nie jest on rodowitym Niemcem. Czyżby Polak strofował niemiecką policję? A to dobre!

Policjanci ładujący akta na samochody szybko otrząsnęli się z pierwszego zaskoczenia. Kilku z nich niedwuznacznie chwyciło za kabury, następnych kilku zwarło się w większą grupkę, jakby szykując się do odparcia ataku. Napięcie rosło, tym bardziej że z drugiej strony krzyczał coś do oficera niemiecki funkcjonariusz, który właśnie wybiegł z gmachu policji.

– Działamy na rozkaz ministerstwa! Wam nic do tego! – doleciały do Kwaśniewskiego jego ostatnie słowa.

Brzmiały buńczucznie i konfrontacyjnie. Nie zapowiadały rozejmu.

– Jako delegat Rady Żołnierskiej miasta Poznania stanowczo żądam zaprzestania tych działań! – dowódca interweniujących bez wahania sięgnął po pistolet, kierując go w stronę lidera przeciwników. – W przeciwnym wypadku użyjemy siły!

Gdy po broń sięgnęli niemieccy policjanci, Kwaśniewski przymknął okno i schował się za ścianę.

Zanościło się na grubą afery, a on nie chciał być pierwszą ofiarą.

Poznań, pod Prezydium Policji, minutę później

Kaczmarek wymierzył swojego mauzera w stojącego najbliżej policmajstra. Sytuacja zrobiła się gęsta i wybuchowa, choć wokół prószył wręcz idylliczny, rzec by można, anielski śnieg.

– *Hände hoch!* – rozkazał Niemcom groźnym tonem porucznik Paluch. – Liczę do pięciu! Jeśli nie złożycie broni, otworzymy ogień!

Policjanci poruszyli się niespokojnie, poprawiając dłonie na broni. Ciągłe ją jednak trzymali, celując w ludzi Palucha.

– *Eins!*

Lufy obu stron ani drgnęły, ale wznoszące je ramiona naprężyły się niebezpiecznie.

– *Zwei!*

Ktoś przeładował zamek. Szczęk metalu zabrzmiał złowrogo, wyganiając z końca ulicy przypadkowych cywilnych świadków zdarzenia.

– *Drei!*

Kaczmarek poczuł, że poci się za kołnierzem. Jego dłoń na karabinie stała się wilgotna mimo panującego wszędzie zimna.

– *Vier!*

Głos Palucha brzmiał pewnie, mocno. Porucznik był zdeterminowany, by wykonać to, co zapowiedział. W oczach swoich podwładnych dostrzegł karność i zrozumienie.

– A zatem...

– *Halt!*¹⁰² – krzyknął wysoki, smukły mężczyzna w żołnierskim płaszczu nadbiegający z garstką ludzi od strony Königsplatz¹⁰³.

Napięcie w jednej chwili opadło. Obie strony opuściły broń, wpatrując się z wdzięcznością w postać Augusta Twachtmanna, przewodniczącego poznańskiej Rady Żołnierskiej. Niemiec podbiegł do dowódcy oddziału policji. Chwilę później był przy nim także Paluch.

– Jestem przewodniczącym Rady Żołnierskiej miasta Poznania! Co to za szopka, panie kolego? – Twachtmann obrzucił oficera policji mało przyjaznym spojrzeniem. – Co wywozicie i dlaczego?

Funkcjonariusz odwzajemnił mu się wzgardą, malującą się na jego twarzy.

– Komendant Blankerzt – przedstawił się niechętnie. – Na rozkaz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przewożę do Berlina nasze dokumenty. To policyjne kartoteki, własność naszego resortu. I nie muszę się przed nikim tłumaczyć – dodał z naciskiem na ostatnie słowo.

– I tu się pan myli! – Twachtmann prawie tupnął nogą, tak był zdenerwowany. – W tym mieście rządzą Rada Żołnierska i Rada Robotnicza. A także nadburmistrz Posen, którym od dwóch tygodni jest herr Drwęski! Nie życzę sobie, żeby tak ważne kwestie odbywały się poza naszą wiedzą! Rozumiemy się?

Blankerzt łypnął niechętnym wzrokiem na Palucha. Z jego wzroku można było wywnioskować, że gdyby tylko mógł, policzyłby się z Twachtmannem i całą tą Radą Żołnierską w inny, zgoła nieparlamentarny sposób.

102 Z niem. – Stać!

103 Dawna nazwa pl. Cyryla Ratajskiego.

– Mnie obowiązują wyłącznie rozkazy z Berlina – oświadczył spokojnie. – Tylko ich zamierzam słuchać.

– Na ja, gut! – zgodził się z nim niespodziewanie Twachtmann. – Idziemy zatem do Prezydium! Zadzwonimy do ministerstwa. Zobaczymy, kto tu komu będzie rozkazywał! No, prowadź pan! Aber schnell!

Zaskoczony komendant ruszył wolnym krokiem do środka gmachu, ciągnąc za sobą Twachtmanna i Palucha.

– Przerwać załadunek! – rzucił w stronę ciężarówek porucznik Paluch.

Choć nie był dowódcą policjantów, ci w jednej chwili posłusznie odeszli od ciężarówek.

Z wyrazu twarzy swojego komendanta wyczytali, że akcja została wstrzymana.

XX.

TAKICH SPRAW SIĘ NIE ZAPOMINA

**Poznań, Prezydium Policji, 30 listopada 1918 r.,
około pierwszej w nocy**

Telefoniczne połączenie z ministerstwem w Berlinie nastąpiło sporo nieprzewidzianych trudności. Sygnał rwał się, jakby niewidoczni dywersanci ciął co chwila kabel telefoniczny na nowym odcinku. Po blisko godzinie starań szefom poznańskiej policji udało się w końcu połączyć z ministerstwem. Rychło okazało się jednak, że na miejscu nie ma żadnego odpowiednio wysokiego rangą urzędnika, który mógłby podjąć decyzję o zatrzymaniu transportu policyjnych kartotek do Berlina.

Słuchawkę przejął wtedy August Twachtmann. Przedstawił się jako szef poznańskiej Rady Żołnierskiej i nakazał połączyć się z sekretariatem ministra.

– Wstrzymujemy do odwołania wyjazd kartoteki policyjnej z Posen! – oświadczył osobie po drugiej stronie tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Proszę przekazać to jutro rano panu ministrowi w imieniu Rady Żołnierskiej miasta Posen! I proszę dodać, że nie życzymy sobie podobnych zachowań w przyszłości bez konsultacji z naszą radą! To my rządymy tym miastem i nic nie może się w nim wydarzyć bez naszej wiedzy! Alles klar?

Po drugiej stronie chyba szybko zrozumiano przekaz, bo nikt specjalnie nie protestował. Twachtmann pożegnał się oziębło z berlińskim urzędnikiem i trzasnął słuchawką w widełki z taką pasją, że kilku przysłuchujących się rozmowie policjantów aż podskoczyło.

– No, to mamy sprawę załatwioną! – ucieszył się Paluch. – Proponuję teraz zabezpieczyć kartotekę na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy zignorować stanowisko Rady

Żołnierskiej.

– Słuszna uwaga – zgodził się Twachtmann. – Jak to zrobimy, towarzyszu Paluch?

– Jest tylko jeden sposób – uśmiechnął się Polak. – Załadowane ciężarówki odstawimy na dziedziniec koszar, w których urzędujecie. Nie jest to zapewne cały zbiór, ale jednak znaczna jego część. Nie sądzę, by ktokolwiek chciał wysyłać go do Berlina w kawałkach.

– Bardzo dobry pomysł – Twachtmann, oskarżany przez niektórych Niemców o brak charakteru, bardzo chciał zademonstrować, że potrafi podejmować twarde decyzje.

Odwracając się do policjantów, czuł się już panem sytuacji.

– Proszę wykonać polecenie porucznika Palucha – rozkazał zbaraniałym policmajstrom. – I radzę nie stosować żadnych sztuczek. Nasi towarzysze są bardzo drażliwi na tym punkcie!

Poznań, 1 grudnia 1918 r., dworzec główny, nad ranem

Wyskoczył z wagonu zmarznięty i połamany. Ale jakże szczęśliwy! Ostatnia noc nie należała do szczególnie wygodnych, ale od momentu, kiedy kurier nazwiskiem Malicki, skaut z Poznania, przywiózł mu do Warszawy pisemne wezwanie do powrotu, wszelkie niewygody przestały być ważne. Wracał do domu! Do rodzinnego Poznania! Widać kierownictwo POW uznało, że wypełnił już swoje zadanie w Warszawie i czas, by teraz popracował nad Wartą. Śmiał się do tej myśli od dwóch dni, jakby był pijany.

Był tak stęskniony swoich rodzinnych stron, że nawet dominująca nad dachami domów strzelista wieża zegarowa zamku Wilusia zdała mu się nagle wymarzoną obrazkiem. Przyprószone śniegiem i skute lekkim mrozem miasto wydało mu się inne, bardziej swobodne i polskie. Może dlatego, że na ulicach nie widać już było niemieckich żołnierzy? Mijał głównie mężczyzn w uniformach jakiejś nowej, nieznanego mu formacji. Mieli na ogół granatowe kurtki, na ramieniu mauzery, a na

ramionach opaski Wacht- und Sicherheitsdienst. Może mu się zdawało, ale niemal wszyscy strażnicy odzywali się między sobą po polsku. Wziął to za dobrą monetę. I uznał za pomyślną wróżbę.

Jeszcze w Warszawie usłyszał od kuriera, że w Poznaniu szykuje się wielkie zgromadzenie patriotyczne, zwane Sejmem Dzielnicowym. Delegaci polscy z wszystkich dzielnic pod niemieckim panowaniem mieli się zjechać na potężne zgromadzenie w sali Lamberta¹⁰⁴ położonej w pasażu między Piekarami a Rycerską. Spodziewano się ponad tysiąca delegatów z Wielkopolski, Warmii, Mazur, Pomorza, Śląska, a także z polskich środowisk z głębi Rzeszy. Nie wykluczano jednak niemieckich prowokacji, dlatego Wierzejewski potrzebował ludzi do ochrony.

Jęczkowiak już wiedział, czym zajmie się w pierwszej kolejności. Już widział siebie w roli strażnika na sali, a najlepiej – szefa ochrony. Po warszawskich doświadczeniach czuł się na siłach, by dowodzić całą formacją wartowników. Energia dosłownie go rozpierała.

Pierwsze kroki skierował na Łąkową, do lokalu Wierzejewskiego. Wyściskali się mocno, serdecznie, jak z dawna niewidziani przyjaciele. Druh komendant przyjrzał mu się uważnie.

– Aleś tam w tej Warszawie nawywijał! Ho, ho, ho! Sława dawno już cię wyprzedziła! A komendant Piłsudski to po prostu nie może się ciebie nachwalić!

– Żartujesz! – skontrował skromnie.

– Słyszałem od samego Rudnickiego! Wszyscy są tam zachwyceni twoją rewolucją. Czy to prawda, że zrobiłeś ją w cztery godziny?

– W trzy – rzucił od niechcenia.

Był szczęśliwy, że Piłsudski jest zadowolony, ale nie miał ochoty po raz kolejny opowiadać starych historii. Dla niego liczyło się tylko to, co tu i teraz. A tu szykowało się właśnie kolejne zadanie.

104 Dzisiaj Pasaż Apollo.

- Wincenty... – zmienił momentalnie temat. – Lepiej pogadajmy o Sejmie Dzielnicowym.
- Już wiesz?
- Słyszałem. Opowiadaj, co trzeba zrobić.
- Oj, będzie z tym sporo zamieszania!
- To się cieszę. Zamieszania to moja specjalność.

Poznań, 1 grudnia 1918 r., przed południem

- Wyobraźcie sobie, że to była kartoteka pruskiej policji! – Kaczmarek z nieskrywaną dumą opowiadał swoim kompanom to, co poprzedniej nocy ustalili Paluch z Twachtmannem, a do czego on sam się również przyczynił. – Wiecie, co to takiego? Nie uwierzycie. Od dobrych pięćdziesięciu lat policja w Poznaniu gromadzi dokładne dane o wszystkich osobach, które dopuściły się choćby najmniejszego przestępstwa. W jej aktach, a są ich setki metrów – sam widziałem! – znajdziecie każdego zabójcę czy gwałciciela. Mało tego, znajdziecie tam nawet informacje o drobnym złodziejaszku, który świsnął ze sklepu kawałek kiełbasy. Albo o moczymordzie, który się napił, a potem zakłócał ciszę nocną gdzieś na Wildzie albo na Łazarzu. Porucznik Paluch, który analizował te papiery, powiedział, że tam jest wszystko. Dosłownie wszystko! Cała ciemna strona życia tego miasta. Wszystkie nieczne uczynki, spisane przez policyjnych śledczych. Wszystkie grzeszki Niemców, Żydów, no i oczywiście Polaków.

- No dobra... – Franek Kubiak podrapał się po rudej głowie. – Ja rozumiem, że to policyjne papiery z dawnych spraw. Ale po jakiego diabła Szkiebry chciały wywieźć je w bezpieczne miejsce? Po co im te akta?

Kaczmarek spojrział na kolegę z wyrozumiałością.

- No jak to, nie rozumiesz? – zdziwił się. – Stary, taki materiał to skarb!

- A niby czemu?

- Bo w tych aktach masz wszystko to, co złego wydarzyło się w ostatnim półwieczu w Poznaniu. Półwieczu, człowieku! Nadal

nie rozumiesz? Mając taką wiedzę, Niemcy mogą szantażować prawie każdego, kogo zechcą. Nawet jeśli ich władza nad Poznaniem ulegnie zachwianiu, za pomocą tych akt łatwo znajdą ludzi sobie posłusznych, którzy wykonają w przyszłości każde ich polecenie. I to nie tylko Niemców...

Kubiak słuchał kolegi z szeroko otwartymi oczami. Z wolna docierało do niego, dlaczego odkrycie Kaczmarka miało tak kolosalne znaczenie. Zaczynał pojmować, że na wojnie rażą wroga nie tylko wystrzeliwane z karabinów kule – równie skutecznie, jeśli nie mocniej, mogą go zranić albo wręcz zabić bezcenne informacje na jego temat. Wiadomości o jego słabościach, grzechach, niedoskonałościach. O sprawach, których lepiej nie wypuszczać na światło dzienne. A które mogą stać się w przyszłości zaczynem wcale owocnej współpracy między tymi, którzy te akta wytworzyli, a ich bohaterami.

– Matko Boska – wyszeptał przejęty. – Toż takie papiery to gorzej niż śmierć!

– Ano gorzej – odparł Kaczmarek i uśmiechnął się nieskromnie.

Nie chciał wplątywać w tę opowieść Julietty Gładkiej, dlatego nic o niej nie wspomniał. W duchu przyznawał jednak, że bez spotkania z dziewczyną nie natknąłby się na akcję niemieckiej policji. I nie miałby szansy podnieść alarmu.

– Ależ ty miałeś nosa, Biniu! – pochwalił go Bernard Górski, syn piekarza z Garbar, u którego się ukrywali. – Może masz jakiś szczególny dar do takich śledztw?

– Ejże, nie przesadzaj!

– Nie zaprzeczaj, Biniu. Nie zaprzeczaj! Coś mnie się zdaje, że tobie takie właśnie życie pisane.

– Jakie niby?

– No takie: policyjne! Masz smykałkę do tajemniczych spraw, nie powiesz, że nie!

– Może?

– A ja wam mówię, koledzy! – zaperzył się młody Górski. – Za dziesięć lat ten oto człowiek nazwiskiem Kaczmarek będzie prowadził własne śledztwa. Pewnie jako detektyw, a może jako policjant? Ale zobaczycie: to będzie polski policjant! W polskim

mundurze, z orzełkiem na czapce! Ja wam to mówię, ja, Bernard Górski. Czas niemieckiej policji w Poznaniu bezdyskusyjnie się kończy!

Słowa syna piekarza mile połechtaly próżność Kaczmarka. Po prawdzie, był z siebie dumny. Na czas powiadomił dowódców i przyczynił się do przejścia akt policji. A teraz mógł zbierać pochwały i gratulacje. Te najważniejsze miał wszakże dopiero usłyszeć z ust Julietty. Był tylko trochę naburmuszony, że czas dyżurów w Służbie Straży i Bezpieczeństwa wydłużono im do późnego wieczora. I nikt z dowódców nie przejmował się jego prostym pytaniem: jak tu teraz umówić się z dziewczyną?

Poznań, 2 grudnia 1918 r., zamek cesarski

Przyjechał tu, bo taki dostał rozkaz. Dobrze jednak wiedział, że tak naprawdę przybył tu z chęci zemsty. Od dnia, w którym dowiedział się, że w Warszawie znaleziono ciało Heinza, dyszał żądzą odwetu. Wiedział na kim. I świetnie zdawał sobie sprawę, że tego Polaka znajdzie w Posen. Był więcej niż pewny, że Jęczkowiak prędzej czy później tu wróci. W końcu mieszkają tu jego matka i bracia. I to tu są jego organizacyjne korzenie.

Rozkaz Schaudera nawet go ucieszył. Wprawdzie Posen w porównaniu z Berlinem zawsze wydawał mu się prowincjonalnym, nudnym miastem, tym razem jednak przyjechałby tu nawet bez polecenia – zbyt mocno chciał się odegrać. Stracił przecież swojego najlepszego człowieka – a takich rzeczy nie puszcza się płazem. Nikomu, a już zwłaszcza tym nędznym Polaczkom.

Teraz, gdy rozpakowywał się w apartamencie na parterze zachodniego skrzydła zamku, tuż obok pokojów marszałka dworu, z widokiem na biały, delikatnie zaśnieżony Sankt Martin Strasse, myślał w zasadzie tylko o jednym: musi czekać. Z jesiennych raportów Heinza doskonale wiedział, gdzie mieszka matka Polaka. Jeszcze w Berlinie sprawdził na mapie Posen, że to adres całkiem blisko zamku. Wystarczy rozstawić agentów

i obserwować kamienicę – wszak to niemożliwe, żeby przed świętami syn marnotrawny nie chciał wrócić na łono rodziny. Kiedy tylko dostanie sygnał, że Polaczek pojawił się w Posen, zorganizuje zdjęcie go z ulicy pod byle pozorem. Wywiozą go cichaczem do Berlina, osądzą w szybkim, wojennym trybie – i zawiśnie na szubienicy w Moabicy.

Wizja dyndającego truchła Polaka poprawiła mu humor.

Godzinę później ktoś zapukał w jego drzwi.

– *Herein!*¹⁰⁵ – krzyknął.

Do apartamentu wszedł rostry mężczyzna w mundurze oficera. Zaczesaane na bok blond włosy przybysza i jego bystre spojrzenie od razu spodobały się Wirbelowi. W lot pojął, że z tym człowiekiem będzie mu się dobrze współpracowało.

– Leutnant Georg Cleinow z kontrwywiadu, oddział Posen – przedstawił się przybyły. – Poza tym jestem redaktorem naczelnym „Posener Tageblatt”. Na jego łamach demaskuję wrogie knowania Polaków.

– Czyli wywiad klasyczny i biały – skomplementował go Wirbel.
– Hauptmann Klaus Wirbel z centrali. Poprosiłem pana o spotkanie i dziękuję, że pan przybył. Czy to prawda, co usłyszałem w Berlinie, że został pan niedawno zesłany z Posen do Bromberg?

– Prawda. Zmuszono mnie do wyjazdu do Bromberg, ale herr hauptmannowi nie mogłem odmówić. To, co się tu ostatnio wyrabia, przechodzi wszelkie dopuszczalne granice.

– Proszę usiąść.

Zasiedli przy szerokim, dębowym stole, na którym czekała już na nich karafka z francuskim koniakiem. Wirbel sprawnie nalał trunku sobie i gościowi.

– *Herr leutnant* – przeszedł do rzeczy, trącając się z Cleinowem kieliszkami. – Jestem tu z kilku powodów. Pierwszy, najważniejszy, dotyczy potrzeby szybkiego, błyskawicznego rozeznania się w działalności konspiracyjnej Polaków. Wiemy, że knują, ale – co gorsza – mamy podstawy sądzić, że wspiera ich w tym dyskretnie Warszawa. Nasze służby donoszą o oficerach

105 Z niem. – Wejść!

Wojska Polskiego, którzy potajemnie przejeżdżają wschodnią granicę naszego państwa i wspierają polskie przygotowania do jakiejś akcji w dużym stylu. Zdaje się, że Polacy roją coś o powstaniu. Naszym zadaniem jest zdobycie maksimum wiedzy na ten temat. To pozwoli naszej armii i czynnikom oficjalnym powstrzymać to szaleństwo...

– O ile to jeszcze w ogóle możliwe – wszedł mu dość bezczelnie w słowo Cleinow, odstawiając kieliszek.

– Co pan ma na myśli, herr leutnant?

Szef „Posener Tageblatt” uśmiechnął się kwaśno.

– Powiedzmy sobie szczerze, herr hauptmann – zaproponował.

– Od dawna straciliśmy kontrolę nad wszystkim, co dzieje się w Posen i na prowincji. No, prawie nad wszystkim. Póki co, wojskowe magazyny, koszary i forty są ciągle w naszych rękach, choć co do magazynów, mam już wątpliwości. Polacy co rusz coś z nich wydobywają. A to granaty, a to karabiny... Niestety, rewolucja zbiera swoje tragiczne żniwo, co gorsza – nie bez udziału zrewoltowanych oficerów niemieckich.

– Tak, tak, słyszałem o waszej Radzie Żołnierskiej. Zbyt często idziecie Polakom na rękę, a i oni sami, jak się zdaje, wykorzystują sytuację dwuwładzy do forsowania rozwiązań dla siebie najkorzystniejszych. Słyszałem o tej ruchawce w ratuszu, naprawdę pożałowania godne! Ten cały Twachtmann, co on sobie wyobraża?! Przecież to jest jawne kapitulantwo! Jeszcze odpowie za miękkość wobec Polaków!

– W Posen mamy obecnie trójwładzę, herr hauptmann – sprostował Cleinow. – Oprócz dowództwa V Korpusu Armijnego i tej cholernej Rady Żołnierskiej, wspieranej oczywiście przez Radę Robotniczą, nastąpiło też tąpnięcie w magistracie.

– To znaczy?

– Polacy zmusili do ustąpienia nadburmistrza Ernsta Wilmsa i mianowali na to stanowisko Jarogniewa Drwęskiego.

– A co to za jeden?

– Miejscowy radny i prawnik. A przede wszystkim zagorzały polski nacjonalista.

– I Berlin to zaakceptował? – obruszył się Wirbel.

Był coraz bardziej zszokowany sytuacją. Nie spodziewał się, że sprawy zaszły aż tak daleko.

– Berlin nie zareagował, bo wszystko działo się w najgorszym dla rządu momencie, gdy na ulicach stolicy trwały pochody i walki – wytłumaczył Cleinow. – Poza tym nikt nie chciał dodatkowo zaognić sytuacji w Posen. Polak na stanowisku nadburmistrza oznacza, że od prawie miesiąca nasi przeciwnicy kontrolują wszelkie prace urzędników i mają wgląd w politykę miejską wszystkich szczebli.

– Niepojęte! – Wirbel ze złości poderwał się z krzesła i przespacerował się w milczeniu wzdłuż pokoju. – To nie do przyjęcia! – wybuchnął w końcu ponownie. – To śmierdzi powtórką z Warszawy! Nie możemy do tego dopuścić! Dopóki o przyszłości tych ziem ma zdecydować traktat pokojowy, nie wszystko jeszcze stracone. Na szczęście Polacy nie mają swoich formacji zbrojnych. Może i zdobyli nieco broni, ale przecież nie mają ludzi, wojska! Kogo wyprowadzą na ulice?

Porucznik Cleinow po raz kolejny uśmiechnął się ironicznie, by nie powiedzieć: złośliwie.

– Ma pan, niestety, nieaktualne informacje, panie kapitanie – oświadczył. – Polacy mają już swoje bojówki. No, może nie do końca swoje, ale robią wszystko, by je zdominować. Chodzi o dwie służby: Straży i Bezpieczeństwa oraz Straż Ludową. Formalnie obowiązuje w nich parytet: połowa Niemców, połowa Polaków. Idę jednak o zakład, że Niemcy są tam w mniejszości. Wyraźnej mniejszości. A już na pewno mają polskich dowódców poszczególnych kompanii. Major Dobschütz na czele Służby Straży i Bezpieczeństwa to wyłącznie zasłona dymna.

– Jak to? Kto tym wszystkim steruje, na miłość boską?

– Mają łębskich dowódców. Prawdopodobnie dezertarów z frontu zachodniego. Tyle że jest już po wojnie, nie ma już cesarstwa i niewiele możemy im zrobić.

– Co to za jedni?

– Porucznicy Hulewicz, Paluch, Zakrzewski... Zdolni, młodzi ludzie z dużym doświadczeniem bojowym. Świetna kadra dla buntu.

– Co też pan mówisz!

– Tylko ostrzegam. Wśród Polaków jest też mnóstwo doskonałych podoficerów, ostrzelanych i doświadczonych w dowodzeniu. Szlify zdobywali na froncie zachodnim w naszych szeregach...

Wirbel zatrzymał się przy stole, oparł pięściami o blat i pochylił nad Cleinowem. Spoglądając mu uważnie w twarz, mimowolnie ściszył głos.

– A gdyby tak... spróbować sprzątnąć tego całego Palucha? Albo Hulewicza?

– Jedna próba już była, ale bez efektu. Można zorganizować to po raz drugi. Tyle że teraz są lepiej pilnowani – przytaknął Cleinow; Wirbel dostrzegł w jego stalowych, zimnych oczach błysk entuzjazmu. – To wymaga przygotowań. Zajmę się tym.

– Bardzo dobrze!

Leutnant uśmiechnął się tajemniczo:

– Herr hauptmann wspomniał dotąd o jednym z powodów swojego przyjazdu do Posen. A jakie są inne, jeśli oczywiście to nie tajemnica?

Klaus Wirbel zawahał się przez moment. Nie znał Cleinowa i nie wiedział, na ile może być z nim szczery. Antypolskie nastawienie leutnanta nie ulegało wszakże kwestii. Porzucił wszelkie obiekcje.

– Drugi powód jest służbowo-prywatny – powiedział. – Chodzi o pewnego Polaka, także deztertera. W listopadzie wyrządził nam wiele szkód w Warszawie. Z grupą zbiegów z naszej armii zdeorganizował warszawski garnizon, ułatwiając Polakom przejęcie władzy w mieście. To raz! A dwa: wiele skazuje na to, że był też zamieszany w likwidację mojego agenta. Najlepszego, jakiego kiedykolwiek miałem. Sam pan rozumie, że takich spraw się nie zapomina...

Cleinow włożył dłoń w kieszeń munduru i wyciągnął z niego nieduży, dziennikarski notes z ołówkiem. Ujął go w dłoń i spojrzał pytająco na kapitana.

– Jak się nazywa ten skurwysyn?

– Józef Gabriel Jęczkowiak. Ma 20 lat i jest wyjątkowo

niebezpieczny.

- Postaramy się, by spuścił z tonu, herr hauptmann.
- Właśnie to chciałem od pana usłyszeć.

Część 3.

NAWAŁNICA



XXI.

CIEŃ W BRAMIE

**Poznań, 2 grudnia 1918 r. około dwunastej,
w centrum miasta**

Alarm podniósł niepozorny, chudy łącznik, który wpadł jak bomba na dyżur pogotowia w nowej komendzie POW przy Piekarach 1.

– Radomski aresztowany i odstawiony do Dyrekcji Policji! – wykrzyczał rudy piegus prosto w twarz Jęczkowiaka.

Alfons Radomski, kolega Jęczkowiaka z harcerstwa, niegdyś drużynowy Poznańskiej Drużyny Skautowej im. Bolesława Chrobrego, miał za sobą niewolę rosyjską, a potem dezercję z oddziału niemieckiej piechoty gdzieś na Śląsku. W konspiracji stanął na czele jednej z grup bojowych POW. Tego dnia został wysłany przez kierownictwo organizacji do Urzędu Umundurowania. Miał wy badać, czy możliwe jest pobranie z urzędu butów wojskowych na fałszywe dokumenty. Najwidoczniej jego papiery, a może zachowanie wzbudziły podejrzenie, a potem czujność Niemców, bo Radomski z Urzędu Umundurowania już nie wrócił. Został zatrzymany i przekazany policji.

– Musicie go oswobodzić! – rozkazał Jęczkowiakowi Mieczysław Andrzejewski, który przejął niedawno jako szef Rady Jedenastu¹⁰⁶ władzę nad POW Zaboru Pruskiego. – Weź tego chłopaka i lećcie pod komendę. Zobaczcie, co się da zrobić! Ino szybko, zanim wyprowadzą go z komendy!

Niewiele się namyślając, Jęczkowiak chwycił za pistolet i wraz

106 Organ pomocniczy komendanta POW Zaboru Pruskiego, w tym czasie radzie przewodniczył Mieczysław Andrzejewski, faktyczny komendant POW Zaboru Pruskiego.

z przydzielonym mu podwładnym pobiegli Świętym Marcinem w stronę Dyrekcji Policji. Zdyszani skręcili w Rycerską – i omal nie wpadli na Radomskiego!

Alfred szedł przed siebie, prowadzony przez niemieckiego żołnierza celującego do niego z karabinu. Zmierzali ani chybi w stronę wojskowego więzienia mieszczącego się naprzeciwko fortu Grolman. Przygnębieni przechodnie ustępowali im z drogi, obrzucając więźnia ciekawskimi spojrzeniami.

Widok był przykry, ale Jęczkowiak z podwładnym uniknęli zdemaskowania. Radomski zachował się nad wyraz trzeźwo – udał, że ich nie rozpoznał. Jęczkowiak i towarzysze pozornie minęli Radomskiego z wartownikiem, ale gdy tylko tamci oddalili się nieco, zawrócili, idąc uparcie ich śladem. Z każdym krokiem zbliżali się niepostrzeżenie do Niemca, aż w końcu, na wysokości Luisenstrasse¹⁰⁷, zastąpili mu drogę, celując do niego z dwóch pistoletów.

– *Was ist los?*¹⁰⁸ – zdążył zapytać wartownik, zanim Jęczkowiak fachowo nie odebrał mu karabinu.

– *Uciekaj!* – rzucił do Radomskiego.

Alfonsowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Nie oglądając się, zbiegł pasażem Zespołu Lamberta w kierunku Piekar.

– *Geh weg, Kamerad! Du hast doch nichts gesehen, nicht wahr?* – zagadnął do wartownika z ironicznym uśmiechem Jęczkowiak.

– *Und mein Mauser?* – zawahał się Niemiec.

– *Dein Mauser muss bei uns bleiben. No dobrze, geh zurück, Kamerad! Aber schnell!*¹⁰⁹

Niemiec zaklął pod nosem, ale spełnił polecenie. Nakręcił na pięcie i ruszył szybkim krokiem w stronę Biblioteki Cesarza Wilhelma.

– *Spadamy!* – rzucił do nieznanego kolegi Jęczkowiak i szybko poszli w ślady Radomskiego.

107 Dziś ulica Taczaka.

108 Z niem. – O co chodzi?

109 Z niem. – Wracaj, towarzyszu! Przecież niczego nie wiedziałeś, nieprawdaż? – A mój mauzer? – Twój mauzer musi pozostać u nas. Wracaj, towarzyszu! Tylko szybko!

Biegając łączącym Rycerską z Piekarami Zespołem Lamberta w stronę Odeonu, Jęczkowiak zastanawiał się, czy niemiecka policja podejmie jakieś kroki. I czy ujdzie im to na sucho.

Poznań, 2 grudnia 1918 r., pod wieczór

Za zmrożonymi szybami okien apartamentu Wirbela szybko zapadał zmrok. Hauptmann siedział nad ostatnimi raportami swoich poznańskich podwładnych, z każdym zdaniem lektury pogrążając się w coraz większej złości. Agentura z terenu miasta donosiła bowiem o wzmagającej się mobilizacji po polskiej stronie. Już następnego dnia w Posen miała się rozpocząć duża propagandowa akcja pod nazwą Sejmu Ludowego, choć Polacy określali go raczej Sejmem Dzielnicowym – dla zaznaczenia swoich terytorialnych roszczeń. Mimo utrudnień, jakie starały się wytworzyć policja i wojsko, z różnych stron Niemiec zbiegali do miasta przedstawiciele tamtejszych Polaków. Zanosilo się na to, że tak niechciana przez władze wojskowe impreza się odbędzie. Już sam ten fakt był porażką, a dodatkowo Wirbel wyczuwał, że ten zjazd zakończy się jakimś dokumentem, którego podpisanie Polacy na pewno nagłośnią. Wprawdzie obiecali, że nie będą w trakcie zgromadzenia żądać oderwania żadnej z ziem państwa niemieckiego, ale kto ich tam wie, zdrajców! Pewnie coś uchwalą, a potem pojedą z tym dokumentem na rokowania pokojowe do Francji! A to już nie byłaby klęska – to byłby dramat!

Jakby tego było mało, z komendy miejskiej donieśli mu przed chwilą o zuchwałej akcji uwolnienia Polaka podejrzanego o próbę wyłudzenia dużej partii butów wojskowych z Urzędu Umundurowania. Niemiecki strażnik został otoczony przez uzbrojonych Polaków i zmuszony do oddania broni oraz więzienia. A wszystko to rozegrało się w biały dzień raptem pół kilometra stąd, od zamku cesarskiego! W dodatku na oczach setek polskich cywilów! Większego upokorzenia nie można sobie było wyobrazić!

Wirbel zagryzł ze złości wargi. Przebywał w tym mieście

zaledwie dobę, a już wszystko go tu mierzilo. Spacer po śródmieściu uświadomił mu, że nad porządkiem w mieście czuwa już nie wojsko ani policja, ale lokalna formacja w dziwnych mundurach. Jakby tego było mało, ci uzbrojeni mężczyźni rozmawiali między sobą po polsku! Pozornie oddali mu honory, odzywając się przepisowo po niemiecku. Ale gdy odszedł na kilka kroków, usłyszał to cholerne słowiańskie świszczenie. To zakrawało na jawną prowokację. Ktoś wręcz prosił się o zbrojny polski bunt! Jak można być tak nieodpowiedzialnym i dać Polakom broń? Kto wyraził na to zgodę?

Obiecał sobie solennie, że sprawdzi, kto popełnił ten błąd. Jakież jednak było jego zdumienie, gdy godzinę później w telefonicznej rozmowie z Berlinem dowiedział się, że ta podejrzana formacja to tak zwana Wach- und Sicherheitsdienst, która w dodatku została powołana na polecenie Ministerstwa Pruskiego! Z wrażenia musiał sobie nalać koniaku. Dyletanci! – pomyślał. Skrajni dyletanci! Jeśli to państwo się rozpadnie, to na własne życzenie!

Uspokajała go jedynie myśl, że podwładni Cleinowa zaczęli poszukiwania tego zuchwałego Jęczkowiaka. Dyskretnie, acz systematycznie zaczęli przeglądać wszelkie urzędowe papiery i sprawdzać listy różnych polskich organizacji. Na razie nie otrzymał sygnału, by Jęczkowiak wrócił do Posen, ale kamienica, w której mieszka jego matka, została objęta stałą obserwacją. Prędzej czy później wszystko to powinno przynieść efekt. Na samą myśl o tym zatarł radośnie ręce.

Nagle coś sobie przypomniał. Szybkim ruchem sięgnął do szuflady i wyjął z niej przewiązaną sznurkiem teczkę. Sprawnie uwolnił jej skrzydełka i wyjął ze środka nieduże, dobrej jakości zdjęcie. Zostało wykonane jesienią 1916 roku. Poborowy Jęczkowiak, choć był dość drobnej postury i zdawał się tonąć w fałdach zbyt dużego munduru polowego, miał wyjątkowo beczelny wyraz twarzy. Spod wysokiej pikielhauby spoglądał prosto w obiektyw z zaciśniętymi ustami, jakby chciał powiedzieć fotografowi: „I tak wam ucieknę!”.

– Nie uciekniesz, bandyto – syknął pod nosem Wirbel. – Już ja się o to postaram! Jesteś mi przecież coś winien!

**Poznań, 3 grudnia 1918 r.,
sala Lamberta między Bäckerstrasse i Ritterstrasse**

Wielotysięczny, biało-czerwony pochód, który wyruszył długim węzłem spod poznańskiej fary w stronę Bäckerstrasse, wrył się w pamięć Zbigniewa Kaczmarka na zawsze. Tak okazałej, swobodnej i potężnej demonstracji narodowego ducha jeszcze w swoim życiu nie widział. Kiedy tłum wylał się z kościoła po mszy odprawionej przez biskupa Dalbora, stojący na warcie pod świątynią Kaczmarek poczuł moc, a jednocześnie i pewność, że energia, którą obserwował, nie pójdzie na marne. Z okien kamienic na Jesuitenstrasse¹¹⁰, a także przy rynku zwisały biało-czerwone wstęgi i flagi. Wszyscy, dosłownie wszyscy – od maluchów pod czujną opieką rodziców po staruszki i starców – wylegli na ulice, by pozdrowić okrzykiem delegatów z innych dzielnic, a przy tym obnosić się dumnie z wpiętą w kołnierz lub czapkę narodową kokardą. Udekorowane miasto po raz pierwszy tak wprost, tak bezpośrednio przypominało, że większość jego mieszkańców ciągle czuje i myśli po polsku.

Niemców tego dnia nie było widać. Choć był to wtorek, pozamykali wcześniej swoje sklepy i lokale, przemykając chyłkiem po ulicach. Mimo obaw porucznika Palucha gdzieś zniknęły niemieckie wojsko i policja – jakby ktoś rozsądny po drugiej stronie zrozumiał, że tego dnia nie warto kusić losu. Polacy szli więc ze śpiewem na ustach, zupełnie przez nikogo nie niepokojeni. Między kamienicami poznańskiego śródmieścia niosły się gromko słowa Roty i Boże, coś Polskę.

„...Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie” – śpiewał i Kaczmarek, choć w gardle rósł mu twardy orzech wzruszenia, a oczy szklily się od łez.

Wtórował mu Józek Jęczkowiak, choć bez podobnych emocji.

¹¹⁰ Dzisiaj ul. Świętosławska.

Pewnie dlatego że rozmyślał wtedy o warszawiakach. O tym, ile wydarzyło się tam od jego pamiętnego spotkania z Komendantem. Zazdrościł peowiakom z Warszawy: oni byli już od niemal miesiąca w wolnej Polsce. Tymczasem ta Polska ciągle nie przysłała do Poznania. Choć oni tak bardzo chcieliby jej pomóc...

Musieli być jednak czujni. Podobnie jak i inni ich towarzysze ochraniający przemarsz delegatów. Choć „Posener Tageblatt”, pismo miejscowych Niemców, uspokajał, że Sejm Dzielnicowy nie służy dzieleniu prowincji poznańskiej, nie można było wykluczyć, że jacyś niemieccy nacjonaliści podejmą próbę zakłócenia święta. Dlatego wszyscy członkowie Służby Straży i Bezpieczeństwa oraz Straży Ludowej ochraniający zjazd mieli przy pasach pistolety, a na ramionach karabiny.

Imponujący pochód, jakiego Poznań jeszcze nie widział, przeszedł spokojnie odświętnie udekorowanymi ulicami Neue-Strasse, Wilhelmstrasse i Sankt Martin Strasse na Bäckerstrasse. Sala, zbudowana w poprzednim wieku przez Conrada Lamberta, największa w Poznaniu, dosłownie pękała w szwach. Delegaci wręcz wylewali się z balkonu, wciskali w każdy wolny kąt, wpatrzeni w udekorowaną orłami scenę. Za stołem prezydialnym zasiedli prowadzący obrady z Władysławem Seydą na czele. To on, szczerpy mężczyzna z fantazyjnie podkreślonymi wąsami i szwedzką bródką, szef Koła Polskiego w parlamencie w Berlinie, otworzył obrady. Zaraz potem na marszałka wybrano Stanisława Nowickiego, reprezentującego Narodowe Stronnictwo Robotników. Nad szybko skompletowanym prezydium Sejmu rozpościerał w ochronnych geście skrzydła największy z białych orłów, wieńczący filary scenografii.

Mimo jasnego dnia i wysokich okien, na sali zapalono zyrandole. Wśród przybyłych gości uwagę przyciągał zwłaszcza nadprezydent Provinz Posen, Johann von Eisenhart-Rothe, zaproszony przez Naczelną Radę Ludową. Tajemnicą poliszynela było, że przyjął zaproszenie, gdyż tak polecił mu rząd w Berlinie. Niemcom zależało na stwarzaniu pozorów, że wszystko odbywa się legalnie, a także za przyzwoleniem i pod kontrolą władz.

– Ależ niespodzianka! – Jęczkowiak ze złośliwym uśmiechem wskazał Kaczmarkowi nadprezydenta. – To więcej niż pewne, że przysłali go tu na przeszpiegi. Zaraz po obradach pobiegnie, żeby napisać raport dla kanclerza Eberta! Zobacz, jak już przebiera nogami...

– A niech sobie biegnie, taka jego robota – mruknął niechętnie Kaczmarek. – Póki tu siedzi, możemy być pewni, że Szkiebry nie będą rozrabiać.

– Też prawda, Biniu – uśmiechnął się Jęczkowiak. – Ale jak ich znam, nie zostawią tego w spokoju. Na pewno coś zorganizują, idę o zakład.

– Akurat w tej sprawie zakładać się nie chcę.

– I słusznie, Biniu, bo przegrałbyś z kretesem.

Stali w mundurach skautów nieco poniżej sceny, między stołem prezydyjnym a salą. Morze głów przed nimi dawało nadzieję, że z tej mąki będzie chleb. Choć ze sceny padało wiele wzniosłych słów, ich zadaniem było nie tyle wsłuchiwanie się w kolejne mowy, co nieustanne lustrowanie sali w poszukiwaniu zagrożeń. Stojący przy drzwiach koledzy robili dokładnie to samo, w każdej chwili gotowi wkroczyć do akcji. Godziny upływały jednak szybko, z każdym kwadransiem utwierdzając peowiaków w przekonaniu, że Niemcy nie odważą się zakłócić przebiegu obrad.

Jęczkowiak ich rozumiał: polska demonstracja siły na ulicach miasta musiała dać do myślenia nawet najbardziej zaciekłym nacjonalistom. A obecność nadprezydenta Proviz Posen na sali gwarantowała, że prowokacji nie podejmą żadne oficjalne czynniki.

Po południu napięcie wśród ludzi Jęczkowiaka wyraźnie opadło. Pierwszy dzień obrad zbliżał się ku końcowi, zaznaczony szybko zapadającym za oknami mrokiem. I tylko chłopakom ochraniającym zgromadzenie nie podobało się, że zza stołu prezydyjnego padały układne zdania o tym, że ziemie zaboru pruskiego wrócą do Polski dopiero na mocy układów pokojowych z Niemcami. A już najbardziej irytowało ich zadowolenie malujące się na twarzy nadprezydenta Eisenharta-

Rothego. Gdyby tylko mogli, chętnie zepsuliby mu humor. Ot, choćby jeszcze tego wieczoru.

Poznań, zamek cesarski, tego samego dnia wieczorem

Zamkowe korytarze, długie i zimne niczym wnętrza średniowiecznej warowni, przywodziły na myśl czasy ówczesnych władców. Choć tylko imitowały dawny architektoniczny styl, przypominały czasy dawnej potęgi i chwały Rzeszy, której cesarze decydowali o losach chrześcijańskiego świata. Przechadzający się nimi dla zabicia czasu hauptmann Wirbel nie mógł się pozbyć wrażenia, że krąży wśród duchów świetnej przeszłości. Władca, dla którego ledwie osiem lat wcześniej ukończono ten monumentalny znak potęgi w sercu obcego miasta, okazał się zbyt słaby. Przegrał potężną wojnę i utracił władzę, zmuszony do tego wzmagającą się rewoltą swoich żołnierzy.

Wirbel wiedział, że Wilhelm II gościł tu ledwie kilka razy. Nie zdążył się nacieszyć widokiem majestatycznych sal, nie nasycił się pięknem bizantyjskiej kaplicy ani rozmachem budowli. Zamiast tego przeżył upokarzającą abdykację i ucieczkę do Holandii, skazując się na żywot politycznego banity. A jego potężne cesarstwo, które rzuciło wyzwanie samemu Imperium Brytyjskiemu, a jednocześnie mocarstwu Romanowów, mimo oszałamiającego zwycięstwa na wschodzie musiało pogodzić się z klęską na zachodzie i przystać na upadające warunki rozejmu. Przemieniony w republikę kraj trząsł się teraz w posadach, rozpierany z jednej strony przez zrewoltowane tłumy, a z drugiej – przez różnorodnych Polaków, Alzacyjnyków i Duńczyków. Wszyscy oni zwietrzyli krew – i momentalnie rzucili się na Niemcy jak hieny na padlinę.

Wirbel był jednym z ostatnich, którzy starali się nie dopuścić do ostatecznej klęski. Trwał na posterunku, choć grunt z każdym dniem usuwał mu się spod stóp. Choć zagorzały monarchista,

poparł socjaldemokratycznego kanclerza Eberta i republikę w imię odpowiedzialności za państwo. Rozumiał, że tylko to zapobiegnie chaosowi w armii i powstrzyma rewolucję w kraju. Dobrze wiedział, że Ebert również nienawidzi komunizmu.

Zamek sprawiał wrażenie opuszczonego. Gdyby nie warty na zewnątrz, można by było przyjąć, że to obiekt całkowicie pusty. I tylko fakt, że pierwsze piętro, na którym znajdowały się apartamenty pary cesarskiej, było niedostępne, przypomniał Wirbelowi, że jeszcze niedawno służba oczekiwała tutaj na przybycie władcy. Oficer mógł jedynie zajrzeć przez przeszklone drzwi na długi korytarz, łączący niegdyś sypialnię cesarza i cesarzowej. Nie rozpoznał wszystkich czterech historycznych postaci upamiętnionych posągami zdobiącymi ten trakt. Na pewno byli wśród nich Otton II i Fryderyk Barbarossa. Pozostali musieli być niechybnie postaciami podobnej miary. W zestawieniu z cesarzem, który ratował kraj abdykacją, wydali mu się nagle herosami. Ich wspomnienie boleśnie unaoczniało skalę degradacji, jakiej doznało cesarstwo.

Wyrzwał przez okno korytarza na wyludnione o tej porze ulice miasta. Hulały po nich pyłki śniegu, drobne niczym czarodziejski proszek. Majestatyczne, piękne, okazałe budynki Dzielnicy Cesarskiej: Komisji Kolonizacyjnej, Opery... Czy to wszystko miałoby przepaść? Czy niemiecki uporządkowany Posen, przeciwstawiony ręką genialnego architekta Stübbena chaotycznemu polskiemu Poznaniowi, miał stać się obcą własnością?

Przechodząc zachodnim skrzydłem, dostrzegł na placu naprzeciwko masywny pomnik Ottona von Bismarcka¹¹¹. „Żelazny kanclerz” z pewnością wiedziałby, co robić, pomyślał z goryczą. O tak! On na pewno dałby radę tej wzbierającej polskiej rewolucji...

W milczeniu i całkowitej samotności przeszedł do wschodniego, reprezentacyjnego skrzydła zamku. Puste, pogrążone w ciemnościach przestrzenie ciągnęły chłodem i pesymizmem. Zamkowe echo niosło w głąb odbicia jego podkutych metalem butów o marmury posadzek. Tu, gdzie jeszcze niedawno cesarska

111 Pomnik stał w miejscu, gdzie dziś stoi Pomnik Ofiar Czerwca 1956.

świta w blasku kandelabrow dawala swiadectwo potędze państwa Hohenzollernów, teraz wiało zimnym mroźnym powietrzem. Czyżby ktoś z pracowników zamku zapomniat zamknac okna? A moze...

Wirbel wzdrygnal sie na te irracjonalna refleksje. Nie! Nie moze poddac sie nastrojowi chwili! Nic jeszcze nie jest przegrane czy przesadzone. Owszem, Niemcy przezywaja kryzys, ale przeciez nie z takich porazek wychodzil w swoich dziejach zwyciesko. Tak samo bedzie i tym razem! Trzeba tylko nadal trzymac twardy kurs wobec Polakow, nie pozwolic im podniec glowy!

Ciezkie drzwi do sali tronowej kusily, by je uchylit. Wirbel nigdy tu nie byl, zamek mial w koncu mloda, ledwie osmioletnia metryke. Powoli, naprezajac muskuly, poruszył zelazne skrzydlo. Ustapilo zaskakujaco latwo i cicho, jakby jeszcze wczoraj ktos pilnie naoliwil zawiasy.

Zrobil kilka krokow - i to wystarczylo, by nagle znalazl sie w swiecie Bizancjum. W jednej z jego zapierajacych dech w piersiach bazylik. Sala - choc tonaca w mroku, a moze wlasnie dlatego - robila niesamowite wrazenie. Wielkie, zdobne arkadami okna otaczaly z trzech stron cesarski tron nawiazujacy do stylistyki Orientu. I znowu zobaczył posagi dawnych cesarzy, asystujace teraz martwemu wnetrzu. Nad nimi wisialy rownie martwe galerie, ktore w dawnych, swietlanych czasach zapealnialy sie gošciami i orkiestra...

Widok pustego tronu i dojmujaca cisza przygnębil go. Ileż on by dal, by ta sala znowu rozblysla blaskiem. I wypelnila sie hałasem!

Tymczasem w uszy bila go cisza.

Ta cisza to smierc, przemknęlo przez glowe oficera.

Nie odgonil tej myšli do konca dnia.

Poznań, w tym samym czasie

Przemowienie Korfantego, ktore zdominowalo pierwszy dzien obrad, nastroilo Jęczkowiaka mimo wszystko optymistycznie.

Rozumiał, że politycy muszą ograniczać swoje żądania i nie mogą występować twardo, gdy ciągle jeszcze mają Niemców na karku. Przypomniał mu się Komendant Piłsudski, który w podobnej sytuacji w Warszawie robił wszystko, byle tylko nie palić mostów z niemiecką Radą Żołnierską. Każdy wytrawny polityk musi grać na wielu instrumentach, rozmyślał Józef, opuszczając późnym wieczorem salę Lamberta, w której nie było już zmęczonych delegatów. Nareszcie miał chwilę dla siebie – a ściślej rzecz biorąc: dla rodziny. Do mieszkania matki miał dwa kroki.

Piekary zdały mu się ciemnym wąwozem, oświetlanym tylko punktowo słabym światłem gazowych latarni. Na szczęście wąwozem krótkim, wychodzącym niemal wprost na kamienicę numer 66, w której mieszkali jego bliscy.

Przeskakując przez pochyły bruk Świętego Marcina, dostrzegł podejrzany ruch w ciemnej bramie naprzeciwko rodzinnego domu. Ktoś w długim płaszczu ewidentnie cofnął się w półmrok, chowając się nieudolnie przed jego spojrzeniem.

Poczuł na karku gęsią skórkę.

Znał już to niemiłe uczucie bycia śledzonym.

Cofnąć się i sprawdzić, kto zacz?

Przez ułamek sekundy zawahał się, ale ostatecznie nie skreślił w stronę bramy. Postanowił, że rozegra to inaczej.

– Józus! – Anna Jęczkowiak, z domu Wrońska z radości rzuciła mu się na szyję. – Synus kochany, nareszcie jesteś!

– Mamus! – Jęczkowiak wtulił się w wychudłe ramiona matki. – Tak się cieszę!

Wyczuwała go, przyglądając się z matczyną troską jego zabiedzonym policzkom i mocno zapadniętym oczom. Syn był ogolony, co oznaczało, że przyjechał do Poznania jakiś czas temu.

– Co u ciebie, synku? Opowiadaj! – ponagliła swoje najstarsze dziecko z drugiego małżeństwa.

– Za chwilę, mamus – łagodnie zsunął z siebie jej dłonie, położył palec na ustach i odezwał się szeptem:

– Niech mama zasłoni okna...

Anna Jęczkowiak zdziwiła się, ale wykonała polecenie. Chwilę później oba okna pokoju były już przesłonięte kotarą.

– A teraz, mamus, zgaśmy światło...

Przekręciła pstryczek na ścianie, a pokój pograżył się w mroku.

– Ale... po co to wszystko, Józus?

– Zaraz mamie wszystko wyjaśnię – mruknął, podchodząc do zasłony i delikatnie ją odchylając.

Doskonale widział teraz przeciwległą stronę Świętego Marcina i kilka stojących naprzeciw bram. W tej, która go interesowała, dostrzegł ciemny obrys męskiej sylwetki w płaszczu przypominającym wojskowe wierzchnie okrycie.

Śledzą mnie znowu! – przemknęło mu przez głowę. Atak w Warszawie może nie być ostatnim...

– A o co chodzi, Józus? – twarz matki, która przyłgnęła do niego, zdradzała niepokój. – Co tam widzisz, że tak się chowasz?

– Nic takiego, mamo – uśmiechnął się swobodnie. – Sprawdzam, czy na ulicy stoją nasze posterunki.

– I co, stoją?

– Stoją, mamus. Stoją jak cholera.

– Józus, jak ty się wyrażasz!

– Przepraszam kochaną mamusię...

– A co, teraz może zapalimy światło?

– Bardzo proszę – opuścił zasłonę i odszedł od okna.

Gdy matka ponownie rozświetliła pokój, zasiedli przy stole, ciesząc się swoją obecnością. I właśnie wtedy zasypał ją pytaniami:

– Jak się mamusia czuje? Jak zdrowie? A co u moich braci?

– Ludwik i Zygmunt są na służbie.

– Służbie?

– Pełnią straż w forcie na Zawadach...

– Znaczą się, w forcie Prittwitz.

– Może i tak, ja tam się na tych fortach nie znam – Anna Jęczkowiak uśmiechnęła się zakłopotana. – Chłopcy są w kompanii Straży i Bezpieczeństwa.

– O! A Leonek, nasz najmłodszy?

– Ciii! Śpi w pokoju obok. Lepiej go nie budźmy. Porozmawiasz z nim rano, jak się wyśpisz. Zrobię ci łóżko obok niego...

Jęczkowiak pogładził czule dłoń matki.

- Innym razem, mamuś – powiedział przeproszającym tonem.
 - Innym? To jeszcze nie wróciłeś? – w jej głosie wybrzmiał autentyczny żal.
 - Dzisiaj nie mogę tu zostać. Jeszcze nie mogę. Ale... To już niedługo, mamuś. Naprawdę niedługo.
 - Co niedługo, synuś?
- Nie odpowiedział. Ucałował matkę, wstał od stołu i wyszedł z mieszkania. Nie chciał, by widziała, że wzruszenie odebrało mu mowę.

Wapno pod Wągrowcem, 4 grudnia 1918 r., rankiem

Obudził go głuchy wybuch. Przeciągnął się zdziwiony, poderwał z łóżka i wyrzwał przez zaparowane okno.

Szybko wzniesionej ledwie kilka lat wcześniej kopalni przypomniał Franciszkowi, że pod jego rodzinną wsią odkryto bogate pokłady soli. Wcześniej wydobywano tu gips, ale szybko zorientowano się, że głębiej zalega wspaniała, czysta sól – o wiele lepszej jakości niż ta z Wieliczki czy Bochni. Wydobywanie tego cennego minerału musiało szybko wzrastać, bo – jak dowiedział się od brata – dwa razy na dobę tutejszą ciszę zakłócały wybuchy. Niemcy zdobywali sól metodą strzałową, wykorzystując do tego dynamit. I właśnie kolejny wybuch w kopalni obudził Jacha.

- Znowu strzelają. – Stach już nie spał.

Podparł głowę na łokciu i ze swojego łóżka przyglądał się uważnie starszemu bratu.

- A na tym niebie, znaczy się we Francji, to do ciebie strzelali?

Franciszek uśmiechnął się szczerze. To pytanie mile połechtowało jego próżność.

- A jak myślałeś? To była wojna, bracie. Jak nie my ich, to oni nas. Tak jest zawsze. Z kilkoma Francuzami musiałem stoczyć powietrzne walki. Na szczęście pozostały nierozstrzygnięte, choć nasza maszyna była postrzelana jak sito.

- Na szczęście? – podchwycił Stach.

Zawsze potrafił wyłapać najciekawszy fragment opowieści brata i pociągnąć go za język.

– No tak, na szczęście. Bo wcale nie uśmiechało mi się walczyć za Wilusia.

– Ale Wilusia już nie ma. Tak ojciec mówił...

– Uciekł do Holandii. Ustąpił z tronu.

– Ale walczyć musiałeś.

– Taki był rozkaz. Zresztą, leciałem zwykle z Paulem, moim dowódcą.

– Z Niemcem? – Oczy chłopaka rozszerzyły się gwałtownie. – Jaki był dla ciebie?

– Był w porządku. Nie wywyższał się, traktował mnie po koleżeńsku, chociaż był oficerem.

– Chyba go już nie poznam?

– A po co? – Ostatnie pytanie braciszka zupełnie go zaskoczyło.

– Lepiej, żebyś nie musiał go poznawać. Niech sobie wróci do Niemiec. Tak by było najlepiej.

– Może i tak... – westchnął filozoficznie Stach. A zaraz potem dorzucił z zazdrością w głosie: – Ech, ty, to masz życie! Możesz teraz tyle opowiadać!

– Ciekawie to dopiero będzie, bracie. Jeszcze zobaczysz! – Franciszek postanowił się z nim podrażnić.

– Ale co? Jak? – Brat był wyraźnie zdezorientowany. – Szykuje się jakaś akcja w okolicy?

– Za dużo chciałbyś wiedzieć, Stachu. Za dużo! Wszystko w swoim czasie!

Poznań, zamek cesarski, 4 grudnia 1918 r., przed południem

Ktoś zastukał mocno w drzwi apartamentu hauptmanna.

– *Herein!* – zawołał znad śniadania.

Do środka wszedł rażnym krokiem dobrze zbudowany mężczyzna w cywilnym ubraniu. Mógł liczyć nie więcej niż dwadzieścia lat. Wyraz jego twarzy zdradzał jednak, że miał już

za sobą niejedną tajną operację.

– Gefreiter Friedlich, z rozkazu leutnanta Cleinowa! – zameldował się oficjalnie, stukając obcasami.

– Proszę usiąść, Friedlich – łaskawie zezwolił mu Wirbel. – Napije się pan kawy?

– Dziękuję – gefreiter usiadł po drugiej stronie stołu, nieco zaskoczony przychylnym zachowaniem wysokiego rangą oficera.

– Co mi przynosicie, Friedlich?

– Mam zakomunikować, herr hauptmann, że poszukiwany Jęczkowiak został namierzony w Posen.

Wirbel omal nie zachłysnął się kawą. Odstawił ją tak gwałtownie na podstawkę, że ta rozlała się nieco na talerzyku.

– To... – odchrząknął radośnie. – To wspaniała wiadomość! Proszę serdecznie powinszować i podziękować leutnantowi w moim imieniu. Kiedy go odnaleźliście?

– Nasz agent ustalił, że wczoraj po godzinie dwudziestej trzeciej odwiedził swoją matkę w kamienicy przy Sankt Martin Strasse 66. Odwiedził, bo nie przebywa tam na stałe.

– Gdzie zatem mieszka?

– Nie udało się nam póki co dowiedzieć, gdzie przebywa. Nasz agent podjął próbę śledzenia Jęczkowiaka po tym, jak opuścił on mieszkanie matki. Niestety, śledzony wykorzystał sobie tylko znany skrót przez jedno z podwórek i zgubił naszą obstawę.

Niedobrze, pomyślał szybko Wirbel. Już wie, że go poszukujemy. Będzie czujny i nieufny...

– Proszę zatem podjąć obserwację lokali polskich stowarzyszeń i organizacji – polecił podoficerowi. – Prędzej czy później musi się gdzieś znowu pojawić. Jeśli będziemy uważni, namierzymy go ponownie.

– *Jawohl, Herr Hauptmann!*¹¹²

– Musicie jednak działać bardziej dyskretnie – poradził Friedlichowi. – Skoro obserwowany zorientował się, że jest śledzony, nie wystawia to najlepszego świadectwa naszemu agentowi.

– Oczywiście, przekażę pana uwagę.

112 Z niem. – Tak jest, panie kapitanie.

– Zatem oczekuję kolejnych dobrych wieści, Friedlich.
Odmeldować się!

– *Jawohl, Herr Hauptmann!*

Gefreiter zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Wirbel wytarł usta chustą, rzucił ją na stół i wstał z krzesła. Czuł radość i satysfakcję. Przechadzając się po przekątnej pokoju, zastanawiał się w milczeniu, czy Jęczkowiak również tu, w Posen, wykonuje jakieś ważne dla Polaków, tajne zadanie. Jeśli tak, to on, Klaus Wirbel, hauptmann kontrwywiadu byłych cesarskich Niemiec, z radością pokrzyżuje mu plany.

XXII.

ROZKAZ Z BERLINA

Poznań, około 6 grudnia 1918 r., pod wieczór

Niemiecki policjant kręcił się uparcie wokół Petriplatz, co irytowało Jęczkowiaka i towarzyszącego mu Sieroszewskiego. Co chwila zerkali w stronę wąskiej Halbdorfstrasse¹¹³, wypatrując dwukonnej dorożki Milczyńskiego. Właściciel dorożek z Breslauerstrasse¹¹⁴ użyczył jej bezpłatnie Wierzejewskiemu i jego kompanom, by wykonali kurs do jednego z fortów na Górczynie. Pojechali w szóstkę, by odebrać cztery skrzynie po pięćdziesiąt granatów każda. Peowiak, który stał na warcie w forcie, o umówionej porze po prostu zdezerterował, zostawiając granaty na łup kolegów. Teraz chodziło o to, by bezpiecznie dowieźć zdobycz do stajni na Breslauerstrasse.

Jęczkowiak wiedział, że Wierzejewski i spółka pojedą przez Dębiec i Wildę. Krytycznym punktem był właśnie Petriplatz – krzyżówka kilku ulic, strzeżona zawsze przez policjanta stojącego na brukowanej wyspie pośrodku skrzyżowania.

– Jadą! – syknął Sieroszewski, wskazując głową w stronę Halbdorfstrasse.

Jęczkowiak zerknął w tamtą stronę i dostrzegł powóz ciągnięty przez dwa siwki. Dorożka znajdowała się już na wysokości „księżych portek”¹¹⁵, a to oznaczało, że lada chwila dostrzeże ją niemiecki policmajster. Wokół było pusto i cicho – wydawało się

113 Dziś ul. Półwiejska.

114 Dziś ul. Wrocławska.

115 Poznańska nazwa zwyczajowa dla kościoła ewangelickiego pod wezwaniem św. Piotra, który stał u wylotu ulicy Półwiejskiej do 1945 r. Nazwa wzięła się z kształtu kościoła: dwie wąskie, wysokie wieże po obu stronach nawy głównej sprawiały wrażenie wiszących na linie spodni.

niemal pewne, że Niemiec zatrzyma dorożkę do kontroli...

– Działamy! – rzucił Jęczkowiak.

Obaj towarzysze w cywilnych łachach wysunęli się z krzykiem z bramy kamienicy przy Strzeleckiej. Szarpiąc się za poły płaszczy, wyzywali się ordynarnie, pozorując potężną kłótnię.

– Ja ci dam, ty łachudro! – darł się w niebogłosy Jęczkowiak. – Nie będziesz ty się więcej dobierał do mojej Ludwiki!

– Ręce przy sobie, gelezjo!¹¹⁶ – Sieroszewski nie zamierzał być gorszym aktorem, popychając kolegę w stronę ulicy, aż ten omal się nie wywrócił. – Widzieli go: jaki święty! A kto wczoraj u Jadzki moją Anielkę obmacywał?! No, kto?!

– Zamknij pysk, ty gnojku!

– To ty zamknij! A masz! – pięść Sieroszewskiego prawie dosięgła twarzy Jęczkowiaka.

Zwarli się w zapaśniczym uścisku, niczym atleci na ringu, wykrzykując stek obelg i nieparlamentarnych supozycji. Mimo chłodu, w kilku oknach kamienic błyskawicznie pojawili się gapie. Awanturą zaczęła żyć cała dzielnica.

Jęczkowiak łypnął w stronę wysepki na skrzyżowaniu. Sukces! Była pusta! Zaraz jednak dostrzegł zbliżającą się ku nim w leniwym tempie sylwetkę zwalistego policjanta.

– Chodu! – krzyknął do kolegi, gdy policmajster był już tuż przy nich.

Porzucili udawaną szarpaninę i rzucili się do ucieczki w stronę Zielonych Ogródków.

Policmajster stał niedaleko przystanku tramwajowego zupełnie zdezorientowany. Dwaj żule, którzy jeszcze przed chwilą toczyli ze sobą bójkę na śmierć i życie, wydawali mu się nieźle pijani. Tymczasem, zupełnie niespodziewanie, jakby dostali niewidzialny zastrzyk sił! Gdy tylko się do nich zbliżył, zbiegli w imponującym tempie.

– *Na ja, wer versteht die Polen?*¹¹⁷ – mruknął sam do siebie, chowając pałkę za pas.

Nawet nie zauważył, że w tym samym momencie za jego

116 Z gwary poznańskiej – niezdara.

117 Z niem. – No tak, kto zrozumie Polaków?

plecami dorożka przejechała bezpiecznie przez Petriplatz, skręcając w stronę Breslauerstrasse.

**Poznań, 7 grudnia 1918 r.,
w budynku Dowództwa V Korpusu Armii na Seecktstrasse**

– Dlaczego uważa pan, herr hauptmann, że Polacy sposobią się do buntu?

Pytanie generała Fritza von Bock und Polach zawisło w powietrzu niczym dym z jego cygara, które przed chwilą odłożył do obszernej, srebrnej popielnicy.

– Bo ich dobrze znam, panie generale – odpowiedział po chwili namysłu Wirbel.

– Och, to nie jest odpowiedź godna profesjonalisty! – zachnął się generał. – Opiera się pan wyłącznie na swoich przecuciach? Intuicji?

– Nie tylko, panie generale – Wirbel był zdenerwowany tonem, jakim rozmawiał z nim ten nadęty wojskowy. – Posiadam mnóstwo informacji wywiadowczych od naszej agentury, świadczących o tym, że zbiegli z jednostek frontu zachodniego dezertrzy, którzy ukrywają się w Posen i okolicy, od września werbują sobie podobnych do grup o charakterze zbrojnym czy wręcz terrorystycznym. Grupy te wielokrotnie wykrały już broń z naszych koszar i magazynów. Nie wierzę, że te fakty nie są znane panu generałowi...

– Słyszałem to i owo – warknął von Bock und Polach, niezadowolony z faktu, że musiał przyznać rację oficerowi kontrwywiadu. – Ale takie rzeczy są naturalne w momentach, że tak powiem, rewolucji czy tym podobnych zachwiań. Zapewniam pana, że od końca listopada sytuacja w naszym garnizonie ustabilizowała się i została w pełni opanowana. Z frontu sukcesywnie spływają do koszar nasze pułki, co z każdym dniem korzystnie wpływa na proporcje sił w mieście. Nie wierzę, że garstka frustratów rzuci się do walki z tysiącami naszych świetnie wyszkolonych, sprawdzonych w boju wiarusów. To

byłoby z ich strony czyste szaleństwo!

Wirbel westchnął mimowolnie.

– To nie są dyletanci, panie generale – podkreślił. – Ci Polacy również walczyli na froncie za Kaisera. Przynajmniej do czasu masowych dezercji latem tego roku. Zebrali więc doświadczenie bojowe, wielu z nich to podoficerowie, którzy dowodzili na poziomie plutonu czy kompanii...

– No właśnie! Kompanii! – machnął ręką generał von Bock und Polach. – W armii cesarskiej celowo wprowadzono ograniczenia w awansach dla żołnierzy pochodzenia polskiego, by nie wypromować przypadkiem zbyt wielu oficerów. Oni po prostu nie mają dowódców, herr hauptmann! Nawet jeśli dojdzie do jakiejś ruchawki w Posen, w co osobiście nie wierzę, zgniemy ich szybciotko. Feldwebel na czele to nie to samo, co hauptmann czy major! A poza tym mamy lotnictwo! Proszę o tym nie zapominać. W razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa możemy nakazać Ławicy, by nasi lotnicy zbombardowali buntowników.

Ależ on naiwny! – przemknęło przez głowę Wirbela.

– A przypadki napaści na naszych żołnierzy i odbierania im broni? – zapytał. – Jest ich coraz więcej. Zaczyna to przypominać wszystko to, co w listopadzie działo się w Warschau!

Generał podrapał się po łysiejącej głowie. Podeszedł do okna swojego reprezentacyjnego gabinetu i wyjrzał na zewnątrz. Opadłe liście jesionów obsypały gęsto trawnik wokół pomnika cesarza Wilhelma I zdobiącego trawnik przed gmachem dowództwa korpusu.

– Do czego pan zmierza, Wirbel?

– Chciałbym prosić pana generała o wzmożoną czujność. I o zarządzenie najwyższego stanu gotowości w koszarach. We wszystkich jednostkach.

– To przesada – wszedł mu w słowo von Bock und Polach. – Wystarczy, że wrócił już do Posen pierwszy batalion 6 Pułku Grenadierów. Już panu mówiłem, w razie potrzeby świetnie da sobie radę z tymi Polakami. W ostateczności, ile oni mogą wystawić uzbrojonych ludzi? Najwyżej kilka kompanii!

– Pod płaszczykiem różnorodnych straży utworzyli też jednostki

paramilitarne na prowincji. One mogą przyjść z pomocą Polakom z Posen...

– Czy aby nie ponosi pana fantazja, herr hauptmann? Powstanie w Provinz Posen? Zdaje się, że nie przerabialiśmy tego od dobrych siedemdziesięciu lat! Naprawdę pan sądzi, że zerwą się tym razem? Jaką oni mają siłę ognia? Te kilkaset karabinów? Nasze karabiny maszynowe zrobiłyby z nimi porządek w kwadrans!

Twarz Wirbela poczerwieniała z wściekłości, jakby dostał wylewu. Opanował się jednak w porę. Durny bufon! – pomyślał w złości. Przez takich zadufanych w sobie idiotów przegraliśmy tę wojnę...

– *Herr General*, wykonałem swój obowiązek – oświadczył z godnością, cedząc wolno każde słowo. – Przestrzegam raz jeszcze przed lekceważeniem Polaków. Proszę uważać i być czujnym, żebyśmy potem nie żałowali naszej lekkomyślności.

Stuknął obcasami, skłonił głowę i wyszedł z gabinetu generała.

– Lekkomyslności! – sarknął ze złością Fritz von Bock und Polach. – Przespali rewolucję w Warschau, a teraz pouczają nas w Posen! Już ja wiem najlepiej, co trzeba robić. Nie będzie mnie pouczał żaden mądrała z Berlina.

Poznań, Breslauerstrasse, w tym samym czasie

Dwukołowy wózek nakryty czarnym pokrowcem wyglądał jak pchana przez dwóch osiłeków trumna. Nieboszczyk w środku musiał być tęgi za życia, bo młodzi mężczyźni wytoczyli wózek ze stajni Milczyńskiego nie bez trudu, a potem – stękając z wysiłku – nakręcili nim w Schulstrasse¹¹⁸. Wysoki, wilgotny bruk nie ułatwiał im sprawy. Co chwila drżeli o zawartość przesyłki, starając się uchronić ją wolnymi dłońmi od przechyłu i upadku.

Spicili się zaś nie z wysiłku, ale ze strachu.

Nie wiedzieli tego jednak postronni obserwatorzy śledzący przypadkiem ich zmagania. Młodzieńcy przejechali wózkiem

118 Dziś ul. Szkolna.

ulicą Szkolną obok ceglanego gmachu szpitala miejskiego, by znowu zakręcić – tym razem w Ziegenstrasse¹¹⁹, w stronę hurtowni szkła Zborowskiego.

Dopiero tam, na miejscu, gdy pracownicy hurtowni zamknęli za nimi ciężkie, drewniane skrzydła bramy, Jęczkowiak i Kaczmarek odetchnęli z prawdziwą ulgą.

– No, wystarczy ich dla całej kompanii – zażartował Jęczkowiak.

Tajny magazyn broni Polskiej Organizacji Wojskowej Zaboru Pruskiego przy Ziegenstrasse powiększył się właśnie o cztery skrzynie granatów.

Poznań, dzień później, w lokalu POW przy Piekarach 1

Kaczmarek siedział na krześle, z zainteresowaniem studiując niemiecką broszurę, która wpadła mu w ręce godzinę wcześniej na Świętym Marcynie. Uwagę zwracał już tytuł publikacji: *Wohin gehört Posen?*¹²⁰ Im dłużej studiował tę niewielką książeczkę, coraz bardziej zalewała go krew. Nieznany autor – jakiś niemiecki nacjonalista – powoływał się bezczelnie na 13 punkt orędzia prezydenta Wilsona, mówiący o utworzeniu państwa polskiego z „bezsprzecznie polskich ziem”. *Czy prowincja poznańska jest bezsprzecznie polskim krajem?* – pytał autor. I zaraz potem, posługując się urzędowymi statystykami, starał się udowodnić, że Niemcy – choć liczebnie słabsi – są silniejsi gospodarczo od Polaków i mają „zasługi dla kultury”. A Provinz Posen, nastawiona na produkcję i eksport żywności, jest silnie powiązana gospodarczo, a także poprzez system dróg wodnych i kolejowych, z Niemcami. *Prowincja poznańska jest niezbędną dla wyżywienia narodu niemieckiego* – lamentował autor.

– Ej, chłopaki! – nie wytrzymał Kaczmarek. – Posłuchajcie, co Szkiebry piszą do swoich czytelników!

Kilku towarzyszy oderwało się od pucowania szmatkami luf karabinów i spojrzało na Kaczmarka z zaciekawieniem.

119 Dziś ul. Kozia.

120 Z niem. – Do kogo należy Poznań?

– Prowincja poznańska nie jest krajem polskim, lecz krajem niemieckiej kultury i obyczajów – przeczytał po niemiecku Kaczmarek. – W prowincji nie ma czysto polskich obszarów; rozdzielenie niemieckiego i polskiego obszaru językowego jest niemożliwe. Poznańskie należy gospodarczo i strategicznie do Niemiec i jest z nimi ściśle powiązane. Przyznanie tej prowincji Polsce niczego nie rozwiąże, przeciwnie: będzie oznaczać ciągłe zagrożenie dla pokoju...

– Przestań czytać to świństwo! – zdenerwował się Kubiak. – Przecież widać, że to same kłamstwa.

– Będzie dobre na rozpałkę w piecu – zażartował Anielak.

– Co za bezczelność – ocenił Kaczmarek, ciskając broszurę w ką. – Jeśli oni kładą swoim do głów takie pierdoły, to nic dziwnego, że potem Szkiebry są takie zajadłe...

W tym momencie do pokoju wszedł z rozmachem Wierzejewski. Kaczmarek poderwał się z krzesła.

– Kaczmarek, pójdziesz na patrol z Kubiakiem. Trzeba sprawdzić okolice Fortu Grolman, czy przypadkiem Niemcy nie szykują nam jakiejś niespodzianki – rozkazał Wierzejewski.

– Tak jest! – Kaczmarek już był gotów. – Ten fort, to dobrze by było zająć, panie komendancie... Oni siedzą za blisko nas. Są jak drzazga w dupie...

– No, no! Wyrażajcie się, Kaczmarek! Już ja wiem, co by było dla nas dobre!

– Kiedy...

– Nie dyskutować! Wykonać!

– Tak jest! Tak jest!

Poznań, 9 grudnia 1918 r., na zamku cesarskim

Nowe warty przed wejściem do zamku od strony budynku Intendentury Wojskowej nie uszły uwagi Wirbela. Członkowie nowej formacji mieli mundury podobne do niemieckich, tyle że na rękawach nosili opaski z nazwą nowej formacji. Z odległości hauptmann nie był w stanie odczytać, o jaką jednostkę chodzi, ale

intuicyjnie wyczuwał, że nie jest to czysto niemiecka formacja. Wyglądało to na jakąś straż ludową, wyposażoną w karabiny. Najbardziej jednak drażnił Wirbela fakt, że cała kompania tej formacji niespodziewanie zadomowiła się na dobre w pomieszczeniach na parterze zamku, czyniąc z nich coś w rodzaju swojej komendy. Za rządów cesarza Wilhelma taka samowola byłaby nie do pomyślenia!

Trzeba to przeczekać, uznał, zapalając papierosa. Trzeba to przetrwać, sprawy wracają przecież z wolna w stare koleiny. Hindenburg odebrał już przecież władzę radom robotniczo-żołnierskim, a oficerowie sukcesywnie odzyskują kontrolę nad armią. Najlepiej idzie to w pułku lotniczym na Ławicy. Tak, tam zgromadził się najbardziej patriotyczny element – trzeba się na nim oprzeć. Jeszcze miesiąc, góra dwa, i niemieckie władze znowu poczują pewność oraz moc. Żeby tylko Polacy...

Dźwięk telefonu zmącił ciszę panującą w apartamencie oficera. Klaus Wirbel niechętnie podszedł do aparatu i ujął dłonią połączoną słuchawkę.

– Hauptmann Wirbel, słucham.

– Centrala! – usłyszał krzykliwy głos łącznika w Berlinie. – Łączę rozmowę z generałem Schauderem!

Na dźwięk nazwiska przełożonego Wirbel odruchowo wyprostował się, jakby za chwilę miał osobiście odbierać defiladę na Unter den Linden. O co może chodzić tym razem temu staremu pierdole?

– Wirbel? – generał miał nieprzyjemny, skrzekliwy głos. – Niech pan mnie słucha. Jest pilne zadanie. Bardzo pilne. Na dziś! Chodzi o złoto zgromadzone w Banku Rzeszy w Posen...

– Tak? – Wirbel poczuł niepokój.

– Trzeba zabezpieczyć je przed ewentualnością przejęcia go przez zrewoltowanych Polaków.

– Rozumiem.

– Dotarli do nas realne informacje, że polscy konspiratorzy ostrzą sobie zęby na to złoto. Chcą z niego sfinansować rebelię. Sam pan rozumie, jakie to ważne, by nie dostało się pod żadnym pozorem w ich ręce...

– *Selbstverständlich!*¹²¹

– Cieszę się, że się rozumiemy, Wirbel. A teraz proszę posłuchać. Jeszcze dzisiaj wieczorem z Berlina przyjedzie do Posen specjalny pododdział, którego zadaniem będzie konwojowanie złota do stolicy. Dowodzić nim będzie leutnant Tiedemann, jakiś daleki krewny naszego znajomego z Deutscher Ostmarkenverein¹²². Pańskim zadaniem, Wirbel, będzie pomóc im w dyskretnym i sprawnym załadunku, a potem w wywiezieniu transportu poza granice Posen.

– *Jawohl!*

– Tylko niech mnie pan tym razem nie zawiedzie, Wirbel! Jestem wystarczająco zły po tym warszawskim fiasku...

– Wszystko będzie, jak należy, panie generale!

– Mam nadzieję. Leutnant Tiedemann stawi się najpierw u pana, w zamku. Proszę udzielić mu wszelkiej niezbędnej pomocy! Jutro nad ranem złoto ma być w Banku Rzeszy w Berlinie!

– *Jawohl, Herr General!*

– Po akcji proszę o natychmiastowy meldunek. Powodzenia!

Wirbel z trudem odłożył słuchawkę na widełki. Nagle stała się bowiem ciężka, jakby odlana była z ołowiu. Prawą dłońią odłożył papierosa na popielnicę i poluzował kołnierzyk pod szyją.

Nie spodziewał się, że sprawy zajdą aż tak daleko.

Skończyły się podchody, a zaczęła wojna, pomyślał. Skoro wywozimy złoto, gra idzie już na całego.

Poznań, na Piekarach, późnym wieczorem

Wrócili z patrolu zmęczeni, ale zadowoleni. Najważniejsze ustalenie brzmiało: Niemcy z fortu Grolman nie przejawiają

121 Z niem. – To oczywiste!

122 Niemiecki Związek Marchii Wschodniej, przez Polaków zwany potocznie Hakatą, od pierwszych liter nazwisk jego założycieli: Ferdynanda von Hansemanna, Hermanna Kennemanna i Heinricha von Tiedemanna. Założony w Poznaniu w 1894 r., był antypolską organizacją niemieckich nacjonalistów dążących do germanizacji ziem zaboru pruskiego.

praktycznie żadnej aktywności. Siedzą zamknięci za osłoną ponad metrowej grubości murów, nie wyściubiając nosów do miasta.

– Przed wartownią dwóch żołnierzy, poza tym ani śladu innych uzbrojonych – zameldował dowódca Kaczmarek.

– I oby tak do samego zwycięstwa – skomentował Wierzejewski. – Oczywiście naszego, chłopcy! – dorzucił natychmiast wesołym tonem.

– A gdzie Józek? – Kaczmarek rozejrzał się wokół.

Nie widząc Jęczkowiaka, szczerze się zmartwił. Miał nadzieję, że razem z kompanem z drużyny skautowej pójdą na piwo i zabawią w mieście. Czuł potrzebę rozmowy aż po błądy świt – słyszał wszak o warszawskich przewagach Jęczkowiaka, ale na dobrą sprawę nigdy nie miał okazji skłonić go do dłuższych zwierzeń. Józek pozostawał skryty i sam mówił o tamtych dniach niechętnie. Podobno przyznał się komuś, że rozmawiał z samym Piłsudskim! Tyle że zapytany o to, tylko się tajemniczo uśmiechnął...

– Józek na własne życzenie poszedł na patrol na ulicę Wilhelma – mruknął Kubiak. – Zdaje się, że chciał przy okazji zajrzeć do matki. Ale jeszcze tu wróci, nic się nie martw...

Nie zdążył skończyć zdania, gdy drzwi komendy rozwarły się z hukiem, omal nie wypadając z zawiasów.

– O wilku mowa – wyrwało się Wierzejewskiemu.

Rozpalone policzki i rozbiegany wzrok Jęczkowiaka z miejsca wzbudził jego niepokój.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Niemcy rychtują¹²³ coś pod Bankiem Rzeszy! – krzyknął Jęczkowiak. – Podjechali w dwa samochody, mają chyba z pluton wojska! Ustawili się wokół wejścia do banku i zaczęli z niego coś wynosić!

– Co?!

– Nie wiem, jakieś skrzynie!

Wierzejewski w jednej chwili pojął, że dzieje się coś niedobrego.

123 Z gwary poznańskiej – szykują, przygotowują.

– Leć do Palucha i powiedz, co usłyszałeś! Niech natychmiast podeśle nam ludzi na ulicę Wilhelma! – ryknął na stojącego najbliżej Kubiaka.

Ten jeszcze nie zdążył wybiec w stronę placu Wilhelma, gdy Wierzejewski komenderował już Jęczkowiakiem, Kaczmarkiem i kilkunastu innymi mężczyznami w mundurach skautów oraz Służby Straży i Bezpieczeństwa:

– Szkiebry najpewniej wywożą pieniądze albo złoto! Za żadne skarby nie możemy do tego dopuścić! – szybko ocenił sytuację Wierzejewski.

A zaraz potem wydał rozkaz:

– Wziąć broń, przeładować! I za mną!

Poznań, pod Bankiem Rzeszy na Wilhelmstrasse, pięć minut później

Ostatni klienci sąsiadującej z Bankiem Rzeszy kawiarni „Francuskiej”¹²⁴ w popłochu opuszczali jej ciepłe, przytulne wnętrza, żałując, że zasiedzieli się tak długo. Widok uzbrojonych żołnierzy odgradzających kordonem resztę ulicy od banku i mierzących w ich stronę z karabinów skutecznie skłonił ich do ucieczki.

Tylko co odważniejsi cywile kątem oka dostrzegli, że za plecami wojaków w hełmach wzór 1916 odbywała się wzmożona akcja ładowania skrzyń na dwie wojskowe ciężarówki mające berlińskie numery. Towar musiał być ciężki, bo pracownicy bankowi dźwigali skrzynie po dwóch, a nawet czterech, aż postęgując z wysiłku. Po ich zaczerwienionych – bynajmniej nie od mrozu – twarzach znać było, że bardzo im się spieszy.

Oddziałem ochrony dowodził oficer w mundurze, stojący niemal na wprost wejścia do banku. Trzymał w dłoni lugera, rzucając nerwowe spojrzenia – raz w stronę kościoła św. Marcina, raz na plac Wilhelma i hotel Bazar. Zwłaszcza ten

¹²⁴ W nieistniejącym już Hotelu Francuskim (dziś na rogu al. Marcinkowskiego i ul. Podgórznej).

ostatni kierunek wyraźnie go niepokoił.

Choć był czujny, i tak został zaskoczony. Ludzie Wierzejewskiego nadbiegli z dwóch stron – Kaczmarek z towarzyszami od strony kawiarni Hyżewicza na Bergstrasse¹²⁵, a Jęczkowiak – od strony pomnika Higiei. Ciągnęli za sobą kłęby pary – jak parowozy pędzące na pokaz. Albo jak żądne krwi charty na polowaniu.

– *Halt!* – krzyknął Wierzejewski w stronę niemieckiego oficera.
– *Im Namen des Volksrats...*¹²⁶

Ale Niemiec nie zamierzał go słuchać.

– *Vorsicht!* – zakomenderował swoim podwładnym. A zaraz potem odkrzyknął do Polaka: – *Geht raus! Wir werden schiessen!*¹²⁷

Obie uzbrojone grupy stanęły naprzeciwko, celując z bliskiej odległości w piersi i głowy. W powietrzu zapachniało zbiorowym samobójstwem. Żadna ze stron nie miała przewagi. Żadna nie zamierzała ustąpić.



Hauptmann Wirbel stał z wyprostowaną dłonią, celując ze swojego lugera w najbliższego żołnierza w granatowym stroju zimowym Wacht- und Sicherheitsdienst. Wiedział, że ma przed sobą Polaków, choć wielu z nich nosiło sukienne płaszcze wojskowe i furazerki pruskiej piechoty.

Cholerni dezserterzy, przemknęło mu przez głowę. Dla takich jak oni jest tylko jedna droga: sąd wojenny i egzekucja...

Był wściekły, że sprawa się wydała. Gorączkowo rozmyślał, co powinien teraz zrobić. Przebijać się w tej sytuacji? Nedorzeczność! Może i by się udało. Ale raczej nie. Polacy wystrzelaliby mu ludzi jak kaczki. Co zrobić?

*Scheisse*¹²⁸, co zrobić?!

125 Dzisiejsza ul. Podgórna.

126 Z niem. – Stać! W imieniu Rady Ludowej...

127 Z niem. – Odejdźcie! Będziemy strzelać!

128 Z niem. (wulg.) – gównno!



Jęczkowiak z mauzerem przy piersi podbiegł do Wierzejewskiego.

– Co robimy, dowódco? – zagadnął nerwowo.

Wierzejewski się zawahał.

– Siły są wyrównane – mruknął.

Stojący plecami do Hotelu de Rome Kaczmarek spojrział na Józka. Zrozumiał, że sprawa znalazła się w impasie.

Z obu stron widział zacięte twarze i bojowe pozy.

I palce, drgające nerwowo na spustach karabinów i pistoletów.

Kto złamie się pierwszy?



W tych kilkanaście sekund Wirbel zdołał przebiec spojrzeniem po niemal wszystkich twarzach otaczających ich Polaków. I stało się – przy jednej zadrżała mu dłoń, a także mięsień policzka.

Poznał go natychmiast. Zbyt długo wpatrywał się ostatnimi tygodniami w zdjęcie kanoniera Baterii Artylerii Ciężkiej numer 30 z poznańskiego Sołacza. W te jego bezczelne, śmiejące się ironicznie oczy. Właśnie teraz, pod Bankiem Rzeszy w Posen, dostrzegł je znowu. Tyle że poszukiwany przez niego dezerterski stał żywy, realny tuż obok polskiego dowódcy. I tym razem śmiał mu się w twarz naprawdę.

Przed oczami Wirbela na moment pojawił się Heinz Gnade, jego as do specjalnych poruczeń. Co się stało w bramie ciemnej ulicy w Warschau, że cało wyszedł z niej tylko ten cholerny Polaczek?

Nagle zapomniał o celu swojej najnowszej misji. Jego podwładni, dwie ciężarówki z Berlina i transport złota – wszystko to stało się w jednej chwili zupełnie nieistotne. Miał przed sobą człowieka, który jawił mu się jako główny zdrajca Niemiec – liczyło się tylko to.

– *Du bist ein Verräter!*¹²⁹ – nie powstrzymał się i krzyknął do Jęczkowiaka, błyskawicznie kierując lugera w jego stronę.

129 Z niem. – Jesteś zdrajcą!



Józef Gabriel Jęczkowiak słynął z refleksu już jako dziecko. Na froncie dał się poznać jako człowiek o żelaznych nerwach i nadzwyczaj szybkiej reakcji.

W odruchu samoobrony zdołał wycelować karabin w mierzącego do niego oficera i wypalić.

W wieczornej ciszy rozległy się dwa strzały.

Choć niektórym zwały się one w jeden, potężny.

– Jezus Maria! – szepnął Jęczkowiak.

– *Mein Gott!* – wyrwało się Wirbelowi.

XXIII.

USTĄPCIE!

**Wapno pod Wągrowcem, 9 grudnia 1918 r.,
w tym samym czasie**

Łącznik z POW dotarł do chaty Jachów późnym wieczorem, gdy smoła nocy pokryła już całą okolicę, wymazując z krajobrazu wysoki kopalniany szyb i kilka kominów. Był niewysokiego wzrostu, z ledwie zarysowanym meszkiem pod nosem; na tyle młody, że brat Franciszka wyglądał przy nim dorosło.

– Rozkaz od sierżanta Pniewskiego – powiedział, przekazując Jachowi niewielką szarą kopertę.

Nie chciał nic zjeść, wżgardził nawet zaproponowaną mu herbatą.

– Muszę na dworzec, za kwadrans mam ostatni pociąg do Poznania – wytłumaczył się i wyszedł.

Jach zauważył niepokój w oczach rodziców. Postanowił zejść im z widoku. Zaszył się w pokoju brata, dbając o szczelne zamknięcie drzwi. Gdy był pewien, że nikt go nie obserwuje, rozdarł kopertę i wyciągnął z niej złożoną na dwa kartkę papieru w linie. Przekaz był lakoniczny:

Proszę stawić się w święta w Poznaniu, w pensjonacie sióstr Goetzendorf-Grabowskich przy placu Wilhelmowskim. Powołać się na mnie i czekać.

PNIEWSKI

Choć rozkaz liczył zaledwie dwa zdania, Franciszek poczuł, że serce rozsadza mu pierś. Nareszcie! Nareszcie znowu był potrzebny! Skoro osobiście wzywa go do Poznania Pniewski, znaczy to ni mniej, ni więcej, że sprawa dojrzała już do

ostatecznych rozstrzygnięć! Czyżby miał wrócić na lotnisko? A może dowództwo przygotowało dla niego inne zadania?

Bił się z tymi myślami przez pół nocy, nie mogąc zasnąć. Gwałtowna wichura za oknem też nie pomagała. Postanowił, że poinformuje o sprawie kilku wtajemniczonych chłopaków we wsi. Muszą wiedzieć, że wraca do Poznania, a oni mają być czujni i czekać. Muszą często spoglądać w niebo. Przecież już im obiecał, że następnym razem przyleci do Wapna samolotem.

Rodzice nie zapytali go o nic, ale z ich zmartwionych twarzy wyczytał, że znowu się o niego boją.

Mieli rację, on też bał się najbliższej przyszłości. A jednocześnie się na nią cieszył.

Znowu Poznań, tego samego wieczoru

Kula świsnęła Jęczkowiakowi nad prawym uchem, strącając płat tynku z fasady Hotelu de Rome.

Nie zdążył jeszcze zrozumieć, że Niemiec chybił, gdy zauważył szkarłatną plamę na prawym ramieniu oficera przed sobą.

Czerwony wykwit na mundurze Niemca rósł w okamgnieniu. Pistolet wypadł mu z dłoni. Oficer zachwiał się, a potem przewrócił.

To był cud, ale pojedynek między Jęczkowiakiem i Wirbelem nie przemienił się w wymianę ognia między grupami uzbrojonych mężczyzn. Być może dzięki zdecydowanej reakcji innego z Niemców, odzianego w ciepły wojskowy płaszcz.

– *Nicht schiessen! Donnerwetter, nicht schiessen!*¹³⁰ – zareagował twardo, machając wymownie rękami.

Zarówno Niemcy, jak i Polacy posłuchali tego wezwania.

Zaraz potem do leżącego na ośnieżonym chodniku oficera podbiegło jego dwóch towarzyszy. Pochylili się nad nim, chwytając go pod pachy, a następnie pociągnęli ciężko rannego przez otwarte drzwi w głąb banku.

Mimo to niemieccy piechurzy trwali na stanowisku, celując

130 Z niem. – Nie strzelać! Do cholery, nie strzelać!

ciągle z mauzerów w otaczających ich Polaków. Mężczyzna, który okazał się najważniejszy po postrzelonym przed chwilą oficerze, dał znak ręką Wierzejewskiemu, by się zbliżył.

Obaj dowódcy zrobili kilka kroków w przód. Spotkali się na zmrożonym, śliskim bruku Wilhelmstrasse, dokładnie między zwaśnionymi liniami przeciwników.

– Leutnant Hans Tiedemann – Niemiec uznał za stosowane przedstawić się.

Wierzejewski przezornie nie podał mu swojej godności.

– Co pan tu robi? – przeszedł od razu do rzeczy.

Tiedemann spojrzął hardo w oczy Polaka.

– Realizuję rozkaz, który otrzymałem od swoich zwierzchników w Berlinie. Konkretnie z Kriegsministerium. Proszę nam nie przeszkadzać w wykonywaniu naszych obowiązków. Wystarczy, że ucierpiał już hauptmann Wirbel.

– Nie ma pan prawa wywozić czegokolwiek z Banku Rzeszy bez zgody naszej Rady Żołnierskiej – syknął Wierzejewski.

– Myli się pan! – Tiedemann momentalnie poczerwieniał. – Władza rad została już ograniczona specjalnym rozkazem Paula von Hindenburga. Naczelną władzą w Niemczech jest znowu rząd w Berlinie...

– Nie pozwolimy na ten konwój – przerwał mu Wierzejewski. – Jeśli będzie się pan przy nim upierał, nie omieszkamy użyć broni.

– To jawna groźba!

– Tak jest! – przystał Wierzejewski. – A teraz proszę pozostawić ciężarówki i opuścić to miejsce.

– Nie ustąpimy!

– Nie radzę – powiedział stanowczo Wierzejewski, wskazując dłonią w stronę Biblioteki Raczyńskich.

Od strony placu Wilhelma nadbiegało właśnie pod bank kilkunastu Polaków z bronią w dłoniach. Wszyscy celowali w grupę niemieckich żołnierzy trzymających się kurczowo wokół dwóch ciężarówek. Stosunek sił zmienił się wyraźnie na niekorzyść Niemców z Berlina. Polskie posiłki nadeszły rychło w czas.

– Herr leutnant, raz jeszcze apeluję: ustąpcie – zaproponował

łagodnym tonem Wierzejewski. – Głupio byłoby zginąć miesiąc po zakończeniu wojny, nie uważa pan?

Tiedemann zagryzł wargi. Właśnie dotarło do niego, że w tych okolicznościach niczego nie wskóra.

– Odpowie pan za to przed Berlinem – rzucił w stronę Polaka, by zachować twarz.

– A choćby i przed samym Belzebubem – uśmiechnął się złośliwie Wierzejewski.

Porucznik Tiedemann spojrział na swoich ludzi, a potem wydał komendę:

– Spocznij!

Niemiecki pluton z łoskotem ustawił broń przy nodze, przestając tym samym celować do coraz liczniejszych Polaków zgromadzonych wokół Banku Rzeszy.

– Mam jeden warunek – Tiedemann raz jeszcze spojrział niechętnie na Wierzejewskiego. – Musicie pomóc dostarczyć hauptmanna do szpitala.

– To da się zrobić.

Chwilę później robotnicy bankowi zaczęli z niechęcią rozładowywać wojskowe ciężarówki, wnosząc skrzynie z powrotem do budynku. Wierzejewski i Jęczkowiak kazali otworzyć wieko jednej z nich. Gdy podważona pokrywa opadła z hukiem obok, oczom Polaków ukazały się równo ułożone sztabki złota.

Poznań, 12 grudnia 1918 r., po południu

Deutschland, Deutschland über alles niosło się gromko w centrum miasta. Głównymi ulicami Poznania szli niemieccy piechurzy w pełnym rynsztunku bojowym, z orkiestrą i sztandarami. Do wojska przyłączyli się niemieccy cywile, śpiewając na cały głos *Wacht am Rhein*. Tłumna manifestacja poznańskich Niemców zdominowała tego dnia centrum Poznania. Miała być odpowiedzią na niedawny Sejm Dzielnicowy Polaków; pokazać, że Niemcy wcale nie są tu słabsi. Temu

samemu służył zjazd delegatów Niemieckich Rad Ludowych z całej Provinz Posen. Niemcy byli tego dnia widoczni i krzykliwi. Zamykająca paradę manifestacja w Ogrodzie Zoologicznym przy Tiergartenstrasse zgromadziła tysiące niemieckojęzycznych obywateli miasta. Rozchodzili się wieczorem do domów w poczuciu własnej siły i bezpieczeństwa.

Buńczucznemu przemarszowi niemieckiej piechoty przez miasto przyglądali się z chodników członkowie Straży Ludowej oraz Służby Straży i Bezpieczeństwa. Wśród nich był też Zbigniew Kaczmarek. Ostatni raz zwarte szeregi niemieckiego wojska widział pół roku wcześniej, na froncie. Wśród maszerujących rozpoznał pododdziały 6 Pułku Grenadierów z koszar przy Buker Strasse. Wiedział, że to doborowa jednostka, zaprawiona w boju. Wolałby uniknąć starcia z jej żołnierzami – wynik takiej walki wydawał mu się niepewny. Zwłaszcza że niemieccy piechurzy wyposażeni byli w broń maszynową. Z tą ostatnią u towarzyszy Kaczmarka z POW było wyjątkowo krucho.

– Chcą nam pokazać, kto tu rządzi – odezwał się stojący obok Kaczmarka, rudowłosy Kubiak. – Szkiebrzy dostały we Francji w dupę, ale u nas ciągle są „über alles”.

– To tylko demonstracja, Franek – pocieszył go Kaczmarek. – Tak naprawdę liczy się to, co niewidoczne.

– Nie rozumiem... Jak to: niewidoczne?

Kaczmarek uśmiechnął się tajemniczo.

– To proste – odpowiedział. – Oni prężą mięśnie na pokaz, bo czują się słabi. Z nami jest odwrotnie – my niczego nie demonstrujemy, bo już nie musimy. My jesteśmy po prostu mocni.

– Mocni? Jesteś pewny, że mamy siły, ile trzeba?

– Jesteśmy, Franek. Z każdym dniem jesteśmy coraz silniejsi. Zobacz, ile już mamy kompanii Straży i Bezpieczeństwa. Chyba siedem, jak nie osiem. Będzie tego prawie z tysiąc chłopów. Uzbrojonego, przećwiczonego, w dodatku za szwabski żołd! A jest jeszcze Straż Ludowa, tych może być nawet z pięć tysięcy! Do końca roku będzie nas jeszcze więcej, nie darmo obejmujemy w posiadanie wschodnie forty. Broni też mamy coraz więcej,

więc...

– Ciiiicho bądź, baranie jeden! – Kaczmarek usłyszał niespodziewanie gdzieś z tyłu karcący głos. – Też się masz czym chwalić! Może jeszcze podasz wszystkim datę powstania? Lepiej najpierw pomyśl, bohaterze zafajdany! Przecież wróg słucha!

Biniu obrócił się gwałtownie, by hardo odpowiedzieć bezczelnemu krytykowi, ale w jednej chwili nogi się pod nim ugięły.

Tuż za nim, niemal w bramie kamienicy, stał porucznik Paluch, popalając papierosa. On również przyglądał się bacznie pochodowi niemieckiego wojska, usiłując oszacować jego obecną wartość bojową. Wynik obserwacji musiał być zły, bo mężczyzna minę miał nietęgą.

– Panie poruczniku... Tak jest! – zdołał tylko wystękać Kaczmarek.

– Coś kolega za głośny, jak Boga kocham – pokręcił głową Paluch. – Zalecam więcej spokoju, więcej ciszy. Na razie nie mamy się zresztą czym chwalić...

– Tak jest – przytaknął Kaczmarek.

– Zaraz, zaraz... – przyjrzał mu się uważniej porucznik. – Ejże, czy to ty przyniosłeś tę informację o ewakuacji kartoteki policji?

– Tak jest – powtórzył po raz trzeci Kaczmarek.

Prawdę mówiąc, nie było go w tej chwili stać na nic bardziej mądrego.

– No widzisz! – podsumował Paluch. – Stać cię na wielkie rzeczy, tylko trzymaj, bracie, język za zębami. Wystarczy, że ich obserwujemy. W ciszy obserwujemy, rozumiesz? Reszta... Reszta jest milczeniem.

– Tak jest... – Kaczmarek był mało oryginalny, ale za to konsekwentny.

– No! Spocznij już, spocznij! – uśmiechnął się w końcu Paluch. – A co do tego, że Szkiebry demonstrują... Pełna zgoda. To tylko oznacza, że nie czują się już u nas pewnie, jak dawniej bywało.

Tu porucznik ściszył głos niemal do szeptu:

– I z tego możemy się cieszyć. Na razie tylko z tego, ale to już jest coś.

– Tak jeeest... – zaciął się Kaczmarek.

– W moich rodzinnych stronach pod Mogilnem powiadają, że strach w oczach wroga to już połowa zwycięstwa – Paluch odplunął drobinę luźnego tytoniu z bibułki papierosa. – Wygląda więc na to, że jesteśmy w połowie drogi. I tego się trzymajmy.

**Poznań, niedziela 15 grudnia 1918 r.,
Wilhelmsplatz, pod wieczór**

Spotkanie w „Grand Café”, zwanej powszechnie „Grandką”, upływało w miłej atmosferze. Kaczmarek był w doskonałym humorze, a wywołały go bezsprzecznie dołeczki w policzkach ciągle roześmianej Julietty. Coś niewypowiedzianego między nimi sprawiało, że dobrze się ze sobą czuli i rozumieli w lot to, co drugie chciało powiedzieć między słowami. Juliette zarzuciła go garściami płoteczek z okolic Świętego Marcina, a on słuchał jak zaczarowany, co jakiś czas komentując co smaczniejsze opowieści. Znał ten fyrtel od dzieciństwa i opowieści dziewczyny nagle uprzytomniły mu, że z dawna nie odwiedził swojej matki. Wiedział o niej tylko tyle, że przeprowadziła się do rodziny pod Środę.

– A wiesz, Biniu, że nasze wojsko ma swój posterunek w zamku?
– Juliette zrobiła duże oczy. – Są tam już chyba z dwa tygodnie! Tak sobie myślę, że tych Niemców w środku to musi z nerwów aż nosić.

– Całkiem możliwe – odpowiedział z uśmiechem. – Niech się przyzwyczajają. Bo tak mi się wydaje, że ostatnimi laty zdawało im się, że oni tu rządzą.

– W końcu po to zbudowali ten zamek dla Wilusia. Żebyśmy wszyscy widzieli, jacy są silni i bogaci.

– I na tym się przejadą... – mruknął Kaczmarek, dopijając resztki zimnej już kawy.

Oczy dziewczyny zrobiły się jeszcze większe.

– Coś wiesz, Biniu? Powiedz mi proszę, powiedz! Obiecuję, że nikomu się nie wygadam!

– Ciszej, Juliette! – syknął niezadowolony. – Wybacz, ale nie mogę... Zresztą, nic takiego nie wiem...

– Ale Biniu! Będę milczeć jak grób! Szykujecie coś?

Kaczmarek wywrócił oczyma, podenerwowany niespodziewaną dociekliwością dziewczyny. Miły nastrój prysł w jednej chwili jak zdmuchnięty płomień świecy. Pomiędzy nimi pozostał tylko swąd niedopowiedzenia.

– Przepraszam, Juliette... – westchnął. – O pewnych sprawach nie mogę ci nic powiedzieć. Bardzo... bardzo cię lubię, wierz mi. Ale to są sprawy służbowe, sama rozumiesz...

Twarz dziewczyny spochmurniała, a policzki ściągnęły się, likwidując momentalnie dołeczki, którymi tak zachwycał się Kaczmarek.

– Rozumiem – również westchnęła, tyle że teatralnie. – Uważasz, że jestem za głupia na takie sprawy... No cóż... To ja już będę się zbierać...

Wstała z fotela, rozglądając się za wieszakiem, na którym godzinę wcześniej Kaczmarek powiesił jej palto.

– Ależ Juliette! – poderwał się zaskoczony. – Nie gniewaj się, proszę. Nie chciałem cię urazić, w żadnym razie! Po prostu mam rozkaz, którego muszę usłuchać. I tyle! Tu nie chodzi wcale o ciebie...

– Skoro tak... – zatrzymała się niezdecydowana. – Skoro tak, to może odprowadź mnie proszę pod kościół świętego Marcina.

– Już?! – jęknął rozczarowany. – Dlaczego tak szybko?

Obrzuciła go spojrzeniem, w którym wyczytał żal.

– Bo mi nie ufasz – odparła, ruszając ku odnalezionemu wzrokiem wieszakowi.

– Kiedy ja... – zagubił się zupełnie jak sztubak przyłapany w kącie korytarza na przepisywaniu zadania od kolegi.

– Lepiej już chodźmy – zaproponowała.

Zdruzgotany Kaczmarek przywołał smętnym głosem kelnera.

Przypomniał sobie, co o kobietach opowiadał niedawno w budzie skautowej niejaki Fiedler: „Jeszcze się do ciebie śmieje, a już ma o coś żal”. Sprawdzało się, niestety, co do joty.

Poznań, szpital miejski przy Schulstrasse, godzinę później

Latarnie gazowe po drugiej stronie ulicy mizernie podświetlały ciekawe fasady kamienic, stojących vis-à-vis ceglanego gmachu szpitala. Porucznik Tiedemann widział ich słabe zarysy przez zmrożone szyby w oknach jednoosobowej sali, w której ulokowano ciężko rannego hauptmanna Wirbela. Podczas natychmiastowej operacji chirurdzy usunęli kulę z jego ramienia i zatamowali krwotok, ale ponieważ pocisk zgruchotał staw i fragment kości, nie było wiadomo, czy pacjent dojdzie jeszcze kiedyś do pełnej sprawności.

Leżał blady, z obandażowaną piersią i ręką, wpatrując się w twarz Tiedemanna. Mówił z trudem, wyczerpany wydarzeniami ostatnich dni. Jego świszczący głos był podobny do sapania astmatyka.

– To zdrajca... Prawdopodobnie zlikwidował naszego agenta w Warschau – zaświszczał do swojego gościa.

– Rozumiem, herr hauptmann. W normalnych warunkach zająłbym się nim w pierwszej kolejności – zapewnił go leutnant.

– Mam jednak teraz na głowie ważniejszą sprawę.

– Nie ma... nie ma nic pilniejszego... Ten Jęczkowiak... to groźne dla...

Tiedemann wzruszył bezradnie ramionami. Słowa hauptmanna, choć oficera wyższego rangą, nie znaczyły dla niego nic ponad utyskiwania ciężko rannego człowieka. On słuchał wyłącznie rozkazów z Berlina. Z powodu jednego z nich tu przyjechał.

– Generał Schauder już wie, co się stało – powiedział spokojnym tonem, pewny swoich racji. – Nalega, by mimo to wywieźć złoto z Posen. Musimy więc podjąć jeszcze jedną próbę...

– Złoto może poczekać... Losy prowincji nie... To jest... to jest najważniejsze... – upierał się Wirbel, a jego twarz przybrała barwę kredy.

– Poczekamy z tym trochę, aż sprawa przyschnie i zrobimy to powtórnie w którąś mroźną noc... O tak! Musi być tak zimno,

żebyśmy tym razem nie mieli żadnych świadków – kontynuował Tiedemann niewzruszony.

– Kiedy... – zaświszczał znowu Wirbel. – Kiedy to niebezpieczny przeciwnik...

– Rozumiem, herr hauptmann. Obiecuję, że przekażę pana informacje naszej tutejszej ekspozyturze... Powinni...

Wirbel zakasłał gwałtownie, jakby się nagle czymś zachłysnął. Porucznik Tiedemann dostrzegł w jego oczach wściekłość, a może nawet szaleństwo.

– Tak? – nachylił się ku rannemu, by lepiej go usłyszeć.

– Trzeba go z-a-b-i-ć! – wycharczał hauptmann. – Zabić, do jasnej cholery! Zli-kwi-do-wać! Dlaczego nikt tego nie rozumie?!

XXIV.

NAJLEPSZY BILET

Poznań, 23 grudnia 1918 r., plac Wilhelmowski

Jęczkowiak kursował niemal codziennie pomiędzy pensjonatem sióstr Goetzendorf-Grabowskich (jakie pyszne kanapki robiły!), tak zwanym Gubernatorstwem po drugiej stronie placu, komendą POW na Piekarach a konspiracyjnym lokalem na Tiergarten Strasse. I z każdym dniem serce w nim rosnęło. Widział, jak rośnie konspiracja, jak porucznicy Paluch i Hulewicz rozmawiają z kolejnymi dopuszczonymi do spisku emisariuszami z prowincji. Ci ostatni przyjeżdżali po dyrektywy i rozkazy z miast i miasteczek całej prowincji. Jęczkowiak nie znał ich, ale o uszy obito mu się trochę nazwisk: Zenkteller z Grodziska, Cymś spod Gniezna, Wawrzyniak czy Kittel...

Ruch, jaki panował w tajnym sztabie Palucha, robił ogromne wrażenie. Czuć w tym było moc i wiarę w zwycięstwo. Wszyscy wyjeżdżali z dokładnymi instrukcjami, jak u siebie, zupełnie legalnie, za wiedzą i zgodą Ministerstwa Wojny w Berlinie zakładać poza Poznaniem oddziały Służby Straży i Bezpieczeństwa. Jak je skoszarować, uzbroić i utrzymać. Porucznik Paluch zawsze powtarzał spiskowcom to samo:

– Pamiętajcie, najważniejsza jest wasza gotowość. Dzięki łączności telefonicznej albo telegraficznej będziemy mieli z wami kontakt. Musicie być gotowi o każdej godzinie. Nie możecie zasnąć!

Te polecenia pachniały już buntem, choć nikt jeszcze nikomu nie wydał rozkazu do ataku. Jęczkowiak wiedział, że kompanie straży są coraz lepiej uzbrojone. W „Adrii” usłyszał o brawurowym przejściu na bocznicę na Łazarzu całego transportu kolejowego z bronią. W ręce Polaków wpadło 1200

mauzerów z zapasem amunicji, a nawet dwa kulomioty należące wcześniej do niemieckiego 20 Pułku Artylerii na Sołaczu. Kiedy jednak marynarze od Białoszyńskiego próbowali wykraść z koszar przy Bukowskiej zimowe płaszcze i buty, doszło do walki na pięści i kolby karabinów. Było kilka ofiar po obu stronach. Niemcy zrobili się w końcu czujni. Na ulicach pojawiły się ich wojskowe patrole...

Ledwie Jęczkowiak przestąpił próg pensjonatu sióstr Grabowskich, do jego uszu doleciały głośno, wręcz nerwowo wypowiedane zdania połajanek.

- Co jest, pani Karolciu? - zagadnął zdziwiony sekretarkę.

- To pan nie wie? - szepnęła zdziwiona. - Przyszedł niedawno pan komisarz z Naczelnej Rady Ludowej...

- Który?

- Nie słyszy pan? Wiadomo, że Korfanty. Porucznik Paluch dostaje burę. I Hulewicz też!

- Ale za co?

- Lepiej niech pan sam posłucha...

Pani Karolcia przyłożyła palec do ust i gestem dłoni pokazała Jęczkowiakowi, by podszedł bliżej półotwartych drzwi do salonu. Jęczkowiak zrobił dwa kroki w przód, ale zaraz przystanął nieco zawstydzony. Kim on w końcu był, żeby się temu przysłuchiwać?

Korfanty musiał być rzeczywiście wzburzony, bo wyraźnie słyhać było, jak chodzi po salonie miarowym, wojskowym krokiem.

- ...i dlatego, panowie oficerowie, raz jeszcze do was apeluję: powstrzymajcie się jeszcze na kilka tygodni! Ja panów błagam, na litość boską! W całym mieście aż huczy, że coś się święci. Ludzie mnie na ulicach zaczepiają i pytają: „Kiedy?” Rozumiecie, panowie? Przecież to śmierdzi wielkim, zbiorowym samobójstwem! Niemcy są już mocniejsi niż w listopadzie. Z każdym dniem rosną w siłę, nie widzicie tego?!

Komisarz zawiesił głos, ale cisza trwała ledwie sekundę, może dwie.

- I właśnie dlatego trzeba działać! - Jęczkowiak usłyszał

basowy głos Palucha. – Trzeba ich uprzedzić, zanim znowu poczują się panami sytuacji! I proszę się nam nie dziwić, że staramy się gromadzić broń. W końcu to Naczelna Rada Ludowa, to panowie poleciliście nam organizować siłę zbrojną! Czy nie było tak?

– Organizować: tak! Ale nie robić od razu powstanie! – obruszył się komisarz. – Przecież nie ma tygodnia, żeby wasi ludzie nie rozbroili jakichś Niemców albo nie złupili jakiegoś magazynu. Albo, co gorsza, pociągu! Za ten Łazarz to jeszcze wszyscy odpowiemy! W Berlinie wreszcie się obudzili, takie rzeczy nie uchodzą płazem!

– Proszę się nie niepokoić, panie komisarzu – do dyskusji włączył się Hulewicz. – W razie czego, mamy dziewięć dobrze uzbrojonych kompanii i drugie tyle...

– Nie będzie żadnego „w razie czego”, panowie! – wściekł się znowu Korfanty. – Czekamy! Czekamy cierpliwie, z pokorą, na werdykt naszych sojuszników z ententy podczas rokowań pokojowych z Niemcami. Tylko oni mogą nam zagwarantować sprawiedliwe granice Rzeczypospolitej, w której znajdzie się także Poznań i Wielkopolska, a ufam, że również Gdańsk i Pomorze!

– Akurat! – zachnął się Paluch. – Żabojady nie kiwną dla nas palcem!

– Poruczniku Paluch! Przywołuje pana raz jeszcze do porządku! Nie mogę przymykać oczu na podobne objawy niesubordynacji wobec naszej Rady i ostrzegam pana raz jeszcze! Jeżeli...

Jęczkowiak zrozumiał, że powinien się wycofać. Skinął głową w stronę pani Karolci i cichcem podszedł do drzwi. Choć bardzo się starał, nie mógł jednak nie usłyszeć ostatnich słów, wypowiedzianych przez ważnego polityka:

– ...a z Niemcami, to się jeszcze policzymy. Zapewniam panów oficerów! Tylko czasy muszą być lepsze. Dużo lepsze niż teraz!

Poznań, komenda POW na Piekarach, pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia, 1918 r.

Samotny dyżur w święta dłużył się Kaczmarkowi jak najgorsza mordęga. Niemal każdy ze skautów druha Wierzejewskiego czmychnął tego dnia do swojej rodziny albo nie wrócił jeszcze z Wigilii. I tylko on nie miał co z sobą zrobić. Wszak jego bliscy schronili się na wsi pod Środą. Na tak daleką eskapadę i tak nie otrzymałby przepustki. Musieli być przecież blisko, pod ręką. Najpierw więc dokładnie wyczyścił swój karabin, potem mauzery Kubiaka i Jęczkowiaka. A kiedy dodatkowo wypucował swoje wojskowe obuwie, w którym uciekł Kostusze spod kosy „pod Werdunem”, oddał się – chcąc nie chcąc – wspominkom.

Jakiś tydzień wcześniej niósł meldunek do lokalu Naczelnej Rady Ludowej mieszczącego się w Hotelu Royal na Świętym Marcynie. Był zaskoczony, gdy w samym hotelu obok polityków dostrzegł nieznaną sobie twarz w cywilnym ubraniu. Mężczyzna trzymał się jednak prosto i sztywno, jak zawodowy wojskowy.

– To major z Warszawy – powiedział mu na ucho adiutant komendanta Langego, szefa Straży Ludowej. – Przyjechał od Piłsudskiego!

– Żartujesz! – Kaczmarek z wrażenia aż przystanął. – A jak mu na nazwisko?

– Chyba Matuszewski. Ale ręki nie dam sobie uciąć.

– A po co on tutaj?

– Jak to po co? Nasi ustalają współdziałanie z Warszawą...

Więcej się nie dowiedział, bo nagle zza drzwi pokoju narad wychynął komendant Lange i kiwnął na adiutanta, by ten natychmiast do niego przyszedł z teczką dokumentów. Kaczmarek był jednak pod tak wielkim wrażeniem, że przez całą następną noc nie mógł zasnąć. Oficer z Warszawy w Poznaniu! Od samego Piłsudskiego... To mogło oznaczać tylko jedno: wreszcie kroi się wielka akcja!

Pochmurne popołudnie szybko zaciągnęło niebo granatową kotarą chmur, zza której nie widać było gwiazd. Kaczmarek poczuł, że morzy go sen. Gdyby chociaż wieczorem spotkał się

z Juliette... Wtedy to jego czekanie miałoby jakiś sens. A tak – pozorował tylko, że pełni służbę. Miasto było senne, dzwonnica pobliskiego kościoła św. Marcina wezwała wiernych po raz ostatni już dawno temu... Co robić?

Nie zastanawiając się długo, narzucił żołnierski płaszcz z opaską Straży, chwycił za karabin i wyszedł na Piekary. Nie zamierzał odejść daleko, więc nie kłopotał się, by zamknąć lokal.

Owionęło go rześkie, mroźne powietrze. Śnieg pod stopami skrzypiał przyjemnie, przypominając o lekkim mrozie. Spojrzał w ciemne niebo i niespodziewanie pomyślał, że w wieczór taki jak ten może się zdarzyć cud. Zrobił kilkanaście kroków w stronę efektownej kamienicy na rogu Gartenstrasse i zamyślił się znowu. Kiedy ta urokliwa, wijąca się w dół aż ku wieżom kościoła Bernardynów uliczka, będzie się nazywała na tabliczce Ogrodowa?

Gdzieś z oddali, a może z górnych pięter pobliskich domów, do jego uszu doleciały słowa gromko, zbiorowo śpiewanej kolędy:

*Bóg się rodzi, Moc truchleje,
Pan Niebiosów obnażony...*

Choć był z niego wielki chłop, ze wzruszenia zaszklily mu się oczy.

Dla odpędzenia smutku wyszarpnął zza rękawa papierosa i dobył zapałki. Nie poszło łatwo, bo zgrabiałe z zimna palce szybko zrobiły się sztywne jak patyki. Ale udało się. Zaciągnął się dymem raz i drugi, a potem znowu wsłuchał się uważnie w słowa pieśni.

*...wzgardzony, okryty chwałą,
śmiertelny Król nad wiekami,
a Słowo ciałem się stało,
i zostało między nami...*

Przypomniał sobie ciepło rodzinnego domu. Opłatek, przełamany rękoma ojca, którego stracił dwa lata wcześniej.

Zapach zupy grzybowej, wspaniale przyprawionej przez matkę.
I wspólnie nucone kolędy...

Zamrugnął gwałtownie, by odgonić słabość.

Zawrócił w stronę kościoła św. Marcina. Tunel wysokich kamienic zdał mu się nagle wąskim górskim wąwozem. Dziwnym wąwozem, w którego ciemnych skalnych jaskiniach ktoś rozpałał radosne ognie. I znowu usłyszał niebiańsko spokojną melodię. Dobiegała teraz z przeciwnej strony, gdzieś od Świętego Marcina.

*...nur das traute hoch heilige Paar,
holder Knabe im lockigen Haar,
schläft in himmlischer Ruh,
schläft in himmlischer Ruh¹³¹.*

Za plecami usłyszał czyjeś pospieszne kroki. Odwrócił się gwałtownie, ściągając mauzera z ramienia.

– Spokojnie, Biniu! Coś taki nerwerwer?!¹³² – znajomy głos Franka Kubiaka momentalnie go rozbroił.

Z mroku wyłoniła się łobuzersko uśmiechnięta twarz cwaniaka z Wildy.

– Co się tak skradasz, jak jakaś mora!¹³³ – zganił go Kaczmarek.

Był rozdrażniony. Kolega wyrwał go gwałtownie ze świątecznego nastroju, w dodatku napędzając mu pietra. Nie zamierzał się jednak do tego przyznać.

– Już ciebie, Franek, w chacie nie chcą? – zagadnął złośliwie. – Pewnie za dużo jadłeś, szczunie.

– Eee tam, święta! – machnął wzgardliwie ręką syn wildeckiego stolarza. – Większą nowinę ci niosę, Biniu! Nie zgadniesz, kto do nas jedzie!

– Do nas? Tu, na Piekary? – Kaczmarek poczuł mocniejsze uderzenie w piersi.

– Ha, ha, ha! A to dobre! – zaśmiał się Kubiak. – No nie wiem, może Mistrz do nas także zajedzie. Jak go ładnie poprosimy, ma

131 Niemieckie słowa kolędy Stille Nacht (Cicha noc).

132 Z gwary poznańskiej – Coś taki nerwowo?!

133 Z gwary poznańskiej – zmora, upiór.

się rozumieć...

– Jaki Mistrz? Franek, o czym ty bajtlujesz¹³⁴?

– O kim, Biniu! O kim! W gazecie podali, że z Anglii do nas sam Mistrz Paderewski jedzie! Wyobrażasz sobie?

– Do nas? Znaczy się, do Poznania?

– Nie inaczej, Biniu! Ale się Szkiebry wściekną, już to widzę! Ej, wesoło będzie... A co tak zbladłeś? Nie cieszysz się?

– Cieszę się, a jakże! – Kaczmarek był więcej niż zaskoczony. – Ale powiedz mi jeszcze... Tak naprawdę, to po co on do nas jedzie?

– Jedzie do Warszawy, ale nasi politykierzy go w Gdańsku pod pachy wzięli i powiadają: „Mistrzu Paderewski, w Poznaniu Polacy też na ciebie czekają!” – Franek Kubiak udatnie zagrał tę scenkę, biorąc pod rękę wyimaginowanego pianistę. – No i Paderewski się złamał. To znaczy, dał się namówić. Przyjedzie jutro. Bana!¹³⁵ Zdaje się, że po południu, najdalej wieczorem będzie na Dworcu Głównym. Wyobrażasz sobie, co tu się będzie działo?!

Poznań, 26 grudnia 1918 r., w piwiarni na Starym Rynku, w samo południe

Przystrojone znowu w biało-czerwone flagi miasto robiło gigantyczne wrażenie. Wiadomość o przyjeździe Ignacego Jana Paderewskiego rozeszła się po Poznaniu lotem błyskawicy, przystrajając rękoma Polaków ulice i okna domów, a także okna wystawowe sklepów i lokali. Franciszek Jach przyglądał się im znad kufła piwa z browaru Huggerów, zwłaszcza efektownym biało-czerwonym wstęgom materiału zwisającym z okien nowoczesnego domu towarowego Ignatowicza na rogu Schulstrasse. Miejsce przy oknie pozwalało mu kontrolować sytuację na zewnątrz. Dzięki niemu szybko zauważył zbliżającą się dynamicznym krokiem, znajomą postać z nieco zabawnym

134 Z gwary poznańskiej – pleść bzdury.

135 Z gwary poznańskiej – pociągiem.

wąsikiem. Dopiero niedawno dowiedział się, że sierżant Wiktor Pniewski nadzwyczajną siłą woli wykaraskał się z poważnego wypadku lotniczego, choć niewielu dawało mu szanse na przeżycie. A jednak ogromna siła woli dokonała cudu i jeszcze niedawno połamany i poparzony pilot wszedł teraz z rozmachem do lokalu, rozglądając się bacznie wokół. Szybko odnalazł wzrokiem Jacha i skierował się w stronę jego stolika.

– Czołem – rzucił zupełnie nie służbowo, siadając naprzeciwko.
– Cieszę się, że łącznik odnalazł cię w Wapnie. Po prawdzie nie znałem dokładnego adresu, ale w końcu ilu mogą mieć pilotów w tej dziurze?

Jach poczuł się lekko dotknięty.

– To nie żadna dziura – zaprotestował. – Mamy tam kościół, dworzec, a nawet kopalnię soli, jeśli o to chodzi.

– Najmocniej przepraszam – Pniewski uniósł honorowo dłoń, oddając szacunek Wapnu. – Nie wiedziałem, że kolega taki czuły na tym punkcie. Pardon!

– Nic się nie stało – Jach poczuł się usatysfakcjonowany. – W pensjonacie sióstr Grabowskich dowiedziałem się, że jest pan mocno zajęty. Ale dostałem nocleg, a potem informację, gdzie mam się stawić. Więc jestem.

– I bardzo dobrze, Jach – Pniewski przysunął się bliżej, jakby nie chciał, by kilku siedzących obok cywili usłyszało, o czym jest rozmowa. – Kroj się robota. Zadanie, znaczy się.

Oczy Jacha rozbłysły emocjami. Wyobraźnia momentalnie podsunęła mu przed oczy stery Fokkera. Och, jakże się stęsknił za tym lodowatym podmuchem, towarzyszącym wznoszeniu! Jakże chciał znowu oderwać się od pasa startowego i spojrzeć na świat znad mgiełki chmur!

– Co to za zadanie? – zapytał drżącym głosem.

Zupełnie nie mógł nad sobą zapanować, ręce dosłownie mu się trzęsły.

– Musisz się wkręcić na lotnisko. Po prostu musisz znaleźć jakiś sposób, żeby tam wrócić – Pniewski spojrzał mu prosto w oczy, jakby oceniając możliwości swojego rozmówcy. – Mnie tam nie wpuszczają, za wysoka szarża. I od czasu naszych „wyczynów”

z Radą Żołnierską patrzą na mnie podejrzliwie. Ty to co innego. Zresztą, zdaje się, że masz tam wśród Niemców kumpla?

Jach poczuł się, jakby dostał pięścią między oczy. Nigdy nie sądził, że kiedykolwiek znajomość z leutnantem Pohlem, kolegą z czasów frontowych, stanie się przedmiotem zadań bojowych. Jakichkolwiek zadań. A teraz musiał się z tym szybko zmierzyć. Musiał natychmiast przeorientować swój stosunek do Niemca.

– Tak – potwierdził dość niemrawo. – Z leutnantem Paulem Pohlem lataliśmy nad Szampanią, wyszliśmy cało z kilku niezłych opresji. To dobry...

– No właśnie – wszedł mu w słowo Pniewski. – Skoro się kolegujecie, co nie jest takie zwyczajne, zważywszy na różnicę szarzy, nie będzie dla ciebie problemem wydobyć od niego kilku podstawowych informacji o sytuacji w bazie. O liczbie samolotów w hangarach. I o nastrojach wśród załogi.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste – te słowa przeszły Jachowi przez gardło wyjątkowo trudno.

– Jak to? – zdziwił się sierżant Piewski. – Nie rozumiem.

Jach odstawił piwo i spuścił głowę. Czuł się cholernie głupio, że musi to powiedzieć.

– To prawda, że z Pohlem dobrze się rozumiemy. Ale... W ostatnich miesiącach coś się zepsuło. Zrobił się nieufny i podejrzliwy. Kilka razy próbował mnie nawet wypytać o nasze tajne sprawy... On ma niezłą intuicję. Wyczuwa takie rzeczy. Nic mu nie powiedziałem, oczywiście. Ale obawiam się, że jeśli spróbuję go teraz nagabywać, wzbudzę tylko jego czujność. Tego nie można zrobić tak wprost. Może trzeba inaczej...

– Pewnie wiesz, co mówisz – przytaknął ugodowo Pniewski. – Ale musisz też wiedzieć, że niemieccy oficerowie w Ławicy jako pierwsi opanowali sytuację i zdusili rewolucję w swoich szeregach. W listopadzie próbowali nawet zamachu na Palucha i Hulewicza. A teraz grożą Naczelnej Radzie Ludowej bombardowaniem Poznania, jeśli tylko spróbujemy przejąć miasto. Sam wiesz, jakie to niebezpieczne. Kto ma w rękę niebo, ten ma wszystko.

Ostatnie zdanie bardzo przypadło Franciszkowi Jachowi do

gustu.

– Co mogę zrobić? – zastanawiał się na gorąco. – Co ja mogę zrobić?

– Nie wiem... – Pniewski zamyślił się na chwilę. – Może... Trzeba znaleźć jakiś pretekst. Tak, potrzebny jest dobry pretekst. Wiarygodny. Coś, dla czego Niemcy wpuszczą cię do środka. Może z jakiegoś powodu szczególnie dobrze cię zapamiętali? Przypomnij sobie, kolego. Liczy się każdy detal...

Jach wysilał pamięć, przeszukując w niej chwil, w których jego komitywa z niemieckimi pilotami osiągała wysokie stany. Owszem, bywało czasem całkiem sympatycznie. Zwłaszcza wieczorami, gdy po służbie siadali ukradkiem do groga. Albo przemyconego cichcem do hangaru wina. A już najmilej było, gdy...

– Już wiem! – Jach uderzył z radości pięścią w stół. – Kiełbasa!

– Co kiełbasa? – Pniewski spojrzał na niego jak na pacjenta szpitala dla psychicznie chorych. – O czym ty bredzisz, chłopie?

Franciszek uśmiechnął się szeroko i chwycił znowu za kufel, pociągając godny haust piwa.

– Już ja wiem – oświadczył, wycierając usta z piany w rękaw. – Potrzebuję kilka kilo dobrej jałowcowej.

– Że co?

– To proste. Potrzebuję kilka kilo kiełbasy jałowcowej. Ale jeśli trudno ją zdobyć, może być też biała. Najlepiej parzona. Byle była świeża i dobrze pachniała.

– Ale po co? – Pniewski nie mógł wyjść z zadziwienia.

– Już moja w tym głowa! Zapewniam, że dobra kiełbasa to najlepszy bilet wjazdowy do Fliegerstation w Ławicy.

Poznań, 26 grudnia 1918 r., pensjonat sióstr Goetzendorf-Grabowskich, około trzynastej

Pokój spowijał gęsty dym papierosów. Zgromadzone w nim osoby przypominały bardziej zjawy niż ludzi – ich kontury zdawały się nieostre i nierzeczywiste.

– Obstawiamy całą dworzec i ulicę Dworcową – Wierzejewski stał pochylony nad mapą śródmieścia, wodząc po niej palcem. – Ale to nie wystarczy. Niemcy mogą próbować prowokacji, więc trzeba będzie zabezpieczyć całą trasę przejazdu Mistrza do Bazaru. Musimy zatem rozstawić naszych ludzi wzdłuż Świętego Marcina i ulicy Wilhelmowskiej. Potrzeba będzie z tysiąca ludzi pod bronią. Lekko licząc tysiąca...

– To da się zrobić – komendant Straży Ludowej Lange mrugnął okiem do porucznika Palucha. – Wydam stosowne rozkazy, niech już teraz zajmą pozycje.

– Słusznie – poparł go Hulewicz. – Ja ze swoimi ludźmi obstawię sam peron Dworca Letniego. Tam kolejarze zatrzymają pociąg z Paderewskim. Musimy mieć absolutną pewność, że Szkiebry nie wejdą nam w paradę.

– Dodam ci moich huncwotów z POW – zaoferował się Wierzejewski. – Na pewno się przydadzą, mają już niezłe doświadczenie w udrach z Niemiaszkami.

Przysłuchujący się skromnie spod drzwi Józef Jęczkowiak aż pokraśniał z zadowolenia. Będzie ochraniał Mistrza! Ledwie w listopadzie mógł spotkać się z samym Piłsudskim, a teraz miał na własne oczy zobaczyć Paderewskiego, słynnego na całym świecie artystę! Może nawet zamieni z nim kilka słów?

– Żeby tylko Szkiebry nie próbowały czegoś wywinąć między Piłą a Poznaniem – żachnął się Paluch. – Znając ich rozsierdzenie tą wizytą, nie zdziwiłbym się, gdyby wpadli na to, by zatrzymać pociąg i nie wpuścić go do Poznania.

– To niemożliwe! – zaoponował Hulewicz. – Przecież wraz z Paderewskim jadą oficerowie z ententy. Taki fakt to byłby *casus belli*¹³⁶! Niemcy nie zaryzykują aż tyle dla tej sprawy.

– Obyś się nie mylił, Bohdan – Paluch przyczesał dłonią spoconą grzywkę opadającą mu na czoło. – Przekonamy się, kto ich lepiej zna. Może zrobimy zakład?

Ze szczupłej twarzy Hulewicza zniknął ironiczny uśmiezek.

– W tej sprawie wyjątkowo nie będę się zakładał.

136 Z łac. – powód do wojny.

Poznań, 26 grudnia 1918 r., późnym wieczorem

W mundurze niemieckim i z opaską Służby Straży i Bezpieczeństwa na rękawie, z pistoletem przy pasie i z wielkimi emocjami stał Jęczkowiak, jak setki innych jemu podobnych młodych chłopaków, na Sankt Martin Strasse, przy wylocie Bäckerstrasse, czekając na przejazd powozu z Mistrzem. Ochrona tego odcinka trasy przypadła właśnie jemu. Choć lekki mróz szczypał mu nos i wystające spod czapki uszy, nie czuł zimna – wręcz przeciwnie, było mu gorąco jak nigdy.

Przyjazd Paderewskiego do miasta opóźnił się o ładnych kilka godzin – jak zdążył mu szepnąć Wierzejewski w przelocie, z winy Niemców, którzy próbowali zatrzymać pociąg Mistrza w Rogoźnie. Ich zamiary spełzły na niczym wskutek twardej postawy samego Paderewskiego i towarzyszących mu oficerów. Zrobiło się jednak późno – a tym samym ciemno. Co gorsza, w całym mieście nagle przestały działać latarnie. Dziwnym trafem przestał do nich płynąć gaz – akurat w momencie, kiedy pociąg z wielkim bohaterem Polaków zbliżał się do Poznania.

– Mówię ci, Józek, to robota Szwabów – orzekł krótko Kaczmarek, który tym razem pełnił służbę razem z Jęczkowiakiem. – To się fachowo nazywa dywersją.

– Pewnie masz rację, Biniu – mruknął Jęczkowiak.

On też nie wierzył w przypadki.

Na ulicach zapadły na moment egipskie ciemności, rozświetlane jedynie światłem z okien domów i sklepowych wystaw. Jęczkowiak miał przez chwilę złe przeczucia. A jeśli Niemcy wykorzystają mrok i zniemacka zaatakują, doprowadzając do chaosu, a może nawet do śmierci Mistrza? Czy on, Józef Jęczkowiak, będzie w stanie im w tym przeszkodzić? Czy jego ludzie odeprą taki atak?

Był przygnębiony, ale szybko otrząsnął się ze złych myśli. Przyszłość rozświetliły bowiem pochodnie przyniesione rychło w czas przez skautów Wierzejewskiego. Nie minął kwadrans – i wzdłuż całej Sankt Martin Strasse – a nawet dalej – aż po

Schlossbrücke i peron Dworca Letniego – pojawił się szpaler umundurowanych mężczyzn z efektownym żywym ogniem w dłoniach. Nagle zrobiło się jasno i podniosło. Dopiero teraz Jęczkowiak mógł podziwiać liczne chorągiewki polskie, francuskie i brytyjskie ozdabiające okna i drzwi kamienic. Były ich setki, jeśli nie tysiące. A kiedy Polacy zamieszkujący domy przy ulicy jak na zawołanie zaczęli włączać światła w pokojach z oknami na Święty Marcin, wieczór w Poznaniu zrobił się widny niczym poranek. Mimo że na ulicy nie było wcale śniegu, który pomógłby rozświetlić okolicę.

Jęczkowiak dreptał nerwowo w miejscu, paląc jeden za drugim papierosy. Płynęły kolejne minuty i kwadranse, a Mistrza jak nie było, tak nie było. Zerknął na zegarek. Dwudziesta pierwsza z minutami... Do cholery, pociąg z Paderewskim powinien już dawno przyjechać na dworzec!

Zerknął w prawo, ku Wilhelmstrasse i rzęsiście iluminowanej fasadzie hotelu Bazar. Wszystko było gotowe i czekało na chwilę triumfu. Jęczkowiak spojrzął za siebie, a potem w lewo. Wśród tłumu oczekujących w napięciu na przejazd Mistrza dostrzegł wikarego Antoniego Chilomera z kościoła św. Marcina. Na jego twarzy zobaczył niepokój.

– Może jednak nie przyjechał... – bąknął Kaczmarek.

– No coś ty, Biniu! Wypluj te słowa! – zirytował się Jęczkowiak.

Zupełnie niepotrzebnie. Wrzawa, jaka podniosła się nagle od strony ulicy Dworcowej i okolic zamku, w kilka sekund przepłynęła jak fala w okolice kościoła św. Marcina. Głośna euforia nie pozostawiała żadnych złudzeń: powóz z Paderewskim właśnie ruszył ku Wilhelmstrasse.

Jęczkowiak odruchowo chwycił za kaburę pistoletu, a potem wyprostował się, by lepiej widzieć ulicę. Musiał upłynąć dobry kwadrans, zanim w oddali dostrzegł zarys powozu. Paderewski wjeżdżał do Poznania jak król, wzniesając nieopisany entuzjazm. W górę rzucano biało-czerwone wstęgi papieru, wymachiwano narodowymi flagami, śpiewano Rotę. Jakież było zaskoczenie wszystkich cierpliwie oczekujących na przejazd Mistrza, gdy dostrzegli, że powozu szacownego gościa nie ciągną żadne siwki

czy kare, tylko uniesieni szalem, rozemocjonowani młodzi mężczyźni w płaszczach, ale i w mundurach Straży. Spoceni, umorusani, lecz szczęśliwi jak nigdy szarpali za dyszel, ciągnąc odkryty powóz w radosnym szale ku hotelowi Bazar.

Siedzący na kanapie w ciemnym płaszczu Paderewski z wrażenia zdjął czapkę. Z rozwichrzonymi włosami i zdumieniem w oczach obserwował ich trud, a także iście imperatorskie przyjęcie zgotowane mu przez poznaniaków. Poznań musiał mu się wydać na wskroś polski i niesamowicie zjednoczony. Widać było, że Paderewski nie spodziewał się, iż zostanie aż tak serdecznie przyjęty.

Równie zaskoczona zdawała się jego siedząca obok małżonka.

– Niech żyje Mistrz Paderewski! Niech żyje! – darł się Kaczmarek, gdy powóz z zaprzężonymi do niego mężczyznami pokonywał nierówności bruku na wysokości kościoła św. Marcina.

Jęzkowiakowi – choć był zwykle twardy – głos uwiązł w gardle, a w oku zakręciła się łza. Nagle, w jednej chwili, zrozumiał, że uczestniczy w czymś historycznym. W listopadzie był w Warszawie i na polecenie Piłsudskiego rozpętał rewolucję, która przyniosła tam wolność. Teraz, w grudniu, stał w ochronie przyjazdu samego Paderewskiego, który przywiózł do Poznania przedsmak swobody.

Jestem szczęściarzem, pomyślał. Jestem wielkim szczęściarzem. Ale największym będę, jeśli Mistrz nie przyjedzie tu nadaremno.

Powóz z Paderewskim skręcił łagodnie w Wilhelmstrasse i ruszył ku hotelowi Bazar, fetowany spazmatycznie przez cywilów po obu stronach ulicy. Za nim potoczyły się kolejne powozy z poznańskimi dostojnikami.

Poznań, tego samego dnia, tuż przed północą

Z przemówienia, które Mistrz Paderewski wygłosił z okna nad wejściem do hotelu, Kaczmarek zapamiętał ledwie kilka zdań. Wrzawa czyniona przez tysiące witających go Polaków

uniemożliwiła wysłuchanie wystąpienia wirtuoza w całości. W pamięć zapadły Kaczmarkowi szczególnie dwie frazy: „Wszyscy jesteśmy dziećmi jednej Matki”. I o tym, że Polska się odradza, ale nie zbuduje jej żadne pojedyncze stronnictwo, tylko jedność i zgoda wszystkich.

Zapamiętał też znamieny obrazek: słów wielkiego Polaka z pomnika „wysłuchał” również cesarz Fryderyk. Pewnie były mu nie w smak, ale cóż mógł z tym zrobić?

Wracał ze służby z gardłem zdartym od wznoszenia okrzyków na mrozie – i z ogromną radością, wręcz euforią w piersi. Nigdy wcześniej nie poczuł takiej siły, a jednocześnie takiej dumy. Teraz wiedział już bez żadnej wątpliwości, że wszystko, co robi, ma sens. Że tak po prostu musi być – i że tacy jak on mają przed sobą potężne, dotychczas nienazwane wprost zadanie: przywrócenia Polski w Poznaniu.

Przechodząc obok gmachu Komendantury Twierdzy, uśmiechnął się złośliwie do sylwetki Lwa z Nachodu¹³⁷, ciągle spoglądającego dumnie w stronę Muzeum Cesarskiego – i czterech towarzyszących mu pruskich piechurów z brązu.

– Jeszcze was stąd pogonimy – mruknął.

Plac Wilhelmowski dawno już opustoszał. Żarzące się z dala okna hotelu Bazar świadczyły o tym, że prezydent Drwęski, Korfanty i inni poznańscy oficjele godnie podjęli Paderewskiego. Kaczmarek był szczęśliwy, że dzień zakończył się bez przykrych niespodzianek. A może by tak jeszcze... odwiedzić Juliette?

Pomysł był szalony, zważywszy na późną porę. I choć Kaczmarek nie miał pewności, czy wystarczy mu odwagi, by zapukać do drzwi dziewczyny, ruszył wolno w stronę Świętego Marcina.

Udekorowane w polskie barwy miasto dodawało mu otuchy. Może Juliette była z rodzicami na manifestacji? Na pewno witała Paderewskiego, a teraz w domu wymienia się wrażeniami

137 Pomnik upamiętniający żołnierzy V Korpusu Armijnego z Poznania, poległych podczas bitwy pod Nachodem (Sadową) w trakcie wojny prusko-austriackiej w 1866 r. Stał na placu Wilhelmowskim (dziś pl. Wolności) do kwietnia 1919 r.

z matką, pomyślał. Nie powinni się na niego gniewać, że przychodzi, by pochwalić się dobrze wykonaną służbą. W końcu – ochraniał z sukcesem wielkiego artystę. I wielkiego patriotę...

Tak, na pewno nie będą się gniewać, gdy do nich zajrzy. Choćby tylko na chwilkę...

Nagle coś złączyło jego błogie myśli.

Coś, a raczej ktoś.

Najpierw ich usłyszał, a dopiero potem zobaczył.

Od strony zamku ku Teatrowi Miejskiemu nadciągał równym marszowym krokiem oddział żołnierzy. Jednolite stalowe hełmy wzór 1916 i zielone mundury nie pozostawiały wątpliwości, że to nie Straż Ludowa ani Służba Straży i Bezpieczeństwa. W stronę placu Wilhelmowskiego zmierzał oddział regularnego niemieckiego wojska. Grenadierzy czy żołnierze z pułku artylerii na Sołaczcu?

Kaczmarek skrył się natychmiast za jedną z kolumn teatru. Doskonale widział teraz nadciągających żołnierzy. Były ich ze dwa plutony. Szli czwórkami, ramię w ramię, w milczeniu. Uzbrojeni w mauzery, nieśli też ciężki karabin maszynowy Maxim wzór 1908. Jego masywna lufa nie wróżyła nic dobrego.

– O, do diabła! – syknął. – Gdzie oni niosą ten kulomiot?

Zagadka szybko rozwiązała się sama. Na skrzyżowaniu Berlińskiej i Teatralnej oddział skręcił w lewo i skierował się głównym wejściem do gmachu Prezydium Policji. Najwyraźniej Niemcy postanowili wzmocnić obsadę komendy.

Boją się, pomyślał Kaczmarek.

Zaraz potem i on poczuł wielki niepokój.

XXV.

HISZPANKA, CZYLI GORĄCZKA

Stacja lotnicza w Ławicy pod Poznaniem, 27 grudnia 1918 r., nad ranem

Boski zapach jałowcowej wydobywający się z torby nęcił nozdrza Jacha, ale dla dobra sprawy pozostawał on nieczuły na pachnące pęta kiełbasy. Od początku zresztą była przeznaczona nie dla niego. Stanowiła materiał operacyjny, który był gwarancją, że cel zostanie osiągnięty. Cel – czyli dostanie się na lotnisko.

Dwaj ludzie Pniewskiego w cywilnych, wiejskich łachach podrzucili go furmanką do wsi. Ostatnie kilkaset metrów musiał już pokonać na własnych nogach.

– Tylko nie daj się aresztować – usłyszał na pożegnanie.

Ta rada nie nastroiła go zbyt optymistycznie. Ale poszedł połą drogą w stronę majaczących na południu zabudowań stacji lotniczej Deutsche Luftstreitkräfte. Miał na sobie wojskowy płaszcz, a pod nim szary lotniczy mundur. Uznał, że tak będzie lepiej. W rozchodzącej się z wolna mgłę dostrzegł najpierw masywną wieżę obserwacyjną, a zaraz potem dachy najwyższych budynków, w których miało siedzibę dowództwo. Znał doskonale topografię terenu, więc szybko zauważył też długie ściany hangarów. Na płycie lądowiska widać było kilka aeroplanów. Z tej odległości nie mógł jednak określić, czy były to myśliwce, czy maszyny obserwacyjne. Jedno wszakże nie ulegało kwestii: stacja lotnicza utrzymywała pogotowie bojowe, co jeszcze na początku listopada nie było takie oczywiste. Łatwo można było się zorientować, że dowódcy znowu ujęli pułk lotniczy w karby rozkazów i w ramy codziennej, uregulowanej służby.

Gdy był już w połowie drogi między wsią a bramą lotniska,

zauważył szeregi lotników w szarych kombinezonach odbywających musztrę na dziedzińcu przed budynkiem dowództwa. Na szczycie wieży nie powiewała już czerwona płachta – lecz biało-czerwono-czarny proporzec z krzyżem, dobitnie poświadczający ogrom zmian, jakie zaszły na lotnisku od czasu, gdy w połowie listopada zwolniono z szeregów polskich pilotów i pracowników obsługi naziemnej.

Będzie ciężko, przemknęło mu przez głowę. Najbardziej jednak obawiał się reakcji leutnanta Pohla. Czy Paul na jego widok nie nabierze podejrzliwości? Czy dostawa kiełbasy na pewno rozwieje wszelkie wcześniejsze wątpliwości?

– Najpierw trzeba się do niego dostać – mruknął sam do siebie.

Porzucił wszelkie niepotrzebne rozważania i skupił się na jednym: musiał wypaść w pełni wiarygodnie. Nie jak podejrzany Polak – raczej jak zaufany człowiek Paula Pohla, jak jego serdeczny przyjaciel. Kiedy już wpuszczą go na teren lotniska, rozejrzy się co i jak. Pierwsze wnioski i tak już wyciągnął...

W budce wartowniczej przy bramie stało dwóch piechurów. Jach od razu wyczuł w ich postawie nieufność. Spojrzenia Niemców błędziły po jego wypchanej torbie.

– *Halt!* – krzyknął wyższy z nich. – Kim jesteś i co tu robisz?

Franciszek zobaczył wycelowane w siebie lufy karabinów. Był na to przygotowany.

– Feldwebel pilot Franciszek Jach – przedstawił się służbowo. – Służyłem tutaj do 15 listopada. Moim dowódcą był leutnant Paul Pohl.

– Czyżby? – strażnicy byli podejrzliwi. Przyglądali się jego płaszczowi jak teatralnemu rekwizytowi. – A co masz w torbie?

Wyciągnął swoją wojskową książeczkę i pokazał im, że mówi prawdę. Dla większej wiarygodności rozchylił niby przypadkiem poły płaszcza, by dostrzegli jego srebrzystoszary mundur. A zaraz potem otworzył poły torby.

Nęący zapach uderzył w nosy wygłodniałych wartowników. Pęta jałowcowej działały bezbłędnie. Wprost nie mogli oderwać od nich oczu.

– Mogę wam jedną dać – zaproponował. – Ale najpierw

połączcie mnie telefonicznie z leutnantem Pohlem.

Spojrzeli po sobie zdeorientowani. Polak był wyższy stopniem, ale jednak został już dawno zdemobilizowany. Czy powinni w ogóle go słuchać? Lojalność wobec rozkazów toczyła w nich bój z pokusą smacznego posiłku. Nieodpartą pokusą. Jach już wiedział, jak to się skończy. Wyczytał to w oczach Niemców.

– *Na ja, zadzwonić nie zawadzi* – uznał ten, który był wyższy rangą i wzrostem. – *Ale dasz nam dwie. Po jednej dla każdego.*

– *Gemacht*¹³⁸ – przystał chętnie, choć ta transakcja już na starcie odbierała mu dwie z sześciu kiełbas.

W myślach machnął na nie ręką. Wiadomo: cel uświęca środki.

Jeden z wartowników zarzucił karabin na ramię i szybkim krokiem podszedł do drewnianej budki. Energicznym ruchem pokręcił korbą prądnicy, a potem podniósł słuchawkę z widełek aparatu i powiedział:

– *Mówi gefreiter Lose. Jest tutaj pewien Polak, feldwebel Jach. Chciałby mówić z leutnantem Pohlem. Jest w kasynie?... Gut, gut. Poczekamy...*

Poznań, Wilhelmstrasse, 27 grudnia 1918 r., przed południem

Dzień był bezśnieżny, z lekka tylko mroźny, z przedzierającym się przez chmury słońcem. Tłumy poznaniaków we wszelakim wieku, które poprzedniego dnia niemal do północy okupowały Wilhelmstrasse i płytę pobliskiego placu, zaczynały znowu gromadzić się pod Bazarem, wiwatując spontanicznie na cześć Mistrza i towarzyszących mu oficerów. Tyle że tym razem Paderewski pozostał głuchy na ich zaklęcia – jakoś nie kwapił się, by znowu pokazać się tłumom w oknie hotelu.

Jęczkowiak przyglądał się im, przechadzając się wraz z Kaczmarkiem w patrolu, który otrzymał za zadanie utrzymanie porządku i spokoju w bezpośrednim otoczeniu hotelu. Choć poznańscy zdzierali gardła i machali rękoma w stronę okien

¹³⁸ Z niem. – zrobione.

apartamentu Mistrza, Józef i Zbigniew nie mieli dużo pracy. W pierwszym, poświęconym dniu większość mieszkańców Poznania wróciła do swoich zawodowych obowiązków, więc tylko ci niepracujący mogli stać na Alejach i wykrzykiwać: „Niech żyje Paderewski!”. Poza tym w mieście panował spokój, choć wyczuwało się jakieś trudne do określenia napięcie.

Wielki artysta – mimo gorących nawoływań – konsekwentnie nie pokazywał się w oknie swojego apartamentu. Mimo szybko upływających godzin poranka story w oknach ciągle były zasłonięte, co zaniepokoiło zgromadzonych pod hotelem. Aż nagle w tłumie rozeszła się ponura pogłoska:

– Mistrz Paderewski jest chory!

– Ponoć zapadł na hiszpankę!

Jęczkowiak zrazu nie uwierzył w tę plotkę. Pierdoły, pomyślał z poznańska. Tyle że uporczywie powtarzana niemal wszędzie pogłoska robiła coraz bardziej porażające wrażenie.

– No tak. Wczoraj z wieczora, gdy przemawiał z okna, a właściwie krzyczał, było zimno – skomentował plotkę Kaczmarek. – Nic dziwnego, że dziś jest chorowity. Żeby tylko nie było z tego czegoś gorszego.

– Nie kracz, wrono! – zganił go zaraz Jęczkowiak.

Niepokój i niepewność rosły w nim jednak jak ciasto na drożdżach. Pocieszał się tylko myślą, że na szczęście nigdzie nie widać było demonstrujących Niemców. Jakby pochowali się gdzieś albo zgoła opuścili miasto. Jęczkowiak zdawał sobie jednak sprawę, że to tylko pozory i trzeba zachować czujność.

Około południa od strony Petriplatz nadeszła niespodziewanie pod Bazar szkolna dziatwa prowadzona pod czujnym okiem nauczycieli. Dzieci niosły w dłoniach czerwone chorągiewki z białym orłem, wymachując nimi i robiąc radosny tumult. I właśnie gdy tak wiwatowały piskliwie pod hotelem, w oknie pokoju Mistrza ukazała się zniecka kobieca sylwetka.

– To pani Helena, żona Mistrza! – od razu skomentowali gapie.

Nie pomylili się. Małżonka artysty wychyliła się przez okno i zaprosiła dzieci do środka. Zaraz potem delegacja dziatwy w asyście opiekunów weszła głównymi drzwiami do hotelowego

holu.

– Może z nim nie jest aż tak źle – powiedział Kaczmarek. – Skoro przyjmuje dzieci...

– Skąd wiesz, że przyjmuje? – zirytował się Jęczkowiak.

Coś w nim dygotało, jak w chorym na febrę. Trawiła go coraz większa niepewność, rozglądał się wokół nerwowo, jakby w każdej chwili – na przekór ogólnej sielance – spodziewał się napaści na hotel.

Kaczmarek dostrzegł dziwne zachowanie swojego serdecznego kolegi.

– Józek, co ci jest? – zaniepokoił się nie na żarty.

– Nic takiego, Biniu. Nic! Ale uważaj, proszę cię. Coś mi nie daje spokoju, jak Boga kocham...

– W tę hiszpankę, to nie wierz! – Zbigniew próbował go uspokoić. – To pewnie bujda, pierdy¹³⁹ jakieś. Może jest lekko przeziębiony, ot co...

Jęczkowiak przystanął pod pomnikiem Higiei i spojrzał towarzyszowi prosto w twarz. Kaczmarek zobaczył, że oczy kolegi płoną z niepokoju. I wtedy się przestraszył:

– Rany boskie, Józek! Ty masz chyba gorączkę!

Stacja lotnicza Deutsche Luftstreitkräfte w Ławicy pod Poznaniem, o tej samej porze

Cudowny zapach grzanej jałowcowej wart był każdych pieniędzy. A co dopiero miał powiedzieć oficer, który od dawna nie jadł mięsa?

– *Wirklich lecker*¹⁴⁰ – pochwalił leutnant Pohl, operując z namaszczeniem sztucami nad służbową menażką, z której dopiero co odlał parujący wrzątek. – Przydałaby się jakaś musztarda, ale cóż...

– Mówisz musztarda... i masz musztardę – Jach jakby tylko czekał na dyspozycję, wydobywając z dna torby słoik

139 Z gwary poznańskiej – bzdury.

140 Z niem. – Rzeczywiście pyszna.

z przyprawą.

– *Wunderschön!*¹⁴¹ – ucieszył się Pohl, mlaskając przy tym jak dziecko. – Wam, Polakom, zawsze zazdrościłem dwóch spraw: pięknych dziewczyn i niesamowitych wędlin. To ładnie, że o mnie pomyślałeś, Frantz. Nie spodziewałem się, naprawdę... Mhm, naprawdę znakomite... Te również pochodzą od twoich rodziców?

Jach uznał, że małe kłamstwo dobrze przysłuży się sprawie. Przytaknął skinieniem głowy.

– Szczęśliwy ten dom... gdzie takie kiełbasy są... – wymruczał znad menażki leutnant, w mig rozprawiając się z pociętą w kawałki kiełbasą.

Takiego towarzysza broni, rozluźnionego i wesołego, Jach nigdy nie lubił. Siedzieli w prywatnej kwaterze Pohla, jak za dawnych lat – tyle że w kantynie – bywało, nad wspólnym posiłkiem. Za oknem znowu słychać było wzmagający się warkot rozgrzewanych silników i okrzyki mechaników. Ale czasy się zmieniły. Mocno zmieniły. Na tyle, że Franciszek musiał być teraz wyjątkowo czujny. Zdawał sobie sprawę, że Paul cały czas go obserwuje. I nie pomylił się.

– *Na ja, gut...* – Niemiec w końcu uporał się z niespodziewanym, acz smakowitym posiłkiem. Zagryzł ostatnią pajdą chleba, a potem wytarł usta i brodę z tłuszczu wydobytą z kieszeni chustką. – A teraz powiedz mi, Frantz, czemu zawdzięczam twoją wizytę. Ale tak szczerze, jeśli można...

Jach nie uciekł wzrokiem spod badawczego spojrzenia niedawnego dowódcy. Starał się zachowywać swobodnie, naturalnie. Udało się, nie zdrząła mu nawet powieka.

– To z nudów, Paul – powiedział żartobliwym tonem. – Wy macie co robić, codzienna służba ustala wam rozkład dnia. A tacy jak ja wałęsają się po mieście bez celu, wspominając dawne dzieje. Wiesz... chętnie bym się jeszcze gdzieś przeleciał. Chociaż raz. Nawet jako obserwator! Strasznie mi tego brakuje. Nie uwierzysz nawet, jak bardzo...

Szare oczy Niemca taksowały twarz Polaka, jakby szacując, na

141 Z niem. – Cudownie!

ile mu można wierzyć.

– *Na ja, gut...* – powtórzył, nie spuszczać wzroku z Jacha. – A teraz wreszcie powiedz mi prawdę. Przysłali cię do nas na przesłuchanie, co?

Jach zrobił duże oczy. Tak duże, jak tylko potrafił.

– Niby kto? – zapytał. – Mnie, na przesłuchanie? To gorzej by już nie mogli wybrać, jak matkę kocham! Jaki tam ze mnie agent?

Leutnant Pohl pozostał nieufny.

– Pamiętam, że w ostatnim czasie trzymałeś z tym waszym eleganckim podoficerkiem – przypomniał sobie. – Jak mu tam było? Pilewski?

– Chyba Pniewski?

– Może być.

– I co? Już się nie widujecie?

– Każdy poszedł w swoją stronę, Paul. Każdy ma swoje sprawy, swoje rodziny. A żyć trzeba. Wiesz, że z żywnością krucho. Ile razy można jeść stare ziemniaki albo gnijące buraki? O pracę też niełatwo...

Leutnant uśmiechnął się ironicznie, mrużąc oczy.

– I chcesz mi powiedzieć, że przyjechałeś tu tylko po to, żeby mi podrzucić trochę wędliny? Mam w to uwierzyć, Frantz? Naprawdę mnie tak nisko oceniasz?

Jach nawet nie mrugnął okiem. Uznał, że to dobry moment, by przejąć inicjatywę. Nachylił się nad stołem ku Niemcowi i szeptem odpowiedział:

– Masz rację, to był tylko pretekst. Tak naprawdę szukam jakiejś roboty. W Poznaniu nic nie znalazłem. Pomyślałem... Wymyśliłem sobie, że z moim doświadczeniem mógłbym się tu przydać.

– Nie żartuj, kolego – skontrował go od razu Pohl. – Nie po to dowództwo oczyściło jednostkę z osób niepewnych, by teraz na nowo zatrudniać Polaków z podejrzaną przeszłością. Nie obraż się, Frantz, ale tak to wygląda. Lepiej, żeby o twojej wizycie nie dowiedziało się zbyt wiele osób. Na żadną pracę nie masz najmniejszych szans. Najmniejszych, wybij to sobie z głowy.

– A może mógłbym... Mógłbym załatwiać ci różne sprawy

w Poznaniu.

– Wykluczone. Nie potrzebuję pośredników. Zresztą, od czasu waszego Sejmu w mieście to i tak niemożliwe. W dodatku napatoczył się tu ten wasz muzyk z Ameryki... Nie, kolego, teraz już nikt wam nie ufa. I ty o tym doskonale wiesz.

Jach spuścił głowę, udając całkiem zgrabnie człowieka zrezygnowanego.

– No cóż – wymamrotał. – Trudno. W takim razie... wracam do miasta.

– Poczekaj! – leutnant Pohl pacnął go dłonią w ramię. – Za tak dobrą kiełbasę należy się podziękowanie. Zaczekaj tu na mnie, skoczę do kantyny po butelkę czegoś mocniejszego.

W tym samym czasie w Poznaniu, w komendzie POW przy Bäckerstrasse 1

Musiał usiąść i odpocząć. Wbrew obawom Binia, nie miał gorączki. Trawił go jednak jakiś trudny do wytłumaczenia lęk. Obradujący w drugim pokoju członkowie Rady Jedenastu wydawali mu się duchami, których niewyraźne zdania rozmywały się w kakofonię dźwięków. Nie potrafił się na niczym skupić. Obiad, który zjadł u matki, schodząc ze służby, nie smakował mu niczym. Czuł dziwny do wytłumaczenia strach. Podskórnie wyczuwał, że dzieje się coś niedobrego.

W dyżurce zaterkotał telefon. Słuchawkę poderwał Czesiu Smoczyński.

– Co?! Gdzie?! – aż podskoczył na krześle. – Ilu?! Kiedy?!

Nie odkładając słuchawki, rzucił do Jęczkowiaka i kilku innych kolegów:

– Alarm! Niemcy robią na mieście jakieś awantury!

– Trzeba to natychmiast sprawdzić! – Jęczkowiak zerwał się z krzesła, jakby tylko na to czekał. Jego myśli nagle odzyskały dawną jasność. – Gdzie są te Szkiebry, Czesiu?! Co właściwie robią?!

Smoczyńskiemu z przejęcia zaschło w gardle, musiał przełknąć

ślinę.

– Podobno idą od strony Kaponiery do śródmieścia! A po drodze niszczą szyby w sklepach z naszymi flagami! Są już pono na placu Wilhelmowskim!

– Kaczmarek i Kubiak – za mną! – Jęczkowiak już wiedział, co trzeba zrobić.

– Tak jest!

Wypadli jak wicher na Bäckerstrasse, a zaraz potem na Sankt Martin Strasse i Ritterstrasse. W mieście robiło się już szaro, nadciągał wczesny zimowy mrok. Od chodnika, bruku i torów tramwajowych ciągnęło wzbierającym chłodem. Im jednak było gorąco jak cholera.

– Co się dzieje?! Gdzie są Niemcy?! – rozpytywali nielicznych przechodniów w biegu.

– Przeszli Berlińską na plac Wilhelmowski! – wygrażał pięścią starszy mężczyzna w eleganckim płaszczu.

– I dalej, na Aleje! – dorzuciła jego towarzysząca, idąca pod ramię.

– To wojsko, ale są też cywile! Kobiety i dzieci! – podkreślił listonosz, zmierzający w przeciwną stronę.

– Chyba idą pod Generalkommando!¹⁴² – wyraził opinię strażnik spod Biblioteki Cesarskiej.

– To jakaś gruba prowokacja! – uznał błyskawicznie Jęczkowiak. Wreszcie poczuł się w swoim żywiole, wydawał komendy zupełnie jak na froncie: – Biniu i Franek! Lećcie na Aleje! Zobaczcie, co tam Niemcy wyrabiają. Ja rozejrzę się tutaj i w razie czego ściągnę posiłki! Gdybyście mieli kłopoty, natychmiast wracajcie!

– Się robi! – odkrzyknęli i już ich nie było.

Jęczkowiak okręcił się na pięcie pod samym Teatrem Miejskim, ale nie zdążył już nigdzie pójść. Do jego uszu dobiegł chóralny, męski śpiew:

*Pamiętne dawne Lechity
Żyły męstwem i cnotą,*

142 Z niem. tu: Dowództwo Korpusu.

*Wolność kochaną i złotą
Nad wszystkie kładły zaszczyty.
Bo w cnotliwym zawsze łonie
Do wolności ogień płonie...*¹⁴³

Obejrzał się zaskoczony, akurat w momencie, gdy zza zakrętu Kaiserin Auguste Viktoria Strasse¹⁴⁴ w Berliner Strasse weszła kompania żołnierzy w płaszczach, hełmach i z karabinami na pasach. Na karabinach dostrzegł bagnety. Śpiew urwał się nagle, jak nożem uciął, oddział maszerował teraz dziarsko w milczeniu w kolumnie czwórkowej ku Wilhelmsplatz.

Cywilie rozstępowali się przed żołnierzami z lękiem, ale i szacunkiem.

– To nasi!

– Polacy idą! – rozległy się radosne okrzyki.



Jęczkowiak stał na narożniku Ritterstrasse i Berliner Strasse, oparty plecami o wejście do sklepu z przedmiotami metalowymi. Było coraz ciemniej, więc wyteżał wzrok, szukając w kolumnie żołnierzy znajomych twarzy – i szybko je znalazł. Już wiedział, że to kompania Służby Straży i Bezpieczeństwa z fortu Rocha, która od niedawna stacjonowała w zamku cesarskim. Najwidoczniej dostała rozkaz rozpędzenia awanturujących się Niemców i zmierzała w stronę Wilhelmstrasse, by zaprowadzić porządek w śródmieściu.

Usłyszał, jak gdzieś w górze ktoś otwiera okna. Zadarł głowę. Z okien na piętrze Prezydium Policji wyglądali w stronę uzbrojonych Polaków policjanci i niemieccy żołnierze. Ich miny nie zdradzały niczego dobrego.

Zaraz potem mężczyźni w policyjnych mundurach otworzyli główne wejście do gmachu komendy i ustawili na chodniku ciężki karabin maszynowy.

143 Popularna w 1918 r. pieśń patriotyczna autorstwa Jana Eichhorna.

144 Dziś ul. Gwarna.

– Matko Boska... – zdążył jęknąć Józek.

Gdy polski oddział dotarł na wysokość skrzyżowania z Ritterstrasse, cekaem splunął żelastwem w stronę maszerujących.



Zwarty dotąd oddział poszedł w rozsypkę. Czołówka uskoczyła w Ritterstrasse, a tył cofnął się w głąb Berliner Strasse.

Nie wszystkim udało się zbiec.

Na środku skrzyżowania w kałużę krwi leżał dowódca kompanii, który jeszcze przed chwilą prowadził oddział ku pomnikowi cesarza Fryderyka.

Musiał oberwać kilkoma pociskami. Jeszcze żył, ale widać było, że kona.

Kilku przechodniów, nie zważając na niebezpieczeństwo, chwyciło ciężko rannego pod pachy i wniosło do bramy domu przy Ritterstrasse.

Okolica opustoszała, jak wymieciona.

Jęczkowiak nie zauważył, że w tym samym momencie z ulicy ściągnięto drugiego postrzelonego. Chwycił go bowiem wielki gniew. Wyszarpnął z kabury swoje parabellum i bez namysłu strzelił kilka razy w stronę obsługi karabinu maszynowego.

Ręka mu zadrżała, więc nie zrobił im krzywdy.

Zaraz potem znowu usłyszał śmiercionośny terkot kulomiotu.

Instynktownie uskoczył w lewo, w stronę cesarskiej biblioteki.

Seria pocisków wyrzeźbiła na murze linię odprysków, powalając z hukiem wielką szybę wystawową sklepu.



Jęczkowiak dyszał ciężko, leżąc poobijany na chodniku. Odruchowo zerknął na zegarek. Właśnie minęła szesnasta.

A więc strzelają do nas – przemknęło mu przez głowę. – Coś wreszcie się skończyło. A może raczej zaczęło?

Jeszcze pół roku wcześniej sam nosił mundur niemieckiego piechura i strzelał do Francuzów. A teraz miał się zmierzyć

z Niemcami, niedawnymi towarzyszami broni. Sprawy zaszły jednak za daleko, by się wahać...

W kilku skokach wpadł w bramę, w której grupka przerażonych cywilów toczyła beznadziejną walkę o życie rannego żołnierza. Jego zboczony krwią mundur, blada twarz i martwe usta nie dawały jakiegokolwiek nadziei.

– Panie, tu trzeba pilnie lekarza! – lamentował starszy jegomość w binoklach.

– Raczej księdza – skontrolował go Jęczkowiak.

Nikt się nie kwapił, więc sam przymknął palcami powieki zmarłego.

– Wiadomo chociaż, kto to był? – zapytał.

– Ratajczak. To był Franciszek Ratajczak, górnik z Niemiec... – odezwał się nagle ktoś spod ściany.

We wszechobecnym półmroku Jęczkowiak rozpoznał młodego chłopaka w mundurze Służby Straży i Bezpieczeństwa.

– Trzeba zameldować na zamek, że nie żyje. Trzeba... – chciał wydać rozkaz, ale już nie zdążył.

Od strony placu Wilhelmowskiego doleciał do jego uszu masowy tupot ciężkich żołnierskich butów.

– Polacy! Do broni! – ryknęło zrazu kilkanaście, a potem kilkadziesiąt gardeł.



Jęczkowiak wyjrzał ostrożnie zza muru.

Od strony Muzeum Cesarskiego przez Wilhelmsplatz pędzili w stronę Prezydium Policji dobrze mu znani strażnicy z grupy Nogaja. Choć mieli stanowić ochronę gości w hotelu Bazar, na odgłos strzelaniny poderwali się do walki.

Niespodziewanie odezwał się znowu cekaem. Inny, gdzieś od strony Komendy Miasta. Siekł pociskami w ludzi Nogaja z flanki. Strażnicy zalegli na placu, chroniąc się przed ostrzałem. A potem poderwali się i wycofali w stronę Wilhelmstrasse.

Jakimś cudem w bramie przy umierającym Ratajczaku zjawił się ksiądz Chilomer, proboszcz ze św. Marcina. Drżącą dłonią udzielił

mu ostatniego namaszczenia.

Chwilę później niemiecki cekaem przestał strzelać.

Wojna, pomyślał Jęczkowiak. Wreszcie wojna!

– Do broni! Pooolaaaacy, do broni! – krzyczał, pędząc w stronę rodzinnego domu.

W pokoju matki, za piecem czekał na niego karabin, zdobyty niedawno w koszarach na Solnej.

I pudełko z amunicją.

XXVI.

ALBATROS

Lotnisko w Ławicy, 27 grudnia 1918 r., około siedemnastej

Leutnant Pohl został pilnie wywołany do dowództwa. Franciszek nie wiedział, o co chodzi, ale z marsowego oblicza podoficera, który przyszedł po Paula wywnioskował, że musiało się wydarzyć coś ważnego.

Nieobecność dawnego frontowego kompana wykorzystał, by przez okno jego kwatery dokładnie policzyć widoczne na płycie lotniska maszyny. Doliczył się dziesięciu Fokkerów i czterech Albatrosów. Był jednak pewien, że co najmniej drugie tyle aeroplanów znajduje się w hangarach.

Sprawa nagłego wezwania Paula wyjaśniła się kwadrans później. Leutnant wpadł do swojej katory z rozbieganym wzrokiem i wymalowaną na twarzy złością.

– Zamieszki w Posen! – rzucił w stronę Jacha. – Zdaje się, że w śródmieściu doszło do wymiany ognia.

– Ognia? Ktoś do kogoś strzelał?

– Nie powinienem ci tego mówić, ale cóż... Podobno są ranni, może nawet zabici...

Jach złapał się za głowę. Czyżby w Poznaniu rozpoczęło się właśnie to, o czym od dawna marzył i na co czekał? A on, jak na złość, siedzi tu, wśród Niemców! I nic nie może zrobić! Niech to szlag!

– Co robisz? – zapytał, obserwując, jak Paul zabiera się za pakowanie swoich manatków do wielkiej żołnierskiej torby.

– Dostałem rozkaz pilnego odstawienia maszyny do Berlina – mruknął niechętnie Pohl.

– Fokkera czy naszego obserwacyjnego Albatrosa?

– Za dużo chciałbyś wiedzieć, Frantz. I tak już powiedziałem ci dużo. Wybacz, ale chyba musimy się pożegnać.

– Rozumiem – Jach podniósł się z krzesła.

Gorączkowo zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Po głowie tłukł mu się tylko jeden pomysł. Absurdalny i niedorzeczny, ale jednak...

– Posłuchaj, Paul – odważył się zaryzykować. – Jeśli lecisz do Berlina, to znaczy, że zobaczysz się z żoną i dziećmiakami.

– No tak. Ale... co ci do tego?

– Sam wiesz, jaki tam teraz głód. Słyszałem od znajomego, że w Berlinie jest dużo gorzej z zaopatrzeniem niż na wsi.

– To prawda.

– Posłuchaj. Proponuję ci prosty układ: w drodze do Berlina nadłożysz pół godziny i podrzucisz mnie do rodziców, a w zamian dostaniesz mięso ze świeżego świniobicia. Co ty na to?

Pohl zatrzymał się między komodą a łóżkiem i zmierzył Jacha podejrzliwym spojrzeniem.

– Co ty kombinujesz, Frantz?

– Kombinuję, jak szybko dostać się do domu. To chyba nie jest zabronione, nawet na niemieckim lotnisku wojskowym?

Ostatnie słowa zabrzmiały nieco szyderczo, ale nie dbał o to. Apetyczny zapach grzanej kiełbasy ciągle jeszcze zalegał w kątach kwatery Niemca. Jach wiedział, że to potężny sojusznik.

– No dobra, niech ci będzie – zgodził się Pohl. – Ale pamiętaj: obiecałeś mi wałówkę. Świeżą wałówkę!

– Będzie świeżutka, sam zobaczysz – uśmiechnął się Polak. – Świnia była bita tuż przed świętami...

Już wiedział, że wygrał.

Przynajmniej tę pierwszą bitwę.

Poznań, w tym samym czasie, pod Bazarem

Chaos na Wilhelmstrasse wywołany wtargnięciem liczącej około tysiąca osób manifestacji niemieckiej, która dotarła aż pod

Bank Związku Spółek Zarobkowych, zdzierając polskie i alianckie flagi z domów, został szybko opanowany. Niemieckich cywilów prędko rozproszono, a słysząc pierwsze strzały dochodzące zza pleców, z okolicy Prezydium Policji, ostatni odważni uciekli do bram i zaułków. Kaczmarek z Kubiakiem usłyszeli strzały z cekaemu dobiegające z Wilhelmsplatz. Seria poszła po fasadzie Bazaru, tłukąc szyby w oknach.

– Strzelają do apartamentu Mistrza! – krzyknął jeden z Polaków wbiegających głównym wejściem do hotelu.

Jeszcze nie opadł kurz, a już na balkonie hotelu czyjeś mocne ręce rozwarły z hukiem drzwi. Czterech mężczyzn w niemieckich mundurach i furażerkach przyozdobionych biało-czerwonymi kokardami ustawiło na balkonie karabin maszynowy na nóżkach i chwilę później w stronę Prezydium Policji zaczęły świstać polskie kule.

Równie nagle wokół hotelu pojawiły się dziesiątki, a rychło setki żołnierzy w niemieckich uniformach, ale z polskimi opaskami albo kokardami. Leżąc na ulicy albo przyklękając, rozpoczęli ostrzał w stronę Teatru Miejskiego i Prezydium Policji. Kaczmarek rozpoznał wśród nich porucznika Stanisława Rybkę. Uwijał się jak w ukropie, wydając komendy. Bardzo szybko polska linia ruszyła do przodu, otaczając gmach policji szczelnym kordonem.

Kaczmarek przez chwilę zastanawiał się, czy pójść z nimi, ale gdy tylko ogień ze strony Niemców na moment zelżał, zebrał się w sobie i wskoczył głównym wejściem do Bazaru.

W holu panowało potworne zamieszanie. Obsługa hotelowa miotła się między piętrami, nie wiedząc, czym zająć się w pierwszej kolejności. Przy drzwiach stało kilku polityków machających nerwowo rękoma. Kaczmarek rozpoznał wśród nich Korfantego i księdza Adamskiego. Przyglądali się bezradnie żołnierzom biegającym po hotelu i wnoszącym rannych...

– I stało się, cholera jasna! – klął Korfanty. – Tego już nie da się odkręcić, panowie! To zbyt gruba sprawa, połała się krew...

– Miejmij ufność w Bogu – powiedział spokojnym tonem ksiądz Adamski.

– A co nam innego pozostało? – zachnął się mężczyzna w marynarce, z wyglądu przypominający redaktora gazety. – A z rautu na cześć Mistrza nici! Całe szczęście, że chociaż państwo Paderewscy wyszli z tego cało. Gdyby zginęli... Matko Boska, ale to by była poruta! Na całą Polskę!

– Mówiłem im! Ostrzegałem! Że trzeba ostrożnie. Że za szybko... – Korfanty machnął ręką ze złością. – Szlag mnie zaraz trafi! Jak można było tak schrzanić robotę! Ten cały Paluch... I ten Hulewicz! Jeszcze odpowiedzą za tę samowolkę!

Kaczmarek szybkim krokiem minął rozdyskutowaną grupę dostojników i wbiegł wyżej, na pierwsze piętro, zahaczając o imponującą Salę Białą. Jej wrota były szeroko rozwarte. Wnętrze rozświetlał niesamowity żyrandol w kształcie gigantycznego sopła lodu zwisający spod zdobnego w akanty sufitu. Pomiędzy stołami krzątały się sanitariuszki, opatrując kilku rannych. Białe obrusy w paru miejscach pokryły się czerwienią od krwi rannych żołnierzy.

Wszechobecna rdzawa barwa przypomniała mu natychmiast rzeź pod Verdun. W jeszcze niedawno rannej nodze poczuł bolesne ukłucie.

– Biniu!

Obejrzał się i zobaczył Franka Kubiaka machającego do niego ręką z korytarza. Ruszył w jego stronę.

– Co jest?!

– Musimy wracać na Piekary. Czesiek przysłał łącznika, ma dla nas zadanie...

– Kiedy musimy tu być. Trzeba bronić Mistrza! Sam widzisz, jak nas tu niewielu!

Kubiak oparł się o jego ramię i powiedział mu szeptem w ucho:

– Nie jest tak źle. Dowiedziałem się, że Paderewski jest bezpieczny, pod mocną ochroną. A pod hotel zajeżdżają posiłki. Nasi zajęli już Muzeum Cesarskie, pocztę i podobno dworzec... Wszystko idzie w dobrą stronę.

Kaczmarek spojrział podejrzliwie na rudego kompana.

– A ty skąd to wszystko wiesz?

Kubiak mrugnął znacząco do kolegi.

– Mam kumpla wśród ludzi Rybki. Mówi, że na pomoc idą nam kompanie Straży i Bezpieczeństwa z Raucha i Prittwitza...¹⁴⁵
W drodze jest też ponoć kompania z Kórnika.

Kaczmarek zrozumiał, że musi posłuchać rozkazów z komendy POW.

– Skoro tak, to wracamy na Piekary! – zgodził się szybko.

Poznań, okolice Prezydium Policji, w tym samym czasie

Zacięta strzelanina pod Prezydium Policji trwała przez ładną godzinę. Ludzie Nogaja, którzy osaczyli od tyłu Komendę Miasta przy Wilhelmsplatz, wypędzając z niej Niemców, skutecznie blokowali teraz gmach policji. Po opustoszałych ulicach, przy wygaszonych latarniach biegały grupki mężczyzn z bronią, nawołując się w obu językach, ale głównie po polsku. Kilka razy doszło do chaotycznej wymiany ognia, nie obeszło się też bez pomyłek.

Jęczkowiak słyszał te pojedyncze, chaotyczne strzały, gdy z załadowanym karabinem biegł na komendę POW na Piekarach. Na miejscu zastał rozemocjonowanego Czesia Smoczyńskiego.

– Co się dzieje? – Smoczyński oderwał się od telefonu. – To chyba jakaś potężna prowokacja!

– Nie prowokacja, brachu! To wojna! Niemcy ostrzelali naszych pod Prezydium Policji, sam widziałem! Odpowiadamy ogniem!

Smoczyński zrobił wielkie oczy. I zaraz dorzucił:

– Przed chwilą dzwonili z Bazaru! Szkiebry ostrzelały pokój Paderewskiego! Trzeba było go ewakuować na zaplecze!

– Jezus Maria! Musimy bronić Mistrza! W takim razie leć do Bazaru!

– Poczekaj, Józek! Czeeeekaj! – Smoczyński złapał Jęczkowiaka za rękaw.

– Ale po co?! Chcesz, żeby nam Paderewskiego zabili?!

– Nie chcę! Nie chcę, do jasnej cholery! Ale słuchaj, Józek! – Smoczyński jakby czekał na pojawienie się Jęczkowiaka. – Zdaje

145 Nazwy niemieckich fortów wokół centrum ówczesnego Poznania.

się, że wiara już obronę Mistrza obstałowała! A ja mam dla was rozkaz od samego Palucha. Pilny rozkaz! Masz zebrać kilku ludzi pod bronią i pędzić na jednej nodze na patrol w stronę koszar grenadierów. Zajmijcie stanowiska na Zwierzynieckiej, blokujcie dojdzie od strony koszar. I obserwujcie Niemiaszków. Jakby tylko ruszyli się z koszar na odsiecz swoim w śródmieściu, ostrzelujcie się, wycofując na Kaponierę! Musimy wiedzieć, co się dzieje w koszarach! I co nam grozi!

Jęczkowiak zawahał się, ale musiał uznać wyższość rozkazu porucznika.

– Jasne, Czechu! – ucieszył się z pierwszego od dawna zadania bojowego. W duchu pożałował, że nie pospieszy z pomocą Paderewskiemu, ale co było robić. – A ilu mi dasz ludzi? Ilu was jest na miejscu?

Smoczyński się zmartwił.

– Mam czterech... No, w sumie mam pięciu chłopca.

– Trochę mało. Jakby się ruszyli, długo się nie utrzymamy.

– No wiem! Ale jednak rozkaz jest rozkaz. Trzeba wykonać.

– To go wykonam. Dawaj mi ludzi, ale już!

Smoczyński nerwowo przycesał dłonią spoconą grzywkę.

– Jak tylko będę miał wolne moce, podeślę wam kogoś na zmianę. Właśnie posłałem po naszych do Bazaru – obiecał. – Wyślę też niebawem patrole na Bukowską i na Augusty-Victorii¹⁴⁶.

– Dobra jest! Będziemy czekać na wsparcie, brachu – Jęczkowiak obejrzał tymczasem twarze chłopaków, którzy stawili się przed nim z karabinami w dłoniach. – No, wiara! A więc wojna! I pierwsze zadanie. Idziemy na Kaponierę trzymać w szachu koszary na Bukowskiej. Wszystko jasne?

Przytaknęli bezgłośnie skinieniem głów. Widać było, że przeżywają całą sytuację. Jęczkowiak rozpoznał wśród nich dwie znajome twarze dawnych kolegów ze skautów. Zdaje się, że był z nimi latem 1916 roku w lasach pod Kobylnicą. Wtedy, kiedy podczas manewrów prowadził na odsiecz Poznaniowi półtorej setki Białych, a naprzeciw nich nadciągały dwie i pół setki

146 Dziś ul. Grunwaldzka.

Czerwonych pod dowództwem Józka Ratajczaka...

W lot przypomniał sobie nazwisko jednego z nich.

– No, Kaziu, pamiętasz Kobylnicę? – zagadnął przyjaźnie, puszczając oko do Woźnickiego.

– A jakże! – potwierdził Kaziu.

– No, to teraz popędzimy Niemcom kota naprawdę! Za mną!

Wybiegli z lokalu radośni, jak na polowanie.

Poznań, w szpitalu miejskim na Szkolnej, w tym samym czasie

Pierwsze wystrzały wydały się mu czymś dalekim i zgoła nierzeczywistym, ale kolejne serie z broni maszynowej, przetykane pojedynczymi, coraz gęściej padającymi strzałami z broni piechoty wybudziły brutalnie Klause Wirbela ze stanu półdrzemki. Wyjrzał za okno, ale z łóżka niewiele mógł zobaczyć. Wytężył więc wszystkie siły, by wysunąć nogi spod kołdry i oprzeć się zdrową ręką o zimną, metalową ramę. Gdy udało mu się osiągnąć z grubsza pozycję pionową, nie zważając na chłód szpitalnej posadzki, podreptał ku parapetowi.

Na zewnątrz panował mrok. Nieliczne świecące latarnie rzucały na Schulstrasse¹⁴⁷ bladą poświatę, upodabniając ją do sceny jakiegoś podrzędnego teatru.

Po tej scenie przebiegały co chwila grupki młodych mężczyzn w niemieckich mundurach. Ale już na pierwszy rzut oka hauptmann Wirbel mógł śmiało powiedzieć, że nie była to z pewnością armia niemiecka. Żołnierze byli uzbrojeni nierówno: jedni w mauzery, inni mieli tylko parabellum w dłoniach – albo jedynie bagnety. Tylko nieliczni mieli na głowach hełmy – dominowały furazerki z czerwonym otokiem i dziwnymi, biało-czerwonymi kokardami nad daszkiem. Te dwie barwy dostrzegł też na płaszczach wojskowych – żołnierze nosili je jako wstążki na piersi albo opaski na ramieniu.

– *Die Polen...* – syknął z wściekłością, bo nagle zrobiło mu się

147 Z niem. – ul. Szkolna

duszno i słabo. – *Wieder diese Polen!*¹⁴⁸

Stał w wysokim oknie ceglatego gmachu, przypatrując się upadkowi swojego świata. Bezsilny w swojej wściekłości, bezradny w obliczu ostatecznej klęski. Jeszcze jej nie widział, ale już ją przeczował. Więc jednak się zaczęło, pomyślał.

Tak wygląda koniec naszego pruskiego Posen.

Poznań, w śródmieściu, pół godziny później

Skradali się w stronę Kaponiery jak wataha wilków. Bo w istocie stanowili tego wieczoru najbardziej zgrany zespół w Poznaniu, choć na dobrą sprawę wcale nie znali się dobrze. Na czele, z karabinem w ręku gotowym do strzału, szedł Jęczkowiak. Zaraz za nim podążali w rozproszeniu jego nowi podwładni. Wszyscy trzymali w pogotowiu mauzery. Było już ciemno, gazowe lampy wygaszono. Musieli więc być szczególnie czujni. Posuwali się środkiem jezdni, uważając zwłaszcza na otwarte okna na piętrach kamienic. W każdej chwili mogły stamtąd paść w ich stronę strzały.

Luisenstrasse i Sankt Martin Strasse zdawały się być martwe. Gdzieś za ich plecami toczyły się jakieś walki, ale wiedzieli o nich tylko tyle, ile usłyszeli. Wszystko wskazywało na to, że Niemcy bronią się w Prezydium Policji, może w Teatrze Miejskim. Oni mieli jednak inne zadanie – z każdym krokiem oddalali się od terenu działań bojowych. Szli ku koszarom 6 Pułku Grenadierów i 47 Pułku Piechoty na Jeźycach, które w każdej chwili – jedną akcją – mogły zdusić młodziutki zryw.

Kamienny gmach Dyrekcji Poczty był już w polskich rękach – świadczyły o tym polskie flagi, wystawione w rozwartych szeroko oknach. Mimo mrozu stali w nich żołnierze ze Służby Straży i Bezpieczeństwa, radośnie wymachując bronią.

Minęli pocztę, nie wdając się w rozmowy ze zdobywcami – i zmierzali teraz ku Kaponierze, nadal czujni i gotowi do odparcia napaści. Wokół nie było jednak widać żywego ducha. Ciemne

148 Z niem. – Polacy... Znowu ci Polacy!

miasto zdawało się teraz głuchym labiryntem ulic i placów, miejscem po jakiejś wielkiej katastrofie. Przypominało Jęczkowiakowi niektóre spośród francuskich miast, do których wkraczali po ich wcześniejszym ostrzelaniu i szturmie. Tyle że tam straszyły ruiny i kikuty domów czy kościołów. Tymczasem grudniowy Poznań przerażał czarnymi konturami nienaruszonych kamienic. Ich fasady zdawały się martwe – w rzadko którym oknie paliło się słabe światło.

Wyglądało na to, że po wybuchu strzelaniny w śródmieściu regularne niemieckie oddziały wycofały się do koszar na Jeźycach. Jęczkowiak miał wrażenie, że Niemcy na wszelki wypadek zamknęli się w swoich militarnych enklawach, w których czuli się pewniej. Najwidoczniej uznali, że na ulicach miasta zrobiło się niebezpiecznie. Na „posterunku” trwał jedynie spiżowy Bismarck, przyglądając się osamotnionemu patrolowi Polaków z cokołu stojącego na skraju parku przed Operą. Tyle że „żelazny kanclerz” nie mógł im nic zrobić. Już nie mógł.

U wylotu Bahnhofstrasse usłyszeli za sobą czyjeś szybkie kroki. Odwrócili się gwałtownie, celując w ciemną przestrzeń.

– Stój! Kto idzie? – zawołał Jęczkowiak.

– To ja, Kaczmarek! – usłyszał zdyszany znajomy głos.

Twarz Binia była spocona, ale szczęśliwa.

– Nie mogłem was zostawić! – uzasadnił. – Podobno pod koszary grenadierów pchnęli też batalion Białoszyńskiego¹⁴⁹.

– Nic o tym nie wiem. Ale dobrze zrobiłeś – pochwalił go Jęczkowiak. – Teraz musimy uważać podwójnie. Wchodzimy na teren kontrolowany przez Niemiaszków...

Lotnisko w Ławicy, 27 grudnia 1918 r., późnym wieczorem

Ryk silnika, a zaraz potem pęd lodowatego powietrza i to wspaniałe uczucie swobody i lekkości, gdy maszyna odrywa się

149 Właściwie kompania marynarzy pod dowództwem bosmana Adama Białoszyńskiego. Rekrutowała się ze zbuntowanych i zrewolucjonizowanych marynarzy.

od płyty lotniska wprowadziły Jacha w stan euforii. Dwumiejscowy Albatros C.III wzniósł się łagodnie, pozostawiając za sobą oświetlony pas startowy. Szybko nabierał wysokości, obierając kierunek północno-wschodni. 160-konny silnik Mercedesa pracował równo, miarowo w czystym i chłodnym powietrzu. Franciszek, siedząc na stanowisku obserwatora, widział pod sobą zwartą zabudowę Jeżyc i kwadrat rynku jeżyckiego, a potem aortę torów kolejowych dzielącą Poznań na dwie nierówne części. Centrum miasta wydało mu się ciemne, jakby celowo wygaszone. Czyżby toczyły się w nim tak zacięte walki, że zniszczono uliczne oświetlenie?

Nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać. Koncentrował się na swoim zadaniu, które sam sobie w jednej chwili wymyślił i narzucił. Wiedział, że jego realizacja oznaczać miała absolutne zerwanie z tym, co było wcześniej. To był wybór na całe życie. A może na życie i na śmierć.

Leutnant Pohl siedział przed nim za sterami, skupiony nad przyrządami. Nie spoglądał w dół, jakby przekonany, że w Poznaniu wszystko jest po staremu. Przed nim celowały w granat nieba dwa sprzężone karabiny maszynowe Spandau, po pięćset naboji na każdą lufę – ale pilot nie zamierzał tym razem robić z nich użytku. Pewną ręką prowadził maszynę w kierunku Wągrowca. Trasę lotu sprawdził wcześniej na mapie.

Raz Niemiec obejrzał się za siebie, spoglądając przez lotnicze gogle na polskiego towarzysza lotu. Zupełnie jakby przypomniał sobie dawne czasy, gdy razem z Frantzem latali po niebezpiecznym niebie Szampanii. Wtedy wszystko wydawało mu się prostsze. Wiedział, gdzie przyjaciół, a gdzie wróg. I czego może się spodziewać. Ale ostatniej jesieni leutnant Paul Pohl zupełnie się pogubił. I dlatego ucieszył się z zadania, jakie otrzymał. Nareszcie pokaże się w domu, przywiezie żonie i dzieciakom dobre jedzenie. Małe przyjemności nagle urosły do rangi wielkich rzeczy.

Franciszek Jach chyba go rozumiał. Gdy Niemiec na chwilę obejrzał się w jego kierunku, w jego oczach widać było jakąś niepewność.

Tak, tak, kolego, przemknęło wtedy przez głowę Jacha. Niedługo przyjdzie się nam pożegnać.

Znowu w centrum Poznania, o tej samej porze

W milczeniu przeszli przez Kaponierę i krok za krokiem zbliżali się do coraz lepiej widocznego ogrodzenia ogrodu zoologicznego. Gdzieś stąd przed kilkoma godzinami ruszyła do serca miasta niemiecka demonstracja, niszcząca polskie lokale i flagi. Teraz okolica sprawiała wrażenie podejrzanie cichej i zupełnie bezludnej. Czyżby...

Z bocznej uliczki niespodziewanie wyszedł mężczyzna w mundurze. Mimo ciemności Jęczkowiak natychmiast dostrzegł, że to oficer. Ani chybi zmierzał w stronę koszar.

– *Halt! Hände hoch!* – krzyknął Józef, a Kaczmarek z dwoma innymi błyskawicznie doskoczyli do zatrzymanego i sprawnie pozbawili go parabellum.

– Kaziu i ty! – Jęczkowiak wskazał na dwóch spośród swoich ludzi. – Odprowadzicie jeńca na tyły. Niech go ktoś przesłucha...

– Najlepiej do Komendy Miasta. Jest już w naszych rękach – wtrącił się Kaczmarek.

– Słyszeliście? Tylko żeby wam nie zwiął!

– Nie zwieje! Chyba że do piekła – roześmiał się Kaziu Woźnicki, niegdyś skaut, a teraz żołnierz pełną gębą, klepiąc ręką po lufie karabinu.

Dźgnięty mauzerem pod biodro Niemiec ruszył posłusznie z podniesionymi rękoma w stronę Sankt Martin Strasse. Grupa Jęczkowiaka zagłębiła się tymczasem w mrok Zwierzynieckiej. Po lewej mieli mur ogrodu zoologicznego. W szarej oddali zamajaczył za to mur koszar i jasno oświetlone okna budynków z kwaterami żołnierzy.

Podeszli bardzo blisko, niemal do samego wylotu Tiergartenstrasse na Hedwigstrasse¹⁵⁰. I kiedy rozglądali się za jakąś kryjówką, nagle od strony koszar 47 Pułku padło kilka

¹⁵⁰ Wówczas Hedwigstrasse, dziś ul. Kraszewskiego na Jeźycach.

strzałów. Kule zadzwoniły po bruku, przygważdżając ludzi Jęczkowiaka do ulicy.

– Do kamienicyyy! – ryknął, wskazując swoim podwładnym bramę w narożnikowym budynku.

Sam strzelił na oślep w stronę koszar, przeładował i huknął raz jeszcze – na postrach, żeby Szkiebry wiedzieli, że też potrafi strzelać.

Zaraz potem przybiegł do swoich ludzi w bramie.

– Tu zostaniemy – zakomenderował. – Biniu, miej oko na bramę koszar. W razie czego będziemy się wycofywać, ostrzeliwując się gęsto.

– Tak jest.

W ciągu kolejnego kwadransa nic się jednak nie wydarzyło. Spokojnie upłynęła też kolejna godzina, a potem jeszcze jedna. Gdy ze śródmieścia wrócił Woźnicki z towarzyszem, zameldował, że co prawda gdzieś słychać jeszcze strzały, ale coraz rzadziej.

– Ogólnie jest spokój. A Prezydium Policji też już jest nasze – podsumował.

– Jak to? Zdobyliśmy je?

– Chyba nie. Podobno nasi je otoczyli, były negocjacje i daliśmy się Niemcom wycofać.

Jęczkowiak uśmiechnął się mimowolnie. Jak inna wydała mu się ta wojna od krwawych scen, które pamiętał z Francji. Tu nikt nikogo nie prowadził na rzeź, wprost pod ogień karabinów maszynowych. Tu wojowano z głową, szanując własne, póki co niewielkie, siły.

– Słuchajcie, chłopaki – uznał, że powinien coś powiedzieć. – Sytuacja nie wygląda źle. Mamy za sobą pierwsze godziny powstania. Teraz już tylko od nas zależy, czy się utrzymamy, czy nas zgniotą. Nie ma miejsca na żadne wątpliwości. Pod Prezydium Policji zginęli nasi ludzie, więc jakby do czegoś doszło, nie można się zawahać...

– Dobrze pan oficer mówi – przytaknął mu niespodziewanie gdzieś zza pleców starszy, męski głos.

Schodami szło do nich kilku mieszkańców kamienicy. Starszy

pan z żoną i dwoma córkami nieśli dla nich sznytki¹⁵¹ obłożone kiełbasą, świąteczne pieczywo i parującą z dzbanka gorącą herbatę.

– Ja nie żaden oficer, panie szanowny – uśmiechnął się skromnie Jęczkowiak.

– To pan nim będziesz – mężczyzna ustawił talerz z chlebem na schodach, wcześniej kładąc na nich chustę. – No, chłopcy... Śmiało! Jest już sobota, to z kiełbaską też można...

– Dziękujemy – odezwał się Kaczmarek, zachodząc w głowę, skąd starszy pan wytrzasnął w tych głodnych czasach wędlinę. – To miło z państwa strony.

– Paaaanie kochany! – głos gospodarza uwiązał ze wzruszenia w gardle. – Dla naszego wojska, to... my wszystko.

Wapno pod Wągrowcem, 27 grudnia 1918 r., przed północą

Lądowanie w całkowitych ciemnościach na zmrożonej, nierównej łące w sąsiedztwie gospodarstwa Jachów granoczyło z cudem, ale wprawne ręce Pohla na sterach zapobiegły katastrofie. Albatros usiadł miękko na twardej powierzchni i szybko wytracił prędkość, kołując w stronę ledwie widocznych, niskich zabudowań.

– Schowamy maszynę w stodole! – zakrzyknął przez hałas silnika Jach. – Jest przymrozek. Lepiej, żeby silnik nie ostygł za szybko.

– Dobra myśl, Frantz! – Pohl nie oponował. – Najdalej za godzinę leć dalej.

Gdy dwupłatowy aeroplan wyhamował niemal na wprost wrót stodoły, Niemiec zgasił silnik i po skrzydle zeskoczył na zmrożone klepisko. Jach poszedł w jego ślady. Warkot silnika i lądowanie samolotu musiały zbudzić pół wsi, bo nagle – nie wiadomo skąd – wokół pilotów pojawił się spory tłum okolicznych mieszkańców. Wpatrywali się w maszynę i lotników jak w święty obrazek. W końcu nigdy wcześniej nikt nie lądował

151 Z gwary poznańskiej – kanapki.

w ich wiosce.

– Dokąd teraz, Frantz? – zapytał Paul Pohl.

Nie doczekał się jednak odpowiedzi.

Naprzeciwko wyszło z domu kilka męskich postaci. Jedna z nich trzymała w dłoniach karabin. Celowała z niego prosto w pierś Niemca.

– *Herr Offizier, bitte ihre Pistole abgeben!* – mężczyzna niemal szturchnął Pohla lufą w obojczyk. – *Sie sind Kriegsgefangene!*¹⁵²

Niemiec był tak zaskoczony, że bez zastanowienia, machinalnie odpiął pas, do którego przytroczona była kabura z lugerem.

– Rekwirujemy też aeroplan! – dorzucił po polsku jeden z otaczających ich mieszkańców wsi.

Jakby na potwierdzenie jego słów z ciemności wychynęło kilkanaście mocnych ramion. Ich właściciele sprawnie popchnęli maszynę w stronę otwieranych właśnie wrót stodoły. Minutę później Albatros był już pod dachem.

Niemiecki pilot przyglądał się temu wszystkiemu z przerażeniem. A zaraz potem odwrócił się w stronę Jacha. Na jego twarzy malowała się złość przemieszana z rozczarowaniem.

– Nie spodziewałem się tego po tobie, Frantz! – odezwał się z wyrzutem.

– Mamy wojnę, Paul – wszedł mu w słowo Jach. – Wojnę z Niemcami. Jesteś naszym jeńcem, ale gwarantuję, że nie stanie ci się nic złego.

– Mam gdzieś twoje gwarancje! – sarknął Niemiec. – Zdradziłeś mnie, draniu! Jak teraz wykonam swoje zadanie? Jak odstawię maszynę do Berlina...

Jach wzruszył ramionami.

– Wybacz, ale to już nie moja sprawa – powiedział.

– Czeka cię za to sąd polowy! I pewnie kula w łeb!

– Nie będzie żadnego sądu, przyjacielu. Od teraz tutaj znowu jest Polska – zauważył przekornie Franciszek.

Przez wzgląd na wspólną przeszłość nie chciał jednak, by Niemiec miał do niego żal.

152 Z niem. – Panie oficerze, proszę oddać pistolet! Jest pan jeńcem wojennym!

– Posłuchaj mnie, Paul. Ja swojej obietnicy dotrzymam – zapewnił. – Obiecałem ci wałówkę ze świniobicia i ją dostaniesz.

– Ty chyba sobie żartujesz, Frantz! Co mi po twojej wałówce, gdy...

– Mówię poważnie. Na twoim miejscu nie gardziłbym tą kiełbasą, jest naprawdę pierwsza klasa. Rodzice ci ją pięknie zapakują, a potem zostaniesz odwieziony na dworzec kolejowy. Nad ranem, bodaj o piątej, masz pociąg do Poznania. A stamtąd pojedziesz już, dokąd chcesz. Może być nawet do samego Berlina...

Pohl spojrzął na Jacha po raz pierwszy chłodno i nienawistnie.

– Zapłacisz za to, cwaniaku! – splunął mu pod nogi.

Dwóch osiłków ruszyło w stronę Niemca, ale Jach powstrzymał ich szeroko rozpostartymi ramionami.

– Dajcie mu spokój! Obiecałem, że puścimy go wolno – rozkazał.

Mężczyzna z karabinem w dłoniach poprowadził z godnością leutnanta Pohla w stronę domu Jachów.

Poznań, na Jeźycach, 28 grudnia 1918 r., wczesnym rankiem

Zapowiadana przez Czesia Smoczyńskiego zmiana nie nadeszła. Jęczkowiak z ludźmi spędzili w bramie kamienicy całą noc, zmieniając się na warcie co dwie godziny. Niemcy jednak nie kwapili się do opuszczania koszar. Noc przebiegła więc spokojnie i cicho.

Było już widno, gdy od strony Kaponiery nadszedł rowerem goniec w mundurze skauta. Przywiózł rozkaz powrotu na Piekary, do komendy POW. Jęczkowiak wiedział, że gdzieś w okolicy pozycje zajęli też marynarze Białoszyńskiego. Widział ich niedawno w restauracji „Zielona” na Breslauerstrasse – na tyle długo, że nie chciałby nigdy wejść im w drogę. Dlatego gdy jego ludzie opuszczali narożnikową kamienicę u zbiegu Hedwigstrasse i Tiergartenstrasse, nie martwił się zbytnio tym, czy grenadierzy będą odpowiednio pilnowani. Wiedział, że będą.

Około ósmej zameldowali się więc na Piekarach. Czekał już tam na nich Wierzejewski.

– Dobrze się spisaliście, wiara! – pochwalił chłopaków. – A teraz do domów! Ale już! Trzeba odespać nockę.

– Ale jak to, odespać? – zaprotestowali niemrawo.

– Zwyczajnie. Z bladego wojska bez siły nie ma żadnego pożytku. O czternastej widzę was z powrotem. Trochę snu dobrze wam zrobi! No, już, już! Do domów!

Chcąc nie chcąc rozeszli się więc. Jęczkowiakowi jakoś nie chciało się spać. Zanim zapukał do drzwi mieszkania swojej matki, zajrzał jeszcze na Ritterstrasse, do mieszkania doktora Łazarewicza. Wracając z Jeżyc, zobaczył, że z okien jego lokum zwisa chorągiew Czerwonego Krzyża. W mieszkaniu doktora urządzono powstańczy punkt sanitarny.

Dyżur pełniła Basia, blondwłosa córka doktora, znana Jęczkowiakowi z żeńskiej drużyny skautowej imienia Królowej Jadwigi. Pomagała jej dużo niższa koleżanka o miłym uśmiechu, która przedstawiła się jako „Tomaszewska”. Obie były odziane w białe fartuchy, zapewne z któregoś ze szpitali. Czyżby z tego na Schulstrasse?

– Trochę tu nudno – przyznały szczerze. – Nie ma kogo opatrywać. Jak to miło, że do nas przyszedłeś! A co na mieście? Walki są zacięte?

– A gdzie tam! – machnął ręką Józek. – Niemcy pochowali się po koszarach i boją się wyściubić nosy. Pilnowałem ich tej nocy na Tiergartenstrasse. Ale nie próbowali żadnych sztuczek. Trochę zmarzliśmy, bo nocka była zimna...

– To może napijesz się gorącej herbaty? – zaproponowała Basia. Obie wpatrywały się w niego uporczywie jak w narodowego bohatera z dawnych insurekcji. – Mamy jeszcze trochę kiełbasy i sałatki ze świątecznego stołu...

– Z miłą chęcią.

Nie wiadomo, czy sprawiła to miła atmosfera w mieszkaniu doktora, czy też zmęczenie po nieprzespanej nocy, dość powiedzieć, że po posiłku nogi pod Jęczkowiakiem zmiękły, jakby były z wosku. Zachwiał się i opadł na fotel, prosząc o szklanę

wody.

– Musisz się zdrzemnąć, Józefie – w błękitnych oczach Basi zobaczył niepokój i współczucie.

Były tak szczerze, tak autentyczne, że gdyby nie nagły atak zmęczenia, z miejsca by się w nich zakochał.

– Zgoda, ale nie tutaj. – Zrobił dwa łyki i ostatkiem sił podniósł się z siedziska.

Dał dziewczynom po buziaku w ich różowe policzki i zmusił się do marszu do drzwi.

Gdy dotarł do mieszkania matki, powiedział jej tylko: „Kocham cię, mamuś!” i rzucił się na pierwsze napotkane łóżko.

Zaraz potem zapadł w płytki, nerwowy sen.

XXVII.

GROLMAN

Noc z 27 na 28 grudnia 1918 r., gospodarstwo Jachów w Wapnie

Przez całą noc Franciszek i Staszek uwijali się wokół zdobycznego Albatrosa z pędzlami i puszkami farby. Starszy z braci wiedział, jak należy rozprawić się z czarnymi krzyżami widocznymi na kadłubie i skrzydłach samolotu. W Poznaniu usłyszał od przyjaciół o symbolu polskich skrzydeł, ustanowionym ponoć w sztabie polskiego wojska w Warszawie. Zbadał dokładnie temat i dowiedział się, że to szachownica o czterech polach: lewe górne i prawe dolne jest karmazynowe, pozostałe powinny być białe. Nie znał wprowadzić dokładnych wymiarów szachownicy¹⁵³, ale intuicyjnie wyczuwał, że kwadrat nie powinien być mały. Dlatego śmiałym pociągnięciem pędzla przeciągnął niemal przez całą wysokość burty aeroplanu. A potem wraz ze Staszkiem domalowali kąty proste i brakujące elementy symbolu. Z każdym pociągnięciem pędzli zakrywali wraże krzyże na kadłubie, przybliżając samolot do służby w polskich siłach powietrznych. Po godzinie szachownica wyglądała naprawdę imponująco: krwista farba na dwóch polach pięknie kontrastowała z bielą pozostałych.

Zaraz potem bracia zabrali się za szachownice na skrzydłach aeroplanu. Musiały być cztery, po dwa na każdym płacie. Te dolne malowali na wyścigi, leżąc na ustłanym słomą klepisku. Z tego pośpiechu szachownica Franciszka okazała się odrobinę mniejsza niż ta Staszka. Ostatecznie więc – zamiast się ścigać – musieli się wysilić, by z dołu Albatros wyglądał godnie. Udało się

153 Według rozporządzenia Szefa Sztabu Głównego Wojska Polskiego z 1 grudnia 1918 r., szachownica miała mieć boki o długości 60 cm.

i czarne krzyże pozostały do zamalowania już tylko na górnych płatach.

Wdrapali się z puszkami oraz pędzlami i tam. Malowali nie gorzej niż Matejko, z pasją i zacięciem. I tylko przez chwilę Franciszek pomyślał o Paulu. Zgodnie z umową, Niemiec otrzymał plecak wypełniony pętami cudnie pachnącej jałowcowej, a na dokładkę trochę słoniny, żeby nie miał żalu. A potem sąsiedzi Jachów odwieźli go wozem na dworzec, na poranny pociąg do Poznania.

Pohl nie odezwał się już do Jacha ani słowem. Nie podał mu ręki, nawet na niego nie spojrzął. Widocznie tak musiało być, uznał Franciszek. Coś tej nocy bezpowrotnie się skończyło.

Świt zastał braci Jachów zmordowanych jak po letniej młócce. Ale nie zamierzali paść w słomę i odpoczywać. Wręcz przeciwnie – gdy tylko słońce podniosło się nad horyzontem, rozwarli z trzaskiem wrota stodoły i napinając się z całych sił, mocą entuzjazmu wypchnęli maszynę na twarde, zmrożone klepisko.

– To co, Staszek? Pamiętasz, co ci obiecałem? – starszy z braci spojrzął na młodszego, czochrając go po czuprynie. – Wskakujemy, brachu! Ale ty do tyłu, bo to ja pilotuję!

Staszкови nie trzeba było dwa razy powtarzać. Narzucił na siebie ciepłą kurtę i czapkę uszatkę. A potem – jak stary fachura – wdrapał się po drabinie na kadłub. Chwilę później siedział już w kokpicie, czekając na brata pilota.

Franciszek sprawnie zajął miejsce za sterami i odepchnął ręką drabinę.

– Zapiąłeś pasy?

– Tak, Franciszku.

– Lecimy?

– Lecimy, Franek! Koniecznie!

Silnik Mercedesa zagrał równo, pięknie, prycając w górę czarnym dymem z rury wydechowej. Hałas musiał zbudzić rodziców Jachów, bo firanka w oknie ich sypialni poruszyła się niespokojnie. W obramowaniu okna bracia dostrzegli chudą sylwetkę ojca. Stał za szybą, przykładając do niej twarz, by lepiej widzieć start Albatrosa.

Franciszek podkołował maszyną bliżej łąki, a potem otworzył przepustnice. Lekka maszyna skoczyła do przodu, już po niespełna stu metrach odbijając się od ziemi. Jach pociągnął za wolant, nabierając gwałtownie wysokości.

– Jezusie! – wyrwało się w zachwycie Staszкови. – Przecież my lecimy do nieba!

Przezwyciężył strach i wyjrzał przez burtę maszyny na zewnątrz. Przez rozsuwające się mgły zobaczył malejące chaty Wapna, coraz cieńszy pasek drogi, niedaleki płotek szyn. Stacja kolejowa zdawała się teraz dwoma pudełkami zapalek, a semafor – ledwie krzywymi patyczkami z lasu.

– Jezusie, jak ładnie!

– A nie mówiłem?! – krzyknął pilot. – To uważaj teraz!

Osiągnęli już na tyle wysoki pułap, że mógł swobodnie położyć maszynę na prawe skrzydło i wykonać potężny krąg nad wsią.

Ryk maszyny wyrzucił z domostw spłoszonych mieszkańców. Wybiegli na drogę, machając z radości aeroplanowi w białoczerwonych barwach. Czegoś takiego w życiu nie widzieli! Starsi i bardziej wrażliwi wzruszyli się do łez.

– A to co?! – Staszek wskazał nagle ręką w stronę dworca.

Na placu przed dworcem Franciszek dostrzegł dwie sylwetki w granatowych uniformach. Oglądając się na samolot z polskimi znakami, uciekali z Wapna dwaj pruscy żandarmi. Ich nerwowe, nieporadne ruchy zdradzały przerażenie. Jeszcze chwila – i znaleźli bezpieczne schronienie w budynku dworca.

Już nie wrócą do wioski – pomyślał z dumą Jach.

Zanim zdecydował się lądować, zrobił jeszcze dwa kręgi nad Wapnem. Ludzie musieli się przecież dowiedzieć, że odzyskali wolność.

Poznań, 28 grudnia 1918 r., nad ranem

Skromny, ale smaczny obiad przygotowany przez mamę postawił Jęczkowiaka na nogi. Cztery godziny snu musiały wystarczyć.

– A gdzie Ludwik i Zygmunt? – zapytał, nie widząc młodszych braci.

Wiedział tylko tyle, że zaciągnęli się do Służby Straży i Bezpieczeństwa.

– Na służbie w Pritwitzu, jeszcze nie wrócili – usłyszał od matki.

W jej oczach wyczytał niepokój.

Podziękował za obiad, poczekał, aż mama mu pobłogosławi, a potem wyskoczył z karabinem na Sankt Martin Strasse, niemal wprost pod nadjeżdżającą od strony zamku ciężarówkę. Na jej budzie powiewała polska flaga, a przez okna wyglądali roześmiani powstańcy z karabinami w dłoniach.

Zaraz za autem biegło kilkunastu uzbrojonych mężczyzn, przeważnie w pruskie mundurach. Białe-czerwone kokardy na czapkach i na wysokości piersi wyraźnie zaświadczały, że to siły powstańcze. Na czele plutonu Jęczkowiak nagle dostrzegł znajomą twarz...

Porucznik Różalski!

– Już pan ozdrowiał, panie poruczniku?! Tak szybko?! – zakrzyknął i pomachał oficerowi przyjaźnie.

Różalski rozpoznał go natychmiast.

– A co?! Dosyć tego garowania¹⁵⁴ w szpitalu! – odpowiedział mu wesoło. – Tymczasem, Jęczkowiak! Uważaj na siebie!

W jednej chwili do oczu nabiegły mu łzy.

Wzruszył się, bo przypomniał sobie, że te same słowa ostrzeżenia porucznik Różalski wypowiedział pod jego adresem latem, gdzieś pod Soissons, gdy Jęczkowiak szedł na przesłuchanie do Kocha. Mój Boże, jak przez ten czas wszystko się zmieniło! Nie było już cesarza, jego armii i niemieckich dowódców. Były białe-czerwone flagi i powszechna radość.

Wpadł jak bomba do lokalu POW na Piekarach. W największym pomieszczeniu było tłoczno jak nigdy. Stacjonował tu chyba z pluton powstańców. Ze znajomych zobaczył Kaczmarka, Kubiaka i Woźnickiego. A, i tego chojraka Fiedlera! W rogu korytarza zauważył Wierzejewskiego. Były komendant konferował o czymś z dwoma podwładnymi w skautowskich

154 Z gwary poznańskiej – Dosyć tego spania.

mundurkach.

– O, Józef! – oderwał się od nich, gdy tylko zauważył Jęczkowiaka. – Jak dobrze, że jesteś! Szykuje się duże zadanie.

– Tak?

– Bo widzisz, bracie, dostałem rozkaz od porucznika Palucha. Musimy jeszcze dzisiaj zająć Grolmana... Niemcy tam tkwią jak kolec w dupie.

– Fort Grolman¹⁵⁵? Z tymi ludźmi? Przecież tam siedzą dwie kompanie Szkiebrów!

– No przecież wiem! Ale ty znasz fort od środka, prawda? Już tam przecież byłeś. Zdaje się, że ze dwa razy?

– No tak, odwiedzałem tam moich kamratów. Ale...

– Nie ma czasu na żadne „ale”, Józek! Chodź tu, do pokoju. Musimy szybko ustalić plan działania.

Poznań, siedziba Dowództwa V Korpusu Armijnego przy Seecktstrase, około południa

Sumiaste wąsy generała Fritza von Bock und Polach zdawały się coraz bardziej liche, szarpane nerwowymi ruchami dłoni ich właściciela. Towarzyszący mu generał Max Schimmelpfening, formalnie jego zastępca, a także nadprezydent Provinz Posen, Johann von Eisenhardt-Rothe, wpatrywali się osowiałym wzrokiem bardziej w masakrowany zarost dowódcy V Korpusu niż w rozłożoną na stole sztabowym barwną mapę Poznania. Na tej ostatniej generał Schimmelpfening pozaznaczał czerwonymi pinezkami obiekty zajęte przez rebeliantów. Z każdą godziną – i z każdym meldunkiem podwładnych – pojawiała się ich na planie coraz więcej. Czerwona wyspa rozszerzała się coraz szybciej ku granicom miasta.

Najgorzej wyglądała sytuacja w samym śródmieściu. Polacy przejęli już nie tylko Dyрекcję Poczty, zamek cesarski czy magazyny umundurowania, ale również Prezydium Policji i – co

155 Jeden z fortów Twierdzy Poznań, znajdował się pomiędzy dzisiejszymi hotelami Novotel i Andersia przy ul. Kościuszki.

najgorsze – dworzec główny. Próby wysadzenia tam z pociągów dwóch mocnych oddziałów, które nadjechały z odsieczą z kierunków Lissa i Schneidemühl¹⁵⁶, zakończyły się całkowitą klęską: Polacy rozbili żołnierzy i odesłali z powrotem, przejmując ich pięćset karabinów, dwadzieścia cekaemów, amunicję i wyposażenie.

– Totalna klęska, panie generale – zastępca Fritza Bock und Polach nie owijał w bawełnę. – Z tego, co wiem, nasze oddziały trzymają się jeszcze w koszarach na Grunwaldzie i Wildzie. Są jednak otoczone i kontrolowane przez przeciwnika.

– *Zum tausend Teufel!*¹⁵⁷ – zaklął dowódca V Korpusu Armijnego. – Zrobili nas jak gówniarzy z ochronki dla dzieci!

– Obawiam się, że grozi nam utrata całej prowincji – odważył się zabrać głos nadprezydent Provinz Posen. – Mam sygnały spoza Posen, że podobne rozruchy wybuchły też w wielu miastach powiatowych. Gra idzie o naprawdę dużą stawkę...

– Trzeba kontratakować! – krzyknął generał Bock und Polach.

W uniesieniu uderzył pięścią w stół, a potem szybkim krokiem podszedł do okna. Choć przez szyby słyhać było z dala pojedyncze wystrzały, na skwerze przed gmachem ciągle stał wyniosły pomnik Wilhelma I. Posąg Kaisera spoglądał z godnością w stronę ulicy jego imienia. To momentalnie uspokoiło generała i uporządkowało jego myśli. Wracając w stronę stołu z mapą miasta, rzucił do swojego zastępcy:

– Generale, proszę natychmiast wysłać rozkaz do grenadierów na Bukker Strasse! Niech major Grussdorf natychmiast rozpocznie działania ofensywne w kierunku zamku, a dalej w kierunku Wilhelmsplatz i Bazaru! Zdusimy tę rewoltę, zanim nabierze rumieńców! Trzeba działać możliwie szybko! Jeśli tylko Berlin...

Von Bock und Polach nie zdążył jednak dokończyć.

Na korytarzu huknął wystrzał, a zaraz potem drzwi gabinetu rozwarły się z trzaskiem, wpuszczając do środka pięciu mężczyzn w mundurach szeregowców. Biało-czerwone opaski na

156 Niemieckie nazwy Leszna i Piły.

157 Z niem. – Do tysiąca diabłów!

rękawach nie pozostawiały złudzeń, kim są intruzi.

– *Hände hoch!* – wykrzyknął jeden z nich, celując z karabinu prosto w pierś generała von Bock und Polach. – Jestem strzelec Budzyński! W imieniu wolnej Polski jesteście aresztowani!

– To skandal! – zaprotestował natychmiast generał Schimmelpfening, czerwieniąc się z wściekłości. – To pogwałcenie niemieckich praw do...

– Zamknij pysk, Szwabie! – Polacy nie zamierzali się patyczkować z oficerami, choćby i byli wysocy rangą. – Ręce do góry i grzecznie wychodzimy z dowództwa!

– Tylko bez żadnych sztuczek! – ostrzegł zatrzymanych ten, który przedstawił się jako dowódca. – Jesteście jeńcami polskiego wojska! No, *schneller, schneller!* Idziemy do Bazaru!

Napastnicy sprawiali wrażenie zdeterminowanych i pewnych siebie. Generał von Bock und Polach zachował zimną krew. Dał znak ręką swoim towarzyszom, by nie robili głupstw. Niemcy pozwolili się wyprowadzić na korytarz, a potem na szerokie schody budynku Dowództwa.

Dopiero gdy wyszli na zimne powietrze, do generała dotarło, że niedawno ktoś go ostrzegął przed polskim powstaniem. Nie było to miłe wspomnienie, więc odgonił je równie szybko, jak nadeszło. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Teraz najważniejsze było jego życie.

Poznań, 28 grudnia 1918 r., okolice fortu Grolman, ulica Ritterstrasse, po szesnastej

Gwałtownie zapadający zmrok dawał im nadzieję. Ta nadzieja była wszystkim, co mieli. No, może poza furą odwagi. I odrobiną głupiej, młodzieńczej bezczelności.

Kaczmarek ścisnął mocno karabin. Zdawał sobie sprawę z tego, że to nie przelewki. Wprawdzie nie waliła w nich żadna wraża artyleria, jak to było pod Werdunem, ale doskonale orientował się w dysproporcji sił. Było ich niespełna stu, a może ledwie z osiemdziesięciu. Dostali rozkaz zajęcia fortu o murach grubych

na pół metra, w dodatku obsadzonych przez kilka kompanii wojska. Jakby tego było mało, dostępu do wnętrza fortu strzegł wysoki na cztery metry mur. A także masywna, żelazna brama. W drewnianej budce przed nią nie było żadnego posterunku. Wydarzenia poprzedniego dnia skłoniły Niemców do zamknięcia się w forcie. Tylko w ten sposób czuli się bezpieczni.

Prowadzili ich Wierzejewski i Jęczkowiak. Już podczas odprawy na Piekarach zdecydowali, że jedyną szansą jest podstęp. Teraz pozostało im już tylko zrealizować plan.

Wyniosła podkowa murów Grolmana sprawiała wrażenie burt potężnego krążownika, który zarył niespodziewanie w piach na pograniczu śródmieścia i Wildy. I tylko nikt nie wiedział, z których okien padną do nich pierwsze strzały.

Skradając się od strony Ritterstrasse z bronią gotową do strzału, weszli na brukowaną jezdnię Wału Grolmana¹⁵⁸. Okolica była kompletnie pusta, miasto w tym rejonie zdawało się wymarłe. To się musi udać, to się musi udać... – powtarzał w myślach Kaczmarek. Wolał nie zastanawiać się, co będzie, jeśli nagle niemieckie karabiny maszynowe przygwożdżą ich do ziemi. Z ich wątlymi mauzerami mogli co najwyżej spłoszyć wróble z pobliskiego parku.

Nikt jednak do nich nie strzelał. Albo Niemcy nie dostrzegli ich w popołudniowej szarówce, gdy latarnie nie rozświetliły jeszcze okolicy, albo mieli niesamowite szczęście. Była jeszcze trzecia możliwość, najbardziej sprzyjająca: Niemcy czuli się za murem na tyle pewnie, że zaniechali podstawowych środków ostrożności.

Jeszcze chwila – i znajdowali się już ledwie kilkadziesiąt kroków od czarnej, ceglanej ściany fortu.

– Pod mur! – rzucił rozkaz Wierzejewski.



Wszystko odbywało się tak, jak sobie postanowili podczas odprawy. Kilkadziesiąt pochylonych męskich sylwetek z bronią

158 Dziś południowy fragment ul. Kościuszki.

w rękach przemknęło niepostrzeżenie pod samym murem, ustawiając się w równym rzędzie zmierzającym w stronę żelaznej bramy strzegącej dostępu do wnętrza fortu.

Jęczkowiak spoglądał na nich z dumą. Szli cicho, w skupieniu – zupełnie jak na skautowskich manewrach przed kilku laty. Na ich twarzach malowała się koncentracja, gotowi byli w każdej chwili strzelić do niepowołanego świadka ich misji. Albo zlikwidować każdego, kto próbowałby podnieść alarm. Gdy czołówka oddziału stanęła pod samą bramą, Wierzejewski – idący z przodu stawki – podniósł prawą dłoń, a potem wskazał nią dwukrotnie na wrota.

Na czoło wysunął się jedyny bodaj w kompanii żołnierz ubrany w przepisowy mundur niemieckiego piechura. Tylko on nie miał na czapce ani na mundurze biało-czerwonych akcentów. Stał sam na wprost bramy, a reszta cofnęła się nieco, by nie zdradzić towarzysza.

Wystawiony na wabia piechur zrobił zamach i zastukał kolbą karabinu w bramę.

Ten hałas obudziłyby zmarłego. Kilka sekund później w bramie poruszyła się metalowa zasuwka i w wąskim przezierniku pojawiła się zaskoczona twarz posterunkowego.

Jęczkowiak wiedział, że zaraz przy bramie od strony dziedzińca fortu znajduje się dobudowana do muru wartownia. A w niej przebywa ledwie kilku żołnierzy.

– *Wer bist du?* – usłyszeli chrapliwy głos wartownika.

– *Gefreiter Schulze, ich muss herein! Ich habe einen Befehl von Generalkommando!*¹⁵⁹ – zełgał jak z nut podstawiony „Niemiec”.

Posterunkowy przez dłuższą chwilę lustrował przybyłego. Wokół panowała absolutna cisza...

Mundur i wyposażenie żołnierza nie wzbudziły żadnych podejrzeń – chwilę później, oczekując pod murem, żołnierze Wierzejewskiego usłyszeli szcęk żelaznej sztaby i ciężkie, wzmacniane drzwi w bramie otworzyły się nagle na oścież.

Na to tylko czekali Jęczkowiak i spółka!

Jednym skokiem dopadli do bramy, wpychając kompletnie

159 Z niem. – Kim jesteś? – Kapral Schulze, muszę wejść! Mam rozkaz z dowództwa korpusu!

zdurniałego Niemca do środka. Widząc wycelowane w siebie lufy, wartownik spokorniał – w milczeniu oddał broń i dał się prowadzić do wartowni.

Jego towarzysze byli równie zaskoczeni, gdy do środka pomieszczenia wpadło dwóch Polaków, mierząc do nich z mauzerów.

– *Hände hoch!* – krzyknął Jęczkowiak.

I w tej samej chwili rzucił się ku opartej o kanapę broni Niemców.

Wszystko działo się tak szybko, że obsada wartowni nie zdążyła zareagować.

Nie padł ani jeden strzał, nie padła ani jedna głośna komenda.



Szybko odesłali Niemców „na tyły” i parli dalej.

Wszystko odbywało się w absolutnej ciszy.

Jęczkowiak pamiętał, że prawa strona fortu jest niezamieszkana. Dlatego podwładni Wierzejewskiego skierowali się ku lewemu skrzydłu. Wiedzieli z rozpoznania Jęczkowiaka, że są tu kancelarie, a na parterze i piętrze znajdują się izby żołnierskie. Interesowały ich wyłącznie te ostatnie.

W milczeniu rozdzielili się na dwa pododdziały. Grupa Jęczkowiaka miała opanować parter, a druga – prowadzona przez Wierzejewskiego i Radomskiego – piętro.

– Jest dobrze – szepnął Kaczmarek do Jęczkowiaka, idąc z bronią gotową do strzału w głąb korytarza.

Poruszali się jak duchy. I sprzyjało im szczęście. Na korytarzach nie było nikogo. Żołnierze niemieccy siedzieli w swoich izbach. Zza drzwi słychać było gwar rozmów, z niejednej sali dobiegały odgłosy śpiewanych piosenek.

Pierwsze kroki skierowali ku ściennym stojakom, położonym przy drzwiach do poszczególnych izb. Zgodnie z przepisami, stały w nich równo karabiny. W absolutnej ciszy pozabierali broń i złożyli ją przy wejściu do fortu. Dyrygując na migi, Jęczkowiak i Wierzejewski rozstawili swoich ludzi pod izbami. Gdy wszystko

było przygotowane – ruszyli do natarcia!

– *Hände hoch!*

– *Alle raus!*

– *Schneller! Schneller!*¹⁶⁰ – krzyczeli, otwierając drzwi kolejnych izb.

Niemcy byli zupełnie zaskoczeni. Polacy wybierali ich z poszczególnych izb jak kurczaki z klatek. Nikt nie zaryzykował ataku na celujące w nich karabiny.

Wziętych do niewoli Niemców było zdecydowanie więcej niż napastników. W ciągu kwadransa na korytarzu parteru uformowano z nich dwuszereg. Jęczkowiak szybko przeliczył jeńców: było ich niemal dwustu.

Przed ich front wystąpił Wierzejewski.

– Zostaliście rozbrojeni przez polskie siły zbrojne, które przejmują kontrolę nad Poznaniem. Bo Poznań jest polskim miastem – przemówił po niemiecku, szczególnie dobitnie wypowiadając drugie zdanie. – Nie będziecie jednak uważani za jeńców wojennych, jeśli natychmiast wyjedziecie z miasta do domów. Możecie zabrać swoje rzeczy osobiste. Czy wszystko jest jasne?

Niemcy rozglądali się po sobie, jakby szukając wskazówek, co robić. Zdaje się, że ich nie znaleźli.

– A papiery wyjazdowe? – odezwało się kilku z nich.

– Za chwilę zostaną wystawione wszystkim chętnym w kancelarii – odpowiedział rzeczowo Wierzejewski. – Inne pytania? Nie ma? Zatem możecie zabrać z izb swoje rzeczy. Macie na to pięć minut. Potem zostaniecie odprowadzeni pod eskortą do Komendy Miasta.

Kręcąc głowami, Niemcy niemrawo ruszyli do swoich izb, żeby się spakować. Odprowadzały ich dziesiątki łuf mauzerów w polskich dłoniach.

– Alfred! Weź swoich ludzi i odprowadź ich do Komendy! – Wierzejewski wydał rozkaz Radomskiemu.

– Z tym może być problem – Jęczkowiak podrapał się za uchem.

– Alfred ma kilkunastu ludzi, a Niemców jest dziesięć raz więcej.

¹⁶⁰ Z niem. – Ręce do góry! Wszyscy wychodzić! Szybciej! Szybciej!

W razie uciezki nie da rady ich upilnować...

Wierzejewski przytaknął i zamyślił się.

– Cholera, coś trzeba wymyślić... – zmarszczył czoło.

Do tej pory wszystko szło idealnie, ale teraz musiał szybko znaleźć dobre rozwiązanie. Tymczasem nie nasuwało mu się nic sensownego.

– Już wiem! – Jęczkowiak klepnął się z radości po udzie. – Kiedy byłem tu ostatni raz, w magazynie mundurowym w piwnicy widziałem spory zapas holenderek...

– Czego?

– Holenderek. Znaczą się, drewnianych chodaków.

– No i co, Józek? Będziemy nimi rzucać w uciekinierów?

– Nie, szefie. Każemy Szkiebrom zdjąć buty i maszerować do Komendy w chodakach. Wtedy odechce im się uciezki.

Wierzejewskiemu aż zaświeciły się z uciechy oczy.

– Świetna myśl, Józek! Tak właśnie zrobimy!

XXVIII.

KOMPANIA BRACI

Poznań, szpital miejski, 29 grudnia 1918 r., wieczorem

Oberleutnant Achim von den Bach, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna z arystokratycznie zaczesaną blond grzywką wyglądał dziwnie w białym fartuchu lekarskim, ale Wirbel doskonale rozumiał wymogi konspiracji. Wprawdzie Polacy dziwnym niedopatrzaniem nie postawili warty przy jego sali, ale hauptmann wolał dmuchać na zimne. Lepiej, żeby polskim lekarzom nie przyszło przypadkiem do głowy, że odwiedzają go ludzie z kontrwywiadu. Oberleutnant w fartuchu mógł od biedy uchodzić za młodego łapiducha-praktykanta. W każdym razie nie przyciągał z pewnością uwagi w tym stopniu, w jakim stałoby się to, gdyby zjawił się w szpitalu w mundurze niemieckiego oficera kontrwywiadu.

– I co? Zdusiliście ten bunt? – Wirbel zaskoczył swojego gościa pytaniem.

Oberleutnant zawahał się nad odpowiedzią.

– Niestety nie, herr hauptmann – stwierdził cichym głosem. – Obawiam się, że to coś większego. Wygląda na zaplanowaną, dobrze przygotowaną akcję zbrojną. Zresztą nie tylko w Posen, ale w wielu miastach powiatowych Provinz Posen jednocześnie...

– *Donnerwetter!* – zaklął Wirbel.

– Co gorsza, Polacy aresztowali generała von Bock und Polach i jego sztab. Tym samym sparaliżowali nasze możliwości odwetowe.

Wirbel aż syknął ze złości.

– Mówiłem przecież temu durniowi... – wyrwało mu się z ust, ale szybko pohamował emocje. – A co na to Berlin? Czemu

ociągają się z wojskową odpowiedzią?

– Pan się nie rusza, herr hauptmann – młody von den Bach zaniepokoił się, widząc na twarzy przełożonego grymas bólu. – Cóż, w Berlinie mają inne problemy. Jakby na to nie patrzeć, jesteśmy dla nich prowincją. Zdaje się, że rząd na razie wierzy w magię negocjacji. Mają tu przysłać swoich przedstawicieli, by załagodźli konflikt...

– Naiwniacy! Lewaccy durnie! – Wirbel aż uniósł się na poduszce z oburzenia. – Ten cały Ebert¹⁶¹, a z nim Schneidemann¹⁶² nic nie rozumieją! Chcą debatować, jakby byli w Reichstagu, tymczasem tu trzeba rzucić kilka dywizji i będzie po sprawie. Regularne wojsko szybko poradzi sobie z tą ruchawką...

Nawet nie zauważył, że użył argumentu, z którym niedawno sam się nie zgadzał.

– Wygląda na to, że rząd stawia na rozmowy – odpowiedział oberleutnant.

– Durnie! Kanalie! Jak tak można! – zbiesił się Wirbel. Opadł zmęczony na poduszkę, poprawiając zdrową dłońią bandaż na ramieniu. – A grenadierzy z Bukerstrasse? Może chociaż oni...

– Według naszych informacji zamknęli się w koszarach. Są osaczeni przez siły wroga, ale zapowiadają, że będą się bronić. Twardo bronić.

– Kiedy tu trzeba atakować! Każda godzina działa na korzyść tej polskiej hołoty. Czy oni tam, w Berlinie, naprawdę tego nie rozumieją?

Achim von den Bach spuścił głowę.

– Obawiam się, że Posen nie jest dla nich priorytetem. Sam pan rozumie, mają ciągle nad sobą widmo rewolucji...

Wirbel zmilczał kolejne przekleństwo, które cisnęło mu się na usta. Przez chwilę oddychał chrapliwie, patrząc w sufit. A potem przypomniał sobie, co jeszcze chciał wiedzieć.

161 Friedrich Ebert – socjaldemokrata, w listopadzie 1918 r. ostatni kanclerz II Rzeszy.

162 Philipp Schneidemann – polityk socjaldemokratyczny, kanclerz Republiki Niemieckiej od lutego do czerwca 1919 r.

– A Polacy? Macie na nich oko?

– *Jawohl, herr hauptmann* – ożywił się von den Bach. – Wczoraj późnym wieczorem w Posen pojawił się oficer Wojska Polskiego w cywilu, niejaki Taczak. Zdaje się kapitan. Co ciekawe, wracał z Berlina, a wysiadł na dworcu w Posen. Podobno odwiedza tu rodzinę, ale nasze źródła podają, że już wczoraj wieczorem objął faktyczne dowództwo nad ich zbrojnymi oddziałami.

– Ciekawe – mruknął pośpiesznie Wirbel. – Niech pan kontynuuje, von den Bach.

– To jeszcze nic, herr hauptmann! – młody oficer kontrwywiadu z emocji aż pochylił się nad łóżkiem przełożonego. – Jeszcze wczoraj wieczorem nasi technicy podsłuchali rozmowę telefoniczną, jaką tenże Taczak odbył z Warschau...

– Z Warschau!? – Wirbelowi zrobiło się ciemno przed oczami. Właśnie realizowało się to, czego od początku obawiał się najbardziej. – A z kim rozmawiał ten cały Taczak?

Von den Bach nerwowo poprawił grzywkę.

– Pan sobie wyobrazi, że z samym Piłsudskim! Zapytał go nawet o zgodę na objęcie dowództwa tej ruchawki!

Cisza, jaka zapadła po tych słowach w szpitalnej sali, była dziwna, zupełnie nienaturalna. Achim von den Bach przez chwilę poczuł się tak, jakby uczestniczył w pogrzebie. Tylko czym?

– Taaak... – Klaus Wirbel potrzebował dobrej minuty, by przeanalizować sytuację. – No tak, mamy więc ewidentny dowód zdrady Piłsudskiego... Choć oficjalnie rząd polski dystansuje się od wspierania ruchów wywrotowych w Provinz Posen, w praktyce wszystko jest konsultowane z Warschau... No cóż, mieliśmy już wcześniej sygnały o jakichś dostawach broni, a jakichś emisariuszach. Wszystko układa się zatem w logiczny ciąg... Pan mnie posłucha, von den Bach. Jeszcze dziś nadajcie pilną depezę do Berlina. Napiszcie wszystko to, co wiecie o związkach polskich buntowników z Warschau. Ten nasz nieudolny rząd musi w końcu zrozumieć, co się tutaj dzieje. Ciągle jest dwa kroki za Polakami, szlag by to trafił!

– *Jawohl!* – przytaknął oberleutnant.

Mimo bólu przeszywającego ramię Wirbel uniósł się na łokciu

zdrowej ręki i spojrzął podwładnemu prosto w oczy.

– A co ze mną? Kiedy mnie w końcu ewakuujecie?

Mina Achima von den Bacha zdradzała, że nie ma odpowiedzi na to pytanie.

– Robimy wszystko, co można, by to zorganizować – zapewnił hauptmann. – Sam pan jednak rozumie, że miasto jest teraz w rękach Polaków. Musimy wyrobić panu lewe dokumenty. A to potrwa.

– Rozumiem – mruknął Wirbel.

Z rzeczy, które go ostatnio spotkały, postrzał i pobyt w cywilnym szpitalu wcale nie jawiły się mu jako najgorsze. Zdecydowanie najbardziej irytowała go beczynność.

– Rozumiem – powtórzył, opadając na poduszkę.

W środku gotowała się w nim krew.

Poznań, Fort Grolman, 31 grudnia 1918 r., przed południem

Już nie skromny lokal na Piekarach, ale potężny fort stał się siedzibą skautowskiej kompanii Wierzejewskiego. Powstańcy wywiesili na maszcie naprędce zorganizowaną biało-czerwoną flagę – na znak, że obejmują fort w posiadanie i nie oddadzą go Niemcom, choćby oblegali go całym pułkiem grenadierów z koszar przy Bukowskiej.

To tu obwołali się Pierwszą Kompanią Skautową. I to tu, w Grolmanie, dowiedzieli się, że powstaniem nie dowodzi już porucznik Paluch, a kapitan Taczak, który niewyjaśnionym trafem znalazł się w Poznaniu tuż po wybuchu walk¹⁶³. Wieść niosła, że awansowany na majora przez Warszawę oficer stworzył pierwszy sztab, który zbierał się ponoć w jednym

163 Kapitan Stanisław Taczak, oficer Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, wracał od żony i dzieci z Berlina do Warszawy, nocując u rodziny w Poznaniu w momencie, gdy w Poznaniu wybuchły walki. Na prośbę polityków Naczelnej Rady Ludowej, by objął dowództwo nad powstaniem, Taczak skontaktował się telefonicznie z Józefem Piłsudskim. Naczelnik Państwa wyraził zgodę, awansując Taczaka do stopnia majora.

z hoteli w centrum miasta¹⁶⁴. Jęczkowiak dobrze zapamiętał postać kapitana z Warszawy. W duchu ucieszył się, że głównodowodzącym został człowiek z Wielkopolski. Miał nadzieję, że niebawem będzie miał okazję mu się przypomnieć i zamienić z nim choć kilka słów.

Już następnego dnia po opanowaniu fortu Wierzejewski zabrał się za organizowanie swojej jednostki. Musiał szybko zrobić ze swoich chłopaków prawdziwe wojsko. Zaczął od rozdzielenia funkcji. Zdecydował, że Józek Ratajczak będzie „matką kompanii”, czyli sierżantem sztabowym. Potem przywołał Jęczkowiaka i mianował go sierżantem liniowym. Plutonowymi zrobił Alfreda Radomskiego i Stacha Jańczaka. Nie mogło też zabraknąć kaprali: zostali nimi Bąbol, Saroszewski, Kozłowski i kilku innych. Wierzejewski wybrał też sekcyjnych, czyli starszych żołnierzy. A potem podzielił kompanię na plutony, drużyny i sekcje.

– Ty, Józek, będziesz odpowiadał za bezpieczeństwo fortu, wystawianie wart, słowem, będziesz komendantem Grolmana i moim zastępcą – powiedział do Jęczkowiaka. – A ponieważ szkoliłeś już młodych w Warszawie, więc i u mnie odpowiadasz od teraz za wyszkolenie. Aha, i jeszcze za służbę na mieście!

– Tak jest! – Jęczkowiak ochoczo zasalutował do daszka czapki.

Funkcję zastępcy Wierzejewskiego odebrał jako wyróżnienie.

Wieść o sukcesie w forcie rozniosła się lotem błyskawicy po całej Wildzie i okolicy. Jeszcze tego samego dnia do kompanii zaczęli napływać pierwsi ochotnicy. Nie wiadomo, czy dostrzegli flagę nad fortem, czy też tak mocno działała na wyobraźnię fama o ich sukcesie; dość powiedzieć, że w ciągu następnych trzech dni stan kompanii urósł do stu pięćdziesięciu chłopów! Napływali głównie byli skauci, wielu z nich było znanych Jęczkowiakowi. Kompania miała teraz trzy plutony strzeleckie, każdy po dwie drużyny, oraz pluton karabinów maszynowych. Wszyscy nosili wreszcie jednolite umundurowanie, pozostawione przez Niemców. Kompania mogła się też dozbroić w krótkie karabiny artyleryjskie po żołnierzach 20 Pułku Artylerii Polowej,

¹⁶⁴ W hotelu Royal przy Świętym Marcynie 38.

odnalezione w magazynie fortu oraz w bagnety.

Z żywnością też nie było problemu. W uruchomionej kuchni szybko zapachniało grochówką, upichconą z odnalezionych w magazynie zapasów. Brakowało tylko chleba i mięsa, znalazły się za to ziemniaki i marchew. Nic dziwnego, że nastroje wojska były coraz lepsze.

Trzeciego dnia pobytu w forcie Jęczkowiak na dziedzińcu czyścił szczotką swoje zabłocone buty. Właśnie zabrał się za ich pucowanie szmatką, gdy usłyszał szybkie, zdecydowane kroki dobiegające od strony bramy. Odwrócił się i dostrzegł dwie znajome sylwetki.

Jego twarz rozpromienił radosny uśmiech.

– Ludwik! Zyga! – wykrzyknął, zrywając się z drewnianego kozła spod wejścia do kancelarii.

Bracia stawili się w kompanii wyposażeni jak należy: w pełnym umundurowaniu i z karabinami w rękach. Najwyraźniej matka przekazała im polecenie Józefa, by zwolnili się z kompanii Służby Straży i Bezpieczeństwa i przybyli do fortu Grolman. Wyściskali się z Józkiem, pokleпали po plecach. Zygmuntowi zakręciła się łaza w oku.

– To teraz będziemy trzej bracia w jednej kompanii! – podsumował Józef.

– Pod jednym warunkiem: że będziemy razem bić Fryców – podkreślił Ludwik.

– O, na pewno trafi się jeszcze wiele okazji!

Ludwik miał za sobą służbę w niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Zdezertował i jak Józef ukrywał się w Poznaniu. Zygmunt jeszcze w wojsku nie służył, miał jednak za sobą szkolenia skautowskie i peowiackie. Józef był pewien, że obaj bracia świetnie dadzą sobie radę w kompanii Wierzejewskiego. Dowódca był już uprzedzony o takiej możliwości.

– Gdzie można się wypakować? – zapytał Zyga, wskazując na swój plecak.

– Chodźcie za mną, zaraz wam pokażę – Józef ruszył wolno w stronę wejścia do budynku z izbami żołnierskimi.

W swojej kompanii poczuł się jak w prawdziwej rodzinie. Tu, w forcie Grolman, był teraz jego dom.

Wapno pod Wągrowcem, w tym samym czasie

Ku wielkiemu żalowi Stacha, Albatros musiał pozostać na jakiś czas w stodole gospodarstwa Jachów. A Franciszek musiał zejść na ziemię. Dośćownie zejść z chmur. Już następnego dnia po jego głośnym oblocie okolicy pod domem Jachów zgromadziła się bowiem grupa kilkunastu mężczyzn ze wsi z jednym prostym żądaniem:

– Jach na komendanta Wapna!

Wykrzykiwali to hasło, wymachując kilkoma karabinami, ale też ustawionymi na sztorc kosami i widłami. Ochotnicy byli rozmaici, od wyrostków po dojrzałych już mężczyzn. Widok biało-czerwonej szachownicy nad wsią, nocne zdobycie samolotu i odprawienie Niemca, wreszcie radosne wieści z okolicy przynaglały ich do działania. Franciszek Jach, pilot sierżant z frontową historią, był dla nich niekwestionowanym kandydatem na wodza. Nie miał we wsi żadnej konkurencji.

– Franek, musisz się zgodzić – powiedział do niego ojciec znad śniadania.

Jach zauważył, że drżą mu ręce i głos. Zerknął na matkę, na jej siwe włosy i pomarszczoną twarz – jej spokojne spojrzenie dodało mu otuchy.

– Zgoda – powiedział. Przegryzł szybko ostatnią sznytkę i wyszedł do swoich podkomendnych.

Na dworze panował lekki mróz, ale jemu było w tym momencie gorąco.

Pojawienie się Jacha przed domem wprowadziło ochotników w euforię. Ktoś wystrzelił nawet w niebo, a wszyscy głośno skandowali:

– Ko-men-dant! Ko-men-dant!

Początkowo nie za bardzo wiedział, co powinien zrobić. Podszedł więc do sprawy zdroworozsądkowo. Po pierwsze

zarządził, by niepełnoletni wrócili do domów.

– Ale dlaczego, komendancie? – skrzywił się piegowaty Kaziu, syn Mazurów.

– My chcemy walczyć! – uniósł się Janek od Nowakowskich.

– Nie ma dyskusji! – uciął temat stanowczo. – To jest wojna, nie zabawa. Można zginać. A dzieciaki lepiej niech jeszcze dorosną. Jeszcze się potem przydać mogą – wyjaśnił w prostych słowach.

Kilku wyrostków spuściło głowy, ale Jach pozostał nieprzejednany. Zaraz potem zaproponował, by wszyscy chętni do stawienia się w „kompanii Wapno” zgromadzili się pod starą szkołą w centrum wsi.

Posłuchali.

W ciągu dwóch kwadransów pod budynkiem szkoły zebrało się kilkudziesięciu mężczyzn. Większość z nich była znana Jachowi z dzieciństwa albo z lat wspólnej nauki. Szybko zorientował się, że najwięcej ochotników pochodzi z pobliskiego Podolina. Widać i tam dowiedzieli się, że Jach organizuje kompanię.

Stali w swoich zgrzebnych, polowych portkach i ciepłych kurtkach, jakby świadomi, że wojna może ich rzucić w niesprzyjające rejony i trudne warunki. Broń – stare strzelby, rzadziej karabiny – miał co drugi z nich. Czekali w napięciu na to, co do nich powie. Wiedział, że zapamiętają to na całe życie.

– Żołnierze! – uznał, że to słowo jest najstosowniejsze. – Dziękuję wam, że stawiliście się na wezwanie Ojczyzny naszej ukochanej... Od teraz stanowić będziemy kompanię polskiego wojska powstańczego. Kompanię Wapno. Jako sierżant, z waszej woli obejmuję nad nią dowództwo. Ufam, że będziecie słuchać moich rozkazów.

– Będziemy! A jakże! Będziemy! – rozległy się głosy poparcia.

– Żołnierze! Od dwóch dni walczymy o wolność naszej ziemi i nas samych. Jeszcze dzisiaj pojedziemy do Kcyni, by wesprzeć tamtejszych powstańców. Musimy się dowiedzieć, gdzie jesteśmy najbardziej potrzebni.

– Ale jak, komendancie? Jak pojedziemy?

– Wyślę tam łącznika z prośbą o podwoje...

Za swoimi plecami Jach usłyszał czyjś pospieszny oddech.

Nadchodził, a właściwie nadbiegał ksiądz proboszcz z krzyżem w dłoni i dwoma ministrantami. Młodzi, przejęci chłopcy w komżach nieśli kropidło oraz wodę święconą.

- Drodzy moi... - głos ze wzruszenia uwiązał kapłanowi w gardle.
- Pozwólcie... Pozwólcie, że pobłogostawię was i poświęcę wasz oręż!

Poznań, Dworzec Główny, 1 stycznia 1919 r., przed trzecią w nocy

Lodowaty podmuch podwiał poły płaszcz Kaczmarka, wciskając się chłodem między jego wojskową garderobę. Przez chwilę jego ciałem wstrząsnął dreszcz, ale siłą woli opanował słabość. Tej nocy musiał być czujny, zwarty i gotowy, by odeprzeć każdą próbę ataku.

Dworzec był już od kilku dni w polskich rękach, zajęty przez oddział kaprała Kowalewskiego, ale jego obsada nie gwarantowała jeszcze dostatecznego bezpieczeństwa. Wprawdzie powstrzymano kilka prób przyjścia Niemcom z pomocą, rozbrojono dwa transporty kolejowe z Leszna i Piły, zdobywając sporo broni, jednak niemieccy kolejarze patrzyli koso na polskich żołnierzy patrolujących teraz perony i teren dworca. Nie było pewności, jak zachowają się w sytuacji, gdy na peronie pojawi się sam Mistrz Paderewski. Nie można było przecież wykluczyć, że któryś z nich nie ułatwi sprawy niemieckiemu snajperowi – albo podprowadzi jakiś wrogi oddział.

Stojąc u wejścia do hali dworca, Kaczmarek poprawił dłoń na karabinie. Poczytywał sobie za wielki honor, że znalazł się w składzie dwóch drużyn wysłanych jako ochrona osobista Mistrza. Bo też był to zaszczyt, jakiego jeszcze w życiu nie doświadczył. Z polecenia dowództwa miał ubezpieczać cichy, niemal potajemny wyjazd Mistrza Paderewskiego do Warszawy.

O samym pobycie Mistrza w Poznaniu wiedział niewiele. Zdaje się, że po wybuchu walk Paderewski nie ruszał się z budynku

Bazaru, stale chroniony wraz z małżonką przez specjalną grupę powstańców. Kaczmarek słyszał od kolegi spod Bazaru, że wirtuoz fortepianu nie do końca orientował się w sytuacji w mieście, ale dał się przekonać, by nie opuszczać murów hotelu. Teraz jednak, gdy całe miasto – wyłączając jedynie koszary saperów na Wildzie – było już w polskich rękach, upomniała się o Mistrza wielka polityka. Musiał pilnie jechać do Warszawy; plotka głosiła, że miał tam ponoć stanąć na czele polskiego rządu!

Pogrążony w ciemnościach plac przed dworcem nie przypominał w niczym rozemocjonowanego zgromadzenia sprzed czterech dni, gdy Paderewski przyjechał do Poznania. Wokół było cicho i sennie, ale Kaczmarek i kilku jego towarzyszy nie dawali się zwieść pozorom. Z odbezpieczoną bronią oczekiwali pod arkadami wejściowymi na przyjazd Mistrza, rozglądając się bacznie wokół.

Gdy zegar na fasadzie dworca pokazywał godzinę trzecią, od strony Kaponiery pojawił się na ulicy Dworcowej mały, jasno oświetlony punkcik. Szybko urósł w oczach żołnierzy do wielkości automobilu. Pojazd poruszał się na tyle szybko, na ile pozwalał mu balast czterech ludzi obstawy, stojących na błotnikach i uczepionych drzwi. Jechali pod bronią, celując w mrok lufami pistoletów.

– *Achtung!*¹⁶⁵ – krzyknął do podwładnych Kaczmarek, zupełnie jakby znowu przebywał gdzieś na francuskim froncie.

Żołnierze ustawili się w dwuszeregu, prezentując broń przed Mistrzem.

Paderewski odziany był w grube futro i wysoką baranią czapę. Jego blada twarz zdawała się zmęczona i chora, a wzrok cokolwiek nieobecny. Zupełnie inne wrażenie zrobiła na Kaczmarku żona muzyka. Bystre spojrzenie jej oczu, rzucone spod czapki z lisa, spoczęło na moment na Kaczmarku i jego oddziale.

– Za mną marsz! – rozkazał Kaczmarek, kiedy Paderewscy i członkowie jego osobistej ochrony przemknęli pod arkadami, kierując się bezpośrednio ku peronowi.

165 Z niem. – Baczność!

Pod długą, przyprószoną śniegiem wiatą czekał już prezydent miasta Jarogniew Drwęski w ciemnym palcie i meloniku, w asyście polityków i dwóch towarzyszących Paderewskiemu oficerów ententy. Na widok Mistrza zdjął nakrycie głowy i skłonił się z szacunkiem.

– Dziękujemy za tę niezapomnianą wizytę, panie premierze – zwrócił się do Paderewskiego, całując jednocześnie dłoń jego żony.

– Jaki tam ze mnie premier! – zachnął się Mistrz. – Nie mam nawet pewności, czy aby na pewno przysłużyłem się dobrze waszej sprawie. Słyszałem pogłoski, że moje przemówienie wywołało jakieś rozruchy. W końcu ktoś strzelał w okna mojego apartamentu. Zdaje się, z broni maszynowej...

– Poznań zapamięta pańskie wielkie wystąpienie z okna Bazaru. Na zawsze wiązać będzie pański przyjazd z początkiem wolności... – zapewnił go Drwęski, poprawiając zmrożone binokle na zmarzniętym nosie.

– Tak jest! – wyrwało się nieoczekiwanie Kaczmarkowi z nadmiaru emocji.

Zaraz potem oblał się rumieńcem wstydu.

Paderewski obrzucił go spojrzeniem światowca, któremu nieobce były podobne faux pas, przeżyte w różnych zakątkach świata.

– Dziękuję za ochronę, panie żołnierzu – uśmiechnął się dyskretnie, udając, że salutuje do swojej czapy. – A przede wszystkim dziękuję wam, panowie, za gościnę. Na zawsze zapamiętam smak gęsiny z kuchni Bazaru. Ech, co za danie! No, ale pora w drogę. Trzeba w końcu stawić się przed Piłsudskim!

Paderewski skłonił się lekko przed Drwęskim i poprowadził żonę w kierunku salonki podczepionej do huczącej parą lokomotywy. Kaczmarek zauważył, że parowóz ciągnął nie tylko wygodny wagon, ale także tender pełen węgla. Musiało go wystarczyć do samej Warszawy.

Zaraz za słynną parą do wagonu weszli alianccy oficerowie, a na koniec wskoczyli ludzie z osobistej ochrony Mistrza.

Kaczmarek i jego ludzie zacieśnili krąg wokół salonki, mierząc

z mauzerów w przestrzeń peronu.

Wkrótce spowiła ich chmura pary. Usłyszeli przeciągły syk i stalowa konstrukcja zaczęła nabierać prędkości, kierując się ku Dębcowi¹⁶⁶.

Dopiero teraz Kaczmarek zauważył, że trzęsą mu się ręce, a zęby dzwonią o siebie, jakby targały nim dreszcze.

– Formuj szyk! – rzucił do swoich podwładnych. – Naprzód marsz!

Równy żołnierski krok pozwolił mu zapanować nad nerwami. Na wysokości Mostu Dworcowego obrócił się jeszcze, by spojrzeć na niknące w mroku czerwone światła składu.

Udało się, przemknęło mu przez głowę.

Będę miał co opowiadać Juliette. No i wnukom.

166 W 1918 r. pociągi do Warszawy jeździły przez Kalisz. Tory prowadzące w tamtym kierunku przebiegały przez dzielnicę Dębiec.

XXIX.

HEJ, KOCHAŚ, JESTEŚ TAM?!

Poznań, strych kamienicy przy Świętym Marcynie, 5 stycznia 1919 r., wieczorem

– Więc Paderewski był przemęczony. Jakby w ogóle nie spał. Może te strzały w mieście mu nie dawały? W końcu ze Szkiebrami bywało ostro. Za to jego żonka... Ho, ho, ho, ta to miała energii za ich dwoje! Jak na nas spozrzała... Od razu zrobiło się nam cieplej. Coś mi się wydaje, moja droga, że w tym związku to pani Helena gra pierwsze skrzypce. A Mistrz tylko przygrywa na fortepianie...

Juliette Gładeczka słuchała z szeroko otwartymi ustami, a na jej pobladłych dotąd policzkach wykwitły zdrowe rumieńce. Strzelec Kaczmarek wreszcie miał okazję pochwalić się swoją noworoczną misją. Nie przypisywał sobie wyłącznej zasługi, wspominając o udziale kolegów, przyznał się wszakże, że ośmielił się odezwać do słynnego po obu stronach oceanu Polaka, za co doczekał się z jego strony chwili uwagi i przyjaznego salutu.

– Biniu! Jaki ty jesteś ważny! – Juliette rzuciła mu się na szyję, przed czym w żaden sposób nie zamierzał się bronić. – Bohaterze ty mój, niechże ciebie wyściskam...

Jej usta były pełne, gorące i smakowały domowym winem, które niedawno otworzyli, gdy Juliette ukradkiem wyniosła je z mieszkania na strych. Właśnie na zimnym strychu skosztowali trunku. Kaczmarek nie chciał wyjść na grubianina, więc nie przyznał się, że wino wydało mu się cokolwiek zbyt cierpkie. A jednak na wargach dziewczyny smakowało zdecydowanie lepiej niż z prostej literatki. Mało powiedziane: lepiej! Na ustach Juliette wino smakowało wybornie. Upominało się wręcz

o dłuższą degustację...

– No, no, no! – dziewczyna najwyraźniej uznała, że jej amant zbyt szybko przekroczył niepisaną granicę między niewinnym całusem a napadem iście rozbuchanej namiętności, wyrywając się gwałtownie z jego mocnych objęć.

– Ależ Juliette... – jęknął zawiedziony Zbigniew. – Tak nie można! Do mnie Niemcy niedawno strzelali, a ty co? Swojemu całusa żałujesz? Polakowi, obrońcy twemu?

Z tym ostrzałem, to tylko on wiedział, że nieco ubarwił rzeczywistość. Chociaż... Przecież na Wilhelmstrasse Szkiebry strzelali mu nad głowę jak cholera. A i w Grolmanie w każdej chwili mógł oberwać kulę w plecy!

– Strzelali? Do ciebie? – Wielkie oczy Juliette wskazywały, że strzał jednak trafił do celu.

– I do innych naszych. Na ulicy ostrzał był gęsty.

– A gdzie to było, Biniu?... Jezusie, stracić cię przecież mogłam...

– Pod Bazarem, kochana. Jak do Paderewskiego strzelali.

– Do samego Mistrza? – Źrenice dziewczyny rozszerzyły się raz jeszcze.

– No, niestety, cholerne Szwaby! Ostrzelali okna jego pokoju. Ale na nic więcej nie pozwoliliśmy... To znaczy, nasi nie pozwolili.

Dziewczyna nie wyczuła subtelnej różnicy w dwóch ostatnich zdaniach wypowiedzianych przez jej adoratora. Przejęta, ale też współczująca przyglądała się jego twarzy, jakby dopiero teraz rozumiała, że ma przed sobą prawdziwego narodowego herosa. Obrońcę światowej gwiazdy i ochroniarza przyszłego premiera Polski. Słowem, tytana przyzwoitości i pierwszego żołnierza sprawy polskiej... Cóż, takiego bohatera należy odpowiednio uhonorować!

Biniu nawet się nie zorientował, kiedy dziewczyna znowu wpiła mu się w usta. Ale zaraz potem delikatnie przejął inicjatywę. Nie omieszkał czule objąć ją w ramionach i subtelnie skierować w stronę nieco przykurzonej kanapy. Nie miał niecnych zamiarów, chciał jedynie, by ta chwila trwała jak najdłużej.

Juliette pozwoliła mu się poprowadzić, a potem – gdy już siedzieli obok siebie – zdjęła mu z głowy okrągłą furazerkę

z kokardą w narodowych barwach, odłożyła ją na stary nieużywany stolik – i pozwoliła mu znowu nacieszyć się swoimi gorącymi wargami.

Na strychu było chłodno, ale młodym nie brakowało ciepła. Kaczmarek w jednej chwili zapomniał o żołnierskich obowiązkach, kompanach w niedalekim forcie Grolman czy o głodzie, który od dobrych kilku godzin skręcał mu kiszki. Byli tylko on i ona. Jego usta i jej usta. Jego zachwyty i jej podziwy. Doskonała harmonia w tak niesprzyjających okolicznościach.

Był tak upojony swoim szczęściem i powodzeniem, że aż musiał zaczerpnąć powietrza. Na moment oderwał usta od warg Juliette.

– Jak mi dobrze! – wyznał, choć z natury był człowiekiem skrytym i rzadko się otwierał. – Juliette, kocham cię!

– Biniu, mój ty bohaterze... Ja ciebie też, kochany...

Wspaniałą chwilę błogiej ciszy zmąciły nagle, gdzieś w dole, na schodach, czyjeś żołnierskie buty. Ich tupot był natrętny i zbyt natarczywy, by można go było zlekceważyć.

– Hej, kochaś?! Jesteś tam?! – usłyszeli zakochani na strychu.

Nawoływanie na klatce schodowej było tak mało delikatne, zważywszy na późną porę, że nie dało się go zignorować.

Kaczmarek wyrwał się z objęć dziewczyny i podbiegł do drzwi. Ledwie je uchylił, zobaczył przed sobą spoconą, przejętą twarz Franka Kubiaka. Towarzysz broni był w kompletnym rynsztunku, w dodatku z hełmem na głowie. Jego rozbiegane oczy zapowiadały kolejne zadanie bojowe.

– A! Tu jesteś! – Mimo półmroku Kubiak dostrzegł za plecami Kaczmarka kobiecą postać. – O, pardon! Pardon!

– Nic się nie tego... – mruknął rozeźlony Kaczmarek. – O co chodzi, Franek?! Powiesz wreszcie?!

Kubiak przełknął ślinę, a potem wyprostował się z godnością, świadomy, że jest obserwowany przez kobietę.

– Alarm w forcie! – powiedział. – Nasza kompania karabinów maszynowych zbiera się do wymarszu. Szukają cię, dlatego tu jestem.

– Do wymarszu? – zdziwił się Kaczmarek. – A dokąd to niby?

Gdy wychodził z Grolmana, nic mu nie było wiadomo, by tej

nocy kroїła się jakaś akcja.

- Do Ławicy! Idziemy wreszcie zdobyć lotnisko!
- O, do diabła! Ławica! Juliette, wybacz! Muszę lecieć...

Ławica, lotnisko, 6 stycznia 1919 r., kwadrans po czwartej nad ranem

Zaatakowali nad ranem, gdy świt jeszcze nie zdążył oświecić okolicznych pól.

Zanim jednak poszli do boju, wydzielony oddział zajął bez walki niedaleki fort VII, w którym Niemcy zgromadzili kilkaset ton bomb lotniczych i skąd niemieccy lotnicy mogli spodziewać się odsieczy. Potem przecięli kabel elektryczny, zasilający lotnisko od strony miasta. I kabel telefoniczny, łączący lotnisko z Berlinem. W ciemnościach, jakie ogarnęły hangary, place i dziedziniec przed potężnymi zabudowaniami dowództwa z wieżą, łatwiej było podejść niepostrzeżenie na bliską odległość.

W szybkiej, nerwowej drodze do Grolmana, a potem podczas podwózki wozem do Ławicy Kaczmarek zdążył się dowiedzieć, że poprzedniego dnia delegacja POW z porucznikiem Paluchem na czele negocjowała z niemieckim dowództwem lotniska poddanie stacji. Niemcy nie godzili się jednak na bezwzględną kapitulację i wydanie całego sprzętu. Chcieli wyjść z lotniska z honorami, pod bronią.

- A więc będziemy się bili – ponoć powiedział Paluch.
- Czekamy na was – miał mu odpowiedzieć hauptmann Fischer.

Wiedzieli więc, że Niemcy się ich spodziewają. Utrata zasilania musiała być dla nich dodatkowym sygnałem tego, co się święci. Spodziewali się wszystkiego, co najgorsze. Dlatego Paluch popchnął do akcji aż trzy kompanie Służby Straży i Bezpieczeństwa, wzmocnione plutonem strzelców konnych, a także plutonem ciężkich karabinów maszynowych z kompanii Wierzejewskiego oraz innymi ochotnikami – peowiakami. Kaczmarek nie widział wszystkich zmierzających do Ławicy oddziałów, ale usłyszał od Kubiaka, że będzie ich z pół tysiąca

chłopa. Mieli kilka karabinów maszynowych i ponoć dwa działa. Ponoć, bo Kaczmarek – choć wytężał wzrok – nigdzie artylerii nie widział.

– Dowodzi Kopa!¹⁶⁷ – rzucił mu w biegu Franek.

Posuwali się teraz wolno w ciemnościach od strony Ławicy. Na lewym skrzydle, od strony Poznania, zamajaczyli na horyzoncie kawalerzyści. To oni mieli odciągnąć uwagę Niemców. Zasadniczy atak miał nastąpić od strony wsi.

Działa huknęły niespodziewanie od strony stacji kolejowej na Woli.

Kaczmarek naliczył cztery wystrzały. Jeden z nich trafił w wieżę kontroli lotów nad masywnym gmachem dowództwa, wyrzucając w powietrze gejzer kurzu i odłamków.

Zaraz potem piechurzy ruszyli w biegu w stronę zabudowań Flieger Ersatz Abteilung Nummer 4¹⁶⁸.

Nie przebiegli nawet kilkunastu kroków, gdy gdzieś z najwyższych pięter budynku dowództwa rozszczękały się cekaemy. Było jednak ciemno i gęste serie pocisków popruły zmrożony grunt daleko za plecami atakujących.

– Szkiebry nic nie widzą! – krzyknął ktoś triumfalnie.

To hasło dodało im werwy. Przyspieszyli i wykorzystując fakt, że siatka ogradzająca lotnisko była niekompletna, wdarli się gwałtownie na teren stacji lotniczej.

Niemieckie cekaemy biły nadal, ale były zupełnie nieszkodliwe dla atakujących. Tylko dwóch z nich chwyciło się za pierś, padając na ziemię. Polacy w kilku skokach dopadli pod mur pierwszych zabudowań. Zaraz za nimi pod dziedziniec podciągnięto pluton karabinów maszynowych z kompanii Wierzejewskiego. Ich jazgot szybko zdominował pole bitwy. Kilka serii puszczonej po oknach dowództwa wybiło szyby i odebrało Niemcom chęć do obrony.

– Poddajcie się! – krzyknął po niemiecku spod jednego z hangarów podporucznik Kopa. – Nie macie żadnych szans!

167 Mowa o podporuczniku Andrzeju Kopie.

168 Oficjalna niemiecka nazwa lotniska w Ławicy: Odwodowy Oddział Lotniczy nr 4.

Ogień z niemieckiej strony ustał. Było już widno, szara smuga mgieł z wolna odsłaniała krajobraz pobojuwiska.

– Biała flaga! – zawołał Kaczmarek, wskazując na wieżę. – Niemcy się poddają!

Rzeczywiście! Na tarasie wieży w miejscu niemieckiej flagi z krzyżem pojawiła się niespodziewanie biała płachta.

– *Heraus!*¹⁶⁹ – krzyknął znowu Kopa.

Zabarykadowane żelazne drzwi gmachu dowództwa otworzyły się z metalicznym szczękiem. Zaraz potem na dziedzińcu zrobiło się srebrzyście i zielono od mundurów jeńców. Wychodzili z podniesionymi wysoko rękami, odkładając broń pod ścianą dowództwa. Kaczmarek naliczył ich ponad stu.

Gdy zbliżył się do jeńców, usłyszał strzęp raportu, który rozedrganym jeszcze głosem składał Kopie jeden z jego podwładnych.

– ...tak więc zgarnęliśmy chyba ze dwadzieścia kulomiotów. A w hangarach naliczyliśmy dwadzieścia sześć aeroplanów. Są wśród nich trzy nowoczesne Fokkery D. VII!

– Psie syny! – uśmiechnął się dowódca. – Na szczęście nie zdążyli ich wywieźć! No, sierżancie Pniewski! Możecie zabierać się za maszyny!

Kaczmarek zauważył, że zza pleców Kopy wyłonił się podoficer z nieco śmiesznym wąsikiem. Miał na sobie lotniczy uniform, jakby od dawna szykował się do lotu.

– Marzyłem o tym od listopada – oświadczył.

A potem obrócił się i krzyknął:

– Ej, Mańczak! Dawaj szybko pędzle i farby! Maszyny nie lubią stygnąć w hangarach!

Poznań, 7 stycznia 1918 r., przed południem

Szpitalny ambulans trząsł mocno na pochyłym bruku Bergstrasse¹⁷⁰, a potem już nieco mniej na równiejszej Berliner

169 Z niem. – Wychodzić!

170 Dzisiejsza ul. Podgórna w Poznaniu.

Strasse. Przez podmalowane białą farbą okna hauptmann Wirbel widział ledwie szczyty mijanych kamienic. Domy wyglądały na całe, niewypalone i nienaruszone pociskami artylerii. Ba, w oknach na górnych piętrach widział nawet firanki! Życie toczyło się, jak gdyby nigdy nic, a przecież ledwie kilka dni temu polska rebelia opanowała to miasto. Czyżby Polakom udało się to bez zaciętych walk? Przecież leżąc w szpitalu na Schulstrasse, słyszał w ostatnich dniach jazgot karabinów maszynowych i palbę z mauzerów. Wydawało mu się, że walki musiały być zacięte – tymczasem obrazki za oknem zdawały się nie potwierdzać tej tezy.

Inna sprawa, że nie był w stanie zobaczyć wszystkiego. Leżał na noszach, ledwo unosząc głowę. Towarzyszący mu pielęgniarz co chwila nakazywał mu położyć się wygodnie, choć pacjent był uparty i ciągle podnosił głowę, ciekaw świata za oknem. Nie przeszkadzał mu w tym nawet przeciągły ból przeszywający postrzelone ramię.

Gdzieś w okolicy Theater Brücke¹⁷¹ ambulans musiał ostro przyhamować. Wirbel znowu podniósł się na zdrowej ręce, wyglądając przez szybę. Zobaczył oszronione, siwe drzewa parku przed gmachem Opery, roześmiane buzie polskich sanitariuszek, a zaraz potem dwie srogie, czerwone od mrozu twarze polskich rebeliantów w niemieckich mundurach. Że miał do czynienia z Polakami, wywnioskował z biało-czerwonych kokard wpiętych w otoki czapek.

– Kogo wieszysz? – Jeden ze strażników zdjął karabin z ramienia i podszedł do kierowcy karetki.

Niemiecki szofer podał mu przepustkę wystawioną Wirbelowi na mocy porozumienia między niemieckim Czerwonym Krzyżem, a jakimś tymczasowym organem polskiej władzy.

– Georg Grossmann? – zainteresował się niespodziewanie Polak.
– A co to za jeden? Dlaczego wywozicie go z Poznania? I dokąd w ogóle jedziecie?

Wirbel nie był w stanie tego dostrzec, ale szpitalny kierowca zbladł, a jego ręce na kierownicy zatrzęśły się jak w ataku febry.

171 Z niem. – Most Teatralny.

– Herr Grossmann to... – zawahał się szofer. – To przedstawiciel Czerwonego Krzyża z Berlina. Przebywał akurat w Poznaniu na wizytacji, gdy... gdy to wszystko się zaczęło.

– Z Czerwonego Krzyża? – żołnierz podszedł do drzwi ambulansu i mimo zimna otworzył je bez pardonowo.

Wirbel opadł na poduszkę, odruchowo zdrową ręką naciągając na siebie gruby pled. Nie zdołał wszakże ukryć nasiąkniętego krwią bandaża.

– Z Czerwonego Krzyża? – powtórzył pytanie Polak, ale tym razem wybrzmiało ono ironicznie, by nie powiedzieć złośliwie. – To dlaczego jest ranny?

– Oberwał przypadkowo, przed szpitalem na Schulstrasse – kierowca opanował nerwy i łgał teraz jak z nut. – To dlatego mam go odwieźć na kurację w Berlinie.

– Dziwne – mruknął nieufnie żołnierz i zerknął w kąt budy. – Niby z Czerwonego Krzyża, a buty ma ewidentnie wojskowe...

– Daj mu spokój, Eda! – odezwał się towarzysz Polaka. – Papiery ma w porządku, to i czego się czepiasz? Puszczaj go i już! Niech sobie jedzie do tego swojego Czerwonego Krzyża.

– Kiedy buty...

– Buty jak buty. Teraz każdy takie nosi. Pospiesz się, panienki na mrozie nam zmarzną...

Ten ostatni argument podziałał na wartownika jak należy. Z rozmachem zatrzasnął drzwi, aż cały ambulans zatrząsł się na marnych resorach.

– *Abfahren!* – ryknął na całe gardło. – *Und auf Wiedersehen!*¹⁷²

Opony zabuksowały na śliskim bruku i ambulans z wolna ruszył w stronę Jeżyc.

– Żebyś ty wiedział, Polaczku! Jeszcze się zobaczymy – powiedział sam do siebie Wirbel.

Prędzej czy później tu wrócimy. Choćby przyszło na to czekać dziesięć czy dwadzieścia lat – dodał w myślach. A wtedy się policzymy. Zwłaszcza z tym cholernym Jęczkowiakiem...

172 Z niem. – Odjazd! I do widzenia!



Chciał się zdrzemnąć, ale nie dał rady.

Gdy ambulans przejeżdżał obok Rynku Jeżyckiego, jego uwagę zaabsorbował ryk silników, który zagłuszył pracę motoru auta.

Grzmot dobiegał gdzieś z góry – zupełnie, jakby zanosilo się na burzę.

Nawałnica w styczniu?!

Ponownie zaciekawiony Wirbel nie bez trudu wyjrzał przez okno.

Było na co popatrzeć. Na niebie naliczył sześć dumnie wznoszących się ku wschodowi samolotów.

– No! Nareszcie nasi zrobią porządek! – uśmiechnął się do szofera.

Ambulans gwałtownie przyhamował, jakby ktoś nieuważny wszedł nagle kierowcy przed maskę.

– Co jest, Kreiser, do jasnej cholery?! – zdenerwował się Wirbel.

Mimo tęgiego mrozu szofer wyglądał przez uchyloną szybę na zewnątrz. Na jego czerwonej twarzy odmalował się lęk.

– Herr hauptmann! – zawołał. – Koniec świata! Te samoloty... One mają polskie barwy!

XXX.

W TWARZ I W SERCE

Okolice Mroczy pod Nakłem, 7 stycznia 1919 r., wieczorem

Nawet nie wiedział, kiedy dostał się do niewoli.

Pamiętał tylko, że stało się to poprzedniego dnia, podczas ataku na pobliską wieś. Pod ogniem niemieckiego cekaemu poszli w rozsypkę – każdy ratował się, jak mógł. On sam uskoczył do najbliższej stodoły, szukając schronienia za ścianą z desek. Seria przeszła drewnianą przegrodę tuż nad jego głową, ale nie to było największym zmartwieniem. W środku natrafił na dwóch drabów w mundurach Heimatschutzu. Jakby na niego czekali – jeden trafił go ciosem z kolby karabinu prosto w twarz, drugi, gdy próbował się podnieść, kompletnie zamroczony i zlany krwią, podciął mu kopniakiem nogi, skazując go na bolesny upadek.

Opadając na klepisko, Jach zdołał jeszcze tylko odnotować, że jego oprawcy rzucili się na niego, by przygnieść go do ziemi. A potem otrzymał kolejny cios w głowę... i zapadł się w ciemność.

Ocknął się zupełnie gdzie indziej. Leżał związany na czymś w rodzaju siennika w rogu izby, która przypominała wnętrze jakiegoś podrzędnego urzędu. Na ścianie wisiał czarny pruski orzeł. A na biurku pod nim paliła się lampa. Oparte o ścianę krzesło sugerowało, że ktoś całkiem niedawno na nim siedział.

Musiał być nieprzytomny przez co najmniej kilkanaście godzin, bo za oknem było już czarno jak w Hadesie. Skrępowane na plecach dłonie uniemożliwiały mu podniesienie się; zdołał jedynie usiąść i oprzeć się o zimną, chropowatą ścianę. Roztarta na twarzy krew z rozbitej powieki utrudniała mu widzenie.

Nie zdążył jednak zastanowić się nad swoim położeniem, bo

drzwi otwały się z hukiem i stanął w nich drab w uniformie Grenzschtzu. Równy rząd srebrnych guzików załamywał się na wypukłym brzuchu strażnika. Byczek miał dłonie jak bochny chleba, a wyraz jego zarośniętej twarzy nie zdradzał przyjaznych zamiarów.

– *Deine Name!*¹⁷³ – rzucił w stronę Jacha, kopiąc go w kostkę.

Polak podkurczył nogę z bólu, ale nie odezwał się ani słowem.

– *Hast du nicht gehört? Deine Name, aber schnell!*¹⁷⁴ – warknął Niemiec, rozsiadając się za biurkiem.

– Ptak – odpowiedział Jach, udając ociąganie się. – Eugeniusz Ptak.

– *Na ja!* – Przesłuchujący go oficer Grenzschtzu zanotował skwapliwie jego odpowiedź w jakichś papierach. – *Woher kommst du? Und woher kommt deine Truppe?*¹⁷⁵

Jach przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Szukał dobrego rozwiązania. Musiał grać na czas i skierować sprawy na ślepy tor – inaczej mógłby zostać szybko zidentyfikowany. Jako były niemiecki pilot z miejsca znalazłby się na straconej pozycji. Nie wiedział, czy Niemcy nie wzięli do niewoli innych członków jego kompanii. Założył jednak, że skoro pytają, nie mają innego źródła informacji.

– *Ich komme aus Poznań. Meine Truppe auch!*¹⁷⁶ – powiedział w końcu.

– *Man spricht: aus Posen! Und ihr kommt so weit, um hier zu kämpfen?* – Niemiec zdawał się mu nie dowierzać. – *Warum lügst du, eine Polacke?*¹⁷⁷

– *Das ist wahr, Herr Ofizier!*¹⁷⁸ – wykrzyknął, ale nie przekonał funkcjonariusza Grenzschtzu.

Osilek wstał za biurka i z całej siły kopnął go czubkiem żołnierskiego buciora w udo.

173 Z niem. – Twoje nazwisko!

174 Z niem. – Nie słyszałeś? Twoje nazwisko, tylko szybko!

175 Z niem. – Skąd pochodzisz? Skąd jest twój oddział?

176 Z niem. – Przybyłem z Poznania, mój oddział też.

177 Z niem. – Mówi się: z Posen! I przyjechaliście aż tak daleko, żeby tu walczyć? Dlaczego łżesz, Polaczku?

178 Z niem. – To prawda, panie oficerze!

Jach zacisnął zęby, żeby nie zawyć z bólu. Zabiję cię, poprzysiągł w myślach Szwabowi. Niech no tylko nadarzy się okazja...

Na razie jego sytuacja stała się błyskawicznie nie do pozazdroszczenia. Niemiec wymownie sięgnął do kabury pistoletu.

Zastrzeli mnie – pomyślał Jach i w jego głowie natychmiast rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Nie zamierzał zginąć w tak głupiej sytuacji, jak skrępowany prosiak!

– *Also, meine Polacke...* – drab napawał się swoją przewagą, z wolna odpinając pokrywę kabury i wyciągając z niej artyleryjską wersję lugera z długą, 19-centymetrową lufą. – *Ich wollte mit dir...*¹⁷⁹

Ta długa lufa pistoletu zgubiła Niemca.

Jach pojął to intuicyjnie.

Mocnym, ale celnym kopniakiem w kolano wytrącił strażnika z równowagi.

Byk zachwiał się zaskoczony, upuścił broń, wymachem dłoni próbując ratować się przed upadkiem, a potem runął w tył, uderzając potylicą o kant masywnego biurka.

Jach usłyszał głośnie stęknienie, a potem w pokoju zapadła cisza.

Polak poruszył się niespokojnie na sienniku. Wiedział, że jeśli Niemiec wstanie, nic go nie uratuje.

Na szczęście nic mu już nie groziło.

Nogi strażnika drgały przez chwilę w agonialnym pląsie, aż wreszcie ciało oprawcy znieruchomiało. Ostatecznie i nieodwołalnie.

Choć skrępowany, Jach był znowu wolny.

Musiał tylko za wszelką cenę się podnieść.

Walcząc o powstanie, modlił się gorliwie, żeby w tym samym czasie nie zajrzał do izby żaden z towarzyszy Niemca.

Jego modlitwy zostały wysłuchane.

Znowu był wolny.

179 Z niem. – A więc, mój Polaczku... Chciałem z tobą...

Poznań, fort Grolman, w połowie stycznia 1919 r.

Kompania Jęczkowiaka, zwana skautową, stała się szybko żelazną rezerwą wojsk powstańczych. Komenda Miasta wysyłała ją zawsze tam, gdzie wymagała tego sytuacja. Jęczkowiak przyzwyczaił się szybko do tych nagłych alarmów. Dziewiątego stycznia na przykład poderwano ich na nogi i kazano przygotować się do wymarszu. W pełni wyekwipowana kompania sprawnie ustawiła się na dziedzińcu fortu, gotowa w każdej chwili do wymarszu na dworzec.

– Pod Szubinem sytuacja na froncie jest zła! – przemówił do nich Wierzejewski, ich dawny skautowy komendant. – Niemcy przerwali nasze linie i będziemy musieli załatać wyrwę w obronie! Dlatego jeszcze dziś wyjedziemy baną na północ! Jęczkowiak! Przygotuj kompanię do wymarszu!

– Stać! – krzyknął ktoś od bramy.

Jęczkowiak rozpoznał w chudej sylwetce podwładnego porucznika Hulewicza. Zdyszany goniec biegł do Wierzejewskiego z zalakowaną kopertą. Gdy mu ją podał, Wierzejewski złamał pieczęć i zapoznał się szybko z nowymi rozkazami. Jego twarz momentalnie się rozluźniła, widać było na niej niedowierzanie.

– Alarm odwołany – oświadczył ze słabo skrywanym rozczarowaniem w głosie. – Mamy pozostać w Poznaniu jako rezerwa do dyspozycji dowództwa. Okazuje się, że pod Szubinem poradzą sobie bez nas.

– Oddział spoczni! Rozejść się! – krzyknął Jęczkowiak.

Byli skauci, dziś żołnierze, rozchodzili się, kręcąc z dezaprobatą głowami. Chcieliby pojechać pod Szubin i bić Niemców, tymczasem nadal musieli zadowalać się patrolowaniem ulic miasta. Od czasu udziału plutonu cekaemów w zdobyciu lotniska w Ławicy jeszcze tylko raz poczuli się jak w warunkach bojowych: poprowadzeni przez sierżanta Ratajczaka, interweniowali na dworcu, przeszkadzając niemieckim kolejarzom w wywózce transportu żywności do Niemiec. Stali się elitarną jednostką do zadań specjalnych, ale ta elitarność ich

samych denerwowała. Znacznie chętniej poszliby do walki na pierwszą linię.

– Ludzie palą się do boju – zauważył Jęczkowiak, skręcając papierosa.

– Mamy za mało okazji do postrzelania – dorzucił kąśliwie Heniu Bąbol, dowódca plutonu karabinów maszynowych.

Po szybkim zwycięstwie na lotnisku nabrał ochoty na kolejne sukcesy.

– Nic na to nie poradzę. Przyszedł rozkaz z dowództwa i muszę go wypełnić – zachnął się Wierzejewski.

Widać po nim było, że rozkaz szanuje tylko z racji wojskowego posłuszeństwa.

– Zakładam, że Taczak da radę zatrzymać Niemców na północy – dorzucił niechętnie.

– Oby – mruknął Jęczkowiak.

On również nie potrafił ukryć rozczarowania.

Poznań, następnego dnia

Patrolowanie ulic użyło też Kaczmarka – chyba że pełnił służbę na Świętym Marcinie. Wtedy nie omieszkał odwiedzić Juliette. Były to jednak krótkie wizyty, akurat na przekazanie sobie najnowszych plotek. I kilka całusów. Z reguły jednak dozorowali zachodni rejon miasta. W ciągu kilkunastu patroli nie wydarzyło się jednak nic spektakularnego.

Tego dnia razem z Kubiakiem zapędzili się aż na Jeżyce, w dawno nieogładane okolice szpitala, w którym jesienią poprzedniego roku leczył ranę spod Verdun. I z którego uciekł, dezercerując nieodwołalnie z cesarskiej armii.

Hohenzollernstrasse nosiła jeszcze niemiecką tabliczkę z nazwą, ale było tylko kwestią czasu, kiedy polskie władze cywilne usuną ją z muru narożnej kamienicy i powieszą nową, z polskim patronem¹⁸⁰. Kaczmarek wzruszył się, przypominając sobie, jak pewnej nocy uchoił stąd chyłkiem, powłócząc ranną

180 Od 1919 r. jest to ulica Mickiewicza.

nogą. Jakże nierealne wydawało mu się wtedy to wszystko, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach! Wtedy marzył o powstaniu, a teraz pojawił się przed zwartą bryłą szpitala jako oficjalny przedstawiciel nowego porządku.

Ulica opadała łagodnie ku budynkowi lecznicy. Nad jego bramą wisiała teraz polska flaga, ale przed drzwiami – jak za dawnych czasów – kłębił się tłum rannych w wojskowych mundurach, opartych na kulach i poręczach. Mimo mrozu, w dłoniach „kuracjuszy” kurzyły się różnorakie ćmiki, znamionujące powolny, acz ustawiczny powrót rannych do zdrowia.

Na widok Kaczmarka i Kubiaka, kroczących dumnie chodnikiem z bronią na ramieniu, kilku z pacjentów zasalutowało niedbale do gołych głów. Kaczmarek odpowiedział sprężystym salutem. I nagle... przypomniał sobie o Baśce, pięknej czarnowłosej sanitariuszce z tego szpitala. Tej samej, która jesienią dostarczyła mu rozkaz od „komendanta Józefa”.

Mój Boże! Zupełnie o niej zapomniałem – zganił się w myślach. A zaraz potem jego myśli zdominowała Juliette. Zatrzymał się skołowany, jakby stracił cel i werwę.

– Co jest, Biniu? – zdziwił się Franek Kubiak. – Źle się czujesz, czy jak?

– Nic takiego – warknął niezadowolony, że kolega widzi jego duchowe rozterki. – No, już chodźmy dalej! Trzeba wracać do Grolmana!

Skreśli w boczną, uroczą uliczkę prowadzącą ku torom i Mostowi Teatralnemu. I pewnie za chwilę znaleźliby się przy efektownych secesyjnych kamienicach, gdyby nie zdyszany, słaby głos zza ich pleców:

– Kaczmarek! Ej, człowieku! Czy to ty?!

Głos wydał mu się dziwnie znajomy. To był leutnant Remigiusz Radtke, lekarz ze szpitala. Kaczmarek rozpoznał go natychmiast po siwych włosach, zaczesanych dłonią na tył głowy. Ostatni raz widzieli się tamtej pamiętnej nocy na szpitalnym korytarzu, gdy Kaczmarek opuszczał te mury. Zapamiętał, że Radtke – choć syn Niemca – nie przeszkodził mu w tym.

Tym bardziej był zaskoczony teraz, widząc doktora na służbie

w powstańczym szpitalu. Spod rozchełstanego fartucha Radtkego wystawał wprawdzie ciągle niemiecki mundur, ale na wąskim kołnierzyku biła w oczy biało-czerwona kokarda. Do standardowego wizerunku lekarza brakowało tylko monokla w lewym oku.

Kaczmarek uśmiechnął się szeroko.

– To pan leutnant nie jest ze swoimi? – zagadnął lekarza pod włos.

– Jakimi swoimi, Kaczmarek? – pomarszczona twarz łapiducha roześmiała się serdecznie, a potem nagle spowaźniała. – Jakby ci to wyjaśnić... Z nazwiska po ojcu może i jestem Niemcem, ale co najwyżej w połowie...

– No właśnie.

– Ale serce mam po matce. Więc kiedy w grudniu zaczęła się ta cała strzelanina, nie zawahałem się ani chwili. W końcu matka jest z domu Dąbrowska, to chyba zobowiązuje? A poza tym... – Radtke zerknął na Kubiaka. – Ranny jest ranny, nieważne jakiej narodowości. Dlatego tu jestem i...

– A siostra Basia? Jest tu ciągle? – odezwał się zniecackany Franek Kubiak, niweczając patetyczną przemowę doktora. – Pan doktor wie, ta czarnulka...

Radtke uśmiechnął się wyrozumiale.

– *Jawohl* – przytaknął po wojskowemu. – Ale ona, zdaje się, ma już swojego amanta.

Kaczmarek uciekł spojrzeniem przed wzrokiem lekarza.

Okolice Kcyni, 16 stycznia 1919 r.

Silnik firmy Mercedes grał równo, niosąc maszynę ku północy. Zimny, lodowaty wręcz powiew był dla pokiereszowanej twarzy Jacha jak balsam. Rozbita powieka goiła się wolno, a zsiniały policzek ciągle pulsował bólem. Mimo to był szczęśliwy, że siedzi za sterami zdobycznego Albatrosa i może nim lecieć na zwiad. Rozkaz otrzymany od porucznika Palucha brzmiał krótko i wyraźnie: rozpoznać siły wroga na kierunku Kcynia–Nakło–

Bydgoszcz.

Stachu chciał koniecznie lecieć razem z nim, ale Franciszek sprzeciwił się zdecydowanie, wręcz ostro. To było zbyt niebezpieczne, by ryzykować życiem młodszego i niedoświadczonego brata. Jach zdawał sobie sprawę, że Niemcy dysponują artylerią przeciwlotniczą, a ich myśliwce patrolują niebo na południe od Bydgoszczy. Gdyby doszło do jakiejś walki, Staszek znalazłby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie mógł tego zrobić – ani bratu, ani swoim rodzicom.

Po ucieczce z krótkiej niewoli, trzymając się lasów, dotarł szczęśliwie do Wapna. Jego wygląd przeraził rodziców, ale nie zabawił u nich długo. Już następnego dnia poszedł znowu na linię, by pozbierać kompanię rozbitą pod Mroczą. Gdy skompletował ją w końcu i znowu uzbroił, przyszedł rozkaz ze sztabu. Przekazał wtedy oddział w ręce swojego zastępcy, a sam z radością wyprowadził Albatrosa ze stodoły i rozpedził na łące rodziców.

Dzień był zimny, lecz słoneczny. Wyżowy, ostry mróz szczypał go w nos i policzki, ale już nie w odziane w rękawice lotnicze dłonie. Znowu był w swoim żywiole – zawieszony nad ziemią niczym XX-wieczny Ikar. Tu, ponad siwymi mgłami chmur, czuł się zdecydowanie lepiej i pewniej niż na ziemi. Tu nikt nie byłby w stanie zaskoczyć go jak pod Mroczą czy wziąć go do niewoli. Tu czuł się panem swojego losu. Drżące w rytm silnika stery były mu miłsze niż cyngiel parabellum albo mauzera.

Świetna widoczność w rześkim powietrzu pozwoliła mu dostrzec zwartą kolumnę niemieckiej piechoty, przesuwaną się na południe od Nakła w kierunku południowym. Obniżył lot, by oszacować liczebność oddziału. To były dwie lub trzy kompanie. Zapisał to sobie w pamięci. Zaraz potem musiał poderwać Albatrosa ostro w górę. Na widok samolotu we wrogich barwach kilku Niemców próbowało do niego strzelać. Ich kule chybiły o włos.

Za nisko leciałem – ocenił samokrytycznie Jach.

Łagodnym przechyłem na prawe skrzydło skierował maszynę na wschód. Leciał teraz w stronę Bydgoszczy. Mimo okularów

lotniczych musiał zmrużyć oczy – wschodzące słońce oślepiło go, więc skorygował nieco tor lotu, nakręcając ku północy.

Nawet nie zauważył, kiedy pierwsze pociski pocięły powietrze wokół niego, a potem przeorały jedno ze skrzydeł. Usłyszał jedynie furkot kul po kadłubie, a potem poczuł palący ból w prawej łydce.

Oberwałem – przemknęło mu przez głowę.



Poderwał samolot ostro w górę, nakręcając w kierunku, z którego został zaatakowany.

Dopiero wtedy zauważył, że z zachodu nadlatywał rój samolotów wroga. Naliczył ich sześć. Fokkery D.VII! – rozpoznał charakterystyczne sylwetki dwupłatowców, najnowocześniejszych niemieckich myśliwców. Czarne krzyże na ich kadłubach i skrzydłach rosły złowrogo w oczach.

W jednej chwili zdał sobie sprawę, że może nie wyjść z tego cały. Liczebna przewaga wroga była zbyt wielka; dodatkowo Fokkery miały mocniejsze, 180-konne silniki BMW – w porównaniu ze 160 końmi mechanicznymi jego Albatrosa. Dawało im to również większą prędkość. Szanse na wyjście z tej opresji malały z każdą sekundą.

Co robić? Uciekać czy podjąć walkę?

Ucieczka nie leżała w jego charakterze. Nie czmychnął przed przeciwnikami. Ręka nawet nie zdrząła mu na wolancie, gdy z samobójczą wręcz precyzją poprowadził maszynę prosto na nadlatujące Fokkery. Gdy na celowniku jego sprzężonych karabinów pojawił się pierwszy, malowany w zielono-czarne pasy kadłub Fokkera, z pasją otworzył do niego ogień.

Doświadczenie z walk powietrznych nad Szampanią przyniosło efekty.

Przód samolotu wroga stanął nagle w płomieniach, ciągnąc za sobą długi warkocz dymu. Silnik Fokkera zawył żałośnie, a sama maszyna zaczęła ostro pikować w dół.

– Hura! Jeden do zera dla mnie! – krzyknął sam do siebie Jach.

Nie miał jednak czasu na triumf, bo rozwścieczeni jego zuchwałością piloci pozostałych Fokkerów pruli do niego jak do kaczki. Po skrzydle Albatrosa znowu zafurkotały pociski wroga. Samolot zachwiał się, ale utrzymał sterowność. Jach wyprowadził go pewną ręką z korkociągu i obrał kurs na południe.

Wiedział, że Fokkery – choć lepsze i dynamiczniejsze – mają jeden feler: paliwa starczało im na nieco ponad półtorej godziny lotu. Albatros miał pod tym względem przewagę o dobre pół godziny. Jach był pewien, że Fokkery wystartowały z lotniska wojskowego w Bydgoszczy. A jeśli tak, to zanim dotarły na miejsce potyczki, musiały już zużyć przynajmniej ćwierć zawartości swoich baków. Jeśli będzie umiejętnie im uciekał, prędzej czy później ich piloci będą zmuszeni zawrócić do bazy.

Uchwycił się tej myśli jak modlitwy. I miał szczęście: mimo uszkodzeń jednego z płatów Albatrosa stery maszyny ciągle działały, więc zatoczył szeroki łuk, utrudniając przeciwnikom namierzenie i ostrzał. Manewrując raz w lewo, raz w prawo, unikał bezpośrednich trafień. Noga jednak coraz boleśniej przypominała o ranie. Zerwał więc ręką szalik z szyi i prowizorycznie omotał nim ranną łydkę. Lodowate powietrze było jego sprzymierzeńcem, tamując krwotok.

Mimo sprytnych zmian kierunku lotu jeden z Fokkerów usiadł mu w końcu na ogonie i znowu otworzył ogień.

Śmiercionośny świst kul był coraz bliżej, zdawał się przelatywać tuż obok jego głowy. Prawe skrzydło Albatrosa wyglądało teraz jak sito, tracąc systematycznie siłę nośną.

Zrozumiał, że musi szybko rozejrzeć się za miejscem do lądowania. W powietrzu groziło mu zestrzelenie przez pięć maszyn wroga. Dystans między pogonią a Albatrosem systematycznie się zmniejszał...

Rozglądał się dramatycznie raz w lewo, raz w prawo, wypatrując w miarę równego, pustego pola. Jak na złość, teren był lekko pofałdowany. Zupełnie jakby nie chciał mu pomóc, przyjmując lądującą maszynę...

Matko Boska! Gdzie lądować?! No gdzie?!



Gdzieś hen po prawej, na południu wypatrzył długi, szary jezior zalewu.

Zamarznięte jezioro!

Tam na pewno będzie w miarę równo!

Nawet nie zastanawiał się nad tym, że koła jego Albatrosa mogą wpaść w zabójczy poślizg na gładkiej tafli. Zdecydowanym ruchem steru skierował aeroplan w stronę zbiornika wodnego.

Fokkery były tuż-tuż. Pruły do niego na przemian z dziesięciu swoich karabinów, a on nie miał nawet szans im odpowiedzieć. Gdy kilka razy obejrzał się za siebie, za każdym razem widział języki ognia wychodzące z luf karabinów maszynowych przeciwników.

Matko Boska! I ty, moja matko! Nie wyjdę z tego! – przemknęło mu przez głowę, gdy kolejna seria rozorała ogon jego maszyny.

Albatros gwałtownie stracił wysokość, gubiąc na moment asystę niemieckich pocisków.

Opadał teraz w szaleńczym tempie ku srebrzystoszarej niecce jeziora.

Zamarznięta toń wydała się Jachowi gigantycznym pasem startowym, choć jej brzegi były postrzępione niczym rozdarta flaga.

Jeszcze dwieście metrów, sto pięćdziesiąt, sto...

Wzmógł ryk silników za plecami Jacha mógł oznaczać tylko jedno: niemieccy piloci zorientowali się, co zamierza zrobić, i zaniechali pościgu.

A może zwyczajnie zaczynało im brakować paliwa?

Tak czy owak, ostatnie metry wysokości zgubił, opadając już samotnie ku zmrożonej płycie jeziora.

Uderzenie kół o lód było gwałtowne, zbyt gwałtowne. Postrzelany kadłub Albatrosa rzuciło w przód, a maszyna ryła teraz śmigłem w lodzie, chaotycznie i szybko wytracając prędkość.

Jach walczył z siłą, która chciała wysadzić go z siedzenia. Pasy

naprężyły się do granic możliwości, ale nie puściły.

Albatros, niszcząc śmigło i rozrzucając wokół ostre odpryski lodu, wyhamował, opadając tylną częścią na lód.

Zaraz potem Jach usłyszał głośne stęknienie.

A potem drugie, i kolejne.

Na lodzie wokół maszyny pojawiły się efektowne spękania i rysy. Jezioro otwierało się na przyjęcie daniny za ocalone życie.

Odpiął pasy i zmusił do wysiłku skrwawioną, przestrzeloną łydkę.

Gdy ześlizgiwał się z kabiny po dziurawym kadłubie, jęknął z potwornego bólu. Opadł na ranną nogę, ale utrzymał się w pionie. Odliczył do trzech, wziął potężny haust zimnego powietrza, a potem – zaciskając zęby – ruszył w stronę brzegu.

Fokkery przez chwilę krążyły nad jeziorem, obserwując nieporadną ucieczkę przeciwnika na ląd.

Gdy Jach – krzycząc z bólu – dopadł do linii zeschniętych trzciny, jeden za drugim obrały kurs na północ.

Mógł im już tylko pogrozić pięścią.

Siedział z wyprostowaną, przestrzeloną nogą, patrząc, jak jego ukochany, zdobywczy Albatros zanurza się powoli w odmętach jeziora.

Nie zatonął całkiem. Wsparty na postrzępionych, wyszczerbionych kulami wroga skrzydłach, osiadł na mieliźnie. Lodowata woda zalała jednak kabinę, bezpowrotnie niszcząc silnik maszyny.

Jach miał rozdarte serce. Radował się z zestrzelenia Niemca. I z tego, że żyje. Ale gdzieś w środku szarpały nim żal i gorycz.

Albatros – świadek jego przemiany w wolnego człowieka i pierwszy aeroplan powstania – przeszedł właśnie do historii.

XXXI.

A PAN TEŻ OFICER?

**Poznań, koszary przy Bukowskiej,
19 stycznia 1919 r., wieczorem**

- A co to za jeden, ten Dowbor-Muśnicki?
- Nie słyszałeś o nim, bracie? To jeden z najlepszych polskich generałów.
- A gdzie on niby walczył?
- Jak to gdzie? W Rosji. Dowodził korpusem pod Bobrujskiem.
- W Rosji? To dlaczego teraz ma dowodzić w Wielkopolsce?
- Bo Taczak to tylko major, z całym szacunkiem, ale ma za małe doświadczenie. Tu trzeba, widzisz, dowodzić już nie odcinkami, ale całymi frontami. Taka się, bracie, wojna z Niemcami zrobiła!

Kaczmarek z Jęczkowiakiem siedzieli na zydelkach na korytarzu koszar na Jeżycach, pastując buty przed zapowiadany na następny dzień przeglądem ich kompanii przez nowego głównodowodzącego. Z przybyciem generała Dowbor-Muśnickiego w oddziałach powstańczych wszystko wywracało się do góry nogami. Tyle że miały to być zmiany na lepsze. Po pierwsze: kompanię Wierzejewskiego przerzucono do koszar piechoty, opuszczonych z końcem roku przez niemiecki 6 Pułk Grenadierów. Po drugie: kompania z honorowym numerem 1 stała się częścią baonu, a baon – tworzono go pośpiesznie 1 Pułku Strzelców Wielkopolskich. Dowódcą pułku zamianowano pułkownika Daniela Konarzewskiego, podwładnego Dowbora z czasów wielkiej wojny. Chodziły słuchy, że Konarzewski rychło dostanie awans na generała. Po trzecie wreszcie: nowy dowódca wojsk powstańczych postawił sobie za punkt honoru zrobić z luźnych kompanii i baonów pierwszorzędną i pełnokrwistą armię – z pułkami i dywizjami. A to, po czwarte, oznaczało, że

przed wieloma z nich otwierała się szansa na niebywale szybkie awanse.

– I myślisz, Józek, że ten generał z Warszawy będzie lepszy? – rzucił znowu prowokacyjnie Kaczmarek.

Jakoś nie był przekonany, że przysłany im na wodza oficer, nieznający ludzi ani terenu, w dodatku wyszkolony w armii carskiej, podoła tak wielkiemu zadaniu. Do jego uszu doszły już pogłoski, jakoby nowy głównodowodzący zabrał się za porządki z radami żołnierskimi. Zaraz po przyjeździe miał zabronić oficerom i żołnierzom mówić do siebie per „towarzyszu”. A żołnierzom nakazał znowu czapkować oficerom.

– Na pewno poprawi dyscyplinę, Biniu – odpowiedział Józek. – Sam wiesz, że z tym nie było u nas najlepiej.

Wieść niosła, że generał Dowbor-Muśnicki słynie z niechęci do politykowania w szeregach. Widomym znakiem zmian był też fakt, że Dowództwo Główne wyprowadziło się właśnie z hotelu Royal na Świętym Marcinie do okazałego gmachu po niemieckim dowództwie V Korpusu.

– A co się stało z Taczakiem? – zagadnął znowu Kaczmarek.

– Zrobili go drugim kwatermistrzem – westchnął Jęczkowiak.

Natarczywe pytania kolegi zdążyły go już zmęczyć. Nie rozumiał, dlaczego Biniu ciągle kontestuje zmiany.

– Ledwie osiągnęliśmy jakiś sukces, już ci z Warszawy nam się mieszają w nasze sprawy – bąknął Kaczmarek.

Jęczkowiak uznał, że musi mu coś wyklarować.

– Nic nie dzieje się przypadkiem – powiedział. – Sam widziałeś przecież łączników z Warszawy jeszcze przed powstaniem...

– No tak, ale to było przed.

– No właśnie. Wszystko to było po to, by w miarę możliwości działać razem. Wspólnie. Ci w Warszawie nie mogą działać z otwartą przyłbicą, żeby nie narazić się na zarzut, że nam pomagają. Muszę przed Berlinem, ale i przed ententą zgrywać neutralność. Ale po cichu przesyłają nam dowódców...

– A co to? Nie mamy własnych?

– Nie mamy. To znaczy, nie mamy oficerów z takim doświadczeniem. Dlatego Korfanty i cała Naczelna Rada Ludowa

poprosiła Piłsudskiego o kogoś tego formatu jak Dowbor-Muśnicki.

– Też mamy oficerów! – zachnął się Kaczmarek. – I to wcale nie gorszych, a już wypróbowanych!

– U nas są prawie sami podoficerowie. Przecież wiesz, że Niemiaszki blokowały naszym awanse – polemizował z nim Jęczkowiak. – Ale chodzą słuchy, że po przysiędze to się zmieni. Wielu naszych dostanie wysokie stopnie.

Kaczmarek słuchał naburmuszony. Nie podobało mu się, że nowy dowódca sprowadza z Warszawy własnych oficerów, a nie poważa tych, którzy wydarli to miasto i wiele innych Szkiebrom.

– Ech, polityka... – splunął soczyście przed siebie. – Całe szczęście, że jestem prostym żołnierzem.

– Nie takim znowu prostym – udobruchał go Jęczkowiak. – A o Dowbora się nie martw. Pamiętaj: on już walczył z Niemcami. Zobaczysz, że wszystko dobrze się skończy.

– Oby – mruknął Kaczmarek.

Jeśli chodziło o niego, wołałby w pierwszej kolejności słuchać rozkazów porucznika Palucha.

Dzień wcześniej, 18 stycznia 1919 r., Stacja Lotnicza w Ławicy

A więc wracał tu, skąd odleciał grudniową nocą jak spiskowiec, bez pewności, że jeszcze kiedykolwiek powróci. Wracał jak zwycięzca, ale w duszy nie czuł przesadnej satysfakcji, a już w ogóle żądy odvetu. Biało-czerwone barwy nad bramą wjazdową przyjął jako coś naturalnego, choć wzruszenie na moment odebrało mu mowę. Pospiesznie wykonany farbą, odręczny napis „Stacja Lotnicza w Ławicy” pięknie komponował się z wielką czerwoną flagą z białym orłem, łopoczącą na wieży kontroli lotów. Hurkot motoru zwrócił uwagę Jacha na jakże dobrze mu znaną sylwetkę Fokkera, podchodzącego właśnie do lądowania. Biało-czerwone szachownice na kadłubie i płatach samolotu sprawiły mu niewypowiedzianą radość. Zmianę

wyczuwało się nawet w powietrzu. I wcale nie dlatego, że właśnie rozpoczęła się odwilż, ściekająca kroplami z dachów hangarów.

– Stój! – polski wartownik łypnął na obitą twarz Jacha i z miejsca stał się czujny, celując w niego z karabinu. – Ty do kogo?

Jach uśmiechnął się beztrzesko.

– Usłyszałem o akcji werbunkowej, o rozkazie Dowództwa Głównego. Więc przyszedłem się zaciągnąć do polskiego lotnictwa – oświadczył. – W niemieckim już byłem, ale mi nie odpowiadało.

– A czemu, kolego, masz taką siną kalafę?¹⁸¹

– Wracam z frontu. Nie słyszałeś o Mroczy? O Szubinie?

– Tak ostro tam było?

Jach skinął głową. Nie chciał się wdawać w szczegóły, spieszył się do dowództwa świeżo powołanego batalionu.

– Kto tu teraz dowodzi? – zapytał. – Bo jak byłem ostatnio, to rządził tu jeszcze Fischer...

– Wartownikami kieruje sierżant Szyfter.

– Nie o to was pytam. Kto jest komendantem stacji?

– A, trzeba tak było od razu. Stacją zarządza sierżant Pniewski.

– Wiktor! – ucieszył się Jach. – To się świetnie składa! Gdzie go znajdě?

– Idź do budynku dowództwa. Tam urzędują wszyscy podoficerowie.

– A wielu już ich?

– Będzie z pół setki. Ale ciągle przychodzą nowi... – wartownik nagle połapał się, że być może rozmawia z człowiekiem wyższym od niego rangą i natychmiast przyjął postawę zasadniczą.

– A pan... też oficer? – zagadnął nieśmiało.

– Spokojnie, panie kolego. Ja mam tylko sierżanta, zresztą od świętej pamięci Wilusia. – Jach uśmiechnął się ironicznie.

– Sierżant to sierżant – skomentował prosto żołnierz.

Franciszek Jach spojrział na niego z sympatią:

– Zobaczymy, co zaoferuje mi polska armia.

181 Z gwary poznańskiej – twarz.

Poznań, 26 stycznia 1918 roku, Wilhelmsplatz

Wzdłuż ubłoconej płyty placu, na którym jeszcze pół roku wcześniej defilowały oddziały armii cesarskiej – pomiędzy pomnikiem Lwa Nachodu strzeżonego przez czterech Prusaków i posępną sylwetką cesarza Fryderyka III – ustawił się równy rząd powstańczej wiary. Nad odsłoniętymi głowami żołnierzy krzyżowały się nagie konary drzew, gdy z uniesionymi w górę palcami prawych dłoni powtarzali słowa przysięgi, ułożonej ledwie tydzień wcześniej przez polityków Naczelnej Rady Ludowej. Czytał je równo i spokojnie ksiądz Stanisław Łukomski, proboszcz katedry.

– W obliczu Boga Wszechmogącego w Trójcy Świętej Jedyne go ślubuję, że Polsce, Ojczyźnie mojej, i sprawie całego Narodu Polskiego zawsze i wszędzie służyć będę, że kraju ojczystego i dobra narodowego do ostatniej kropli krwi bronić będę... – Jęczkowiak, teraz żołnierz 1 Pułku Strzelców Wielkopolskich, wypowiadał te słowa głośno i dobitnie.

– ...że Komisariatowi Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu i dowódcom, i przełożonym swoim mianowanym przez tenże Komisariat, zawsze i wszędzie posłuszny będę... – powtarzał Kaczmarek, czerwieniąc się za swoje niedawne słowa wąpiące w zdolności Dowbora.

– ...że w ogóle tak zachowywać się będę, jak przystoi na męznego i prawego żołnierza-Polaka, że po zjednoczeniu Polski złożę przysięgę żołnierską, ustanowioną przez polską zwierzchność państwową! – zagrzmiały setki mężczyzn, odzianych w nowe, uszyte według ujednoczonego kroju mundury.

Zaraz potem na głowy wojaków powędrowały nowe, specjalnie na tę okazję przygotowane czapki rogatywki. Licznie zebrani widzowie zdumieli się ich wysokością – tak mocno odbiegały wszak od tych znanych z wcześniejszych zrywów i powstań. Wojsko w rogatywkach zdawało się wyższe, potężniejsze. Na

wielu czapkach, ale i na rękawach mundurów srebrzyły się efektowne trefle – oznaki godności oficerskich. Armia była jak spod igły – piękna i malowana. Aż miło było popatrzeć.

A było komu patrzeć! Na kamienicach, na ich balkonach powiewały sztandary narodowe. A w oknach – morze głów. Uwagę poznańczyków przyciągał ołtarz polowy. Mało kto wiedział, że to srebrny tryptyk z zamku Działyńskich, przed którym król Jan III Sobieski dziękował Opatrzności za wiktoryę wiedeńską. U jego stóp stali komisarze Naczelnej Rady Ludowej, miejscy włodarze, społecznicy i dziennikarze. Jeszcze przed ślubowaniem z tego właśnie ołtarza mszę polową odprawił kanonik Łukomski. A słowami kazania pokrzepił wszystkich ksiądz Dykiert, kapelan wojska powstańczego.

Jęczkowiak sądził, że wzruszenie go nie pokona. A jednak, gdy generał Muśnicki wręczył dowódcy pułku, pułkownikowi Konarzewskiemu, sztandar, utkany w zakładzie Eichstaedta na wzór sztandaru powstańczego z 1831 roku, uronił łzę.

Przed jego oczyma w jednej chwili stanęły okopy we Francji, życzliwe Belgijki udzielające mu schronienia, podróż przez Niemcy w zimnych wagonach, przedzieranie się do Poznania, Piłsudski opowiadający mu w Warszawie o trupie cesarskich Niemiec i sam błady jak nieboszczyk, wreszcie cichy atak na fort Grolman. Na koniec zaś przypomniał sobie skautowskie manewry w lasach pod Kobylnicą, gdy prowadził swój oddział na odsiecz Poznaniowi – i wygrał z mocarnym przeciwnikiem, choć nie siłą, a sprytnym wybiegiem. To wszystko w jednej chwili zdało mu się jakąś wielką teatralną sztuką, w której role z dawna zostały już rozpisane i rozdane. A która właśnie teraz, w tej uroczystej chwili miała swoją wielką premierę – i finał – na deskach największej sceny miasta.

A potem była defilada. Wojsko szło równo, miarowym krokiem, dając radość mieszkańcom. Jakże inna to była parada od ciężkich, monotonnych marszów, jakie to miasto widziało przez ostatnie stulecie! I tylko kolor mundurów, zwany feldgrau, przypominał, skąd krawcy wzięli materiał – z magazynów po dawnym zaborcy. Piechurzy uśmiechali się do dziewczyn, a te machały do nich ze

szczerą sympatią. Oklaskom i wiwatom nie było końca. Szczególny entuzjazm wzbudziły zdobyczne armaty. Jadący na nich artylerzyści salutowali zadzierżyście euforycznym tłumom.

Za piechotą jechała kawaleria. Ustawieni pod Grand Café widzowie aż cmokali z zachwytu. Koniki były cudne, para buchała z ich pysków na postrach Szkiebrom. A ci ułani... Odbierali mowę starszym, a pannom zapierali dech w piersi. Las biało-czerwonych chorągiewek nad ich stalowymi lancami świetnie komponował się z biało-czerwonymi proporczykami pułkowymi na kołnierzykach ich mundurów. Pobrzękujące przy siodłach szable, przejęte z magazynów pruskiej artylerii, budziły należyty respekt.

Jęczkowiak przyglądał się kawalerii, co chwila poprawiając na głowie rogatywkę z zielonym treflem w biało-czerwonej obrączce. Jeszcze nie zdążył przywyknąć do wysokości czapki. I do zielonej taśmy, którą obszyto rękawy jego munduru. Zielony trefl i taśmy przemawiały tylko do nielicznych, bo nowe mundury i odznaki nie były jeszcze powszechnie znane. Ale Zbigniew Kaczmarek wiedział, że to odznaki sierżanta. Józef Gabriel Jęczkowiak – na wniosek Wincentego Wierzejewskiego, teraz podporucznika – otrzymał oficjalnie zawrotny wręcz awans: ze strzelca na sierżanta. Wielu jego kolegów – często dezertersów z armii niemieckiej – otrzymało odznaki kaprali, plutonowych czy sierżantów, a niektórzy – nawet podporuczników. Tych ostatnich Jęczkowiak naliczył pod osiemdziesięciu. Już nigdy później droga awansu nie miała być krótsza, jak wtedy, w styczniu 1919 roku na Wilhelmsplatz!

– W nowej, wolnej Polsce liczyć się będzie nie stan urodzenia, ale istotne będą wasze zasługi – przemówił do świeżo wypromowanej kadry Wojciech Korfanty.

Słuchał go uważnie Zbigniew Kaczmarek, również awansowany tego dnia na starszego strzelca. Słuchał, a oczy mu się szklily i z trudem tłumił wzbierające w gardle wzruszenie.

Doczekałem, pomyślał z dumą. Bogu niech będą dzięki!

EPILOG



Poznań, dworzec główny, 14 marca 1919 r., około południa

Wojskowy skład z Owińsk wtoczył się majestatycznie na peron pierwszy poznańskiego dworca. Ze zgrzytem kół wyhamował, a zaraz potem z wagonów wysypała się żołnierska brać. Ochotnicy z kompanii jadącej na odsiecz Lwowa pobiegli do dworcowej restauracji – albo po prostu zakręcili się po peronie, żeby zapalić papierosa.

Porucznik Ciaciuch¹⁸² rozkazał, więc Jęczkowiak zarządził półgodzinny postój, a potem sam poszedł rozprostować kości. Starszy strzelec Kaczmarek szedł za nim jak cień. Sierżant ruszył wolno wzdłuż peronu, kierując się ku tyłowi składu.

O trudnym położeniu rodaków we Lwowie Jęczkowiak czytał nieraz w „Kurierze Poznańskim”. Gdy tylko dowództwo ogłosiło, że Lwów zagrożony jest kapitulacją, bo ukraiński pierścień głodzi miasto, zgłosił się na ochotnika do kompanii, która otrzymała za zadanie pomóc odblokować miasto w Galicji. Kaczmarek miał trudniej z podjęciem decyzji – a wszystko z powodu Juliette. Po kilku dniach rozterek uznał jednak, że pójdzie w ślady przyjaciela. Takich jak on było ponad dwustu.

W jednym z dalszych wagonów jechali lotnicy. Łatwo ich było poznać po srebrzystych płaszczach – odstających elegancją i szykiem od mundurów piechoty – i po furazerkach. Jęczkowiak wiedział od swoich dowódców, że razem z ich kompanią na pomoc Lwowowi pojedzie też bateria artylerii i mała lotnicza eskadra, sformowana dopiero co na lotnisku w Ławicy.

Lotnicy stali w małej grupce przy swoim wagonie, popalając

182 Jan Ciaciuch, podporucznik, jeden z dowódców ochotniczej kompanii poznańsko-lwowskiej.

ćmiki. Jeden z nich, wysoki i wesoły, sądząc po odznakach – pilot sierżant – spojrzął na nadchodzącego Jęczkowiaka i zagadnął go przyjaźnie:

– Jeszcze nie jesteśmy w Galicji, a już nas kontrolujecie?

– A czemu nie? – odparował równie swobodnie Jęczkowiak. – Słyszałem kiedyś starą, szwabską maksymę: zaufanie jest dobre, ale kontrola jest jeszcze lepsza.

– Ha, ha, ha! A to dobre! – pilot zaśmiał się pełną gębą, a potem wyciągnął dłoń, pomijając zupełnie wojskowy rytuał. – Czuję, że się polubimy! Sierżant Franciszek Jach, 1 Wielkopolska Eskadra Lotnicza. Zdaje się, że jedziemy na tym samym wózku?

– Sierżant Józef Jęczkowiak – przedstawił się kolega piechur. – Na tym samym wózku, a może raczej: na tych samych maszynach?

Mówiąc to, wskazał dłonią na kolejne wagony-platformy, na które załadowano złożone samoloty eskadry.

– Być może zabiorę kiedyś pana na jakieś rozpoznanie – Jach uśmiechnął się życzliwie. A widząc żywe zainteresowanie w oczach sierżanta i towarzyszącego mu, nieco pękatego strzelca, dorzucił:

– Mamy w sumie siedem samolotów: pięć obserwacyjnych, jeden szturmowy i jeden myśliwski. Może nie wypada chwalić Szkopów, ale te maszyny udały im się jak mało co. To Albatrosy i De-eF-Wu. Na pewno przydadzą się w Galicji.

– W to nie wątpię – Jęczkowiak przyglądał się złożonym w pół płatom aeroplanów leżącym wzdłuż kadłubów maszyn. – Tym bardziej że pogoda wreszcie zaczyna nam sprzyjać...

Marcowe słońce przygrzewało w plecy aż miło. Jęczkowiak odniósł wrażenie, że postój na peronie ma w sobie coś z dawnych, wiosennych, zupełnie beztróskich wypraw do Puszczykowa. Choć na pobliskich drzewach nie było jeszcze ani jednej zielonej wypustki.

– Panie sierżancie! Panie sierżancie! – zawołał od przodu pociągu Kubiak. – Wołają was wszystkich pod most!

– Jak to: pod most?

– Zwyczajnie! Przyjechał pono jakiś fotograf, zdejmować nas

wszystkich będzie!

– No trudno – mruknął Jach, zdeptyując niedopałek. – Chyba trzeba będzie ustawić się do fotografii. W końcu nie wiadomo, czy wszyscy wrócimy...

Wesoły nastrój prysnął, ale tylko na moment. Kiedy dwustu chłopa ustawiło się zgodnie na szerokich schodach, wiodących na górę mostu dworcowego, spoglądając na tory, parowozy i żelazne przęsła, humory znowu dopisywały. Renomowany fotograf Kazimierz Greger ustawił pudło aparatu poniżej, na peronie, celując obiektywem w zatłoczony bieg schodów. Po zdjęciach wykonanych na przysiędze był proszony do każdej ważnej uroczystości, ale wyjazdu ochotników do Lwowa i tak by nie pominął. Zwyczajnie nie wypadało.

– Raz, dwa, trzy! – policzył, odkrywając obiektyw.

Byli i przyszli bohaterowie przeszli tym samym do historii.

Kwadrans później pociąg ruszył w kierunku na Ostrów, ciągnąc za sobą siwy warkocz dymu.

*Poznań,
styczeń–grudzień 2017*

OD AUTORA

Cwaniaki to powieść oparta w dużej mierze na faktach. Józef Gabriel Jęczkowiak i Franciszek Jach to postacie historyczne. Wielka historia bywa jednak okrutna dla swoich dzieci: w jej trybach często giną pozornie mali bohaterowie, którzy swoimi jednostkowymi działaniami napędzają tę maszynę. Jęczkowiak i Jach ciągle nie są powszechnie znani, a powinni. Ta myśl skłoniła mnie do napisania tej książki.

Losy Jęczkowiaka to niesamowity materiał na imponujący film lub serial. Młody poznaniak, dezerterski z armii niemieckiej, naprawdę spotkał się w listopadzie 1918 roku z Piłsudskim – i na jego prośbę podjął się misji zrewolucjonizowania garnizonu warszawskiego, co zakończyło się przejściem władzy w stolicy przez Polaków. Już jako piętnastolatek trafił do skautingu, za udział w manifestacji patriotycznej relegowano go ze szkoły. Potem – jako żołnierz armii niemieckiej – zaangażował się w konspiracyjną Polską Organizację Wojskową. Podczas powstania był jedną z wiodących postaci I Kompanii Skautowej Wincentego Wierzejewskiego. W wolnej Polsce służył w armii do 1927 roku, potem przeniósł się z rodziną do Gdyni. W kampanii wrześniowej jako kapitan rezerwy uczestniczył w bitwie nad Bzurą – ranny w obie nogi w Łomiankach pod Warszawą, dostał się do niemieckiej niewoli.

Niemcy nigdy nie wybaczyli mu tego, co zrobił w 1918 roku. Ciężył na nim wyrok śmierci za dezercję z armii Kaisera, więc w obozie jenieckim w Murnau (Bawaria) przebywał pod przybranym nazwiskiem. Po wojnie wrócił do Polski, ale zaszczyty przez funkcjonariuszy UB, musiał opuścić Gdynię. Ostatnie lata życia spędził w Szczecinie. Zmarł w 1966 roku, spoczywa w rodzinnym grobie na cmentarzu miłostowskim w Poznaniu (pole 45, kwatera 3, rząd 13, miejsce 21). Z pewnością zasłużył na znicz pamięci w setną rocznicę

powstania.

Sensacyjny wątek dotyczący działań kontrwywiadu niemieckiego wobec Jęczkowiaka jesienią 1918 roku to literacka fikcja – powstał w głowie autora wyłącznie na użytek tej książki. Choć nie można wykluczyć, że niemieckie służby podejmowały wtedy podobne, ściśle tajne akcje w Warszawie i Poznaniu. Nic mi wprawdzie nie wiadomo, by w 1918 roku Niemcy usiłowali wywieźć z Poznania akta policji – ale bankowe złoto już tak. Według relacji powstańca wielkopolskiego, Stanisława Józwiaka (opublikowanej w grudniu 1919 roku w „Rzeczpospolitej”), w nocy z 12 na 13 listopada 1918 roku samochody z załadowanym kruszcem z poznańskiej filii Banku Rzeszy czekały już na Świętym Marcinie, przy ówczesnej drukarni „Posener Zeitung”. Polski patrol udaremnił Niemcom te zamiary, choć obeszło się bez strzelaniny.

Pilot Franciszek Jach naprawdę zdobył podstępem pierwszy samolot dla powstania wielkopolskiego. Potem walczył pod Lwowem i na wojnie z bolszewikami. W okresie międzywojennym był cenionym oblatywaczem, a także instruktorem w Centrum Wyszkożenia Oficerów Lotnictwa w Dęblinie. We wrześniu 1939 roku kapitanowi Jachowi nie udało się przedostać do Rumunii, z powodu udziału w powstaniu wielkopolskim był poszukiwany przez gestapo. Ukrywając się, zaangażował się w akcje wywiadowcze Armii Krajowej na Zamojszczyźnie – obiektem jego zainteresowania było (jakże mogło być inaczej!) lotnisko Luftwaffe w Mokrem pod Zamościem. Zginął niespodziewanie w maju 1944 roku w wyniku sowieckiego nalotu na Lublin. Spoczywa na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie (sekcja 33, rząd XI, grób nr 7). Cztery lata temu przypomniał go Zbigniew Grabowski książką *Franciszek Jach – Ikar rodem z Wapna*.

O ile Jęczkowiak i Jach to postacie prawdziwe, o tyle Zbigniew Kaczmarek to postać literacka. Wielu z Was, szanowni Czytelnicy, już go zna. Bo Biniu Kaczmarek – jak przepowiedzieli mu w tej książce koledzy z kompanii – po nastaniu pokoju został policjantem kryminalnym. Jego późniejsze śledztwa opisałem

w serii kryminałów retro (*Kryptonim Posen, Mecz, Rache znaczy zemsta, Pętla i Arcymistrz*). O powstańczej przeszłości Kaczmarka wspominałem w tamtych książkach zdawkowo. Zabierając się za Cwaniaków, uznałem, że nadarza się niepowtarzalna okazja, by uzupełnić jego życiorys o ten ważki okres. I z tej okazji skorzystałem.

Fikcyjne są w *Cwaniakach* postacie niektórych Niemców: m.in. Heinza Gnade i Klauza Wirbela. Ale nie wszystkich – Georg von Cleinow, August Twachtmann – przewodniczący Rady Żołnierskiej miasta Poznania, leutnant Paul Pohl czy generał Fritz von Bock und Polach to osoby historyczne. Podobnie jak prawdziwi są frontowi towarzysze broni Jęczkowiaka z Francji – zarówno polscy, jak i niemieccy.

Choć *Cwaniaki* oparte zostały na wspomnieniach Jęczkowiaka i innych opracowaniach, są jednak powieścią. Nie wszystkie przedstawione w książce wydarzenia miały więc miejsce w rzeczywistości lub różnią się nieco od tych prawdziwych. Uprzedzając głosy historyków-specjalistów chciałbym zaznaczyć, że:

- wiec na lotnisku w Ławicy, który powstrzymał wywiezienie sprzętu do Niemiec, odbył się w rzeczywistości dwa dni później – 12 listopada 1918 roku,

- daty niektórych akcji zdobywania broni w Poznaniu opisanych w *Cwaniakach* również odbiegają nieco od prawdziwych,

- ciężko ranny w dniu 27 grudnia 1918 roku Franciszek Ratajczak zmarł w szpitalu, a nie w bramie na ulicy Rycerskiej,

- Franciszek Jach w rzeczywistości znajdował się w niemieckiej niewoli w dniach od 6 do 10 stycznia 1919 roku,

- walka powietrzna, którą stoczył Jach z sześcioma niemieckimi pilotami, rozegrała się nieco później niż na kartach tej powieści – pod koniec stycznia 1919 roku. Jach rzeczywiście uratował się, lądując na łodzi jeziora Czeszewskiego (na północ od Gniezna). Wcześniej strącił jeden z samolotów wroga.

Pisząc o okolicznościach poprzedzających wybuch powstania wielkopolskiego, nie sposób nie wspomnieć o porucznikach

Mieczysławie Paluchu i Bohdanie Hulewiczu, a także o sierżancie pilocie Wiktorze Pniewskim. To na nich spoczywał ciężar przygotowań do walki, gdy politykom Naczelnej Rady Ludowej nie w głowie była jeszcze jakakolwiek myśl o zbrojnym powstaniu. Ten pierwszy przez początkowe dni walk faktycznie dowodził poczynaniami powstańców w Poznaniu. Mam skromną nadzieję, że ta książka przypomni również ich zasługi. Bez nich nie byłoby zwycięstwa.

Dopiero pisząc Cwaniaków zdałem sobie w pełni sprawę, jak złożoną sprawą była konspiracja z 1918 roku. I jak wiele dla niepodległości Polski zrobili ówczesni skauci i ich liderzy, tacy jak Wincenty Wierzejewski, Henryk Śniegocki czy Walerian Chrzanowski – a także wielu innych. Jesienią 1918 r. pomiędzy Poznaniem i Warszawą – wbrew rozpowszechnianym ciągle mitom – istniała stała łączność. Do Poznania w tajemnicy przyjeżdżali oficerowie z Warszawy, raportując Piłsudskiemu sytuację w Poznańskim. A poznański skaut, kanonier Jęczkowiak wzorcowo wykonał w Warszawie nakreślone mu przez Komendanta zadanie. Nie zawiódł, dzięki czemu jedenastego listopada świętujemy Dzień Niepodległości.

Na koniec chciałbym złożyć wyrazy wdzięczności.

Dziękuję historykom powstania wielkopolskiego – prof. Januszowi Karwatowi i dr. Markowi Rezlerowi – za życzliwe wsparcie merytoryczne w kilku kluczowych dla fabuły kwestiach.

Dziękuję również Magdalenie Mrugalskiej-Banaszak z Muzeum Historii Miasta Poznania – za pomoc w zlokalizowaniu kamienicy, w której w 1918 roku mieszkała mama Józefa Jęczkowiaka (numeracja domów na Świętym Marcinie zmieniła się od tamtego czasu wielokrotnie). A także za podpowiedź w kwestii ówczesnych poznańskich lokali. To dzięki pani Magdalenie strzelec Kaczmarek poznał Juliette w historycznej restauracji Ratuszowej, a nie w innym, fikcyjnym lokalu.

Piotr Bojarski

Spis treści

PROLOG

Część 1. PRZED BURZĄ

Rozdział I. Pozdrowienia z Poznania

Rozdział II. Krok w ciemność

Rozdział III. Pamiętasz?

Rozdział IV. Czerstwe pieczywo

Rozdział V. Kto ma niebo

Rozdział VI. Kluczowa jest głowa

Rozdział VII. Polnische Degeneraten!

Rozdział VIII. Po nitce do kłębka

Część 2. PIERWSZE BŁYSKI

Rozdział IX. Łącznik

Rozdział X. Musisz jak ten robak

Rozdział XI. Czas to zwycięstwo

Rozdział XII. Trup musi się przewrócić

Rozdział XIII. Los auf die Strasse!

Rozdział XIV. Polowanie na szaraka

Rozdział XV. Ty przekłety Polaku...

Rozdział XVI. Towarzysze, zapraszamy!

Rozdział XVII. Trzeba będzie walczyć

[Rozdział XVIII. Co tu się święci?](#)
[Rozdział XIX. Bo otworzymy ogień!](#)
[Rozdział XX. Takich spraw się nie zapomina](#)

[Część 3. NAWAŁNICA](#)

[Rozdział XXI. Cień w bramie](#)
[Rozdział XXII. Rozkaz z Berlina](#)
[Rozdział XXIII. Ustąpcie!](#)
[Rozdział XXIV. Najlepszy bilet](#)
[Rozdział XXV. Hiszpanka, czyli gorączka](#)
[Rozdział XXVI. Albatros](#)
[Rozdział XXVII. Grolman](#)
[Rozdział XXVIII. Kompania braci](#)
[Rozdział XXIX. Hej, kochaś, jesteś tam?!](#)
[Rozdział XXX. W twarz i w serce](#)
[Rozdział XXXI. A pan też oficer?](#)

[EPILOG](#)

[OD AUTORA](#)